

Uczennica Czarnoksieznika

FARLAND DAVID



calibre 0.7.28

DAVID FARLAND

Uczennica Czarnoksiężnika

Nakładem Domu Wydawniczego REBIS ukazują się również następujące cykle:

FANTASY

Glen Cook "Czarna Kompania" Glen Cook "Imperium Grozy"

L. E. Modesittjr "Magia Recluce"

Terry Goodkind "Miecz Prawdy"

David Farland "Władcy Runow"

Suma Wszystkich Ludzi

Wilcze Bractwo

SCIENCE FICTION

Isaac Asimov "Fundacja" David Weber "Honor Harrington"

Tad Williams "Inny Świat"

DAVID FARLAND

UCZENNICA CZARNOKSIEŻNIKA

Przełożył Radosław Kot Dom Wydawniczy REBIS Poznań 2002

KSIEGA 9

DZIEŃ DRUGI MIESIACA LISCI

CISZA POMIĘDZY ZAWIERUCHAMI

PROLOG

Król Croener z Toom kupił raz nawozu, by trawa zielensza rosła mu u bramy, ale potem odkrył, że taniej wychodzi kupić pieskich synów szarej bajzelmamy. - rymowanka opowiadająca o królu Croenerze, który przed atakiem na Lonnock za psi grosz zapewnił sobie usługi najemników z Internooku. Król Anders przez całą noc bawił gości, wśród których było wielu słynnych wojowników z Internooku. Odziani w focze skóry i rogate helmy przyplynie niedawno na szarych, wezowych statkach. Brody przesiakiły im słona wonia morza, ogorzale od bryzy oblicza srożyły się wśród splotów rudych i siwych włosów. Inni władcy próbowaliby kupić ich lojalność. Wojownicy z Internooku zawsze tanio się sprzedawali. Jednak Anders nie proponował im pieniędzy, tylko wlewał w nich napitki i karmił opowieściami o zdradzie Gabora Val Ordena. Koło północy po zamku niosło się już echo łomotu kufli o drewniane białe i głośniejsze zadane, by skrócić niegodziwca o głowę. W uniesieniu zabili wieprza i nasaczyli warkocze jego posoka, a potem jeszcze pomalowali sobie twarze w zielone, żółte i niebieskie pasy. Postanowili, że nie weźmą innej zapłaty za swą wojaczkę, jak tylko łupy, które przypadną im po zwycięstwie.

Za cenę jednej świni i beczki mocnego piwa Anders pozyskał sobie nie mniej, nie więcej, tylko pół miliona wojowniczych mezczyzn.

Lady Vars, która na codzień pełniła funkcję kanclerską u boku królowej Ashovenu, patrzyła z uśmiechem, jak Anders urabia przybyszów z Internooku. Nie pozwoliła sobie nawet na łyk wina. Była kobietą stateczną, piękną i przebiegłą, co wyraźnie dawało się dostrzec w jej bystrych, szarych oczach.

Gdy usłyszała, jak Anders nakłania gości, by czym prędzej weszli na statki i ruszyli na Tides, zacisnęła usta. Choć starała się zachować pozory neutralności, gospodarz nie wątpił, że gotowa jest stanąć mu na drodze. Trudno, jej pech.

Korzystając z tego, że wojownicy znów zajęli się kufkami, kobieta wyniknęła z sali i pośpieszyła na przystanek. Niewątpliwie dziękowała losowi, że uchodzi z tego królestwa z życiem.

Jednak Anders wiedział, że na północy wzbiera sztorm. Wyszedł chwilę po lady Vars i stanawszy w bramie swej wieży, nastawił ucha. Słyszał wicher wyjący ponad odległymi białymi pustkowiami, a nocne powietrze pachniało morską solą i... lodem.

Czająca się w nim bestia ozyla na te wonie i podsunęła proste zaklecie mające obudzić powiew, który wypełni zagłębie statku posłanniczki i skieruje go prosto na skały.

Królowa Ashoven dowiedzie się jakiś czas potem o wyrzuconych na brzeg szczątkach i będzie szczerze oplakiwać lady Vars, ale nie domysli się nawet, jakie to ostrzeżenie przepadło wraz z nią.

Może jej następny kanclerz będzie mniej zasadniczy.

Król długo stał w bramie, nasłuchując odgłosu kopyt oddalającego się brukowanymi uliczkami konia lady Vars. Gruba warstwa chmur zasłoniła gwiazdy, a płonące w sali ognie rzucały rudawy odbłask na dziedziniec. Gdzieś w miesieci zawył pies i wkrótce dołączyła do niego polowa zamkowej psiarni.

Anders wyszeptał zaklecie, które miało położyć kres doczesnym wędrowkom lady Vars, i wrócił do wielkiej sali.

Jednooki wojownik imieniem Olmarg spojrzął na porozumiewawczo. Stał akurat obok stołu i pochylał się nad pieczonym swiniakiem. Odciał ucho i zaczął je przeżuwać.

-Uciekła od nas - powiedział z obcym akcentem.

-Owszem - przyznał Anders.

Kilku innych wojowników spojrzelo na niego niezbyt przytomnie. Nie nadawali się już do rozmowy.

-Wiedziałem, że tak będzie - stwierdził Olmarg. - Damy z Ashovenu nie gustują ani w winie, ani w wojaczce. Ale teraz, gdy już sobie poszła, możemy pogadać naprawdę szczerze.

Anders uśmiechnął się. Jeszcze przed chwilą sądził, że jego gość jest zbyt pijany, by pozbierać myśli. - Zgoda.

-Pochodzimy z tak mroźnego kraju, że zima nie da się żyć inaczej, jak pod osłoną murów warowni, przy ogniu i pod futrami. Odkąd pamiętamy, zawsze skłonni byliśmy ryzykować. Potrzebna nam ta wojna. I lupy. A przede wszystkim potrzebujemy terenów na południu, a nie ma tam bogatszego kraju niż Mysterria. Myślisz, że zdołamy go podbić?

-Z łatwością - zapewnił go Anders. - Armie Gaborna poszły w rozsypanie, a on martwi się teraz przede wszystkim raubami. Gdy Raj Ahten zniszczył Blekitną Wieżę, zabił większość darczynców Gaborna. W Mysterrii ciągle jest wielu rycerzy, ale tylko część z nich pozostała Władcami Runów.

Poczekaj, aż jego słowa dotrą do gościa. Mysterria była najbogatszą krainą Rofehavanu i przez stulecia uchodziła za niepokonana. Nie tyle ze względu na mnogość fortec, ile liczebność i siłę mieszkających tam Władców Runów. Bogaci królowie Mysterrii mieli za co kupować drewno. Teraz jednak, gdy zabrakło obrońców, królestwo nie miało szansy utrzymać się zbyt długo.

-Co więcej - podjął wątek Anders - większość sił Gaborna skupiła się na zachodzie, by wyprzec z granic wojska Baja Antena. Nie pojdzie im łatwo, bo Ahten zrownał część warowni z ziemią, najsilniejsze zaś obsadził swoimi ludźmi. To będzie krwawa bitwa, a możliwe, że już skoczyli sobie do gardeł. Gaborn nie będzie miał jak się bronić.

Wybrzeże Mysterrii to teraz miękkie podbrzusze tego królestwa.

-Może i miękkie, ale czy dość? - spytał Olmarg. - Ich jest dwadzieścia razy więcej niż nas. Nawet z twoją pomocą...

-Nie tylko z moją - zapewnił go król. - Beldinook uderzy z północy.

-Beldinook? - spytał z niedowierzaniem gość. Beldinook było drugim co do wielkości królestwem Rofehavanu. - Naprawdę myślisz, że król Lowicker się ruszy?

-Lowicker nie żyje - oznajmił Anders.

Kilku wojowników otworzyło usta ze zdumienia.

-Jak to się stało? Kiedy? - rzucił ktoś, a inny opróżnił kufel na część nieboszczyka.

-Usłyszałem o tym dopiero kilka godzin temu - odparł Anders. - Lowicker został dziś zamordowany przez Gaborną, a jego tłusta córka jest dość zajadła, by szukać zemsty.

-Biedna dziewczyna - mruknął Olmarg. - Mam wnuka, który nie przepada za swoją kobietą. Może powinienem go tam posłać, żeby pocieszył księżniczkę.

-Myślałem już o wysłaniu własnego syna - uciął wątek Anders. Olmarg unosił kufel w toaście.

-Niech zatem zwycięży lepszy.

Słyszac to, żona Andersa wstała od stołu i zgromiła męża spojrzeniem. Przez parę ostatnich godzin nie odezwała się ani słowem, tak że całkiem zapomniał o jej obecności.

-Idę na spoczynek, bo mam wrażenie, że będziecie całą noc snuli plany, jak tu przerobić świat na swoją modłę - oznajmiła, uniosła nieco suknie i ruszyła schodami do sypialni.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza i tylko popielejące z wolna polana trzaski w kominku.

-Przerobić świat... - powtórzył Olmarg. - Podoba mi się ten pomysł! - W jego jedynym oku błysnęła niepokorniona zachłanność. Andersa jakby dreszcz przebiegł. Tak, Olmarg był zupełnie pozbawiony skrupułów. - A Gaborn to tylko szczeniak, łatwo będzie przetracić mu kark. Jeśli zajmie szybko kilka większych miast i wybiję resztę jego darczynków, nigdy nie zdoła dać odporu.

Król znowu się uśmiechnął. Olmarg jednym okiem widział lepiej niż inni dwoma.

Porządek świata miał ulec zmianie. Owszem, armie Gaborny przewyższały ich liczebnie, ale bez Władcy Runów, którzy by stanęli na ich czele...

-Przerobienie tego świata nie będzie wcale takie trudne - powiedział Anders. - Ja wezmę z niego naprawdę niewiele. Tylko Heredon. - Olmarg unosił siwa brew.

Heredon nie był znowu taki mały, ale wojownik nie rozumiał, dlaczego komus miałoby na nim szczególnie zależeć. - Córka Lowickera będzie chciała zachodnią Mysterie, ty wybrzeże...

-I wszystko dwadzieścia mil od brzegu... - wtracił pośpiesznie Olmarg.

-Sto pięćdziesiąt mil - zaproponował Anders. - Zostawmy też coś innym.

-Innym?

-Dostałem już listy z Alnick, Ayremoth i Toom. W ślad za nimi zjawia się niebawem posłowie.

-Sto pięćdziesiąt - zgodził się Olmarg. - Ale z drugiej strony, co będzie, jeśli Gaborn naprawdę jest Królem Ziemi? - spytał po chwili. - Czy damy mu rade? Czy w ogóle można stawiać czoło komus takiemu?

Anders rozesmiał się, aż echo poszło po sali, a spiacie przed kominkiem ogary unosiły lby.

-To zwykły oszust - powiedział, ale w głębi ducha nie był o tym tak bez reszty przekonany. Owszem, kryjaca się w piersi bestia dodawała mu siły i wyostrzała zmysły, ale nawet wiatr potrzebował sporo czasu, by przebyć setki mil. Tym sposobem Anders nie wiedział ciągle, jak zakończyła się bitwa pomiędzy Gabornem a Rajem Ahtenem, i bardzo się tym gryzł. Musiał czekać. Olmarg jednakże wyglądał na uspokojonego. Odciał drugie ucho z pieczęstego i znowu zajął się zuciem.

Zalutując sprawy stanu, Anders wspinał się do sypialni. Jego małżonka szczytkowała włosy.

-Jakos się nie cieszysz - powiedział, by nie poruszać tematu, który wcześniej wzbudził jej gniew. - A powinnas. Tyle dobrych wieści. Martwiłem się, co będzie z raubenami w Crowthenie Polnocnym, a tu proszę, mój kuzyn zdołał się z nimi uporać.

-Bo ślepy traf sprawił, że pocisk z balisty powalił ich maginie - odparła jego małżonka. - Nie ma się z czego cieszyć. Przyboczna zaraz wyjadła jej mózg. Wroca w większej liczbie.

-Owszem - przyznał Anders, by pokazać, że w pełni rozumie sytuację. - Ale wtedy mój kuzyn będzie lepiej przygotowany na ich przyjęcie.

Krolowa zamilkla na dluzsza chwile, ale napiecie w sypialni narastalo, az doszlo do nieuchronnego wybuchu.

-Jak mogles upasc tak nisko, zeby wchodzic w układy z barbarzyncami z Internooku? - spytala. - Smierdza brudem i tranem. A to, co im wygadywales...

-To wszystko prawda - przerwal jej Anders.

-Prawda? Coz takiego? Ze Gaborn zamordowal krola Lowickera?

-Lowicker stanal dzis Gabornowi na drodze. Odmowil mu prawa przejścia przez Beldinook. Gaborn zabil go za to jak wolu.

-Skad o tym mozesz wiedziec?! Nie bylo zadnych poslancow! - krzyknela. - Zauwazylabym!

Anders wyprostowal sie dumnie, co jednak niewiele zmienilo jego postawe, gdyz od lat sie zaniedbywal i daleko mu bylo do silnego i zdrowego meza.

-Dostalem wieści z prywatnych zrodel - stwierdzil. Nie zalezalo mu na klotni.

Malzonka rzeczywiscie towarzyszyła mu przez cale popoludnie i musialaby wiedziec o przybyciu jakiegokolwiek poslancza. Teraz skrzywila sie ze zlosci. Niewiele juz braklo do awantury.

Anders wyszeptal zaklecie i dotknal palcem jej warg.

-Cicho... Nie wszystkie wieści przylatuja slowem. Rano na pewno o tym uslyszymy.

Krolowa zmieszala sie i juz sie nie odezwala. Anders sklonny byl przypuszczac, ze potrwa co najmniej godzine, nim zona zdola ponownie zebrac mysli.

Otworzyl drzwi na balkon i wyszedl w noc. Chmury rozeszly sie i nad ciemnymi dachami domow poblyskiwaly mdlo gwiazdy. Nocna straz obchodzila mury, z polnocy dal zimny wiatr. W dali zahukala sowa, ale poza tym miasto spalo.

Anders uniosl glowe i poczul, jak wiatr targa mu wlosy. Doznanie bylo tak mile, ze bestia znnow drgnela. Wiedzial, czego chce.

-Zabij zone Gaborna, bo inaczej jego syn wyrosnie jeszcze wyzej niz ojciec - szepnal i dmuchnal lekko, by jego slowa poplynely ku odleglym krainom i wzmogly nadciagajaca z wolna burze. I BLYSKAWICE Okruch prawdy znaczy wiecej niz tysieczne armie - przyslowie Ah'kellah Nim Wilcze Bractwo dotarlo do Carris, noc juz zapadla, jednak w poblizu miasta bylo jasno prawie jak w dzien. Kamienna wieza stala w plomieniach trawiacych wszystkie kondygnacje i szczatki dachu. Na murach migotaly pochodnie strazy.

Daleko na poludniu smignal wezowy jezor blyskawicy, a po paru chwilach rozlegl sie przytlumiony, gromowy huk.

Przez ostatnie dwie mile cala druzyna ostro pogoniala wierzchowce. Sposrod czterdziestu jezdcow tylko trzej nie skruszyli kopii i oni wlasnie podazali na czele na wypadek, gdyby z ciemnosci wychynal jeszcze jakis rauben.

Padal teraz nie tyle deszcz, ile rzadkie bloto. Ciezkie niczym rtec oblepialo plaszczce i pancerze.

Gdy wjechali na wzniesienie gorujace nad Murem Pustkowi, jezdcy wokol Myrrimy nie zdolali powstrzymac okrzyku zdumienia na widok czarnej studni, ktora pozostala po wizycie wielkiego czerwia. Przypominala skarlaty wulkan szeroki na dwiescie i wysoki na trzysta jardow. Z krateru wciaz unosily sie kleby pary.

Myrrima, ktora nie musiala polegac juz tylko na wlasnym wzroku, a poprzedniego dnia przyjela tez dary sluchu i wechu, bez trudu ogarnela cala scene i serce zabilo jej zywiej.

Zastanowila sie, czy czerw odszedl na dobre. Zapewne tak, gdyz nie bylo widac wiecej sladow jego dzialalnosci. Musial gleboko wpełznac w trzewia ziemi ta sama droga, ktora przybyl.

Trudno bylo ocenic rozmiar zniszczen, zarowno spowodowanych przez czerwia, jak i bitewnych. Gaborn przybyl pod Carris przekonany, ze zastanie miasto oblegane przez Baja Ahtena, a tymczasem trafil na nieprzeliczona armie raubenow. Uzyl swych mocy, by przywolac z glebin ziemi legendarna bestie zwana wielkim czerwem. To ona przesadzila o klesce raubenow.

Myrrima byla pewna, ze pamiec o tej bitwie zachowa sie w piesniach przez tysiace lat, na razie jednak smrod dlawil ja w

gardle.

Pola na południu były czarne od padłych monstrów. Ich pancerze lśniły matowo odbłaskiem płomieni. Pomiedzy olbrzymimi korpusami kreciły się całe tłumy mężczyzn i kobiet z pochodniami w dłoniach. Równine przecinały rowy i nasypy, a oddziały zbrojnych zaglądały z włóczniami i toporami do mrocznych jam w poszukiwaniu żywych potworów.

Nie wszyscy tam jednak byli wojownikami, pojawili się już także mieszczanie, żeby zebrać rannych i poległych, matki szukające synów, dzieci wypatrujące rodziców.

Z jednej z odległych o trzy czwarte mili rozpadlin wylonil się nagle rauben i ruszył ku gromadzie pieszych. Wokół podniosły się krzyki, zagrały rogi. Konni rycerze ruszyli na spotkanie potwora.

-Na dobre imię mego ojca! - krzyknął jeden z panów z Orwynne. - Oni tu jeszcze są!

Bitwa wciąż nie skończona!

Drużyna podjechała do ruin Muru Pustkowi. Pod ocalałym łukiem bramy kulili się z tuzin zablokowanych piechurów. Próbowali ogrzać się choć trochę przy ogniu, nie wypuszczali jednak pik z dłoni.

-Stac! - zawołał jeden z nich, gdy konni byli już blisko. Paru następnych dzwignęło się z ziemi. Sądząc po niejednorodnych pancerzach, byli wolnymi rycerzami.

-Większość raubenów ucieka na południe tym samym szlakiem, którym przybyli - obwieścił ich dowódca. - Skalbairn wzywa każdego, kto zachował kopie, by ruszył za nimi w pościg! Jednak i tutaj zostało jeszcze trochę paskudztwa skrytego po norach, więc możecie wybrać, gdzie chcecie walczyć.

-Skalbairn pogonił za nimi w ciemności i deszczu? - spytał sir Hoswell. - Czy on zmysły postradał?!

-Krol Ziemi jest z nami i nikt nie zdola nam się oprzeć! - odkrzyknął dowódca pieszych. - Jeśli kiedykolwiek marzyliście, by się wślazł zabiciem raubena, to dziś właśnie jest stosowna noc. Jeden kmiotek ze Srebrnej Doliny utlukł dziś na murach aż tuzin tych bestii, chociaż za całą bron miał tylko oskard. Prawdziwi wojownicy, jak wy, mogą dokonać znacznie więcej - dodał tonem wyzwania.

Uniosł wysoko bukłak, a Myrrima dojrzała, że jego oczy lśnią nie tylko od płonącego obok ognia. Mężczyzna był już solidnie pijany. Najwyraźniej ludzie Skalbairna tak zapamiętali się w fetowaniu zwycięstwa, że nie wiedzieli nawet, iż Gaborn nie może już ostrzec wybranych przed zagrożeniem.

Myrrima została wybrana ledwie kilka godzin wcześniej, ale rozumiała, jak mogą się czuć. Nie widzieli powodu, by wystawiać warty, pewni, że Krol Ziemi i tak ich uprzedzi, gdyby coś się szykowało.

Tak, nie słyszeli jeszcze najświeższych nowin. Gaborn użył swojej mocy, żeby odpędzić raubenów od Carris, ale zaraz po bitwie spróbował zabić Baja Baja Ahtena. To nie było właściwe wykorzystanie daru ziemi, toteż niezwłocznie cofnęła mu ona swoje wsparcie. Świątujący beztrząsco wiktoria nie mieli pojęcia, w jak wielkich tarapatkach się znaleźli.

Ziemia nakazała Gabornowi ocalić najwartościowszych z ludzi, tak by czas mroku nie wygubił rodu ludzkiego. Ciemności jeszcze nie zapadły, ale były blisko...

Myrrima obejrzała się na resztę Wilczego Bractwa, trzeźwych mężów o zdecydowanych obliczach. Wszyscy przybyli, żeby walczyć, ale czegoś takiego się nie spodziewali.

-Ostrzeżcie ludzi Paldane'a - zaproponował sir Giles z Heredonu.

-Czekaj - rzuciła Myrrima. - Czy to roztropne? Kto wie, co wyniknie z ujawnienia takiej wiadomości. Gdy plotka się rozniesie...

-Krol Ziemi nie krył tego przed nami z troski o nasze bezpieczeństwo - odparł baron Tewkes z Orwynne. - Nie chciał nas oszukiwać, a my winniśmy iść w jego ślady.

Myrrima bała się, że wyjawiając sekret Gaborna, dopuści się zdrady. Jednak milczenie mogło spowodować śmierć na niewinnych ludzi. Należało wybrać mniejsze zło.

Sir Giles zawrócił konia i pogalopował w kierunku Carris.

-Reszta musi odszukać i ostrzec Skalbairna - powiedział Tewkes i zsiadł na chwilę z wierzchowca, żeby dociągnąć popręg przed dłuższą jazdą. Inni sięgnęli po bron, a niektórzy poszukali oseek, by doszlifować głównie mieczy.

Myrrima zwilżyła językiem wargi. Nie miała zamiaru jechać dziś z innymi na południe. Gaborn wspomniał, że najpierw powinna odszukać meza, który najpewniej leży ranny jedna trzecia mili na północ od miasta, w pobliżu wielkiego kopca. Jednak na polach wciąż pojawiali się raubenowie. Nie było zbyt bezpiecznie, co wzmagało niepokój Myrrimy.

-Chcesz, abym wyruszył z tobą, pani? - spytał nagle ktoś obok. To był sir Hoswell.

Podjechał blisko i pochylał się ku Myrrimie. - Na poszukiwanie twego meza - wyjaśnił. - Powiedziałem, że gdybyś kiedyś mnie potrzebowała, stanę u twego boku.

Ledwie widziała jego twarz pod kapturem. Przysuwał się coraz bliżej, jakby oczekiwał, że Myrrima zaraz padnie mu w ramiona.

Niedoczekanie! pomyślała. Przedzaj wszystkie gwiazdy zgasną!

Raz już próbował ją uwieść. Gdy pozostała nieczuła, chciał ją zgwałcić. Potem przeprosił, ale wciąż mu nie ufała i nawet to, że dysponowała obecnie wystarczającą liczbą darów, aby nie mógł pokonać jej w walce, nie zmieniło tego nastawienia.

-Nie - odpowiedziała. - Pojadę sama. Może raczej ruszysz w ślad poszukac sobie paru raubenów do zaszlachtowania?

-Niech będzie - stwierdził Hoswell, sięgnął po wielki luk i zaczął ostrożnie odwijać natłuszczony brezent, który chronił bron przed deszczem.

-Będziesz tym walczyć? - spytała dziewczyna. Hoswell wzruszył ramionami.

-Tym władam najlepiej. Celny strzał w złoty trojkat... Myrrima pogoniła konia i oddaliła się od grupy. Przejechała pod bramą i ruszyła ku największemu skupisku raubenich zezwłoków. Tam właśnie spodziewała się znaleźć meza.

W dali słyszała nawoływania ludzi, którzy przepatrywali pobojuwisko, szukając swoich.

-Borenson! Borenson! - zakrzyknęła dziewczyna, dołączając nazwisko meza do innych.

Nie miała pojęcia, jak poważne obrażenia odniósł. Jeśli leżał uwięziony pod martwym raubenem, gotowa była unieść ciężar. Jeśli pazur otworzył mu brzuch, będzie go kurować, aż wróci do zdrowia. Próbowała przygotować się na najgorsze.

Wyobrazała sobie, co powie, gdy go znajdzie. Setki razy starała się ubrać w zgrabne słowa myśl: Kocham cię i teraz, gdy też jestem wojownikiem, ruszę z tobą do Inkarri.

Wiedziała, że usłyszy sprzeciw i całkiem sensowne argumenty przeciwko swemu udziałowi w tej wyprawie. Nie nabrała przecież jeszcze wielkiej wprawy we władaniu lukiem.

Ale na pewno jakos go przekona.

Zbliżywszy się do miejsca ostatniej walki wielkiej magini, wyczuła stojący wciąż w powietrzu ciężki smród, ślad po fatalnych zakleciach. Chociaż minęły już dwie godziny, wciąż niesłownie nisko nad ziemią jakby szeptał: "Oslepnij, wyschnij na wior, gnij żywcem, dziecko człowiecze". Myrrima zaczęła gorzej widzieć, oblała się potem i zółdek zwinął się jej w węzeł, a każde zadrapanie zapiekło, jakby ktoś sol w nie wcierał.

Wjechała w cień zalegający wokół olbrzymich korpusów. Z podziwem patrzyła na wielkie i ostre jak kosy krystaliczne zębiska potworów. Katem oka dostrzegła ruch i serce podeszło jej do gardła. Jakiś rauben otworzył szeroko paszczę. Ściagnęła wodze, by zawrócić rumaka, ale po chwili się opanowała. Bestia nie poruszała się ani nie syczała.

Była naprawdę martwa, a zuchwa opadła dlatego, że ciało ciągle jeszcze stygło. Myrrima rozejrzała się.

Wszystkie potwory uchylały z wolną paszczę.

Powietrze było ciężkie, brakło nawet wiatru, który zresztą i tak nie miałby czym szeleścić, gdyż raubenowie wyrwali wszystkie drzewa i krzewy. Koniki polne też się gdzieś wyniosły.

-Borenson! - krzyknęła znowu Myrrima. Spojrzała na ziemię w nadziei, że dojrzy gdzieś znajomy kształt.

Tuż obok jej głowy przemknęły, bolesnie poskrzypując skrzydłami, trzy grisy.

Przez splatane konczyny raubena dostrzegła jakies swiatelko. Moze to Borenson rozpalil ogien? pomyslala.

Podjechała bliżej. Wkolo ogniska zebrala sie gromada wojownikow z Indhopalu.

Myrrima poczula sie w ich obecności troche nieswojo, chociaz przeciez niedawno razem ze wszystkimi stawali przeciwko raubenom. Zreszta to nie byli zwykli wojownicy, ale ciemnoskorzy nomadzi w czarnych plaszczach i pancerzach. Z helmow zwisaly im luzno blachy chroniace policzki i kark.

Przed nimi lezalo dziewieciu martwych Niezwyciezonych Baja Baja Ahtena. Nomadzi szykowali im chyba stos pogrzebowy.

Miedzy Niezwyciezonymi Myrrima dostrzegła dziewczynę o ciemnych włosach, prawie ze dziecko. Lezala na obszytym złota nicia plaszczu z czerwonej bawelny.

Na jej skroni spoczywala waska srebrna korona kontrastujaca ze sniada skora. Ciało bylo ubrane w lawendowa, jedwabna suknie, w dlon ktoś wsunal srebrny sztylet.

Myrrima patrzyła na Saffire, niegdys zone Baja Baja Ahtena. Gaborn wyslal Borensona do Indhopalu, by wyblagac u Saffiry poparcie dla sprawy pokoju. Nikt lepiej by sie do tego nie nadawal. Wiesc glosila, ze Saffira miała setki darow urody oraz glosu i była bardziej pociagajaca niz jakakolwiek inna kobieta na swiecie. Moglaby przekonac Baja Baja Ahtena.

Widac Borenson znalazł ja i sprowadzil do Carris, pomyslala Myrrima, a teraz dziewczę lezalo martwe wraz z ciałami Niezwyciezonych, ktorzy byli zapewne jej straza przyboczna...

Dowodca nomadow przystanal niedaleko. Nietrudno go bylo odroznic od pozostalych.

Wojownicy co rusz przyklekali przed nim na jedno, a czasem i na oba kolana.

Siedzial na rumaku pelnej krwi, spogladal na zmarlych i odzywł sie niekiedy tonem spokojnym, ale i groznym. W ciemnych oczach migotaly ogniki gniewu, ale chyba bliski był lez. Z prawej strony napiersnika nosil znak Baja Ahtena, czerwonego trzyglowego wilka, ponad nim zas widnialy skrzydla sowy i trzy gwiazdy.

Był zatem kims wiecej niz Niezwyciezonym czy nawet kapitanem tej doborowej jazdy. Kleczacy przed nim ludzie odpowiadali mu drzacymi glosami.

Myrrima musiala trafic wlasnie na jakies sledztwo. Nie chciala miec z tym nic wspolnego, ale nagle z cienia za jej plecami wylonil sie wysoki Niezwyciezony z zapleciona w dwa kosmyki broda i ozdobami z kosci sloniowej w czarnych włosach. Odblask ognia zatanczyl w jego mrocznych oczach i złotym kolku w nosie. Usmiechnal sie do Myrrimy, nie wiadomo czy uwodzicielsko, czy przyjaznie, i wskazal broda na Indhopalczyka.

-Widzisz? - szepnal. - To Wuqaz Faharaqin, wielki wojownik i wodz Ah'kellah.

Wiesc ta porazila Myrrime. Nawet w Heredonie znano imie Wuqaza, jednego z najpotężniejszych sprzymierencow Baja Ahtena. Sposrod wszystkich plemion pustyni wlasnie Ah'kellah cieszyli sie największym powazaniem. Byli sedziami i prawodawcami morza piaskow i rozstrzygali spory pomiedzy innymi plemionami.

To, ze Wuqaz Faharaqin był zly, nie wrozylo dobrze winowajcom.

Niezwyciezony uniosl dlon. Niezgrabnie, jakby rzadko czynil podobne gesty.

-Nazywam sie Akem.

-Co tu sie stalo? - spytala Myrrima.

-Morderstwo. Chodzi o jego bratanka, Pashtuka. Wuqaz przesluchuje teraz swiadkow.

-Ten bratanek kogos zamordowal?

-Nie. To Pashtuk Faharaqin zginal dzisiaj - powiedzial Akem i wskazal trupa szpetnego Niezwyciezonego, który lezal na honorowym miejscu obok Saffiry. - Był kapitanem i cieszył sie wielka slawa.

-Kto go zabil?

-Raj Ahten.

-Nie moze byc!

-Naprawde - przytaknal Akem. - Jeden ranny byl dosc dlugo, by zdac sprawe z przebiegu zdarzen. Powiedzial, ze Raj Ahten wezwal Niezwyciezonych po bitwie i kazal im zabic Krola Ziemi, chociaz jest on jego wlasnym kuzynem. Przez malzenstwo z loma Vanisalaam Sylvarresta. To zle walczyć z kuzynem. Zabijac wlasnych ludzi to tez zle. - Akem nie powiedzial tego glosno, ale Myrrima wyczula w jego tonie grozbe, ze Raj Ahten bedzie musial zaplacic za swoj uczynek. - Ludzie, ktorzy klecza przed Wuqazem, znalezi tego umierajacego rannego i wysluchali jego slow.

Wodz wypytywal wszystkich po kolei. Z kazda chwila oczy plonely mu coraz wiekszym gniewem. Nagle w poblizu rozlegly sie jakies glosy i ktos wyszedl z tlumku patrzacych. Wskazal na przesluchiwanym i cos powiedzial. Myrrima nie musiala prosic Akema, by przetlumaczyl, gdyz Niezwyciezony odezwal sie z wlasnej woli.

-Mowi, ze jeden swiadek to za malo. Niedobrze. Trzeba wiecej swiadców. On mowi, ze Raj Ahten nie probowalby zabic Krola Ziemi.

Myrrima nie zdolala sie opanowac.

-Ja tez to widzialam!

Wuqaz Faharaqin skrzywil sie, slyszac jej krzyk, i spytal o cos we wlasnej mowie.

Akem spojrzal na Myrrime i przetlumaczyl.

-Prosze, powiedz, jak sie nazywasz.

-Myrrima. Myrrima Borenson.

Oczy Akema rozszerzily sie ze zdumienia i cisza zapadla wokolo, slychac bylo tylko, jak ludzie powtarzaja sobie jej imie.

-Tak tez myslalem... - powiedzial Akem. - Kobieta z Polnocy... z lukiem. To ty zabilas czarnego glory'ego. Wszyscy o tym slyszelismy! To zaszczyt dla nas.

Myrrima naprawde sie zdumiala. Szybko rozchodzily sie wieści w tych czasach.

-To byl szczesliwy strzal.

-Nie - zaprotestowal Akem. - Cos takiego trudno przypisac tylko trafowi. Musisz nam wszystko opowiedziec.

Myrrima skierowala konia blizej ogniska i zatrzymala go na wprost Wuqaza.

-Bylam trzydziesci mil na polnoc stad, gdy Raj Ahten dogonil Gaborna. Rzucil sie na niego z mordem w oczach i zabilby Krola Ziemi, gdyby nie dzika Binnesmana, ktora go powstrzymala. Ja przestrelilam Wilkowi kolano, ale Gaborn nie pozwolil nikomu dokonczyc mego dzieła.

Akem tlumaczyl, a Wuqaz, chociaz staral sie sluchac spokojnie, z kazdym slowem plonal coraz goretszym gniewem. W koncu odezwal sie do Akema, ktory znowu przetlumaczyl:

-Czy mozesz dowiesc, ze tak wlasnie bylo?

Myrrima siegnela do kolczanu i wyciagnela strzale, ktora zranila Wilka. Grot byl wciaz ciemny od krwi.

-Prosze. Podajcie ja tropicielom. Poznaja zapach Baja Ahtena. Akem przekazal strzale wodzowi, ktory obwachal ja uwaznie.

Myrrima pojela, ze on tez jest Wilczym Wladca. Warknal zaraz gardlowo, rzucil kilka slow w swym jezyku i wyciagnal strzale ku innym. Podeszli, przysuneli nosy do grotu.

-Zaiste won Baja Ahtena jest na tej strzale- przetlumaczyl Akem. - Wlasna dlona wyciagnal ja z ciala i jego krew barwi grot.

-Powiedz Faharaqinowi, ze chce moja strzale z powrotem -poprosila Myrrima. - Moze uda mi sie pewnego dnia zalatwic sprawe do konca.

Akem przekazal jej slowa i po chwili Myrrima schowala strzale do kolczanu. Wuqaz i jego ludzie zasypali ja zaraz

pytania o całe zdarzenie. Nijak nie mogli pojąć, dlaczego Gaborn oszczędził Baja Ahtena, który nie raz dowiódł, że jest jego śmiertelnym wrogiem.

Myrrima spojrzała na zaciete twarze pustynnych wojowników i przypomniała sobie, co kiedyś słyszała: w niektórych językach Indhopalu podobno nie było nawet słowa oznaczającego miłosierdzie. Wyjaśniła zatem, że Gaborn, jako Król Ziemi, nie mógł zabić kogos, kogo wcześniej wybrał. Ah'kellah słuchali z uwagą. Spytała jeszcze, co działo się po walce i dokąd Raj Ahten się oddalił. Wskazała na południowy zachód, w stronę Indhopalu.

Usłyszawszy to, Wuqaz sięgnął na plecy po szablę i zaczął wywijać nad głową czarną, mocno zakrzywioną klingą. Krzyczał przy tym coś, a jego wierzchołek aż stanał na zadnich nogach. Myrrima musiała cofnąć swego rumaka.

Potem także Ah'kellah podnieśli wrzawy i unieśli szable oraz młoty bojowe.

-Co się dzieje? - spytała Myrrima.

-Raj Ahten dopuścił się wielkiego bluźnierstwa, atakując Króla Ziemi - wyjaśnił Akem. - Taki czyn nie może ujsc bez kary. Wuqaz mówi, że Raj Ahten sprzymierzył się z raubenami przeciwko własnemu kuzynowi. Ogłasza atwabe!

-Co takiego?

-W dawnych czasach, gdy król postąpił niegodziwie, prawi ogłaszali atwabe.

Wzywali do zemsty. Gdy lud się rozżłocił, może czasem nawet zabić króla.

Wuqaz Faharaqin przemówił zdecydowanie do swoich ludzi.

-Nakazuje, by ponieśli wiesć po targowiskach - przetłumaczył Akem. - I mówi, żeby głos im nie zdrzał. By nie cofali się przed kaifami, którzy zarzuca im kłamstwo, ani gwardzistami, gdyby im grozili. Nawet jeśli Indhopal nie powstanie przeciwko Wilczemu Władcy, Ah'kellah to uczynia i wszyscy muszą wiedzieć dlaczego.

Wygłosivszy płomienną mowę, Wuqaz zeskoczył z konia i podbiegł do ciała swego bratanka. Unosił szablę, spojrzał na szczatki i znow zaczął wykrzykiwać gardłowe zdania.

-Probuje przebłagać ducha - szepnął Akem. - Prosi go, by nie wracał do domu, nie niepokoił rodziny. Obiecuje, że sprawiedliwości stanie się zadość.

Metal zgrzytnął o kosc, gdy Wuqaz jednym cięciem odrabiał Pashtukowi głowę.

Mężczyźni krzyknęli radośnie, widząc, jak ich wódz unosi czerep wysoko w górę.

-Teraz zawiezie ją plemieniu jako świadectwo tego, co się dokonało.

Wuqaz skinał na tłum i Niezwycięzeni podeszli bliżej, wszyscy silni, o surowych obliczach. Trzymając wciąż głowę bratanka w górę, wódz wykrzyknął coś.

-Mówi, że nie ma króla ponad Króla Ziemi - przetłumaczył z powagą Akem.

Myrrima z bijącym sercem patrzyła na dekapitacje pozostałych zwłok. Ciało rzucano na stos pogrzebowy. Nie rozumiała wszystkiego, co rozgrywało się przed jej oczami, nie znała zasad pustynnej sprawiedliwości ani pustynnej polityki.

-Czy ludzie naprawdę powstana przeciwko Rajowi Ahtenowi? - spytała.

-Może. Ma wiele darów uroku. Wuqaz Faharaqin...

-Nie rozumiem. Przecież już wcześniej Raj Ahten wyrządził krzywdę wielu waszym władcom. Dlaczego ktoś miałby się przejąć właśnie tym?

-Ponieważ teraz mamy Króla Ziemi - wyjaśnił Akem. Wreszcie wszystko pojęła. Tu nie chodziło o Baja Ahtena ani o taką czy inną sprawiedliwość. Do głosu doszło pragnienie przetrwania. Raj Ahten nie był zdolny odeprzec raubenów od Carris, a Gaborn tego dokonał. Dał dowód swej potęgi, zatem Wuqaz uznał, że pora na detronizację Wilka.

Myrrima poczuła, że stała się nagle uczestnikiem historii. Jej słowa, chociaż niewiele ich było, dały dziś początek wojnie domowej.

Została jeszcze chwile, obserwując, jak Niezwycięzeni składają na stosie ciało Saffiry.

Patrzyła na jej urodziwą twarz i zastanawiała się, jak piękna musiała być ta dziewczyna za życia. Tysiąc darów urody... To przerastało wyobraźnię.

Zawróciła konia, by pojechać dalej. Akem złożył dłoń pod brodę i sklonił się jej nisko, z szacunkiem.

-Pokój z tobą. Niech Najjasniejszy cię chroni.

-Dziękuję - odparła. - Oby twe czyny przyniosły ci dobrą sławę.

Oddaliła się w gestwie ciała raubenów, w ciemność.

Niebawem trafiła na zmiężdżonego niczym arbuz konia Borensona. Po dłuższych poszukiwaniach znalazła tylko helm meza i kilka ciał obcych ludzi. Niemniej na ziemi widniały odciski dłoni, a obok ślady kolan. Dłonie musiały należeć do kogoś równie rosnącego jak jej mąż.

Zapewne odpełził, pomyślała. Możliwe, że jest już w mieście. Chyba że zemdlal gdzieś po drodze...

Zeskoczyła z siodła i podniosła helm Borensona. Obwahała ziemię w pobliżu, jednak deszcz i wszechobecna won raubenów nie dawały szans na złapanie tropu.

Zastanowiła się, skąd najlepiej byłoby rozejrzeć się po okolicy, i jej wybór padł na koronę krateru pozostawionego przez czerwia.

Wspięła się na górę. Trudno było uwierzyć, że coś takiego mogła wyryć żywa istota.

Odbijający się od chmur poblask pożarów nie sięgał do czarnej studni. Słychać było lejącą się gdzieś w dole wodę; możliwe, że czerw przeciał koryto jakiejś podziemnej rzeki, która spadała teraz w otchlan wodospadem. Jednak wszystko to działo się gdzieś bardzo głęboko, bo starczyło odejść parę kroków od krawędzi, a dźwięk zamierał.

Myrrima ruszyła wokół krateru. Mimo że przy każdym kroku uważnie macała stopa luźny grunt całe pacyny ziemi odrywały się co chwila i spadały do jamy.

Dziewczyna nie mogła się wyzbyć obawy, że zaraz wywoła lawinę, która pociągnie ją w dół.

Wycofała się znad krawędzi i zeszła niżej, skąd jednak i tak dobrze widac było olbrzymie zniszczenia, które trzesienie ziemi poczyniło w Carris. Ale nigdzie nie dostrzegła ani śladu meza.

-Borenson! - krzyknęła, przepatrując równinę. Wąz Fahaqaqin odjechał już ze swoimi od stosu. Kierowali się na wschód, w stronę Indhopalu.

Spojrzała znów na Carris i serce zabiło jej żywiej. Strach rozpalala ogień, by nie dać się zaskoczyć w wypadku powrotu raubenów. W blasku płomieni ujrzała przy zburzonej bramie kulejącego wojownika z włosami rudymi jak u jej meza. Szedł powoli, wsparty na ramieniu równie rudej dziewczynki. Padający deszcz i dym nie pozwalały dostrzec rysów jego twarzy.

-Borenson?! - krzyknęła Myrrima, ale tamten nie mógł jej usłyszeć. Był za daleko. Po chwili zniknął w cieniu ruin barbakanu.

Myrrima wjechała do zniszczonego miasta. Wciąż jeszcze panował tu chaos.

A ledwie tydzień wcześniej świeciła na zamku Sylvarresta Hostenfest, po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat tak radosne. Lud Heredonu witał nowego Króla Ziemi.

Chodziła pomiędzy kolorowymi namiotami, które pokrywały bloniami niczym świetliste klejnoty oprawne w posniedziały miedź. W mieście przy wejściu do każdego domu stały zdobne snopki i przepyszne drewniane figury Króla Ziemi. W powietrzu unosiła się won świeżego chleba, a zewsząd dobiegały dźwięki muzyki. Prawdziwa uczta dla zmysłów.

Za każdym rogiem napotykała następne cudowne zjawisko: blazna w pstrokatym stroju, który krążył po ulicach na wielkiej rudej maciorze, wymachując zatkniętym na kiju drewnianym "Ibem głupca", młoda tkaczka płomieni z Orwynne zmieniająca zwykły ogień w pulsujące rzeźby rozkwitających złotych lilii. Była też kobieta z pięcioma darami głosu, śpiewająca tak cudowne arie, że długo potem jeszcze nie gasła w sercu tęsknota za pięknem jej sztuki. Myrrima widziała Władców Runów konkurujących w zdejmowaniu kopii żelaznych piersieni, a wszyscy dosiadali rumaków w tak kolorowych kropierzach, że aż

oczy mogły rozboleć. Gdzie indziej trwale przedstawienie odzianych w lwie skóry tancerzy z Deyazzu.

Mozna było posmakować wegorzy, które odławiano ze stojącego przy straganie cebra i przyrządzano na oczach kupującego, chłodzonych w lodzie deserów ze słodkiego kremu i płatków róży, ciastek nadziewanych wiorkami kokosowymi i orzechami pistacjowymi z Indhopalu.

Był to dzień, który napelnił ją radością. Teraz jednak wszystko się zmieniło.

Zewsząd cuchnęło odchodami zwierząt, zgnilymi warzywami, ludzkim potem, krwią, uryną i dymnymi kłatwami raubenów. Muzykę zastąpiły potępienne wycia i jęki rannych, płacz rozpaczony po zabitych i nawoływania tych, którzy jeszcze kogoś szukali.

Co krok Myrrima widziała przerażające sceny. Na jednej z uliczek gromadka dzieci otaczała leżącą bez ruchu kobietę. Najmłodsze mogło mieć ze dwa lata. Próbowaly szeptem pocieszyć i obudzić ranną, jak sadyli, matkę. Myrrimie starczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że kobieta nie żyje.

Przed rumakiem pojawiła się dwunastoletnia dziewczynka o szarych oczach i zastygłej w grymasie przerażenia brudnej twarzy, poznaczonej smugami łez. Tak samo ją wyglądałam, gdy zginął mój ojciec, pomyślała Myrrima, współczując dziewczynce całym sercem.

Szukała Borensona wśród tysięcy rannych wypełniających zajazdy, stajnie, kamienice, wielką salę palacu diuka, leżących na ulicach pod murami domów.

Wielu walczyło ze śmiercią. Kłatwy raubenów sprawiały, że rany paprały się paskudnie i już po paru godzinach wywiązywała się gangrena.

Poszukiwania ciągnęły się bez końca. Niemal do każdego domu przyjęto kogoś w potrzebie, a na dodatek smród obeszła i otepiał. Myrrima nie miała szansy wyczuć zapachu meza.

-Borenson! - krzyczała raz za razem, krzacząc po ulicach, aż w gardle jej zaschło.

Zaczęła nawet powątpiewać, czy to naprawdę jego widziała w oddali, czy to on wchodził do miasta. Może gdzieś spłonie, pomyślała w końcu. Może dlatego nie odpowiada.

Ochotnicy zsuwali z murów ciała poległych. Czyżby Borenson miał być wśród nich?

Gaborn powiedział, że jest tylko ranny... Chyba że zginął w ostatnich godzinach.

Albo ktoś wziął go przez pomyłkę za trupa i złożył między poległymi. Myrrima ruszyła ku rzędom ciał i nagle poczuła won meza.

Pogoniła jej tropem na dziedziniec, gdzie ułożono tysiące ciał. Pomiedzy nimi krzątały się pochodnie całej rodziny. Wypalona trawa pod kocami i służacymi za maty płachtami szarżała matowo. Zapach Borensona był coraz silniejszy.

Myrrima wiedziała, że ukochane osoby wyglądają po śmierci całkiem inaczej, niż chciałoby się je widzieć. Twarze poległych w bitwie robiły się blade albo ginęły w krwawych strupach, oblicza uduszonych czerniały, a oczy traciły barwę, którą miały za życia. Stezale miesnie odmieniały znane oblicze nie do poznania.

Wiele żon nie potrafiło w takich razach rozpoznać mężów, choćby żyły z nimi wiele lat. Podobnie i Myrrime, gdy trafiła w końcu na sir Borensona, wzrok zawiodł i polegac mogła jedynie na powonieniu.

Klecał pod dębem, który stracił wszystkie liście. Bladej jak kreda spoglądał na leżące obok ciała zmarłego, a twarz miał tak wykrzywioną cierpieniem, że gdyby nie wech, nigdy by go nie poznała. Brudny deszcz pozlepił i pociemnił mu włosy, spływająca z jakiejś rany krew wsiąkała w szaty od pasa w dół. W prawej dłoni ścisnął niby łaskę drzewce wielkiego topora.

Wyglądał, jakby klecał tak od wielu godzin i nigdy nie miał już wstać.

Nieruchomy jak posąg bólu.

Ubrany był tak samo jak dwa dni temu, nosił nawet zółta szarfę, którą włożył do pojedynku.

Obok niego klecała rudowłosa dziewczynka z latarnią w dłoni. Szlochala spazmatycznie i też patrzyła na zmarłego, który był podobny do Borensona niczym rodzony brat...

-Borenson?! - zawolala Myrrima po chwili wahania. Wszystkie slowa, ktore ukladala, by ukoic bol meza, gdzie nagle zniknely. Nie pojmowala, co takiego moglo przywiesc wojownika do rownie przejmujacego cierpienia. - Co sie stalo? - spytala cicho.

Nie spojrzal nawet na nia i trudno bylo orzec, czy w ogole ja uslyszal. Lewa dlon przyciskal do brzucha, jak ktos, kto wlasne otrzymal potezny cios w dolek. Zoledzie pekaly z trzaskiem po kopytami jej konia, gdy podjezdzala blizej. Teraz dopiero dostrzegla, ze Borenson wcale nie zastygl w bezruchu, ale trzesie sie jak osika.

Slyszala opowiesci o tych, ktorzy ujrzeli rzeczy tak potworne, ze wycofali sie calkiem w glab siebie i nigdy wiecej z ich ust nie padlo ani slowo. Borenson jednak byl wojownikiem.

Zdarzylo mu sie zabic dwa tysiace darczyncow z zamku Sylvarresta i przezył to, chociaz nie chcial juz zostac w krolewskiej sluzbie. Tutaj zas kleczal ktos zraniony gleboko tak cielesnie, jak i na duszy. Ktos tak obolaly, ze nie mial nawet sily plakac.

-Myrrimo - odezwal sie w koncu tonem prawie ze oficjalnym, ale nie oderwal oczu od zmarlego. - Chcialbym ci przedstawic mojego ojca.

2 ZJEDNOCZENIE

Komu z czarami po drodze, temu na nic zwykle goscince. - przyslowie z Mystarrii Gaborn, jadacy droga na polnoc od Carris, ciagle smierdzial wojna. Ubranie przeszlo mu odorem klatw magini raubenow niczym dymem z ogniska, a pot calkiem przemoczyl kaftan pod kolczuga. Na szlaku bylo cicho i nieco widmowo. Wraz z noca z parowow wypelzly mgly, braklo ptasich spiewow i tylko kopyta koni dudnily glucho na blotnistym trakcie.

Nawet skrzywienie siodel pod siedmioma konnymi ledwie dawalo sie wyslyszec.

Wjechali do wioski. Gaborn znal kiedys nazwy wszystkich, najmniejszych nawet przysiolkow w swoim krolestwie, ale odkad stracil darczyncow, pamiec przestala mu dopisywac. Teraz jednak i tak nie mialo to znaczenia. Wioska byla opuszczona, na uliczkach blakal sie tylko jeden merdajacy ogonem pies, a jemu kwestia nazewnictwa byla zupełnie obojetna.

Osada nalezala do starych, wiekszosc budynkow wzniesiono w niej z ciosanych kamieni. Jakis szynkarz wybudowal w niej dawno temu oberze, ktora prawie ze blokowala trakt - zapewne wyobrazal sobie, ze w ten sposob podrozni, chcac nie chcac, beda do niego zagladac. Obok wyroslo kilka skladow i budynkow mieszkalnych.

Stukot podkow odbijal sie od murow, poza tym wszedzie panowala wrecz oskarzycielska cisza. Dzieci nie bawily sie na ulicach, kobiety nie plotkowaly przy plotach, krowy nie dopominaly sie, by je wydoic. Nikt nie rabal drewna na ogien pod garnkiem z kolacja, ale i kolacji nikt nie warzyl. Nie dzwoniły mloty w kuzni, nawet gwiazdy nie wygladaly zza chmur.

Tak wlasnie bedzie wygladal swiat, gdy nas juz zabraknie, pomyslal Gaborn.

-Powinnismy jednak zabic Baja Ahtena- powiedziala Erin Connal zmeczonym glosem.

-Ziemia nie pozwala tak zabijac - odparl Gaborn.

-Moze by tak wybic jego darczyncow - zaproponowal ksiaze Celinor. - To nie to samo, co uderzyc prosto w niego.

Gabornowi zrobilo sie te mysl niedobrze. Darczyncy byli zazwyczaj ludzmi calkiem niewinnymi, wrecz postronnymi. Nie mozna bylo tez ich winic, ze ulegli urokowi Baja Ahtena. Mial przeciez tyle cennych darow... "Piekne jest oblicze zla", powiadano w Rofehavanie. I rzeczywiście, Raj Ahten byl piekny...

Niektorzy uwazali, iz posiadl tak olbrzymia moc przekonywania, ze sam jej ulegal. Bo innych niewatpliwie nieustannie zwodzil. Kobiety zakochiwaly sie w nim, ledwie ujrzaly jego oblicze, mezczyzni darzyli szacunkiem. Dobrowolnie przekazywali mu swe dary i wierzyli szczerze w jego zapewnienia, ze to dla ogolnego dobra.

Korzystajac z tego, ze swiat zmierza ku katastrofie, ktora mogla sie okazac otwarta wojna z raubenami, Raj Ahten zdolal przekonac wiele tysiecy ludzi, iz najlepiej przyczynia sie do zwyciestwa, pomagajac mu zostac ich obronca. Mitycznym wojownikiem: Suma Wszystkich Ludzi.

Oczywiście nie wszyscy dali mu sie zwiesc. Dlatego tez wszczal wojne z Rofehavaniem, by i jego mieszkancow nagiac do swej woli.

To była niegodziwość. Niestety, Raj Ahten wyrosł na tyle, że trudno było orzec, czy uda się go kiedykolwiek pokonać. Kogoś tak gwałtownego i silnego lepiej nie atakować wprost, lecz zabijając jego darczyńców, tak jak proponowała Erin. Każda śmierć osłabia wówczas władzę. Gdyby zabił kilka tysięcy darczyńców, Ahten osłabłby dość, żeby można było wydać mu walną bitwę.

Tylko kto podejmie się mordowania darczyńców? Z pewnością nie Gaborn. Ci biedacy w większości byli nazbyt prostoduszni, żeby przejrzeć maskę Wilka. Inni zostali przymuszeni. Bali się go bardziej niż bólu powodowanego przez dreny.

-W Sylvarrescie wziął dary nawet od dzieci - mruknął Gaborn. - Nie będę rozlewał dzieciecej krwi.

-Tak samo czynił w Indhopalu - wtracił Jureem. - Dzieci, piękne kobiety...

Wiedział, że tylko ktoś całkiem bez sumienia mógłby zabić takich darczyńców.

Gaborn miał już dość tego tematu. Wiedział też, że nie zniesie kolejnej rozmowy z Rajem Ahtenem. Zbyt wielką czuł do niego odrazę. Nie powinienem był nigdy go nakłaniać do porzucenia drogi zła, pomyślał. Ani ludzić się, że uczynię z niego sojusznika.

Wyteżył zmysły, próbując wyczuć niebezpieczeństwo. W ostatnich dniach skupiał uwagę wyłącznie na Carris. Choćby ziemia pozbawiła go możliwości ostrzegania wybranych, zostawiła mu zdolność wyczuwania zagrożenia.

Oslabiony nie mógłby wiele uczynić dla swych poddanych, niemniej ciągle miał nadzieję, że chociaż niektóre nieszczęścia zdola od nich oddalić. Niczym ślepiec wyostrzył zmysły...

Wszędzie było niebezpiecznie. Wokół Carris ciągle wrzała bitwa. Wolni rycerze Skalbairna wypierali raubenów na południe. Jeden po drugim dwóch ludzi zginęło nagle śmiercią. Gaborn odczuł to wyraźnie i bolesnie.

Na zachodzie Raj Ahten umykał przez pustkowia w kierunku Indhopalu. Dziwne, ale niewiele życia się w nim kołatało. Był prawie że chodzącym trupem... Gaborn nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

Poza tym wyczuł inne jeszcze zagrożenia... o wiele bardziej osobiste i bardziej rozległe, niż wszystko, co dotąd poznał. Żadne nie miało spisać rychło, ale cała ich chmura zawisała nad nim i jego bliskimi. W tym i nad jego żoną, chociaż przez dzień lub dwa loma miała być jeszcze względnie bezpieczna. Niestety, Gaborn nie zawsze potrafił rozpoznać do końca źródło zagrożenia, i tak też było tym razem.

Wiedział już jednak, że tysiące ludzi pozostałych w Carris również mogą rychło zginąć. Co to będzie? zastanowił się. Drugi atak? Niemniej miasto było i tak w mniejszym niebezpieczeństwie niż loma.

Kolejna burza zbierała się też nad Heredonem. Przed końcem tygodnia mogły tam zginąć setki tysięcy ludzi. Gaborn porównał w myślach rozpoznawanie kolejnych zagrożeń do obierania cebuli. Zdejmujesz jedną łupinę, a pod nią następna...

W samym środku, pod wszystkimi tymi warstwami zagrożeń, ujrzał niebezpieczeństwo największe - ostateczną katastrofę. Wydawało mu się, że dotknie ona wszystkich jego wybranych, mężów, kobiety i dzieci, milion ludzi wywodzących się z różnych plemion i narodów.

Ziemia ostrzegała Gaborna, że los ludzkości spoczywa w jego rekach. Przyjął rolę obrońcy, ale wówczas wydawało mu się, że prawdziwa groźba nadejdzie dopiero po latach, że przyjdzie mu przedtem toczyć długie wojny... A tymczasem koniec był już blisko.

Pięć dni?

Na pewno nie więcej niż tydzień. W ustach mu zaschło, ledwie łapał oddech.

To niemożliwe! powiedział sobie w duchu. To tylko gra wyobraźni! Ale nijak nie potrafił stłumić coraz upiorniejszej pewności, że przecucie go nie myli.

Zatrzasniete okiennice spoglądały nań jak ślepe oczy. Cienie pustej wioski przytłaczały coraz bardziej.

Pogonił konia i wysunął się na czoło. Loma, Celinor, Erin, Jureem, Binnesman i jego dzika trzymali się za nim. Całe szczęście, że nie podjechał zbyt blisko ani o nic nie spytał...

Zaraz za wioską Gaborn skreślił w lewo, na drogę do Balington, którą pamiętał jeszcze z młodości. Zamierzał spędzić tam

noc. Osada slynela niegdys ze spokoju i bujnych ogrodow, a moce ziemi byly tam dosc silne, aby mogli nawiazac z nimi kontakt. Trzeba bylo tylko przejechac jeszcze trzy mile.

Kierowali sie ku dwom wzgorzom, ktore trzymaly straz nad okolica. Otwarte pola ustapily roslym brzezynom.

U stop wzgorz, zaraz za zakretem, natkneli sie na przewrocony w poprzek drogi woz i szesc postaci grzejacych sie przy malym ognisku na poboczu.

Skoczyly wszystkie na rowne nogi. Byly dziwnie niskie, prawie jak karly, i dzwigaly osobliwe uzbrojenie: szpryche kola od wozu, topor rzezniczy, sierp, dwie siekiery i domowej roboty pike. Miest zbroi nosily skorzane fartuchy, a ich przywodca wyrozniat sie kedzierzawa broda i brwiami wydatnymi niczym dwie czarne gasienice.

-Stac! - krzyknal. - Zostancie, gdzie jestescie! Jeden gwaltowny ruch, a setka ukrytych w drzewach lucznikow naszpikuje was strzalami!

Dopiero po chwili Gaborn pojal, ze ma przed soba nie mezow, ale jakichs mlodziakow, zapewne braci, z ojcem. Wszyscy byli bardzo niscy i mieli takie same, krecone wlosy i wydatne nosy. Siedzac przy ogniu, nie mogli dostrzec niczego poza kregiem blasku i wszystkie ich grozby byly smiechu warte.

-Stu lucznikow? - spytal Gaborn, gdy loma i pozostali don dolaczyli. - Nawet polowa by starczyta, zeby zmienic krola w jezozwierza.

Podjechal blizej ognia.

Cala szostka opadla na kolana i spojrzala z niedowierzaniem na grupe wielmozy.

-Widzielismy was, jak rano jechaliscie na poludnie! - krzyknal jeden z podrostkow. - Balismy sie, ze to rabusie ciagna. Bo tu sa nasze domy...

-I slyszelismy, jak ziemia jeczala, i widzielismy chmure, co uniosla sie nad Carris! - dodal inny.

-To prawda? - spytal najstarszy w grupie. - To prawda, zes jest, panie, Krolem Ziemi?

Wszyscy wpatrzyli sie wyczekujaco we wladce.

Jestem nim? zastanowil sie Gaborn. Jak mam odpowiedziec na to pytanie?

Wiedzial, czego oczekuja. Szesciu prostych ludzi bez zadnych darow nie mialo najmniejszej szansy powstrzymac Niezwyciezonych. Rzadko widywalo sie przyklady podobnej glupoty, albo mestwa, zaleznie od spojrzenia. Chcieli jego opieki.

Chcieli, zeby ich wybral.

Zrobilby to, gdyby tylko mogl. Przez kilka ostatnich dni myslal o tym, jak ocenia ludzi, i o slowach Dziennika, ktory twierdzil, ze jego krol kieruje sie wyczuciem, podczas gdy inni patrza przede wszystkim na sile i intelekt. I cos w tym bylo. Najwyzej stawal ludzi umiejacych kochac i ceniacych zycie, wiedzacych, co to sumienie, i pewnych swych racji, zdolnych oprzec sie fali ciemnosci nawet wowczas, gdyby upadla nadzieja.

-Nie jestem Krolem Ziemi - odparl szczerze. - Nie moge was wybrac.

Mlodziency nie potrafili ukryc rozczarowania. Westchneli rozglosnie i jakby jeszcze troche zmaleli.

-No dobra - mruknal ich ojciec. - Moze i nie Krolem Ziemi, ale naszym krolem na pewno. Witaj w Balington, moj panie.

-Dziekuje.

Gaborn skierowal konia dalej w ciemnosc. Reszta jego kompanii tez ominela obozujaca w brzezynie gromadke obroncow i w ciszy ruszyla za nim. Noc robila sie coraz chlodniejsza, para buchala wierzchowcom z chrap.

Gaborn czul sie coraz gorzej. Obawial sie, ze jeszcze troche, a wybuchnie placzem.

Mile dalej, gdzie lagodne zbocza wzgorz, prawie sie zbiegaly, wstrzymal konia i poczekal, az wszyscy do niego dolacza.

-Pora - powiedzial. - Musze porozmawiac z ziemia.

-Tak wczesnie? - spytał Binnesman. - Jesteś pewien? Ziemia wycofała ci swe poparcie ledwie dwie godziny temu. Domyslasz się chyba, że małe są szanse, aby już teraz zechciała z tobą porozmawiać?

-Jestem pewien. - Gaborn obejrzał się na pozostałych. Nie wszyscy powinni być świadkami czarnoksięskich praktyk. - Jureem, zajmiesz się koniami - polecił. - Erin i Celinor, zostaniecie z nim. Reszta za mną.

Zeskoczył z siodła. Przez ciagnące z południa chmury z rzadka przebijała słabo jakaś gwiazda. Loma ujęła z wahaniem jego rękę.

-Na pewno chcesz, żebym przy tym była?

-Tak. Na pewno.

Binnesman wziął łaskę, skinał na dziką i poprowadził ich w górę płytkiego parowu, a potem kamienistą ścieżką, która wydeptała przeganiane bydło i kozy.

-Kto szuka kontaktu z mocami, winien to czynić ze spokojnym umysłem - powiedział w marszu. - Nie starczy tylko poprosić o błogosławieństwo. Musisz, mój panie, oczyścić serce i skupić się bez reszty na celu, który obrales. Zapomnieć o gniewie, Raju Ahtenie i obawie przed przyszłością. I o własnych pragnieniach.

-Staram się - mruknął Gaborn. - Ziemia i ja chcemy tego samego. Uratować wybranych.

-Jeśli zdołasz wynieść swe pragnienia na najszlachetniejszy poziom, wyrosniesz na największego czarnoksiężnika, jakiego kiedykolwiek nosiła ziemia. W pol poszumy wiatru wysłyszysz wszystkie jej życzenia i wszystkie je wypełnisz, jak nikt inny dotąd.

Jej opiekuncze moce będą przepływać przez ciebie wartką rzeką. Ale na razie stawiasz jej opór.

Wiele razy. Ziemia prosiła cię, byś ocalił nasienie ludzkości, a ty próbowałeś uratować wszystkich. Nawet tych, którzy nie są tego warci. Jak Raj Ahten.

-Przykro mi - szepnął Gaborn. Ale czy jest w ogóle ktoś naprawdę niewarty życia? zastanowił się. Czy mogę tak dalece decydować o czyimkolwiek losie?

-Większa była jednak twoja druga obraza ziemi - ciągnął Binnesman. - Miałem jedynie ostrzec poddanych przed niebezpieczeństwem, spróbowałeś wykorzystać tę zdolność jako oręż.

-Raj Ahten zaatakował moich ludzi - zaprotestował Gaborn.

-Nie powinieneś go nigdy wybierać. Niezależnie od tego, jak bardzo wydawało ci się to wskazane. Ostrzegalem cię. Skoro jednak zrobiłeś, jak zrobiłeś, nie powinieneś nigdy zwracać się przeciwko niemu. To był czyn najhaniebniejszy z możliwych.

-I nie ma już nadziei? - spytał Gaborn. - To właśnie chcesz mi powiedzieć?

Zdyszany lekko Binnesman obrócił się i wbil koniec łaski w ziemię. W jego ciemnych oczach zabłysły gwiazdy.

-Oczywiście, że jest - odparł z przekonaniem. - Zawsze jest. Człowiek, który porzuca nadzieję, to zwykły głupiec.

-Ale popełniłem wielki błąd. Nie powinieneś tak polegać na moich mocach. Teraz wiem już dlaczego...

-Taaak - sapnął Straznik Ziemi, patrząc przychylniej na Gaborna. - Dostrzegasz problem, ale czy rozumiales? Czyś w pełni skłonny zaufać ziemi, czy jak zwykły Władca Runow szukasz u niej tylko darów?

-Nie pragnę darów dla siebie - odparł z namysłem Gaborn. - Chcę z ich pomocą lepiej służyć memu ludowi. Nie będę płakać, że je mam. Teraz też mogą się przydać.

-Może - mruknął Binnesman, chłodno spojrzawszy na Gaborna spod krzaczastych brwi i ruszył dalej. Za wzniesieniami rozciągały się polacie suchej trawy, wśród których wyrastały dąbrowy. Kamienista ziemia pachniała intensywnie. W zwykłym czasie można by oczekiwać tu cykania świerszczy, szelestu myszy przemykających wśród opadłych liści i nawoływania sów, ale tej nocy tylko zimny wiatr dał wśród galezi.

-Tu będzie dobrze - stwierdził Binnesman, po czym ukląkł i splunął na ziemię. - Daje ci pic z mego ciała, pani! - zawołał. - Szukamy u ciebie pomocy w godzinie potrzeby!

-Skinal na

Gaborna i pozostałych, by też spluneli.

Potem unosił łaskę i zakrecił nią nad głową.

Macierzy pradawna,

Co broni domostwa

Wzniesionego trudem

Pode Drzewem Świata,

Badz pozdrowiona,

W tworzeniu, burzeniu,

I ogarnij nas tchnieniem gorącego lata.

-Rozstap się - szepnął, dotykając łaskę splatanych traw.

Z odgłosem dartych korzonków murawa rozchyliła się, ukazując czarna i wilgotna ziemię.

Gaborn spojrzał do tego płytkiego grobu. W glebi dostrzegł liczne białe kamyki.

Puścił dłoń łomy i zaczął się rozbierać. Zerknął na zieloną kobietę, ciekaw, co ona na to, ale dzika wydawała się pozbawiona wszelkiej niezdrowej ciekawości. Anatomia Gaborna nijak jej nie interesowała.

Rozejrzał się. W ogrodzie Binnesmana ziemia przyjęła ludzką postać, by z nim porozmawiać, ale tutaj stoki wzgórz wciąż były puste. Nie dostrzegł nigdzie ciemniejącej w zaroślach postaci.

Całkiem nagi ułożył się w zagłębieniu. Gdy naga skóra zetknęła się z zimną glebą, przebiegł go dreszcz, ale złożył ręce na piersi i szepnął:

-Zakryj mnie.

Czekał przez chwilę, ale nic się nie zdarzyło. Ziemia nie chciała spełnić nawet tak drobnej prośby.

-Zakryj go - powiedział cicho Binnesman.

Łoma nie była pewna, dlaczego Gaborn chciał, żeby z nim poszła. Nie miała żadnych mocy i mogła go jedynie najzwyczajniej na świecie uspokajać.

Gaborn bardzo tego potrzebował, nie wiedziała jednak, jak mu pomóc stawić czoło przyszłości. Wciąż zagrazali im różni wrogowie: Raj Ahten na zachodzie, córka Lowickera i król Anders na północy. Całkiem niedawno spotkała też zbrojce z Inkarry, raubenowie zaś co rusz wylaniali się gdzieś z niezgłębionych przez człowieka podziemi.

Jeśli mamy wszyscy umrzeć, to odejźmy z godnością, pomyślała. Chociaż w tym może mu pomóc...

Obawiała się jednak, że pozostali nie sprostają zadaniu...

-Odpowiedz nam, proszę - szepnęła do ziemi.

Glebą ogarnęła Gaborna. Zimny humus wdierał się pod paznokcie, między palce stóp, zleżał ciężko na piersi, naparł na wargi i powieki.

Gaborn wstrzymał oddech, a potem zebrał swe pragnienia i myśli i jak potrafił, tak przekazał je ziemi.

-Wybacz mi. Wybacz. Nie nadużyję już mocy, których mi użyczyłaś...

Skoncentrował się, oczekując na odpowiedź. Ziemia zwykle odzywała się głosami myszy, wołaniem labedzia albo trzaskiem gałązki, jednak w szczególnych chwilach sięgała do ludzkiej mowy.

-Wybacz mi - powtorzyl. - Bede posluszny twojej woli. Pozwol mi uratowac nasienie ludzkosci. O nic wiecej nie prosze. Pozwol mi znowu byc twoim sluga.

Nie uslyszal odpowiedzi.

Ujrzał za to przyszłość jako mroczna otchłań, która pochłonie wszystko, o ile nie uda mu się odzyskać cennych zdolności. Ludzie będą uciekać przed raubieniami w góry, kryć się po jaskiniach i walczyć zdani na łaskę losu... A jemu przyjdzie dalej wyczuwać zagrożenia, ale ostrzegac będzie mogli tylko tych, którzy znajdują się w zasięgu jego głosu.

Jednak to będzie beznadziejna walka. Przedziej czy później ulegną. Być może to on zostanie ostatnim człowiekiem na ziemi i zdąży pojąć, jak wielkim przekleństwem stał się jego dar...

Czuł, jakby oddech palił mu płuca, bolały go napięte mięśnie.

Zeszłej nocy ziemia przyjęła go, zwolniła od konieczności oddychania, pozwoliła się odpreżyć, zasnąć w skupieniu...

Wspominał, co usłyszał od żywiołu jeszcze wcześniej, przy pierwszej rozmowie: "Kiedyś żyli na tej ziemi śniadzi, a wcześniej tothowie... Pod koniec tych mrocznych czasów może się okazać, że i po ludzkości zostało jedynie wspomnienie".

Ziemia zadrzała lekko i loma pomyślała, że to wstrząs wtórny po wielkim trzęsieniu w pobliżu Carris, jednak wibracje nie ustępowały. Resztki liści zaszeleszczyły na drzewach, kilka gałązki stoczyło się po zboczu, a po chwili murawa wypluła Gabornę.

Wokół podniosła się kurzawa. Spod traw wylaniały się ulamki jakby szarych skał.

Dopiero po chwili loma pojęła, że to kości -ulamana krowia szczeka, konna czaszka, łopata, chyba niedźwiedzia... Ziemia wyrzuciła je podobnie jak Gabornę.

Młodzieniec otarł usta dłonią i ciężko łapał oddech. Dłuższą chwilę siedział nagi i spluwał ziemią. W końcu drżenie ustąpiło i jeszcze tylko niewielki gałązki stoczył się pomiędzy gromadką ludzi.

Binnesman wskazał kości łaską i zmarszczył brwi.

-Masz swoją odpowiedź.

-Ale co to znaczy? - spytał Gaborn. Czarnoksiężnik podrapał się po brodzie.

-Ziemia przemówiła do ciebie, nie do mnie. Sam musisz odczytać znak.

-Niezbyt potrafisz.

-Pomyśl, a w końcu zrozumiesz. Zaufaj swoim odczuciom. Zaufaj ziemi.

Nie mówiąc więcej ani słowa, Binnesman skinął na dziką i ruszył ścieżką.

Gaborn sięgnął po jeden ulamek kości, potem po drugi, jakby chciał coś z nich wyczytać. Loma przyniosła mu ubranie, zarzuciła płaszcz na ramiona.

-Kości w ziemi... - mruzczał Gaborn. - Koscielisko... szukaj Koscieliska...

Loma nie potrzebowała wyjaśnień czarnoksiężnika, żeby pojąć, co się stało: ziemia odrzuciła Gabornę, nie wysłuchała jego prośby.

-Wszędzie leżąc będą kości... - wyszeptala Gaborn poderwał głowę i odruchowo przytulił do piersi trzymana w dłoni czaszkę psa.

-Nie! To nie tak!

Loma objęła go ze współczuciem.

Gaborn starał się jak mógł sprostać brzemieniu Króla Ziemi. Ale nie był ani nieczuły, ani wyniosły. Nie był w gruncie rzeczy wojownikiem. Zresztą dlatego właśnie go pokochała...

Niemniej z tego samego powodu popełniał błędy, które mogły ich wszystkich zabić.

Czy mam dość siły, by mimo wszystko mu pomóc? pomyślała dziewczyna.

-I co teraz zrobimy, kochany? - spytała.

Gaborn dalej siedział na ziemi, okryty tylko płaszczem.

-Najpierw musimy ostrzec Skalbairna i resztę wojska, że straciłem swoje moce.

Potem zrobimy to, czego żąda od nas ziemia.

3 AROGANCKI

Naiwni często mylą cynizm z przenikliwością. Cynicy ostrzegają, że wszyscy ludzie są zepsuci i życie nie ma sensu. Mądrzy wiedzą jednak, że nie każdy poddaje się zepsuciu, a życie przynosi i radości, i smutki, które razem nadają sens naszemu bytowaniu. Cynicy głoszą tylko półprawdy, które cieniem są mądrości. - z dzienników króla Jasia Larena Sylvarresty - Problem polega na tym, że Gaborn nazbyt kocha swój lud, a Raj Ahten nie kocha go wcale - powiedział Skalbairn do sir Chondlera, gdy jechali nocą przez las w pogoni za raubenami. Marszałek wielki otrzymał już tajemnicze ostrzeżenie od Gaborna, który zatrzymał się na noc w wiosce Balington, i teraz obaj wodzowie próbowali zrozumieć, o co właściwie chodziło władcy. -Nic dobrego z tego nie przyjdzie, wspomnisz moje słowa - odparł marszałek Chondler. - Człowiek nie przestanie nigdy na własnym zepsuciu. Posieje je wszędzie i żąda, żeby bujnie wzeszło.

Skalbairn wydal wargi.

-Nikt nie powinien silić się na premedytację biedy... - powiedział i więcej wyrzec nie zdążył. Jadący przodem Chondler pociągnął odsuniętą na bok galaz, która wyprostowała się gwałtownie i uderzyła wolnego rycerza w twarz. W pewnym sensie była to odpowiedź...

-Skaleczyłeś mnie - stwierdził marszałek wielki.

-Przepraszam.

-Jeśli wypłynie z tego jakaś nauka, będę z tego rad - mruknął Skalbairn.

Szykował kolejny atak na raubenów i chciał dostać się na wzgórze, na którym dalekowidzacy, sir Skarret, zapalili ostrzegawczą latarnię. Tyle że na szczyt nie prowadziła żadna ścieżka, a na dodatek noc już zapadła i miast śpiącego dotąd deszczu z nieba zaczął padać śnieg.

-Napytać sobie biedy można na setki sposobów - zgodził się Chondler. - Zauważyłeś na przykład, jak łatwo można zaszkodzić sobie dobrymi uczynkami?

-Co masz na myśli?

-Kiedy byłem młody, znałem pewną kobietę, która tyle dawała na biednych, że wszyscy ją chwalili. Dawała im chleb, dawała pieniądze, darowała swoją krowę, a w końcu nawet dom. I tak sama skończyła, zebrząc na ulicy Broward, gdzie zmarła pewnej zimy. Padła ofiarą własnej dobroci.

-Rozumiem. Myślisz, że często tak się zdarza?

-Może i nie, ale jeszcze nie skończyłem. Ta kobieta miała syna, który widząc, że traci cały spadek, został rozbojnikiem i zaczął okradzać każdego, kogo spotkał na szlaku. Jakos nikomu nie udawało się go pojąć, aż uznał się za niepokonanego i nawet chwalił się, że jest największym z rozbojników. Zebrał sporą bandę i zył sobie dobrze, aż pewnego dnia podkradłem się do ich obozowiska i przesyłem mu gardło strzałą.

-Dobra robota - pochwalił Skalbairn.

-No i widzisz. Można czasem zrujnować sobie życie cnotliwym postępowaniem, albo cnotę pomylić z lotrostwem. Tak czy owak, marnie się kończy. A nasz Król Ziemi uważa, że jego miłość do ludu jest wszystkim, chociaż przez swą zaciętość i siebie osłabia, i nas do grobu wpedza. Ułatwia Ahtenowi zadanie i w końcu mu się podłoży.

-A niechże cie! - zachichotał wódz wolnych rycerzy. - Jakież eleganckie wywód! - powiedział tonem pochwały, ale pomyślał kpiąco, że Chondler musi się chyba uważać za filozofa.

-A ostatecznie i tak my obrywamy! - ciagnal Chondler. - Wszystko przez tych dumnych panow! Mysla tylko o sobie. - Wstrzymal konia. - Nie widze zupełnie, gdzie jade.

Skalbairn nie spodziewal sie, ze lasy w tutejszych gorach beda tak mroczne.

Galezie sosen zwieszaly sie kurtyna na wysokosci jego twarzy, a wykrzywione wichurami konary splataly sie miejscami niczym wlokna tkaniny.

Sir Chondler w milczeniu przedzierał sie przez gaszcz.

-Zamierzam przylaczyz sie do Wilczego Bractwa - powiedzial nagle, jakby własnie podjal decyzje. - Co ty na to?

Skalbairn nie miał na razie zdania. Dobieglo go tyle dziwnych plotek, ze wolal poczekac, az dowie sie czegos wiecej.

Raj Ahten zaatakowal Gaborna, co nie bylo madre, ale jakimś sposobem Krol Ziemi stracil przez to swoje cudowne moce.

Ta ostatnia wieść byla najbardziej deprymujaca. Skalbairn w zyciu nie slyszal gorszej.

Nie uwierzylby, gdyby nie nakreslony własnorecznie przez Gaborna list, ktory niedawno mu doreczono.

Wciaz jeszcze sciskal w reku pergamin z rozkazem: "Przerwac atak i poczekac, az jutro do was dolacze".

To ostatecznie skonfundowalo Skalbairna. A przeciez jako wodz wolnych rycerzy nie mogl sobie pozwolic na wahanie. Los zbyt wielu zalezal od jego decyzji...

-Co ja na to? - odezwal sie po chwili i odbil toporem kolejna prostujaca sie galaz. - Za wiele slubow juz cofalem. Najpierw holdowalem Brockowi z Toom, potem wolnemu rycerstwu, a ostatnio Krolowi Ziemi. Za stary juz jestem na to wszystko. Niech lepiej zostanie jak dotad...

-No własnie. Sluby rzecz zmienna... - ciagnal temat Chondler.

-Owszem. Ale nie złamie słowa danego Krolowi Ziemi ledwie po trzech dniach.

Nawet wolni rycerze tak nie robia! Poza tym nie wszyscy sa takimi glupcami, jak sadzisz.

Historia Gaborna jeszcze sie nie skonczyla.

-Wierzysz w niego bardziej niz ja - stwierdzil Chondler ze smiechem, sciagnal wodze i wbil wzrok w wirujace przed nimi platki sniegu. - No tak, teraz całkiem juz nie wiadomo, gdzie jechac. Idealne miejsce na zasadzke.

-Co prawda, to prawda - mruknal Skalbairn, zamierzajac zawrocic konia.

-Posluchaj - rzucil Chondler. - Musimy chyba byc blisko. - Zsunal helm i przechylil glowe.

Skalbairn tez zdjal helm i zaraz poczul lodowate musniecia na zlanym potem czole.

Powietrze bylo bardzo wilgotne. W dali slychac bylo skrzypliwe odglosy wydawane przez raubenow. Tuz za wzgorzem byly ich chyba z dziesiatki tysiecy. Horda uciekala, rozdeptujac drzewa na miazge i kruszac wielkie glazy na zwir. Ziemia az drzala. Raubenowie uchodzili na poludnie, w kierunku warowni Haberd, ta sama droga, ktora przyszli.

Z chmur w oddali splynela ku gorskim szczytom jasna blyskawica. W jej blasku Skalbairn dojrzal otwierajaca sie po lewej przecinke, odczekal jednak, liczac powoli. Doszedl do czterdziestu, gdy dobiegl go wreszcie przytlumiony pomruk, slaby jak chrzakiecie starca.

Jesli wierzyc dawnym opowiesciom, burza byla ciagle za daleko. Raubenowie bali sie blyskawic, ale zeby zabic, musialyby ich razic z bliska.

Wczesniej, pod Carris, widzial, co czterogodzinna nawalnica zrobila z raubenami.

Nawet gdy najgorsze minelo, blyskawice i tak co rusz przeszywaly niebo. W ich swietle ukazywaly sie co chwila cielska umykajacych raubenow. Niektorzy biegli całkiem na slepo, jak ogarnieci panika, cierpiacy nieznosny bol ludzie. Tysiace wielkich bestii wetknely po prostu pyski w ziemie, jakby chcialy zakopac sie w plytkich jamach i zapomniec o swiecie.

Oslepione, ranne i umykajace potwory byly latwymi celami. Rycerze Skalbairna scigali je do upadlego i urzadzili im w

koncu taka rzez, o jakiej nikt wcześniej nawet nie marzył. W niecałe cztery godziny zabili dziewięć tysięcy stworów, a w każdym razie o tylu mówiły ostatnie rachuby. Razem z wolnymi rycerzami walczyły oddziały władców spoza Mystarii, z Fleeds, Heredonu, a nawet Niezwyciężeni z Indhopalu, którzy jeszcze o swicie byli śmiertelnymi wrogami wojowników z Polnocy.

Skalbairn miał wszelkie szanse, by zyskać trwale miejsce w historii. Zwycięstwo Gaborna pod Carris musiało się stać tematem wielu piosenek bardów, a żadna nie mogła się obejść bez napomknięcia o marszałka i jego wściekłym ataku poprowadzonym w burzliwą noc.

Oczywiście prawda o jego czynach miała zostać należycie ubarwiona. Nikt nie wspomni o tym, że szlak ucieczki raubenów biegł wzdłuż dobrego traktu i tabory mogły nadążyć za wojskiem z nowymi kopiami i szyć. To był atak z wygodami...

Tutaj, w gorach, musiał stracić impet. Niemniej raubenom też trudniej było teraz biec.

Poruszali się krótkimi zrywami, nie szybciej niż konie idący stapa. Im wyżej się wspinali, tym bardziej dawało im się we znaki zimno. Ogarniał ich częściowy letarg i jeszcze zwalniali kroku.

-Na lewo jest przejście - powiedział w końcu Skalbairn.

-Wiem. Ale prowadzi prosto nad urwisko.

-Ja widziałem jakieś lake - odparł marszałek wielki, zirytowany już arogancją Chondlera. - Sprawdźmy.

Chondler westchnął ciężko, za co w innej armii zostałby po prostu wychłostany.

Jednak między wolnymi rycerzami niesubordynacja była równie częsta jak pchły w zajazdach. Chondler skierował konia ku "lace" Skalbairna.

Rzeczywiście trafili na urwisko. Cwierć mili niżej wiała się niczym wąską doliną, której dnem sunęła fala czarnych raubenich grzbietów.

W Internooku późną jesienią w gorze zwykli ruszać w górę rzeki Ort. Gdy Skalbairn był chłopcem, często widywał je płynące tak cicho, że nie dawało się dojrzeć nawet jednego kamienia na dnie koryta. Raubenowie przypominali tamten potok ryb, podobnie pociągający i odpychający zarazem.

Znowu lysnęło spod chmur, ale bestie w dole nawet nie zmyliły kroku. Burza wyraźnie przechodziła. Niemniej ta krótka iluminacja pozwoliła lepiej im się przyjrzeć.

Pod Carris wszyscy niemal nosili bron: dwunastostopowe miecze, młoty albo gizarmy, zdadne do klucia i ściągania jeźdźców z koni albo pieszych z murów warowni. Teraz wyglądało na to, że co najmniej połowa porzuciła oręż.

Pomiędzy raubenami umykały wyjące, pajakowate stworzenia, które nawet teraz zatrzymywały się co jakiś czas, by wydać z trzewi rozgłosny krzyk.

Lepniaków, które poruszały się wolniej niż reszta pochodu i niezbyt nadawały się do walki, została ledwie garstka. Ludzie Skalbairna nie mieli z nimi większych kłopotów.

Największą grozę budziły szkarłatne maginie. Łatwo je było dojrzeć w ciemności.

Wytatuowane na ich głowach i nogach rany jarzyły się lekko niczym węglem w pełnym popiołach palenisku. Jedna z nich nagle wbiła się przypominającym łopate łbem w ziemię, zamachała konczynami i po paru chwilach zniknęła z pola widzenia. Stało się to tak szybko, że Skalbairn ledwie własnym oczom uwierzył. Widział już dziki zagrzebujące się w ściółce lesnej, ale rauben... Z drugiej strony miękkie, pełne szczątków drzew dno wąwozu było całkiem dobrą kryjówką nawet dla bestii wazacej tyle co dwadzieścia koni.

-Widziałeś? - spytał Chondlera. W tej samej chwili w ziemię zanurkowała następna magini. I kolejna. Zwykli raubenowie wciąż uciekali na oślep.

-Owszem - mruknął Chondler. - Szykują zasadzkę.

Tak samo jak dziki w puszczy... Dziki, które wyskakiwały z ukrycia, rozpruwały konie i jeźdźców szablami.

Skalbairn spojrzal na polnoc, ale nikt nie wylanial sie na razie zza zakretu.

Rycerze musieli byc jeszcze w odleglosci paru mil. Na razie z dala od niebezpieczenstwa.

Na poludniu urwiska byly jeszcze wyzsze i bardziej strome. Konny nie mial wiekszych szans, by je pokonac. Raubenowie, ktorzy tam dotarli, zwolnili nagle i zaczeli sie kryc po jamach i wykrotach.

Trzysta jardow dalej jasniala nad wawozem zatknietą na kopii latarnia sir Skerreta.

Widac bylo w jej blasku monarszy profil dalekowidzacego, siwa plame jego brody pod helmem oraz zloty odblysk napiersnika.

-To dlatego sir Skerret nas wezwal. Chcial nas ostrzec - powiedzial Chondler.

Skalbairn nie mogl dozwolac, aby jego wojsko wpadlo w pulapke, ale z drugiej strony szkarlatne maginie byly nie lada zdobycza. To one dowodzily armia raubenow. Od stuleci wladcy Rofehavanu placili az piec drenow kazdemu, kto zdolal zabic takie monstrum.

Pokusa pokusa, niemniej sytuacja robila sie grozna. Na razie poscig odbywal sie na pustkowiach, ale niebawem juz cala masa raubenow mogla skrecic na wschod, ku miastom wzdluz rzeki Donnestgree.

Skalbairn wsluchal sie w siebie. Podczas niedawnej bitwy co rusz slyszal glos Gaborna ostrzegajacy go przed niebezpieczenstwem. Pare razy uszedl dzieki temu smierci.

Teraz jednak niczego sie nie doczekal. - Zeby je... - mruknal, myslac o maginiach. Skoro burza przeszla, raubenowie zdolaja sie przegrupowac i znowu stawia zorganizowany opor. Nalezalo jakos zazegnac katastrofe.

Tylko dlaczego Gaborn zaszył sie w Balington? Z listu wynikalo, ze ciagle potrafi wyczuwac niebezpieczenstwo. Skoro tak, dlaczego nie przybyl, aby osobiscie poprowadzic atak?

Skalbairn zmial pergamin od Krola Ziemi, cisnal go na ziemie i zawrocił konia.

-No to do jutra - mruknal pod nosem.

4 RADA MADRYCH

Wladcy Runow jak nikomu innemu godzi sie wiedziec, kiedy nie siegac po miecz. - napis nad drzwiami Komnaty Oreza w Domu Zrozumienia Do Balington przybyli dobrze po polnocy. W ciemnosci i deszczu wylonili sie spomiedzy lysych i trwajacych w ponurej kontemplacji pagorkow. Bylo ich siedmiu, wszyscy przemoczeni, w brunatnych szatach uczonych, z brodami splywajacymi spod spiczastych kapturow. Poruszali sie tak cicho, ze mozna by wziac ich za upiory. Tylko szczek konskich rzedow i stukot kopyt zdradzal, ze to jednak zywe istoty. Nie rozmawiali, nie bylo slychac ich oddechow, a na postarzalych twarzach malowal sie strach, zamyslenie albo bol.

Jedni sciskali miecze, inni mloty bojowe, a wszyscy nastawiali uszu, czy nie dobiegnie ich sapanie raubenow.

Jednak wkolo szumial tylko deszcz. Przez kilka ostatnich godzin burza przesuwala sie na polnoc i woda lala sie z nieba, zmieniajac blotnista droge w plytki strumien.

Geste chmury przeslonily gwiazdy i z szesc tuzinow bialych, krytych strzecha kamiennych domow Balington ledwie majaczylo posrod nocy.

Spod sterty drewna wypelzl rudy pies i z wywieszonym jezykiem ruszyl truchtem obok jezdzcow.

Na skrzyzowaniu drog ujrzeli wreszcie swiatlo zawieszonych przed zajazdem latarn.

Przewodzacy kompanii Jerimas nie goscil jeszcze nigdy w tym zajezdzie. Niemniej wiele o nim slyszal. Krol Orden czesto zwykl chronic sie w nim przed letnim upalem.

Spokojne miejsce wytchnienia... Jednak nerwy Jerimasa byly napiete do granic.

Nijak nie mogl wykrzesac w sobie radosci, ze wreszcie wejdzie w znajome poniekad prog.

Wciaz jeszcze nie otrzasnal sie po koszmarze bitwy o Carris. Myslamy byl przy rannych i glodnych, nadal bal sie powrotu raubenow. Jednak kilka godzin wczesniej Gaborn kazal Jerimasowi i innym medrcom, ktorzy sluzyli krolowi Ordenowi,

stawić się w Balington.

Tak szybko, jak tylko zdołają uporać się z ważnymi, bieżącymi sprawami... Zaraz potem nadeszły wieści budzące olbrzymi niepokój o los królestwa. Wprawdzie Raj Ahten został pokonany, ale od północy zaczęli zagrażać Lowicker i Anders, a na południu Inkarra szykowała zbrojny.

Najgorsze zaś, że podobno moce Gaborna z jakiegoś powodu nagle osłabły.

-Balington znowu zostało się nietknięte - odezwał się uczeń jadący za Jerimasem.

Uwaga była w pełni zasadna. Od wieków przetaczające się w pobliżu wojny dziwnym zrzadzeniem losu omijały się. Dwa dni temu wojska Baja Ahtena przechodziły drogą ledwie trzy mile na zachód od Balington, a chociaż były głodne i zmęczone, mieszkańcy wsi nawet nie próbowali uciekać. Wojt, kupcy i rolnicy byli dziwnie pewni, że nikt nie pofatyguje się tak daleko od głównego traktu ani nie skusi się na równie drobne zdobycze.

Po raz dwudziesty w przeciągu osmiuset lat bieg wydarzeń potwierdził przeczuć miejscowych. Balington nie zostało splądrowane.

-Mają niezwykle szczęście - dorzucił inny uczeń.

-To żaden traf- powiedział Jerimas i odetchnął głęboko wilgotnym powietrzem.

Pachniało ziemią, jak w głębokiej jaskini. Wznoszące się nad drogą wzgorza też stwarzały wrażenie, jakby zamykały się nad głową. Chociaż teren był względnie równy, wydawało się, że droga prowadzi w dół. - Głowe dam, że ta okolica jest silna mocami ziemi.

Ludzie, którzy tu żyją, są pod jej ochroną.

Jerimas wyczuwał, że to najwłaściwsze miejsce dla Króla Ziemi. Niemniej nie pojmował ciągle, co dzieje się z Gabornem. Posłaniec wspominał, że król stracił część swoich magicznych mocy. Może osłabł po prostu i chciał tu wrócić do sił...

Uczeni zostawili konie pod opieką chłopaka, który wybiegł ze stajni i tak się osłaniał od deszczu, jakby to strzały sypały się z nieba. Ślady na błotnistej ścieżce wiodącej do drzwi zajazdu wskazywały, że przez cały wieczór panował tu spory ruch. Wcześniej zapewne zjawił się w Balington posłaniec od Jerimasa, by uprzedzić, że medcy nie zdołają dotrzeć do wioski przed północą.

Doradca zebrał myśli. Przez dwadzieścia lat służył ojcu Gaborna jako mądry.

Spory kawał świata ujrzał jego oczami, wiele usłyszał. Wspomnienia zgasłego władcy zostały mu głowie obszernymi fragmentami. Znal jego marzenia i nadzieje na tyle, że właściwie stał się królem Mendellasem Drakenem Ordenem, chociaż nie tytułarnie. A teraz po raz pierwszy miał się spotkać z jego synem i nie wiedział, czym to się skończy. Dla wielu mądrych takie doświadczenia okazywały się bardzo bolesne. Wdowy odsuwały się od ludzi, którzy znali wszystkie intymne sekrety małżeństwa, dzieci z kolei miały ich za przywołujące nieustanny żal cienie ojców...

Gaborn. Moja nagroda od losu, moja radość, pomyślał Jerimas. To uniesienie, gdy po raz pierwszy wziął go na ręce, nadzieje rosnące wraz z dzieckiem... I przerażenie, gdy zbrojca zabrał życie matki i rodzeństwa Gaborna...

Jerimas nie mógł zastąpić Gabornowi ojca, ale nie był mu też obcy.

Teraz oczekiwał, że zgodnie z praktykowanym od wieków zwyczajem, przyjdzie mu zdać sprawę z ostatnich chwil życia króla Ordenu, jego myśli i przyczyn, które go do takiego właśnie końca przywiodły. Mądry stawiali się Mowcami Umarłych, jednak działo się to w wąskim gronie, a ich słowa przeznaczone były tylko dla najbliższych zgasłego.

Poza tym Jerimas chciał też dowiedzieć się wreszcie, na czym stoi. Czy zostanie wraz z innymi mądrymi zaakceptowany jako doradca? Czy Gaborn uzna ich za przyjaciół?

Czy może raczej odepchnie?

Zawahał się, nim zastukał do drzwi, zza których dobiegał podniesiony głos pograżonego w dyspacie Gaborna.

-Mój ojciec już wcześniej mówił, że nie jesteś Królem Ziemi... -powiedział książe Celinor.

-A teraz jego kłamstwo okazało się prawdą- dodał z wymuszonym uśmiechem Gaborn.

Ogień w kominku jadalni prawie wygasł i tylko węgle zarzyły się wisniowo w palenisku. Gaborn, Celinor, Ioma i Erin siedzieli wokół, a Dziennik Gaborna, który dołączył do grupy niecałą godzinę wcześniej, stał za plecami króla. Jureem wyjechał zawieźć posłanie króla Ziemi Skalbairnowi i pozostałym. Binnesman zajmował się dziką, której kazał ułożyć się na kontuarze obok dwóch zapalonych świec.

-Wasza wysokość, jeśli świat usłyszy o tej pechowej zmianie, uwiarygodni to plotki rozsiewane przez mojego ojca - stwierdził rzeczowo Celinor. - Już słyszę, jak rechocze: "A nie mówiłem, że to oszust? Teraz twierdzi, że stracił te swoje niby-moce. Tym lepiej!" - Twój ojciec ma teraz większe kłopoty na głowie - powiedziała Ioma. - Raubenowie naszli Crowthen Polnocny. Jeśli skierują się na południe, do królestwa twego ojca...

-Nie wiem, czy on uzna to za poważniejszą groźbę. Boi się panicznie twego meza.

A

teraz Gaborn osłabł i łatwiej można go dosięgnąć.

-Przesadzasz - mruknęła Ioma. - Nie powąży się otwarcie zaatakować króla Ziemi.

Celinor spojrział na Gaborna, jakby szukał rady, ale król wskazał wzrokiem na Binnesmana, który pochylał się z jakimiś różowymi kwiatkami i ciemnymi liśćmi nad dziką i rysował jej znaki runiczne na nosie. Zielona kobieta leżała całkiem nieruchomo, nie oddychała nawet, a przecież nic, co żyje, nie może zastygnąć jak skala...

Tajemnicza sprawa.

-Celinor ma rację - powiedział po chwili Binnesman, nie podnosząc głowy. - Jego ojciec jest niebezpieczny. Ma magię za sojusznika. Jego zachowanie i wpływ, jaki wywarł na Lowickera, wskazują, że to nie jest zwykłe szalenstwo.

-Ale może daloby się z nim jakos ułożyć... - zaproponował Celinor.

-Twojego ojca porwał wiatr - wyjaśnił Straznik Ziemi. - Nie znajdziesz już z nim wspólnego języka. Niebezpiecznie byłoby nawet próbować. Pamiętaj, że w gruncie rzeczy nie walczymy z raubenami czy ludźmi, ale niewidzialnymi mocami.

-Niemniej może coś by z tych układów wyszło - dodała z nadzieją Ioma. - Nawet jeśli Anders oszalał ze szczerem, to są jeszcze inni, do których można przemówić.

Niech pojma, że ich okłamuje. Wszyscy widzieli, jak Gaborn wezwał dziś czerwiec, żeby odpedzić raubenów od Carris. Wiśc szybko się rozejdzie, a wówczas ludzie o szczerych sercach staną u jego boku.

-Po to, by wraz z nim zginąć... - mruknął Celinor. - A reszta będzie krzątać wokół niczym wilki. Nie pozwolę, by mój ojciec znalazł się w tej fałszywej watasze.

-Dasz mu radę w pojedynkę? - wtraciła się Erin.

-Myślę, że tak.

-A gdybys musiał go zabić?

-Nie dojdzie aż do tego.

-A jeśli? - spytała podniesionym głosem Erin.

Celinor spojrział na nią przenikliwie. Z jasnymi włosami, orzechowymi oczami i smukłą sylwetką przypominał uczonego albo uzdrowiciela, a nie potencjalnego ojca-bojce.

-Myślisz, że nie ma już innej możliwości? - spytał Gaborn, patrząc na Erin. - Naprawdę chcesz, żeby podjął walkę z własnym ojcem?

-Nie... Lepiej, byśmy znaleźli inny sposób. Ale nie chce, żeby książę zamykał oczy na niebezpieczeństwo.

Król obrócił głowę ku Celinorowi.

-Zatem z nim porozmawiaj. Powiedz mu, że gotów jestem podjąć negocjacje nad odnowieniem sojuszu. Może to ukończy jego leki.

-Tak, panie - obiecal Celinor. - Czy moze ruszac od razu?

Gaborn nie wybral ksiecia, totez nie wiedzial, czy za jego plecami nie czai sie jakies niebezpieczenstwo, ale w tym wypadku zwykly rozsadek dyktowal wlasciwa odpowiedz.

-Drogi rozmokly po nocy - powiedzial. - Chyba lepiej bedzie poczekac do rana.

Spojrzał na Connal.

-Pojedziesz z nim? Jesli wyczuje, ze cos ci zagraza, sprubuje was ostrzec. Ale baczcie, zeby nie podniesc na nikogo reki, chyba ze we wlasnej obronie.

-Bedzie, jak mowisz, panie - odparla Erin.

Ktos otworzyl frontowe drzwi i do gospody wpadl podmuch chlodnego powietrza. W progu stalo kilku mezczyzn, ktorzy sylwetki rysowaly sie tak niewyraźnie, ze w pierwszej chwili Gaborn wzial ich za poslancow Skalbairna albo dowodcow posilkow z Heredonu.

-Wasza wysokosc - rozlegl sie ochryply, meski glos -jestesmy madrymi krola i pragniemy opowiedziec jego zycie.

Przez chwile nikt sie nie odzywaly i slychac bylo tylko deszcz szumiacy za progiem.

-Panie, skoro daleka droga przed nami, zajmiemy sie konmi -powiedziala w koncu Erin i czym predzej wyszla z sali. Celinor za nia. Nawet Dziennik Gaborna wymknal sie na zewnatrz, jakby mial tam cos nader pilnego do zalatwienia.

loma spojrzala na Gaborna, pytajac samymi oczami, czy tez powinna wyjsc.

Wiedziala, ze ostatnie mysli umierajacego moga byc niekiedy trudne do przelknienia. A co najmniej bardzo przejmujace.

-Zostan - szepnal Gaborn i loma poczula, jak ogarniaja dziwne cieplo. Bardzo chciala pozostac z Gabornem.

Binnesman wcial pochylyl sie nad dzika.

-Moge prosic jeszcze o chwile? - spytal. - Kresle wlasnie runy ochrony papka z miazgi drzewnej i musze skonczyc, nim stwardnieje.

Gaborn wiedzial, ze to troche potrwa. Z piecioma darami metabolizmu odczuwaly uplyw czasu piec razy szybciej niz zwykli ludzie. Gdy kogos sluchal, wypowiedz zdawala sie ciagnac godzinami.

Niemniej dzika byla wazna i potrzebna. Zostala stworzona jako wojownik ziemi, ale zeby mogla wykorzystac wszystkie swe sily, Binnesman musial najpierw wykszaltac w niej dosc wlasnej, doroslej woli. Gdyby uwolnil ja przedwczesnie, mogloby sie to zle skonczyc.

-Zostan i rob swoje - polecil cicho Gaborn czarnoksieznikowi. - Im szybciej przygotujesz dzika, tym lepiej.

loma i Gaborn staneli ramie przy ramieniu i spojrzeli na wchodzacych madrych.

Najmlodszy musial miec co najmniej czterdziestci lat, pozostali znacznie wiecej.

Wszyscy byli krotko ostrzyzeni i nosili proste, brunatne szaty mistrzow ogniska domowego z Domu Zrozumienia.

-Gabornie! - odezwal sie wysoki siwobrody maz, a w jego glosie dal sie wyslyszec slad ojcowskiej milosci. Byc moze przez cale zycie Gaborna ten czlowiek krecil sie gdzies w Blekitnej Wiezy jako idiota, ktorego trzeba bylo pilnowac na kazdym kroku...

Krol uscisnal dlonie przybyszowi, ale po chwili wahania objal go serdecznie.

-Witaj, przyjacielu. Tys jest...?

-Jerimas - odparl starzec po chwili, jakby musial sobie przypomniec wlasne imie.

Spojrzał Gabornowi w oczy. - Nazywam sie Jerimas.

Byl szczuplym mezczyzna o trojkatnej twarzy i szeroko rozstawionych oczach, tak ciemnych, ze wydawaly sie wrecz

czarnymi studniami. Nie zostało mu już wiele włosów poza broda.

-Jerimas - powtórzył Gaborn. Przyjrzał się mądrym i uderzyło go, że większość z nich przechyliła lekko głowę w lewo. Tak samo jak jego ojciec...

-Czy gotów jesteś, panie, wysłuchać relacji z odejścia twego ojca?

-Będziemy musieli poczekać z tym do sposobniejszej chwili -odparł Gaborn. - Nie po to was dziś wezwalem. I tak aż za wiele wiem o śmierci mego ojca.

-W ostatnich chwilach myślał o tobie - odezwał się jeden z mądrych.

-Wiem, że mnie kochał. I cieszy mnie, że tu jesteście. Mamy jednak coś pilniejszego do zrobienia.

Gaborn odetchnął głęboko. Zaraz po bitwie o Carris był wyczerpany i opadł z sił.

Kilka ostatnich godzin pozwoliło mu wiele przemyśleć. Potrzebował pomocy mądrych.

-Obecnie jesteście odpowiedzialni za Carris. Za obronę miasta, za jego mieszkańców.

Jednak oczekuję od was znacznie więcej... Jakkolwiek by patrzeć, każdy z was jest poniekąd moim ojcem. On odcisnął na was swoje piętno. Wezwalem was, szanowni, gdyż potrzebuje waszych rad i mądrości. Nie mogę sam zarządzać sprawami państwa. Jureem przekazał już i wam, i Skalbairnowi, że straciłem część mocy, które otrzymałem od ziemi. Nadal potrafię wyczuwać niebezpieczeństwo, które wzbiera obecnie także wokół was, ale nie mogę już ostrzegać wybranych. Nie poradzę sobie bez waszej pomocy. Będziecie musieli zająć się obroną Mysterii i Heredonu.

-Ale pozostaniesz w pobliżu, panie, by nam przewodniczyć? - spytał Jerimas z nadzieją w głosie.

-Uczynię, co w mojej mocy, ale niczego nie mogę obiecać. O świcie wyruszę do Carris, żeby mój widok ukołoił leki rannych. Potem poszukam Skalbairna i razem zajmiemy się raubenami. Musimy ich ukarać za atak na miasto. Niech zaczyna się nas bac.

Kilka posiwiałych głów kiwnęło z aprobatą.

-A potem... Nie wiem jeszcze. Czuje, że ziemia chce, abym gdzieś indziej stanął do walki.

-Możemy ci towarzyszyć, najjasniejszy panie - zaproponował Jerimas. - Staniemy u twego boku.

-Może - mruknął Gaborn. Doszedł do tego, co najbardziej go nurtowało. - Powiedźcie mi, czy słyszeliście kiedyś o czymś takim jak Kościelisko?

Mądrzy spojrzeli na niego zaskoczeni. Paru pokręciło głową.

-Możliwe, że to nie jest prawidłowa nazwa... - dodał król. - Może tylko cecha...

Ziemia wzywa mnie do walki... Przypuszczam, że to może być gdzieś w podziemiach.

Może w jakiejś kopalni albo nekropolii... Może chodzi o pradawne miasto sniadych...

Mądrzy znowu pokręcili bezradnie głowami. Gaborn od wielu godzin zastanawiał się, o jakim to miejscu ziemia mogła mówić. Binnesman też nie potrafił mu pomóc.

Przeżył już wprawdzie setki lat i widział wiele odległych miejsc, w tym skryte głęboko pod ziemią ruiny miast sniadych w Moltarze i Vinhumminie, ale nie wiedział nic o żadnym kościelisku.

-Albo pradawne pole bitwy... - odezwał się Jerimas. - Jaskinie w Warren można by nazwać kościeliskiem. Podczas walk z tothami Fallion stracił aż czterysta tysięcy ludzi.

-Myślałem o tym - przyznał Gaborn. - I chciałem tam nawet pozegłować, ale coś mnie powstrzymuje. To chyba jednak nie o tym miejscu mówiła ziemia.

-Cierpliwości - doradził Binnesman. - We właściwym czasie ziemia sama dopowie co trzeba.

Gaborn pokręcił głową. Wciąż nie mógł się uwolnić od tego pytania.

-Panie, Jureem powiedział, że straciles część mocy, ale wciąż możesz wyczuwać niebezpieczeństwo - odezwał się Jerimas. - Obawiasz się Raubenów, Inkarry, Andersa i Lowickera, ale co z Rajem Ahtenem? Samym głosem zburzył Blekitną Wieżę. Czyżby nam już nie zagrażał? Od wieczora nic o nim nie słyszeliśmy.

-Wyczuwam jego obecność. Ucieka w kierunku Indhopalu - odparł Gaborn. - Jest na górskiej ścieżce, której żaden jeździec nie odważyłby się przemierzyć. Chwilowo się go nie obawiam. Jeśli znowu przybędzie do Rofehavanu, będę o tym wiedział.

-A wiesz, jak sobie nasi radzą w bitwie? - spytał ktoś inny.

-W ciągu ostatnich pięciu godzin wielu wybranych oddało życie. Czulem, że śmierć czai się blisko, ale nie mogłem ich ostrzec.

-Niemniej, mój panie, Skalbairn radzi sobie wysmienicie! - powiedział Jerimas. - Jego rycerze wybijają Raubenów tysiącami. W takiej walce trochę strat nie gra większej roli.

Gaborn skinął głową.

-Jak długo to jest rzeczywiście tylko trochę... Nakazałem mu wstrzymać atak do rana.

Jutro sam stanę na czele wojska.

-Prawdziwe cuda widzieliśmy dzisiaj! - odezwał się mądry z kozia brodka. - A jutro zdarzy się ich jeszcze więcej.

-Groza też jutro powróci - odparł Gaborn. - Uderze na Raubenów, jak tylko najlepiej potrafię, ale to wy będziecie musieli zająć się granicami. Zróbcie, co tylko w waszej mocy, żeby je ochronić.

-W Domu Zrozumienia powiadają, że wszystko może stać się bronia - powiedział jeden ze starców. - Madremu spryt może ująć za tarczę, złotoustemu język za sztylet. Silny zaś skorzysta z mocarnych ramion, by złamać podpórę narodu...

-Musimy wezwać sojuszników na pomoc - zaproponował ktoś. - I skłócić naszych wrogów, żeby wzięli się za łby.

-Czy dajesz nam, panie, wolną rękę, by czynić wszystko, co niezbędne? - spytał Jerimas.

-Oczywiście. Obawiam się, że nadchodzi wojna, w której albo staniamiy dzielnie, albo zginiemy.

-W przeszłości unikałeś trudnych wyborów - odezwał się Jerimas. - Niewiele darów przyjąłeś i wolałeś oszczędzać darczynców Bąja Ahtena. To świadectwo dobroci serca, ale obawiam się, że głos sumienia musi ulec prawom wojny.

Gaborn spojrzał na mądrych. Jeszcze przed chwilą na ich twarzach malowała się miłość. Teraz były surowe, wymagające. Tak jak oblicze jego ojca...

-Pozbawieni pełnego wsparcia mocy ziemi musimy działać szybko - powiedział Jerimas. - Wynajac zacieznych, sygnac łapówkami, zebrać dary, wysłać zbrojczy, wykuc bron i ufortyfikować granice.

Gaborn zgrzytnął zębami. Nie chciał wojny z sąsiadami, ale wiedział, że jeśli jej nie podejmie, znajdzie się w matni. Nie miał wyboru.

-Co radzicie?

-Dobrze zacząłeś - odparł Jerimas głosem króla Ordenu. - Dobrze uczyniłeś, wasza królewska moc, wysyłając księcia Celinora do ojca. Teraz trzeba jeszcze pchnąć posłance do Internooku i zebrać tylu najemników, ilu tylko się da. Uprzedzimy Andersa i innych. Gdy urosniemy w siłę, nie zyskają poparcia dla swej sprawy.

Gabornowi spodobał się ten pomysł. Miałby więcej ludzi do obsadzenia granic.

-Potem będziemy musieli się zająć Królem Burz, Algierem i Zandarosem - powiedział Jerimas. - Słyszałem, że nasłab zbrojczy?

-Tak - potwierdziła loma. - Z pismem opatrzonym śmiertelną klątwą.

-Ostatnimi czasy nie mieliśmy z nim żadnych zatargów, można zatem przypuszczać, że jego wrogość pobudziły plotki rozsiewane przez Andersa albo Lowickera. Ktoś będzie musiał porozmawiać z królem w twoim, panie, imieniu. Musimy zaproponować mu pokój, przygotowując się jednocześnie na najgorsze.

-Zgoda.

-Zandaros poczuje sie urazony, jesli nie bedzie to twoj rodak -dodal Jerimas. - To stary inkarranski zwyczaj. Im blizsze pokrewienstwo posla, tym lepiej. Najlepszy bylby chyba Paldane.

Gaborn zawahal sie. Kazda podroz do Inkarry wiazala sie z ryzykiem. Krol Burz bywal porywczy. Ku wielkiej konsternacji mlodego krola Jerimas spojrzal nagle na lome.

-Ja moze jechac - powiedziala szybko. Jerimas pokiwal glowa. To ulatwiloby sprawe.

Gaborn jednak zdretwial. Wyczuwal chmury gromadzace sie nad glowa jego zony.

-Nie, ciebie nie smialbym posylac. Wole, zebys zostala ze mna. Znajdziemy kogos innego, moze mojego kuzyna.

-Tez zapewne wystarczy - przyznal Jerimas. - Zastanowie sie nad tym, wasza krolewska mosc.

Mimo wszystkich darow Gaborn poczul sie wyczerpany. Nie bylo to tylko zwykle, fizyczne zmeczenie. Od wielu dni nieustannie wysilal umysl. Przymknal powieki.

-Zostawiam wam przeprowadzenie tego wszystkiego - powiedzial. - Probujecie ukladac sie w sprawie pokoju i szykujcie obrone. Ale nie wysylajcie zabojcow. I zadnych atakow uprzedzajacych. Nie walczymy... -Nie mogl przestac myslec o ostrzezeniach Binnesmana, ze nie chodzi o ludzi ni raubenow, ale o niewidoczne moce. Tylko co to mialo znaczc? Jak pokonac niewidzialne? Jak stawac przeciwko powietrzu czy plomieniom? - ...nie walczymy tylko z ludzmi i raubenami - podjal po chwili. - Obawiam sie, ze to taka wojna, ktorej nie da sie wygrac jedynie mieczem i tarcza.

Slyszac to, Binnesman uniosl glowe znad dzikiej.

-Uczysz sie, moj panie - mruknal. - Rownie dobrze moglbys probowac ugasic slonce albo wyczerpac powietrze.

Wszyscy spojrzeli na przygarbionego czarnoksieznika.

-Chcesz powiedziec, ze nie mozemy wygrac? - spytal Jerimas.

-Wlasnie - przyznal Binnesman. - Naszym celem nie jest wygrana, lecz tylko przetrwanie.

W tym rzecz... pomyslal Gaborn. Mam tylko uratowac ludzkosc... Przeciagnal sie i zostawil rozgadanych nagle madrych, ktorzy planowali juz, do kogo najpierw wyslac poselstwo i ktore fortece umacniac w pierwszej kolejnosci. Niech pracuja...

Binnesman wrocil do swojej dzikiej. Polozyl jej na czole powykrecany korzen i zaczal cos zawodzic.

Gaborn nie chcial przeszkadzac mu w intonowaniu zaklecia. Ruszyl do drzwi. loma poszla za nim. Na zewnatrz padal deszcz, zlociste krople migotaly w bijacym z zajazdu swietle. Stojace dalej domy byly ledwie widoczne.

Po prawej skroni Gaborna splynela powoli duza kropla potu. loma scisnela mocno meza, zeby choc troche ulzyc mu w rozterce.

-Cos nie tak? - spytala.

-Wyczuwam... nowe niebezpieczenstwo - odparl Gaborn. - Mialem nadzieje, ze madrzy mojego ojca zdolaja pomoc, ale obawiam sie, ze jakkolwiek by sie starali, nic z ich planow nie wyjdzie.

-Nie pozwoliles mi pojechac z poslaniem - powiedziala loma tonem wyrzutu. - Wyczules cos konkretnego?

-Konkretnego nie... Ale zostan przy mnie.

5 MILOSC ODNALEZIONA

Milosc przychodzi i odchodzi, ale nic nie jest w zyciu rowne wazne jak ona. - przyslowie z Fleeds Erin wyszczotkowala rumaka i podsunela mu miln. Czekala ja dluga droga przez Fleeds i dalej, do Crowthenu Polnocnego. Musiala dobrze zadbac o konia, jesli mial to wytrzymac. Chciala jechac, mimo ze obawiala sie, co ja czeka. Ojciec Celinora naprawde wydawal sie grozny, a na dodatek knul po swojemu, starajac sie wykazac, ze Erin ma prawo do korony Mysterrii. Mozliwe, ze sama bedzie musiala stawic mu czolo...

Za drzwiami stajni szumial jednostajnie deszcz. Pachnialo wilgotna ziemia i slodkawym konskim potem.

Po bitwie o Carris Erin stwierdziła, że tęskno jej do woni otwartego stepu. Odor bitwy i widok umierających zbyt ją przygnębiły. A dobiło ją, że Raj Ahten, zabójca jej ojca, odszedł wolny...

Najchętniej wystawiłaby się na jesienny deszcz, żeby zmył z niej wszelkie plugastwo.

Przez cały, spędzony w zajeździe wieczór czuła na sobie ukradkowe spojrzenia Celinora. Patrzył na nią, ilekroć odwracała głowę. Tak samo było, gdy jechali na północ.

Wiedziała, że jeśli spróbuje ją zdobyć, to uczciwie. Przed bitwą o Carris spytał, czy pójdzie z nim do loża, jeśli zdarzy się, że uratuje jej życie. Mało dworna prośba, ale pochodzili z dwóch różnych krajów, a każdy miał swoje zwyczaje. Książę nie wiedział, jak podejść do kobiety z Fleeds, nie poczuła się zatem urażona.

A potem faktycznie dwa razy wybawił ją od śmierci, chociaż był zbyt taktowny, aby obecnie jej o tym przypominać. Niemniej myślał o sprawie, tego nie dało się ukryć.

Celinor oglądał właśnie podkole przy lewej przedniej nodze swojego konia i nie próbował nawiązać rozmowy.

Erin zajrzała na stryżek pełen ciepłego, wonnego siana. Dach nie przeciekał i było tu całkiem sucho.

Stajenny skończył szcztokować konie mądrych, dał im obrok i poszedł spać. W końcu zostali sami.

Celinor, oporzadziwszy wierzchowca, wszedł do komórki naoliwić siodło i uprzaz.

Erin wśliznęła się za nim, wzięła do ręki wiszący przy drzwiach rzemień i szybkim ruchem narzuciła go księciu na szyję. Zesztywniał w pierwszej chwili.

-Chodź ze mną - szepnęła.

-Co?

Nie tracić czasu na gadanie, pociągnęła za rzemień i poprowadziła Celinora w kierunku stryżku.

-Dokąd? - spytał. - I po co ten rzemień?

-W dawnych czasach nasze siostry odławiały sobie meżów tak samo, jak odławia się zrebaki na stepie. Łapały ich na linie i brały do zagrody. Teraz już się tego nie praktykuje, ale ja lubię tradycję.

-Nie musisz... Nie musisz ze mną spać... Owszem... uratowałem ci dzisiaj dwa razy życie, ale jakbyś nie zauważyła, tobie udało się to samo. I też co najmniej dwa razy...

Erin obróciła się do niego.

-Myślisz więc, że jesteśmy kwita? Zobowiązania się wyrównały?

Celinor skinął głową. Może chciał tylko okazać jej szacunek. A może po prostu był niesmiały.

-Ratować komuś życie można na wiele sposobów - szepnęła Erin, która choćby bardzo chciała, nie potrafiłaby wyrazić tego, co właśnie czuła. Żal po śmierci ojca był ciągle silny, a dzień walki wyczerpał jej siły. - Nie dla ciebie to robię... Dla nas...

Celinor przyjrzał się jej uważnie.

-Wyjdiesz za mnie? Teraz, w trakcie wojny?

-Wojna kiedyś się skończy.

Celinor pogłaskał jej włosy i pochylił się, żeby ją ucałować. Erin przysunęła się bliżej.

-Jeśli mnie nie chcesz, wystarczy, że wyslizniesz się z petli.

-A jeśli chce całym sercem? Jak wygląda ślub siostry z Fleeds? Obróciła się i pociągnawszy za rzemień, ruszyła na ciepłe i suche siano.

Chron dobre wspomnienia, o reszcie zapomnij. - powiedzenie z Heredonu - Chcialbym ci przedstawic mojego ojca - powiedzial Borenson, klezczac nad trupem, a Myrrima bezwiednie pomyslala, ze jej maz musial chyba zwariowac. - Ma na imie Roland. W migotliwym blasku trzymane przez dziewczynke latarni Myrrima dojrzala, ze martwy maz rzeczywiscie byl ludzaco podobny do Borensona, jednak wygladal na znacznie mlodszego. Patrzyl martwo w niebo. Gleboka rane w ramieniu spowijal przesiakniety krwia bandaz. Stojaca obok dziewczynka ocierala rekawem zmieszane z deszczem lzy.

-To twoj ojciec? - spytala Myrrima.

-Byl darczynca. Oddal metabolizm rodowi Ordena. Ostatnie dwadziescia lat przespal w Blekitnej Wiezy. Obudzil sie tydzien temu. Nigdy... nigdy wczesniej go nie widzialem.

Myrrima nie mogla wykrztusic ani slowa. Borenson naprawde az do teraz nigdy nie spotkal swojego ojca?

-Ciekawe, ze mozna czasem rozpaczac po smierci kogos, kogo nawet sie nie znalo - ciagnal Borenson matowym, wypranym z emocji glosem. - Gdy bylem dzieckiem, wiedzialem, ze matka mnie nienawidzi. Marzylem wtedy, by ojciec obudzil sie pewnego dnia, odkryl, ze ma syna, i zabral mnie od niej. A teraz wydaje sie, ze naprawde mnie szukal... A ja nie zdolalem go uratowac... I teraz...

Powiadano, ze mystarrscy wojownicy byli twardsi nizli skala i latwo przyjmowali cierpienie i smierc. Podobno w bitwie Borenson potrafil zasiac smiechem strach w sercach wrogow. Nawet w tej chwili staral sie nie okazywac bolu, jednak Myrrima widziala, ze jest u kresu wytrzymalosci.

Matka powiedziala jej kiedys, ze gdy ktos o silnym charakterze zaczyna mowic o swej rozpacz, to znak przepelnienia sie czary goryczy. Czasem cierpieniem trzeba podzielic sie z innymi.

Myrrimie nie przychodzil do glowy zaden gest ani zwrot, ktory bylby w tej sytuacji stosowny. W koncu Borenson podniosl glowe.

Nigdy jeszcze nie widziala w niczyich oczach tyle bolu. Byly nieobecne, nabiegle krwia, z opuchnietymi powiekami. Na dodatek to nie deszcz zmoczyl Borensonowi twarz, ale splywajacy mu z czola pot. Myrrimie przypomniala sie nagle dziecięca rymowanka, ktora dzieci z Heredonu powtarzaly czasem podczas zabawy w szukanego:

Do Derry jedziemy, poki jeszcze mozemy, uciekamy do Derry i tam sie wykapiemy, z wariatem w stawie, razem w zabawie!

-Moge w czymś pomóc? - spytala w koncu. Odwrocil glowe.

-Nielatwo cie zgubic - powiedzial ze scisnietym gardlem.

-Nie. Nie dam sie zgubic. Ja tez cie szukalam.

Zsiadla z konia i stanela nad mezem. Powietrze wkolo nich zgestnialo tak bardzo, tak bardzo pelne bylo napiecia, ze nie powazyla sie polozyc mu dloni na ramieniu.

-Lepiej bedzie, jesli odjedziesz - powiedzial drzacym glosem, wpatrujac sie w ziemie.

-Wracaj do swojej matki i siostr.

Myrrima wiedziala, ze ostatni tydzien byl dla niego bardziej niz ciezki. Zabil swego przyjaciela, krola Sylvarreste, i dwa tysiace darczyncow. Dzialal na rozkaz krola Ordena, ale niewielka z tego czepal ulge. Na dodatek trudno bylo komukolwiek z zewnatrz pojac groze, jaka czul, zamordowawszy zupełnie niewinnych ludzi...

Niemniej obecnie w jego oczach pojawilo sie cos jeszcze mroczniejszego. Cos niewypowiedzianego.

-Co sie stalo? - spytala Myrrima najlagodniej, jak potrafila.

-Nic takiego - odparl Borenson. - Moj ojciec zginal. Znalazlem Saffire, ale tez juz nie zyje. Raubenowie dopadli oboje.

-Wiem. Widzialam jej cialo.

-Gdybys mogla zobaczyc ja wczesniej... - mruknal Borenson i jego oczy rozblyly nagle zywiej. - Byla jak blask slonca, a jej glos... Naprawde myslalem, ze Raj Ahten jej poslucha.

Umilk.

-Wróć do domu! - rzucił ostro po chwili, unosząc głowę. - Nie jestem już mężczyzną, którego poślubiłaś. Raj Ahten o to zadbał.

-O co? - spytała i spojrzała na plamę zaschłej krwi na szacie Borensona.

Zaczynała się w okolicy pasa. Pomyslała, że może rana jest tak głęboka i poważna, że jej mąż z wolna umiera.

-Zrobiłem wszystko, czego Gaborn chciał ode mnie - wyjaśnił. - Przekonałem Saffire, żeby tu przejechała. I zabiłem ją... Wszystkich zabiłem...

Borenson ujął rekojesc topora i dzwignął się z ziemi. Zachwiał się i Myrrima pocięła, że jej mąż zupełnie opadł z sił. Nagle pocięła przyczynę jego stanu: widywała już ludzi lapiących w Carris gangrenę od najłżejszego zadrapania. Kłatwy magini zarażały wszystkie rany. Borenson zaś przebywał na polu bitwy, gdzie zły czar działał najsilniej.

A teraz chwiał się na nogach i ledwie widział na oczy.

Odwrócił się od Myrrimy i zaczął kustykać gdzieś w mroczne miasto. Deszcz padał coraz silniejszy, krople wody spływały z martwych liści drzew. Dziewczynka z latarnią zalkała głośno. Borenson potknął się i padł w błoto pomiędzy martwymi. I leżał w bezruchu...

Dziewczynka krzyknęła.

-Biegnij po uzdrowiciela - poleciła jej Myrrima.

Mama podała jej latarnię. Myrrima podeszła do meza i odwróciła go na wznak. Z tyłoma darami krzepy nie sprawiło to jej żadnego kłopotu. Oczy Borensona zweziły się w szparki. Był półprzytomny. Dotknęła jego czoła. Pocięła, że jest rozpalone.

Dziewczynka nie pocięła szukać uzdrowiciela. Patrzyła, jak Myrrima podciąga kolczugę i tunikę Borensona, by odszukać tak obficie krwawiące rany.

Gdy w końcu ją ujrzała, przeraziła się bardziej niż kiedykolwiek w najgorszym sennym koszmarze. Zaiste, Borenson nie był już mężczyzną, którego poślubiła. Raj Ahten zadbał o to, by nigdy już nim nie był.

7 GLOSZY

Gdy burza szaleje nad dachami, słychać w niej czasem głosy. Ale to głosy umarłych. Mądzy ludzie ich nie słuchają. - maksyma z Rofehavanu W Mysterii nad dachami wioski Padwalton w pobliżu Tide godzinę przed świtem zerwał się zimny wiatr. Przepędził chmury z nieba, odarł kasztanowce ze złocistych liści i zakrył brunatnym kobiercem pozostałości z poprzedniej jesieni.

Zajęczał wśród nagich galezi, załopotał suszącym się praniem starej Triptote i rozkolysał wiadro zurawia przy studni.

Nieco dalej dojarka pocięła, jakby ktoś dotknął jej pleców. Zerknęła za siebie, ale nic nie zobaczyła, otuliła się więc ciasniej peleryną i ponownie zajęła się krową.

Potem wiatr przemknął przez główną uliczkę wioski i zmarszczył powierzchnię pozostałych po nocnym deszczu kałuż. Uderzył w drzwi zajazdu Pod Czerwonym Jeleniem i wśliznął się przez szparę do środka.

Właścicielka gospody wyjmowała właśnie z pieca tace z chrupkami pasztecikami, takimi naprawdę smakowitymi, bo z grzybowym farszem i podlanymi czerwonym winem.

Wciągnęła kójca won w nozdrza i zaniósła paszteciki do głównej sali, żeby przestygły.

Wtedy pocięła dziwny przeciąg.

Ogień w piecu nie dawał wprawdzie wiele światła, ale przez ostatnią godzinę zdążył uczciwie nagrzać pomieszczenie. Oberzystka skrzywiła się i spojrzała na drzwi.

Czyżby były niedomknięte?

Na gorze spali jeszcze kilku Władców Runów zdruzonych po długiej jeździe.

Usłyszeli, że coś złego dzieje się w Carris, i gnali z zachodnich prowincji aż ku wschodniej granicy.

Jeden z nich, baron Beckhurst, daleki jeszcze był od przebudzenia, gdy nagły prąd powietrza owiał mu kark.

-Zabij królowa - wyszeptal mu do ucha sykliwy głos. - Jeśli tego nie zrobisz, syn łomy przerosnie nawet ojca.

Beckhurst obrócił się na bok i otworzył oczy.

-Natychmiast, mój panie - wyszeptal.

Nie budząc kompanów, wstał, ubrał się szybko i podszedł do sterty broni, która przydzwigał tu inny podróżny.

Wybrał dobrze wyważoną kopię z tuzinem obejmujących drzewce żelaznych pierscieni. Dawno temu matka nauczyła go runy powietrza. Nakreslił ją teraz grotem broni i cała kopia spowільmił migotliwy błękitny płomień. Beckhurst czym prędzej wyszedł z zajazdu.

A wiatr ruszył dalej w swoją drogę...

8 NIEBO W PŁOMIENIACH

Po bitwie pod Engfortd spytałem sir Gwylliuma: "Jako ci się twoje dreny przydały?" Zamyslił się on, nim odrzekł: "Nie wynalazł człowiek jeszcze groźniejszej broni! Czterdziestu pięciu rycerzy rozszarpałem między pianiem koguta a wieczorem, a strudzenia nie czuje. Na brodzie ma, z nimi prawy człek przemoc może każde barbarzyństwo!" A potem jego żona rzekła: "Ale okrutnik w dreny posażny zaliczyć będzie zdolny barbarzyństwem świat cały". - o wynalezieniu drenów, z Kronik sir Gwylliuma z Seward, spisanych przez jego Dziennika Godziny przed swiłem gwiazdy zapłonęły nagle na niebie, jakby wzniecić chciały pożar. Raj Ahten gnał przez góry Heist w kierunku pustyni Indhopalu. Pot zalewał mu czoło, krew saczyła się z ran w kolanie i piersi. Rozdarta przez dziką karacena podzwaniała przy każdym kroku.

Szlak wiał się skrajem przepaści i przez gólorozbieg, znikał pod czarnymi sosnami, które wczepiały się korzeniami w skalisty grunt pokryty teraz cienką warstwą śniegu.

Las te nawiedzał wrog gorszy jeszcze niż raubenowie. Gaborn zwrócił wielu Niezwycięzonych przeciwko dawnemu ich władcy. Całkiem niedawno jakiś ich oddział musiał jechać tą przełęczą, na śniegu widać było świeże ślady kopyt.

Raj Ahten musiał zatem wybierać takie ścieżki, którymi jeździec by nie przejechał, i kluczyć, żeby unikać własnych oddziałów.

Wilki wyły w cieniach. Złapały won krwi i gonili za rannym z nadzieją na łatwą zdobycz. Ahten też czuł odór własnej posoki gluszczy zapachy śniegu, kamieni i sosen.

Ciągle ciężko mu było oddychać, mięśnie klatki piersiowej prawie że odmawiały posłuszeństwa, a rozrzedzone górskie powietrze paliło płuca żywym ogniem.

Karacena nie dość, że ciążyła niemilosiernie, to jeszcze metalowe blaszki wyciągały z niej całe ciepło. Dzwigał ją prawie do końca nocy, a w końcu zdarł i cisnął między skały.

Czarne łuski rozsypały się na śniegu poniżej szlaku. Żoładek skrecał mu się w supel z głodu.

A przecież z tyloma darami krzepy i sił życiowych powinien wciąż być pełen energii, gotów do wielkich czynów.

Zastanowił się nad tą dziwną słabością, która go opadła. Od ataku dzikiej Binnesmana minęło już jedenastdzieci godzin. Zielona kobieta połamała mu zebra i mostek. Może nie wygoili się jak należy? Przez całą noc czuł ból i w piersi, i głęboko w mięśniach, jakby był poważnie chory.

Przeraził się, że może część jego darczynców zginęła i stąd ta zmiana. Jednak śmierć darczyncy powodowała zawsze przyływ mdłości, który trudno było pomylić z czymkolwiek innym. A nic takiego się nie zdarzyło.

Cicho podkradł się do grani kolejnego wzniesienia, zerknął na drugą stronę i ujrzał coś osobliwego. Jakies pół mili dalej spoczywał w dolince jego zwiadowczy balon w kształcie graaka.

Obok na ziemi płonęło ognisko. Błask płomieni padał na śnieg i jedwabną powłokę balonu.

Kilku ludzi piło przy ogniu herbatę. Był tam jego doradca Feykaald i tkacze płomieni:

Rahjim, Chespot i Az. Oraz jego Dziennik.

Stary Feykaald w szarym burnusie otulił się czarnym płaszczem niczym kocem.

Tkacze płomieni nosili tylko przepaski biodrowe i siedzieli prawie że w ogniu, ciesząc się jego goracem. Płomienie już dawno pozbawiły ich brunatne ciała wszystkich włosów, a oczy lśniły niczym zwierciadła.

Najwierniejsi poddani Baja Ahtena czekali cicho na niego... A może nawet go jakos przyzwali?

Wilk zawiesił młot bojowy na petli i ruszył do obozowiska.

-Saalam! - zawołał. Pokój z wami.

-Saalam - odpowiedział mu słaby i nierówny chór głosów.

-Rahjim, widziałeś przejeżdżający patrol? - spytał Ahten jednego z tkaczy płomieni.

-Tak. Ładując, napotkaliśmy jeźdźców. To byli Ah'kellah. Przewodził im Wuqaz Faharaqin, który wiozł głowę swojego krewniaka, Pashtuka. Bedzie próbował rozpalić atwabe przeciwko tobie, panie.

-Wichrzyciel... Ale dobrze, że nie wszyscy moi ludzie posłuchali Króla Ziemi.

Rahjim wzruszył ramionami.

-Równie dobrze mogłoby wybierać bawolu - odparł, puszczając dym z ust.

Raj Ahten tylko mruknął potakująco. Stał przy ogniu i grzał ręce. Drwa trzaskaly, iskry leciały w niebo. Ogień przynosił ulgę. Ogrzewał i usypiał ból. Płomienie sięgały długimi językami do jego palców, chociaż brakło wiatru. Możliwe, że to tkacze zmusili ognisko do posłuchu. Wszyscy trzej patrzyli na Baja Ahtena wyczekująco.

W końcu Rahjim zebrał się na odwagę.

-O, wielki... - odezwał się. - Dobrze się czujesz?

-Prawie... - Wilk niezbyt wiedział, jak opisać swój stan. Był osłabiony i jakby zagubiony. - Nie do końca. Możliwe, że straciłem część darów.

Rahjim przyjrzał mu się badawczo. Tkacze płomieni znali sztukę uzdrawiania i potrafili rozpoznać większość dolegliwości.

-Tak, twój blask przygasł, wasza wysokość - przyznał Rahjim. - Proszę, wciągnij głęboko w płuca dym z ogniska i wydychnij go na mnie.

Wilk pochylał się nad bierwionami i wciągnął w płuca sosnowy dym. Wypuścił go powoli. Tkacze patrzyli uważnie, jak siwe smugi rozchodzą się w powietrzu.

Nagle oczy Rahjima rozszerzyły się z przerażenia. Obejrzał się na pozostałych, jakby szukał potwierdzenia, ale przez dłuższą chwilę nie wazył się odezwąć.

-Co jest? - spytał Raj Ahten, zastanawiając się, czy to nie klątwy magini raubenów się na nim odcisnęły.

-Cos się w tobie zmieniło, panie... - wyjaśnił Rahjim. - To nie jest zwykła choroba.

Czary to sprawiły... Klątwa Binnesmana. Pamiętasz Longmot?

-Właśnie! - dodał Az. - Też to widzę!

-Co widzisz? - zapytał Ahten.

-Ziemskie moce odstepują od ciebie, panie. I to właśnie powoduje te... zmiany.

-Jakie zmiany? - dociekał Wilk.

-Straciłeś siły życiowe. Jeden dar. I jeden dar umysłu, i jeden krzepy...

-Tylko jeden? A czuję, jakby więcej...

-Straciles swoje dary zwornikowe - wyjasnil Rahjim.

Mianem darow zwornikowych darmistrze nazywali wlasne, przyrodzone dary czlowieka. Te, z ktorymi sie urodzil. Tak jak zworniki hakowych sklepien spajaly gmachy, tak i dary zwornikowe czynily czlowieka jednoscia. Wiesc byla bardziej niz niepokojava.

-Umierasz, o wielki - dodal Chespot. - W pewnym sensie juz jestes martwy.

Raj Ahten wciaz nie pojmul.

-Co takiego?

Slyszal o ludziach, ktorzy chociaz martwi, nadal oddychali. Straszono go nimi w dzieciinstwie. Wiedzial, ze szalency moga czasem maskowac swoj stan umyslu darem pamieci, chociaz i tak myslenie idzie im zawsze wolniej niz innym. Niekiedy zas zabity Wladca Runow potrafi zyc jeszcze wiele godzin albo i dni zawieszony miedzy bytem a niebytem...

-Czymze wiec jestem? - spytal niepewnie.

-Czyms, co jeszcze sie nie zdarzylo - odparl Rahjim. Chespot spojrzal krytycznie na kompana.

-To nie bylo co tak przezyc swoj czas. Twoje zycie dobieglo konca, ale dary nie powrocily do darczyncow. Zrobiles znaczacy krok ku wielkosc. Sadze, ze stales sie Suma Wszystkich Ludzi. Jestes wieczny.

Naprawde? zastanowil sie Raj Ahten. Od lat zbieral dary w nadziei, ze naprawde bedzie jak Suma Wszystkich Ludzi, mityczny maz, ktory zyskal niesmiertelnosc.

Tak urosł w sile, ze bardziej przypominal zywiol niz czlowieka.

Niemniej cos wciaz sie nie zgadzalo. Nie tego dokladnie szukal. Chespot sie mylil.

Wcale nie czul sie teraz wielki i na dodatek ciagle slabl, calkiem jak szamoczaca sie w pajeczynie cma.

-Wasza wysokosc, czy pamietasz, kiedy to sie zaczelo? - spytal Dziennik.

Raj Ahten jeknal w duchu. Cos umarlo w nim wraz z odejsciem Saffiry, najpiekniejszego i najrzadszego z kwiatow. A potem, gdy wezwal Niezwycieczonych, zeby pomogli mu pokonac Gaborna, oni ruszyli nagle na swego krola. Ponura to byla walka.

Ledwie wyszedl z niej zywy. A jeszcze pozniej...

-Nie pamietam - sklamal.

Przez dluzsza chwile nikt sie nie odzywial.

Plomienie z ogniska popelzly po ziemi w kierunku Wilka. Wysunal ku nim prawa dlon. Ogień oblizal ja, ale nie sparzył, tylko milym cieplem rozlal sie po kosciach i zlagodzil bol. Mily i kojacy niczym przeswiecajacy przez liscie blask slonca. Tkacke plomieni ze zrozumieniem pokiwali glowami.

-Widzicie, jak go szuka? - powiedzial Az.

Raj Ahten myslal, ze to tkacke kieruja plomieniami, ale teraz pojal ze zdumieniem, jak bardzo sie mylil.

-Moce ziemi uszly z ciebie, ale nie wszyscy potrzebuja ich wsparcia - wyjasnil Rahjim. - Dobrze sluzyles naszemu panu. Lasy Aven na twój rozkaz zostaly spopielone. Jesli czujesz sie chory, nasz pan bedzie ci sluzyl. Wejdz w ogien, niech cie oczysci.

Oddaj mu sie, a on da ci zycie.

Na twarzy tkacza malowal sie wyraz bliski ekstazie, tak jakby od lat wypatrywial tej chwili.

Plomienie posunely sie troche dalej i lakomie liznely snieg.

Raj Ahten cofnal sie i spojrzal na swa dlon. Owszem, przestala dokuczac, jakby opatrzona. Ale Binnesman ostrzegal Wilka, ze nazbyt uleglplywowi ognia. To prawda, ze teraz ogien probowal wykorzystac go do swoich celow, tak jak on

wcześniej czynił z tym zywiolem.

Przerazony Ahten dostrzegł, jaki wybór go czeka. Albo pozostanie w obecnym zawieszaniu i pożyje tak długo, na jak długo starczy darow, albo wejdzie w ogień i zatraci człowieczeństwo. Stanie się taki jak tkacze płomieni.

Zrobił chwiejnie kilka kroków do tyłu, na wielką łachę śniegu.

Feykaald i Dziennik wstali, żeby pójść za nim, ale powstrzymał ich ruchem ręki.

Chciał być sam. Serce waliło mu niemilosiernie.

-Ogień wzywa. Nie wiadomo, jak długo będzie zapraszał -ostrzegł go Rahjim.

Raj Ahten odwrócił się i odbiegł od obozowiska. W końcu zatrzymał się zdyszany.

Spojrzał na drogę w dolinie. Wiała się pomiędzy drzewami i kilka mil dalej ginęła w chmurach. Za nimi rozciągała się ciemna teraz, wielka pustynia.

Nad lasem przesuwał się cień polujacej sowy. Wilk śledził ją spojrzeniem, aż zniknęła na tle gwiazd. Na północnym wschodzie wylaniało się z mgieł kilka samotnych szczytów górskich. Piękny widok.

Blask rozjaśniał śnieg wokół, drzewa czerniały smukłymi strzałami... Jak twarz, z której krew odeszła, pomyślał Ahten. Wszystkie jego myśli obracały się wokół śmierci.

Zacisnął powieki i przywołał obraz Saffiry powalonej na polu pod Carris. Krew ciekła jej z czoła i z nosa...

Ona nie żyje, ale ja przetrwałem...

Zacisnął zęby, żeby nie poddać się żalobie. Jednak nie mógł przestać myśleć o tym, co stracił. Jeszcze wczoraj jechała ta droga... Nadal można by wyczuć jej jasmurowy trop.

Odwaga i poświęcenie przywiodły ją do zguby.

Saffira zginęła. Szkoda, że nie Gaborn.

-Dlaczego? - wyszeptał do ziemi. - Przecież mogłaś mnie wybrać na swego króla...

Dlaczego postąpiłaś inaczej?

Nasłuchiwał przez dłuższą chwilę. Naprawdę spodziewał się odpowiedzi. Z przyzwyczajenia, gdyż od zawsze mu odpowiadano. Wiatr poruszył galeziami, mysz przemknęła przez okryte śniegiem trawy. Nikt bez darow słuchu nawet nie ułowiłby odgłosu jej kroków. Ale to wszystko...

Raj Ahten wyrosł wśród opowieści o tych, co oszukali śmierci. Osiemdziesiąt lat wcześniej panował król Hassan Bezglowy, który przyjął sto czterdzieści darow sił życiowych.

W walce wrog uciął mu głowę, jednak on, całkiem jak zaba, wciąż nie umierał.

Pelzał tu i tam i próbował nawet pisać na piasku błagania, żeby go dobić. Jednak wrog był okrutny i zamknął bezgłowe ciało w klatce. Matka Baja Ahtena opowiadała, że pewnej nocy Hassan zdołał uciec i nocami do dziś slychac czasem na pustyni, jak blaka się wśród piasków, szukając zemsty.

Opowieść napelniała dzieci przerażeniem, jednak Wilk sprawdził w końcu dokładnie, jak było. Hassan stracił w walce tylko wierzchołek czaszki i zostało mu dość mózgu, by mógł wegetować jeszcze trzy tygodnie, aż w końcu robactwo pożarło jego ciało.

Dla pewności Ahten obciął gołębą czaszkę jednemu z pojmanyh zabójców, dobrze wyposażonemu w dary sir Roberowi z Clythe. Był przekonany, że sam pożyłby w takich okolicznościach o wiele dłużej.

Teraz jednak musiał dokonać trudnego wyboru. Chociaż w głębi ducha obawiał się, że wszelki wybór został już przed nim zamknięty...

Zacisnął pięści. Krew żywej zaszumiała mu w tętnicach.

-Ziemia będzie moja, Gabornie - poprzysiągł polglosem.

Otworzył oczy. Na jednym z drzew w dole dojrzał dwa srebrzyste punkty. Gdyby nie dary wzroku, nie miałby szansy ich zobaczyć. To były dwa wielkie zuki splecione w walce.

Jeden był już martwy, ale drugi nie mógł się uwolnić spod jego splatanych kończyn.

Jesienią zdarzało się czasem, że wielkie zuki tak zapalczywie ruszały do walki, że oba ginęły, chociaż tylko jeden z nich walce przegrał.

Nie wyglądało, że zwycięzca długo jeszcze cieszyć się będzie życiem.

Nie muszę wybierać już teraz, pomyślał Raj Ahten. Ogień może poczekać.

Ostatecznie Hassan miał tylko ułamek tych sił życiowych, którymi ja dysponuję...

Z zasnutych mgłą wozów wyłonił się nagle królewski ogier w pełnym galopie.

Wilk przyjrzał się jeźdźcowi. Był to chłopak z pustyni, może dziewięcioletni i u kresu sił.

Nosił biały burnus, czarna peleryna i turban. Do siodła miał przytroczoną szkatułkę z wiadomością. Była inkrustowana złotem, co zdradzało, że informacje są najwyższej, państwowej wagi. Wilk poczuł dziwną pewność, że zamknięto w niej złe wieści.

Wrócił do ogniska i balonu.

Chłopiec smagnął konia, ale gdy był już blisko, zwierzę wystraszyło się jedwabnego graaka. Mokre od potu i zdyszane zaczęło tanczyć i rozdymać chrapy.

-O wielki! - krzyknął posłaniec, gdy rozpoznał Baja Ahtena. - Wczoraj o świcie raubenowie opanowali kopalnię krwawego metalu w Kartishu! Sama władczyni podziemi ich prowadzi!

Feykaald otworzył szeroko usta z przerażenia.

-Jeśli to był podobny atak jak na Carris...

Raj Ahten nie wiedział do niedawna, jak niebezpieczna może być horda raubenów.

Teraz odtworzył w pamięci obraz magini na Koscianej Gorze. Wymachiwała cytrynową łaską i trula ludzi smrodliwymi zakleciami, od których ciało niemal odchodziło od kości...

W Kartishu zniszczenia mogły być równie wielkie... czyli niepowetowane. Same straty w planach groziłyby głodem całemu Indhopalowi.

-Wszyscy ruszyli do walki - dyszał chłopak. - Na straży zostali tylko twoi podwładni w Palacu Kanarków w Om. Zabierają twych darczynców na północ. Wysłali mnie...

-Mówisz, że władczyni podziemi ich prowadzi?

-Tak - potwierdził chłopak z przerażeniem w oczach. - Wielka magini. Nikt jeszcze nie słyszał nawet o podobnym potworze.

Oczywiście, pomyślał Raj Ahten. Najlepsze oddziały raubenowie wysłali nie do Carris, ale do Indhopalu. Kraj był to większy niż Rofehavan, potężniejszy i bardziej ludny.

Tylko najodważniejsi spośród raubenów mogli tam czegoś dokazać.

Wilk wiedział już, co czynić. Rozpaczliwie potrzebował nowego wojska. Ściągnął chłopaka z konia i sam wskoczył na siodło.

-Trzymajcie się za mnie, jeśli zdołacie! - krzyknął do tkaczy płomieni.

Feykaald spojrzał na niego, oczekując rozkazów. Wilk zastanowił się pośpiesznie.

-Wracaj do Carris - polecil. - Sprawdz, co Krol Ziemi zrobil z moimi drenami.

Bede ich potrzebował.

-On mi nie uwierzy - odparl doradca.

-Uwierz, jesli go przekonasz, ze przybywasz wbrew mojej woli. - Odwiazal szkatulke i cisnal ja Feykaaldowi. - Powiedz mu o raubenach w Kartishu i ze prowadzi ich wladczyni podziemi. I ze przybyles blagac go o ratunek dla Indhopalu.

-Mylisz, ze przybedzie?

-Bez dwoch zdan.

-Jak kazesz, panie.

Raj Ahten zawrocil ogiera i ruszyl w kierunku Kartishu.

9 ZRODZONA DO CZAROW

Me mialem ojca. Jak wszyscy Straznicy Ziemi, z niej sie wlasnie zrodzilem. - czarnoksieznik Binnesman Jasnialo juz z wolna na wypalonych polach trzydziesci mil na polnoc od Carris, gdy Averan skonczyła opowiadac Myrrimie, co ja spotkalo.- I to juz wszystko? - spytala Myrrima.

-Wszysciutenko - odparla Averan. Zdala relacje z pierwszego spotkania z Rolandem Borensonem, szwagrem Myrrimy. Opowiedziala o baronie Pollu, zielonej kobiecie i calej drodze do Carris, o tym, jak potem rozstala sie z Rolandem oraz Pollem i zostala uratowana przez meza Myrrimy towarzyszonego Saffirze. I jak potem pomogla sir Borensonowi wejsc do miasta w poszukiwaniu ojca.

Wiedziala, ze kazde jej slowo napelnia Myrrime bolem. Trawiony goraczka sir Borenson spal na wozie. Myrrima opatrzyła go jak umiala, nasmarowala balsamami, a nawet polala winem, szepczac przy tym wodne zaklecia. Z obawy przed czajacymi sie jeszcze w ciemnosci raubenami przeczekali noc w Carris. Niemniej Myrrima zdecydowala, ze o pierwszym blasku opuszcza to ponure miejsce. Miala nadzieje, ze przebywajacy w Balington krolewski uzdrowiciel pomoze jej mezowi.

Mocne darami konie zywo ciagnely woz przez spustoszona kraine. Averan zabrala sie z nimi, powiadajac, ze ma pilna wiadomosc dla krola. Nie wszystko dotad wyjawila Myrrimie...

Zimne, czerwone oko slonca wyjrzalo zza porosnietych debami wzgorz. Averan zerknela na nie i oslonila twarz kapturem plaszczka. Nie przepadala za nim ostatnio. Skora zaczynala ja swedziec, jakby dotknela trujacego bluszczu.

Niemniej dziwowala losowi, ze nie jest Borensonem. Gdy Myrrima uniosla jego kolczuge i tunike, dziewczynka zdolala dojrzec, jaka to rane odniosl. Paskudna bylaby w kazdych okolicznosciach i bez infekcji. Averan nie pojmowala, jak jeden czlowiek moze zrobic drugiemu cos takiego.

-Myrrimo - zagadnela - gdy utnie sie jajka bykowi, zostaje wolem. Kon bez nich to walach. A jak nazywa sie czlowieka, ktoremu je ucieto?

-Eunuchem. Raj Ahten zrobil eunucha z mojego meza.

-Aaa... To znaczy, ze nie moze miec dzieci, tak? Myrrimie lzy naplynely do oczu, ale zacisnela wargi.

-Zgadza sie - potwierdzila. - Nie mozemy miec dzieci. Averan nie smiala jej zadac nastepnego pytania. Byloby dla niej nazbyt bolesne.

-Widzialam, ze oplakiwalas Rolanda - powiedziala po chwili Myrrima.

-Bo zginal... Wszyscy moi bliscy zgineli... Roland, Brand, moja matka...

-Bylam w Longmot, gdy zjawil sie tam duch Erdena Geborena - wspomniala Myrrima. - Zadal w rog, a wszyscy, ktorzy zgineli tego dnia, powstali i przylaczyli sie do lowieckiej kompanii. Byli szczesliwi, Averan. Smierc to nie koniec. To nowy poczatek.

Jestem pewna, ze i Roland jest szczesliwy, gdziekolwiek sie znalazl.

Averan nie odpowiedziala. Niezbyt dowierzala, ze zmarli moga byc szczesliwi.

-Nie znalazas go dlugo - wspomniala Myrrima, jakby to moglo w czymkolwiek ulzyc.

Averan potrzasnela glowa.

-Nie... - Pociagnela nosem. - Powiedzial, ze poprosi diuka, zeby zgodzil sie na adopcje. Chcial zostac moim ojcem. Nigdy nie mialam ojca...

Myrrima ujela dlon Averan i spojrzala jej w oczy.

-Gdyby diuk sie zgodzil, zostalabym twoja przyrodnia siostra. Nie mialabym nic przeciwko temu.

Averan zacisnela zeby, starajac sie opanowac bolesny grymas twarzy. Jednak drzala na calym ciele i nie potrafila zapomniec najgorszego. Ani wyjawic Myrrimie, ze zeszlej nocy ucztowala na mozgu raubena i wciaz drecza ja wspomnienia bestii.

Zsunela sie z kozla, przeszla na tyl wozu i zwinela sie na sianie, ktore milo pachnialo koniczyna i owsem. Wtulila twarz w zdzbla, ale wizje nie znikaly.

Wciaz widziala olbrzymia maginie raubenow krocza pod gore podziemnymi korytarzami. Czula roztaczana przez nia won... Wszystko to bylo o wiele bardziej rzeczywiste niz jej wlasne zycie, chociaz nijak nie przypominalo normalnych, ludzkich wspomnien.

Raubenowie nie mieli oczu, wyczuwali otoczenie poprzez wyrostki, ktorych natury Averan nie pojmowala. Zywe istoty postrzegali pod postacia otaczajacego je blasku, ktory przypominal niegasnaca lune blyskawicy.

Wielka magini przemawiala do poddanych zapachami. Nakazywala, zeby kroczyli za nia. I nie bylo wyboru. Raubenowie szli, chociaz wiedzieli, ze tam, dokad maja isc, czeka meka i zaglada.

-Nie bojcie sie - powiadala magini woniami wydzielanymi przez gruczoly okoloodytowe. - Wyczuwacie bol i cierpienie, ale nie stana sie one waszym udzialem.

Poznacie slodki smak krwi wiernych.

Obraz zblakl, jakby cos przeslonilo widok.

Averan musiala sie chyba zdrzemnac, bo gdy znow otworzyla oczy, juz tak nie piekly.

Tyle ze brzuch pobolewal ja z przejedzenia. Przycisnela dlonie do mostka.

Pamietala, co bylo dalej, i to ja przerazalo. Dreny i zaklecia...

Jedyna Prawdziwa Mistrzini przekazala swym slugom dar, tyle ze Averan nie pojmowala za bardzo jaki. Nie zjadla dosc mozgu potwora, nawet nie dziesiata czesc. Nie przyswoila sobie calej wiedzy, totez nie potrafila za bardzo pojac, co wlasnie widziala.

I te fragmenty przerazaly ja najbardziej.

Sprobowala mimo wszystko skupic sie na pytaniu, dlaczego raubenowie postrzegali ludzi poprzez ich blask. Wiedziala, ze w kazdym jest swiatlo. Pewnej letniej nocy, gdy chmury przetaczaly sie nisko nad gniazdem graakow w warowni Haberd, zsunela z siebie welniany koc i ujrzala jakby plomyki migoczące na skorze. Brand powiedzial potem, ze to bylo wlasnie jej wewnetrzne swiatlo.

Ulozyla sie obok sir Borensona i oparla glowe na jego ramieniu. Zauwazyla, ze jakies male, zielone korzonki wczepily sie w jej plaszcz. Sciagnela kilka, rzucila na sterte siana.

Cala noc padalo i materia byla wilgotna, latwo zbierala smieci.

Ale te korzonki sie rozwijaly... Byly wszedzie. Pomyslala, ze zajmie sie nimi pozniej.

Woz przejechal pod okrytym liscmi drzewem. Averan wyczula w powietrzu won pol i lasow.

Usiadla nagle. Wyjechali poza martwa kraine! Niemniej glowa ciagle ja bolala.

Skrzywila sie, widzac coraz jasniesze slonce, i lepiej otulila sie plaszczem.

Po nocnej burzy słońce wschodziło na niebie pokrytym tylko tu i ówdzie chmurami i zalewało szmaragdowe wzgorza srebrzystym blaskiem. Koguty w pobliskiej wiosce zaniosły się pianiem, jakby przez miesiąc nie miały okazji witac dnia. Wszędzie unosił się śpiew skowronków i jazgot klebiących się na krzewach wroble.

Po lewej niskie wzniesienia wyrastały coraz wyższe i przechodziły w pogorze.

Deszcz je oplukał i teraz szkarłatne, rdzawe i złociste liście drzew pyszniły się pełną paletą odcieni.

Po prawej przez olchowy gaj wiał się srebrzysty strumień. W dole jego biegu białe kaczki szukały czegoś na śniadanie.

Przy drodze zaś rozłożyła się wioska - kilkanaście przysadzistych, krytych strzechami zabudowań i mury ogrodów porośnięte bluszczem oraz dzika róża.

Wszystko pełne było życia. Wszystko, tylko nie sir Borenson. Nie był już blady, ale czerwony na twarzy. Pot spływał mu z czoła.

-Gdzie jesteśmy? - spytała Averan.

-W Balington. Spalas ponad godzinę.

Averan spojrzała na domy. Wczoraj potrafiła wyczuć obecność Gaborna na polu bitwy. Widziała go jako zielony płomień, i to nawet wtedy, gdy zamykała oczy.

Teraz jednak, chociaż wiedziała, że podobno Król Ziemi bawi właśnie w tej wiosce, nijak nie mogła go dostrzec.

Niemniej w Balington było coś szczególnego. Wyczuwała drzemiacę w okolicy moc, moc pradawna i przepiękna.

Wjechali do wsi, mineli ze czterdziestu wspaniałych, okrytych derkami rumaków stojących z obrokami przed stajnią. Averan dostrzegła otoczony przez gwardzistów wóz ze szkatułą królewską. Wyglądało na to, że Gaborn szykuje się do drogi.

Wioskowy chłopak w skorzanych spodniach, zielonym kubraku i czapce z piórem prowadził drogą krowe, której mleko wyciekło ze strzyków.

Myrrima zatrzymała konie.

-Gdzie jest królewski czarnoksiężnik?! - zawołała do pastuszka.

-Musicie zawrócić - odpowiedział, wskazując na gospodę.

Myrrima podjechała pod sporawy budynek. Przepatrzyła porośnięty jaszminem i winoroślą mur w poszukiwaniu furty, a gdy ją znalazła, przeszła góra i otworzyła rygiel.

-Idziesz? - spytała dziewczynkę. - Mówilas, że masz wiadomość dla króla.

Averan była coraz mniej pewna swego. Chciała opowiedzieć królowi o tym, czego dowiedziała się o raubenach, ale im bliższa była chwili spotkania, tym bardziej obawiała się, że Gaborn weźmie ją za oblakana. Coś zaczęło lupac ją tepo u podstawy czaszki.

Zebrala całą swoją odwagę.

-Ide.

Zeskoczyła z wozu na zeszywniałe nogi i weszła do ogrodu. Na strzesze szopy gruchały białe i brązowe gołębie. Z najbliższej wisni zbiegła szara wiewiorka z okazałym ogonem.

Na jednej ze ścieżek stał w rdzawej szacie chudy niczym szkielet Dziennik Gaborna.

Rece założył do tyłu i obserwował swego pana.

Król siedział na kamieniu pod migdałowcem. Nosił kolczugę, jakby miał ruszyć do bitwy. Chyba przed chwilą zajmował się czymś wymagającym wysiłku, bo tunika pod pachami aż pociemniała mu od potu. Wokół siedziało na trawie co najmniej trzydziestu rycerzy w lśniących zbrojach, nieco dalej zaś, w cieniu, czekali o wiele mniej szlachetnie odziani i przystrzyżeni giermkowie. Większość wojowników pochodziła z Mysterii, ale kilku nie miało żadnych barw na tarczach. Byli wśród nich i

dwaj Niezwycięzeni, którzy zerwali z płaszczy znaki Baha Ahtena.

Gaborn siedział prosto, z uniesioną głową, i żywo o czymś rozprawiał. U jego stóp przysiadła królowa w jasnozłotej szacie.

Averan nie dostrzegła nigdzie ani śladu najbardziej im teraz potrzebnego czarnoksiężnika. Myrrima spytała kogoś szeptem o Binnesmana i człowiek ten wskazał na gospodę.

Dziewczyna pobiegła tam czym prędzej, a Averan stanęła w pobliżu króla. Nie miała śmiałości się odezwać.

-W Carris chodzą słuchy, że pewien pospolitak imieniem Waggit zabił w walce aż dziewięciu raubenów - mówił któryś z pomniejszych panów.

-Dziewięciu! - krzyknęło paru innych z niedowierzaniem.

-Nikt, kto walczył w Carris, nie może być zwany pospolitym - zaprotestował Gaborn.

-A jeśli opowieść okaże się prawdą, pasuje tego Waggita na rycerza i włącza do mojej gwardii. Co o nim wiecie?

-Pracuje w kopalni w Srebrnej Gorze - powiedział ktoś. - Słyszałem jednak, że... że ma trochę nie po kolei w głowie.

-Głupek zabiłby dziewięciu raubenów? - spytał powątpiewająco Gaborn.

-I to jedynie kilofem, nie inaczej - potwierdził lord Bowen. - Bardowie w Carris już śpiewają o jego czynach. Wspomniabym o nim wcześniej waszej wysokości, gdyby nie słabość umysłu tego czleka...

-Na Moce, gdyby wszyscy byli tacy głupi! - zakrzyknął Gaborn. - Muszę mieć go w mej gwardii!

Rycerze zaśmiali się, a i Averan mimowolnie się usmiechnęła. Gaborn mógłby przyjąć bohatera do Gwardii Królewskiej tylko wówczas, gdyby wyleczył go z umysłowej niemocy, wyposażając go w dar kogoś zdrowego. Oczywiście, nie zamierzał marnować drewna na głupca, gdyż w ten sposób nic by nie zyskał. Kto inny zostałby idiotą, i to wielkim kosztem dla królestwa. Metal, z którego robiono drewno, był cenniejszy od złota.

Averan nie wiedziała, czego oczekiwać po Gabornie. Zwykle bez problemów radziła sobie ze starszymi od niego diukami i baronami, ale Gaborn nie był podobnym im pyszałkiem, co można było poznać po tym, że nie próbował rzucić ludzi na kolana wieloma darami urody. Był za to silny, smukły i młody, miał ciemne włosy i przenikliwe spojrzenie.

Oczekiwała, że Król Ziemi okaże się ponury, poważny i przerażająco wyniosły. A Gaborn robił, co mógł, żeby nie odróżniać się od otaczających go ludzi.

Pomyślała, że chyba go lubi, chociaż wciąż coś jej nie pasowało.

Z ziemi podniosła się dziwna para wojowników. Jeden nosił barwy Crowthenu Południowego i mógł być tylko synem króla Andersa, Celinorem. Obok stała jedna z siostrzyczek z Fleeds.

-Panie - powiedział Celinor - pora na nas. Gaborn spojrzał na niego w zamysleniu.

-Nie wyczuwam, by coś wam miało szybko zagrażać.

-Erin, Celinorze, niech Wielcy was prowadzą, a Najjasniejsi strzegą waszych pleców - powiedziała królowa, powtarzając stare błogosławieństwo z Fleeds.

-I niech ciebie strzegą, pani - powiedziała siostra.

Gaborn spojrzał nagle na Averan i po chwili zapadła cisza. Wszyscy obrócili głowy w jej stronę. Wciąż nosiła stroj podniebnego jeźdźcy.

-Z czym przybywasz? - spytał Król Ziemi tonem, w którym pobrzmiewała obawa przed złymi wiadomościami.

Averan nie wiedziała, jak zacząć.

-Przynosisz posłanie?

-Ja...

-Wykrztus to z siebie, dziecko - powiedział Gaborn.

W koncu dziewczynka sie przemogla, ale niewiele dobrego z tego wyniklo.

-Zielona kobieta spadla z nieba i jej krew mnie poplamila, i od tamtej pory wszystko jest jakies dziwne. Jadlam mozgi raubenow i pamietam rozne rzeczy. Wiem, jak raubenowie czuja i jak mysla. Wiem, co oni wiedza. W podziemnym swiecie jest wielka magini.

Nazywaja ja Jedyna Prawdziwa Mistrzynie. To ona wyslala raubenow do Carris. Nie pokonasz jej...

Rycerze i wladcy patrzyli na nia skrajnie zdumieni.

-Skad wzelo sie tu to dziecko? - mruknal jeden z nich. - Nie widzialem, zeby jakis graak ladowal. O czym ona gada?

Averan sama wiedziala, ze opowiada zbyt chaotycznie.

-Oszalala - powiedzial kto inny, wstal i ruszyl ku niej.

-Nie! - krzyknela dziewczynka.

Gaborn uniosl rece, kazac wszystkim sie cofnac. Spojrzal przenikliwie na Averan.

-Mowisz, ze jadas mozgi raubenow i wiesz teraz to samo, co i oni?

-Tak. Jadlam mozg magini, ktora zabiles. Wiem to, co ona wiedziala. Przybyla zniszczyc caly krwawy metal pod Carris, zeby nam zaszkodzic. Ale... pamietam tez krzyki raubenow. Nauczyl sie w koncu przekazywac dary.

Gaborn zastanowil sie. Bylo nad czym. Wieki temu ludzie rozwineli wiedze o runach, by dokonywac tego samego, co raubenowie praktykowali, wyjadajac czerepy swych zmarlych. Jednak nikt dotad nie mial pojecia, ze owe potwory tez opanowaly sztuke przekazywania darow.

-Powiedz mi, czy wiesz cokolwiek o miejscu zwanym Koscieliskiem?

-Tak! - wykrzyknela Averan. - Tak nazywa sie sala tronowa Jedynej Prawdziwej Mistrzynie. Zasiada tam pomiedzy koscmi zjedzonych wrogow! To w podziemnym swiecie, blisko wiecznych ogni.

Krolowa az krzyknela, slyszac te slowa, i zerwala sie na rowne nogi.

-Znasz droge do tej sali? - spytal Gaborn.

Averan zastanowila sie. W glowie miala fragmenty raubenich wspomnien z dlugiego marszu na powierzchnie, ale nic wiecej. Tunele biegly skrajem niebezpiecznego obszaru, ktory nawiedzaja wielkie czerwie, oraz przez jaskinie z goracymi zrodalami i buchajacymi co rusz plomieniami. Trafialy sie tam urwiska, jakich zaden czlowiek nigdy nie ogladal, a wyjscie miescilo sie gdzies na pustkowiach.

-Jest taka droga... Długa i kreta, nikt obcy jej nie znajdzie. Nawet rauben moglby sie zgubic. Nie odtworze jej calej, wasza wysokosc.

-Niemniej ktos bardzo smialy moglby sprobowac? - dociekal z nadzieja Gaborn.

-Tak. Tyle ze tam sa miliony korytarzy. I setki gniazd, a kazde z tysiacem tuneli. Cale zycie bys strawil, panie, szukajac gniazda Wielkiej Mistrzynie. A gdyby udalo ci sie nawet znalezc to gniazdo, musialbys jeszcze odszukac sama poczware!

Gaborn zdawal sie przewiercac ja spojrzeniem. Wiedziala, o czym myslil. Chcialby zejsc do podziemi. Ale Averan nie mogla mu opisac drogi.

-Co tu sie dzieje? - spytal nagle ktos z boku.

Obrocila sie. W ogrodzie pojawil sie czarnoksielnik w rdzawych szatach. Wygladal na milego i uprzejmego staruszka, tyle ze mial dziwnie zielonkawą skore. Oczy jednak lsnily mu blekitem, wlosy zas, niegdys kasztanowate, mienily sie siwymi pasmami, a policzki okrywaly piaskowy rumieniec. Dziwna byla tez broda, nader gesta u podstawy, rzadka juz kilka cali nizej. Jego szaty wygladaly jak utkane z czerwonych korzeni.

Averan nigdy jeszcze nie widziala nikogo podobnego, ale cala postac czarnoksielnika wydala sie jej dziwnie znajoma.

Nigdy nie widziała swego ojca, który został najpewniej pozarty przez raubenow, ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy domysły matki były słuszne.

Ten mężczyzna mógłby być jej ojcem...

On też patrzył na nią uważnie. Wyczuwała w nim moc. Moc starsza niżli góry i twardsza przy tym niż żelazo.

Za nim pokazała się Myrrima oraz zielona kobieta. Ta sama, która spadła z nieba...

-Averan! - krzyknęła zielona.

Czarnoksiężnik podszedł do dziewczynki. Jego szaty szeleszcily głośno w ciszy, jaka nagle zapadła w ogrodzie. Zielona ruszyła śladem swego pana.

Zatrzymał się i spojrzał na zielone kielki wplątane w ubiór Averan.

-Pokaż mi ręce, dziecko - poprosił.

Averan uniosła dłonie, które z każdą chwilą swędziały coraz bardziej. Jeszcze wczoraj pokazały się na nich zielone obrzmienia. Krew kobiety wsiąkała głęboko w skórę.

Teraz jednak bezkształtne plamy zmieniły się w wyraźny, zielony tatuaż. Na każdej dłoni widniał rysunek debowego liścia...

Binnesman uśmiechnął się i dotknął po kolei dłoni Averan. Swędzenie ustąpiło momentalnie, podobnie jak przeszedł dokuczliwy ból głowy.

Jeden z doradców króla, starzec o siwych włosach, wpatrzył się w ręce dziewczynki, jakby właśnie ujrzal cud.

-To urodzona czarodziejka! - wyszeptał zdumiony.

10 DZIWNE WIESCI

Jeśli dobrze się wsluchasz, dowiesz się od swego dziecka nie mniej, niż ono może dowiedzieć się od ciebie. - powiedzenie z Heredonu loma wpatrywała się w Averan z bijącym sercem. Taka mała, krucha dziewczynka, a ileż w niej mocy, myślała. Wcześniej była przekonana, że jej mąż wymyślił sobie całe to Kościelisko, żeby łatwiej znieść odrzucenie przez ziemię. Teraz zaś zaczęła się obawiać, by nie próbował nakłonić tego dziecka, żeby podjęło się roli przewodniczki po podziemnym świecie.

Binnesman pochylił się nad Averan. Wszystkim pobrzmięwało jeszcze stwierdzenie Jerimasa: urodzona czarodziejka...

-Nie tylko to - powiedział uzdrowiciel. - Ona jest Strazniczką Ziemi. Moja z dawna wyczekiwana następczynia...

Ujął dłonie dziewczynki i uśmiechnął się do niej łagodnie. Jego miły głos i ciepły dotyk niosły ukojenie. Jednak loma poznała, że Binnesman ciągle się waha. Z jakiegoś powodu unikał spojrzenia Averan.

-Nie powinniśmy rozmawiać tutaj, w pełnym blasku dnia - stwierdził. - Chodź ze mną do gospody.

Poprowadził dziewczynkę do głównej sali, a wszyscy podążyli za nimi, aż zabrakło wolnego miejsca wokół kontuaru, na którym ją usadził. Część widzów tłoczyła się w drzwiach.

-Powiedz mi, czy Averan to twoje własne imię? - spytał, gdy zapadła już cisza.

Dziewczynka pokiwała głową.

-Skąd znasz moją dziką?

-Leciałam na graaku, gdy zobaczyłam, jak spada z nieba. Wylądowałam, żeby jej pomóc, a jej krew poplamiała mi ręce. Potem razem ruszyliśmy na północ, do Carris...

-Hmmm - mruknął Binnesman. - Dziwny zbieg okoliczności, nie sędzisz? Że akurat tyja znalazłaś...

Averan wzruszyła ramionami.

-To więcej niż zbieg okoliczności - dodał czarnoksiężnik. - Powiedz mi, co wtedy o tym myślałaś?

-Nie pamiętam dokładnie. Chyba... Miałam nadzieję, że ona mi pomoże.

-Hmmm... Jesteś podniebnym jeźdźcą? I pewnie potrafisz obchodzić się ze zwierzętami. Lubisz zwierzęta?

-Tak - potwierdziła Averan.

-I radzisz sobie z grakami?

-Mistrz Brand mówił, że nie widział nigdy nikogo lepszego. Chciał mnie zrobić w przyszłości mistrzynią.

-Hmmm... Masz jakieś ulubione zwierze? Dziewczynka pokręciła głową.

-Wszystkie lubię.

Binnesman przez dłuższą chwilę mruczał coś pod nosem.

-A czy rośliny albo skały lubisz bardziej niż zwierzęta?

-Jak można lubić kamień bardziej niż żywe zwierze?

-Niektórzy potrafią. Ja sam cenię rośliny nie mniej niż ludzi. Gdy byłem chłopcem, ciągle chodziłem po łąkach i liczyłem kwiaty albo snopki jęczmienia. Godzinami przyglądałem się splatom bluszczu na drzewach. Czasem czułem się, jakbym był o krok od objawienia. Latem siadywałem i słuchałem szumu traw szepejących o wiecznych prawdach...

Próbowałem sobie wyobrazić, że jestem debem, i odtworzyć, co taki deb może myśleć swoimi splatanymi korzeniami. I o czym śnią wierzby. Zdarzało ci się coś podobnego?

-To wariactwo! - prychnęła Averan. Jerimas zaśmiał się krótko.

-Proszę, jaka rozsądna dziewczynka!

-Pewnie rzeczywiście jest w tym coś z szalenstwa - przyznał Binnesman. - Ale wszyscy jesteśmy trochę obłąkani, a ci, którzy nie potrafią się do tego przyznać, zwykle cierpią najbardziej. I każdy ci powie, że czarnoksiężnicy mają nie po kolei w głowie. Averan skinęła głową, jakby to dobrze rozumiała.

-Kocham ziemię- wyjaśnił Binnesman. - A co więcej, widzę, że i ty na swój sposób musisz ją kochać. I nie ma w tym nic złego ani wstydliwego. Rośliny, zwierzęta i kamienie są źródłem mocy. Zielen na twoich dłoniach oznacza, że krew ziemi krąży w twoich żyłach.

-Ale... to stało się przypadkiem. Poplamiliłam się krwią zielonej kobiety.

Binnesman pokręcił głową.

-Nie. Krew ziemi była w tobie cały czas. Zawsze, od chwili narodzin. Jesteś urodzona do czarodziejstwa. Krew została przyciągnięta do krwi. To dlatego wszedłem chwilę temu do ogrodu.

Wyczułem, że tam byłaś. Co więcej, przypuszczam, że i moja dzika wezwała z nieba. Gdy dotknęłaś zielonej krwi, nie mogłaś jej zmyć, bo wniknęła w ciebie. Odszukiwała cię.

-Dziwnie się czuję od tamtej pory - poskarżyła się Averan. - I umiem różne dziwne rzeczy...

-Z czasem i tak byś je rozwinęła - zapewnił ją Straznik Ziemi. - Ta dodatkowa krew tylko przyspieszyła proces i wyostrzyła ci zmysły. Zapewniam cię, gdybyś nie była siostrą ziemi, ta krew spłynęłaby z twoich dłoni przy pierwszym myciu.

lona słuchała z fascynacją i wpatrywała się w rudą i piegowatą dziewczynkę, która poza zielonymi tatuażami na dłoniach była całkiem normalnym dzieckiem. Niemniej miała przenikliwe spojrzenie i była osobiście zdecydowana i dorosła duchem, jak rzadko bywają nawet dziewczęta dwukrotnie od niej starsze.

-Mówisz, że umiesz różne dziwne rzeczy - zagadnął Gaborn. - Opowiedz o nich.

Dziewczynka spojrzała na zgromadzonych w gospodzie, jakby się bała, że jej nie uwierzą.

-Sluchamy- zachecil ja Binnesman.

-Na przyklad nie moge zasnac, jesli...

-Nie zakopiesz sie w ziemi? - dokonczyl za nia uzdrowiciel. Averan pokiwala ochoczo glowa.

-No i blask slonca mi dokucza. Nawet gdy jest go tylko troche. Zaraz czuje, jakbym miala sie poparzyc.

-Tym moge sie zajac - powiedzial Binnesman. - Sa runy, ktore chronia przed zarem. I to tak potezne, ze mozna potem w ogien wchodzic. Naucze cie je kreslic.

-I wyczuwam jeszcze, gdzie jest jedzenie. Gdzie marchewki rosna pod ziemia, gdzie orzechy leza w trawie...

-To normalne u Straznikow Ziemi. Owoce pol i lasow sa dla nich. Ziemia dobrowolnie je im oddaje.

-No i zaczalam widziec Krola Ziemi nawet przy zamknietych oczach. Jako zielony plomien. Ale... teraz juz jakos go nie widze...

Spojrzala z powatpiewaniem na Gaborna. W jej oczach nie bylo ani potepienia, ani oskarzenia. Ale loma zrozumiala, ze jej maz naprawde stracil czesc swych mocy.

-Prosze! - wykrzyknal Binnesman. - To cos calkiem nowego! Nie slyszalem jeszcze, aby ktos umial az tyle. Ale kazdy czarnoksieznik ma wlasne talenty, ktore maja sluzyc wlasnie jemu. Jestem pewien, ze z latami odkryjesz w sobie jeszcze wiecej. Bo to juz wszystko?

-No... jeszcze to z mozgami raubenow...

Dotad sluchacze sklonni byli jej wierzyc, ale na te slowa kilku az prychnelo. To bylo za wiele...

-A jak sie do nich dobralas? - spytal Binnesman. Averan wskazala na zielona kobiete.

-Wiosna zabila jednego po drodze i zaczela go jesc. Pachnial tak apetycznie, ze nie moglam sie powstrzymac. A potem naszly mnie dziwne sny, w ktorych bylam raubenem, myslalam tak jak rauben i mowilam, i patrzylam jak rauben.

-I czego sie dowiedzialas? - spytal Jerimas. - Ze raubenowie rozmawiaja zapachami. Te wyrostki na twarzach pozwalaja im "slyszec" innych, a te nad odbytami rozsiewaja "mowiace" wonie.

-Powiadasz wiec, ze gadaja tylkami? - spytal kpiaco jeden ze sceptycznie nastawionych panow.

-Tak. Pod tym wzgledem nie roznia sie od niektorych ludzi. Jerimas zasmial sie glosno.

-Podsumowala cie, Dullins - powiedzial do watpiacego. Niemniej Averan sie spieszyla. Zadrzala i spojrzala niepewnie po zebranych.

-Sama nie do konca to rozumiem! - wyjakala. - Za duzo na mnie jedna!

loma wiedziala, ze z zapachami to sama prawda. Wladcy od dawna dyskutowali nad ta mozliwoscia. Wiekszosc upierala sie, ze raubenowie nijak nie pachna, inni sadzili, ze tylko skrywaja swe wonie. Jednak wczoraj, w Carris, magini z wielka wprawa operowala groznymi odorami.

-Nie klamie - powiedziala Averan. - I nie oszalalam, choc pewnie tak myslicie.

Nie chce skonczyc w klatce, jak Corman Wrona.

-Wierzmy ci - odparla loma, usmiechajac sie lagodnie. Nigdy nie slyszala o Cormanie Wronie, ale wiedziala, ze czasem robiono takie rzeczy z szalencami dla ich dobra i w nadziei, ze z czasem im sie poprawi.

-Tez jestem pewien, ze nie oszalalas - oznajmil Gaborn, ktory chyba chetnie wyciagnalby zaraz z dziewczynki wszystko, czego tylko dowiedziala sie o raubenach. - Mowisz wiec, ze rozmawiaja zapachami?

-I pisza nimi, i czytaja.

loma prawie ze krzyknela. Tego nawet nie podejrzewala...

-Dlaczego nigdy nie udało nam się natknąć na ich pisma? - spytał Gaborn.

-Bo piszą zapachami, wasza wysokość. Zostawiają drobiny wydzielin na kamieniach przy każdej drodze. Tak rozmawiają najchętniej. Po prawdzie łatwiej im porozumiewać się piśmem niż zwykłą rozmową.

-Dlaczego? - zaciekawił się Gaborn. Averań zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią.

-Bo dla Raubena słowa są zapachami. Twoje imię, panie, i twój zapach to dla Raubena to samo. Gdy któryś zechce powiedzieć "Gaborn", musi po prostu odtworzyć twój zapach.

-To wydaje się dość proste.

-Owszem, ale proste nie jest. Wyobraź sobie, wasza wysokość, że chcesz mi powiedzieć: "Ładne masz te buty z zajączek skóry, Averań. Gdzie je dostałaś?" A ja chcę ci odpowiedzieć: "Dziękuję. Znalazłam je przy drodze, leżały niczyje, to ja sobie wzięłam". Gdy to mówię, każde moje słowo wychodzi z ust i biegnie przez powietrze, potem samo cichnie i znika. Bo słowa to dźwięki. Jednak zapachy nie znikają tak łatwo. Wiszą w powietrzu, aż się je usunie.

-A jak się je usuwa? - spytał Binnesman. Wszyscy słuchali teraz pilnie Averań, jakby była wielką uczoną z Domu Zrozumienia.

-Gdy stworzę jakiś zapach, muszę potem stworzyć... antyzapach, który znieśli ten pierwszy.

-Co...? - zdumiał się Binnesman. - Mówisz, jakbyś sama to robiła... Ale chodzi ci o Raubenów?

-Tak, że oni to muszą...

-Antyzapach? - spytał Gaborn.

-Tak, panie - odparła Averań, niepewna, czy dobrze rozumie, co znaczy antycostam.

-Więc gdy wypowiem słowo "Gaborn", muszę potem wyrazić zapachem inne, znaczące "nie-Gaborn", zanim znów się odezwę. Muszę usunąć to pierwsze.

-I to bywa trudne, wasza królewska moc - powiedziała dziewczynka. - Jeśli wykrzykniesz słowo, muszę usuwać je krzykiem. A im dalej jesteś, tym dłużej trwa, nim moja wiadomość dojdzie do ciebie. Więc gdy Raubenowie są blisko siebie, mówią cicho, słabymi zapachami, tak słabymi, że nawet zwierzęta ich nie wyczuwają. Szepczą.

-Czekaj - odezwał się jeden z panów ze swity Gaborna. - Mówisz, że musisz wymazać każde słowo innym. Ale dlaczego nie można zrobić wszystkich zapachów naraz? Gdy wchodzisz do kuchni, równocześnie czujesz i marchewkę, i pieczeni wołowinę, i rzepe, które gotują się na piecu.

-Ty tak, panie, ale to nie będzie nic znaczący. Dla Raubena to byłby hałas.

Różne słowa wypowiedziane bez związku. Wyobraź sobie, że równocześnie usłyszałbyś wszystkie słowa, jakie wypowiedzieliśmy tu przez ostatnie kilka chwil. Zrozumiałbyś coś z tego?

-Zatem Raubenowie muszą mówić powoli - podsumował Gaborn.

-Nie wolniej, niż my teraz rozmawiamy. Przynajmniej kiedy są blisko siebie. Ale na duże odległości trudniej im się porozumieć. I wtedy piszą. Cały czas piszą. Gdy zwiadowca idzie drogą, zostawia za sobą informacje, co napotkał i kiedy ostatni raz widział wroga.

Nowiny te zaskoczyły łomę i wszystkich zebranych w gospodzie. Od wieków ludzie zastanawiali się, jak Raubenowie porozumiewają się między sobą. Najczęściej przypuszczano, że temu właśnie służy falowanie ich wyrostków. Ale słowa Averań kazały spojrzeć na tę sprawę zupełnie inaczej. Szczęśliwie dziewczynka przestała się już wahać i mówiła otwarcie, z własnej inicjatywy.

-I jeszcze jedno - dodała. - Oni nie widzą tak jak my. Dostrzegają tylko to, co jest blisko i w jednym kolorze. Choć to nie jest właściwie kolor. Nie potrafię dokładniej wyjaśnić. To ma barwę mgławicowej błyskawicy. A gdy zobaczą prawdziwą błyskawicę, to ślepną na chwilę. Tak jak my, gdy spojrzymy w słońce. I to je boli.

-Dzielna z ciebie dziewczynka - powiedział Gaborn. Averań jakby tylko czekała na dobre słowo. Nagle łzy napłynęły jej do oczu i zanosła się łkaniem. - Ale twoja opowieść nasuwa pewne pytania.

-Jakie? - chlipnela.

-Na przykład, czy mozesz powiedziec mi cos o ich wojskach.

-O wojskach?

-Jak liczne sa armie raubenow? Aweran pokrecila glowa.

-Jeden, ktorego jadlam, byl zwiadowca, a drugi maginia... Nie znam ich liczby, panie.

-Sprobujmy inaczej. Nie wiesz, ilu raubenow zamieszkuje podziemny swiat?

Aweran zastanowila sie w skupieniu. Na dluzsza chwile zamknela oczy.

-Podziemny swiat jest wielki, ale raubenowie... moga mieszkac tylko w niektórych miejscach. Malo pozywienia.

To my jestesmy ich pozywieniem, pomyslala loma. Gaborn zerknal na swoich doradcow. Madrzy okazywali spore opanowanie.

-Wasza wysokosc... - odezwala sie Aweran - boje sie.

-Czego? - spytal lagodnie Gaborn.

-Jedynej Prawdziwej Mistrzynie... Ona probuje nakreslic Rune Macierzysta. I wiele juz znalazla... Wczoraj zniszczyles Pieczec Nieutulonego Zalu, ktora jej czeladniczka wzniosla nad Carris.

Gaborn pokiwal glowa. Udalo mu sie zabic najpoteczniejsza maginie, jaka dane bylo kiedykolwiek napotkac czlowiekowi. loma miala niesmiata nadzieje, ze to wlasnie byla wladczyni raubenow, ale to dziecko nazwalo ja czeladniczka kogos o wiele poteczniejszego.

-Opowiedz mi o niej - poprosil Gaborn.

loma spojrzala na Binnesmana. Czarnoksieznik zbladl wyraznie i oparl sie na lasce, jakby sily go chwilowo opuscily.

-Gleboko w podziemnym swiecie Jedyna Prawdziwa Mistrzynie zbiera dary i przekazuje je swym dowodcom.

-Raubenowie zawsze zbierali dary, zjadajac sie nawzajem. Jestes pewna, ze tym razem to co innego?

-Na pewno co innego. Owszem, moga zjadac mozgi innych raubenow, zeby zyskac madrosc, i gruczoly zapachowe z pachwin, zeby rosnac. Ale teraz odkryli rune wiedzy. A wczesniej runy zwinnosci, zapachu i krzepy. Dopracowuja rune metabolizmu.

W zapadlej znowu ciszy rycerze spojrzeli po sobie. Potwory i tak byly juz strasznyimi przeciwnikami, a wzmacnione darami metabolizmu stalyby sie niepokonane.

-Ale jest jeszcze cos - powiedziala Aweran. - I tego zupełnie nie rozumiem.

Pieczec Nieutulonego Zalu, ktora zniszczyles, panie, miala byc czescia czegos wiekszego.

Mistrzynie zamierzala zwiazac ja z Pieczeciami Nieba i Morza, i Otchlani.

Binnesman az sie cofnal.

-To... niemozliwe! Nikomu nie uda sie tak gleboko wnknac w nature Runy Macierzystej.

-To jest mozliwe - zaprotestowala dziewczynka. - Widzialam runy tworzone w Koscielisku. A wy widzieliscie Pieczec Nieutulonego Zalu...

-Ale ludziom poznanie najmniejszych nawet runow krzepy i umyslu zabralo tysiace lat! Jak jeden rauben moglby zyskac nagle taka wiedze?

-Zdobywa ja, patrzac w ogien - odparla Aweran.

-Na Drzewo! - wykrzyknal Binnesman z przerazeniem, jakby ktos nagle zaatakowal go bez najmniejszego powodu. - Na

Drzewo... -powtorzył, już ciszej. Musiał chyba zrozumieć coś, co umknęło pozostałym. Albo tylko coś podejrzewał. - Jesteś pewna, że Jedyna Prawdziwa Mistrzyni to rauben, a nie jakiś inny stwor?

-Widziałam ją. Jest wielka, ale to rauben. Binnesman pokrecił głową. Ciągle nie dowierzał.

-Ale chyba nie zwykły rauben...

-Mówisz, że pracuje nad pieczęciami - powiedział Gaborn. - Co chce osiągnąć?

-Chce skierować przeciwko nam moce ognia i powietrza - odezwał się Binnesman. - Moce ziemi i wody osłabną... Wszystko zmieni się tak diametralnie... Nie wiem, jakie to może mieć skutki dla życia. Nawet boje się zgadywać...

-Ona zniszczy świat! - zawołał Jerimas.

-Nie! - zaprzeczyła Averan. - Nie chce zniszczyć świata, tylko... zmienić go tak, żebyśmy nie mogli już na nim żyć.

-Czy to w ogóle możliwe? - spytał Gaborn. Binnesman zmarszczył brwi i przeczesał brodę palcami.

-Jeśli zgromadziła już tyle fragmentów Runy Macierzystej, to wiem jedno... świat nie widział jeszcze nikogo równie potężnego.

-Averan, musimy odszukać Jedyną Prawdziwą Mistrzynię - powiedział Król Ziemi. - To absolutnie konieczne. I musimy zrobić to szybko. Wiesz, jak do niej dotrzeć?

Powiedziałaś, że nie dasz rady narysować mapy, ale wspomniałaś też, że zjadając mózg raubena, zdobywasz jego wiedzę. Czy jest jakaś szczególna odmiana raubena, która znalazłaby te drogi? Może inny zwiadowca albo wyjec?

Averan spojrzała na niego. Iona dostrzegła, że oczy dziewczynki pełne są zaniepokojenia i strachu, ale też chęci pomocy.

-Może... - powiedziała, jakby nie w pełni rozumiała, o co chodzi. - W podziemnym świecie są drogowskazy...

-Drogowskazy? - powtórzył Gaborn. - Musisz więc nauczyć się lepiej ich języka, żeby je odczytać? Czy do tego wystarczy pierwszy lepszy rauben?

Averan potrząsnęła głową.

-Nie... Nie wszyscy raubenowie mówią tak samo...

-Używają różnych języków, jak rofehavanski i taifanski?

-Nie tak, wasza wysokość. Ciesla mówi inaczej niż wojownik, prawda? Ma swoje słowa na różne narzędzia i to, co z nimi robi. Raubenowie są tacy sami. Każdy zajmuje się czymś innym. Żeby dotrzeć do Jedynej Prawdziwej Mistrzyni, musimy znaleźć najpierw raubena szczególnego rodzaju... Nie ma na niego ludzkiej nazwy... Tylko zapach.

-Czy wyróżnia się jakos wyglądem? Averan zmarszczyła czoło.

-To strażnik drogi... albo przewodnik... - powiedziała powoli, z namysłem. - Zna szlaki w podziemnym świecie, wie, które bramy są strzeżone.

-Ilu takich przewodników bywa w jednej armii?

-Jeden.

-Tylko jeden?

-Tak! - odparła Averan z ogniem w oczach. - To zawsze duży samiec z trzydziestoma szescioma wyrostkami, wielkimi pazurami i runami na barkach. Poznałabym go, gdybym go zobaczyła. Rozpoznałabym jego zapach!

Gaborn podszedł do łomy. Spojrzenie miał prawie szalone, niczym schwyte zwierze. Było oczywiste, że zamierza jechać dokądś, dokąd ona podążać by nie śmiała.

-Panowie - powiedział do rycerzy w gospodzie. - Siodlac konie. Za godzinę wyjeżdżamy do Carris.

Cuda napotkac mozna rownie czesto jak wodorosty albo pajeczyny, ale zapominamy o tym, az zdarzy nam sie uslyszec krzyk nowo narodzonego dziecka. - czarnoksieznik Binnesman Binnesman odciagnal szara tunike sir Borensona, spojrzal na rane i odwrocil wzrok.-Wdalo sie zakazenie - powiedzial, marszczac brwi. - To z nim najpierw bedziemy musieli sie uporac.

Zakryl szybko rycerza, by nikt przygodny nie zorientowal sie w charakterze jego obrazem, niemniej bylo juz za pozno. Gdy Myrrima wyszla z zajazdu, obok wozu stalo paru giermkow gapiacych sie na jej meza z otwartymi ustami. Odpedzila ich, teraz jednak zjawila sie grupa rycerzy znajacych Borensona osobiscie albo takich, ktorzy chociazby o nim slyszeli, i cale to zbiegowisko szybko zaczelo przyciagac nastepnych ciekawskich.

Borenson lezal nieprzytomny na slodko pachnacym sianie. Jego twarz lsnila od potu.

Myrrima niepokoila sie nie na zarty. Widziala juz umierajacych. Sadzila, ze w tym stanie jej maz moglby pociagnac jeszcze dzien czy dwa, ale... czy dluzej...?

Wszedzie wkolo trwaly przygotowania do wymarszu na poludnie. Ci, ktorzy uszykowali juz konie i wlozyli zbroje, stali z lokciami opartymi o burte wozu i bez zenady przygladali sie rannemu. Wraz z Binnesmanem przyszly Averan i dzika.

-Wiesz, jak wyglada marzanna? - spytal czarnoksieznik dziewczynke.

-Biale kwiatki? Mistrz Brand zalewal jej liscie winem. - Swietnie. Widzialem, ze rosnie pod plotem na tylach. Idz i przynies mi z tuzin lisci.

Averan pobiegla za gospode, Binnesman zniknal zas na chwile w srodku. Rychlo przy wozie sterczalo juz ponad dwudziestu rycerzy.

Wysoki i czarnowlosy wasacz z Mysterii pochylil sie nad nieprzytomnym.

-To sir Borenson? Powaznie ranny? - spytal.

-Tak - odparl ktos inny. - Ranny, jak tylko mozna najpaskudniej.

-W glowe?

-Gorzej. W klejnoty.

Rycerz skrzywil sie i sprobował zajrzec pod tunike Borensona.

-To bedzie cie kosztowalo! - zawolala Myrrima, chwytajac nadgarstek ciekawskiego.

-Kosztowalo? - spytal, usmiechajac sie rozbrajajaco. - Ile niby?

-Jedno oko - uslyszal i tłum wkolo zanosl sie smiechem. Binnesman wrocil z gospody z miska miodu, a zaraz pojawila sie tez Averan, niosac pek podluznych lisci marzanny.

-A teraz rozetrzyj je w dloniach - polecil czarnoksieznik. - Wrzuc je do miodu - dodal, gdy dziewczynka zrobila juz, co kazal. Potem siegnal do kieszeni i wyjal z niej kilka suszonych ogonkow lisci. - To hizop - wyjasnil. Zrywa sie go zawsze dwa dni po deszczu. I tylko w pelni wykszaltcone liscie, te blizsze korzenia.

Rozkruszyl je i tez dosypal do miodu, po czym zamieszal w misce palcem. Poszukal jeszcze w kieszeni odrobiny parzyka, ktorym zolnierze czesto okladali rany na polu bitwy.

W tezej chwili przez tłum przepchnal sie kolejny wscibski.

-Co tu sie dzieje? - spytal niewyraznie.

-Borenson stracil jaja, a Binnesman zamierza wyhodowac mu nowe - wyjasnil jakis rycerz.

Paru prychnelo smiechem, Myrrimie jednak zart nie wydal sie smieszny.

-Naprawde? To kiedy bedzie mogl siadac na kon? - spytal kpiaco nowo przybyly.

Binnesman obrocil sie na piecie.

-To do tego juz doszlo? Ze dzieci ziemi nawet w swietym miejscu sztydza z rodzicielki?

Myrrima byla pewna, ze nie o rzeczywiste szyderstwo chodzilo, ale Binnesmana jakby szlag trafil. Wyprostowal sie i spojrzal groznie na rycerzy, az cofneli sie o krok. Co ciekawe, zaden nie chcial stac zbyt blisko zartownisia, sir Prenholma z Heredonu.

-Jak smiesz? - spytal go czarnoksiężnik. - Niczego nie nauczyles sie przez kilka ostatnich dni? Stanalbys czarnemu glory'emu na drodze? Nie! A ta tutaj Myrrima, chociaz nie miala wowczas ani jednego daru, zabila go wlasnorecznie! Powstrzymalbys wszystkich raubenow, co podeszli pod Carris? A Gaborn przywolal jednego tylko czerwia, ktory uporotal sie z cala armia potworow! Jak mozesz jeszcze watpic w mozliwosci tych mocy, ktorym sluzes? Nie ma takiego zlamania, ktore z ich pomocza nie mogloby sie zrosnac. Nie ma takiej choroby, ktorej by nie potrafily uleczyć! Ziemia stworzyla cie i podtrzymuje nieustannie twe zycie. Znajdujesz sie w swietej dolinie, sir Prenholmie. Gdybym kij wetknel tu w ziemie, do switu wyrosloby zen maz lepszy nizli ty!

Myrrima az sie przerazila. Wokol czarnoksiężnika powietrze zapachnialo mchem i starymi, dobytymi z ziemi korzeniami, a na dodatek wokol jego stop zaczela skakac jakas wielka, zielona zaba.

Sir Prenholm zbladl i wyraznie odeszla mu ochota do zartow. Obok niego bylo juz calkiem pusto.

-Nie chcialem nikogo urazic - powiedzial drzacym glosem. - To byl tylko zart.

-Na moc, ktorej sluzes! - wykrzyknal Binnesman, wskazujac na Borensona. - Powiadam ci, ze ten eunuch bedzie jeszcze mial dzieci!

Czegos takiego Myrrima nie oczekiwala. Nie sadzila nawet, ze podobny cud jest mozliwy. Niemniej Prenholm sprowokowal Binnesmana... A czarnoksiężnik podjal wyzwanie. Jesli rzeczywiscie uda mu sie w pelni uzdrowic jej meza, to bedzie kosztowac. Jak zawsze magia...

Rycerze i mozni panowie stali potulnie jak dzieci, ktore otrzymaly bure.

Binnesman przesunal miske nad siedzaca spokojnie zaba i dodal do miodu szczypte ziemi. Potem spojrzal na tlumek i wreczyl miske Myrrimie.

-Jedz nad strumien, ukleknij i nakresl siedem razy na wodzie rune uzdrawiania.

Potem zanurz dlon w strumieniu i zamieszaj nia miod. I nasmaruj nim swojego meza. Za godzinie bedzie mogl siadac na kon. - Pochylil sie jeszcze ku Myrrimie i wyszeptal: - Ale tak powazna rana bedzie goic sie dlugo. O ile wygoi sie do konca...

-Dziekuje - odparla Myrrima z mocno bijacym sercem. Wziela miske ostroznie, aby ani kropli mieszaniny nie uronic, i postawila ja na deskach wozu. Sama tez wsiadla i rychlo skrecila za rog kamiennego muru otaczajacego ogrod gospody. W dole, pomiedzy olchami, szemral strumien. Liscie drzew poblyskiwaly zlociscie, slonce osrebrzalo pnie.

Zatrzymala sie w cieniu olch. W wodzie pluskaly sie dwie kaczki. Widzac Myrrime, wyciagnely dzioby, dopominajac sie o kawalek chleba. Sciagnela koc z Borensona, zeskoczyla na ziemie i stanela na brzegu. Po ostatnim deszczu bylo na nim pelno jasnych, olchowych lisci. Strumyk plynal z wolna, bulgoczac tu i owdzie na kamieniach. Kaczki wyszly z wody i przysiadly u stop Myrrimy. Wkolo panowal kojacy spokoj.

Przyklekla i siedmiokroc nakreslila w nurcie rune uzdrawiania. Pomyslala, ze godziloby sie wypowiedziec przy tym stosowne zaklecie, ale nie znala zadnego, niemniej nagle przypomniała sobie piosenke, ktora ulozyla sobie jeszcze w dzieciinstwie, gdy prala swoje rzeczy na kamieniach u brzegu rzeki Dwindell.

Kocham wode, co jak ja, Deszcz to, struga albo rzeka, Jedna droge tylko zna.

Doliny suchej poi zboza, A przez stawy i jeziora Zawsze spieszy sie do morza.

Poplyne kiedys w dal sina, z woda kochana i rzeka, az smutki w odmetach zagina.

Spojrzala na zakola strumienia w nadziei, ze pojawi sie moze gdzies czarny grzbiet wielkiego jesiotra kreslajacego tajemne znaki. Ale zadnego nie zauwazyla. Nabrala troche wody w stulona dlon i zamieszala zawartosc miski.

Potem zabrala sie do smarowania rany Borensona. Druga dlonia uniosla ostroznie wiotki czlonek meza i nalozyla masc na poczernialy strup. Uswiadomila sobie z bolem serca, ze nigdy wczesniej go tu nie dotykala. Nawet w noc poslubna...

Borenson skrzywił się z bólu i zacisnął pięści.

-Przepraszam - powiedziała, ale nie przestała nakładać miodu z ziołami.

Wiedziała, że nawet leczenie czasem przynosi cierpienie.

Gdy skończyła, jęknela rozgłosnie.

-Saffiro! - zawołała z wyrzutem i uniosła rozczapierzone palce ku niebu, jakby chciała kogoś pochwycić. Drżała na całym ciele. Nawet jeśli mśc Binnesmana uleczy cielesne rany jej meza, to czy pomoże na rane serca?

Borenson znow zaczął się pocić. Twarz mu poczerwieniała. Myrrima nie oczekiwała, że obietnica czarnoksiężnika spełni się dosłownie. Myślała raczej, że przywrócenie rannego do przytomności potrwa kilka godzin.

Znow uklekła nad wodą. Poranne słońce przeswiecało przez liście, robiło się coraz cieplej. Dobra pogoda na całodzienne czuwanie przy chorym.

Stała w milczeniu przez długie minuty, chociaż nie potrafiła powiedzieć, ile ich właściwie minęło. Od kiedy otrzymała dary metabolizmu, straciła poczucie czasu.

Oddział krowa kończył siodłać konie, gdy jej mąż nagle jęknel. Wspięła się na wóz.

Borenson wracał do przytomności.

Wciąż nie wyglądał najlepiej. Z czoła spływały mu strumyki potu, tunika pociemniała pod pachami. Patrzył niezbyt przytomnie i teraz zrobił się z kolei bardzo blady.

Poruszył spierzchniętymi wargami i spojrzał na drzewa i niebo.

-Wygląda na to, że ci się poprawia - skłamała Myrrima. - Jak się czujesz?

-Nigdy nie czułem się gorzej - wychrypiał.

Odczepiła kubłak od pasa i wylała kilka kropel wody do ust meza. Ledwo przełknął i nie chciał więcej.

-Co ty tu robisz? - zapytał.

-Probuje cię ratować. Masz szczęście, że od razu nie umarłeś. Zamknął oczy i pokręcił słabo głową. Jednoznaczny gest. Nie chciał żyć.

Myrrima zamilkła na chwilę. Nie wiedziała, jak dotrzeć do zalanego ze szczerem meza.

-Dlaczego? - spytała w końcu cicho. - Przecież wiedziałeś, że rana się paskudzi, a nie poszedłes do medyka. Dlaczego?

-Nie musisz wiedzieć.

-I tak wiem.

Otworzył oczy i spojrzał obojętnie na żonę.

-Nie kocham cię. Nie mogę cię kochać...

Myrrime te słowa zabolęły nadspodziewanie mocno. Domyslała się, co Borenson przeszedł. I co mu się zdarzyło... Dostrzegła, jak oczy mu się zapaliły, gdy mówił o Saffirze.

Z tyłoma darami urody musiała roztaczać nieodparty wdzięk. A potem Raj Ahten przez to właśnie wykastrował jej meza.

-Spałeś z nią? - spytała, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiała ani złość, ani uraza. - To dlatego Wilk cię okaleczył?

-A co cię to obchodzi?

-Jestem twoją żoną.

-Nie... - zaczął, ale umilkł i pokręcił głową. - Nawet jej nie dotknąłem. Żaden mężczyzna nie miałby szansy jej dotknąć.

Była za piękna...

-Nie wiesz, czym jest miłość - stwierdziła z dużą pewnością siebie Myrrima.

Przez dłuższą chwilę żadne się nie odzywało.

-Wiedziałem, że będzie ci przykro, gdy się dowiesz... - wyszeptał w końcu Borenson.

Myrrima nie rozumiała do końca, co to miało oznaczać.

-Tak czy siak, nadal jestem twoją żoną - oznajmiła, chociaż czuła się bezradna.

Nie potrafiła ułżyć mu w udręce. - Dlaczego po prostu cie nie zabił?

Borenson jęknął i spróbował unieść się na sianie.

-Nie wiem. Raj Ahten rzadko popełnia równie wielkie błędy. W jego głosie Myrrima wyczuła wściekłość i pomyślała, że to dobrze. Skoro tak, to może uzna, że ma po coś żyć.

Usłyszała bliskie kroki. Uniosła głowę.

Droga nadchodził Gaborn. Twarz miał zatroskana. Obok niego szła loma. Była niemal przerażona.

-Jak się czujesz? - spytał Gaborn, podchodząc do wozu.

-Dobrze, mój panie - odparł półszepcetem Borenson. - A co z tobą? - Trudno byłoby nie dosłyszeć w jego pytaniu nuty sarkazmu.

Gaborn dotknął lekko czoła swego rycerza.

-Gorączka minęła - mruknął.

-Jak wszystko... - dodał Borenson.

-Chcę... podziękować ci za to, co zrobiłeś. Wiele poświęciłeś dla Mysterii - powiedział król.

-Tylko sumienie i jaja - rzucił Borenson. Wciąż jeszcze nie wiedział o zakleciu Binnesmana, które dawało mu szansę na pełne wyzdrowienie, a ból przydawał mu szczerości.

-Czegoś jeszcze sobie życzysz, mój panie?

-Tylko pokoju dla ciebie i twoich - stwierdził Gaborn. - I spokojnego życia bez wojen Baja Ahtena, raubenów i czarnych gloriów.

-Oby się spełniło - szepnął Binnesman. Gaborn westchnął.

-Mam drewno, które może pomóc ci wrócić do zdrowia. Chcesz je? Wojownik przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

-Ile możesz mi ich dać?

-Ile chcesz?

-Tyle, żeby zabić Baja Ahtena. To prawda, że wciąż żyje?

-Tylko dać ci nie mogę - odparł bez wahania Gaborn, chociaż przyszło mu to z trudem.

Chciałby umożliwić Borensonowi wywarcie zemsty. Jeśli ktokolwiek na to zasłużył, to właśnie on, zmuszony do zabicia dzieci służących Wilkowi za darczyńców oraz wielu ludzi, których zwał swoimi przyjaciółmi. Pozbawiony przez Wilka męskości Borenson.

Rycerz usiadł z wysiłkiem, jakby chciał dowiedzieć się, że zdrowieje.

-Byłem najlepszym gwardzią w służbie twojego ojca. Jeśli ktokolwiek może go dopaść...

-Nie. Ani ty, ani ja nie możemy tego zrobić. Ziemia zabrania. Przez wzgląd na nas wszystkich...

-Przyszedł mi pomoc. To widac po twoich oczach. I dajesz mi dreny...

-Sto. Nie więcej.

To i tak było wiele. Wcześniej Borenson miał dwa razy mniej darów.

loma wzięła Myrrime za rękę i odciągnęła od wozu. Niech mężczyźni porozmawiają...

-Co się dzieje? - spytała Myrrima.

-Gaborn potrzebuje twego meza, żeby dostarczyć wiadomość królowi Zandarosowi.

Apel o pokój. Biorąc pod uwagę wszystko, co się ostatnio zdarzyło, nielato mu o to prosić.

-Rozumiem - stwierdziła Myrrima. Wiedziała, że Borenson podejmie się zadania.

Osiem dni wcześniej obiecał wyruszyć do Inkarry na poszukiwanie legendarnego Daylana Młota, Sumy Wszystkich Ludzi. Istniała nadzieja, że dzięki niemu dowiedzą się, jak pokonać raubenów i Baja Baja Ahtena. Miał jechać w tajemnicy i ukradkiem, bo granica pomiędzy Inkarrą a Rofehawanem od dziesięcioleci była zamknięta.

Jednak Myrrima natychmiast zrozumiała, jaka posłanie może przynieść korzyść im wszystkim. Gdyby Borenson zdołał przekonać Zandarosa co do pokojowych intencji Mysterrii, władca Inkarry mógłby nawet pomóc odszukać Daylana Młota. A nawet gdyby nie, to Borenson miałby pretekst, żeby przekroczyć granice, i potem mógłby ruszyć dalej.

-Gdzie znajdzie darczynców? - spytała Myrrima, gdy stały nad brzegiem strumyka.

-W Carris mają darmistrza.

-Miasto leży w gruzach. Jesteś pewna, że to będzie bezpieczne? Klatwy magini wciąż zatrują tam powietrze!

-Najwyżej weźmie trochę więcej darów sił życiowych. Zresztą po drodze jest jeszcze Batenne. Gaborn zapewnił mnie, że tam też można przyjąć dary.

Myrrima zastanowiła się. Nigdy nie widziała mapy Mysterrii i nie miała pojęcia, gdzie leży Batenne, chociaż nazwa brzmiała jakos znajomo. Kojarzyła, że chodzi o wielkie miasto na dalekim południu, w kranie winnic u stop gór Alcair. Bogaci panowie wyjeżdżali tam często, żeby w łagodniejszym klimacie przepędzić zimą.

-Pojedziesz z nim? - spytała loma.

-Jeśli zechce mnie wziąć. Zresztą... choćby nie chciał, i tak pojedzie.

-Oczywiście, że będzie chciał mieć cię przy sobie - powiedziała loma z dziecinnym optymizmem.

Myrrima ścisnęła dłoń przyjaciółki i przez dłuższą chwilę nic nie mówiła.

-Jak ty to robisz? - spytała w końcu. - Tak łatwo ci kochać... loma uniosła zdumione spojrzenie.

-To widac w twoich oczach - wyjaśniła Myrrima. - I gdy patrzysz na swoje sługi.

Nawet gdy patrzysz na mnie. Niczego nie udajesz. A ja jestem żoną mężczyzny, który powiedział, że mnie nie kocha, i sądzę, że nie będzie nawet dbał o pozory.

-Nie wiem - odparła loma. - Miłość nie jest czymś, co czujesz, ale czymś, co dajesz.

-A nie czujesz się wtedy jak rozdarta?

-Czasami - przyznała królowa. - Ale jeśli ktoś odwzajemnia twoją miłość, takie rozterki nie dokuczają za bardzo. I warto je znosić.

Myrrima zastanowiła się, czy ta rozmowa w ogóle ma sens. Wszędzie wokół szalała wojna, a ona zamartwiała się miłością. I jeszcze zwracała tym głowę lomie. Ale dla niej świat bez miłości byłby pusty i zimny, jak wymarły.

-Chyba nauczyłam się kochać od ojca - podjęła watek loma. - O wszystkich zawsze dbał po równo. Gdy ktoś był leniwy albo próżny, nie siał tym na siebie jego nienawiści czy potępienia, jedynie troskę. Mój ojciec uważał, że z każdej przypadłości ducha można wyleczyć, o ile sam zainteresowany tego pragnie. Wierzył, że okazując komuś uprzejme zainteresowanie, nakłoni go do poprawy.

Myrrima zaśmiała się.

-Gdyby to tylko było takie łatwe!

-Ale rozumiesz? Jeśli chcesz miłości, musisz nauczyć się ją dawać.

-Nie sądzę, aby mój mąż wiedział, co to miłość.

-Zatem musisz go nauczyć - wyjaśniła z zaniepokojeniem loma. - Niech ma cię za wzór. Nie zawsze nauka miłości przychodzi łatwo. Słyszałam, że niektórzy w ogóle nie potrafią się tego nauczyć. Zbyt głęboko chowają swoje uczucia.

Ledwie chwile temu Myrrima myślała o tym samym - że nijak nie potrafi dotrzeć do serca męża. Pokręciła głową.

-On jest pełen odrazy do siebie. Jak okazać miłość komuś, kto ją odrzuca?

-Wyszłaś za niego. Już choćby to coś znaczy.

-Ale to było zaaranżowane małżeństwo.

-Chcesz jechać z nim do Inkarry. Myślisz, że i z tego nie wyciągniesz żadnych wniosków?

Myrrima znowu pokręciła głową.

-Może zrozumie, czym jest miłość, gdy sam ją poczuje - dodała loma. - Tyle zmieniło się ostatnio w jego życiu. Stracił stanowisko w gwardii, potem dary. To niezwykle człowiek, ale jeszcze się nie odnalazł. Pomóż mu w tym.

Myrrima pomyślała nagle, o co chodzi. Borenson nie umiał kochać, bo nigdy sam nie był naprawdę kochany.

Wiele o nim słyszała. Miał reputację kogoś zdolnego stawiać czoło największym przeciwnościom. Śmiał się w walce. Jasne, że się śmiał. Śmierć nie była mu straszna. Byłaby koncem udreki.

Oddział Gaborna ustawił się już na drodze. Zaraz mieli ruszać.

-Gotowa?! - zawołał Gaborn do lomy.

loma ścisnęła raz jeszcze dłoń Myrrimy i pobiegła do męża.

-Chcę, żebyś zawiadomił królową Zandarosową - powiedział Borenson, gdy Myrrima wroczyła do wozu. - Gdy tylko będę mógł utrzymać się w siodle.

-I pojedziesz?

-Oczywiście - powiedział i skrzywił się na samą myśl o dosiadaniu konia.

-Muszę ci coś powiedzieć - zaczęła Myrrima. - Wiem, że mnie nie kochasz, ale ciągle jestem twoją żoną i ciągle cie kocham. Może to starczy...

Nie odzywał się przez dłuższą chwilę, aż w końcu dotknęła jego dłoni.

Po chwili sięgnął pod tunikę i sprawdził coś palcami. Jakiś dziwny grymas przebiegł mu po twarzy.

-O co chodzi? - spytała. - Zrobiłeś się jeszcze bardziej męski niż wcześniej? - zaryzykowała. - Binnesman przygotował ci lekarstwo - wyjaśniła. - Powiedział, że za godzinę będziesz gotów siadać na konia. A z czasem może nawet do końca wyzdrowiejesz.

Ulga i zdumienie, które ujrzała na jego twarzy, dodały jej odwagi. Milczał nadal, ale wyglądał, jakby zabrakło mu słów i jakby wciąż nie dowierzał swojemu szczęściu.

-Jeśli ten czarnoksiężnik wyhoduje mi nowe jaja, to zaciągnę go do najbliższej gospody i spiję piwem - powiedział w końcu

lekko zduszonym glosem.

Myrrima zasmiała się prawie bez troski.

-To one nie są dla ciebie warte więcej niż kilka kufli piwa?

12 OBLICZE KRÓLA ZIEMI

Każdy z nas rodzi się z tysiącem twarzy, ale naraz ukazuje innym tylko jedną. -Torin Belassi, O sztuce mimikry Gaborn i loma skierowali się ku swoim wierzchowcom. Przez długi czas żadne nie odzywało się ani słowem. Królowa czuła, że gorzki ton Borensona dotknął jej meza. A kiedyś byli bliscy sobie niczym bracia...

-Wyzdrowieje - powiedziała w końcu. - Binnesman obiecał, że wyzdrowieje.

Gaborn pokręcił głową.

-Nie, chyba jednak nie. Nie do końca. Paskudnie go wykorzystaliśmy. Jest wściekły na Baja Ahtena, zły na mnie. I zrobił się podejrzliwy. Zandaros nie będzie skłonny do ustępstw tylko dlatego, że wysyłam przyjaciela w roli posła. Równie dobrze może znaleźć tam śmierć.

loma przygryzła wargę. Nie spodobało jej się, co usłyszała. Zandaros uciął wszelkie kontakty z Mysterria jeszcze przed narodzinami Gaborna i na dodatek wysłał zbrojce, aby zglądzić króla. Był człowiekiem niebezpiecznym, ale cała Inkarra zawsze była dziwna, a jej zwyczaje jeszcze osobliwsze.

-Jestes pewny, że Borenson będzie chciał rozmawiać z królem Zandarosem? - spytała loma. - Jego krewniak sugerował, że Król Burz wolałby się raczej widzieć ze mną, a to ja jestem twoją najbliższą rodziną.

loma starała się mówić o tym jak najspokojniej. Wcale nie chciała jechać na południe.

Byłaby to długa podróż, która nie wiadomo dokąd by doprowadziła. Ryzykowałaby nie tylko swoje życie, ale i życie noszonego w łonie dziecka.

-Nie. Ty nie - stwierdził Gaborn.

Spojrzała na meza. Nie dostrzegł tego, głęboko zamysłony.

Weszli do stajni. Konie zostały wcześniej nakarmione, wyszczotkowane i wyczesane.

Rumaka Gaborna okrywały srebrzyste lądry przywiezione w nocy z Carris. Z naczółka sterczał mu spiralny róg, a spod blach wylazł biały jedwab. Wyglądał jak z bajki.

Panom z Carris zależało na triumfalnym wjeździe Gaborna. Chcieli podnieść lud na duchu. loma i mądzy też uważali to za wskazane. Gallentine, stary kanclerz Paldane'a, przysłał ostrzeżenie, że po mieście rozeszła się plotka, jakoby Gaborn zginął w walce.

Należało coś z tym zrobić.

Postanowiono zatem, że Gaborn przejedzie przez Carris. Niejako przy okazji, bo zamierzał dołączyć do oddziałów, które ścigały uchodzących na południe raubenów, i osobiście poprowadzić kolejny atak. Potem chciał skorzystać z pomocy Averan i odszukać raubena przewodnika.

Przez całą noc naradzał się z mądrymi. Co godzina otrzymywał nowe meldunki od Skalbairna. Gdy zrobiło się zimno, raubenowie zakopali się w ziemi i nawet rano nie wyrzeli na świat.

Nocna burza opóźniła wyjazd Gaborna z Balington. Nie śmiał wysłać pancernych rycerzy na śliskie od błota drogi. Niemniej ochłodzenie i deszcz dały się jeszcze bardziej we znaki raubenom.

Od wieczora uszli ledwie czterdzieści mil, co dawało Gabornowi znaczne fory.

Posłał już umysłowych do zamków w gorach Brace i kazał przysłać kopie, balisty i żywność potrzebne wojskom idącym tropem raubenów. Wczesnym świtem posłancy wrócili z dobrą nowiną - deszcz nie dotarł prawie do terenów na południe od gór Brace, a to znaczyło, że pola będą suche i można będzie na nie wyprowadzić ciężką jazdę.

Uporawszy się ze wszystkim, co dotyczyło raubenów, Gaborn zajął się poselstwami do królów Rofehavenu i przez resztę

nocy przyszło mu się borykać tak ze sprawami poważnymi, jak i zupełnymi blahostkami. Postanowił wysłać oddziały Indhopalczyków spod Carris na północ, by pomogły w obronie tamtejszych miast i zamków. Zlecił wręczenie szeregu łapówek, kazał też poszukać i wziąć na złość najemników z Internooku, by czuwać nad wybrzeżem.

Kolejny posłaniec, tym razem z Heredonu, przyniósł zdumiewające nowiny: Żelazny Król odrzucił uprzejmie ofertę Gaborna i sam wziął się z powodzeniem do niszczenia hordy raubenów, która pojawiła się na północy i pomaszerowała wzdłuż wybrzeży na południe.

Szczesliwy strzał z okretowej balisty ugodził celnie i zabił wielką maginie, która przewodziła najazdowi, i jej armia błyskawicznie przeszła do odwrotu.

Teraz Gaborn mógł już ruszać do Carris.

Dosiadł rumaka, poczekał chwilę na łomie i razem wyjechali ze stajni. Na zewnątrz czekało na nich sześciu młodych heroldów, wszyscy w białych, z zielonym godłem domu królewskiego na płaszczach, jasnowłosi i ze złotymi trabkami. Jacyści za nimi siedzący młodzieniec miał dzwigać królewski sztandar.

Rycerze z orszaku wzięli z wozu długie białe kopie i unieśli je wysoko. Nosili barwy z tuzina królestw, by zaświadczyć wszem i wobec, że Gaborn nie jest władcą jednego tylko kraju, ale całej ziemi.

Jureem, Binnesman, dzika i Averan mieli jechać razem z doradcami blisko wozu z uzbrojeniem. Pochód zamykał kolejny, całkiem niepozorny wóz, na którym Gaborn kazał złożyć drewno.

Młody władca zatrzymał konia przed stajnią, a gdy przeminęły wiewaty, Binnesman podjechał doń i wręczył mu skórę z pasmem przyczepionego bluszcza, która miała służyć za berło. Król Ziemi wyglądał teraz tak, jak opisywano go w dawnych opowieściach. Łoma czuła jednak, że jej myśli jest daleko.

Przebyli sześć mil, gdy heroldowie przystanęli na szczycie niewysokiego wzgórza, zawrócili konie i podnieśli krzyk, że droga zagraża horda olbrzymów.

Nie musieli zresztą nadwierać gardel, gdyż w tej samej chwili zza wzniesienia wychynał pomarszczony stary potwór i stanął wpatrzony w Gaborna.

Na ramieniu trzymał rosnącego ogiera z przetrąconym karkiem. Złociste futro miało brudne i zmatowiałe, z pasmami siwizny. W uszach i nosie tkwiły żelazne cwięki, a długi włos pod paszczką nosił zapleciony na modłę wojownika. - Lahuut! - krzyknął, unosząc pysk do nieba. Z pobliskich dołów zerwało się do lotu stado gołębi, które zaczęły krzącać niespokojnie nad okolicą. Łoma nie знаła ani słowa z języka olbrzymów i nie pojmowała, co takiego stworzenie chce powiedzieć, chociaż wyraźnie było to coś podniosłego. Reszta olbrzymów dołączyła do przywódcy. Przy każdym ruchu ich broje grzechotały niczym lancuchy na zwodzonej mosteczce.

Przewodnik cisnął martwego wierzchowca na drogę, a po chwili to samo uczynili pozostali, gdyż oni też niesli podobne zdobycze. Łącznie było ich dwudziestu dwóch i po chwili na drodze przed orszakiem Gaborna piętrzył się stos konskiej padliny.

Są jak koty przynoszące do domu myszy i ptaki, pomyślała Łoma. Wódz olbrzymów wyciągnął tymczasem wielkie łapy przed siebie i skrzyżował je w nadgarstkach. - Lahuut! - powtórzył.

Gaborn patrzył na to z przejęciem. Reszta orszaku aż usta potwierzała ze zdumienia.

Olbrzymowie pojawili się dopiero sto dwadzieścia lat temu, wcześniej nikt ich nie widział ani nawet nie słyszał o tych stworach. Pewnej wyjątkowo ciężkiej zimy całe plemię liczące ze czterech setki głów nadeszło z północy po lodzie. Byli przerażeni i poranieni, jakby ścigał ich jakiś potężny wróg.

Nie władali dobrze żadnym ludzkim językiem i nigdy nie udało się dowiedzieć, co zagnało ich na południe. Niemniej potrafili nauczyć się prostych słów i gestów, dzięki czemu ludzie wykorzystywali ich do ciężkich prac przy budowach i karczowaniu puszczy, a także w wojennej potrzebie.

Niemniej w Rofehavanie zjawiali się bardzo rzadko. Woleli dzikie górskie ostepy.

Ta grupa przybyła wraz z armią Bajy Ahtena i nie raz próbowała ludzkiego mięsa.

Łoma była zarazem przerażona i zafascynowana ich widokiem.

-Czy ktos wie, jak sie z nimi porozumiec? - spytal Gaborn. - Czego oni chca? - Lahuut! - zawyl znowu olbrzym i zaczal energicznie kiwac glowa. Wyraznie wskazywal na Gaborna. - Lahuut!

-To indhopalski - powiedzial z dharmadyjskim akcentem jeden z wojownikow, przystojny Niezwyciezony o czarnej skorze, ktory przylaczył sie do Krola Ziemi.

-On mowi, ze jestes mahout, panie. Mahout to ten, ktory jezdzi na sloniu. Ktos wielki.

Bardzo potezny. - Lahuut! - powtorzył olbrzym, wskazujac na martwe konie.

-Chyba cie lubi, wasza wysokosc! - zazartowal ktos ze swity.

-Nie - zaprotestowal Niezwyciezony. - Krzyzuje rece. Oddaje sie. Chce sluzyc.

Olbrzym otworzył paszcze i wydal szereg sykliwych klaskan we własnej mowie.

Potem zaczął łapac wiatr w nozdrza. Nie probowal juz przemawiac zniekształconym indhopalskim.

-Co mowi? - spytal Gaborn.

Jednak nikt nie rozumial slow olbrzyma. Nawet czarnoskory tłumacz nie potrafil sie niczego domyslic.

-Bedziesz dla mnie walczył? - spytal glosno Gaborn. Poprzedniego dnia oddzial olbrzymow dzielnie stal pod Carris.

Przywodca chrzaknal donosnie, z samych trzewi, i uniosl maczuge poczerniala od posoki raubenow.

-Chyba... - zaryzykowal tłumacz - gotow jest poddac sie pod rozkazy.

Gaborn spojrzal pytajaco na swoich.

-Czy ktos z was wie, na co moze przydac sie olbrzym?

-Owszem! - krzyknal ktos. - Na dywan!

Inni zasmiali sie zywiolowo, ale Gaborn nadal z uwaga wpatrywal sie w potwora, ktory znowu uniosl maczuge i powtorzył wczesniejszy okrzyk, a potem rozpostarl szeroko ramiona, jakby chcial objac caly swiat.

-Mowi, ze jestes wielkim mahoutem, moj panie - zasugerowal Indhopalczyk. - Wielkim jezdzcem swiata.

-Nie... - wtracila sie loma. - On pyta... Chce wiedziec... czy Gaborn jest Krolem Ziemi. - Zanim ktokolwiek zdazyl zareagowac, wskazala na swojego meza. - Tak. On jest wielkim jezdzcem. Rajah mahout! - krzyknela.

Olbrzym spojrzal na nia, jakby cos go zastanowilo. W jego srebrzystych slepiach pojawil sie cien inteligencji.

Pozostale stwory zachrzakaly energicznie i wszystkie skupily spojrzenia na Gabornie.

Pochylily sie i otworzily paszcze, ukazujac zeby, ale wyraznie nie kryla sie za tym zadna grozba. Zastygly w tej postawie na dluga chwile, a potem tuzin z nich ruszyl nagle na zachod, ku gorom Heist.

-Ejze, dokad oni ida? - spytal Gaborn. lomie tylko jedna odpowiedz przyszla do glowy. Powiadano, ze te gory sa najwiekszym siedliskiem olbrzymow, moze zatem wracaly do domu. Pozostala dziesiatka wciaz stala nieruchomo i wpatrywala sie w Gaborna takim samym wzrokiem, jakim spoglada pies, gdy jego pan wychodzi z domu. Wyraznie zamierzaly podazyc za nim.

-W Carris czekaja na nas - powiedzial Gaborn. - Wezmiemy ich ze soba?

-Z braku tanczacych niedzwiedzi... - mruknal Binnesman. - Przydadza sie w orszaku.

Rycerze zasmiali sie na ten zart i caly oddzial ruszyl polem, mijajac sterte koni.

Dziesiatka olbrzymow poczekala, az przejada, i dolaczyla z samego tylu, za wozem z drenami.

Gaborn przez kilka minut jechal w ciszy. loma widziala, ze cos go trapi.

-Niepotrzebnie sklamalas - szepnal po chwili do zony. - I nic nie zmienia to, ze tylko olbrzymom.

-Sklamalam? - spytala ze zdumieniem loma.

-Cokolwiek powiedzciec, Krolem Ziemi juz nie jestem. Wolalbym nie zawiesc ich zaufania i nadziei.

loma zrozumiala, ze jej maz wciaz przezywa niedawny blad. Bez watpienia trudno mu bylo odsunac rozterki na bok nawet teraz, gdy musial zajac sie tym, co go czekalo tego dnia. Kochala go za te wzraliwosc.

-Wciaz jestes Krolem Ziemi - powiedziala. - Ziemia powierzyla ci pewne zadanie i chociaz twe moce oslably, musisz je wypelnic.

loma zastanowila sie, czy powiedziec mezowi, ze spodziewa sie dziecka. Chciala dodac mu sil, ale czy to by go wzmocnilo? Teraz, gdy narastalo w nim wciaz poczucie winy, gdy sklonny byl do samooskarzen? Chyba nie... I tak dosc ciezkie brzemie dzwigal.

-Masz racje - powiedzial cicho. - Moj lud potrzebuje krola. Nawet jesli ziemia juz mnie nie wspiera, tutaj ciagle jestem wladca.

Zamknal oczy i wyraznie sprobował sie odprezyc. Gdy chwile potem uniosl glowe i spojrzal na lome, w jego wzroku malowala sie sila i determinacja. Rozdal lekko nozdrza i cala postawa wyrazal gotowosc do przejecia wladzy nad wszystkim i wszystkimi oraz nieludzka wrecz stanowczosc.

-Panie! - zakrzyknela loma na ten widok. Wiedziala, ze Gaborn pobieral nauki w Komnacie Twarzy i potrafil wielce odmienic swoje oblicze, ale po raz pierwszy widziala podobna przemiane.

Mimo wszystkich watpliwosci i problemow zdalo sie jej w tej chwili, ze naprawde patrzy na Krola Ziemi.

13 LEKCJA CZAROW

Czlowiek nazwal po swojemu cztery zywioly: ziemie, powietrze, ogien i wode. Te slowa starczyc moga zwyklym ludziom, ale czarnoksieznicy musza poznac prawdziwe imiona zywiolow. Wzywamy je nimi w chwilach wielkiej potrzeby, a czasem i wtedy, gdy sami jestesmy zagrozeni. - wyjatek z Ksiegi czarow dla dzieci i mlodziezy mistrza Cola Averan odwrocila twarz od podmuchow zimnego wiatru i uchwycila sie kurczowo leku siodla. Konie galopowaly na poludnie przez szmaragdowozielone wzgorza. Na blekitnym niebie przesuwaly sie powoli dlugie smugi wysoko wiszacych chmur. Binnesman siedzial za nia. Podczas tej szalonej jazdy przytrzymywal Averan lewa reka, a dlugim plaszczem otulal dziewczynke, chroniac ja troche przed chlodem.

Cala ta troska troche ja smieszyla, juz bowiem w wieku pieciu lat zdarzylo sie, ze leciala na graaku podczas burzy z piorunami. Zwierzak tak ciezko walczył z pradami powietrza, ze skrzydla mu trzeszczaly. Tylko prawdziwy podniebny jezdziec moze wiedziec, co to za jazda. Zwykly rycerz po prostu musialby po niej oddac portki do prania.

Niemniej cieszyła sie, ze jest z czarnoksieznikiem. Nigdy jeszcze nie podrozowala w tak duzej kompanii, a wobec licznych czajacych sie wokol niebezpieczenstw bylo to bardzo korzystne. Przed oddzialem jechali zwiadowcy, z tylu uzbrojeni w kopie Wladcy Runow i jeszcze oddzial olbrzymow w ariergardzie.

Szczegolnie szczesliwa byla z odnalezienia Wiosny, bo to ona pierwsza spotkala zielona

kobietę i ciągnęło ją do tej niezwykłej istoty. Nawet teraz, gdy wiedziała już, że to dzika. No i jeszcze podobnie miło czuła się w obecności lomy. Jako jeździec graaków nie miała dotąd wiele kontaktu z innymi kobietami.

Kopyta koni uderzały w szybkim rytmie, melodyjnie pobrzekiwały zbroje. Averan pomyślała, że jazda na koniu z tyłoma darami jest bardzo podobna do podróżowania na grzbiecie graaka.

-Czy Borenson naprawdę wyzdrowieje? - spytała w pewnej chwili milczącego i jakby zmęczonego Binnesmana.

-Mam nadzieję - usłyszała. - Uleczenie rany to żadna sztuka. Odtworzenie kawałka ciała wymaga już większej magii i słono kosztuje. Jednak tutaj trzeba przede wszystkim uzdrowić serce. No i sam ranny musi chcieć wyzdrowieć.

-To aż tak takie trudne?

-Bardzo. Prawie niemożliwe. Ale byliśmy akurat w magicznym miejscu, i to w towarzystwie dzikiej. Kiedy indziej i gdzie indziej nawet bym nie próbował.

Przemykali przez wioski, które Averan widziała tylko z powietrza. Wśród nich przez Zab Garrina. Wcześniej zdawało się jej, że to tylko kilka domków i pola majątku leżące kawałek na północ od gór Solace. Jednak widziana z ziemi, i to w pełnym, jesiennym słońcu, była to okolica rozległa i pełna życia. Małenkie z góry chatki okazały się zabudowaniami wysokiej i solidnej gospody o pobielonych ścianach, zielonej stolarce i z pełnymi kwiatów skrzynkami pod każdym oknem. Szachownica pol zmieniła się w winnice i laki, między którymi wili się błękitny strumyk. Na jasnej powierzchni wody przesuwały się dostojnie labędzie. Posiadłość była doskonale zarządzana.

Zaraz potem znowu pojawiły się wzgorza i kolejne wioski, jak Nasienna, Wietrzyska i Schronisko, a każda okazywała się oazą życia wśród barwionych jesienią pól, na których czarnookie zuzanki wyrastały na metr wysoko i gięły się w podmuchach wiatru.

Konie gnały galopem i grupa olbrzymów na tyłach ledwo za nimi nadążała. Dyszeli i pochrzakiwali, a czasem poszczekiwali. W końcu zostali za wszystkimi, ale dołączyli na pierwszym postoju.

Na kolejnym popasie Averan zaczęła obierać swoje ubranie z różnych roślinnych drobinek, które oblepiły ją jeszcze na wozie.

-Przeestan - powiedział Binnesman, tracając po ojcowsku jej dłoń.

-Dlaczego?

-Hodujesz swą własną czarnoksiężską szatę - wyjaśnił. - Będzie chronić cię od słońca i

ognia, od wiatru i chłodu. A czy znajdziesz się w lesie, czy na otwartym polu, czy w nocy czy za dnia, będzie cie osłaniać przed wścibskimi oczami.

Averan spojrzała na rekaw płaszcza Binnesmana. Przypominające korzonki włókna tkaniny były złociste jak jesienne liście. Czy w ogóle było to sukno? I jak mogło chronić przed czymkolwiek spojrzeniem?

-Mistrz Brand powiedział, że szybko rośnie. A co się stanie, jak mój płaszcz zrobi się na mnie za mały?

-Nigdy nie będzie za mały - odparł Binnesman. - Będzie rosnął razem z tobą.

-No to mam nadzieję, że będzie trochę ładniejszy niż twój. Bez obrazy, ale twój ma trochę workowaty fason. Wolalabym coś gustowniejszego.

Binnesman roześmiał się.

-Jestem pewien, że wszyscy Straznicy Ziemi będą ci zazdrościć stroju.

-A skoro tak, to kiedy zamierzasz nauczyć mnie zakleć i całej reszty?

-Na razie nie ma na to czasu. Póki co ochronia cię przed ogniem... - Nakreślił Averan na czole jakąś runę i oslepiający blask słońca zaraz dziwnie złagodniał. - A to ochroni cię przed powietrzem - dodał, rysując kolejną runę. Wiatr, niosący zapowiedź zimy, przestał jej dokuczać. W myślach odtworzyła sobie oba znaki.

-Na razie wystarczy - powiedział czarnoksiężnik. - Później nauczę cię i zakleć, i innych jeszcze runow.

Chwile potem znowu wsiedli na konie. Byli już blisko martwych pól wokół Carris.

Przez cały horyzont ciągnęła się ciemna linia zniszczenia. Averan najchętniej w ogóle by jej nie przekraczała. Kamienie po tej drugiej stronie kojarzyły się jej z kośćmi umierającej ziemi: wyglądały spod gleby jak ludzkie szkielety spod gnijącego ciała.

Miała nadzieję, że nigdy już, nawet w najgorszych snach, nie będzie musiała oglądać Carris, a jednak teraz tam właśnie jechała.

-Wasza wysokość, czy możemy przystanąć na chwilę?! - zawołał Binnesman do Gaborna.

Król Ziemi nie spytał o nic. Sam widział coraz bliższą granicę martwoty i wiedział, że trzeba pożyć przed nią konie.

-Oddziaaaal... stoj! - zawołał.

Konie zaraz zaczęły szczytać trawę, a zdyszani olbrzymowie przysiedli na ziemi.

Binnesman oddalil sie niespiesznie z pol mili na zachod. Dzika trzymala sie jego boku. U stop wzgorza czarnoksieznik zatrzymal sie przy strumieniu i pozwolil wierzchowcom popasc sie i popic wody.

-Mozecie tu zostac, jesli chcecie - powiedzial do Averan i dzikiej.

Wspial sie na szczyt wzgorza i stanal pod wielkim debem. Sklonil sie w strone martwej ziemi i uniosl w obu dloniach laske, wysoko nad glowe. Averan slyszala, jak czarnoksieznik cos spiewa, ale wiatr unosil slowa.

Przez dlugie minuty nic sie nie dzialo, az w koncu laska zaczela wydzielac cos jakby niebieski dym. Dym albo wielkie ilosci unoszonego wiatrem pyłku.

Zielona kobieta zesla do strumyka, uklekla w wodzie i wyciagnela raka. Trzymala go w dloni i przygladala mu sie z zaciekawieniem. Ktos odzial ja w brunatna tunike, zielone portki i nowe, skorzane buty. Na to jednak miala wciaz narzucone znane Averan niedzwiedzie futro Rolanda. Teraz przypominala nawet czlowieka.

Jednak dziewczynka wiedziala, ze bledem byloby brac dzika za istote ludzka.

Binnesman stworzyl ja tak samo, jak sie robi lalki. Starczylo troche ziemi, kamieni i kory...

-Co robi Binnesman? - spytala Averan. Wiosna spojrzala na nia, potem na czarnoksieznika.

-Nie... wiem - odparla powoli.

Averan przyjrzała sie dzikiej. Szybko sie uczyla. Przed kilkoma dniami potrafilo jedynie powtorzyc pare slow, a teraz umiala nawet odpowiadac na pytania.

-Wiosno, czy ty sie boisz czasem?

-Boje? - spytala zielona kobieta, przekrzywiajac glowe. Wrzucila raka z powrotem do wody.

-Tak, czy sie boisz. To takie odczucie. Gdy sie boisz, serce ci mocno bije, a czasem nawet czlowiek zaczyna sie caly trzasc. Zdarza sie to wtedy, gdy ma dojsc do czegos zlego.

-Nie - odparla dzika. - Nie boje sie.

-Nawet wielkich raubenow?

Wiosna pokrecila glowa tak zywo, jakby to uwazala za absurd. Moze ona w ogole nic nie czuje? pomyslala dziewczynka. Nigdy nie smiala sie ani nie plakala.

-A czujesz cokolwiek? - spytala glosno. - Czy cos ci sie sni, gdy spisz? - Sni sie?

-Czy widzisz cos, gdy zamkniesz oczy? Zielona zacisnela powieki.

-Nie. Nie widze.

Averan dala temu spokoj. Chciala zaprzyjaznic sie z dzika, ale jak miala to zrobic?

Dla zabicia czasu zaczela uczyc ja nowych slow.

Gdy Binnesman skonczyl swoje czary, sklonil sie raz jeszcze i zszedl ze wzgorza.

Nic sie nie zmienilo. Martwa kraina zionela wciaz tym samym brunatnym rozkladem.

Niemniej sam Binnesman przeszedl dziwna metamorfoze. Na czole pokazaly mu sie krople potu, slonial sie z wyczerpania. Przysiadl na brzegu strumyka i dlugo pil wode. Averan zaniepokoil sie, czy czarnoksielnik zdola wstac o wlasnych silach.

-Co robiles? - spytala.

-Nad ta kraina ciazy potworna klatwa. Zostala skazona chorobami i rozpacza.

Trzeba ja bylo poblogoslawic.

-I nie udalo ci sie?

-Nie udalo? Wrecz przeciwnie! Ale niektore odmiany magii dzialaja bardzo powoli.

Pelen efekt mojego zaklecia bedzie widoczny dopiero za jakies sto lat. Albo i wiecej.

Pogladzil Averan po glowie.

-Czy dzika ma sny? - spytala nagle dziewczynka. Czarnoksielnik zmarszczyl brwi.

-Czy sni? Chyba nie. A kazdym razie nie jak my. Co najwyzej o jedzeniu albo polowaniu.

-Aha - mruknela rozczarowana Averan.

-Nie powinna myslec o niej jak o czlowieku.

-Mialam nadzieje, ze zostaniemy przyjaciolkami.

-To byloby niebezpieczne.

-Myslisz, ze moglaby mi zrobic krzywde?

-Nie. Nie celowo. Ale ona nie jest czlowiekiem. Bedzie cie chronic, ale brak jej uczuc... No i popatrz, do czego doprowadzilas... Tez zaczalem mowic "ona". Dzika mogla pojawic sie pod dowolna postacia. Jako kroczone drzewo albo waz. Jednak zostala wezwana dla obrony ludzkosci i przybrala nasz ksztalt.

-Wiem ona niczego nie czuje? - upewniła się Averan.

-Tylko ból czy głód... Może jeszcze coś, równie prostego. Ale nigdy nie będzie twoją przyjaciółką. Bardziej przypomina pływającego w rzece lososia. Jeśli będziemy mieli szczęście, zrobi co do niej należy i zniknie. Musisz przywyknąć do tej myśli.

Nie będzie zaglądać do ciebie na pogaduszki.

-Och -jękła Averan. Nie powiedziała tego, ale jej zdaniem to nie było w porządku.

Szczególnie wobec Wiosny.

Dosiedli koni, dołączyli do oddziału Gaborna i szybko ruszyli w dalszą drogę.

-Dobrze czarow na dzisiaj - mruknął Binnesman, gdy już jechali. - Lepiej porozmawiajmy. Ścieżka czarow pokrywa się ze ścieżką wiedząca do prawdziwej mocy - zaczął tonem nauczyciela. - Ale to nie jest łatwa droga. Naprawdę chcesz nią pójść?

-A skąd mam wiedzieć? - spytała Averan.

-No tak, nie powinienem oczekiwać aż tyle od dziecka - mruknął Binnesman i zamyslił się nieco. Najwyraźniej nigdy wcześniej się nie zastanawiał, jak właściwie należy uczyć magii. - Powiedzmy więc inaczej: przypuszczam, że czeka cię droga niełatwa i pełna niebezpieczeństw. Czy mimo to gotowa jesteś na nią wkroczyć?

-Mówisz o podziemnym świecie? - spytała Averan. - Chcesz, żebym poszła tam z tobą i Gabornem? - Nie miała na to najmniejszej ochoty. Przeraziła ją ta głęboka ciemność.

-Może i tak. Moja dzika będzie musiała jesc, a właśnie tam jest to, co lubi najbardziej.

-Wiem. I też odczuwam głód krwi... W nocy jeszcze byłam najedzona, a teraz burczy mi w brzuchu. To, co jem... jakos nie chce mnie wypełnić. Wszystko jedno, czy zjem mięso, czy trawę, wciąż jakbym powietrze lykła. Nie wiem, czy wytrwam tak długo.

-Krew, tak! - odezwała się tęsknie dzika, jadąca obok na siwym ogierze.

Binnesman znow się zamyslił. Averan podobało się, że czarnoksiężnik nie mówi nic bez zastanowienia.

-To dziwne, że nabrałaś przy tym wszystkim apetytu na raubenow. Bo w sumie nie musisz ich jesc. Ziemia nie zmusza cię do służby. Jeśli powstrzymasz się od zaspokajania takich i podobnych pragnień, w pewnej chwili znikną. Stracisz niemniej także te umiejętności, które zyskałaś dzięki ziemi.

-Podobnie jak Gaborn?

-Tak samo.

-I te glody nigdy juz potem nie wroca?

Binnesman pokręcił głową, aż jego broda musnęła kark dziewczynki.

-Nie potrafie powiedziec. Na pewno oslabna, ale czasem moga powracac. I to chyba az do konca zycia. Bedziesz tesknic niekiedy za krwia raubenow i za ta droga, ktora porzucilas. Bedziesz sie zastanawiac, kim moglabys zostac. Ale tak juz bywa w zyciu.

Wybierz jedno, musimy porzucic drugie.

-Brand mawial, ze zycie powinno byc podroza, a nie wedrowka do jednego celu. I ze powinniśmy cieszyć się każdą chwilą tej podróży.

-Hmmm - mruknął Binnesman. - Wielu mądrych by się z tym zgodziło, ale nie sądzę, że powinniśmy decydować się tylko na jedno albo drugie. Dobrze, abysmy podróżując, mieli czasem przed oczami jakiś cel.

-No to co mam zrobić, żeby zostać czarodziejką?

-To proste, chociaż wydaje się trudne. Sił przybywa nam zawsze dzięki temu, jak służymy. Ja służę ziemi, a ona mi się odwzajemnia.

-To przecież łatwe.

-Naprawdę tak sądzisz? Większości wydaje się to niemożliwe albo niezmiernie trudne. Dlatego nieliczni stają się biegli w naszej sztuce. Dla ciebie jednak to rzeczywiście może się okazać łatwe. Nie przypadkiem pojawiły się liście debowe na twoich dłoniach, nie przypadkiem nasiona kielkują w twojej szacie. Już zyskałaś więcej mocy niż niejeden przez całe życie.

-Ale co takiego zrobiłam dla ziemi?

-Nie mam pojęcia. Zajmowałaś się graakami. Może to była jakaś służba? No i próbowałaś ratować dziką, gdy spadła z nieba.

Averan nie wydawało się, aby cokolwiek z tego było ważne.

-A czy próbowałaś kiedyś naprawić zło tego świata? - spytał czarnoksiężnik.

Averan skinęła głową.

-A jak to wyglądało za pierwszym razem?

-Byłam małą...

-Ile miałas lat?

-Nie pamiętam dokładnie... może dwa albo trzy?

-I co to było?

-Mama prala nad rzeką i zabrała mnie ze sobą. I tam zobaczyłam krzak. Nie wiem, jak się nazywa ta roślina, nie widziałam jej nigdzie indziej. Ale obsiadły ją tłuste zielone gasienice. I zjadły ją. No to je zabiłam.

-Wszystkie?

-Nie od razu. Pierwszego dnia większość, ale potem mama zobaczyła, co robię, i odesłała mnie do domu. Wróciłam nazajutrz i dokończyłam robotę.

-A jak krzak?

-A całkiem ładnie. Urosł duży, a gdy obsypał się czerwonymi owocami, to nawet trochę ich zerwałam. Teraz wokół warowni Haberd rośnie cała masa takich krzaków.

-Możliwe, że w ten sposób oddałaś ziemi wielką przysługę. A teraz opowiedz o raubenach. Co czujesz, gdy ich widzisz?

-To samo, co przy gasienicach. Gdy zalali wzgorza wokół Haberd, miałam wrażenie, że są... bardzo nie na miejscu. Że nie powinni tam się nigdy znaleźć.

-I miałas chęć ich pozabijać?

-Zabili Branda i moją przyjaciółkę Heather, i wszystkich, których znalazłam, ale... tak naprawdę nie chcę ich śmierci. Chcę tylko, żeby wrócili, gdzie ich miejsce.

-Chyba to właśnie będzie twój cel... O ile obierzesz wspomnianą drogę... - stwierdził Binnesman. - Żeby skierować ich tam, skąd przybyli. Może to twoje przeznaczenie, którego nie zdołasz uniknąć...

-Ale ja jestem tylko małą dziewczynką! - zaprotestowała Avera.

-Z dziwnymi napadami apetytu na mózdek z raubena... I talentem w sam raz, by zostać Strazniczką Ziemi.

-A co to właściwie znaczy być kims takim?

-Jest się obrońcą ziemi. Opiekunem każdego życia, które bezradne i kruche pojawia się na świecie.

-Na przykład myszy i roślin?

-Albo ludzi.

-Nigdy nie myślałam, że ludzie są bezradni i słabi.

-Dzieci rzadko patrzą tak na innych. Ale teraz, gdy widziałas już raubenów, chyba sama rozumiesz, o co chodzi. Wiele wieków temu był taki czas, że ludzie żyli w stadach i co rusz musieli ukrywać się przed raubenami. Mieszkali w lasach jak jelenie, zawsze przerażeni i zawsze w gromadzie. Zresztą nawet teraz przerażenie łatwo nas dopada i wciąż częściej uciekamy, niż walczymy. Z czasem jednak rodzaj ludzki odkrył metale, nauczył się wydobywać, przetapiać i wykuwać z nich brąz. Nauczył się budować fortece i współdziałać w wojennej potrzebie. A gdy odkrył krwawy metal i runy, stał się równy najsilniejszemu nawet drapieżcy. Wyniosło go to na najwyższe miejsce pod słońcem. Łatwo zatem, widząc Władcę Runów, pomyśleć, że nie ma nikogo potężniejszego od takiego meza.

Wszelako nie ma to nic wspólnego z prawdą.

-Od jak dawna wiesz, że ludzkość jest w niebezpieczeństwie? - spytała Averan po dłuższej chwili namysłu.

Binnesman pogładził brodę.

-Od wieków było wiadomo, że zbliżają się mroczne czasy. Choć bardzo długo ludzie nie potrzebowali Strażników Ziemi. Ale gdy po raz pierwszy Ziemia wyszeptala moje imię, czułem, że moim zadaniem będzie właśnie chronić ludzkość. Pojąłem, że zagrożenie jest coraz bliższe, ale aż do upadku Carris nie wiedziałem, jak bardzo jest złe.

-To tak? Słyszysz wołanie ziemi i stąd wiesz?

-Nie słysze tego uszami... To raczej drzenie, które wyczuwam całym sobą... A wtedy objawia mi się wiedza... Nagle wiem... wszystko: dlaczego, skąd i co... I co mam zrobić.

Binnesman nie potrafił ukryć swoich odczuć. Ta pierwsza chwila porozumienia z Ziemią musiała być dla niego wielkim przeżyciem... Averan aż zateskniała za czymś podobnym.

-Zapewne przypadnie ci zadanie ochrony zwierząt. Kochasz je chyba bardziej niż rośliny czy minerały. Słyszałaś o Alwynie Zabie?

Averan zaśmiała się. To była jej ulubiona historia. Matka opowiadała ją wiele razy na dobranoc.

-On był naprawdę - powiedział Binnesman. - Obok mokradła Callonbee. Gdy wyschły na szesć lat, pozbił cały skrzek, jaki udało mu się znaleźć, i wrzucił go do studzien w Brachston. Mieszkańcy oczywiście zaraz podnieśli wielką wrzawę, bo przy każdym zanurzeniu wiadra wyciągali ze sto zab!

Averan zachichotała, chociaż trochę niepewnie. Co będzie, jeśli ziemia nakaze jej opiekować się czymś takim jak... zaby?

-Czy on naprawdę skakał jak ropucha i lapał muchy językiem? - spytała.

-A jak myślisz?

-Myśle, że to akurat wymyślili.

-Najpewniej masz rację.

-Więc ty po prostu wiesz? - podjęła poprzedni wątek Averan. - Budzisz się rano i wiesz już, co masz ratować?

-Nie zawsze jest tak prosto. Wszystko zawsze jest jakos powiązane... Czasem dla uratowania jednej istoty muszę poświęcić inną. Na przykład... gdy chodzi o ludzi. - Zerknął na króla. - Gaborn otrzymał dar wybierania, aby ocalić nasienie ludzkości. Ale ziemia nie kazała mu ratować wszystkich, zatem próbował wybierać jak najmądrzej. Tak samo ty będziesz musiała decydować czasem, co najbardziej warte jest zachowania.

-Może będę mogła zajmować się graakami - powiedziała z nadzieją Averan. - Albo sarnami.

-Moim zdaniem graaki są akurat mało sympatycznymi stworzeniami, więc chętnie się zgodzę, żebyś się nimi zajęła. O ile wymagać będą ocalenia.

-Ha! Gdyby każdy sam mógł wybierać zwierzęta, którymi chce się zająć, to pewnie wszyscy ratowaliby tylko krowiczki.

-Albo kocięta - dodał Binnesman, kiwając energicznie głową, i tracił dziewczynkę porozumiewawczo. Nie powiedział już nic więcej, bo wjechali na skazony zła magia obszar wokół Carris.

Averan pomyślała o Rolandzie, który leżał ciągle gdzieś w mieście, i zastanowiła się, czy zobaczy barona Polla.

14 TRIUMFALNY WJAZD

Spryciarz za głupca ma tego, kto działa wbrew swoim prywatnym interesom. Człek prawy za głupca ma tego, kto działa wbrew interesom rodzaju ludzkiego. Zatem wszyscy ludzie tak lubo inaczej są głupcami. Wszelako, skoro przyszło mi już żyć wśród głupców, zwiąże swój los raczej z głupcami prawymi. Rzucicie tego przekletego spryciarza niedzwiedziom! - diuk Braithen z Crowthenu Południowego; z uzasadnienia wyroku na szambelana Whyte, uznanego winnym szeregu drobnych kradzieży Przed warownią diuka Paldane'a w Carris tłoczyła się cizba Rofehavanczyków, rycerstwa, kupców, rzemieślników i chłopstwa, a wszyscy zdawali się mówić jednocześnie.

Feykaald stal samotny pod kamienna sciana. Oslepiiony przez słońce przymknal oczy i sluchal.

Glosy huczaly ogluszajaco. Z tuzinami darow sluchu i tylko szescioma darami sil zyciowych odbieral je wrecz bolesnie. Opium, ktore palil chwile wczesniej, nie dosc lagodzilo te doznania, chociaz pozostawilo lekkie oszolomienie. Ciagle czul gorzkawy smak. na zebach.

Zmarszczyl czolo i skupil sie, by cokolwiek zrozumiec. - ...nawet Krol Ziemi nie zdola tego naprawic. Nawet dwadziescia lat to za malo, aby drzewa morelowe odrosly... - mowil glosno wysoki wiesniak. - ...i nawet sie nie obejrzy...! - krzyczala jakas kobieta.

-Przepraszam. Dobrego dnia. Raz jeszcze przepraszam... -powtarzala przepychajaca sie przez tlum dziewczyna.

-Gdybym to ja byla krolem, wygnalabym takich z miasta. Co mu sie wydaje, ze kim jest? - szeptala o Feykaaldzie stara praczka do milczacej towarzyszki.

Chwile pozniej spomiedzy wzgorz dolecial wszystkich dzwiek fanfar. Feykaald spojrzal na spustoszona okolice. Czy widac juz moze orszak krola...?

Niczym jaszczurka przylgnal do cieplego muru. Teraz juz tylko czekal...

Gabornowi nie bylo lekko na duchu. Sluchal, jak Binnesman zaczyna edukacje Averan, i nie opuszczala go swiadomosc wlasnej slabosci. Moce ziemi byly zaiste potezne, ale posluziwac sie nimi mogli tylko ci, ktorzy naprawde oddali sie ziemi na sluzbe.

Gabornowi nie udalo sie to najlepiej, ale z koniecznosci dalej musial przedstawiac sie jako Krol Ziemi.

Czul calym soba, ze kres znanego mu swiata jest juz bliski. Wobec zblizajacego sie konca wszystko, co zrobil ostatniej nocy, te narady, rozsyłanie umyslanych, a nawet wczesniejsze, wygrane bitwy, wszystko to nie mialo znaczenia.

Przypuszczal, ze jedyna droga ratunku moze byc tylko stawienie czola Jedynej Mistrzynie. W jego myslach z wolna zaczynal sie wykluwac szalony plan...

A wszystko zalezalo od Averan. Jesli zdolaja odnalezc i zabic przewodnika, a ona zje czesc jego mozgu i opisze droge do podziemi, wtedy moze... Nic innego nie potrafil wymyslic. Owszem, dzika tez jadlo mozg raubena, ledwie jednak potrafila mowic i rozumiala tylko proste pytania. Nic by nie wyjasnila...

Zatem Averan... A potem... O tym nie smial na razie myslec.

W beztroskich dniach dzieciinstwa Gaborn marzyl czasem, by wystepowac na scenach Mysterrii. Przez to tez przykladal sie potem podczas nauki w Komnacie Twarzy. W miescie

Aneuve ta komnata byla inna niz wszystkie. Wiele "komnat" zakladano w piwiarniach albo zgola na miejskich placach. I tak Komnata Stop, gdzie nauczano sztuki wedrowania po swiecie, byla rozproszona po rozmaitych zajazdach i stajniach w calej okolicy, a kolejne lekcje wiazaly sie z odwiedzaniem ich wszystkich.

Byly tez komnaty skryte przed oczami postronnych. Mistrz Vangereve tak strzegl swojej wiedzy, ze jego Komnata Marzen miescila sie w strzezonych podziemiach.

Niemniej Komnata Twarzy byla powszechnie dostepna. Kazdy mogl zajrzec do wspanialego zamku Rue.

Zostal on wzniesiony osiem stuleci wczesniej na malej wyspie przez pewnego kupca, który nie szukal tu schronienia przed wojna, ale chcial stworzyc cos pieknego.

Mury zostaly w calosci pokryte jasnym tynkiem, który wspaniale harmonizowal ze szmaragdowym blekitem morza. Smukle wiezycy strzelaly wysoko w niebo, a wokolo zielenily sie bujne ogrody z porosnietymi bialymi liliami oczkami wodnymi. Wieczorami slychac bylo z nich choralne kumkania zab. Nad zasilajacymi je strumykami przerzucono lekkie mostki.

Bylo to idealne miejsce do medytacji. Wieczorem warto bylo wyruszyć na spacer po wyspie, krazyc waskimi uliczkami, kupic czasem przekaske z kraba gotowanego w slonej wodzie, wedzony drob, kes marynowanej w przyprawach i duszonej wieprzowiny, buleczonek nadziewana figami z cynamonem albo i kubek goracego rumu dosmaczonego kozim maslem i galka muszkatołowa.

W wielkiej sali zamku miescil sie jeden z najznamienitszych, a na pewno najstarszy teatr Mystarrii. Kazdy, kto tutaj studiowal, mial nadzieje, ze ktoregos razu zagra tu role w jakiejś sztuce, na przyklad w Zelaznej klatce Tanandeera albo Opowiesci Simpletona Bombraya.

Gaborn tez marzyl kiedys, ze zostanie wielkim aktorem. Troche sie teraz tego wstydzil.

Ale Dom Zrozumienia to nie byl wlacznie teatr i piekne miasto. Uprawiano tu rowniez nauke, wykladano sztuke aktorska.

Wielki mim Torrin Belassi, który ponad polowe zycia spedzil na obserwacji ludzkich twarzy, tego, jak w usmiechu marszczy sie skora kolo oczu i jak wargi sie rozchylaja, gdy ogarnia czlowieka zadza, wykladal tu do konca zycia, a liczni artysci niestrudzenie starali sie utrwalic jego nieustannie zmieniajace sie oblicze.

Teraz na scianach zamku wisial ponad tysiac masek przedstawiajacych twarz Torriona Belassiego. Kazdy gliniany wizerunek zostal umieszczony posrodku tarczy o trzymetrowej srednicy. Wypalono je ze szczegolnej gliny, dzieki czemu wygladaly jak wyciete z piaskowca, i na czesc krolow Mystarrii przybierano debowymi liscmi.

Godzinami można było wędrować po korytarzach, podziwiając maski opatrzone takimi podpisami jak "Powitanie starego przyjaciela", "Gospodarz, który dopadł złodzieja w ciemnym pokoju", "Ojciec patrzący na pierworodnego".

I tam właśnie Gaborn ujrzał kiedyś maskę z plakietką głoszącą: "Oto, jak wyobrazam sobie Króla Ziemi". Przedstawiała mądrego zdobywcę, kogoś stanowczego i silnego, gotowego jednak kochać każdego i wszystkich, ceniącego życie tak dziecka, jak zebraka czy głupca.

Jadąc rankiem do Carris, Gaborn przybrał wyraz twarzy wzorowany na tamtej masce.

Wiedział już, że nigdy nie zagra w wielkiej sali zamku Rue, nigdy nie będzie sir Goutfeetem z Żelaznej klatki. Żałował tego, gdyż ta rola była jakby stworzona dla niego.

Opowiadała o rycerzu, który poczuł pewnego dnia, że zbroja jest mu poniekąd więzieniem.

Jednak uwolnić się od niej nie potrafił, aby więc miał szansę okazać się dzielnym i zwycięskim, giermkowie aranżowali dlań tylko takie walki, które na pewno mógł wygrać, aż skończył z kijem w reku jako rozjemca w awanturach pomiędzy ulicznymi dziewczkami.

Gaborn wiedział, że już go nie zagra, ale postanowił włożyć całe serce w największą swą rolę. Rolę Króla Ziemi. Czekala na niego liczna jak nigdy publiczność: niemal wszyscy mieszkańcy Carris. To było prawdziwe wyzwanie...

Niemniej i tak wątpliwości go nie opuszczały. Wokół przesuwaly się upiorne widoki zniszczenia i ciągle nie wiedział, czy Averan spełni pokładane w niej nadzieje.

I czy on osmieleł się podążyć wskazanym przez nią szlakiem...

Heroldowie zadali w trąby, nim jeszcze wjechali na wzniesienie przed Murem Pustkowi, tak że gdy orszak pokazał się na stoku, połowa mieszkańców Carris wypatrywała go już z murów i wież miasta.

Nawet z odległości półtorej mili słychać było ich wiwaty. Gniedzące się w mieście wrony, mewy i gołębie zerwały się do lotu i zaczęły krzącać całymimi chmurami po niebie.

Jadąc obok Gaborna Ioma patrzyła z niedowierzaniem na spustoszenia. Słyszała już relacje, ale słowa nie mogły oddać wszystkiego. Całe fragmenty murów leżały w gruzach, na równinie ziała ogromna studnia pozostała po wizycie czerwia, ziemia zasłana była zewłokami raubenów z otwartymi w ostatnim, posmiertnym spazmie paszczami.

Gaborn podjechał pod Carris w ogłuszającej wrzawie. Grały rogi, ludzie krzyczeli i wymachiwali rękami. Kobiety łkały, a niejedna matka unosiła małe dziecko do góry, by pokazać mu władce. Mówiły przy tym: "Patrz, to jest Król Ziemi! Zapamiętaj te chwile!

Zapamiętaj ją na całe życie!" Oto przybywał zbawca, który wezwał wielkiego czerwia,

zgladził wielką maginię i sam jeden rozpedził armię raubenów.

I tylko na chwilę zapomniał potem, kim miał być...

Oddział zatrzymał się u wjazdu na groble. Trupy padłych we wczorajszym boju raubenów odciągnięto już na bok. Wszystkie, prócz jednego.

W szarym pyłku leżał lew wielkiej magini. Potwór był naprawdę gigantyczny, a przez jego paszczę mogłoby przejechać wóz pełen siana. Wyrostki miała długie na trzy albo cztery stopy, a każdy był gruby u podstawy jak udo mężczyzny i parę razy większy niż u innych raubenów. Cały lew aż isnił ogniskiem od mnogich tatuży, a poranne promienie słońca załamywały się na kwarcowych zębiskach.

-Nigdy nie myślałam, że one mogą być aż tak duże! - wykrzyknęła Ioma.

-Podobno bywają jeszcze większe - mruknął Gaborn.

Przed bramą miasta czekał na króla posłaniec.

-Panie, mam wieści od Skalbairna! - zawołał. - Godzina temu raubenowie wyszli z kryjówek i ruszyli na południe!

Gaborn pokiwał głową.

-Przekaz marszałkowi, że niebawem do niego dołączę - nakazał, po czym uśmiechnął się i pomachał do tłumów. Wciąż po monarszemu dostojny wjechał do miasta.

Wrzawa zerwała się z nową siłą.

Nie mógł zostać na dłużej w Carris, musiał poszukać Kościeliska i Jedynej Prawdziwej Mistrzyni. No i pomoc Skalbairnowi. A wcześniej jeszcze znaleźć przewodnika i drogę do podziemi. To ostatnie stawało się z wolna jego obsesją...

Jadąc ulicami, patrzył na zniszczenia. Wszędzie unosił się smród pozostały po zakleciach. Nie pojmował, jak ktokolwiek może to znieść. Zatrzymał konia tylko raz, gdy lord Bowen wskazał kogoś w tłumie i krzyknął:

-To Waggit!

Gaborn spojrzał na uśmiechającego się idiota z jasnymi jak niebo oczami i słomą we włosach. Był naprawdę rosy! Wymachiwał radosnie kilofem, na którym widac było jeszcze plamy raubeniej posoki.

Zatem naprawdę zabił co najmniej jednego raubena, a zapewne i więcej. Gaborn skłonny był powatpiewać w znana już powszechnie opowieść. Liczba zwycięstw musiała być zawyżona, ale mniejsza z tym. Skoro dla mieszkańców Carris Waggit był bohaterem, to

dobrze. Świat potrzebował bohaterów.

Dzielny głupiec nie zauważył nawet, że Gaborn schował cugle i mu się przygląda.

Dopiero gdy władca wskazał wprost na niego, Waggit zamarł w bezruchu. Ku radości stojących dookoła zdawał się nie pojmować, o co chodzi.

Wzbudzał sympatie. W świecie, gdzie okrutni i sprytni często dochodzili swego dzięki udreće biednych, ludzie w rodzaju Waggita często musieli spotykać się z szyderstwem.

Niemniej głupotę można było uleczyć jednym darem rozumu wziętym na przykład od kogoś słabego i tchórliwego. Wtedy Waggit miałby szansę zostać wielkim wojownikiem.

Niestety, takich jak on zazwyczaj nie było stac na kupno daru, chociaż Garbom cenil każdego z nich wyżej niż dziesięciu książeczych kupców z Lysle.

-Waggicie ze Srebrnej Doliny, na kolana! - zawołał. Biedak przykleknął niezgrabnie i pochylił lekko głowę. Czuł, że musiał chyba coś przeskrobać, chociaż pojęcia nie miał co. Gaborn podjechał doń i spojrzał na jego obsypane słomą jasne włosy. Musiał spać w stajni. Pewnie zresztą zawsze tam sypiał.

A starczyć mógł jeden dren... Zgodnie z pradawnym prawem każdy, kto zabił raubena, otrzymywał od króla jeden dren. O ile plotki były prawdziwe, ten tutaj zasłużył na dziewięć.

Chociaż czy będzie potem szczęśliwszy? zastanowił się Gaborn. Wyciągnął miecz i dotknął płazem ramienia mężczyzny.

-Powstań, baronie Waggicie ze Srebrnej Doliny!

Ludzie powitali to okrzykami. Ku ich wielkiemu zdumieniu Gaborn podał młodzieńcowi rękę i kazał mu wsiadac na zad swego wierzchowca.

I zaraz znow przybrał dostojną maskę Króla Ziemi.

Nie obeszło się jednak bez drobnych zgrzytów. Niektórzy słyszeli plotki, jakoby stracił swe moce. Widział strach malujący się na jednym czy drugim obliczu. Ktoś krzyknął nawet: "Czy to prawda?!" Wielu dostrzegło grymas, jaki przebiegł mu wówczas po twarzy. Chłopiec ze wsi, który siedział z matką na stercie beczek, spytał: "Dlaczego on jest taki smutny?" Z baronem Waggitem za plecami Gaborn wyjechał z miasta.

Stojący wciąż pod Warownią Diuka Feykaald przyglądał się paradzie z umiarkowanym zainteresowaniem. Przede wszystkim wypatrywał oznak jakiegokolwiek słabości Gaborna, jednak młody władca prezentował się prawdziwie po królewsku i budził zaufanie. A tego właśnie tu od niego oczekiwano...

Niemniej Feykaald widział więcej niż wiesniacy. Od wielu lat służył wiernie Rajowi Ahtenowi i był świadkiem przemiany swego władcy z dziecka w najpotężniejszego meza, jakiego nosiła ziemia.

Raj Ahten stał się Sumą Wszystkich Ludzi w wielkiej mierze właśnie dzięki radom Feykaalda. Nawet teraz, gdy utracił swe własne dary, wciąż budził szacunek i strach.

Ten chłopak, który pojawił się na ulicach Carris, nie był nawet cieniem wielkiego Wilka.

Jechał na koniu, którego Raj Ahten nawet swoim psom nie oddałby na zer. Zbroje miał zakurzona po szybkiej jeździe, a na dodatek usadził za sobą jakiegoś idiota. Jego orszak tworzyła gromada obdartych rycerzy spod tuzina chorągwi i paru parszywych olbrzymów w kolczugach sprezentowanych im przez Baja Ahtena.

Nie, Gaborn nie mógł nijak równać się z Wilkiem. A raczej... nie mógłby, gdyby nie sprawa czerwia.

Cokolwiek by powiedzieć, naprawdę wezwał go i uratował Carris, podczas gdy Raj Ahten okazał się całkiem bezradny. Można by sądzić, że ten młodzieńcel celowo ukrywał swoje możliwości pod niepozorną powłoką.

Feykaald zazdrościł mu tej siły. Gdyby tylko jego pan zdołał jakos przejąć koronę Króla Ziemi...

Gdy orszak już przejechał, doradca Wilka przyjrzał się twarzom w tłumie.

Przejęte dzieci, pełne nadziei matki, z troskami starcy... Nie czuł się częścią tego zgromadzenia. Carris czekało wytrwale na błogosławieństwo Króla Ziemi, ale Feykaald niczego się po nim nie spodziewał. Świat był wielki i jeden człowiek nie mógł ochronić go całego.

Szczególnie że w tej właśnie chwili raubenowie pustoszyli Kartish. Rodacy Feykaalda gineli w nierównej walce.

I tak już pozostanie, powiedział sobie. Świat jest wielki, a Gaborn mały. Nie zdoła ochronić nawet Rofehavanu i Indhopalu. Feykaald wolał wiazać wszelkie nadzieje z własnym królem.

Orszak przyjechał, ale obecność doradcy nie uszła czujnym oczom. Pojedynczy jeździec zawrócił od pochodu, okrzyki olbrzymów i wjechał w tłum.

- Witaj - rzucił Jureem w stronę Indhopalu, pochylając się, by spojrzeć mu w twarz. - Czuję cię dzisiaj opium.

Feykaald otworzył oczy i obrócił głowę prawym uchem do Jureema. Od wielu lat udawał przygluchego.

-Co?

-Czuc cie opium! - powtorzył glosniej Jureem.

-Aha... - Feykaald skinal glowa od niechcenia. - Mile wspomnienie domu.

-Czasem jednak moze zdradzic - zaznaczyl Jureem. Drobnii przestepcy w Indhopalu czesto palili opium, by uspokoic nerwy. Czesto tez pomagalo im ono przetrwac tortury podczas przesluchan.

-Ale lagodzi bole stawow u starego - dodal Feykaald.

-Po co sie tu zjawiles? - spytal w koncu Jureem. - Zeby porozmawiac z twoim krolem w waznej sprawie. I poszukac u niego rady.

-Ale nie ruszyles sie z miejsca, gdy przejezdziel.

-A co, zatrzymalby sie dla mnie jednego? W takiej chwili?

-Zeszlej nocy zniknales z miasta razem z tkaczami plomieni.

-Wrocilem pare chwil temu.

-I wciaz mnie twoja obecnoec zastanawia... - rzucil Jureem. Feykaald usmiechnal sie uprzejmie.

-Zabralem sie w nocy balonem, bo chcialem przyjrzec sie przegrupowaniu sil raubenow. Wydalo mi sie to istotne. Ale potem spotkalem w gorach poslanca, ktory wiozl zle wiadomosci. Raubenowie zaatakowali Kartish. Prowadzi ich sama wladczyni podziemi.

Przybylem prosic Krola Ziemi o pomoc.

-Raj Ahten szuka wsparcia u Gaborna? - spytal z niedowierzaniem Jureem.

-Nie. On nigdy by tego nie zrobil. Ale po wczorajszej bitwie sam siebie spytalem, do kogo nasz lud ma sie zwrocic po ratunek.

-Klamiesz albo cos ukrywasz. Ostrzege Gaborna, zeby cie nie przyjmowal.

-I tak to robi.

-Zdejmij pierscienie - rozkazal Jureem groznym tonem.

-Co?

-Pierscienie!

Feykaald zawahał się, ale był już stary i nie miałby szans w otwartej walce, a ton Jureema nie pozostawiał złudzeń, że w razie czego gotów jest użyć siły. Zsunął piec pierścieni z pomarszczonych palców i złożył je w dłoni Jureema.

Ten otworzył tajemny schowek w jednym z nich. Skryta w środku igła ociekała zieloną trucizną z krzewu zwanego w mowie południa złoczynca.

-Co to jest? - spytał Jureem.

-Zwykły środek bezpieczeństwa. Normalny u kogoś w moim wieku - odparł niewinnie Feykaald. Jureem chrząknął i otworzył schowek w drugim pierścieniu. - A to na wszelki wypadek - usłyszał.

Jureem schował pierścień do kieszeni.

-Obawiam się, że nabrales ochoty na zdradę.

-Co? - zdumiał się Feykaald, przechylając znowu głowę, jakby nie dosłyszał.

Dawno już nauczył się manipulować ludźmi i wiedział, że teraz najlepiej będzie udac gniew. - Obrazasz mnie! Sam złamałeś słowo dane memu panu, a teraz pouczasz, czym jest lojalność?

Jureem nic nie powiedział, ale w jego oczach pojawił się błysk niepokoju.

Dobrze, pomyślał Feykaald. Ma poczucie winy, że nie okazał mi zaufania. Teraz trzeba uderzyć. Wyciągnąć przyjazną dłoń...

-Wybacz, bracie - powiedział, krecąc głowę. - Ty i ja przeszliśmy długą drogę.

Teraz obaj mamy nadzieję, że Król Ziemi nas ocali. Wiem, że mi nie ufasz, ale zapewniam cię: w głębi serca wcale się nie różnimy. - Westchnął ciężko i spojrzał na wschód, gdzie za czarnymi połaciami zniszczenia niebiescily się wierzchołki gór Heist. - Król Ziemi jest mi już teraz jedyną nadzieją. Może jego wsparcie coś pomoże. Jak myślisz, będzie skłonny wysłać posiłki do Indhopalu?

-Myślę, że tak - odparł ozieble Jureem. - Porozmawiaj z nim. Przyjrzyj mu się, a sam zrozumiesz, dlaczego całym sercem oddałem mu się na służbę.

Feykaald spojrzał na Jureema z udanym wyrazem nadziei na twarzy.

-Może być i tak, bracie - odparł i scisnął biceps dawnego współpracownika, jak było przyjęte w Indhopalu pomiędzy przyjaciółmi.

Potem wrócił do konia, który też przeszedł wiele w ciągu ostatnich dni i żył tylko dzięki swoim darom, bo wychudł niemal na szkielet.

Mimo wszystko zdumiewał się coraz bardziej. A jeśli Jureem ma rację? Czy Gaborn naprawdę gotów byłby ruszyć na pomoc Indhopalowi? A jeśli tak, to co jeszcze kryje w zanadrzu?

Gdyby jednak naprawdę się zdecydował, to niezależnie od czegokolwiek, łatwiej byłoby go pokonać.

Zanim Feykaald wdrapał się na siodło, król i jego orszak wyjechali już na równinę.

Poludniowiec pogonił konia do galopu, by ich doścignąć.

15 ZGUBNE WPLYWY

Mysli są niewidzialnymi niciami, które zmuszają nas do działania. Czyny są linami, które przywiązują nas do naszych przyzwyczajeni. Przyzwyczajenia zaś to łańcuchy przeznaczenia. Aby umknąć przeznaczeniu, trzeba się odciąć od złych myśli. - Inskrypcja na zachodnim murze Palacu Słoni w Maygassie Raj Ahten gnał do Kartishu pełen strachu i narastającej niecierpliwości. Długie lata pracy i wysiłków, by zostać Sumą Wszystkich Ludzi, i zmuśnięte przygotowania do wojny miały wreszcie wydać owoce. Wyobrażał sobie, że raubenowie zaatakowali Kartish podobnie jak Carris. Magini przy Pieczęci Nieutulonego Zalu, a wokół nieprzebrane zastępy wojska. Groźna perspektywa.

Niemniej właśnie w Kartishu stacjonowały najlepsze oddziały Baja Ahtena. Był pewien, że wojownicy w szafranowych oponczach i karmazynowych płaszczach już dawno sięgnęli po kopie.

Szykowała się zatem bitwa, o której potomni mieli przez całe stulecia opowiadać dzieciom. Świt zastał go, gdy zjeżdżał ze stoków gór Heist. Wschodzące za jego plecami słońce rozjaśniło rozem pustynię Muttayi. Tylko gdzieś tam ciemniały ametystowo drobne wyspy roślinności. Bujna zielen krzewiła się wyłącznie nad brzegami strumieni. Na północy wznosiły się Wzgórza Spiacych Słoni, porwane wiatrami, ochrowe skały, które z daleka przypominały stado tych wielkich zwierząt.

Piecdziesiąt mil dalej dojrzał na pustynnym szlaku grupę jeźdźców w ciemnych szatach. To był Wuqaz Faharaqin i jego ludzie. Wzbity kopytami kurz nie pozwalał dokładnie ich policzyć.

Wielki ogier Wilka był już zmęczony i nie dogoniłby buntowników. Należało poszukać nowego konia.

Wuqaz ze swoimi jechał do Salandaru, a stamtąd zamierzał się udać w samo serce Indhopalu, żeby poszukać jakiegoś władcy dość zdradzieckiego, aby gotów był przeciwstawić się Rajowi Ahtenowi i zwrócić przeciwko niemu lud.

Raj Ahten zastanawiał się, czy nie podążyć ich tropem, w mieście zdobyć wierzchowca... ale czy to byłoby rozsądne? Jeśli podejrzewali, że może ich śledzić, to mogli urządzić

zasadzke. Zaden problem... Salandar idealnie by sie do tego nadawal.

Na porannym niebie pojawila sie jasna kropka - balon tkaczy plomieni, ktorzy mieli podazac za swoim wladca. Pomyslne wiatry sprawily, ze zaczeli go juz wyprzedzac.

Z ta szybkościa powinni dotrzec do Kartishu wczesniej niz on.

Z gory pustynia wydawala sie naga i martwa, jednak gdy wjechalo sie w doliny, wszedzie widac bylo jakies slady zycia. Wsrod drzew krecily sie trzepoczace szarymi skrzydlami kozodoje. Lapaly ostatnie, poranne cmy. Gorska owca umknela skokami ze sciezki na brunatne skaly. Jasnoogoniaste tkacze zerwaly sie cala chmara znad strumyka.

Mimo bliskosci pustyni, w tej czesci pogorza nie brakowalo deszczow i drzewa rosly na kazdym skrawku gleby.

Raj Ahten kochal pustynie Indhopalu.

Przejeżdżając przez wioske Hariq, zatrzymal sie przy studni i poczekal, az zakutane w biale i zielone szaty kobiety wyciagna wode dla niego i konia. Na cudzym wierzchowcu i bez zbroi, z oslonieta kapturem twarza mogl uchodzic za jakiegos bogatego szlachcica podrozujacego w swoich sprawach. Ze wzgledu na jadacych przed nim, bojowo nastawionych Ah'kellah wolal sie nie ujawniac. Jednak po dluzszej chwili jedna z kobiet zerknela mu przypadkiem pod kaptur, rozpoznala krola i zaczelo sie ogolne bicie poklonow.

Wioska byla prawie pusta, gdz o tej porze roku, przed zima, gorski lud wedrowal zwykle Starym Szlakiem Przyprawnym na poludnie, do Indhopalu. Jednak ci, co zostali, swietowali koniec zbiorow i cieszyli sie niedlugim czasem wzglednej beztroski.

Krotko potem Raj Ahten ujrzal biale tynki murow Salandaru, ktore slonce wypalilo przez wieki tak solidnie, ze byly twarde niczym skala. Na wszelki wypadek siegnal do rekojesci mlota i jechal ulicami z reka na orezu, wciaz zerkajac spod kaptura na boki, czy nie grozi mu tutaj jakas zasadzka.

Na rynkach bylo mrowie kupcow z koszami wypelnionymi pistacjami, migdalami, suszona fasola, slodkimi nasionami sosnowymi, grochem, ryzem, soczewica i orzeszkami ziemnymi. Inni handlowali przyprawami: kminkiem, kolendra, curry, sumakiem i szafranem.

Stare kobiety nosily na glowach koszyki z gotowanymi jajkami, plackami, oliwkami, cytrynami i oberzyna. Handlarze z targu miesnego oferowali glownie polcie jagnieciny i drob.

Na ulicach panowal ozywiony ruch, co rusz widzialo sie barwne szale kobiet z pustyni i glosno targujacych sie handlarzy wielbladow. Mlodzi kryli sie w cieniu straganow, by ukradkiem scisnac sobie dlonie, handlarze khatu warzyli i sprzedawali swe ziolka z wyrazem otepienia na twarzy. Starcy grali na uboczu w szachy, wachlujac sie przy tym palmowymi liscmi. Bogacze zasiadali do sniadan na gankach swoich domow, a ich piekne zony donosily

wciąż nowe potrawy.

Pod nogami przechodniów przemykały rdzawoczerwone kurczaki, a nad ogrodami majątków krzątały stadka białych gołębi. Nic nie sugerowało, że gdzieś tam daleko trwa wojna... Nie było też widac ani śladu Ah'kellah ani ich popleczników.

Nikt nie zwrócił uwagi na Baja Ahtena, gdy podjechał do fortecy, żeby zmienić konia. Tam dopiero się ujawnił, pytając Bhopanastrata, dowodzącego tu zyłastego meza z Indhopalu, o Niezwycięzonych. Kapitan był dobrym wojownikiem i kompetentnym dowódcą, który od lat służył Wilkowi, chociaż dotąd nigdy się nie spotkali.

-Kilku przejeżdżało tu właśnie z godzinę temu - usłyszał. - Wzięli świeże konie.

Prowadził ich Wuqaz Faharaqin.

-Powiedział, dokąd i po co się udają? Bhopanastrat pokręcił głową.

-Tyle, że do Maygassy, panie - odparł i dodał, znizywszy głos do szeptu, jakby bał się wyjawiać sekret niepowołanym uszom: -Podobno w Kartishu mają kłopoty... - Mrugnął jednym okiem, dając do zrozumienia, że nie rozgłosi plotki.

Wuqaz jest już blisko, ale i tak ma wciąż godzinę forów, pomyślał Raj Ahten. I trudno było zgadnąć, dokąd właściwie zmierza.

Mógł skłamać Bhopanastratowi. Nazwisko Wuqaza znaczyło "łamacz karków" i jak inne wśród Ah'kellah, traktowane było również jako opis osoby. Byłby groźnym przeciwnikiem.

Raj Ahten nie miał szansy powstrzymać grupy. Gdyby nawet ich zaatakował, rozpierzchnąłby się niczym stadko pardw przed atakującym sokolem. Dopadłby jednego albo dwóch, ale reszta na pewno by umknęła.

Obawiał się jednak, że spowoduje mu spore kłopoty na głowę. Owszem, udało mu się podbić wszystkie narody Indhopalu, ale niektóre z nich znalazły się w jego władzy dopiero niecały rok temu. Ich duch nie został jeszcze złamany, ugięły się tylko, gotowe wciąż do buntu. Na dodatek dał im ostatnio trochę oddechu, gdy zajmował się większymi sprawami. A gdy znajdzie się nowy wodz w rodzaju Wuqaza Faharaqina, chętnie za nim pójdą.

Jednak "kłopoty w Kartishu" na pewno były pilniejsze. Skoro nawet pomniejszy dowódca w odległej prowincji o nich słyszał, to musiało być źle.

Zazyczył sobie tuzina dobrych żołnierzy, a czekając, aż Bhopanastrat ich przyprowadzi, siadł do śniadania gołębiej potrawy z cebulką, sliwkami, szafranem i imbirem.

Mimo poczucia, że winien się spieszyć, posiedział jeszcze trochę po jedzeniu i rozmasował lewy nadgarstek. Reka wciąż go bolała. Jakkolwiek się zastanawiał, nie mógł pojąć, jakim

cudem udało się komukolwiek aż tak bardzo go zranic, że w gruncie rzeczy jego ciało umarło, a on sam ocalał tylko dzięki olbrzymiej liczbie zebranych wcześniej darów.

Pomyślał o unoszonym ze wschodnim wiatrem balonie tkaczy płomieni. Zapraszali go, by do nich dołączył, stał się takim samym magiem...

W końcu wyruszyli - Wilk, Bhopanastrat i tuzin jeszcze ludzi. Skierowali się przez pustynię na północ. Po drodze mijali wsie i osady, które nosiły nazwy zamieszkujących je klanów: Isgul, Qanaat, Zelfar...

Pustynia ożywała o tej porze roku. Drobne lososiowe kwiatki korzystały z każdego deszczu, żeby zakwitnąć. Trzy dni wcześniej przeszła nad okolicą wielka ulewa i wszędzie wokół murawa okryła się bielą, nad którą smigały polujące na pszczoły jasnozłote ptaki.

Czajki odbiegały od szlaku, udając, że mają złamane skrzydło, by odciągnąć potencjalnych napastników od gniazd, i żalostnie zawodziły. Pardwy całymi tysiącami obsiadły brzegi strumieni i poki nie zerwały się gromadnie do lotu, wyglądało, że to całe pola dziwnych, brązowych kamieni.

Każda mila zaprzeczała złudzeniu, które Raj Ahten odniósł wcześniej, patrząc z góry.

Pustynia nie była martwa,

Zatrzymali się tylko raz, w fortecy Maksist, żeby zamienić konie na wielblady.

Przy okazji Wilk spytał dowódcę twierdzy o Wuqaza.

-Widziałem go wraz z jego Ah'kellah, mój panie - odparł ostrożnie oficer. - Wyjechali ledwie pół godziny temu. Ci na wielbladach skierowali się na południe, inni konno ruszyli na północ i na zachód.

-Ilu pojechało na południe?

-Dwunastu, o najjasniejszy.

Raj Ahten przygryzł wargę. Miał już tylko pół godziny opóźnienia - jeśli się pośpieszy, dopadnie ich.

-Daj mi najlepsze wielblady.

-Panie... - zaczął kapitan, wyraźnie niespokojny. - Salaam...

-Tak, pokój i z toba- uspokoił go Wilk.

-Te wielblady, co zostały, nie są ciębie godne... Tamci wzięli moje najlepsze wierzchowce. I jeszcze kilka zazyczyli sobie na zmianę...

-Czy jest tu jakis handlarz wielbladami, ktory moze miec porzadne wierzchowce?

-Pozbieram, co znajde najlepszego w calym miescie, najjasniejszy... - odparl oficer. - A na razie zapraszam do stolu, posil sie, prosze, odpocznij...

Dowodca twierdzy wskoczyl na konia i pognal do osady. Rzeczywiscie, niebawem wrocil z trzynastoma wielbladami, z ktorych kazdy mial po kilka darow.

-Wybacz, o najjasniejszy! - krzyknal, zeskakujac z konia, i padl na twarz. - To najlepsze, jakie znalazlem. - W glebokim uklonie uderzyl w piasek turbanem i czekal, co jego pan postanowi. Czy uzna, ze sluga zawiodl?

To madry czlowiek, pomyslal Raj Ahten. Gdybym byl zly, moglbym kazac go poddac torturom, wiec probuje mnie sprowokowac do zadania szybkiej smierci.

-Dobrze sie sprawiles - powiedzial zatem i nakazal swoim siadac na wielblady, a oficerowi polecil wyslac w slad za konnymi osiemdziesieciu jezdcow. Niech znajda Niezwyciezonych i zabija ich wszystkich. Zalowal tylko, ze nie wiedzial, z ktora grupa zabral sie sam Wuqaz. Podjechal na rozstaje i przez dluzsza chwile probowal ulowic jego zapach, ale z wysokosci wielbladziego siodla bylo to dosc trudne, na dodatek wonie calego oddzialu mieszaly sie ze soba.

Owszem, nie mial czasu, by sie za nim uganiac, ale tez nie mogl pozwolic mu tak po prostu na wszeciecie buntu.

W koncu uznal, ze Wuqaz musial pojechac na poludnie, do Taifu albo Abev, gdzie Ah'kellah przemieszkiwali w najwiekszej liczbie.

Poprowadzil zatem swoich przez stary Indhopal w kierunku Kartishu. Wlasnie na poludnie.

Pierwsza czesc podrozy byla latwa. Jechali po plaskim i twardym terenie. Wkolo rosly majestatyczne baobaby o powykrepanych konarach. W pewnych porach roku przechodzily tedy wielkie stada gazel, ale teraz tylko czasem natykali sie na biale kosci zwierzat upolowanych przez podazajace za nimi drapiezniki, a strusie i szakale pierzchaly na widok jezdcow.

Przebyli w brod mulista rzeke Deloon, potem zas trafiali juz tylko na wyschle koryta.

Deszcze nie dotarly tak daleko na poludnie.

Wyschly tez studnie Kaziru i Makarangu i dopiero nieco dalej widok jasnoczerwonego namiotu pod rosnacym pol mili od szlaku olbrzymim baobabem podpowiedzial, ze tam moze byc woda.

Pien drzewa mial w obwodzie ponad trzydziesci stop i pewien przedsiobiorczy kupiec

wydrążył go, by w glinianych zbiornikach przechowywać tam życiodajną wodę. Widok zbliżających się przez pustynię trzynastu jeźdźców zaniepokoił go trochę, bo chociaż tylko najgorsze szumowiny uważałyby się na kradzież wody, to jednak na tym szlaku trafiali się zdolni do wszystkiego maruderzy.

Starzec położył dłoń na rekojesci broni i wpatrzył się ciemnymi jak migdały oczami w dowódcę przybyszy. Po chwili skłonił głowę ze starannie przystryżoną brodą.

-Salaam! - zawołał Raj Ahten, by uspokoić kupca. - Sucho na szlaku, na dodatek złoto dziś mi jakos ciąży.

-Zatem pozwól, panie, bym ulżył twemu brzemieniu, podczas gdy będziesz gasił pragnienie - odparł tamten z uśmiechem.

Słyszac to, Wilk zsiadł i poszukał miejsca spoczynku w cieniu drzewa. Potem wyjął srebrną manierkę, którą otrzymał w Salandarze. Zawierała cytrynową herbatę doprawioną pierwiosnkowym miodem.

Gdy wymienili już wszystkie uprzejmości, Raj Ahten zaproponował kupcowi łyk z manierki. Zgodnie ze starym porzekadłem, że na pustyni ulga w pragnieniu poprzedza zaufanie, a zaufanie poprzedza przyjaźń.

Przez chwilę rozmawiali beztrąsko o poezji, pogodzie i zdrowiu siostry starca, który rozpoznał już Wilka i jak potrafił, starał się okazywać władcy uszanowanie.

-Niedługo przed nami nadjechało z północy dwunastu ludzi, nie myle się? - spytał w końcu Ahten.

-Zaiste, panie. To byli Ah'kellah. Bardzo się spieszyli. I byli nieuprzejmi.

-Aha - mruknął Wilk, niepewny, czy nie za wcześnie zadał to pytanie. To mogło być poczytane za obrazę. - Ale ci, co uciekają, rzadko są uprzejmi. Wspominali może, dokąd się udają?

-Na południe, żeby wzniecić atwabe. Okazywali dziwny żal do naszego ukochanego władcy.

-Doprawdy? - spytał Raj Ahten, który dawno nie spotkał nikogo równie ujmującego.

Kupiec w swej grzeczności udawał konsekwentnie, że nie poznaje króla. - Coż takiego mówili?

-Niech mi język odpadnie, jeśli powtorzę ich słowa!

-Twoja tajemnica będzie u mnie bezpieczna.

-Powiadali, że Raj Ahten, niech będzie błogosławione jego imię, złamał rozejm i próbował

zabic swego kuzyna, Krola Ziemi.

Wilk usmiechnal sie lekko.

-Jestem pewien, ze to musi byc jakies nieporozumienie. Gdy tylko ich spotkam, zaraz wszystko wyjasnie.

-Niech ci pomyslnie wiatry sprzyjaja- prawie zanucil starzec.

-Powiedz mi jeszcze, czy byl wsrod nich Wuqaz Faharaqin?

-Znam to imie, ale ci ludzie nijak mi sie nie przedstawili.

Raj Ahten pokiwal w zamysleniu glowa. Mogl sobie wyobrazic, co Ah'kellah gotowi sa rozpowiadac. Opisza Krola Ziemi jako wodza silniejszego i godniejszego o niebo niz Wilk.

Jesli jeszcze nie uda sie w Kartishu, wszyscy rzeczywiscie gotowi beda tak sadzic. Na dodatek jeszcze to oskarzenie o nieprawosc... W Deyazie nie bedzie to takie wazne. Dla tych ludzi kuzyn skoligacony przez malzenstwo jest praktycznie obcy. Ale gdzie indziej... "Pomyslcie tylko" - powiedza kaifowie - "nasz pan walczy po stronie raubenow w Mysterrii, podczas gdy ci pustosza Kartish. Z wlasnym kuzynem zachcialo mu sie wojowac!

Kimze on jest? Czlowiekiem czy raubenem?" Ludzie o prostych umyslach uznaliby taki zarzut. Pewni kaifowie skorzystaliby z pretekstu i zazadali daniny dla usmierzenia gniewu ludu, zlota, drenow i przypraw... A najglodniejsi wladzy nie zadowoliliby sie i tym...

Bhopenastrat z Niezwyciezonymi skonczyli poic wielblady. Wtedy Raj Ahten przypomniał sobie, ze nie ma zadnych pieniedzy. Normalnie zajmowal sie tym Feykaald.

Poszedl osiodlac swojego wielblada.

-Zaplac mu - polecil Bhopenastratowi.

-Jak sobie zyczysz, panie - odparl oficer.

To, co stalo sie pozniej, zdarzylo sie zbyt szybko, aby Ahten zdazyl zareagowac.

Kupiec wstal, by przyjac zaplate i otrzepal burnus. Oficer zas wyciagnal plynny ruchem szable i poderznal starcowi gardlo.

Ten cofnal sie trzy kroki, obrocil w kierunku baobabu i opadl na kolana. Potem osunal sie po pniu. Krew tryskala mu z ogromnej rany.

-Co...?! - wykrzyknal Wilk. - Dlaczego to zrobiles?

-Byl nieuprzejmy, panie - odparl Bhopenastrat. - Zadal pieniedzy. Powinien czuc sie

zaszczycony, ze napoil swego krola.

-Za kogo ty mnie masz? - spytal lodowatym tonem Ahten. - Za pustynnego morderce starych ludzi? - Oficer nie wazyl sie odezwac. - Nie jestesmy w Rofehavanie! - krzyknal Wilk.

-Tutaj mieszkaja moi poddani!

-Salaam - wyszeptal Bhopanastrat, pochylajac nisko glowe. - Wybacz mi, panie.

Nie wiedzialem, ze zycie tego starca moze miec dla ciebie jakas wartosc.

16 TWYNHAYEN

Kobiety z Fleeds sa dzikie i barbarzynskie. I to dlatego mezczyzni z Fleeds tak je kochaja. - z dziennikow diuka Paldane'a Deszcz i ciemnosc zatrzymaly Erin i Celinora w Balington. Kilka razy przybywali w nocy poslancy z wiesciami dla Gaborna. Zostawiali konie w stajni, zeby pojadly milnu, potem wyjezdza, ale zaden z nich nie zajrzal na stryszek, gdzie kochankowie nie wypuszczali sie z ramion. Celinor wielokrotnie przyrzekl jej przez ten czas dozgonna milosc, az w koncu Erin uznala, ze widac w jego kraju jest taki dziwny zwyczaj. W zasadzie nie miala nic przeciwko temu, obawiala sie tylko, ze przez te szepty nie doslyszy otwieranych drzwi.

-Dlaczego mowisz o milosci, gdy mozesz po prostu kochac? - spytala w koncu, dzieki czemu ucichl, jesli nie liczyc posapywania i odglosow pocalunkow.

Jednak cos tak dobrego nie moglo trwac dlugo i gdy pod krokwiemi przemknela sowa, Erin wiedziala, ze pora ruszac. Swit zastal ich juz daleko na polnoc od wioski, na zasnutym mgla krolewskim trakcie, pomiedzy zielonymi wzgorzami. Nad rozlozystymi debami krazyly pokrakujace glosno wrony.

Nie rozmawiali wiele podczas jazdy. Erin myslala glownie o dziwnych ostrzezeniach Averan, niezwyklej, czarodziejskiej dziewczynki.

Osady na cale mile wokol zostaly opuszczone. Armia Raja Ahtena przechodzila tedy ledwie dzien wczesniej i kto zywo wokal umknac. Nie bylo przez to gdzie pozywic sie po drodze, totez przystaneli w koncu przy malym gospodarstwie, zeby zerwac kilka gruszek.

Gdy Erin siegalala do galezi, Celinor podszedl do porosnietej zielonym pnaczem sciany domu i zerwal herbaciana roze. Podsunal ja dziewczynie, by poczula delikatna won, a potem podal jednoznaczny gestem.

-I co ja mam z tym zrobic? - zasmiala sie Erin. Zrywanie kwiatow nie lezalo w zwyczaju jej siostr. Fleeds bylo biednym krajem i kazda roslina miala tam wartosc uzytkowa.

-Ona jest taka piękna - odparł niesmiało Celinor.

-Aha - mruknęła dziewczyna i przypomniała sobie, że w niektórych krajach kwiaty były uznawane za rodzaj prostego podarunku. Powachala zatem róże i przez długą chwilę się jej przyglądała, a potem, żeby nic się nie zmarnowało, podsunęła roślinkę klaczy. Klacz jednak wzgardziła poczęstunkiem.

Celinor uznał, że musi interweniować.

-W moim kraju kobiety przypinają róże do ubrania. Pachną prawie jak perfumy, a kosztują o wiele mniej - wyjaśnił i zatknął kwiat za srebrną broszkę przy jej płaszczu.

-Może zabije trochę won konskiego potu - mruknęła Erin i zastanowiła się, czy Celinorowi nie o to właśnie chodziło. Może nie podobał mu się jej zapach? A może... po prostu próbował być miły?

-Mówią, że jak się potrze plątki, to zapach robi się jeszcze słodszy - odpowiedział, przyciągnął dziewczynę i przytulił.

Tak, on naprawdę chce być miły, zdecydowała Erin. Coż, co kraj, to obyczaj...

Po prawdzie Celinor był bardziej niż miły. Pomyślała przelotnie, że dobrze by było wykopać drzwi chaty i poszukać łóżka. Jako kochanek jej towarzysz okazał się w nocy więcej niż dobry.

Jednak chwilę później zza wzgórza wyjechały dwie młode siostry z Fleeds.

Zmierzały na południe. Spłoszone ptactwo znowu wleciało w niebo.

Już niebawem Erin mogła się przyjrzeć siostrze. Zdawały się pochodzić z ubogich rodzin i raczej nie były wprawnymi wojowniczkami. Nosily skórzane pancerze w zieleń i żółci - barwach ich klanów - oraz farbowane na czerwono szarfy ze splecionego na szczęście konskiego włosia. Helmy miały skórzane, z naszytymi żelaznymi płytkami i konskimi ogonami na szczycie. Miast ciężkich kopii nosily tylko włocznie.

Wyglądały na pełne siły, jak ktoś niedawno wzmocniony darami. Erin skłona była przypuszczać, że jej siostry zrobiły dobry użytek z podarowanych przez Gaborna drenów.

Jedna z dziewczyn była ranna i załatwiała destylowanym alkoholem, którego użyła do odkazania cięcia.

-Wyjeżdżacie czy przybywacie?! - zawołała ta ranna, gdy były już blisko.

-Przybywamy - odparła Erin.

-Droga przed wami nie jest bezpieczna. Pomiot Lowickera, cała ta Constance, próbuje

zablokować wszystkie ścieżki. Wysypała je cierniami. A gdy ktoś spróbuje obejść przez las, to strzelają don lucznicy. Ledwie uszliśmy.

Erin oczekiwała czegoś podobnego.

-Wciąż to już wojna? - spytał Celinor.

-A bo to wiadomo? Nie widzieliśmy żadnych zwartych oddziałów. Constance nie próbuje ruszać na Króla Ziemi, ale nie chce też, by nawiedzał jej kraj. Może to i nie wojna, ale na pewno cholera nią ciska.

Celinor roześmiał się na te słowa i głośno życzył dziewczynom szczęśliwej podróży.

Erin wiedziała jednak, że ta wesołość nie była nazbyt szczera. Celinor miał się czego obawiać.

-Może powinniśmy skrócić ku gorom i okrzyc Beldinook - zaproponował w końcu.

-Lepiej byłoby przemknąć polami. Oszczędzilibyśmy sporo czasu, a przy okazji napluli im w twarz.

-Ale strzelała puszczone z złości zabija tak samo jak wystrzelona na wojnie.

Mamy ważniejsze sprawy na głowie niż plucie w twarz ludziom Lowickera.

Erin nie była tego taka pewna. Fleeds i Beldinook wielokrotnie toczyły w przeszłości wojny i nowina dodała jej bojowego ducha.

Stłumiła jednak chęć walki i podążyła z Celinorem w kierunku granicy. Potem skręcili na zachód, w ścieżkę wiodącą do wioski Twynhaven. Tuzin mil dalej dotarli do ruin zabudowań. Nic nie zostało po wielkim pożarze, który strawił osadę.

Erin jednak szybko dostrzegła, że to nie mógł być zwykły ogień. Po pierwsze, pożar ograniczał się tylko do obszaru wewnątrz kamiennego muru otaczającego wioskę i tam zniknęło wszystko - każdy kawałek drewna, każda belka czy drzewo.

Tylko kamienne podmurowki wskazywały, gdzie wcześniej wznosiły się domy. Kominy sterczały jak poczerńiałe kości. Pośrodku, przy ryneczku, nawet kamienie stopiły się od gorąca.

Nikt z mieszkańców nie zdołał umknąć.

Jadąc uliczkami, widzieli zwęglone ciała. Udało im się rozpoznać szczątki matki z dzieckiem. Gdzieś indziej szkielet konia.

Oszolomiona Erin pomyślała, że to musiała być robota tkaczy płomieni. Wiedziała, że Raj Ahten

przeprowadził obrzęd wezwania czarnego glory'ego gdzieś na terenie Mysterii. To musiało być tutaj. Spalił ludzi żywcem, żeby ich złożyć w ofierze. Poswiecił Twynhaven.

Sadząc po śladach na zasypanych popiołem uliczkach, przez ostatnie trzy dni tylko jedna osoba próbowała wejść do osady. Widac było, że krążyła pomiędzy ruinami budynków.

Najpewniej był to rabus szukający złota albo srebra.

Owszem, w okolicy było jeszcze kilka wiosek, ale bliscy sąsiedzi nie odwagiliby się zapewne wkraczać na ziemię usłaną prochami pomordowanych..

Erin i Celinor jechali w ciszy, aż książe nagle wstrzymał konia.

-Patrz! - pokazał na coś przed sobą. Wpatrzona w ziemię Erin nie od razu to zauważyła.

W cieniu pobliskiego budynku pelgaly tuż na ziemi dziwne, zielone płomienie.

Gdyby słońce oświetlało to miejsce, w ogóle by go nie dostrzegli.

Zielone płomienie rwały się i rozwiewały niczym mgła. Wyrastały w kole szerokim na jakies piętnaście stop, pośrodku zaś jarzył się znak runiczny. Ślady stop pokazywały, w którym miejscu tkacz płomieni wyszedł z tego kregu, prowadząc czarnego.

Co ważniejsze, inne ślady prowadziły do wewnątrz. Domniemany rabus wszedł do kregu i zniknął...

Włosy zjeżyły się Erin na karku, a gęsia skórka wystąpiła na ramionach.

Spojrzała na Celinora.

-Czy myślisz to samo co ja? - spytała.

-Brama - odparł książe z przejęciem. - Brama do podziemnego świata.

Tkacze płomieni Baja Ahtena otworzyli ją podczas obrzędu przywołania, ale nie zamknęli... Dlaczego? Może zamknąć było ją o wiele trudniej, niż otworzyć?

Erin zaschło w ustach, serce podeszło do gardła. Nagle coś zrozumiała...

-Skoro Raj Ahten wezwał czarnego glory'ego przez te bramy, to może my też moglibyśmy wezwać własnego pomocnika?

Celinor aż cofnął konia.

-To byłoby czyste szalenstwo!

-Naprawde? Wiesz o tym tyle samo co ja. Erden Geboren czynil takie rzeczy.

Jakos mu sie udawalo.

-A skad wiesz, czy ta brama w ogole jest otwarta?

-To sie da sprawdzic...

Zeskoczyła na ziemie. Popioły były tu zimne i wilgotne. I załatywały mocno spaleniżną.

Erin podeszła do runy i wyciągnęła sztylet. Rzuciła go do środka kregu.

Nie doleciał nawet do ziemi. Zielone płomienie zatoczyły i pochwyciły go.

Zniknął w blasku runy, Erin zaś poczuła bijące od dziwnego ognia ciepło. Nie było jednak aż tak intensywne, aby ją poparzyć.

Mogłabym tam przejść, pomyślała. Mogłabym przejść do innego świata. Podeszła jeszcze bliżej runy i obejrzała się przez ramię na Celinora.

-Nie! - ostrzegł ją. - Nawet jeśli przejdziesz, to czy masz pewność, że uda ci się wrócić?

Racja, pomyślała. Nawet jeśli prócz salamandr i czarnych gloriów w podziemiach jest jeszcze coś... Zapewne jest, gdyż legendy podawały, że człowiek przybył kiedyś właśnie stamtąd. A to by znaczyło, że miał wcześniej gdzie żyć i co jeść.

Obejrzała się na pola Mystarrii i ozłocone porannym słońcem deby, wrony latające nad listowiem. Szalenstwem byłoby opuszczać to na zawsze... Zresztą obiecała towarzyszyć Celinorowi w podróży do jego ojca.

Wycofała się, dosiadła konia i oboje odjechali na północ.

17 WOJOWNICY

W Indhopalu Władców Niebios przedstawia się jako ludzi z łysymi głowami i skrzydłami jak u ptaków. Kiedyś przebyłem tam długą drogę, aby obejrzyć szkielet uznawany za szczątki Władcy Niebios, ale okazało się, że były to tylko kości dziecka z przypasowanymi skrzydłami graaka. W Inkarrze zdarza się często, że burze zapełniają niezwykle wielkie morskie graaki w głąb ładu, a legendy powiadają, że stworzenia te są potomkami Władców Niebios.

Na północ od Mystarrii zachowały się podania, że potężni magowie powietrza potrafią zmieniać się w ptaki, wedle woli wybiec zwykle postacią kruka, sowy albo sepa.

-Opowieści o Władcach Niebios sir Gariona Gundella Do południa baron Beckhurst odsadził się już zdrowo od gospody Pod Czerwonym Jeleniem. Chociaż jechał konno, ile razy

przymknął oczy, zdawało mu się, że leci. Jakims cudem wiedział teraz dobrze, jak to jest mieć skrzydła, znalazł słodczy towarzyszącego szelestowi lotek podczas szybowania.

W dzieciństwie często o tym marzył i nieraz długo nie mógł zasnąć, tak usilnie wyobrażał sobie swą skrzydlatą postać. Teraz wreszcie miało się to spełnić.

Gdziekolwiek nastawił ucha, słyszał poszeptywanie wiatru. Szeleszczył suchymi trawami na polu, szumiał wśród wędnych liści. Przemawiał uderzeniami skrzydeł wrony i lopotem proporcy nad zajazdem.

-Jednego tylko chce - powiedział. - Zabij królową Sylvarreste, a będziesz latać.

Na skrzyżowaniu dwadzieścia mil na południe od Carris baron zatrzymał się nad rzeką, w cieniu starych brzoź.

Wzdłuż koryta nadleciało zygzakami wielkie stado szpaków i wybrało stojące w pobliżu Beckhursta suche drzewo. Przeleciały o wyciągnięciu ręki od człowieka i obsiadły wszystkie galezie, tak że w jednej chwili martwe konary okryły się ptakami niby liśćmi.

Hałasowały przy tym nieustannie, a niektóre zrywały się, zataczały koło i wracały na miejsce.

Jeden szpak usiadł wszakże na grocie kopii barona. Przechylił lebek, spojrzał na rycerza i zamrugał ślepkami. W jego spojrzeniu malowało się o wiele więcej inteligencji niż u zwykłego ptaka.

-Błogosław ma kopie, o panie - powiedział Beckhurst półgłosem i zajął się pojeniem konia.

Szpak odleciał. Suche liście szeleszczyły lekko, słońce złożyło odległe pola.

Jakiś czas potem nadjechało z południa dwóch jeźdźców, którzy dołączyli do barona.

Za oboma gonił wiatr. Rozrzucił liście na drodze, unosił pył spod podkowi i targał grzywy przerażonych koni.

Obaj przybysze byli nie mniej rośli niż Beckhurst. Mieli tarcze i kopie, i metne czemos spojrzenie. Żaden nie powiedział ani słowa przy spotkaniu, siedzieli tylko na koniach, gdy zwierzęta gasiły pragnienie, i jakby czekali na sygnał. Wiatr krzątał wokół nich niczym niespokojny drapieżnik.

Nagle Beckhurst unosił głowę i wciągnął powietrze w nozdrza. Wyczuł delikatną won perfum, jaka zostawia za sobą elegancka kobieta, przechodząc przez komnatę.

-Królowa nie może być daleko - powiedział jeden z rycerzy. - Najwyżej kilka godzin jazdy.

-Lec, wietrze, nies, burzo - wyszeptał baron, jakby wymawiał zaklęcie.

Wiatr zmienił się w wichurę. Zerwał liście z brzozy i ryknął niczym ranny niedźwiedź.

Konie aż się cofnęły, straszac uszy i przewracając ślepiami.

Trzej rycerze jak jeden mąż pogonili konie do galopu. Jechali na północ. Tam, gdzie wiodła ich won perfum.

18 PAJAK AHTENA

Strzeżcie się handlarzy koni z Indhopalu. Prędzej własną matkę taki ci sprzeda niż dobrego wierzchowca. - z nauk Komnaty Złota Gaborn opuszczał Carris z ciężkim sercem. Wyczuwał niebezpieczeństwo grożące dziesiątkom tysięcy jego mieszkańców. Nakazał więc mądremu ojcu, by pozostali u boku szambelana Paldane'a, lorda Gellentine'a, i pomogli mu w ewakuacji miasta oraz wzmocnieniu obrony. Przy sobie zatrzymał tylko najstarszego, Jerimasa. Minawszy ruiny bramy, rozpuścił zwiadowców, by przeszukali pobożowisko. Istniała możliwość, że tak pozadany przewodnik padł noca wraz z innymi. Jeśli tak, to szperacze powinni go łatwo wypatrzyć. Mało który rauben miał aż trzydziści sześć wyrostków na łbie, może jeden na pięćset. A jeszcze mniej było samców z wielkimi przednimi łapami.

Zwiadowcy przetrzasnęli całe pole, ale nie natrafili na potwora pasującego do opisu Averan.

Mile na południe od Carris Gaborn nakazał postój dla zbadania dziwnych kanałów, które raubenowie wykopali nad brzegiem jeziora. Teraz były pełne wody i dziwnym wzorem wcinale się prawie na mile w głąb ładu. Miały trzy do czterech stóp głębokości, niewiele zatem jak na możliwości raubenów.

Najosobliwszy był jednak smród. Woda cuchnęła tak samo jak zanieczyszczone wulkanicznymi związkami gejzery. Ryby, które zapuściły się niebacznie do tych kanałów, pływały do góry brzuchami.

loma wyjęła z kieszeni płaszcza perfumowana chusteczka i przycisnęła ją do nosa.

-Co to jest? - spytał Gaborn, patrząc na metną ton. - Raubeni staw rybny?

-Chyba nie - stwierdził Jerimas. - Smierdzi siarka. Gaborn nie był wcale zdumiony, gdy Averan pośpieszyła z wyjaśnieniem.

-To ich woda do picia.

Król spojrzął na dziewczynkę, która siedziała na koniu za Binnesmanem. Skłonny był sadzić, że to żart.

-To raubenowie piją? - zdumiał się Jerimas. - Od wieków wszyscy mówią, że tak jak pustynne myszy, nie potrzebują wody, ale wystarcza im wilgoć zawarta w tym, co zjedzą.

-Oczywiście, że pija- odparła Averan, nieco urazona, że jej nie dowierza. - Wielka magini zginęła trawiona silnym pragnieniem. Popatrzcie na te wody: na dnie leżą duże żółte kamienie. Raubenowie specjalnie je tu przynieśli i zatopili, żeby się rozpuściły. W ich jaskiniach nie ma czystej wody, tylko taka jak ta.

Gaborn nie zastanawiał się dotąd zbyt nad warunkami panującymi w podziemnym świecie. Niewielu odważyło się tam kiedykolwiek zapuścić. Dostrzegł jednak te żółte kamienie w wodzie i odnotował w pamięci, że trzeba będzie zabrać zapas słodkiej wody.

-Co jeszcze możesz nam powiedzieć? - spytał Averan. - Po co raubenowie zbudowali te wieże? - Wskazał na wielki fragment powalonej iglicy.

Dziewczynka pokręciła głową.

-To miała być chyba część czegoś większego. Ale ja nie wiem wszystkiego.

Chwile potem nad kanałem zjawił się Jureem w towarzystwie jakiegoś szlachetnie urodzonego rodaka z Południa. Był to starszy mężczyzna o przygarbionym grzbiecie sługi, który przez długie lata kłaniał się swemu panu. Twarz miał pomarszczona niczym skóra wielbłąda i worki pod oczami. W długich, wciąż czarnych włosach widac było pasemka siwizny. Przechylał lekko głowę, starając się słuchać raczej prawym uchem.

Jechał na dumnym koniu z wieloma darami. Przy leku trzymał laskę z drzewa sandalowego z główką w kształcie łba kobry. Nawet z odległości dwudziestu stop zalaatywał czosnkiem i oliwą z oliwek.

-Panie - powiedział Jureem - przedstawiam kaifa Feykaalda, doradcę Baha Ahtena, władcy Indhopalu.

-Do usług - powiedział przybyły z lekkim tylko cudzoziemskim akcentem. Przez wystające żeby, mocno zaznaczone kły, i przenikliwe spojrzenie wydał się Gabornowi podobny do pajaka, ucielesnienia zła. Miał mocno rozszerzone źrenice, co mogło wskazywać na niedawne użycie opium.

-To dla nas zaszczyt - odparł. - Co cie sprowadza?

-Słucham, panie? - spytał Feykaald, przekrzywiając głowę. Gaborn powtórzył pytanie.

-Przybyłem prosić o pomoc - powiedział pajakowaty i wręczył Gabornowi tubę z listem. - Dzisiaj rano, w gorach, Raj Ahten otrzymał ostrzeżenie, że raubenowie zaatakowali kopalnię krwawego metalu w Kartishu. Do teraz zdołali się już okopać. Prowadzi ich wielki rauben, sama władczyni podziemnego świata!

Gabornowi mocniej zabiło serce. Ale czy to możliwe? Żaden człowiek nie widział nigdy legendarnej władczyni, toteż nikt nie mógłby jej rozpoznać. Czyżby wyszła na powierzchnię,

by osobiscie poprowadzic atak na Kartish? Malo prawdopodobne.

Przebywala raczej nadal w Koscielisku, gdzie kierowala go wola ziemi. Aweran potwierdzala zreszta, ze tam wlasnie powinna byc.

Krol przyjrzel sie uwaznie Feykaaldowi. Doradca Baja Ahtena mowil o tak powaznej sprawie, jakby chodzilo o blahostke. Jak kupiec dobijajacy drobnego targu.

Gaborn natychmiast wyczul pulapke.

-Ostrzegalem Baja Ahtena, ze do tego dojdzie. Nie wierzył mi. Naprawde sadzi, ze teraz udziele mu pomocy?

Dolna warga starca zadrzala, jakby wlasnie ujrzal kres swoich wielkich nadziei.

-On... nie wie, ze tu jestem. Sytuacja jest bardzo powazna. Raj Ahten wyruszył w droge do Kartishu, ale obawiam sie, ze dotrze tam zbyt pozno. Co wiecej, watpie, by zdolal pokonac naszego wroga.

-Rozumiem, ty tak myslisz. A co sadzi na ten temat Raj Ahten?

Feykaald opuscil wzrok.

-Mysli... ze slonce i ksiezyc kreca sie wokol niego. Ze wszyscy ludzie sa pylem scielacym mu sie do stop. Wyobraza sobie, ze sam pokona raubenow. Ale ja wiem, ze sie myli. Nie ma twoich mocy.

-Nie moge pomoc, jesli on sie na to nie zgodzi - odparl Gaborn.

-Prosze. Nie ze wzgledu na Baja Ahtena czy nawet na mnie. Chodzi o nasz lud.

-Nie wprowadze armii do kraju, do ktorego nie zostala zaproszona. Nie rusze do walki u boku wladcy, z ktorym nie wiaze mnie wiarygodny sojusz. Raj Ahten czesto juz lamal dane slowo. Gotow jest zrobic to ponownie.

-Ale w Indhopalu sa dzieci, o wielki! - wykrzyknal Feykaald, ktory caly czas mowil troche za glosno. Sklonil glowe i skrzyzowal dlonie przed oczami, co mialo podkreslac wage blagan. - Sa sniade, ale poza tym nie roznia sie od waszych dzieci. Tak samo sie smieja i placza, bywaja glodne i krwawia. I tak samo marza, ze Krol Ziemi przybedzie im na ratunek w chwili rozpacz. Jesli nie chcesz okazac milosierdzia mezom i kobietom, to moze chociaz nad dziecmi sie ulitujesz?

Gaborn pokrecil glowa. Podejrzewal, ze mimo przymilnosc, Feykaald wciaz jest jego zagorzalym wrogiem. Wsparte mocami ziemi zmysly ostrzegaly go przez niebezpieczenstwem zwiazanym z podobna wyprawa. Ale pamietal tez, co widzial dwa dni

wcześniej dzięki kamieniom Binnesmana. Raubenowie na pewno pojawili się w Kartishu i sytuacja mogła tam być o wiele poważniejsza niż pod Carris.

Niemniej Feykaald próbował go nakłonić do wyprawy z całkiem innych powodów, niż głośno zapewniał. I pewnie do głowy mu nawet nie przyszło, że Gaborn ze wszystkich sił chciałby pomóc mieszkańcom Kartishu. Jednak ziemia mówiła, żeby zmierzał do Koscieliska.

-Nie mogę wysłać armii - powiedział.

Feykaald spojrzał na Jureema, jakby oczekiwał od niego wsparcia.

-Salaam - powiedział błagalnym tonem i sklonił się głęboko. Prosząc o pokój, dawał znak, że chce powiedzieć coś kontrowersyjnego, i prosił z góry, aby król nie uznał tego za obrażenie.

-Pokój - odparł Gaborn.

-Wysłuchaj mnie zatem, panie, choć w jednej, drobnej sprawie, która nie będzie dla Ciebie kłopotem.

-O co chodzi?

-W Twoim obozie są Niezwycięzeni, ludzie, którzy przybyli z Indhopalu. Ocalało ich trzystu albo czterystu. Błagam Cię, jeśli nie jesteś gotów wysłać własnych ludzi, wyślij chociaż tych.

Gaborn zastanowił się. Czuł, że godząc się na to, wydałby na Niezwycięzonych wyrok śmierci. Nie wiedział wprawdzie, czy miałoby zginąć z rąk współbraci, czy w walce z raubenami, ale na pewno wszystkich szybko spotkałaby śmierć.

-Nie. Nie mogę na to pozwolić.

-To przecież drobiazg - nalegał Feykaald. - Ci ludzie nie przedstawiają dla Ciebie, panie, większej wartości. Jeszcze mają dary, ale sam się zastanów, jak długo je utrzymają. Raj Ahten nie odda lekka ręką czterystu Niezwycięzonych. Każde zabić ich darczyńców, bo w przeciwnym razie jego poddani zbuntują się przeciwko niemu. I ci niewinni darczyńcy, mężczyźni, kobiety, dzieci, zginą na darmo. Tylko po to, wasza wysokość, abyś mógł cieszyć przez chwilę oczy Niezwycięzonymi paradującymi w Twoich szeregach?

Gaborn patrzył na Feykaalda z narastającą niechęcią.

-Błagasz o uprzejmość, czy próbujesz na mnie coś wymusić?

-Wymusić? Nigdy, o najjaśniejszy! Ja bym tego przecież nie zrobił, ale znam swego pana.

Gaborn nie wątpił, że Raj Ahten zrobi tak, jak Feykaald to przedstawił.

-Masz rację - powiedział. - Indhopal jest ich ojczyzną i nie będę się sprzeciwiał, gdy zechcą

wrocic, zeby jej bronil.

Jureem az pokrasnial, jakby nie oczekiwal takiej wspanialomyslności.

-Dzieki ci, krolu calej ziemi - wykrztusil Feykaald, klaniajac sie gleboko.

-Niemniej... - dodal Gaborn. - Moje zmysly ostrzegaja mnie, ze zaden Niezwyciezony, ktory powroci do Indhopalu, nie pozyje dlugo. Musze ich przed tym ostrzec.

Feykaaldowi cos blysnelo w oczach. Z nieodgadnionym wyrazem twarzy skinal jednak krotko glowa.

-Chcialbym cie, panie, prosic o jeszcze jedno - powiedzial.

-Jeszcze jedno?

-Dreny. Chociaz kilkaset. Bardzo by sie przydaly. Tego bylo juz za wiele.

-Nie mam drenow na zbyciu - stwierdzil Gaborn. Feykaald pokiwal glowa.

-Rozumiem. Zatem zmienienie ma prosbe.

Gaborn poczul sie, jakby byl na rynku i przyszlo mu sie targowac z jednym z krajanow Feykaalda. Przybysz zadal zbyt duzo, nic nie oferowal w zamian.

-Dobrze. Ale miarkuj sie.

-Salaam. Blagam cie, panie, pojedz sam do Kartishu. Jesli obawiasz sie Baja Ahtena, mozesz przeciez wybrac jego armie, a wtedy zyskasz pewnosc, ze beda cie chronic.

-Nie moge.

-Zaklinam cie na wszystko, co kochasz, twój kraj i jego mieszkancow. Bez przewodnictwa Krola Ziemi nasi ludzie zgina jak traszki w ogniu. Gdybys mogl ich zobaczyc, wybralbys ich tak samo, jak wybrales lud Carris.

Gaborn pokrecil glowa. Slowami nie zdolalby wyrazic, jak bardzo chcialby spelnic te prosbe, ale jego moc wybierania przepadla. No i musial zajac sie obecnie czyms calkiem innym.

-Czekaja mnie pilniejsze bitwy. Twój pan bedzie musial poradzić sobie beze mnie.

Feykaald opuscil oczy i pokrecil glowa.

-Wybacz. Samowolnie tu przybylem i nie moge wracac do Indhopalu. Nie teraz...

Raj Ahten uzna moj czyn za zdrade. Zniosse jednak nieslawne zdrajcy, o ile zrobie cos dobrego dla mego kraju. Tym samym prosze cie o milosierdzie i blagam o udzielenie schronienia. Oddaje ci sie na sluzbe, panie, jak wczesniej zrobil to Jureem. Bede sluzyl ci wiernie, jak dlugo nie zazadasz ode mnie, zebym zdradzil swoj lud.

Wszystko to brzmialo bardzo szczerze. Dlonie starca trzesly sie jak w febrze, oczy blagaly o laske. Niemniej Gaborn nie mogl mu zaufac. Nie wyczuwal, zeby cokolwiek mialo Feykaaldowi zagrozić.

-Wracaj do Baja Ahtena - powiedzial. - Nie skrzywdzi cie.

-Na Moce, blagam! - zajeczal poludniowec. - Miej serce. Zlituj sie nad starcem!

Nie mozesz przeciez odgadnac, co mojej pan dla mnie obmysli!

Gaborn zastanowil sie. Byc moze Feykaaldowi wydawalo sie, ze naprawde cos mu grozi. Albo udawal strach, zeby dopiac swego.

Bylo cos dziwnego w tym czlowieku... jakis mrok czajacy sie w glebi jego duszy.

Nie stanowil bezposredniego zagrozenia. Gaborn czul, ze przybysz nie wyciagnie zaraz na niego sztyletu. Niemniej byl pewien, ze majac choc cien szansy, Feykaald sprobieje podstepu.

A moze wszystko to tylko moje strachy? pomyslal.

W Komnacie Twarzy nauczyl sie, jak rozpoznac klamce. Ale co do Feykaalda nie byl niczego pewien. Ktos oszukujacy zwykle odwraca spojrzenie albo mruga, zeby nie dac sie rozgryzc, a czasem i zrenice ma mniejsze. Jednak kaif patrzyl pewnie i spokojnie, bez zmruzenia oka, a wypalone niedawno opium powiekszylo mu nadnaturalnie zrenice.

Klamca drzal niekiedy, ale Feykaalda jakby to nie dotyczylo. Inny napinal jeszcze miesnie karku czy krecil niespokojnie glowa...

W postawie Feykaalda nic nie swiadczylo o tym, ze lga. Niemniej caly czas byl pochylony. Gaborn przypuszczal, ze kaif swiadomie garbi plecy. Zachowywal sie jak kupiec zainteresowany powazna transakcja. Wlasnie... probowal sprzedac mu swoja wersje, a Gaborn uparcie nie chcial jej kupic!

Tylko dlaczego on to robi? pomyslal Krol Ziemi. Chyba naprawde chce mnie sklonic do udzielenia pomocy Indhopalowi. Rozdzielenia sil... albo biernosci.

Im dluzej Gaborn o tym myslal, tym wiekszy gniew go ogarnial. Jasne, Feykaald byl szpiegiem. To dlatego jego obecność napelniala takim niepokojem. Wrazeniem czajacego sie zagrozenia. Latwo byloby go odeslac.

Gaborn spojrzal na swoich doradcow i zastanowil sie nad tym, co slyszal od nich w nocy. Sklocac wrogow... Gdyby udalo mu sie zbuntowac Feykaalda przeciwko jego panu...

Moze dezinformacja...

Niemniej zatrzymanie kaifa pod byle pozorem przy sobie tez mialo co najmniej jedna dobra strone. Pozbawilby Baja Ahtena pomocy utalentowanego doradcy.

To byloby roztropne. Moglby umiescic Feykaalda pod dyskretna straza w jakiejś ustronnej warowni, skad nie moglby nikomu zaszkodzic. W Tide bylo nawet troche majatkow majacych sluzyc tylko takim celom.

Niemniej istniala jeszcze wieksza pokusa: w pelni przeciagnac go na swoja strone.

-Dziekuje ci, kaifie Feykaaldzie - powiedzial Gaborn. - Dales mi wiele do myslenia.

Zastanowie sie, jak moglbys mi sluzyc, ale obecnie nazbyt jestem zajety czym innym.

Przylaczysz sie do mego orszaku?

-Powiedz tylko, panie, jak mam ci sluzyc, a wypelnie me obo- wiazki z ochota- odparl Feykaald, klaniajac sie tak nisko, ze Gaborn obawial sie przez chwile, czy kaif nie spadnie przy tym z konia.

19 BARON WAGGIT

W zamian za liczne doczesne zaszczyty na baronie ciazą następujące obowiązki: 1. Dbac o ziemie, która powierzona została jego pieczy.

2. Stac na strazy praw krolestwa, sciagac dla krola podatki i utrzymywac w nalezytym stanie drogi i inne obiekty sluzace wszystkim poddanym krola.

3. Oddac swe zycie albo zycie syna lub zycie odpowiedniego slugi za krola w czas wojny.

-Z Ksiegi praw i zwyczajow - Slyszeliscie, chlopcy?! Moj Waggit jest teraz baronem! - wykrzyknal ze smiechem Scallon, klepnal Waggita po plecach i wcisnal mu w dlon nastepny kubek rumu.

Wszyscy w gospodzie usmiechali sie do Waggita i gratulowali mu na wyprzedki.

Waggit pamietal, ze jechal na krolewskim rumaku i ze zostal pasowany na rycerza.

To bylo lepsze niz najcudniejszy sen.

Zamknal oczy i obiecal sobie, ze zapamieta te chwile. Chociaz nie bylo to latwe.

Zawsze wszystko zapominal. Zeszlego wieczoru tez sobie powtarzal, ze chce zachowac w glowie, jak zabijal raubenow, ale juz teraz malo co potrafil z tego przywolac.

Tylko dwie albo trzy z walk. Ze zabil dziewieciu, wiedzial wciaz tylko dlatego, ze nieustannie mu o tym przypominano.

-Nie siedz tak, pij! - krzyknal Scallon. - Jak masz byc baronem, to musisz nauczyc sie pic z kubka!

Wszyscy znow sie zasmiali i zaczeli poklepywac Waggita. Pochylali sie tak blisko, ze czul, jak zalatuje im z ust. Lyknal poteznie. Rum palil w gardle, co nie bylo mile, ale lubil to, co dzialo sie potem. Tyle ze ile razy sie upijal, po przebudzeniu stwierdzal zawsze, ze zniknely gdzie wszystkie jego pieniadze. A to juz mu sie nie podobalo.

Jedynym sposobem, zeby ich nie stracic, bylo oddanie calej gotowki Scallonowi na przechowanie. On bedzie dobrze jej pilnowal.

-Dajecie temu wiare?! - krzyknal znowu Scallon. - Waggit baronem! Dostanie dom, ziemie i tyle pieniedzy, ze sam nie zdola ich przepuscic!

-A ty pewnie bedziesz sie go trzymal, zeby pomagac? - spytal Lugby, przyjaciel, ktory wraz z nimi pracowal w kopalniach Srebrnej Doliny.

Scallon zanosl sie rechotem. Byl rosly, barczysty i brodaty, a kiedy sie smial, pryskal wokol slina.

-A kto lepiej to zrobi niz jego przyjaciel? Teraz bedzie potrzebował ochmistrza. Kto lepiej sie nada niz ja?

-No... ktokolwiek - mruknal Lugby.

Scallon spojrzal gniewnie na starszawego mezczyzne o przygarbionych plecach.

Kopalnia odcisnela na nim swoj slad.

-Cofnij te slowa - powiedzial wscieklym tonem. Waggit nigdy jeszcze nie widzial go takim. - Cofnij albo sila wtlocze ci je z powrotem do gardla - dodal, siegajac do pasa po dlugi noz.

Przerazony Lugby az sie cofnal.

W sali zapadla cisza. Ludzie odsuneli sie od obu kompanow. Waggit nie pojmul, co sie dzieje. Dlaczego Scallon oszalal i chce zabijac? Zdarzalo sie juz, ze bil innych bez zadnego powodu, ale nikogo dotad nie zamordowal.

-Ja... - wyjakal Lugby, rozgladajac sie niespokojnie. - Ja... nie chcialem cie urazic.

Myslalem tylko, ze skoro ty bedziesz ochmistrem, to do kuchni tez ktos sie przyda.

Nikt nie przerywal ciszy. Wszyscy czekali, jak Scallon przyjmie te slowa. W koncu olbrzym rozesmial sie glosno.

-Jasne, przyda nam sie pomoc do kuchni. Lugby usmiechnal sie zadowolony.

-On umie gotowac? - spytal Waggit.

-Czy potrafi?! - ryknal Scallon. - Taka fasole ci ugotuje, jakiej jeszcze w zyciu nie jades!

Dla Waggita byla to wystarczajaca odpowiedz.

Usmiechnal sie i znowu lyknal rumu. Siedzial tak i unosil kubek, az przestal czuc palacy smak trunku, a sala zaczela wirowac mu przed oczami. Stracil calkiem poczucie czasu.

Spojrzal na psa pilnujacego pieczonego na roznie wieprzka. Mial ochote poglaskac krazacego czujnie czworonoga, ale wiedzial, ze szynkarz dalby mu za to po lapach.

Oberzysci zawsze uwazali, ze psu nie nalezy przeszkadzac w pracy. Bo od tego zawsze zalezalo zycie. Od pracy.

Waggit tez pracowal caly dzien, machajac kilofem w kopalni. Praca dawala pieniadze.

Praca i fasola daly mu sily. Byl silny jak niedzwiedz.

Ryknal nagle jak ten lesny zwierz, az wszyscy wokol spojrzeli na niego i buchneli smiechem. No to znow ryknal i wstal, i zamachal rekami nad glowa. To byl dobry zart.

Scallon rozmawial wlasnie z jakimś mezczyzna w wytluszczonym skorzanym fartuchu. Po chwili trafil Waggita lokciem.

-Slyszales? Krol jest ci winien dreny za zabicie raubenow. Dziewiec drenow.

Bedziesz bogaty.

-On nic... nie jest mi winien - wybelkotal Waggit. - Dal mi... pojechac na swoim koniu.

-On uwaza, ze jest ci je winien - odparl Scallon. - Tak mowi prawo. To stary zwyczaj, spisany i ustanowiony prawem, zanim sie wszyscy narodzilismy. Jak ktos zabije raubena, moze isc do krola i dostaje jeden dren. W ten sposob ktos tak dzielny jak ty, chociaz nisko urodzony, moze zostac rycerzem.

-Aha... - mruknal Waggit. Sala wirowala mu przed oczami tak bardzo, ze musial podeprzec glowe dlonmi.

-I bedziesz potrzebował tych drenów - dodał Scallon, pochylając się ku niemu.

Pot spływał mu strumykami po pokrytej kopalnianym pyłem twarzy. - Bo będziesz musiał je sprzedać, żeby mieć na utrzymanie domu i ziemi. To wszystko kosztuje. No i będziesz musiał kupić jakieś konie i powozy. A skoro jesteś już bogaty, to może nawet zechcesz ożenić się z Andellą.

Ledwo Scallon przypomniał mu o Andelli, Waggit zaczął myśleć wyłącznie o niej.

Andella sprzedawała piwo w gospodzie w Srebrnej Dolinie. Była najpiękniejsza z kobiet.

Wszyscy jej to powtarzali.

-Myślisz, że zechcę za mnie wyjść? - spytał.

-Przyjacielu - rzucił Scallon z dużą pewnością siebie - jeśli czegoś naprawdę mogę być pewien, to właśnie tego. Ta dziewczka nawet ze swinią by się przespalała, gdyby jej dość zapłacić.

Waggit uśmiechnął się i spróbował sobie wyobrazić Andellę śpiącą mocno obok swini, jednak za bardzo mu się w głowie kreciło.

-No to chodźmy - powiedział Scallon. - Odbierzemy twoją nagrodę.

-Nie mogę. Jestem za pijany, żeby chodzić.

-Nie szkodzi. Pomogę ci.

-Ale... nie chce niczego zgubić.

-Nie zgubisz - obiecał Scallon. - Ukryje drewno razem z tymi pieniędzmi, które dajesz mi od lat na przechowanie.

Waggit spojrzał na niego metnymi wzrokiem.

-A nie zgubisz? Raz zgubiłeś moje pieniądze!

-Och, to było dawno temu... I potem je znalazłem, pamiętasz? Przyniosłem ci je Isniace i nowiutki. Kupiłeś za nie te buty, co masz je na nogach.

Niestety, Waggit niczego nie pamiętał. Zapomniał już dawno swoje własne imię.

Wiedział tylko, że ludzie wolają na niego Waggit.

-Uff- sapnął, gdy Scallon dzwignął go na nogi i czym prędzej wyprowadził z gospody na światło dnia.

-Dalej, chłopie. Ruszaj kulasami - poganiał.

Marsz do Warowni Diuka zajął im całą wieczność. Na dodatek Waggit musiał raz przystanąć, żeby się wyrzucić. Straż przy bramie musiała poznać bohatera, bo zaszalowała mu mieczami.

Nigdy jeszcze nie widzieli takiego dostatku, ale też żadnemu z nich nie zdarzyło się dotąd zejść do majątku domu. Boazerie, gobeliny, gigantyczny kominek w sali audiencyjnej... Gdy z naprzeciwka wyszedł ku nim dostojnie ubrany mąż, Waggit był pewien, że to sam diuk. Próbował się nawet z nim przywitać.

-Nie, nie jestem diukiem - odparł niewysoki dworzanin o bystrych oczach. - Diuk nie żyje. Jestem szambelanem. Nazywam się Gallentine i zastępuje obecnie diuka.

Domyslałem się, że przybyłeś po swoje drewno?

-No... tak, wasza miłość! - odezwał się Scallon. - Właśnie po to przyszedłem.

Wziąć to, co według prawa jest jego!

Szambelan zmierzył Scallona chłodnym spojrzeniem.

-Chcesz więc teraz przyjąć dary? - spytał Waggita.

-Nie, nie dary - wtrącił się znowu Scallon. - On chce tylko drewno.

-Doprawdy? - zapytał z uśmiechem Gallentine.

Scallon stuknął Waggita w plecy, żeby się odezwał, ale bohater tylko pokiwał energicznie głową.

-Nie obawiasz się, że twój przyjaciel sprzedaje zaraz, żeby mieć na piwo?

Waggit dla odmiany pokręcił głową.

-Nie... Schowa je dobrze, żeby nikt nie ukradł. On zawsze dobrze chowa.

Scallon znowu uderzył go w plecy i Waggit zrozumiał, że powinien coś jeszcze powiedzieć, ale nie wiedział, co by tu... Gallentine uśmiechnął się chłodno i spojrzał na Scallona.

-Mam nadzieję, że zdołasz sam znaleźć drzwi? Czy może raczej powinienem zawołać straż, żeby ci pomogła?

Scallon warknął głucho.

-Nie potrzebuję straży - rzucił, raz jeszcze gniewnie uderzył Waggita w plecy i wyszedł z

sali.

Bohater poczul sie nagle zupełnie opuszczony i zaczął się bac. Wiedział, że Scallon jest szalony i czasem, jak bardzo się wścieknie, to bije naprawdę mocno. I pewnie teraz będzie czekał za drzwiami... a wtedy... Waggit tak się przestraszył, że nie mógł myśleć o niczym innym.

-I co? - odezwał się Gallentine. - Co mamy z tobą zrobić? Waggit pokręcił głową.

Wiedział, że coś poszło nie tak. Musiał być niegrzeczny. Nie dostanie drenów ani ziemi. Ale nie pojmował, co złego zrobił.

Gallentine obszedł go niczym oglądane na targu cielaka.

-Masz mocne kości. To dobrze. I zabiłeś dziewięciu raubenów. To znaczy, że potrafisz się szybko ruszać. A jak dokładnie udało ci się powalić tych raubenów?

-Wskakiwałem im na leb i wbijałem kilof w czule miejsce!

-Kto ci pokazał, gdzie jest czule miejsce?

-Lugby! - odparł Waggit, zdumiony niepomierzenie, że to pamięta. - Narysował na ziemi raubena i długo mnie uczył, gdzie to jest.

-A gdy przyszli raubenowie, twój przyjaciel Lugby pchnął cię do walki?

Tego akurat Waggit za bardzo nie pamiętał. Ale fakt, jakos tak od samego początku pomiędzy nim a raubenami nikogo nie było.

-Powiedz mi... wiesz, czym jest śmierć?

-To wtedy, gdys ktoś zasypia i już się nie budzi.

-Bardzo dobrze. A czy wiesz, że raubenowie mogli cię zabić? Waggit nie odpowiedział. Gallentine wyglądał mu na złego, a Waggit nie wiedział, jaka może być prawidłowa odpowiedź. Zdezorientowany pokręcił tylko głową.

-Wiec twoi przyjaciele pchnęli cię do walki z raubenami i nie powiedzieli ci, że możesz zginąć?

Waggit nie przypominał sobie, żeby któryś z nich mówił coś podobnego.

-Niech o jeszcze jedno cię spytam, baronie Waggit. Zrobiłbyś to samo raz jeszcze?

-Zabił raubena? Pewnie tak.

Gallentine pokiwał powoli głową. Czyli to musiała być prawidłowa odpowiedź! ucieszył się Waggit.

-A czy marzyłeś kiedykolwiek... żeby być taki jak inni ludzie? Zastanawiałeś się, jakby to było, gdybyś wszystko zapamiętywał?

Waggit skinął głową.

-Czy to byłoby dla ciebie cenniejsze niż złoto? Waggit nie był pewien.

-Scallon kazał mi poprosić o dreny.

-Zasłużyłeś na te dreny - przyznał Gallentine. - I możesz je dostać. Ale prawo pozwala ci wykorzystać je tylko w królewskiej służbie. Innymi słowami, jeśli je wezmiesz, musisz zacząć słuchać króla.

Waggit zmieszal się. Musiało to się jakos odbić na jego twarzy, gdyż szambelan pośpieszył zaraz z wyjaśnieniem:

-A twój król będzie chciał, żebyś zabijał raubenów.

-Aha.

-Król nie zostawił dokładnych dyspozycji, co z tobą zrobić, ale pamięta o twojej nagrodzie, gdyż powierzył mojej pieczy pewną liczbę drenów. Mogę je spożytkować, jak uznam, że będzie najlepiej. Rzadko się zdarza, by władca darował dreny głupcowi, mam więc dla ciebie pewną propozycję. Słuchasz? Dam ci teraz jeden dren rozumu, żebyś mógł stać się normalnym człowiekiem. Co ty na to? A potem dam ci jeszcze konia i pozwolę pojechać za królem. Namyślisz się po drodze i sam zdecydujesz, co dalej. Jeśli zechcesz wstąpić na służbę do naszego pana, otrzymasz pozostałe dreny.

Waggit nie rozumiał do końca, o co może chodzić w tak długiej wypowiedzi.

-I potem będę wszystko pamiętał? - spytał tylko.

-Tak. I sam będziesz mógł pilnować swoich pieniędzy.

-Będę pamiętał... jak jechałem z królem na koniu?

-A teraz to pamiętasz? Waggit przymknął oczy.

-Tak.

-To zapamiętasz już to do końca życia - zapewnił go szambelan. Waggit nie wiedział, co powiedzieć z radości, pokiwał więc tylko energicznie głową.

-Dobrze zatem, sir Waggit - stwierdził z uśmiechem Gallentine, a w jego głosie można było wysłyszeć autentyczny szacunek.

Potem zaprowadził go do darmistrza w wieży Warowni Darczynców i zerkając na wschód przez otwór strzelniczy, czekał, aż wszystko będzie gotowe. Jezioro Donnestgree lśniło w porannym słońcu, a na wodzie kołysało się mrowie wysokodziobych łodzi holujących tratwy z baryłek. Waggit, który też zbliżył się do okna, pomachał im nawet, ale chyba nikt go nie zauważył.

-Pewnego dnia też popłyne na takiej łodzi - powiedział.

-Ale nie z nimi - odparł Gallentine. - To najciężej ranni. Król kazał ich wywieźć z dala od tego morowego powietrza. Zbyt wielu ludzi zmarło w nocy.

Waggit wyteżył wzrok i dojrzał, że tratwy i łodzie rzeczywiście są pełne rannych mężczyzn i kobiet, którzy ucierpieli od ciosów raubenów albo spadających kamieni. Leżeli spowici w przesiąknięte krwią bandażem, okryci kocami. Waggit dostrzegł drobne postaci dzieci i siwe głowy starców. Zrobiło mu się ich żal. Ale i tak chciałby popłynąć łodzią.

Niebawem darmistrz wrócił z drenem i darczynca.

Ujął długie na stopę żelazo i przytknął je do ciała mężczyzny, który poświęcił swój umysł Waggitowi, po czym ptasim głosem zaintonował zaklęcie. Waggit zaszuchał się w pieśń, aż nagle poczuł odor palonego ciała i usłyszał krzyk bólu darczyncy.

Darmistrz zamachał drenem, który zostawiał w powietrzu jasny ślad, jakby ognisty wąż latał po pokoju. Wciąż śpiewając, przycisnął dren do ramienia Waggita, który nagle poczuł się tak dobrze jak jeszcze nigdy w życiu.

Dren palił żywym ogniem, a głowa zdawała się pękać, ale równocześnie pojawiło się światło i dziwna lekkość... I widok oczu darczyncy, młodego mężczyzny z otwartymi bezmyślnie ustami, którego twarz nic w tej chwili już nie wyrażała...

Ten widok miał towarzyszyć Waggitowi do końca życia.

20 NAJCENNIJSZE KLEJNOTY

Od czasów króla Harilla kości raubenów stały się dla rycerstwa Rofehavanu cennym trofeum i szybko rozwinął się handel tymi, jak to się czasem mówi, "raubenimi kryształami". Wielu władców Runów zwykło ozdabiać swoje domy długimi zębiskami potworów, niektórzy nawet całe ich czaszki zawieszali nad drzwiami, a z fragmentów kości tych bestii wyrabiano pierścienie, bransolety i naszyjniki. Świeże kości są prawie tak czyste jak kwarc, zwykle z błękitnym albo akwamarynowym odcieniem. Bywa, że zanieczyszczenia dodają im blasku albo powodują, że dostrzega się w nich kształty zwierząt albo drzew. Jednak w odróżnieniu od kwarcu, po kilkudziesięciu latach

taka kosc zmienia kolor na rudozłoty, a po paru stuleciach staje sie czerwonoruda. Takie stare kosci sa wysoko cenione w Indhopalu.

Wszystkie nadaja sie do artystycznej obrobki, jednak tylko narzedzia o diamentowych ostrzach moga ugryzc niezwykle twarda kosc raubena. - mistrz Thornish z Komnaty Klejnotow Myrrima wymusila na Borensonie, by zajrzal do gospody w Balington i cos przekasil.

Rana goila sie szybko, goraczka juz minela, ale rycerzowi wciaz braklo darow.

Niczym nie roznil sie teraz od zwyklych ludzi i tak samo jak oni potrzebowal jedzenia i odpoczynku.

W misce zostalo jeszcze troche specyfiku Binnesmana i Myrrima nalozyla przed jedzeniem kolejna jego warstwe, nakresliwszy uzdrawiajace runy na wodzie.

Borenson zniosl to cierpliwie.

Na razie nie wszystko wrocilo do normy. Krwawa rana zniknela, skora zabliznila sie gladko, ale klejnotow nie bylo. Worek mosznowy wciaz dyndal sobie pusty.

Myrrima wyprosila od oberzystki mala skrzynke i schowala do niej reszte masci.

Potem zjedli w milczeniu. Atmosfera wokol byla nieco nerwowa. Dziewka sluzebna co rusz wgapiala sie w Borensona, a w drzwiach i oknach nieustannie pojawiala sie czyjas ciekawska twarz. Skoro krol z orszakami juz pojechal, to i miejscowym zabraklo pilnych zajec. Kucharze i stajenni zebrali sie w okolicy i czynili wrzawe nie mniejsza niz stado gesi.

-Widzieliscie nasza nowa krolowa? - spytala glosno oberzystka. - Nie wiedzialam, ze ma tak ciemna skore.

-Taifanska krew - odparl stajenny.

-Nie, zebym miala cos przeciwko - ciagnela kobieta - ale wielu bedzie pyszczyc na ten wybor krola. Przeciez widac, ze ona pochodzi z Indhopalu. Jest taka egzotyczna...

-O, to to... - mruknal stajenny. - Egzotyczna. Dobrze powiedziane. Bo nie, zeby brzydka...

-Ale i tak dziwnie wyszlo - stwierdzila oberzystka, ktora byla blondynka. - I co teraz?

Jasna cera wyjdzie z mody?

Powtarzano sobie kazde slowo wypowiedziane podobno przez Gaborna i Iome, a o im wiekszy sekret chodzilo, tym szerzej rzecz rozpowszechniano. Wiele wskazywalo na to, ze sypialnia oberzystki musiala przylegac do glownej sali zajazdu...

Niebawem do gospody sciagnela chyba z polowa wioski.

-Slyszalem, ze czarnoksiężnik Binnesman zrobil nawet z jednego wywalaszonego rycerza z powrotem ogiera! - rzucil w pewnej chwili jakis wiesniak i w sali zapadla nagle cisza, jesli nie liczyc paru stlumionych chichotow. Wszyscy spojrzeli ukradkiem na Borensona, ktory udal, ze niczego nie zauwaza, ale na jego jasnej twarzy pojawil sie wyrazny rumieniec.

Wiesc o cudzie uczynionym przez Binnesmana rozchodzila sie o wiele za szybko.

Myrrima miala wrazenie, iz obecni oczekuja wrecz, ze dane im bedzie ujrzec te odrastajace na poczekaniu klejnoty.

W koncu oberzystka podeszla do ich stolu i spytala, czy chca pokoj. Tego bylo juz Borensonowi za duzo...

-A po co?! - krzyknal. - Przy waszej dyskrecji rownie dobrze na ulicy, jako pies moglbym sie parzyc!

Obecni zamilkli i w miare mozliwosci odsuneli sie nieco dalej, jakby obawiali sie, ze wielki maz siegnie zaraz po jakies mordercze narzedzie.

Borenson odstawil gwaltownie kubek i caly czerwony na twarzy wybiegl. Myrrima przeprosila szeptem gospodynie, polozyla monete na stole i pospieszyla za mezem.

Czula sie nader nieswojo.

Borenson opanowal sie nieco i ruszyl zwawym krokiem ku stajni. Osiodlal swojego wierzchowca, zwierzec dosc silne, by udzwignac rycerza w pelnej zbroi i konskie blachy.

-Co za glupcy - mruclal pod nosem, zaciagajac popreg. Dosiadl konia i spojrzal na zone.

-Niepotrzebnie na nich nakrzyczales - powiedziala. - Nikt nie chcial cie urazic, ale to mala osada. Wizyta Krola Ziemi byla dla nich pewnie najwiekszym wydarzeniem od... och, od poczatku swiata. Latami beda o tym mowic. I ukladac piesni!

-A potem usiadl tylnym w wiklinie i mu jajka odrosly wielkie jak dynie - mruknal Borenson z dziwna mina. - Ze jak?

-Nic, nic... Tylko wszyscy minstrele w okolicy beda odtad spiewac o moim przyrodzeniu. Tak jak wczesniej te przekleta ballade o mnie i baronie Pollu.

Mial racje. Nie mogl juz liczyc na anonimowosc i bylo pewne, ze gdziekolwiek zawita, bedzie przyciagal powszechna uwage. Nie mial szans przed tym umknac.

Liczyl tylko na to, ze nie bedzie uwazany za bylego mezczyzne.

-Coz... - mruknela Myrrima. - Jakby kto pytal, to odpowiem szczerze, ze odrosly ci wieksze niz wczesniej. Ze sa tak wlochate i doskonale, ze zaden mezczyzna nie mial lepszych.

Borenson milczal przez chwile, az w koncu sie usmiechnal.

-Dobry pomysl! Mozesz ich tym karmic!

Myrrima wyczula, ze najchetniej wybuchnalby smiechem, chociaz po prawdzie obawy go jeszcze nie opuscily.

Wskoczyla na konia przed meza i wyjechali z Balington.

Przez dluzszy czas zadne sie nie odzywalo, az gdy cisza zrobila sie nieco krepujaca, Borenson otoczyl zone ramieniem i polozyl dlon na brzuchu, tuz pod piersiami.

Brode oparl na jej ramieniu.

Wiedziala, ze musi czuc zapach jej wlosow i ciala skrytego pod materia.

Chcialaby, zeby ja pocalowal... Ale zbyt wiele ich wciaz dzielilo. Nadal nie byli sobie tak znajomi, jak winno byc w malzenstwie. Myrrima potrzebowala czegos wiecej.

-Jesli mamy jechac razem, to dobrze by bylo, gdybysmy czasem zamienili slowo - powiedziala wreszcie.

-Zgoda - mruknal Borenson, ale jakos malo przekonany.

-Powiedz mi o sobie cos, czego jeszcze nie wiem.

-Nie lubie wypiekow domowych ze slodkim kremem - odparl.

-Dobrze. Bede robic kruche ciasteczka. A teraz chce uslyszec o czymys wazniejszym.

Zrozumial, ze Myrrima chce, by otworzyl przed nia serce, ujawnil najglebsze uczucia.

-Nie ma niczego takiego - stwierdzil jednak.

-No to opowiedz o Saffirze. - Myrrima wybrala temat, co do ktorego miala pewnosc, ze Borenson wolalby go omijac. - Jaka ona byla?

-Prozna.

-Dlaczego tak sadzisz? Westchnal ciezko.

-Pytala o ciebie. Chciala wiedziec, czy jestes piekna. Wiedziala, ze nie zdolasz jej dorownac.

-I co jej powiedziales?

-Nie chcialabys tego sluchac - powiedzial i Myrrima wiedziala, ze maz nie przesadza.

-Nie mozna bylo patrzec na nia ani sluchac jej glosu bez poczucia... ze jest sie jej niewolnikiem. Ale poznalem, jaka byla naprawde. Prawie jak pusta skorupa. A poza tym...

Nie znala swiata, zbyt zapatrzona w Baja Ahtena. Obawialem sie nawet, ze gotowa bedzie nas zdradzic. Ale podczas bitwy mnie zaskoczyla. Okazala wiele odwagi i poswiecenia. Gdyby byla madrzejsza, moglaby sie nawet uratowac. Przede wszystkim jednak byla zwykla dziewczyna, ktorej przypadla w udziale nazbyt wielka uroda.

-Mowisz tak, zeby mnie uspokoic - zauwazyla Myrrima. - Kilka godzin temu wygladalo na to, ze ja pokochales.

Borenson przez chwile zastanawial sie nad odpowiedzią.

-Powiedzialem, co o niej mysle. Co zas czulem... to calkiem inna historia. A jedno i drugie to prawda. Moze i masz racje... Moze naprawde nie wiem, czym jest milosc.

-Moja starsza siostra ostrzegala mnie, zebym nie wychodzila za rycerza - mruknela Myrrima. - Powiadala, ze wojenne rzemioslo wymaga od nich, by sie nauczyli ukrywac uczucia.

-Nigdy nie znalazem zadnych glebszych uczuc. Obrocila glowe i spojrzala na niego znacząco.

-Naprawde? Nawet w Warowni Darczyncow nic nie czules? - Chciala wyprowadzic go troche z rownowagi, by sam poruszył ten najwazniejszy temat. Jednak sadzac po wyrazie twarzy, Borenson poczul sie chyba przede wszystkim dotkniety.

-No to posluchaj - powiedzial lekko drzacym glosem. - Mowisz, ze nie wiem, czym jest milosc. Tak, przyznam ci racje. Nie wiem. Wiecej, uwazam, ze wszystkie te opowiesci o milosci to klamstwa. Matka nienawidzila mnie od dnia, kiedy przyszedlem na swiat. Nawet jako male dziecko dobrze to widzialem.

-Nienawidzila twojego ojca - poprawila go Myrrima. - Aweran mi powiedziala. Ty miales pecha, ze byles do niego podobny.

-Nie. Nienawidzila mnie- stwierdzil, starajac sie panowac nad glosem, co jednak nie najlepiej mu wychodzilo. - Rozprawiala o kochanych dzieciaczkach z innymi matkami, chwaila sie, jak kocha swojego Ivariana, i przygladala sie im, niepewna, czy jej wierza. Ale tylko tak mowila, by nie pomyslaly, ze cos z nia jest nie tak.

-I cos musialo byc nie tak - przyznala Myrrima, rozumiejac, ze jej maz mowi szczerą prawdę i zadne slowa nie zdolaja tego zmienic. Chciala jednak choc troche ulzyc mu w bolu. - Moze

naprawde cie nie kochala. Ale ja cie Kocham.

-Jak to mozliwe? - spytal troche nazbyt glosno. - Jaki mozesz miec pozytek z meza, ktory nie da ci dziecka?

-Taki maz tez moze przydac sie do niejednego. Moze wraz z zona pelic ogrodek i ogrzac ja w lozu. Bedzie sie martwil wraz z nia, kiedy nikt inny nie zwroci uwagi na jej smutek. I wezmie za reke w ostatniej godzinie.

-Ludzie sami sie oszukuja - powiedzial Borenson, jakby niczego nie uslyszal. - Tak bardzo pragna milosci, ze gdy cokolwiek znajda, zaraz udaja, ze to ona. Kobiety biora glupcow za mezow i powtarzaja sobie potem, ze odkryly skarb, ktory caly swiat winien podziwiac. Co za glupota! Nie ma czegos takiego jak milosc. Wszyscy szukaja tylko okazji, zeby sie rozmnozyc! - Urwal, bo az tchu mu zabraklo od szybkiego mowienia.

-Czym jest pozadanie, tez nie pojmujesz? - zapytala Myrrima. - Nie ciagnelo cie do Saffiry? Nie czules go, gdy pierwszy raz mnie spotkales?

-Takie zadze nie maja nic wspolnego z miloscia. W kazdym razie nie z taka, ktorej bym pragnal. Szybko przemijaja.

-Zatem ty szukasz czegos wiecej?

Zawahal sie, jakby nie byl pewien, czy to nie podchwytliwe pytanie.

-Tak. Najlepsza milosc opiera sie na szacunku. Niech i pozadanie z tego wlasnie bierze poczatek, bo gdy ono przeminie, szacunek pozostanie.

-Moj szacunek zyskales - powiedziala Myrrima. - I pozadanie takze. Ale mysle, ze w milosci jest jeszcze cos wiecej.

-Aha! - mruknal, jakby bardzo byl ciekaw, o co tez moze chodzic. A moze tylko szykowal sie do sprzeczki...

-Mysle, ze kazdy rodzi sie wart milosci. Kazde dziecko, chocby nawet kalekie, ma prawo do milosci matki. To oczywiste. Widzac dziecko, odruchowo chcemy ofiarowac mu milosc.

Borenson milczal przez dluzsza chwile. Zastanowil sie gleboko.

-Ty tez zaslugiwales na milosc - powiedziala z naciskiem Myrrima. - I nie twoja wina, ze nie otrzymales jej od matki. Co wiecej, wciaz na nia zaslugujesz. Bo to nie przemija.

Potepiasz tych ktorzy sie zakochuja, i mowisz, ze nie ma ludzkich skarbow dosc wielkich, by warto bylo je Kochac. Ale ludzie sa lepsi, niz myslisz Nawet w tych najpodlejszych zawsze jest cos cennego. Gdy widze Kochankow, to im sie nie dziwie, ale ciesze sie wraz z nimi,

chociaz czasem nie rozumiem, co oni w sobie widza. Ale tez nie musze. Szanuje po prostu tych, ktorzy potrafia kochac.

-Mnie zatem nigdy szanowac nie bedziesz - odparl chlodno Borenson.

-Ale ja juz ciebie szanuje.

-Watpie.

-Poniewaz sam siebie nie zwykles szanowac.

W Borensonie narastala irytacja i zapragnal nagle zmienic temat.

-Dobrze, posluchalem cie i powiedzialem, co chcialas. A teraz ty mi cos opowiedz.

-Mam kilka darow - wyjawila Myrrima. - I nauczylam sie strzelac z luku.

-Poznałem, ze masz dary. Skad wzielas dreny? Skromnosc nie pozwolila jej opowiedziec calej historii. Zreszta Borenson i tak powinien ja niebawem gdzies uslyszec.

-Dostalam od krolowej - odparla, jakby chodzilo o zwykly podarek.

-No to powiedz cos, czego naprawde jeszcze nie wiem - ponowil prosbe Borenson, znowu chlodny i na dystans. Myrrima jednak nie chciala jeszcze konczyc rozmowy o najwazniejszym.

-Dobrze - powiedziala. - Gdy bylam mala, ojciec i matka kochali mnie tak, ze nie zapominali o mnie nawet wtedy, gdy byli bardzo zmeczeni. Pracowali ciezko, zebym miala co jesc, pomagali we wszystkim i chronili. Mialam szczescie, ze przypadlo mi cos, czego ty nigdy nie doswiadczyles. To dzieki nim poznalam milosc. Dowiedzialam sie, czym jest milosc, z pierwszej reki, od ludzi, ktorzy umieli kochac. Nauczylam sie tez, ze romantyczna milosc najlepsza jest wtedy, gdy po rowni w niej pozadania i szacunku.

Najwazniejsze jednak jest poswiecenie. - Zastanowila sie, dlaczego Borenson nie wspomnial o tym, gdy opisywal milosc, ale nagle ja oswiecilo: on o tym w ogole nie wiedzial! - A poswiecenie i oddanie to wlasnie to, czego ci brakuje.

Borenson wciagnal gleboko powietrze i zdawalo sie, ze zaraz zaprzeczy, ale tylko otoczyl ja mocniej ramieniem i zamilkl na dlugo, jakby zdumiony.

Myrrima wiedziala juz, ze trafila w sedno. Borenson potrafil szanowac innych, potrafil ich cenic albo nienawidzic, ale nie rozumial i naprawde, czym jest oddanie okazane innemu czlowiekowi. Tego zimna matka nie mogla go nauczyc.

Przez chwila pomyslala, czy by go nie przeprosic, ale zdecydowala, ze nie powinna tego robic. Niech jej maz zrozumie prawda. Moze nawet dobrze sie stalo, ze zostal eunuchem, i

nawet jeśli czary Binnesmana nic nie dadzą, to i tak nie będzie tragedii.

Myrrima wiedziała, że miłość fizyczna nie przekłada się na miłość duchową i wielu ludzi je myli.

Jeśli uda się jej pomóc Borensonowi zaleczyć te głębsze rany, warte to będzie równie wiele, co wszelkie czary uzdrowiciela.

Ujęła i scisnęła dłoń, która spoczywała na jej brzuchu. Milczeli i trudno było teraz Myrrimie poruszyć to, co najpilniejsze: sprawę podróży do Inkarry. I wspomnieć, że chce towarzyszyć mężowi w wyprawie.

Siedem mil na północ od Carris ujrzeli rumaka bojowego, który szedł z ciagnacymi się po ziemi wodzami i ryl kopytami grunt, jakby szukał w tej martwej krainie czegoś do jedzenia. Scigali go całą milę, nim dał się złapać. Zlepiona krew siersc na zadzie sugerowała, że jego dawny właściciel nie wskoczy już więcej na siodło, zabrali go więc ze sobą.

Zanim dotarli do miasta, Gaborn zdążył odjechać i ludzie zaczęli się rozchodzić.

Bezpieczne już od raubenów drogi w okolicy zaczynały się z wolna zatykać. Żołnierze z Mysterii i Indhopalu kierowali się na północ, by obsadzić i pomóc w naprawie zniszczonych warowni. Zmęczeni piechurzy maszerowali, uginając się pod plecakami. Przerwy między oddziałami wypełniali cywile.

Setki ludzi stały na krawędzi wielkiego krateru pozostałego po czerwiu.

Malzonkowie nie zabawili długo w mieście. Borenson czym prędzej przyjął tuzin darów i oznajmił, że po reszcie stawi się później. Z uwagi na morowe powietrze nie chciał na razie przyjąć darów sił życiowych, by nie narazić darczyńcy na chorobę czy nawet śmierć.

Gdy wyjechali za mury, Borenson zatrzymał się na poboju i wybił młotem dwa zęby z paszczy raubena. Dwa zęby na ich dwoje. Obiecał, że potem znajdzie rzeźbiarza, który je obrobi.

Nie trwało długo, a dotarli do gór Brace, gdzie szarość przechodziła wreszcie w barwy jesieni. Na szczytach białiał świeży śnieg.

Raubenowie wydeptali własny szlak przez góry, ale Borenson i Myrrima woleli trzymać się drogi. Niebawem mieli dołączyć do Gaborna. Myrrima obawiała się tego spotkania i wciąż się zastanawiała, co powie, gdy rycerze zaczną ją wypytywać o rany męża.

21 WAZ

Na szczególną uwagę zasługuje czaszka raubena. Wygląda ona trochę jak łopata i wielu widziało na własne oczy, że raubenowie zakopywali się z jej pomocą w ziemi. Jest to

możliwe dzięki kształtowi trzech wielkich płyt kalcianych, które tworzą "ostrze" Iba. Są one tak grube, że żadna kopia ich nie przeniknie, ale spójne elastyczna chrząstka mogą pod wielkim naciskiem się przesuwać.

Podobnie jak karaczany, raubenowie potrafili dzięki temu wcisnąć się w miejsca, które wydawałyby się po temu o wiele za małe. Raj Chamanuran z Indhopalu widział raz, jak rosły na dwadzieścia dwie stopy rauben wczłapał się pod skalny nawis, który miał tylko siedem stop wysokości.

Te płyty wydają się niezwykle wręcz udatne, chociaż z drugiej strony są też powodem największej słabości raubenów.

Plaskość Iba powoduje, że mózg tych potworów nie jest skryty głęboko, u dorosłego osobnika ledwie stoje pod skórą, w miejscu zaś, gdzie zbiegają się krawędzie owych trzech płyt, jest niewielkie trójkątne pole nie osłonięte kością, które stanowi ich najczulszy punkt. - mistrz Dungiles, O raubenach Z południowych stoków gór Brace droga schodziła znowu na równinę. W nocy szczyty okrył świeży śnieg, ale niżej było tylko chłodno i całkiem bezśnieżnie.

Gaborn zatrzymał się przy trzech topolach szeleszczących złocistymi liśćmi i wraz ze swym Dziennikiem spojrzął w dół na równinę. Maszerowała tam kolumna licząca chyba z sześćdziesiąt tysięcy raubenów, długa przy tym na ponad dziesięć mil i szeroka na osiem do dziesięciu osobników. Niczym szarawy, omijający wzgórza i przekraczający strumienie wód, wycofująca się armia zmierzała ku ruinom starego zamku na Skale Mangana, gdzie nadal wznosił się wysoko dumny posąg samego Mangana.

-Nie myślałam nigdy, że jest ich aż tyle - szepnęła Ioma, która widziała wprawdzie armię raubenów w kamieniach Binnesmana, ale i tak nie była przygotowana na ten widok.

Nawet z tak wielkiej odległości dawało się wyczuć lekkie drzenie gruntu i słychać było słabe posykiwanie potworów. Gaborn patrzył na nie w zamysleniu. Gdzieś tam był zapewne i ten jeden, którego szukał.

Skalbairn i jego rycerze zabili w nocy wielu raubenów, ale poszukiwania wśród zezwłoków niczego nie dały. Aweran przyjrzała się dwóm, które wyglądały dość obiecująco, ale okazały się za małe. A to znaczyło, że przewodnik ciągle żyje.

Wzgórza na południe od gór były suche i prawie nagie. Nocna burza ominęła te okolice i łapy raubenów wzbijały tumany kurzu, w którym polatywały chmury niespokojnych grisów.

Na zachód od owego raubeniego weza jechali w dwóch osobnych grupach ludzie Skalbairna. Jeden oddział, liczący tysiąc zbrojnych, trzymał się sześć mil przed czołem pochodu. Widac było błyski ich hełmów i oręża. Drugi, około półtora tysiąca rycerzy z górnymi, czeladzią i taborami, podążał z tyłu na wypadek, gdyby przeciwnik próbował zawrócić ku Carris.

Gabornowi aż w ustach zaschło. Wyczuwał narastające niebezpieczeństwo.

Raubenowie nie zamierzali tanio sprzedać swojej skóry.

Kazał zagrać na srebrnych rogach.

Gdy ludzie Skalbairna spojrzeli na wzgorza, zaczęli wiwatować, machać tarczami i pochylać kopie. Kilku ruszyło galopem w stronę Króla Ziemi. Gaborn postanowił na nich poczekać, aby wysłuchać, co mają do zameldowania.

-Oddział, stoj! - zawołał do swoich. Jakies pół mili w dół olbrzymowie ciągle wdrapywali się ciężko po zboczu. Jeden z nich ryknął rozgłosnie, zadowolony z zarządzonego wreszcie odpoczynku.

Dzika wpatrywała się w pochod raubenów z prawdziwą radością.

-Krew! - krzyknęła.

-Tak - szepnęła Averan, jak zwykle przemawiać do zaprzyjaźnionych zwierząt. - Załóż się, że znajdziemy tam parę smacznych kasków.

Gaborn obejrzał się na dziewczynkę, która siedziała wygodnie przed czarnoksiężnikiem. Nie widziała właściwie niczego poza raubenami.

-Powiedz mi, czy gdybysmy przejechali wzdłuż kolumny, zdołałabys poznać przewodnika w cizbie? - spytał.

-Gdybysmy byli dość blisko... - odparła Averan, przerażona jednak tym pomysłem.

Gaborn wiedział, że to prawie niemożliwe. Mało kto osmieliłby się podejść do hordy raubenów bliżej niż na trzysta jardów.

-A nie przychodzi ci do głowy, od którego miejsca najlepiej byłoby zacząć szukać?

-Nie wiem, wasza wysokość... Tyle ich jest... Ten musi być ważny... więc chyba będzie na samym przedzie. Albo blisko tyłu.

-Albo w samym środku - mruknął jakiś rycerz za nimi.

-A czy mogłabys go dokładniej opisać? Może moi dalekowidzacy mogliby nam pomóc.

Averan pokręciła głową.

-Obawiam się, panie, że nic więcej już nie dodam. Raubenowie nie mają oczu, więc nie widzą niczego tak jak my. Potrafiłabym poznać go po zapachu... chociaż nie na pewno.

Watpie, czy mam równie dobry wech jak raubenowie.

Gaborn skrzywił się.

-A jeśli go znajdziemy... - odezwała się znowu Averan. - Czy będę musiała jesc go przy wszystkich?

Ktos z tyłu zakaszlał, jakby chciał ukryć chichot.

-Nie - obiecał Gaborn.

Chwile później na drodze rozległ się tetent kopyt i Gaborn obrócił głowę, spodziewając się kolejnego poslanca. Zza zakretu wyjechał młody mężczyzna o włosach koloru słomy. Dosiadał zwykłej, kasztanowatej klaczy i spoglądał z niepokojem na olbrzymów. Zwolnił, mijając ich. Gaborn w pierwszej chwili nie skojarzył, kogo widzi, ale po chwili zauważył zawieszony u siodła kilof i już wiedział.

-Baron Waggit - zaczęli szeptać rycerze.

Młodzian nosił nowe, brunatne szaty i skorzany pancerz, włosy miał związane z tyłu.

A w jego metnych do niedawna oczach lśniło światło... Pewnie nawet własna matka by go teraz nie poznała.

Podjechał do oddziału i przyjrzał się rycerzom, jakby ich widział po raz pierwszy w życiu. Gdy ich mijal, rozległy się okrzyki radości. Zatrzymał się dopiero przed Gabornem, który zaraz wyczuł bijącą od niego won rumu. - Świetnie wyglądasz, baronie Waggit - powiedział Król Ziemi. Waggit z przyzwyczajenia otarł nos rekawem. Nie miał jeszcze okazji nabrac dwornych manier.

-Dziękuję... Dziękuję, panie.

-Zostaniesz u mego boku? - spytał Gaborn.

-Nie... Nie sadzę... Chyba bym nie mógł. Nie jestem prawdziwym rycerzem, jak panowie tutaj... Mam tylko jeden dar, dzięki któremu stałem się normalny. Nie wiem, na co mogłbym się tutaj przydać. Nawet obiadu nie potrafię sobie ugotować, a jakis stajenny będzie mnie musiał nauczyć siodłać konia. Przybyłem tylko, żeby podziękować. Nigdy nie marzyłem... że taki będę...

-Nie jesteś prawdziwym rycerzem? A kto zabił kilofem dziewięciu raubenów? - spytał z uśmiechem Gaborn.

-To był ślepy traf, panie - odparł Waggit i też się uśmiechnął, widząc, że został dobrze zrozumiany. Po chwili zerknął w dół, na kolumny raubenów.

-Jesli nie jako rycerz, to zostan przy mnie jako przyjaciel -zapropozował Gaborn. -
Kucharzenia nauczysz sie w pare chwil, a przy okazji opanujesz moze jeszcze pare innych
uzytecznych umiejetnosci.

-Pewnie tak. Jesli tylko bede mial okazje.

-Dobry z ciebie czlek! - krzyknal ktos z tylu i orszak zaczal wiwatowac na czesc Waggita,
jakby byl on mistrzem walk wszelakich majacym wybawic ich od zla.

Po chwili zza zakretu wylonilo sie dwoje nastepnych jezdzcow: sir Borenson i Myrrima.
Jechali strzemie w strzemie. Przyboczni Gaborna nie zdolali sie powstrzymac i zaraz zaczeli
glosno pozdrawiac rycerza i podziwiac, jak pewnie trzyma sie on w siodle.

Borenson oblal sie rumiencem i pokiwal glowa. Tak do wszystkich i do nikogo.

-A gdybym i ja wyhodowal sobie nowe jaja? Mialbym zapasowe... - rzucil ktos ze
smiechem.

-Jazda konna to tylko polowa sukcesu! - dorzucil inny.

Herold Gaborna zadal w rog na powitanie, zagluszajac na chwile komentarze, wszelako
zgielek ucichl, dopiero gdy Borenson wstrzymal konia i uniosl rece.

-Sluchajcie! - zawolal. - To prawda zaiste! A kazde z tych trzech nowych jest dwa razy
wieksze niz u brytana!

Rycerze zasmiali sie chorem.

-To prawda? - spytal ktorys Myrrimy.

Dziewczyna oblala sie szkarlatem. Nie potrafila dobrze klamac.

-Nieprawda! Ma tylko dwa. Dokladnie takie jak trzeba, ale olbrzymie. Dzwne, ze w ogole
moze chodzic. Chyba mu sie niedlugo nogi pokrzywia!

Znow rozlegly sie smiechy i chichoty.

-Slyszales, sir Sedricku?! - zawolal ktos. - Moze nasz czarnoksieznik moglby i tobie pomoc
z twoim malym problemem?! - Ze jak?! - ryknal sir Sedrick. - Ja nie mam malego problemu!
Smiech zabrzmial z nowa sila, Myrrima zas oslonila twarz dlonia, by ukryc malujace sie jej
na twarzy zaklopotanie.

Sir Borenson sklonil sie z wdziecznoscia Binnesmanowi. Wyraznie pragnal zwrocic uwage
obecnych na kogos innego. Czarnoksieznik usmiechnal sie i skinal lekko glowa.

Rycerze nadal dobrze sie bawili, a Gaborn pomyslal o czarnoksiezniku Hoewellu, ktory

dlugo i wytrwale staral sie skompromitowac Binnesmana i robil co mogl, by dopiac swego, nawet podczas wykladow w Domu Zrozumienia. Moze i sam byl calkiem dobrym czarnoksiężnikiem, ale nigdy nie wezwal dzikiej, a na pewno nie potrafilby przywrocic nikomu meskosci.

-Bedziesz slawny- powiedzial Gaborn, patrzac na Straznika? Ziemi.

Chwile potem nadjechal Skalbairn z dwoma zwiadowcami.

-Panie! - zawolal, sciagajac wodze, ale z wielkiego pedu kon marszalka zatrzymal sie dopiero czterdziesti jardow dalej, tuz obok Gaborna, ktorego rumak omal sie od tego nie sploszl. Oczy Skalbairna Isnily z podniecenia. - Panie! - powtorzyl. - Raubenom noca dokuczyl mroz i snieg i ciagle jeszcze nie doszli do siebie. Slonce nie ogrzalo im jam i ruszyli sie dopiero po swicie. Wciaz ledwo sie wloka. Czekamy na twe rozkazy.

Gaborn zastanowil sie. Kusilo go, by zaatakowac, ale wyczuwal zagrozenie.

Raubenowie nie mieli okazac sie latwa zdobycza.

-Panie! - naglil Skalbairn. - Mozemy ruszac?!

Krol Ziemi przenikal przez kolejne poklady odczuc. Wiedzial juz, ze wielu ludzi polegnie w tym ataku.

Ale jestem Krolem Ziemi, pomyslal. Moja powinnoscia jest chronic podanych najlepiej jak umiem.

Raubenowie oslabli i stracili maginie, ktora nimi dowodzila. Maszerowali na poludnie ta sama droga, ktora przyszli, calkiem jak mrowki, ktore wytyczyly sobie sciezke do slodkiego owocu. Dzień miał potrwać jeszcze dlugo i bylo wiele czasu na lowy, a ludzie rwali sie do walki. Pogoda sprzyjala, podobnie jak i plaski teren. Jednak nikt nigdy nie zaatakowal tak wielkiej liczby raubenow, a w kazdym razie kroniki o tym milczaly. Z drugiej strony, tak dogodna okazja mogla sie juz nigdy nie powtorzyc...

Wszelako zostawal problem strat. Ilu dzielnych rycerzy zginie? Trudno bylo o dokladna odpowiedz, bo zalezalo to od obranej taktyki. I czy bylo ich stac na straty? Jakie jeszcze bitwy beda musieli toczyc w najblizszych dniach?

Na dodatek Gaborn czul, ze kazda chwila przybliza go do godziny zaglady. Nie dosc, ze wielu dzis polegnie, to i nad loma zawisnie niebawem jakies niebezpieczenstwo, i nad dziesiatkami tysiecy mieszkancow Carris. A w koncu nad calym swiatem.

-Do licha, Gabornie, chyba nie bedziesz nas wstrzymywac? - odezwal sie nagle Borenson. - Przeciez jestesmy rycerzami!

Gaborn spojrzal na starego przyjaciela.

-Panie, nie recze do konca za karnosc, jesli nie pozwolisz atakowac. Wielu rycerzy tam w dole slubowalo wiernosc powstalemu niedawno Wilczemu Bractwu i nie przyjmuje od nikogo rozkazow. Gaborn wiedzial juz, co trzeba uczynic.

-Panowie! - powiedzial. - Tysiace raubenow probuja ujsc przed nami do podziemnego swiata! Jesli im na to pozwolimy, za tydzien wroca i obiegną Tide! Nie mozemy dopuscic do nowego Carris!

Przez oddzial przebiegl jakby dreszcz.

-Sam, panie, poprowadzisz atak? - spytal Skalbairn.

Jego ludzie potrzebowali Krola Ziemi, wladcy silnego i madrego, ktory zjawil sie nagle z mrokow przeszlosci. Binnesman ostrzegal jednak Gaborna, by sam nie bral udzialu w walce, chyba ze naprawde nie bedzie mial innego wyjścia. Wszelako w niektórych sytuacjach nie bylo dobrego rozwiazania, tak jak teraz. Wladcy zza sasiednich granic tylko czekali na przejaw slabosci Krola Ziemi. Wybrani wczoraj ludzie patrzyli nań z nadzieja.

Potrzebowal wielkiego zwyciestwa.

A jeszcze bardziej potrzebowal trupa raubena przewodnika.

Zatem wielu ludzi mialo umrzec tego dnia. Dobrych ludzi. Rowniez jego przyjaciol.

Wskazal na wijacego sie w dole ciemnego weza.

-Zabijemy ich wszystkich.

22 ATAK

Nasi wrogowie nauczyli sie nie okazywac strachu, my zas tak wychowamy nasze dzieci, aby nigdy strachu nie czuly. - krol Therengold Orden Obwiesciwszy decyzje o podjeciu ataku, Gaborn zeskoczyl z siodla i dociagnal popreg. Borenson zrobil to samo. Przy szarzy z predkoscia trzykroc wieksza, niz pedzi w cwale kon bez darow, nie mozna byly ryzykowac zadnych luzow w rzedzie. Potem kilka razy wciagnal gleboko powietrze. Niepokoila go troche perspektywa takiego ataku. Owszem, mial pewna reke, dobra do kopii, ale od lat nie walczył z tak mala liczba darow.

Teraz mial tylko jeden krzepy i jeden zwinności. Bez dodatkowych sil zyciowych byl "wojownikiem o zaburzonych proporcjach". Az mu sie troche niewyraznie zrobilo. Rog grajacy wsiadanego zabrzmial w jego uszach dziwnie glosno. Nie po raz pierwszy Borenson zdumial sie, jak strach potrafi wyostrzyc zmysly i sprawic zarazem, ze czlowiekowi robi sie dziwnie zimno...

-Na jaka odleglosc moze widziec rauben? - spytal, patrzac na Averan, i pochyлил sie, zeby uslyszec odpowiedz. Od wiekow wszyscy tylko spekulowali na ten temat.

-To zalezy - odparla dziewczynka. - Wikszosc nie dalej niz stad do tamtego drzewa.

Wyjce widza troche lepiej, a lepniaki prawie wcale. Dobrze widza tylko dalekowidzacy.

-Dalekowidzacy? - spytal Gaborn.

-Ale w tej hordzie nie ma ani jednego - zapewnila go.

-Zatem rauben widzi zwykle na jakies sto piecdziesiat jardow -mruknal Gaborn, sprawdzajac popregi. - Czy oni potrafia policzyc nas po samym zapachu?

Averan pokrecila glowa.

-Nie sadze. Nasz swiat jest dla nich taki obcy... Pelen nowych woni. Wprawdzie kazdy czlowiek pachnie inaczej... ale przy takiej cizbie... Nie, chyba nie.

Gaborn spojrzal na Skalbairna.

-Wiatr wieje rowno ze wschodu?

-Przez caly ranek.

-Zwolaj swoich - polecil Krol Ziemi. - Zaatakujemy raubenow pod wiatr, od tylu.

Zanim sie zorientuja, bedziemy juz przy nich.

Gaborn skoczyl na konia, a marszalek wyciagnal rog i zagral krotki sygnal nakazujacy przegrupowanie.

Myrrima, ktora stala obok Borensona, szybko przygotowala luk. Byla blada z przerazenia.

-Nie zdolasz zabic raubena strzala! - powiedzial jej maz. Spojrzala na niego ze zloscia.

-Dlaczego? Musze tylko trafic w zloty trojkat z taka sila, by strzala weszla w glab razem z brzechwa.

-A zdolasz w ogole trafic w raubena? - spytal Borenson, ktory wprawdzie wiedzial o darach malzonki, ale pamietal tez, ze same dary nie czynia wojownika. Zawsze trzeba jeszcze doswiadczenia.

Paru rycerzy parsknelo na widok luku w rekach Myrrimy, ale poslala im gniewne spojrzenie sugerujace, ze jesli zaraz nie zajma sie swoimi sprawami, to ona sobie na nich pocwiczy.

Gaborn pogonił konia. Za nim ruszył jego Dziennik. Myrrima skoczyła na siodło i nim do nich dołączyła, sięgnęła po strzałę z zawieszzonego na plecach kolczanu.

Binnesman ze swoją dziką trzymał się tuż obok.

Borenson zbierał właśnie wodze w garść, gdy loma złapała go za lokiec.

-Jedno słowo, sir Borensonie - szepnęła. - Twoja żona ma teraz wiele darów. Jak myślisz, dzięki czemu je zdobyła?

-Powiedziała, że to był dar od ciebie... loma uśmiechnęła się dwuznacznie.

-Uczciwie na nie zapracowała. Lukiem. Uratowała mnie, Binnesmana i wszystkich, którzy byli jeszcze w zamku Sylvarresta. Zabiła czarnego glory'ego, a ja odwdzięczyłam się jej za to dwudziestoma drenami.

Borenson był pewien, że loma czeka tylko, aż mu szczeka opadnie. Nie dał królowej tej satysfakcji.

-A czego innego można oczekiwać po kobiecie, która jest moją żoną? - rzucił jakby od niechcenia.

loma uśmiechnęła się, tym razem szczerze.

-Nie wątpię, że we wszystkim jest taka dobra. Nawet w kuchni. Borenson zachichotał, dosiadł konia i pognał po stoku. Za nim został już tylko wóz z drenami i jego straż. Oraz pajeczej postury kaif Feykaald.

Rycerz minal brodzących przez trawy i podzwaniających kolczugami olbrzymów. Śmierdzeli starym tłuszczem i padliną.

Podkowy koni zadudniły pomiędzy starymi olchami. Wyrosłe przez lato koniki polne uskakiwały im z drogi. Z trawy zrywały się żółte motyle. Niebo w gorze było intensywnie niebieskie, a wiatr wiał Borensonowi prosto w twarz.

Jadac, rycerz zastanawiał się, jaka naprawdę jest jego żona. Nawet się nie zająknęła, że zabiła czarnego glory'ego. A przecież trudno się zmusić do milczenia o podobnym czynie.

Było mu dziwnie głupio. Sam zabił tylko jednego raubena, i to niewielkiego.

Potem zaciągnął jego łeb z Mrocznej Puszczy pod zamek właśnie jako prezent dla żony.

Teraz to trofeum wydawało się drobiazgiem.

Przez kilka ostatnich dni porządek świata wywrócił się do góry nogami. Borenson stracił wszystkie swoje dary, ona zaś zyskała ich równie wiele, co on miał kiedyś...

Nawet by mu przez myśl nie przeszło, że ta spotkana przypadkiem na rynku w Bannisferre dziewczyna zabije ktorego dnia czarnego glory'ego, legendarna bestia, ktorej on nawet na oczy nie widzial. Ani ze siegnie po luk i ruszy wraz z nim do ataku na horde raubenow. I jeszcze bedzie chciala jechac z nim do Inkarry.

Moze chce zyskac tym moj szacunek, pomyslal.

Chociaz nie, to nie tak. Przeciez Myrrima nigdy nikogo o nic nie prosila, nie dopominala sie, nie byla gotowa ulegac ani oczekiwac podziwu. Byla twarda kobieta. Twarda na wskros i z natury.

Borensonowi wydalo sie, ze chyba wpada wlasnie w jakas pulapke. Powiedzial zonie, ze jego zdaniem milosc sklada sie po rowni z zauroczenia i szacunku. Owszem, podobala mu sie od pierwszej chwili, od kiedy ja spotkal. A teraz... wlasnie zaczynal ja rowniez szanowac.

Nad nim przemknely trzy grisy, czarniejsze niz nietoperze. Raubenowie suneli z lomotem przez trawiasta rownina otoczeni cala chmara tych malych latajacych stworzen. Z dala wygladali jak szary waz, jednak z bliska slychac bylo, ze waz ten posykuje, jakby ze zlosci.

Nieco dalej armia Skalbairna skrecala, by polaczyc sie z oddzialem Wilczego Bractwa.

Borenson niepokoil sie troche o swojego wierzchowca. Srokata klacz miala wprawdzie jeden dar krzepy, jeden zwinnosci i dwa dary metabolizmu, ale okazala sie narowista. Chociaz brala juz udzial w bitwie z potworami, w poblizu raubenow zaczela rzucac lbem i probowala zmienic kierunek. To moglo znacznie utrudnic walke.

-Nie brykaj - syknal na nia Borenson. - Nie boj sie ich. Mnie sie boj. - Trzepnal klacz wodzami miedzy uszy i sprobował nakierowac ja gdzie trzeba, ale bydle tez mialo sporo sily i nie dawalo sie latwo opanowac. W koncu ruszylo niechetnie za reszta jazdy.

Myrrima wywiozla z Carris helm i kolczuge Borensona, ale z jednym tylko darem krzepy dziwnie mu one ciazyly. W koncu dolaczyl do oddzialu Skalbaima. Wielu juz mialo w dloniach kopie. Na czekajacych w poblizu wozach lezalo ich jeszcze kilka tysiecy.

Gaborn takze sie juz uzbroil w jedna z nich. Borenson wyciagnal reke, widzac podjezdzajacego don giermka z ciezkim orezem. Byla to bojowa kopia z zelaznym grotem, ktory starannie naostrzono. Jesionowe drzewce zostalo wygladzone i naoliwione, by dobrze weszlo w cel, a w regularnych odstepach ciemnialy na nim grube, zelazne pierscienie.

Borenson zwazyl kopie w rece. W ustach mu zaschlo. Czy na pewno sobie z nia poradzi? Czy nie jest za slaby?

Rozejrzal sie po szeregach. Niektorzy wzeli po dwie kopie. Zamierzali zatknac jedna z nich w ziemi, by po pierwszej szarzy wrocic po nia i szybko znow zaatakowac.

Tydzien wczesniej Borenson postapilby tak samo.

Nikt nie gadal po proznicy, nie zagrzewal do boju. Tutaj nie bylo nieopierzonych mlodzikow. Wszyscy ci ludzie walczyli juz pod Carris i pamietali, co to znaczy ruszac na raubenow. A skoro przezyli, znaczylo to, ze wiedza, jak zabijac te potwory.

Niewielu ludzi moglo sie tym pochwalic.

Zagraly rogi. Gaborn jeszcze przyspieszyl i wysunal sie na czolo calej armii. Do wroga zostala im prawie mila.

Objechali kolumne, kierujac sie ku zachodowi. Przecieli plytki row wyzlobiony tysiacami raubenich lap. Miejscami ziemia zostala zdarta nawet na cztery do pieciu stop.

Kamienie, szczatki krzewow i drzew tworzyly na dnie jednolita mase.

Borenson wyobrazil sobie, jak z czasem row wypelni sie woda, pojawia sie w nim zaby i ryby, az za kilka pokolen ludzie beda przychodzic tu latem, by szukac na plicznach utrwalonych w glinie odciskow potwornych lap.

Zdalo mu sie, ze nawet jego serce bije w rytm uderzen kopyt wierzchowca.

Horda raubenow przesuwała sie juz po lewej, jednak Gaborn chcial uderzyc dokladnie pod wiatr. Caly czas uwaznie obserwowano wroga na wypadek, gdyby probowal zaatakowac.

Ku zdumieniu Borensona krol ciagle zwlekal...

Myrrima jechala obok meza. Nic nie mowila, tylko sciskala mocno luk z nalozona strzala. Dlon Borensona na drzewcu kopii pocila sie coraz bardziej.

Z pobliskiej nory wytknely mordki dwa borsuki. Musialy je zaniepokoic drgania ziemi. Czujnie sledzily pochod raubenow.

Potwory sunely zas dalej, ogromne i straszne. Jedna sciana cielsk wiekszych niz najroslejsze slonie. Borenson ledwie mogl juz wytrzymac. Jako dziecko czesto wyobrazil sobie, ze rusza z kopia na raubena, gora na dwa... A tu byly ich tysiace.

Sir Hoswell trzymal sie nieco z tylu. Z ciemnymi oczami i wielkimi wasami przypominal wydre. Usmiechnal sie do Myrrimy.

-Tylko spokojnie. Wcale nie tak trudno zabic raubena. Pomysl, ze to po prostu cel, i to bardzo duzy. Staraj sie mierzyc w zloty trojkat. Albo poczekaj, az uniesie sie taki na tylnych lapach i strzelaj miedzy plyty pancerza brzuszego. Poza tym nie trac strzal, nie warto. Nigdy nie uda ci sie wpakowac strzaly pod takim katem, zeby przebila miekkie podniebienie.

Myrrima nie odpowiedziała.

Napiecie narastalo i niektorzy probowali je rozladowac zartami.

-Znajdzie sie jakies malenstwo dla sir Cedricka?

-Tu nie ma takich! - odkrzyknal ktos. - Ale widzialem jednego kulawego!

-A ja dam sztuke zlota kazdemu, kto zlapie w zeby grisa! I dwie, jesli go zje!

Tradycja nakazywala, by stawiac smierci czolo tak wlasnie, odwaznie i z usmiechem.

Jednak Borenson nie mial jakos humoru. Nie rozumial, dlaczego Garbom zwleka z atakiem. Jechali juz ladny kwadrans, a na dodatek wzbity przez horde pyl i kurz wialy im prosto w twarze. Jeszcze troche, a przytka im gardla. Nie mowiac o godzinach, ktore trzeba bedzie strawic na czyszczenie kolczugi.

A przeciez wszystko przemawialo za natychmiastowa szarza. Raubenowie nie doszli jeszcze do siebie po zimnej nocy, pole bylo rowne, ziemia sucha, malo roslo w okolicy drzew, braklo tez prawie skal. Doswiadczenie weterana nakazywalo dazyc do walki... lecz Gaborn widzial to po swojemu.

Po formacji nagle jednak rozszedl sie rozkaz, by szykowac sie do boju, ale zeby nikt nie probowal wysforowac sie przed krola.

Atakowac dopiero na jego rozkaz. I zadnych rogow ani okrzykow. Ugrupowanie ma byc glebokie na trzech jezdcow...

Wojsko rozluznilo szyk, tak by kazdy mial dziesiec stop do sasiada. Borenson zajal miejsce w pierwszym szeregu i czekal. Dluzylo mu sie to czekanie, szcieszliwie klacz przestala sie wreszcie buntowac.

Nie bylo zadnego sygnalu ani rozkazu, jedynie nagle wszyscy ujrzeli, ze ich krol rusza ku hordzie. Wysforowawszy sie o jakis tuzin jardow, uniosl reke, przypominajac, aby nikt go nie wyprzedzal. Powsciagnal troche wierzchowca, ale nadal zblizal sie do wroga, ktory ciagle nie reagowal. Raubenowie chyba rzeczywiscie nie mieli pojecia, ze sa atakowani...

W odleglosci tysiacja jardow Gaborn znow przyspieszyl i ruszyl na szarawego weza pod katem czterdziestu pieciu stopni. Opuscil kopie. Wszyscy rycerze natychmiast zrobili to samo.

Klacz Borensona calkiem zmienila zachowanie. Biegla teraz tak plynnie i pewnie, ze w ogole nie mial problemow z utrzymaniem grotu kopii na jednym poziomie. Czekal na chwile, gdy przeciwnik w koncu zareaguje.

Gdy do celu zostało pięćset jardów, Gaborn pogonił konia do galopu. Wierzchowiec Borensona przeszedł sam siebie. Nagle okazał się szalenie odważny. Szyk nieco się poszarpał, gdy lepsze konie wyszły przed linię.

Borensen poszukiwał wzrokiem celu. Dudnienie kroków bestii głuszyło prawie tętent kopyt, w gorze z piskiem przemykały grisy. Raubenowie rosli coraz bardziej, lecz nie odwracali ciągle bezokich łbów ku atakującym, nie wywijali wyrostkami czuciowymi.

W głębi pochodu błysnął szkarłatny pancerz magini. Ale nie było szansy jej sięgnąć.

Borensen wybrał w końcu raubena ze skraja i poprawił uchwyt na kopii.

Czas jakby zwolnił... Słychać było tylko uderzenia kopyt. Kopia ciążyła w dłoni, ale z jednym tylko darem krzepy nie można było oczekiwać cudów. Mogł tylko liczyć na wprawę.

Borensen dostrzegł kątem oka, jak koniki polne i motyle pierzchają spod kopyt.

Przygotował się na uderzenie. Jeknął nad swym szalenstwem. Co go opętało, żeby się tu pchać...? Jeśli chybi i spadnie z siodła, to marny jego los...

Zdławił przerażenie i zaczął chichotać. Trzysta jardów... raubenowie ciągle nie reagowali... Sto pięćdziesiąt... teraz niektórzy obrocili łby.

Jednak jazda w cwałę nadciągała tak szybko, że bestiom została już tylko chwila...

Wybrany przez Borensona rauben spróbował się zatrzymać. Wzbijając tuman kurzu, wparł łapy w ziemię i unosił "młot na bohaterów". Do uchwytu oreza miał przywiązany kawał ludzkiej skóry. Z grzbietowego pancerza potwora sterczał wbity nieszkodliwie pocisk z balisty.

Z lewa i prawa dały się słyszeć trzask kopii i kości, krzyk ludzi, rzenie koni i wycie raubenów.

Rauben z młotem otworzył paszcze... Tak właśnie trzeba, pomyślał Borensen.

Poprawił nieco ustawienie kopii i już był prawie pod potworem. Mignęły kryształowe zębiska i szary bok.

Wrzucił kopie w złoty trojkat i poczuł, jak jej grot przebija chrzęstne spojenie płyt kostnych. Nic już nie mogło go powstrzymać.

Rauben syknął i machnął młotem, ale był to bardziej śmiertelny odruch niż mierzony cios. Borensen zdolał się uchylić i mordercza brzoźna przemknęła mu nad głową.

Nagle z boku pojawił się kolejny przeciwnik. Klacz Borensona zarząła i zgubiła krok.

Przewrocila sie, wyrzucajac rycerza z siodla.

Przez krotka chwile poczul smrod raubeniego oddechu... i upadl na ziemie z takim impetem, az dech mu zaparlo. Wszystko go bolalo, ale wiedzial, ze musi wstac.

Sprobowal sie podeprzec. Przez glowe przebieglo mu, zeby poszukac mlota i jak najdrozej sprzedac swoja skore. Jednak braklo mu darow we wlasciwych proporcjach. I nie mial dosc sily...

Nagle uslyszal nadciagajacego raubena i z trudem przetoczyl sie na plecy...

Bestia byla niemal nad nim. Blyskala zebami w sloncu, wyrostki wily sie jak weze.

Uniosla masywne szpony.

Zagrala cieciwa. Strzala mignela tylko i zaglebila sie cala w zlotym trojkacie.

Borenson obrocil glowe. Myrrima stala niecale dziesiec stop za nim. Rauben cofnal sie, jakby szukal ucieczki. Kolejna strzala. Bestia stracila rownowage.

Z polnocy nadciagal z sykiem trzeci rauben, tym razem pokryty plomienistymi runami. Poprzedzala go fala odurzajacego smrodu, ktory dlawil w gardle.

Borensonowi zdalo sie, ze ktos prysnal mu kwasem w oczy.

Ledwo co widzac, dostrzegl jeszcze, jak Myrrima z krzykiem wscieklosci wypuszcza kolejna strzale.

23 DOBRY CEL

Lucznik, ktory nie potrafi wystrzelic w minute dziesieciu strzal, winien zostac przeniesiony do zwyklej piechoty. - z regulaminu wojsk Heredonu Myrrima zamarla na mgnienie oka, gdy jej strzala uderzyla w kosciana plyte na lbie raubena. Drzewce peklo, nie czyniac stworowi krzywdy. Szybko siegnela do kolczanu, osadzila strzale, naciagnela cieciwe. Z napiecia ledwie mogla ustac, nogi miala jak z waty.

Nawet przy tylu darach czula, ze zaklecia magini pala zywym ogniem. Huczalo jej w uszach, oczy zachodzily lzami. Z trudem zdolala wycelowac.

Wypuscila strzale. Uderzyla dokladnie w zloty trojkat szkarlatnej magini. Jednak ta bron nie zabijala od razu, jak kopia. Czlowiek, ktoremu ktos igle wbilby w mozg, tez musialby zginac, ale dopiero po paru chwilach.

Magini uniosla krystaliczna laske. Wycelowala ja i w powietrzu pojawila sie chmura ciemnosci, ktora niczym zywy cien runela na Myrrime. Luczniczka zdolala odskoczyc. Obok cos huknelo, jakby wielki glaz spadl na ziemie.

Nagle tuż za nią pojawił się sir Hoswell. Jego łuk zadzwieczał i druga strzała zniknęła aż po lotki w złotym trojkacie potwora.

Rauben ryknął wściekle i zaatakował, ale zatoczył się i łapy się pod nim załamały.

Ruwał na ziemi i tylko powietrze wydostawało się spazmatycznie przez szczeliny oddechowe.

Myrrima obejrzała się na łache trawy wypalona przez dziwny, mroczny pocisk magini.

Trafiony nim człowiek niechybnie musiałby zginąć.

Tymczasem raubenowie umykali przez pobojowisko. Myrrima pogroziła im pięścią.

-Uważaj! - krzyknął Hoswell, wskazując na jednego z potworów z lewej.

Myrrima wypuściła strzałę, która nie chybiła. Rauben zarył mordę w ziemię, jakby szukał czegoś pod murawą. Za chwilę miał być martwy.

-Dobra robota - powiedział Hoswell i puścił się w kierunku cizby przeciwników.

Większość raubenów zareagowała na atak, po prostu przyspieszając kroku.

Trzymający się koleiny waz sunał coraz szybciej.

Myrrima rozejrzała się wokół. Niemal wszędzie rycerze porzucili wierzchowce i walczyli pieśzo, często tylko z toporami w dłoniach. Daleko z pomocnej strony pola łopotał proporzec Gaborna, razem z Królem Ziemi walczyła zielona kobieta.

Skutkiem przyjęcia darów metabolizmu wszystko zdawało się dziać bardzo wolno.

Podążając za Hoswellem, Myrrima przystanęła na moment, żeby ustrzelić kolejnego raubena.

Bestie gnały najszybciej, jak potrafiły, łuczniczce wydawało się jednak, że ledwie przebierają łapami.

Przy kolejnym strzale znowu chybiła.

-Nic nie szkodzi - odezwał się Hoswell. - Przy tylu darach to żadne ryzyko.

Zawsze zdązysz uciec przed atakującym raubenem.

Myrrima uspokoiła się na te słowa. Siegnęła po kolejną strzałę, wycelowwała niespiesznie. Potwór był już bardzo blisko, otworzył paszczę, pokazał zęby... Łuczniczka przyklekła, szybko wypuściła strzałę w miękkie podniebienie raubena i bez trudu uskoczyła przed

szarującym przeciwnikiem.

Rauben upadł po chwili z łomotem i Myrrimie serce załomotało znowu w piersi, ale już nie tak mocno jak wcześniej.

Zabijanie zwykłych wojowników raubenów nie było w sumie takie trudne. Przez chwilę kusił ją, żeby złapać młot Borensona i ruszyć z nim do walki, ale opanowała się.

Lepiej zaufać hakowi.

Wiedziała jednak, że każdy błąd może ją w tej walce kosztować życie.

24 BOGACTWO NARODÓW

Bogactwa narodów nie mierzy się złotem zamkniętym w skarbcach, ale czujnością tworzących te narody ludzi. - radca Farah Magreb, król dawnego Indhopalu
Zastanawiające, ile stary człowiek może się dowiedzieć w jedno popołudnie, jeśli tylko ma otwarte oczy i nastawione uszy. Trzy mile od pola bitwy Feykaald patrzył na szarżę rycerstwa Rofehavanu... oraz na wozy, które jechały tuż obok. Jeden szczególnie zwracał jego uwagę: ten z zawartością skarbcza Gaborna. W odróżnieniu od pozostałych nie był zadaszony, jedynie okryty impregnowanym płotnem. No i strzegła go spora grupa gwardzistów.

Kaif wiedział, że musi się w nim kryć coś naprawdę cennego. Może tylko szaty i klejnoty lomy, chociaż zapewne nie. Miał nadzieję, że nie...

Gdy bitwa rozgorzała w najlepsze, wszyscy wozacy i strażnicy wdrapali się jak najwyżej, żeby nie uronić niczego z widoku, i Feykaald mógł się bez obaw zainteresować tym, co dla niego było najważniejsze. Niemniej przyznać musiał, że bitwa była jak z dawnych mitów i niebawem ona również stanie się legendarna.

Mijając wóz, kaif unosił lekko łaskę płotno okrywające dziwne pudła i serce mu zabiło. Niewiele widział, ale poznał cedrowe skrzynki z Indhopalu. Mieszkańcy Polnocy robili je raczej z debu. Na dodatek Feykaald sam pomagał pakować te skrzynie i nie miał żadnych wątpliwości, co jest w środku: drewny Baja Ahtena.

Uśmiechnął się mimowolnie i opuściwszy płotno, dalej jechał spokojnie obok wozu.

Jeden ze strażników obejrzał się na niego i południowiec pokazał głową na pole bitwy.

-Nieźle im idzie, co?

Gwardzista odwrócił się.

Pod płotnem spoczywało pięć skrzyn, czyli prawie dwadzieścia! tysięcy drewnów!

Gaborn ciągle posiadał prawie połowa skarbu jego pana, Raja Ahtena!

Feykaald zastanowił się przelotnie, czy nie zamordować strażników i nie uciec z wozem, ale uznał, że nie ma żadnych szans. Nie powinien w ogóle o tym myśleć.

Gaborn wyczułby świetnie, że jego poddani znaleźli się w niebezpieczeństwie.

Trzeba było obmyślić lepszy plan.

25 CAŁKIEM NOWY SZACUNEK

Ostry miecz, zły pies i śmiała zona to najlepsze, co może się trafić mężczyźnie. - powiedzenie z Internooku Borenson dzwignął się na kolana i zaczął pełznąć dalej. Nic nie widział, a słyszał tylko trochę: rzenie koni, syk uciekających raubenów. Starł się wstrzymać oddech. Zaklecie magini dość mu już dokuczyło. W uszach szumiał mu wodospad i nawet na czworakach z trudem utrzymywał równowagę. Łzy płynęły z oczu, w nosie paliło, jakby gęstego dymu się nawdychał.

Ból był wręcz obezwładniający. Poznał już to zaklecie w Carris, ale nigdy nie dostał nim prosto w twarz, i to z pięćdziesięciu stop.

Pozostało pełznąć, jak tylko się da. Gdyby jakiś rauben wybrał go sobie na obiekt ataku, to niech ma chociaż do czynienia z ruchomym celem.

Kilka kroków dalej odetchnął nieco bardziej czystym powietrzem i z wymiotował całe śniadanie. Przesłonił nos rekawem i parę razy głębiej odetchnął. Wciąż śmierdziało, ale jakby trochę mniej, chociaż kaszlał tak, jakby miał płuca wypluć. W końcu pozbierał się niepewnie na nogi i ruszył biegiem.

Czy tak zginał ojciec? zastanowił się przelotnie. Współczuł mu z całego serca...

Po dłuższej chwili otarł łzy i rozejrzał się po polu bitwy. Wspiął się na małe wzniesienie odległe ledwie sto jardów od rowu wydeptanego przez raubenów.

Wszędzie trwała walka. Spieszeni Władcy Runów rzucali się na potwory z toporami i młotami bojowymi. Większość skruszyła kopie.

Niemal połowa potworów leżała pokotem. Reszta uciekała na wschód.

Na ich tyłach szalał oddziałek olbrzymów. Ciosami młotów łamali raubenom nogi, rycerze zaś dobijali leżące potwory.

Nigdzie nie było widać Myrrimy, a na miejscu ich niedawnej potyczki piętrzyły się cielska aż pięciu martwych raubenów, wśród nich i szkarłatnej magini.

Skądś pojawiła się klacz Borensona. Podbiegła do niego, wlokąc wodze po ziemi.

Szybko skoczył na siodło.

Potwór, którego zabił, musiał skonać błyskawicznie, gdyż nie próbował nawet wyciągnąć kopii, która dziwnym trafem nie była skruszona. Opanowując rzucającą łbem klacz, Borenson podjechał do ubitego raubena i wyrwał orez z jego czaszki.

Znow uzbrojony pogonił za przeciwnikiem. Po drodze minal z tuzin martwych lub konających raubenów. Dopiero gdy dotarł do przeciwległego brzegu rowu, dostrzegł Myrrime. Odległa o pół mili brała udział w poscigu za tysiącami uciekających raubenów. Na cel wzięła sobie kolejną szkarlatną maginię. Za nią co kon wyskoczył gnal sir Hoswell.

Myrrima pogoniła konia i wypuściła w biegu strzałę, która ugodziła w tylną łapę magini.

Potwór potknął się, padł na brzuch, zaraz jednak ryknął i unosił swoją kryształową łaskę...

Złowrogie magiczne narzędzie zapulsowało blaskiem i buchnęła z niego chmura zielonego dymu.

Myrrima wstrzymała konia w tej samej chwili, gdy Hoswell poraził potwora strzałą wymierzona idealnie w złoty trojkąt. Maginię przetoczyła się szpatycznie na bok.

Para jeźdźców zawróciła zaraz, by nie dać się ogarnąć zielonym oparom. Pochyleni nad konskimi karkami skierowali się w stronę Borensona. Konająca maginię upuściła łaskę, jej łapy zadrzały i już było po niej.

Borenson sciągnął wodze. Jadący obok niego barbarzyńca z Internooku patrzył na Myrrime z nieklamany podziwem. Nosił płaszcz z foczej skóry, włosy miał zaplecione w warkoczyki. Lewa część twarzy pomalował na pomarańczowo. W dłoni trzymał monstrualnych rozmiarów topór bojowy ze śladami granatowej raubeniej posoki.

Podał Borensonowi srebrną manierkę i wskazał broda na Myrrime.

-Gdybym miał ogara w polowie choć tak odważnego jak ona, nigdy nie musiałbym polować. Powiedziałbym słowo i sam by mi przynosił niedzwiedzia na obiad.

Borenson pociągnął z manierki. Zawierała miód pitny, który smakował mu jak ciepłe szczyny, ale przynajmniej splukał resztki wymiocin.

-A tak - mruknął, czując się ku własnemu zaskoczeniu niesamowicie dumny. Taka zona mu się trafiła!

Rycerze i wojownicy zaczęli wiwatować. Atak skończył się wielkim sukcesem.

Resztki hordy raubenów umykały na południe. Myrrima podjechała z błyszczącymi oczami.

-Strzały mi się skończyły - rzuciła, ciągle w euforii.

Borenson pamiętał, że w kolczanie miała ich przed bitwą co najmniej trzy tuziny.

Rozejrzał się i dostrzegł ponad dwanaście raubenich trupów leżących w okolicy.

Podczas gdy on zabił tylko jednego przeciwnika, Myrrima i sir Hoswell zebrali obfite zniwo.

Ona mnie w ogóle nie rozumie, pomyślał nagle. Jak prawie wszystkie kobiety chce miłości i uważa, że mężczyzna nie może kochać naraz więcej niż jedną kobietę.

Dziwne. Mówiła, że wojownicy nie potrafią uwalniać swoich uczuć, ale że tego właśnie oden oczekuje... Lecz to nie tak. Owszem, oczekiwała, że będzie ją kochał. Ale tylko ją jedną i żadnej innej...

Borenson zaś zwykł myśleć o kobietach tak samo, jak myśli się o daniach podczas uczy. Jedna może być jak rumiany bochen chleba, inna jak mocne wino, trzecia niczym szynka niedzwiedzia, czwarta - słodkie ciasto...

Kto chciałby podczas uczy zadowolić się jednym daniem? Jasne, że nikt. A jeśli na zwykłej biesiadzie nie sposób zapanować nad apetytem, to co dopiero mówić o całym życiu?

Oto problem. Każda kobieta chce być tą jedyną. Jednak czy potrawa ma prawo rozkazywać temu, kto ją spożywa? Absurdalny pomysł...

Uczucia, które żywił wobec Saffiry, nie zniknęły. Wiedział, że w żadnym razie nie wygasną do końca. Nigdy dotąd nie pozadał tak bardzo żadnej kobiety i sądził, że drugiej takiej już w życiu nie spotka. To nie była tylko żądza, ale też oddanie... I bolesne wręcz niespełnienie...

Tyle mogła zdziałać wielka uroda dziewczyny. Gdy jeszcze żyła, ze wszystkich sił chciał jej służyć. Byłby to najszczytniejszy cel jego życia. Zawsze marzył, że spotka kogoś tak doskonałego.

Jednak mimo wielkiego zauroczenia, Saffira nie budziła jego szacunku, nie mógłby w pełni oddać jej swego serca. Niemniej całkiem inaczej zaczął odnosić się do Myrrimy. Nawet w części nie pozadał jej teraz tak jak wcześniej. Wobec Saffiry była niczym, ale nabrał do niej wiele szacunku. Gotów był uznać, że o ile Saffira dałoby się porównać do najprzedniejszego wina, o tyle Myrrima byłaby jak danie główne. Sycące i apetyczne.

I tak, gdy wróciła po zabiciu magini, a barbarzyńca zaczął ją głośno wychwalać, Borenson poczuł się nie tylko dumny. Urosł w nim szacunek, jakim nigdy żadnej kobiety jeszcze nie darzył. Tyle że nie wiedział, czy nie wyniknie z tego jakaś bieda...

Z południa rozległ się dźwięk rogu. Sygnał do przegrupowania. Ludzie krzyčeli coś do siebie ostrzegawczo i gnali pedem ku heroldowi. Grupa olbrzymów ryknęła i też podążyła w tym kierunku.

Atak Gaborna rozbił tylną część raubeniego weza. Jego przednia, ciągnąca się na mile część wciąż wyla się nietknięta. Widac było, że tysiące potworów zaczynają zwrot ku poboju. Rozwinęły się na jakieś pół mili w szerz i na dwadzieścia do trzydziestu szeregów głęboko. Wyglądało to niezwykle groźnie.

Heroldzi Gaborna dęli w rogi, ile tylko powietrza im w płucach starczało.

Kilkuset rycerzy zaczęło się formować w luźny szyk.

-Oni chyba jeszcze nie skończyli! - zawołał radośnie barbarzyńca.

Jazda ruszyła na przeciwnika. Borenson krzyknął i też pogonił wierzchowca. Jeden z pierwszych dołączył do Gaborna, który jednak wcale nie palił się z atakiem.

Wiedział, że tylko jeden na dwadzieścia jego ludzi ma jeszcze kopie.

Z zachodu nadjechał Binnesman. Przed nim siedziała Averan, a Dziennik Gaborna trzymał się jego boku.

-Oni wracają, żeby zjeść maginie - ostrzegła Gaborna dziewczynka. - Chca zjeść wszystkich, którzy zgineli.

Borenson nigdy nie widział, jak raubenowie pozerają swoich zmarłych, ale wiele o tym słyszał. Wybierali mózgi i gruczoły z pachwin. Czasem zjadali nawet pobratymców w całości.

-Nie możemy im na to pozwolić, panie - powiedziała stanowczo Averan. - Wśród trupów może być przewodnik.

Gaborn zmarszczył brwi. Zaskakujący atak z flanki to jedno, ale teraz oczekiwano od niego, że bez należytego uzbrojenia uderzy od czoła na gotową do boju formację tysięcy raubenów.

Spojrzał na potwory i nagle oczy mu zablysły.

-Trzymać szyk! - zawołał. - Nie pozwolimy im na te ucztę!

Raubenowie stali murem, cielsko przy cielsku. Ci, którzy wcześniej uciekli przed szarżą, zbierali się z wolna na tyłach. Pokazali się też ich zwiadowcy. Unosili wysoko lby i poruszali żywo wyrostkami. Byli zbyt daleko, żeby zobaczyć wojsko Gaborna, ale won ludzi mogli wyczuć.

Powietrze zrobiło się dziwnie ciężkie, jak przed burzą. Borensonowi krew huczała w uszach. Wiedział już, że to nie koniec, ale dopiero początek bitwy.

Nie trzeba bac sie meza zbrojnego i w pancerzu, jesli nie ma on serca do walki.-Erden Geboren Averan przyjrzała sie szeregom raubenow i wyczula, ze sprawa przybiera niepokojacy obrot. Zwiadowcy podchodzili ostroznie, zatrzymywali sie co trzy kroki, stawali na tylnych lapach i krecac bezokimi lbami, wprawiali wyrostki w ruch. Wrog byl wyraznie niespokojny, ale i zdeterminowany. Wydawalo sie, ze armia ludzi nie zdola stawic mu dlugo oporu. Gdy tylko raubenowie poznaja skromna liczbe i rozmieszczenie oddzialow Gaborna, bez wahania rusza do ataku.

Krol Ziemi nie byl pewien, jaka wobec takiej perspektywy taktyke obrac.

-Niebawem zaatakują - ostrzegła go Averan. - Jesli chcesz ich, panie, powstrzymac, zabij nowa dowodzaca.

Gaborn spojrzal z troska na mase raubenich cielsk.

-A ktora to?

Pytanie zdumialo Averan, gdzys dla niej sprawa byla oczywista. Ale ona patrzyła na horde podobnie jak rauben.

-Ta magini posrodku szyku. Ukrywa sie za dwoma zolnierzami. Wskazana bestia byla wielka i lsnila cala od ognistych runow.

W lapie trzymala wielka czerwona laske. Averan zdawalo sie, ze rozmiary potwora i ukklad runow na jego pancerzu powinny jasno dawac wszystkim do zrozumienia, ze oto maja przed soba dowodzaca ta armia maginie, ktora zastapila polegla pod Carris Tkaczke Bojownicke. Zapach podpowiadal, ze nazywa sie ona Krew Na Kamieniu.

Niemniej Gaborn wciaz wypatrywal magini gdzies po prawej, gdzie szereg pomniejszych szarz pozorowalo centrum dowodzenia. Krew Na Kamieniu dobrze sie ukryla.

Krol Ziemi zaklal z bezradnoscis. Ja tu znalezc to najwazniejsze bydle? Nie mial juz wiele czasu na podjecie decyzjis. Niemal wszyscy wojownicy gotowali sie do ataku.

Za nimi ustawilo sie osmiu spryskanych granatowa krwia olbrzymow. Dwoch zginelo w pierwszej fazie bitwy.

Averan obejrzała sie przez ramie na dzika, ktora buszowala lakomie pomiedzy martwymi raubenami. Czesc z nich wlasnorecznie wczesniej zabila.

-Panie! - zawolal Borenson, przepychajac sie z wierzchowcem przez cizbe. - Moze by strzalami? Mamy ludzi ze stalowymi lukami. - Lukami? - spytal Gaborn. - Erden Geboren nigdy nie korzystal z lucznikow.

-Ale nie mial tez lukow ze stali Sylvarrestow.

-O tym nie pomyślałem - mruknął nerwowo Gaborn. - Myślisz, że to coś da?

-Myrrima i Hoswell zabili ze czterdziestu samymi strzałami. Averan ledwie mogła sobie wyobrazić Myrrime pokonująca tuzin raubenów. - Lucznicy! Do mnie! - krzyknął Gaborn.

Ponad stu wojowników wyjechało przed czoło formacji. Niektórzy nie spodziewali się, że luki przydadzą się w tej potrzebie, i nie nałożyli ciecwi, niemniej wszyscy byli potężnymi Władcami Runów i poruszali się tak szybko, że Averan ledwo mogła nadążyć za nimi wzrokiem. Nie minęła chwila, a większość zdążyła już osadzić strzały.

-Wasz cel to ta wielka magini z czerwoną łaską - rozkazał Gaborn. - Ustrzelic.

Natychmiast.

-Trzeba też zabić zwiadowców, zanim podejda dość blisko, żeby nas dostrzec - podsunęła Averan.

-Kopijnicy! - zakrzyknął Gaborn i dwie setki rycerzy wyjechały na przedpole.

Konie przebiegały niespokojnie kopytami.

Zagrał róg i jazda runęła na raubenów. Zanim zwiadowcy dojrzeliby, co im grozi, i zdążyli się cofnąć, rycerstwo wytłukło ich do nogi. Lucznicy zaś podjechali na sto jardów pod szeregi raubenów. Zwykli żołnierze wroga wysunęli się do przodu, jakby chcieli własnymi ciałami osłonić maginie.

Nie pomogło. Grad strzał zasypał Krew Na Kamieniu i tych raubenów, którzy znaleźli się w pobliżu. Magini zrobiła jeszcze krok do tyłu i padła martwa na stojącego za nią żołnierza.

Jej podwładni zareagowali z pewnym opóźnieniem. Też cofnęli się odrobine i stanęli, machając przednimi kończynami, ale na tym poprzestali, jako że nie dostali żadnego rozkazu.

Chwilowo zresztą groźniejsi okazali się raubenowie z tylnych szeregów, którzy zaczęli miotać na jazde glazy i kamienie. Lucznicy i kopijnicy zawrócili wierzchowce i ruszyli galopem ku swoim. Wprawdzie raubenowie rzucali na oslep, ale kamieni było tyle, że niektóre znajdowały cel.

Pol tuzina luczników zginęło na miejscu.

Szczególnie duży glaz uderzył jednego z heredonskich rycerzy ledwie dwiesięć jardów od formacji raubenów. Trafił w ramię i zrzucił meza z siodła. Averan myślała przez chwilę, że już po nim. On jednak poruszył się i wstał, chociaż z bezwładną prawą ręką.

Musiał też uszkodzić sobie biodro przy upadku, gdyż ledwie trzymał się na nogach. Rozejrzył się półprzytomnie, jakby niezbyt pamiętał, skąd się tu znalazł, w końcu podniósł

luk i wsparty na nim pokustykał dalej. Jego wierzchowiec uciekł w panice.

Wokół Averan wojownicy o zaciętych twarzach zacisnęli dłonie na orezu. Gotowali się do rozstrzygającego uderzenia.

Jednak dziewczynka wiedziała już, że ataku nie będzie.

Krew Na Kamieniu zginęła, a jej potencjalna następczyni rzuciła się do ucieczki razem z większością armii. Pola dotrzymywała już tylko niecała jedna dziesiąta sił przeciwnika. Żołnierze raubenów rzucili się tymczasem na poległą maginie i wczepiwszy pazury w złoty trójkąt, zdarli kociaste płyty, by poznać jej mózg. Inni zajęli się już gruczołami pod tylnymi łapami.

Rycerz z Heredonu wracał powoli do swoich. Kierował się prosto na Gaborna. Gdy podszedł bliżej, Averan dojrzała jego oblicze. Krew ciekła mu z nosa i ust, każdy oddech wymagał wielkiego wysiłku, a twarz zbladła jak płótno.

-Sir Hoswell! - zakrzyknęła Ioma.

Podano koc, ktoś krzyknął, że to płuća, i pomógł łucznikowi się położyć. Ioma zeskoczyła z siodła i wzięła go za rękę. Myrrima, który właśnie dołączyła do oddziału, patrzyła na to, nie wiedząc jeszcze, co widzi.

Binnesman też zsiadł z konia i przykleknął przy umierającym. Siegnął do kieszeni po jakiś ziół. - Zuj - powiedział. - Będzie łatwiej. Ale Hoswell pokręcił głową.

-Przepra... - wykrztusił. - Przepraszam, przepraszam... - powtórzył, cały czas patrząc na Myrrime.

-Już dobrze... - szepnęła Ioma. - Dzielnie służyłeś. Nie masz za co przepraszać.

Na ustach rannego wykwitła czerwona piana. Niezgrabnie ujął luk i wyciągnął go w stronę Myrrimy.

-Weź go... Najlepszy w Heredonie...

Averan nigdy nie miała w ręku podobnego luku. Został zrobiony ze słynnej heredonskiej sprężystej stali. Był długi i wąski, różnił się zatem znacznie od większości stalowych luków, zwykle krótkich, by wygodnie było strzelać z nich z siodła.

Miał on dwie trzecie długości drewnianego luku i rzeźbiony debowy uchwyt. Podobnie zdobione, również debowe nakładki były na gryfach.

Myrrima pochyliła się i wyciągnęła z wahaniem rękę. Nie wyglądała na uszczęśliwioną, nawet się nie uśmiechnęła. Patrzyła tylko bez słowa na konającego rycerza.

Sir Hoswell zakaszlał i teraz krew popłynęła mu z ust strumieniem. Averan odwróciła oczy.

Siedzący obok w siodle baron Waggit, który nie brał udziału w ataku, zaskakująco i dziewczynka spojrzęła na niego ze zdumieniem.

W spojrzeniu rycerza dojrzała przerażenie.

-On umiera... ? Naprawdę odchodzi... na zawsze?

Nigdy jeszcze nie widziała, by mężczyzna reagował w ten sposób na czyjąś śmierć.

Pamiętała, że wiele lat wcześniej, gdy zginęła jej matka, Brand przyszedł po prostu, przytulił ją i wyjaśnił, co się zdarzyło. Powiedział też, że wcześniej czy później wszystkim to czeka i że nie ma przed tym ucieczki.

Wtedy była przerażona.

Nagle pojęła, że w pewien sposób jest o wiele bardziej dorosła od Waggita. O śmierci dowiedziała się, gdy miała trzy lata, ten zaś niedawny głupek nigdy nie miał okazji zrozumieć, że jest ona nieodwracalna i nieunikniona. Szczęściarzem...

-Obawiam się, że tak - odparł łagodnie Binnesman, starając się uspokoić młodzieńca.

Waggit pokręcił głową, jakby nie mógł się z tym pogodzić.

Nagle rycerze wokół zaczęli wiwatować. Averan pomyślała w pierwszej chwili, że zegnają Hoswella, ale dalsze szeregi tak samo czyniły wrzawę, chociaż nie widziały, co tu się dzieje. Spojrzała na przedpole.

Raubenowie rozpoczęli odwrot. Wroga armia odchodziła na południe, tym razem nie jednym, długim wezem, ale w siedmiu kolumnach. Wojownicy zamruczeli z niedowierzaniem. Nikt nigdy nie widział jeszcze, żeby raubenowie tak maszerowali. Averan też nie przypominała sobie niczego podobnego.

Trochę to było niepokojące. Przeciwnik zmieniał taktykę, dostosowywał ją do okoliczności. Zdobyta niedawno nowa świadomość podszeptowała dziewczynce, że raubenowie są inteligentni. Może nawet bardziej niż ludzie. Zły znak... Swiata Gaborna skoczyła na siodła. Binnesman też w końcu zostawił zmarłego i siadł za Averan. Przez chwilę jechali w ciszy.

W końcu Garbom spojrzęła z uśmiechem na dziewczynkę.

-Gratuluję - powiedział. - Zwyciężyliśmy po raz drugi. W wielkiej mierze dzięki tobie.

Dziwnie to zabrzmiało w zestawieniu z tym, ile ofiar pochłonął ten jeden atak.

-Myślę, że należy ci się awans - dodał Król Ziemi. - Niech wszyscy wiedzą zatem, że

podniebna jezdyczyni Averan zostaje krolewskim doradca.

W zasadzie byl to niebywaly zaszczyt. Jako doradca Averan miala zapewnione miejsce u boku krola. Zapewne nigdy tez swiat nie widzial mlodszygo doradcy niz ta dziewiecioletnia dziewczynka.

Jednak ona nie poczula sie szczegolnie wyrozniona.

Spojrzala na uciekajacych raubenow i radosnych jeszcze rycerzy. Potem obrocila glowe ku zlocistej rowninie ciagnacej sie pod gladzia blekitnego nieba, gdzie szarzaly zwloki zabitych przeciwnikow.

Zrobilo sie jej smutno.

Zrozumiala, ze ten tytul niewiele zmieni w jej zyciu. Znaczc mogl wiele wsrod ludzi, ona jednak oddalala sie juz od czlowieczej wspolnoty. Jej powolaniem byla sluzba ziemi.

27 W MIESCIE JASZCZUROW

Ogniste jaszczury z Djebanu zawdzieczaja swa nazwe luznemu faldowi skory na podgardlu, ktory nadety w chwili zagrozenia sprawia, ze zwierzze wydaje sie przeciwnikowi wieksze i grozniejsze, a czerwone plamy ponizej pyska przypominaja zacieki krwi ofiary pozartej po poprzedniej walce. W nocy fald ow czasem na krotko samoistnie sie jarzy, przez co wyglada, jakby gorzal. Wczesna wiosna samce nadymaja swoj fald, aby przywabic samice. Wtedy wieczorny Djeban wyglada caly jak ogarniety pozarem.

W Inkarrze ogniste jaszczury zastepuja psy przy gospodarstwach i nazywa sie je tam draktferion, co znaczy " ogien strazniczy ". W Mysterrii skrocono ich nazwa do draken, w polnocnym Rofehavanie zas mowi sie po prostu o drakonach, czyli smokach. - wyjatek z Bestiariusza Binnesmana Po odjezdzie spod baobabu Raj Ahten przez dlugi czas nie natknel sie na woda.

Bezlitosnie pogonial ludzi i wielblady, zeby jak najszybciej dopasc Wuqaza.

Wkolo byl tylko piasek na piasku piaskiem zasypywany, jak mawiano niegdys o Pustkowiach w roznych opowiesciach.

Jedynymi przejawami zycia byly nieliczne zuki i male gekony o piaskowego koloru grzbietach i bialych brzuchach. Pod powierzchnia kryly sie jeszcze z rzadka ryjowki, ale one wychodzily tylko noca. Z braku innej zdobyczy polowaly glownie na skorpiony.

W gorze krazyly wielkie, rowniez na piaskowo ubarwione graaki. Z milowej wysokosci sledzily kazdy ruch. Niekiedy atakowaly ludzi, stracajac ich z siodel.

Sploszony wielblad uciekal zwykle gdzie pieprz rosnie, a graakowi zostawalo poczekac, az

osamotniony podrozny umrze posrod piaskow. Niemniej drapiezniki nie smialy nigdy napadac na liczniejsze grupy ludzi.

Wielblady mialy wypalone na sierci znaki swiadczace o otrzymanych darach metabolizmu, sil zyciowych i krzepy, ale Raj Ahten zaczal rychlo podejrzewac, ze niektorzy ich zwierzecy darczynicy musieli rozstac sie z zyciem. Jeden z wielbladow usiadl posrodku pustyni i nawet oscieniem nie dalo sie go sklonic, by ruszyl dalej.

Nie bylo innej rady, jak zostawic pechowego jezdzca do czasu, az jego wierzchowiec odzyska sily. Niezwyciezony stanal nad wielbladem, wzial mlot w dlonie i zaczal czujnie przepatrywac niebo, zeby nie dac sie zaskoczyc graakowi.

O tej porze roku basen Morza Bialego byl prawie pusty i tylko posrodku zostalo szerokie na kilka mil rozlewisko, w ktorym jednak woda siegala wielbladom co najwyzej do pecin. Cofajace sie morze zostawilo na dnie warstwe soli, ktora trzeszczala teraz i pekala pod nogami zwierzat, a wiatr ciskal jej krysztaliki w oczy wierzchowcow i jezdzcow.

Raj Ahten oslonil twarz kawalkiem materii i z ulga powital widok wody, chociaz byla za slona, zeby ja pic. Ulatwiala jednak podroz, szczegolnie ze wielkie krokodyle nawiedzaly wylacznie wschodni brzeg srodladowego morza. Zachodni nawet dla nich byl zbyt zasolony.

Gdy jechali tak przez ciagnace sie milami rozlewisko, Raj Ahten dostrzegl w dali sylwetki wysokich ludzi z pustynnego plemienia Obbatow, ktorzy jeździli na brzydkich czarnych wielbladach. Na grzbiecie kazdego ze zwierzat tloczyly sie cale rodziny, przy czym ludzie byli rownie niesamowici jak ich wierzchowce, gdyz mezczyzni i kobiety po rowni nie nosili prawie ubrania. Mogli sobie na to pozwolic dzieki szamanskiemu zwyczajowi tatuowania na dolnych wargach runow wody, ktore chronily przed palacym sloncem.

Zamykaly tez jednak pory skory, az robila sie bezbarwna i luszczasta, prawie jak u gada, paznokcie czernialy, a bialka oczu zmienialy barwe na szara. Na poludniu, w Umarishu, Obbatow zwano krokodylami, gdyz po prawdzie malo przypominali juz ludzi.

Ci widoczni w dali jechali na poludnie. Slonce polyskiwalo srebrzyscie na grotach ich wloczni. Raj Ahten uznal ich wedrowke za zly znak. Obbatowie rzadko podrozowali za dnia, a teraz na wyschnietym dnie morza przemieszczala sie ich cala, niezliczona rzesza. Uciekaja, pomyslal Wilk. Czyzby uslyszeli o najeździe raubenow? Musi byc zle, skoro wiesc doszla az tutaj.

Wczesnym popoludniem dojrzal w koncu dwunastu Ah'kellah. Byli niecale dziesiec mil przed nimi. Oby tylko Wuqaz byl wsrod nich, pomyslal Ahten.

Jego dary pozwalaly mu widziec, jak tamci poganiaja wielblady ku wyzynnej rowninie i dalej, ku pradawnym ruinom Djebanu u stop gor. Na razie widzial tylko ich plecy i trudno bylo mu orzec, czy to Wuqaz ich prowadzi.

Raj Ahten scisnal wodze w odretwialej lewej dloni i pogonil wierzchowca.

Djeban, "Miasto Jaszczurow", trwal cichy niczym krypta grobowa. Z urwiska nad ruinami patrzyly nan martwymi oczami rzedy posagow przedstawiajacych ludzi z jastrzebimi glowami.

Braklo jednak i wrobl, i prawdziwych jastrzebi, wszedzie za to wygrzewaly sie na kamieniach drapiezne ogniste jaszczury, ktore powitaly wedrowcow syczeniem i nadymaniem fald skornych.

Raj Ahten dobrze wyczuwal teraz won sciganych. Druzyna przystanela przy pierwszym napotkanym strumieniu, zeby napoic wielblady. Niedaleko wznosilo sie wzgorze, a za nim zieleniala przez wieksza czesc roku bujna trawa, na ktorej zwykle pozwalano popasc sie wielbladom. Raj Ahten znal to miejsce z poprzednich podrozy. Probowal zlapac w nozdrza zapach Wuqaza, ale nie mogl go odnalezc... chociaz wyczuwal cos podobnego. Nieco go ta wlasna niepewnosc zirytowala, gdyz z tak wieloma darami wechu odszukanie tropu nie i powinno mu sprawiac zadnych klopotow. Zostala mu tylko nadzieja, ze poszukiwany slad ginie chwilowo posrod innych.

Zarzadzil postoj i polecil ludziom, zeby wyciagneli luki.

-Uderzac szybko, zadnych jencow - dodal.

Zrzucil juz zbroje, ktora byla najbardziej charakterystycznym elementem jego stroju.

Nalozyl tylko prosty burnus i zwykly helm, zamierzal tez trzymac opuszczona glowe.

-Bhopanastrat, ty prowadzisz - rozkazal. Gdyby Ah'kellah zauwazyli, ze to Wilk sie zbliza, zaraz rzuciliby sie do uciezki. Poza tym wczoraj, podczas bitwy o Carris, zostali wybrani przez Gaborna i nie bylo wcale pewne, czy jego ludziom uda sie ich podejsc. Ahten zdolal wprawdzie pokonac kilku wybranych, ale ledwo starczylo mu sil, mimo ze tamci nie mogli sie rownac z Wuqazem, ktory mial ponad dwiescie darow.

Wojownicy siegneli po oscienie i bezlitosnie pogonili zwierzeta. Raj Ahten widzial splywajace po siersci strumyki krwi.

Wielblady parskaly, ale biegly. Ich wielkie kopyta cicho tetnily na piasku. W zaroslach i na skalach nie radzily sobie najlepiej, ale w takim terenie nie mialy sobie rownych.

Gnaly rownie szybko jak konie, ale z wiekszym wdziekiem.

Wierzchowiec Baja Ahtena wypadl zza grani wzgorza szybko niczym jaskolka i Wilk zaraz dojrzal tuzin Ah'kellah siedzacych w kregu obok oazy i opiekajacych chleb nad malym ogniskiem z wielbladziego nawozu. Ich zwierzaki pasly sie w poblizu.

W dolinie brakowało drzew czy skal, które obozujący mogliby wykorzystać do obrony.

Na widok oddziału Baja Ahtena skoczyli na równe nogi i spojrzeli ciekawie na przybywających, jednak gdy doliczyli się gromady równie licznej jak oni sami i dojrzeliby jeszcze gotowe do użycia i luki, od razu pojeli, że szykuje się walka. Ktoś pobiegł po swojego wielbłąda, ale reszta krzyknęła na niego, żeby sobie darował.

Dwunastu wojowników dobyło szabel i młotów bojowych. Dwoch szybko nałożyło cieciwy na wielkie luki.

Starczyło jednak parę chwil, żeby ludzie Baja Ahtena zamkneli ich z obu stron.

Zaraz też poleciały pierwsze strzały. Ah'kellah znaleźli się w pułapce. Nie mieli gdzie się ukryć.

Pięciu dostało niemal równocześnie, ale stali ciągle ze sterczącymi z piersi i nog brzechwami.

Po chwili lucznik przeciwnika trafił w oko jednego z wielbłądów drużyny Wilka i Niezwycięzony runął na piach z głuchym odgłosem łamanych kości. Czterech Ah'kellah oderwało się od gromady i zaatakowało z dwóch stron młotami i szablami. Mierzyli w karki i szyje przebiegających obok nich wielbłądów.

Piec zwierząt padło w fontannach krwi. Raj Ahten sięgnął po młot, zeskoczył z siodła i zatopił żelazny dziób w czaszce pierwszego napotkanego przeciwnika. Inny próbował go w tym czasie zejść od tyłu, ale Wilk zdążył się obrócić i jednym uderzeniem obucha zmiądzzył tamtemu i zebra, i płuca.

Z cudzą krwią na twarzy ruszył ku pozostałym, żeby znaleźć wreszcie Wuqaza.

Strzały przemknęły mu nad głową, wyłączając z walki dwóch następnych wrogów. Zaden z Ah'kellah nie okazał leku ani nie prosił o łaskę, jak zdarzało się to w dawnym Indhopalu. Ci wojownicy nie znali łaski, więc sami też jej nie oczekiwali.

Jeden z kaifów poznał, z kim ma do czynienia.

-Raj Ah...! - zdążył wykrzyknąć, nim młot wyrwał mu tchawicę. Ale inni już usłyszeli i ruszyli jedna masą na Wilka. Przez krótką, straszna chwila Ahten skłonny był sądzić, że to Gaborn ich jakos prowadzi.

Jednak nie był łatwym przeciwnikiem. Chociaż klątwa Binnesmana w zasadzie go zabiła, zachował swoje dary.

Pierwszego kopnął okutym butem w pierś i zmiądzzył mu serce. Pochylił się, unikając szabli drugiego, i wraził młot w jego twarz. Lewa dłoń niezgrabnie wyciągnął sztylet i zatopił go

w gardle trzeciego. Czwartego napastnika dopadł z wysokości i tak silnie kopnął oboma stopami w głowę, że odpadła mu od tułowia.

Na razie szło mu aż za łatwo. Nie został nawet drasniony. Walka nie przypominała wczorajszej przeprawy, kiedy to Gaborn wspomagał swoich wybranych.

Chwile później było już po wszystkim. Zdyszany Raj Ahten stanął nad ciałami Ah'kellah. W powietrzu unosił się kurz wzbity wczesniejszą galopadą wielbłądów i duszny odor krwi. Kilka zwierząt ze złamanymi albo uciętymi kończynami ryczało i wilo się z bólu.

Trzech ludzi Wilka nie żyło, jeden był ciężko ranny. Miał zmiażdżoną prawą rękę i połowę twarzy.

Raj Ahten podszedł powoli do małego ogniska, gdzie wciąż przypiekaly się podplomyki. Były już lekko przypalone i pachniały pistacjami i kminkiem.

Wziął jeden i zamysłony zaczął go przeżuwać. Coś poruszyło się na wzgórzu.

Spojrzał. Spomiędzy zarosli i kamieni wypelzały ogniste jaszczury. Zmierzaly do dolinki.

Widocznie zapach krwi je przyciągnął. Czekala je calonocna ucztą.

Wuqaza nie było wśród poległych. Wódz nie popełniłby takiego błędu, żeby zatrzymać się w pozbawionej najmniejszej nawet osłony oazie. Już wcześniej należało się tego domyslić.

To była bardzo zła, wręcz niepokojąca nowina. Wuqaz musiał zatem pojechać albo na północ, do Deyazzu, albo, co bardziej prawdopodobne, ku zachodniemu wybrzeżu, do Dharmadu, Jizu albo Kuhranu... Wszędzie tam mógł liczyć na posłuch w swych wichrzących zamiarach.

Wilk kazał wcześniej posłać tam osiemdziesięciu ludzi. Zbyt mało zapewne jak na takiego przeciwnika.

28 ZNIWO

Wyrostki, które są organami zmysłów raubenów, otaczają całą podstawę czaszki i jeszcze spod zuchwy. Zwykli żołnierze mają od osiemnastu do trzydziestu sześciu. Niezależnie od ogólnej liczby zawsze rosną po trzy.

Mistrz Magnus powiada, że im starszy rauben, tym więcej ma wyrostków, ale nic tego mniemania nie potwierdza. Porównując liczbę wyrostków z rozmiarami zwierzęcia i wiekiem określanym na podstawie zużycia zębów, nie dostrzegłem się żadnego związku we wspomnianej materii.

Podobnie też liczba wyrostków nie zdaje się mieć nic wspólnego ze statusem raubena w

gromadzie, jak domniemywał kiedyś mistrz Banes. Poteżne maginie mają ich stosunkowo niewiele, podczas gdy zwykli żołnierze bywają w nich słabo wyposażeni.

Najwyraźniej samo uczenie wyrostków u raubenów nie prowadzi do żadnych naukowych wniosków. To tak, jakby próbować ustalić, czy jakiś człowiek jest wiesniakiem czy rybakiem, na podstawie liczby włosów, co mu w nosie rośnie. - Wyjątek z dzieła mistrza Dungilesa o raubenach Garbom odwrócił się od uciekających raubenów. Pozostałe mu jeszcze ziemskie moce podpowiadały, że bestie już nie zaatakują. Nie było powodu do obaw.

Podobnie też nie musiał liczyć poległych. Każda śmierć podczas walki odczuwał z osobna tak mocno, jakby tracił część siebie. Wiedział, że łącznie ubyło mu dwudziestu czterech ludzi.

Próbował ich ostrzegać, przemawiać do nich w ogniu walki. Miał nadzieję, że ziemia przywróci, co odebrała, ale niestety... Chociaż krzyczał w myślach, nic do nich nie dochodziło. Jakby głuchych wywoływał.

Ioma i Myrrima zostały jeszcze przy Hoswellu, ale Gabornowi pilno było ruszyć na pobojeństwo i poszukać przewodnika. Dziennik trzymał się jego boku.

Gdzieś po prawej ryknął olbrzym. Gaborn obrócił ku niemu głowę. Stwor pokazał na uciekających raubenów i znowu ryknął, ale takim tonem, jakby o coś pytał. Chciał wiedzieć, dlaczego Gaborn pozwolił raubenom uciec z pola walki.

- To było wielkie zwycięstwo - powiedział nagle Dziennik. - I jako takie zostanie opisane - dodał, a Gaborn zdumiał się wielce. Historycy rzadko kogoś za cokolwiek chwalili.

W myślach odtworzył swoje niedawne postępowanie. Zajechał raubenów z flanki i badał sytuację swoimi nowymi zmysłami, aż uznał, że nadeszła idealna chwila na atak. Teraz na pobojeństwie leżało ponad dwa tysiące martwych raubenów. Życie dwudziestu czterech ludzi nie było wielką ceną za taki pogrom.

Jego Dziennik miał rację. Kroniki rzadko odnotowywały podobne zwycięstwa.

Tu i owdzie było też widzieć rannych rycerzy. Próbowali zakładać sobie opatrunki.

Binnesman podszedł do dzikiej, która rozłupala już czaszkę szkarłatnej magini i zaczęła się pożywiać.

Pozwolił jej włączyć się do walki. Gdy tylko zaczął się atak, zielona kobieta zeskoczyła z konia i pobiegła ku największej cizbie. Atakowała bestie gołymi rękami i z taką zawziętością, że nikt, kto tego sam nie ujrzał, by w to nie uwierzył. Gaborn nie potrafił policzyć, ilu raubenów tak powaliła.

Jego ludzie przysiedli w koncu na ziemi i zaczęli czyszczyć i ostrzyć. Bron. Paru zwiadowców krążyło po pobojowisku, żeby dokładniej policzyć zabitych wrogów.

Chwilowo nie było sensu szykować drugiego ataku. Nie mieli pod ręką dość niezbędnych po temu kopii. Zresztą na samą myśl o kolejnej szarży Król Ziemi poczuł się niewyrażnie. Raubenowie zmienili taktykę i chociaż trudno było ocenić, czy cokolwiek zamierzają, zdawało się pewne, że podobnie drugi raz zaskoczyć ich się nie uda.

Binnesman zajął się rannymi. Ioma i baron Waggit poszli mu pomagać.

-Chodź ze mną - powiedział Gaborn do Averan. - Zobaczymy, czy uda nam się odszukać przewodnika.

Zsiadł z konia i pomógł zejść na ziemię dziewczynce. Obiecał jej wcześniej, że nie będzie musiała jeszcze mozgu Raubena na oczach innych, zatem gdy zauważył, że próbuje dołączyć kilku rycerzy, odprawił ich machnięciem ręki.

Poszli tylko we dwoje pomiędzy szarawymi cielskami. Wonię świeżo zrytej ziemi sprawiła, że pobojowisko kojarzyło się z cmentarzem, na którym wykopano świeże groby.

Trupy Raubenów jeszcze ociekaly posoką, a cien, który rzucaly, był głęboki jak noc.

Zlatywały się grisy i zaraz dołączały do pobratymców uczujących na scierwie. Chociaż ich skrzydła przypominały nietoperzowe, na tym ich podobieństwo do gacków się kończyło. Tak samo jak Raubenowie, grisy też miały cztery nogi i bezokie głowy z wieniec wyrostków czuciowych.

Gdy Gaborn z Averan podchodzili zbyt blisko, grisy odpelzały z piskiem albo odlatywały.

Averan przechodziła powoli od Raubena do Raubena i przyglądała się każdemu uważnie. Przy jednym się zatrzymała i przechylając głowę na bok, wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, podobnie jak gospodynie lustrują stragan z jabłkami na rynku.

Upiorna to była wedrowka.

-Ten ma trzydzieści sześć wyrostków - powiedziała dziewczynka. - Jest dość duży, ale łapy mi się widzą za delikatne.

Gaborn chętnie wysłuchiwał każdej dodatkowej informacji o Raubenach.

-Czy liczba wyrostków coś znaczy?

-Im jest ich więcej, panie, tym Rauben ma lepszy wech. Ale nie zawsze.

-Wiesz, kto teraz może dowodzić hordą? Averan zastanowiła się chwilę.

-Nie jestem pewna, kto przeżył walkę. Gaborn pokiwał głową.

-Ale pod Carris już nie wróca?

-Nie. Nie sądzę. Utrzymał teren, panie, a raubenów zawsze peszy, gdy ludzie nie dają sobie odebrać ziemi.

-Boja się ludzi?

-Tak, bo w przeszłości ludzie ich już pokonali. Erden Geboren miał nawet dwóch gloriów na swoje usługi. Dla raubenów obie magiczne istoty jaśniały tak wielkim blaskiem, że oslepiły walczących.

Dwa tysiące lat wcześniej Erden Geboren poprowadził ludzi na wojnę z raubenami i prawie że wygubił potwory. Dawne pieśni sugerowały, że dokonał niemożliwego.

Ciekawe, że raubenowie też o tym pamiętali i ciągle lekali się gloriów.

-A dlaczego nie jedli poległych pod Carris? - spytał jeszcze Gaborn. - Tam też wielu ich zginęło, nie widziałem jednak, by się nimi pożywiali.

-Bo ciała zabitych przypadają zawsze najwyższym rangą - wyjaśniła cierpliwie Averan, jakby dziecko edukowała. - Zmarli należeli do głównodowodzącej i ona miała dopiero rozdzielać ich pomiędzy zasłużonych. Ale ty ja, panie, zabiłaś, a potem zaczęła się burza i odwrot i w całym tym zamieszaniu pomniejsi dowódcy nie śmieli ruszać trupów. Bali się chyba powrotu gloriów i że zostaną ukarani za nieposłuszeństwo.

Gaborn pojął, o co chodzi. Wśród ludzi, gdy dochodziło do podziału łupów, też zawsze najpierw obdzielali się nimi sierżanci i kapitanowie.

Averan zatrzymała się przy kolejnym raubenie i znowu długo mu się przyglądała.

Obeszli już prawie jedną trzecią poboju.

-To może być ten... ale nie jestem pewna. - Obeszła bestię od tyłu, powachała okolice odbytu i aż się cofnęła ze zmarszczonym nosem.

-Ten? - spytał Gaborn. Averan pokręciła głową.

-Jeszcze nie wiem. Nie mogę wywachać go dość dokładnie.

-Ale coś wyczuwasz?

-To tylko "okrzyk" przedśmiertny. Gdy mają umrzeć, ostrzegają w ten sposób innych.

W przeciwnym razie w ogóle nie byłoby żadnego zapachu.

Gaborn podszedł do otworu ponad odbytem raubena. Wyrostki wkoło były wilgotne i pozlepiane i mało kojarzyły się z tymi na głowie. Wprawdzie Averan wspomniała o "okrzyku", ale won nie była zbyt intensywna. Przypominała odrobine zapach czosnku.

-Co mówi ten zapach? - spytał Gaborn. Jeśli miał wejść do podziemnego świata, musiał nauczyć się rozumieć język raubenów. - "Uciekajcie, tu grozi śmierć" - odparła dziewczynka, tłumacząc znaczenie woni najlepiej, jak umiała. Westchnęła i spojrzała na ciągnące się jeszcze ponad mile pole trupów. - Oznaczmy go może jakos, panie. Jeśli nie znajdziemy żadnego, który bardziej wyglądałby na przewodnika, wrócimy tu i spróbujemy go.

Averan wciąż się do tego nie spieszyło. Koniec końców nie było rzeczą zwyczajną, by człowiek jadł raubena.

-Dobrze - odparł Gaborn i rozejrzał się za jakimś kamieniem, ale w udeptanej na skale ziemi nie dostrzegł nawet najmniejszego. Ostatecznie zdjął rękawice i ułożył ją w otwartej paszczy bestii.

Ruszyli razem dalej, aż po jakimś czasie usłyszeli brzęk zbroi kluczącego wśród trupów rycerza na koniu. Gdy podjechał bliżej, okazało się, że to Skalbairn.

-Dobre wieści, panie! - zawołał. - Doliczyliśmy się prawie trzydziestu trzech setek martwych raubenów! I to tylko z tego jednego ataku!

Gaborn niezbyt wierzył takiemu rachowaniu. Miał ze sobą niecałe dwa i pół tysiąca rycerzy, stracił jednego na stu, a tu tylu powalonych wrogów...

Niemniej musiał promieniec cały z zadowolenia, bo gdy Skalbairn odjechał, Averan przyjrzała się uważnie Królowi Ziemi.

-Wyglądasz, wasza wysokość, jak kot, co dobrał się do smietanki.

-Bo mieliśmy dobry dzień. Odniesliśmy wielkie zwycięstwo. Averan pokreśliła małą główką.

-Nie powinieneś tak myśleć, panie. Większość tych raubenów zginęła całkiem niewinnie. Byli jak wiesniacy pogonieni na wojnę - dodała prawie ze tonem zaczepki.

-Mówisz o nich tak, jakby o ludzi chodziło. Ale ci "wiesniacy" ruszyli na Carris.

Zabili dziesiątki tysięcy ludzi i chętnie zgladziłiby wszystkich.

-Ale tylko dlatego, że Jedyna Prawdziwa Mistrzyni im kazała. To nie ich trzeba zniszczyć, ale ją. Ona jest twoim wrogiem.

Dziecko przemawiało z wielkim przekonaniem. Jeszcze rano Gaborn miał ją za normalną dziesięcioletnią dziewczynkę z rudymi włosami, piegami na twarzy i upartym spojrzeniem.

Teraz jednak już wiedział, jak bardzo się mylił. Skóra malej przybierac zaczęła zielonkawy odcień, chociaż na razie widac to było tylko w pełnym słońcu.

Nie, ona nie jest zwykłym dzieckiem, pomyślał Gaborn. Więcej w niej tego, co znaleźć można w Binnesmanie. I tak jak inni Straznicy Ziemi, zaczyna troszczyć się o wszystko, co żywe. Weże, myszy... i raubenów.

Averan podeszła do następnego trupa. Tutaj czosnkowa won była znacznie silniejsza, prawie że odpychała.

-To zwykły żołnierz - powiedziała. - Tyle że konał powoli. Gaborn nawet nie próbował wątpić w jej słowa.

-Mylisz, że mogłabys nauczyć się mówić w ich języku? - spytał.

-Jak? Chyba zauważyłes, panie, że człowiek nie ma stosownych wyrostków.

-Ale można mieszać zapachy. Czy gdybys wzięła czosnek, daloby się z jego pomocą coś powiedzieć?

Averan spojrzała na niego zaskoczona.

-Nigdy o tym nie pomyślałam! - Zmarszczyła brwi. - Nie, z czosnkiem nie. Zapach śmierci nie przypomina w gruncie rzeczy woni czosnku. To tak, jakby powiedzieć "zerdz", a nie "śmierć". Ale może inaczej... Może moglibysmy ułożyć kilka słów...

Gaborn popuścił wodzę wyobraźni. Gdyby tak dało się przemówić do raubenów! Co jednak by im powiedział? Nie miał pojęcia. Nigdy się nad tym nie zastanawiał.

Averan oznaczyła jeszcze dwóch raubenów, aż w końcu doszli do kranca pola.

Gaborn wyjął miecz i wpełził do paszczy ostatniego wybranego potwora. Żeby zwisały wokół niego jak wielkie sople. Starczyło jedno potężne ciecie przez miękkie podniebienie, aby na wpol zakrzepła posoka pociekła strumieniem.

Odczekał dłuższą chwilę, aż rana się oczyszczy, po czym sięgnął w głąb i wydobyl to, co najważniejsze: pełna garść szarawej tkanki mózgowej.

Podał ją Averan i odwrócił się, gdy jadła. Przeważała uważnie każdy kęs.

Potem wspiał się na raubena i spojrzał na południe. W pierwszej chwili nie dojrzał nawet śladu hordy, ale w końcu ją znalazł. Dwie mile na południe niedobitki potworów wspinały się na wzgórza u stóp Skaly Mangana. Główna masa armii zniknęła w kotlinie i tylko unoszący się nad nią kurz zdradzał, że przeciwnik dalej maszeruje.

To była wielka bitwa i także zwycięstwo, jednak widok zbieranych z pola rannych i

poległych nie pozwalał cieszyć się nim w pełni. Byli układani na tych samych wozach, na których wcześniej przywieziono kopie. Naturalna kolej rzeczy, pomyślał Gaborn.

Dostrzegli go dowodcy i ruszyli w jego stronę. Twarze mieli rozradowane, a byli wśród nich sami wielcy: Herin Ruda, marszałek Skalbairn, sir Langley z Orwynne.

-Niebawem będziemy gotowi! - krzyknął Skalbairn. - W nocy kazalem przywiezc nowe kopie z Carris i Fells. Sa w Ballyton, niecale dwadziescia mil droga. Za pol godziny znowu sie uzbroimy i bedziemy mogli ruszac.

Gaborn zastanowil sie przez chwile. Ziemia podpowiadala jasno: jesli ponownie zaatakuje, raubenowie zmasakruja jego ludzi.

-Uzbroimy sie i zatrzymamy w Ballyton na obiad - odparl, chcac miec czas na ulozenie nowego planu. Widzial, jak niektórym miny zrzedly na wieśc, ze nie bedzie kolejnej szarzy. - Raubenowie nie dadza sie drugi raz zaskoczyc.

Langley nie potrafil ukryc rozczarowania, ale marszalkowi nawet nie drgnela powieka.

-Jak moj pan rozkaze.

Gaborn zszedl z osobliwej trybuny.

Averan juz skonczyla i wycierala palce o trawe.

-To byl wlasciwy? - spytal. Dziewczynka wzruszyla ramionami.

-Jeszcze nie wiem. To zawsze zabiera chwile.

-Dluga?

-Czasem i trzy godziny.

Gdzies daleko zagraly rogi. Gaborn ruszyl biegiem, by wreszcie wydostac sie spomiedzy trupow, i niebawem ujrzal wracajacych zza pasma wzgorz zwiadowcow.

-Raubenowie wspinaja sie na Skale Mangana! - krzyczal jeden z nich. - Zapiedzilismy ich w pulapke!

29 ODWROT

Krol Orden spytal mnie kiedys, za co najbardziej cenia rycerza: za odwaga czy za karnosc. Odparlem, ze to oczywiste: zawsze za karnosc. Znajacemu swe powinności rycerzowi starczy przeciez rozkazac, aby byl odwazny. - krol Jas Laren Sylvarresta Myrrima stanela w milczeniu na suchej trawie, wyciagnela strzale i przesunela po policzku lotka z barwionego gesiego piora. Spojrzala na lezacego w odleglosci osiemdziesieciu jardow

martwego raubena. Osadziła strzałę na cieciwie, napięła łuk i wycelowowała w złoty trójkąt. - Jade z tobą do Inkarry - powiedziała do meza. Myślała, że zaraz coś od niego usłyszy, ale nie. Tyle razy ćwiczyła tę kwestię i była pewna, że Borenson głośno zaprotestuje. Pomyliła się. Wstrzymała oddech i poprawiła strzałę.

Większość rycerstwa odjechała już w ślad za raubenami w kierunku Skaly Mangana.

-Od kiedy znowu cie zobaczyłem, wiedziałem, że będziesz tego chciała - odparł w końcu Borenson.

-I co?

-I nadal myślę, że to nie jest dobry pomysł.

Kilka dni wcześniej nie pozwolił, by towarzyszyła mu w wyprawie na Południe, i nawet nie namyślał się nad odpowiedzią. Tym razem było inaczej. Myrrima uznała to za dobry znak. Łuk Hoswella leżał jej idealnie w rękach. Pasował, jakby dla niej został właśnie zrobiony. Sprezyste leczyisko pracowało jak należy i posługiwanie się bronią nie wymagało wcale wielkiego wysiłku.

Cisowe łuki dawały zwykle nierówny naciąg, starczyła byle skaza drewna albo nadmierne ściśnięcie któregoś ramienia, a już strzala leciała niedokładnie tak, jak powinna, i trzeba było się dobrze napracować, by poznać wszystkie narowy nowej broni. Nawet wiele metalowych haków miało podobne wady, jeśli kowal za dużo pracował w jakimś miejscu młotem.

Ale stalowy łuk Hoswella był idealny.

Myrrima wypuściła strzałę, która tylko zaswiszczała w powietrzu, uderzyła trochę z boku od środka złotego trójkąta i zagłębiła się w mózgu raubena.

Cisowy łuk nie nadalby strzałę nawet połowy tej energii. Myrrima zużyła w bitwie trzy tuziny strzał, a zabiła jedynie czternastu raubenów. Hoswell powalił ich prawie dwa razy tyle.

-Później to przemyślałam. I też doszłam do wniosku, że to nie byłby mądry pomysł.

-Zgadzasz się ze mną? - zdumiał się Borenson.

-Owszem. Zrobiłabym głupstwo, pchając się z tobą do Inkarry, podczas gdy tutaj tylko szalał czarny glory, spod ziemi wylazili raubenowie i jeszcze ludzkie armie pchały się w granice.

Borenson rozesmiał się serdecznie i Myrrima wiedziała już, że wygrała.

-Dobra. Trafiony. Jedziesz ze mną.

Spojrzała na niego z ukosa.

-Ale... wcale nie przychodzi mi to łatwo - dodał. - Co wiesz o Inkarrze?

-Mieszkańcy Nocnych Królestw żyją w domach wielkich jak całe wsie. Sypiają za dnia i pracują w nocy. Ich drzwi strzeżę smoki.

-A kraju pilnują magowie - dodał Borenson. - Głupcy, którzy mimo to próbują tam wejść nieproszeni, nigdy już nie wracają. Inkarra trzysta lat temu zamknęła granice z Rofehavanem, a Król Burz od dwudziestu lat nie przyjął żadnego poselstwa z Mysterii.

Myrrima wyciągnęła z kolczanu następną strzałę, błyskawicznie nałożyła ją na cieciwę i ponownie wstrzeliła się w złoty trójkąt.

-Jedziemy od razu? - zapytała.

-Tak bez pożegnania z królem?

-Złożyłam śluby Wilczego Bractwa - odparła Myrrima. - Służę ludziom tak, jak sama uznaję za stosowne. Podobnie jak wolni rycerze.

Borenson zacukał się.

-I co? - spytała. - Rozmyśliłeś się?

-Ciągle mam wątpliwości. Raubenowie też maszerują na południe. W sumie to niezłe towarzystwo na szlaku, tylko te ich maniery przy stole...

Myrrima uśmiechnęła się szeroko. Skłonna była przyznać rację mężczyźnie, że stworzenie, które jada rycerzy, można oskarżyć o brak dobrych manier.

Niemniej... pojęła, że Borenson miał ochotę upolować jeszcze trochę tych potworów. Spojrzała na Skalę Mangana.

-Tutaj chyba szykuje się obleżenie - powiedziała. - Może potrwać całe tygodnie.

-Dobrze więc. Jedziemy do Inkarry.

Myrrima uszom nie wierzyła. Naprawdę miało się obejść bez dłuższej kłótni? Od pierwszego spotkania wiedziała, że Borenson jej pozada, ale teraz zaczął ją chyba również szanować...

Zostało już tylko nauczyć go, czym jest oddanie i poświęcenie.

Skala Mangana wznosiła się ponad równiną niczym samotny strażnik. Jej szare i poszarpane urwiska wyrastały w najwyższym miejscu na trzysta stop, jednak od południa miały ich tylko dziewięćdziesiąt.

Niemal tysiąc lat wcześniej, podczas Wojen Mrocznej Pani, wojownicy Rofehavanu wykuli na szczycie forteca i jeszcze drogo, która serpentynami wspinała się na górę z równiny.

Przez wieki różni władcy przejmowali twierdze, odbudowywali ją i modernizowali, jednak żaden nie poradził sobie z brakiem źródeł wody, toteż utrzymanie stałej załogi na dłuższą metę zawsze wychodziło za drogo, a i jej niedostępność była przez to iluzoryczna.

Część wspaniałego zamku zachowała się aż do teraz. Wieże były jednak zwiędzale i nadkruszone burzami, część murów zdążyła się zawalić, reszta zaś obrosła bluszczem. Gdzie wcześniej stały domy, teraz rosły potężne dęby, a nad dziedzińcami i podworcami polatywały głównie sowy.

Niemniej wysoki na prawie dziewięćdziesiąt stop posąg Mangana wciąż patrzył na północ. Obok widniały dwie podobnie wielkie rzeźby psów bojowych. Podobno kiedyś władca dzierzył w prawej dłoni włócznię z brązu, ale ręka dawno już odpadła.

Niemniej oczy nie zatraciły wyrazu czujności.

Raubenom wszelako nie robiło to różnicy.

Gdy Myrrima i Borenson podjechali w pobliże skały, potwory wspinały się po pionowych ścianach równie zrecznie jak wdrapujący się na drzewo kot.

Niczym olbrzymie gargulce obsiadły mury, inne zajęły posterunki nad przepascią, a wszystkie uniosły lby i żywo poruszały wyrostkami.

Gaborn, jego Dziennik i Averan byli w ostatniej grupie, która opuściła pobożowisko.

Nawet olbrzymowie wyruszyli wcześniej. W ogonie ciągnęli jeszcze Ioma, Binnesman, Jureem i Feykaald.

-Nie sądziłem, że tak łatwo będzie ich osaczyć - mruknął zdumiony Gaborn.

Naprawdę nie wiedział, co o tym myśleć.

-Może szukają jakichś własnych igrzysk? - zasugerowała Averan. - Zabiliśmy im wodza. A jeśli oni zawsze walczą, żeby wylowić nowego?

Gaborn jednak pokręcił głową.

-To nie tak. Coś planują... coś bardzo złego.

-Wasza wysokość - wtracił się Borenson. - Czy można słowo? - Poczekał, aż Gaborn na niego spojrzy. - Pora mi jechać - wyjaśnił.

Król wstrzymał konia i przez dłuższą chwilę patrzył tylko na Borensona, jakby chciał go dobrze zapamiętać.

Myrrima z bólem pomyślała, że być może już nigdy nie ujrzy nikogo z tej grupy. A przecież starczyło parę dni, by zaprzyjaźniła się z Iomą...

-Niech moce ziemi was prowadzi - powiedział w końcu Gaborn. - I niech Najjasniejszy oświetli waszą drogę.

-Sir Borensonie - dodała szybko Ioma. - Cofam moje zadanie. Jesteś człowiekiem honoru i niepotrzebnie chciałam od ciebie aż tyle.

Gaborn jednak unosił rękę, prosząc, by Ioma zamilkła. O karze postanowiła w obecności dziesiątków tysięcy ludzi, a takich słów nie sposób cofnąć. Borenson musiał pojechać do Inkarry, aby odszukać Daylana Młotą, Sumę Wszystkich Ludzi, który wedle legendy przyjął tyle darów, że rozmiłował się ze śmiercią. Ioma miała nadzieję, że Daylan pomoże bronić jej ludu. Co więcej, Borenson zabił ojca Iomy i jeszcze dwa tysiące darczynców. Dla spokoju swojej duszy potrzebował odkupienia.

Gaborn zaś nade wszystko potrzebował pomocy. Od kogokolwiek, czy byłby to Zandaros, czy Daylan Młot, czy nawet Raj Ahten.

-Mam tu list - powiedział, sięgając do torby. - List do Króla Burz. Wyjaśnia przyczyny twojej podróży i powody, dla których proszę o pomoc. Niemniej chciałbym cię jeszcze prosić o

drobna przysługa... - Gaborn nagle urwał i obrócił się gwałtownie, jakby ktoś go wolał.

Kilka mil dalej ostatnie szeregi raubenów podchodziły do Skaly Mangana. Ciągłe w siedmiu kolumnach. Za nimi zaś gonilo z pięć dziesiątek wolnych rycerzy.

Zachodzili wroga od wschodu.

-Co za głupcy... - mruknął Gaborn, sięgnął po rog i zadał do odwrotu.

Kilku rycerzy spojrzalo w jego stronę, ale nikt nawet nie zwolnił.

-Coż... - sapnął zdumiony Borenson.

Myrrima wyczula zaraz, że tych ludzi czeka rychła śmierć.

Gaborn zadał raz jeszcze, tym razem głośniejsze. Wszyscy inni skierowali wierzchowce ku władcy, jakby dla nich właśnie ten sygnał był przeznaczony, ale tamtych pięćdziesięciu nie zareagowało.

Nie pomogło nawet kolejne, rozpaczliwe zadecie w rog.

Jezdźcy byli już w odległości dwóch mil. Słońce odbijało w białych kopiach, w hełmach i pancerzach drobnych sylwetek podjeżdżających ku liniom raubenów.

Jednak teraz przeciwnik nie był ani nieswiadom zagrożenia, ani nie był nieprzygotowany.

Gdy tylko jazda znalazła się blisko, żołnierze raubenów na wschodnim skrzydle uczynili coś niespodziewanego. Obrócili się wbiły łby w ziemię i poczęli wymachiwać orezem. Zasłonili w ten sposób swoje złote trojki i kopijnicy ujrzeli przed sobą tylko mur opancerzonych ciał.

Za tej barykady inni raubenowie zaczęli miotać kamienie niczym z katapuły.

Szkarłatna magini zbierała się do rzucania zaklec.

Nigdy jeszcze nie widziano, żeby raubenowie walczyli w ten sposób.

Walka rozstrzygnęła się w niecałe pół minuty. Trzydziestu dwóch ludzi z wierzchowcami dosięgły kamienie, reszta się wycofała. Wielu wracało pieszo, część była ranna.

Gaborn opuścił rog i bez słowa zwiesił głowę. Ostatni raubenowie bez przeszkód wdrapali się na skałę.

30 PASTERZ

Spśród wszystkich znanych istot raubenowie wciąż są najbardziej tajemniczy, gdyż niewielu spośród tych, którzy widzieli ich z bliska, przeżyło, aby o tym opowiedzieć. - mistrz

Valen z Komnaty Zwierząt!Averan miała wrażenie, jakby na jej dziecięcych ramionach spoczęła odpowiedzialność za losy świata. Poprzedniego dnia, gdy uciekała przed raubenami do Carris, myślała, że to najgorsza chwila jej życia... Jakże się myliła!

Gaborn oczekiwał, że pomoże mu odnieść kolejne zwycięstwo. Chciał odpowiedzieć na niezliczone pytania, tymczasem ona tych odpowiedzi nie знаła.

Niemal natychmiast po tym, jak zjadła mózg raubena, zrobiło się jej niedobrze. Z początku myślała, że to z nerwów, ale niebawem poznała przyczynę. To nie był przewodnik, ale całkiem inny rauben, który znał wszystkie tajniki hodowli i uboju zwierząt.

Przed oczami Averan przewinęły się sceny, jakich jeszcze nie oglądała. Ujrzała podziemne sale, w których rosły dziwne rośliny, niektóre twarde jak rzemien i podobne do skały. Inne przypominały wyciągnięte z wody jeżowce, jeszcze inne zwisały się w splotach ze stropów jaskin. Raubenowie bardzo dbali o ich uprawę, ale sami ich nie jedli.

Wypasali na nich wielkie wielosegmetowe robaki i rozmaite dziwne stworzenia, których Averan nie potrafiłaby łatwo opisać. Jedne były ogromne niczym domy i przypominały pajaki, inne - wyrosłe do rozmiarów byka rogate zuki.

Raubenowie znali zatem sztukę hodowli bydła, a ten wiedział o nim niemal wszystko. Potrafił tak uderzyć pajakowatego żelaznym drakiem, żeby złożył cały stos świeżych jaj. Umiał złowić rybę jaskiniową oscieniem. Znał wszystkie pasożyty dreczące jego bydło i zapachy, które pozwalały je wygubić.

Umysł Averan zalała cała masa bezużytecznych informacji, obrazów, myśli i zapachów. Czula się coraz gorzej i na dodatek nie miała z tego żadnego pożytku.

Niemniej zauważyła, że nowe treści pokazują się w spójniejszej formie niż wcześniej.

Może chodziło o to, że tym razem zjadła więcej tkanki mózgowej albo teraz była już na to lepiej przygotowana i szybciej pojmowała, co widzi i czuje.

Uczyła się mowy raubenów, wiedziała już, jak patrzeć na świat. No i coraz lepiej potrafiła porządkować wszystkie napływające wspomnienia.

Ale i tak ogarnęła ją rozpacz. Straciwszy cały ranek na poszukiwania przewodnika, w końcu trafiła na zwykłego pasterza. Tak zatem, gdy nadeszły pierwsze bóle, myślała, że to ze zdenerwowania.

Gaborn usadził ją przed sobą na siodle i przytrzymał dłoń w pancерnej rekawicy.

Mózg raubena zalegał ciągle niemiło w żołądku dziewczynki, ale tak było za każdym razem.

Rycerze podjechali pod Skale Mangana, a król rozkazał rozmieścić posterunki wokół

fortecy, aby raubenowie nie uciekli. Jednak główne siły zgromadził na zachodzie, tak że wiatr ciągle niosł ludzki zapach w kierunku potworów.

Wysłał ponadto wozy do Ballyton, nakazując woznicom rychły powrót ze wszystkim, co potrzebne do obleżenia, a potem podjechał z Averan na brzeg małego strumienia, który wiał się przez lake mile na zachód od Skaly Mangana. Jego brzegi porastały gęsto wierzby i leszczyna, z których pierzchnęło w pewnej chwili całe stadko saren.

Gaborn posadził dziewczynkę w cieniu pod jednym z nielicznych debów. Ioma przykucnęła obok. Otarła pot z twarzy Averan.

-Nie wyglądasz dobrze - szepnęła.

-Bo i nie czuję się dobrze - przyznała dziewczynka.

-Posiedź tu trochę - powiedziała Ioma, biorąc ją za rękę. - Zajmę się tobą.

Averan spojrzała w oczy królowej. Były pełne troski.

Przecież ona mnie nie zna, pomyślała dziewczynka. Jak może się mną zająć? Jednak czuła, że jest inaczej. Niektórzy potrafili dbać o innych, nawet o obcych.

Rodzili się po prostu, aby ich kochać, choćby to i boleło.

Czarnoksiężnik Binnesman oczyścił kawałek gruntu z opadłych gałązek. Jeden z kapitanów, zły starszy mężczyzna o pomarszczonej twarzy, podał zielonej kobiecie tego kij, pokazał, jak go uchwycić, a następnie zaczął ją uczyć walki tym orzechem.

Niebawem dołączył do nich baron Waggit.

Averan patrzyła na tę scenę, by nie myśleć o sobie. Nagle jednak ogarnęła ją kolejna fala przerażenia. Coś było bardzo nie tak...

-Pomóż mi - jęknęła do Iomy.

Królowa spojrzała uważnie na Averan. Nowa władczyni była drobna i widać było po niej południowe pochodzenie, co najbardziej zaznaczało się w ciemnych, niemal czarnych oczach, przenikliwych i łśniących. Przypominała nieco Saffire.

-Jureem! - zawołała. - Przynies jej wody. Chyba jest chora.

-Tak, pani - sapnął Jureem i podszedł do strumyka.

-Co się dzieje? - spytała Ioma.

Averan nie umiała wyjaśnić. Czuła się osaczona przez całe dziesiątki nowych wspomnień.

Dowiadywała się, jak szczepić te podziemne rośliny, jak je sadzić, jak łapać rogate zuki... Poznała lodowaty dreszcz towarzyszący przekraczaniu podziemnej rzeki, ból towarzyszący błyskawicy burzy pod Carris. Coraz bardziej się bała.

-Nie wiem... To tak... jakbym tonęła... - wyszeptała.

-Tonęła?

-Może to wspomnienia. Tyle ich jest...

Loma położyła dłoń na czole dziewczynki. Pot spływał po nim grubymi kroplami.

Jureem wrócił z bukłakiem chłodnej wody i królowa dała się napić Averan, której całkiem już zaschło w ustach. Piła tak długo, aż poczuła, że żołądek więcej nie przyjmie.

Jednak pragnienie nie ustąpiło.

Rozplakała się.

-Już dobrze - powiedziała Loma. - W ciągu trzech dni przyjeżdża wspomnienia trzech raubenów. To dużo za wiele jak na dziewczynkę, która dotąd żyła tylko własnym życiem.

Ale Averan pokręciła głową. Nie o to chodziło. Pociła się coraz intensywniej, serce biło z wysiłkiem, a żołądek boleśnie się skurczył. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się jej nic podobnego. Może te mózgi raubenów zatruiły jej krew?

-Wszyscy, których znam, Gina - szepnęła, nie odważając się dodać, jak bardzo sama boi się śmierci. - Pomóż mi, pani...

Ku zdumieniu Averan Loma pochyliła się i objęła ją.

-Pomogę ci - szepnęła. - Ilekroć będziesz mnie potrzebowała, pomogę ci, jeśli tylko zdołam.

To uspokoiło Averan. Nagle odkryła, że bardzo tęskniła za czyimś dotknięciem.

Kolejny napływ wspomnień raubena sprawił, że krzyknęła z bólu.

-Binnesmanie! - zawołała Loma. - Możesz podejść na chwilę?! Czarnoksiężnik zbadał Averan. Otworzył jej usta, zajrzał w oczy.

-Niczego nie widzę - mruknął zdumiony.

-Poci się jak w gorączce i drży z przerażenia.

-Ale dotknij jej głowy. Nie ma gorączki - zauważył Binnesman. Loma spojrzała na niego krytycznie i sama sprawdziła, a potem pokręciła z niedowierzaniem głową.

Binnesman wpatrzył się w Averan z niepokojem. Wyjął z kieszeni kilka ziół, które wydały mu się stosowne przy tych objawach.

-Powiedz mi, gdyby się pogorszyło - polecił łomie.

Averan zaś czuła, jak ból ogarnia z wolna całe ciało, nawet stawy i stopy, a w płucach płonie coraz silniejszy ogień. Pragnienie stawalo się nie do zniesienia, ale robiła co w jej mocy, aby o tym nie myśleć. Spojrzała na zieloną kobietę.

Dzika czyniła wyraźne postępy. Nauka szła jej tak sprawnie, że baron Waggit nie mógł za nią nadążyć. Kapitan przeszedł już do podstaw ataku i obrony.

-Przez dwadzieścia lat wykladałem w Komnacie Oreza, ale takiej dziewczyny nigdy nie widziałem - powiedział w pewnej chwili Binnesmanowi. - Gdy nie będzie ci już potrzebna, mogłbym wziąć ją sobie za żonę?

Czarnoksiężnik tylko się roześmiał.

Dziewczynka poczuła ukłucie zazdrości. Binnesman za wszelką cenę pragnął uczynić z Wiosny wojowniczkę, a Averan miała ją przede wszystkim za przyjaciółkę i nie podobała jej się wcale ta nauka fechtunku. Podobnie jak nie była zachwycona oczekiwaniami Gaborna.

31 JEZDZCY PRZED BURZA

Brak gotowości do walki może drogo kosztować. -Mendellas Val Orden Gaborn wyczuwał, że wokół łomy narasta niebezpieczeństwo. Niebawem ktoś miał ją zaatakować.

Obszedł rozstawione wokół obozu strażę, łącznie osiemdziesięciu gwardzistów. Ci, którzy mieli ich zmienić, przysiedli w większości na powalonych pniach, by naostrzyć topory i miecze, niektórzy udawali, że drzemają. Sto jardów dalej Myrrima i Borenson zajmowali się pakowaniem przed podróżą do Inkarry i chociaż oboje wyglądali, jakby całkiem ich to pochłaniało, rycerz co rusz spoglądał na rosnące nad strumieniem drzewa, jakby coś go niepokoiło.

Nic jednak nie zapowiadało kłopotów.

Gaborn podszedł do Skalbairna. Prosił go, aby miał oko na łome, i marszałek wywiązywał się z obowiązku, ale co parę chwil brał kij i uczył szermierki Waggita, na którego były już siódme poty. Nowicjusz naderwał nawet rekaw, jednak wyraźnie cieszył się każdą chwilą nowego życia.

-Powinieneś pojechać ze mną do Internooku - rzucił przyjaźnie Skalbairn, gdy świeżo upieczony baron bezskutecznie próbował trafić go kijem. - Tam cywilizacja jeszcze szczęśliwie nie dotarła. Ktoś taki jak ty dobrze by sobie tam poradził i mógłby zerwać z przeszłością.

-Badz czujny - szepnal mu Gaborn.

-Jak zawsze - sapnal marszalek.

Rzuciwszy jeszcze raz okiem na straze, krol wrocil do lomy i Averan. Dziewczynka miala szkliste oczy, spojrzenie co rusz uciekalo jej w glab czaszki. Wygladala na ciezko chora, pot lal sie z niej strumieniami.

Gaborn przykucnal obok.

-I jak? - spytal delikatnie, z troska. - Dowiedzialas sie czegos?

-Ten rauben to nie byl przewodnik, tylko jakis... pastuch robali - wyjakala Averan.

-Pasterz robali? - zdumial sie Gaborn.

-Taki jakby owczarz... tyle ze nie wypasal owiec... ale jakies cudaczne robaki...

Mowilam, ze walczymy z chlopami.

Miala racje, ale coz... sprawa nie byla taka prosta. Chodzilo o bezlitosnego wroga.

Czyzby to Averan miala zagrozić lomie? pomyslal nagle Gaborn. Malo prawdopodobne. Dziewczynka zostala przeciez uczennica Straznika Ziemi, miala sie opiekowac wszelkim zyciem. A jesli ktos sie nia... posluzyl? Trzeba to sprawdzic.

-Iomo, pozwolisz na chwile? - zapytal, po czym odszedl az sto jardow od Averan i stanal plecami do niej. Oparl noge na porosnietym lyszajami mchow kamieniu.

Wkolo ciemnialy w ziemi wyloty mysich jamek. Gdzies w poblizu gral swierszcz.

Raubenowie na Skale Mangana wzeli sie do pracy. Kilkadziesiat lepniakow niszczylo juz drzewa posrodku fortecy, zolnierze burzyli wieze i mury. Cale kaskady gruzu sypaly sie z poludniowego urwiska, a po chwili rozlegl sie takze gluchy lomot od strony i polnocnej. To wielki posag Mangana runal na ciagnaca sie sto jardow nizej rownine.

Wrazenie zagrozenia narastalo, podobnie jak rano, gdy Gaborn poczul, ze pewni ludzie zgina. I rzeczywiscie, polegli w pozniejszym ataku. Teraz zblizala sie chwila lomy.

Mieszkancy Carris mieli ponownie stawic czolo smierci dopiero nastepnego dnia. A potem... potem caly swiat stanie na krawedzi zaglady. Kiedy nieprzyjaciel uderzy ponownie? Za trzy dni? Cztery?

Gaborna z wolna ogarniala rozpacz. Wszedzie czailo sie niebezpieczenstwo.

Binnesman powiedzial pare dni temu, ze to nie Raj Ahten jest najgrozniejszym wrogiem. Tak

on, jak i Inkarranie, Lowicker i Anders mieli tylko odwracać uwagę od prawdziwego zagrożenia... Tajemnicza sprawa.

Czasem wydawało się Gabornowi, że wszyscy jego przeciwnicy realizują jeden, wspólny plan, chociaż może nawet o tym nie wiedzą.

Spojrzał na równinę, szukając jakiegokolwiek zapowiedzi ataku.

Łoma stanęła za jego plecami.

-Co jest tak ważne, że aż musiałeś mnie od niej odciągać? Nie wiedział, co jej właściwie odpowiedzieć, spróbował więc zyskać na czasie w nadziei, że kiedyś zagrożenie samo się ujawni.

-Oni chyba nienawidzą wszystkiego, co jest dziełem rąk ludzkich- stwierdził, wskazując na Skale Mangana. - Nie potrafią przejść obok tego obojętnie.

Nateżył zmysły i pojął, że zagrożenie wobec Łomy nie miało nic wspólnego z tym, czy przebywała blisko Averan, czy nie. Jednak narastało...

Dobyl miecza i wcisnął go w dłoń Łomy.

-Weź go - szepnął.

Przyjęła ostrze, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

-O co chodzi? Myślisz, że coś może mi się stać? Wokół nie było raubenów ani w ogóle nikogo.

-Łomo, ktoś chce cię zabić - odparł z wahaniem. Spojrzała na niego uważnie.

Okolica tchnęła spokojem. Gaborn zastanowił się, czy nie chodzi o coś całkiem innego, jakas skaza zdrowia, może słabe serce...

W oddali zahuczało i zawyło. W spokojnym powietrzu zerwał się nagle gwałtowny podmuch. Trawy przytuliły się do ziemi, a wyrwany z korzeniami wielki dąb wleciał wysoko w niebo. Podniósł się szeroki prawie na pół mili front kurzawy.

Gaborn słyszał już kiedyś ten dźwięk w Mrocznej Puszczy i wiedział, jakie stworzenie go wydaje.

Ruszyło w ich stronę. Przed frontem burzy pomykało trzech meżów na jasnych koniach. Nie wiadomo, kim byli.

-To czarna gloria! - krzyknęła Łoma.

32 SLUGA SWEGO PANA

Dobry sluga nie myśli o swej godności. Wszystko, co robi dla swego pana, warte jest szacunku. - kaif Jureem Feykaald zobaczył już dość. Wiedział, że Gaborn ma dreny ze sobą, widział efekty miazdzącego ataku na kolumnę raubenów i jak później grupa rycerzy nie posłuchała dźwięku jego rogu i pognęła na pewną śmierć. Potrafił się już domyślić, jakie są słabe punkty młodzieńca i gdzie przebiegają granice jego władzy. Był pewien, że jakkolwiek by go namawiał, i tak nie ruszy na pomoc Indhopalowi. W odróżnieniu od Jureema Feykaald nie dostrzegł żadnego powodu, aby oddawać się temu upadłemu Królowi Ziemi na służbę.

Jedno go tylko jeszcze tu trzymało - dreny.

Nie przypuszczał nawet, że aż tyle mogło ich jeszcze zostać. Przez cały rano zastanawiał się, dlaczego Gaborn zwleka z ich wykorzystaniem i co właściwie zamierza.

Chyba jest po prostu za ostrożny, uznał w końcu kaif. Może to taki władca, który woli przyjmować dary sam, bez pośredników.

A może daje czas swoim darmistrzom, by wynaleźli mu najlepszych, najsilniejszych, najzdrowszych i najmądrzejszych darczyców...

Jeśli tak, to trudno mu coś zarzucić. Byłby mądrzejszy, niż się wydaje.

Niemniej to wszystko były tylko spekulacje.

Feykaald czekał teraz na okazję. Miał nadzieję, że raubenowie poczynią jeszcze dość zamieszania, aby mógł porwać jedną skrzynkę drenów i uciec z nią do swoich.

Ta okazja nadeszła szybciej, niż się spodziewał, i z całkiem innej strony...

Wichura runęła na oboz, a kurzawa zakryła słońce. Kopie trzech gnających przed czołem burzy jeźdźców zajaśniały od błyskawic. Raubenowie na Skale Mangana podnieśli wielki rwetes.

Gaborn zadał w róg i gwardziści pośpieszyli do jego boku, podobnie jak Binnesman z dziką. Wprawdzie Gaborn miał w pobliżu całą, liczącą tysiące ludzi armię, jednak była ona rozrzucona na stosunkowo dużym obszarze.

Wóz z drenami stał wraz z resztą taboru jakieś sto jardów na wschód od Gaborna.

Straznicy sięgnęli po młoty bojowe i ruszyli bronić swojego króla.

Feykaald scisnął konia łydkami i pognął go w kierunku skarbu.

Jureem dobył szabli i pośpieszył na wezwanie Gaborna.

Przez cały ranek obserwował pilnie Feykaalda, pewien, że tamten coś knuje.

Czekał tylko na chwilę, gdy stary i głuchy pajak spróbuje ucieczki.

Teraz, gdy wichura i jeźdźcy byli z każdą chwilą coraz bliżej, kątem oka zauważył, jak Feykaald zmusza wierzgającego i rzadego ze strachu ogiera do galopu.

Wiatr cisnął Jureemowi w twarz piasek i zdzbla trawy. Unosił rękę, żeby przysłonić oczy, i ostrzegł krzykiem gwardzistów, ale chwilowo najważniejsze było bezpieczeństwo króla.

Wiatr runął niespodzianie na Myrrime, gdy zastanawiała się, dlaczego właściwie Gaborn tak nalegał, żeby ona i Ioma zostały jeszcze chwilę w obozie. Całą godzinę czekała już z Borensonem, by pozwolił im odjechać.

Teraz już znalazła przyczynę.

W Heredonie zabiła czarnego glory'ego, a dokładniej - unicestwiła jego ciało.

Ale takiego pomiotu żywiołu nie da się równie łatwo pozbyć. Biała się, że potwór zechce się teraz na niej zemścić.

Słyszała jego wściekłe wrzaski i czuła, że gdzieś w glebi czarnej chmury pulsuje żądza zemsty.

Trzej jeźdźcy gnali prosto na nią. Mieli smigle konie i nosili barwy Mysterii.

Myrrima wyjęła strzałę z kolczanu i sprawdziła grot. Był masywny, graniasty, z twardej stali. Takie groty wykuwano do przebijania zbroi.

Napłula na dłoń, zwilżyła drzewce i lotki strzały.

Serce biło jej coraz mocniej. Jeźdźcy gnali jak wiatrem niesieni. Dąb za plecami dziewczyny runął wyrwany z korzeniami, trawa latała w powietrzu, zdzbla słomy mierzyły w ludzi niczym małe wlocznie. Biedne wroble chowały się, gdzie który mógł.

Myrrima opadła na kolana i zmrużyła oczy. Oceniała, że jeźdźcy przejadą jednak obok, z lewej, ale nie dalej niż o jard.

Wiedziała, że będzie miała czas tylko na jeden strzał. Napięła luk, uspokoiła się...

-To ja cie zabiłam! - krzyknęła nagle do czarnego glory'ego. - To mnie powinienes zaatakować!

Jeden z rycerzy krzyknął rozgłosnie i skrecił, mierzac kopią w serce dziewczyny.

Na grocie broni sypał iskrami piorun w kształcie kuli.

Borenson ryknął ze złości i z młotem w dłoni pognął przez wichurę ku zonie.

Myrrima wyczekała, aż przeciwnik podjedzie na trzydziści jardów, i wypuściła strzałę.

Borenson był jednak szybszy. Uderzył młotem w kopie, aż zaryła w ziemię i pękła z trzaskiem. Piorun spłynął z niej na trawę i Borenson wyleciał w powietrze, krzyknął, po czym spadł po chwili kawalek dalej z dymiącymi podszewkami butów.

Myrrima obejrzała się. Jej strzala też trafiła. Z tak wielką siłą wbiła się w szyję jeźdźcy, że zmiądzyla mu chyba kregosłup. Wojownik zachwiał się jak szmaciana lalka, krew trysnęła mu z rany, ale przez chwilę jechał jeszcze prosto, chociaż martwy...

Pozostali dwaj smignęli obok dziewczyny i zaraz potem burza skryła cały świat za ciemną zasłoną...

Burza sunęła na Gaborna niczym monstrum z koszmarnego snu. Jej czoło miało teraz najwyżej ćwierć mili szerokości, urosło na ponad sto stop. Wśród kurzawy zajaśniała nagle błyskawica.

-Kryć się! - krzyknął władca, zasłaniając sobą łome.

Gwardziści, których wybrał właśnie na te chwile, ruszyli przeciwko jeźdźcom.

Langley zbliżał się z prawej, Skalbairn z lewej. Obaj byli świetnymi rycerzami, ale żaden nie oczekiwał czegoś podobnego.

Gaborn scisnął rekojesc młota i unosił tarcze, głównie dlatego, że chciał się osłonić przed piaskiem i miotanymi wichurą zdzębami trawy.

Obok rozległ się trzask drewna. Wiatr zaczął przewracać wozy z taboru.

Skalbairn wrzasnął i z olbrzymim toporem ruszył na pierwszego napastnika.

Podbiegł don od lewicy i nim przeciwnik zdążył przerzucić kopie przez konski kark, marszałek był już przy nim.

Jednak Skalbairn nie zaatakował go wprost, jak zrobiłby Gaborn, tylko odciął prawą nogę konia. Dokładnie na wysokości stawu. Biedne zwierze padło i przeżoziłkowało, a jeździec wraz z nim. Błyskawica, która spłynęła z kopii, zboczyła lekko w prawo i uderzyła w barona Handy'ego z Heredonu, rozszczepiając nieszczęsnika na dwoje.

Skalbairn dopadł tymczasem powalonego rycerza, stanął nad nim z toporem i... w tej samej chwili obaj zniknęli w kurzawie...

Feykaald widział, jak wichura niszczy tabor. Prawie natychmiast trzasnęły koła i wozy opadły na osie, a cały ładunek rozsypał się po okolicy. Jednak skrzyn z drenami nie było w

tych wozach.

Kaif uniosł burnus i ruszył w kurzawę. Wilgotne liście zaczęły zaraz smagać go po twarzy, ale zakrył ją tylko przedramieniem. Nieraz zdarzało mu się jechać w burzy piaskowej i ta tutaj nie była mu szczególnie straszna. Przez lata udawał, że jest słaby i głuchy, jednak miał aż kilka darów krzepy i słuchu. Teraz bardzo mu się przydały.

Każda skrzynia zawierała cztery tysiące drenów i wazyła pięćset do sześciuset funtów.

Sam je pakował i wiedział, jakie dreny w której leża. Kazał je też umieścić w sakwach, żeby łatwo było przewozić je w razie potrzeby na koniach.

Pogonił wierzchowca do wozu ze skarbem, skoczył nań i rozciął nożem okrywający skrzynie brezent. Grube płótno odleciało z wiatrem niczym zerwany żagiel.

Feykaald czym prędzej podważył wieko najbliższego pakunku i odłożył na sam dół wozu. W środku były dwie, związane sznurem sakwy.

Nawet z dwoma darami krzepy uniesienie kilkuset funtów nie było sprawą łatwą, ale po dłuższym sapaniu udało się przewiesić sakwy przez lek siodła. Potem będzie pora, żeby należycie je umocować.

Wiatr wylł coraz głośniejszy, prawie jak żywe stworzenie. Świadomy, że szanse na ucieczkę będzie miał tym większe, im później ktokolwiek odkryje kradzież, Feykaald zakrył z powrotem skrzynie i wbil wieko na miejsce.

Burza już go ogarnęła i zrobiło się prawie całkiem ciemno.

Kaif skoczył na siodło, odwrócił się plecami do wichury i czym prędzej odjechał.

Ku Gabornowi mknął już tylko jeden, samotny jeździec. Barwy na tarczy pozwalały w nim rozpoznać Beckhursta, który zawsze dotąd wydawał się w pełni lojalny wobec rodu Ordona. Sir Langley zaatakował go z boku.

Władca słyszał też krzyki czy zaklecia Binnesmana, który starał się dołączyć do króla, ale stary czarnoksiężnik nie miał żadnych darów i trudno mu było walczyć z wiatrem.

Gaborn opuścił tarczę. Zmysły podpowiadały mu, że to nie on, ale loma jest celem ataku. Langley zabiegł drogie przeciwnikowi i spróbował powtórzyć atak Skalbairna, jednak Beckhurst jechał na sprawniejszym znacznie rumaku, który wyczuł, co się święci, i bez wysiłku przeskoczył nad rycerzem. Zdawało się, że zwierze wleciało w powietrze.

Gaborn zebrał się w sobie. Raz jeszcze sprawdził, co dzieje się z wybranymi, i nabrał pewności, że naprawdę chodzi o lome. W tej samej chwili jego żona odwróciła się nagle i pobiegła...

-Nie! - krzyknął za nią.

...w stronę Binnesmana. Była już bardzo blisko, gdy dołączył do niej Jureem.

Mając za całą broń tylko lekka szable, chciał zasłonić! I ome swoim wielkim ciałem.

Wierzchołek Beckhustra ominał Gaborna.

Teraz! nakazała nagle ziemia.

Gaborn zawahał się na mgnienie oka, jednak zaraz sięgnął po młot i cisnął nim w przeciwnika. Niestety... chybił i serce zamarło mu w piersi. Czyżby ta chwila niepewności miała kosztować ją życie?

Nagle z boku pokazała się dzika z kijem, który nagle rozjarzył się błędnymi ogniami.

Jasność ogarnęła zaraz również zieloną kobietę, a jej orez trafił konia w kolano. Porażony ciosem i piorunem rumak zarżał z bólu, potknął się i upadł. Zanim jeszcze dotknął ziemi, dzika wymierzyła drugie uderzenie. Tym razem w skron Beckhursta.

Rycerz odchylił się jednak do tyłu i z całej siły rzucił kopią.

Gaborn widział to wszystko jakby w zwolnionym tempie. Biała kopia celowała prosto w plecy lomy.

-Padnij! - krzyknął.

Jureem był już prawie obok królowej i gdy tylko ujrzał kopię, skrecił lekko, by stanąć jej na drodze. Tylko raz krzyknął, gdy groź zaglebiał się w jego ciele, a ogień buchnął spod stóp.

Gaborn patrzył oszolomiony, jak rzucona mocarna dłoń kopią przebija pierś Jureema, rozpycha zebra, wychodzi plecami i leci dalej...

Obok trysnęła fontanna krwi. To dzika kijem straciła Beckhurstowi głowę z ramion.

Kopia zahaczyła o prawe ramię lomy i szata królowej szybko zabarwiła się na czerwono.

loma upadła.

Wiatr znów ryknął, burza odezwała się gromem, płosząc konie. Binnesman pozbierał się jakos i zaczął walce z żywiołem. Przelotnie dotknął bezwładnej królowej końcem łaski.

Chwile później wszystko zaczęło się uspokajać. Burza pognęła dalej, ale ciągle wyla i grzmiała, jakby nasmiewała się z niedźnych wysiłków śmiertelnych istot.

Nauka rodzi wiedza. Wiedza rodzi władze. Władza rodzi odpowiedzialność. - inskrypcja nad drzwiami Komnaty Liczb w Domu Zrozumienia loma ocknęła się z obolałym ramieniem. Piekło ją jak oblane wrzaskiem. Leżała na brzuchu, ale nie pamiętała, czy sama tak upadła, czy Binnesman ją potem ułożył. Wiedziała... że rzuciła się do ucieczki, żeby odciągnąć przeciwnika od Gaborna... a potem usłyszała ostrzeżenie i próbowała szybko paść na ziemię, gdy coś uderzyło ją w ramię...

Nie mogła na długo stracić przytomności, gdyż w dali slychac było jeszcze wycie wichru. Burza odchodziła na północny wschód, ku gorom.

Czarny glory zniknął równie szybko, jak się pojawił, ale nie przeszkodziło mu to zniszczyć całego obozu i porozpedzać koni, które z przerażenia pozrywały pęta.

Kto żył kierował się ku łomie i z ulgą stwierdzał, że królowa żyje. Binnesman nakładał już jakiś masć na jej ranę. Znieczulała i miłe rozgrzewała.

loma jęknęła i spróbowała się unieść. Przy okazji dojrzała leżące dwanaście stop dalej ciało. Poznała Jureema, a z tego, że nikt przy nim nie kleczał, wywnioskowała, iż wierny sługa musiał zginąć. Zginał, żeby ją uratować.

-Jureem! - zawołała na wszelki wypadek.

-Nie ruszaj się, pani - upomniął ją Binnesman. - Bo zaczniesz boleć bardziej, niż musi.

-A Jureem? Binnesman pokręcił głową.

-Niestety, Jureem i sir Handy zginęli.

To była przygnębiająca wiadomość. Handy'ego znalazła od dziecka. Miał osiem lat i był bardzo niesmiały, gdy ojciec po raz pierwszy przyprowadził go do zamku... A Jureem był sługa, jakich mało.

Spojrzała na swoją niezbyt wielką ranę. Dzięki niemu skończyło się tylko na tym, pomyślała.

-To drasniecie, nic mi nie będzie.

-Masz szczęście, wasza wysokość, że nie trafił cię prosto w serce - mruknął Binnesman. - Gdyby nie dzika, pewnie by mu się udało loma znowu spróbowała się dźwignąć, ale Binnesman jeszcze jej nie puszczał.

Konczył opatrywać ranę.

-No dobrze, niech już będzie - stwierdził po chwili. - Krwawienie ustąpiło. Przy twoich darach, pani, jutro będziesz całkiem zdrowa Czarnoksiężnik poszedł zająć się Borensonem, który ciągle jeszcze zwijał się z bólu.

Myrrima klęczala u jego boku.

Ioma uklekla wreszcie i rozejrzala sie wokolo. Obok stali Averan Langley, Skalbairn, a wszyscy wyraźnie zatroskani. Ze dwadziescia jardow dalej lezalo ciało człowieka, który chcial ja zabic, teraz juz tylko krwawa miazga. Rycerze Rofehavanu chcieli miec całkowita pewnosc, ze niegodziwiec juz sie nie podniesie.

Podpelzla do Jureema. Jego wyglad takze nie zostawial miejsca na zludzenia.

Ujela dlon zmarlego. Byla bezwladna i ciagle ciepla Kto wie naprawde, kiedy człowiek umiera i przestaje cokolwiek slyszec? pomyslala.

-Jureemie - wyszeptala mu do ucha. Jej oddech okryl para złoty kolczyk południowca.

-Dobrze sie sprawiles. Wypelniles swa powinnowsc. Dziekuja ci. Jesli bede mogla odplacic sie tobie na tym albo na tamtym swiecie, na pewno to zrobie.

Dluzsza chwila zostala obok niego, sciskajac stygnaca dlon, a gdy uniosla glowe, ujrzala barona Waggita. Stal nad nimi i plakal.

-Czy mozemy cos dla niego zrobic? - spytal w koncu. Pomyslala, jak to musi byc ciezko, gdy komus tak nagle przychodzi pojac, czym jest smierc. Waggit zyskal trzezwy umysl ledwie kilka godzin temu, a juz musial patrzec na gwałtowne odejscie dziesiatkow ludzi.

-Owszem- odparla. - Mozemy zyc dalej, aby jego czyn nie poszedl na marne.

Waggit poruszył bezglosnie ustami. Ioma pomyslala, ze poprosi, aby go przyjac na krolewska sluzba, wezmie dary i bedzie walczył, ale on tylko odszedl w milczeniu.

Jako glupiec zabil ilus raubenow, nie wiedzac nawet, ze odbiera zycie. Teraz chyba nie umial znalezc sie w roli wojownika. Ioma przypomniala sobie stare przyslowie "Sam glupi, kto glupca leczy". Gaborn chyba tylko zmarnowal na niego dren...

Ulozyla dlon Jureema na strasznej ranie w jego piersi. Dwoch rycerzy czekalo juz, zeby zabrac ciało.

Spojrzala na Averan. Wielki dab, pod którym jeszcze niedawno lezala, teraz poniewieral sie kawalek dalej. Powykrecane korzenie wznosily sie wysoko w niebo.

Mimo gwałtownosci wichury dziewczynce nic sie nie stalo. Przysiadla przy pnium i objela nogi rekami.

Nieco dalej Binnesman zajmowal sie Borensonem.

-Bardzo boli, gdy oddychasz? - spytal.

-Cale powietrze ze mnie wydusilo, to jak ma byc? - wystekal rycerz.

Ioma uniosla glowe i napotkala przenikliwe spojrzenie Gaborna. Ruchem dloni odprawil wszystkich, ktorzy przyszli ujrzec skutki ataku, i dziękowali losowi, ze ocalil ich krolowa.

-Dlaczego? - spytal, gdy byli juz sami. - Dlaczego czarny glory wlasnie ciebie chcial zabic?

-Nie wiem... - odpowiedziala Ioma, nie chcac dokladac mu jeszcze jednego brzemienia.

-Powiedz, prosze.

-Przyszedel po twego syna - odrzekla. - Wie, ze nosze twojego syna...

-Mego syna?

-Tak - szepnela Ioma. - Gdy szukal mnie w zamku Sylvarresta, mowil, ze wyczuwa syna w moim lonie.

Ioma nie wiedziala, co teraz uslyszy. Owszem, zbyt dlugo milczala, ale tez nie chciala przekazywac Gabornowi tej wiadosci w taki sposob...

-To dlatego przyjelam tyle darow - dodala. - Chcialam urodzic jak najszybciej.

Skoro czarny glory tak pragnal go zniszczyc...

Gabornowi az oczy pojasnialy i musial zamrugac, zeby cos widziec przez lzy. Ioma nie wiedziala, czy sie tylko cieszy, czy moze i smutek go ogarnal. Oboje przyjeli dary metabolizmu... zbyt wiele darow, aby mogli sie radowac normalnym zyciem. Czekala ich rychla starosc. Gdy dziecko bedzie miało dwanaście lat, ich ciała beda juz miały po sto i chociaz dary sil zyciowych uchronia je przed zniezdoleznieniem, w koncu odmowia posluszenstwa. Dziecko zapewne moglo urodzic sie bez problemow, ale zadne z nich nie ujrzy go nigdy doroslym. Gaborn wiedzial o tym, znal cene, jaka jego zona zgodzila sie zaplacic. Uklakl przy niej i objal.

-Poloz sie.

-Ale wszystko ze mna w porzadku... - odparla Ioma.

-Mimo to sie poloz.

Gaborn rozpostarl swoj plaszcz na trawie i pomogl Iomie sie ulozyc. Dzwonilo jej wprawdzie w glowie, ale moglaby stac. Katem oka dostrzegla, ze Binnesman wciaz zajmuje sie Borensonem.

-Kiedy zamierzalas mi powiedziec? - spytal Gaborn.

-Nie myślałam o tym... Chciałam poczekać, aż wojna przygasnie... Albo ciąża zacznie być widoczna... Nie wiem, co by nastąpiło najpierw.

Gaborn zmusił się do uśmiechu, za którym kryła się wyraźna troska.

-Na razie musimy zadowolic się tą krótką przerwą w walce -powiedział.

Ryk czarnego glory'ego wreszcie ucichł. W oddali lysnęła jeszcze błyskawica, przetoczył się grom i wreszcie zapadła cisza.

Averan siedziała zupełnie zagubiona. Zoladek i całe ciało bolały nieznosnie, na dodatek upiorne wizje wciąż nie chciały odejść.

Raubenowie na Skale Mangana znowu zaniesli się sykiem.

Pioruny budziły w nich straszne wspomnienia ucieczki przez wawozy gór Brace, w których co chwile coś błyskało oslepiająco. Wspomnienie straszego bólu i zagubienia.

Averan знаła je, gdyż było także udziałem Pasterza. Czula to samo, co on wtedy: nocny ziąb, od którego stawy prawie zamarzały, i nagle ciepło, które zmniejszyło cierpienie, gdy raubenowie zakopali się wreszcie razem w ziemi.

Nawet teraz, w pełnym słońcu, zdawało się jej, że ciągle jest za zimno i że nogi bola ją po długim biegu. I że jest niehumanie zmęczona i spragniona po całych dniach nieustannych marszów, walki i pracy.

Jednak najgorsza była dla Pasterza zszalonocna burza. Jej bał się najbardziej.

Był to strach niemal pierwotny, nieopanowany. Podczas gdy inni znosili rannych i zabitych z pobojuwiska, Averan siedziała i zastanawiała się, dlaczego właściwie raubenowie tak boją się burzy.

Jednak chociaż przeżyła już wiele ich wspomnień, pojawiały się wszystkie we własnym porządku. Nie umiała znaleźć wśród nich tego, na którym jej zależało.

Trwała tak drugie minuty, próbując wejrzieć w mroczny umysł Pasterza. Widziała raubenów kopiących kanały mające doprowadzić parującą wodę do nowo odkrytych jaskiń, raubenów przeganiających tunelami młode robaki i raubenów oprawiających zdobycze.

Pasterz rzeczywiście bardzo przypominał zwykłego wiesniaka.

Niemniej z wolna Averan zaczęła pojmować, czym różnił się od wszystkich ludzkich gospodarzy, jakich zdarzyło się jej poznać. Widziała przecież i dojenie krow, i wyganianie owiec na pastwisko. Sama zajmowała się gniazdkami w gnieździe.

Pomiedzy człowiekiem a zwierzeciem zawsze mianowicie powstawała jeszcze jedna wiez -

uczuciowa. Averan na swój sposób kochała oddane jej pod opiekę graaki, żywiła je i drapała między oczami albo po podgardlu. Rauben w ogóle nie znalazł tego uczucia.

Zajmował się stworzeniami, które potem zjadano, dbał o nie, ale przez cały czas musiał się powstrzymać przed rozdarciem ich na strzępy i natychmiastowym pozarciem. Był istotą o nieopanowanym apetycie.

Nagle pojawiła się jeszcze jedna rzecz. Pasterz został wysłany z armią w konkretnym celu: miał się nauczyć, jak obchodzić się z ludźmi.

Teraz widziała wszystko wyraźnie. Głęboko w podziemnym świecie była i taka jaskinia, do której Pasterz zaglądał niekiedy, żeby pomagać przy ludziach. Tam właśnie prowadzono badania nad ich hodowlą i uprawianiem.

Wśród wspomnień Raubena pojawił się obraz ciemnego wnętrza, w którym stłoczono ludzi tak przerażonych, że nawet się nie poruszali. Pasterz siedział między chudymi, schorowanymi postaciami i patrzył na nich łakomie. Jednak wszyscy byli dokładnie policzeni i wiedział, że żadnego nie może nawet uszczknąć.

Ale w końcu trafił na matkę z nowo narodzonym dzieckiem, którego nikt wcześniej nie widział i na pewno nie włączył do ewidencji. Szybko więc wyrwał noworodka z objęć kobiety i pozarł. Słodki smakolyk.

Averan zrobiło się niedobrze. Nie dlatego, że Rauben popełnił kolejne z wielu okrucieństw, ale ponieważ ona potem zjadła kawałek jego mózgu.

Na dodatek Gaborn wciąż na nią liczył. Potrzebował następnego zwycięstwa...

Averan wstała i podeszła do niego i łomy. Ciągle czuła się nieswojo, jakby nie przebywała we własnym ciele. Wciąż jej się wydawało, że powinna poruszać się na czterech nogach. Ledwo zdołała ominąć leżące na ziemi martwego wrobla.

-Miałeś rację, panie - powiedziała do Gaborna. - Raubenowie to potwory. W ogóle nie przypominają ludzi.

Gaborn spojrział na nią z zaciekawieniem.

-Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

-To, co zamierzają z nami zrobić, i jak na nas patrzą. Mają nas wyłącznie za pożywienie. Ale wcześniej zastanawiałaś się, panie, dlaczego Raubenowie wdrapali się na te skały. Może przez zmęczenie, chłód i brak żywności. Nie potrafią maszerować po śniegu ani atakować na lodzie. Noc mocno dała im się we znaki, a na dodatek brak im wody do picia.

Wszystkich ich dreczy pragnienie.

Gaborn spojrzal w zamysleniu na Skale Mangana.

-Zatem naprawde znalezi sie w pulapce?

-Moze. Ale zagnal ich tam przede wszystkim strach.

-Przed czym?

-Przed toba!

Gaborn zachichotal, jakby to byl zart.

-Jak moga sie mnie bac?

-Znaja juz twoj zapach. Wczoraj, podczas bitwy, magini go rozpoznala.

Zrozumiala, ze to ty spowodowales trzesienie ziemi, a gdy sie zjawiles, ludzie zaraz zaczeli lepiej walczyć.

Przekazala wzor twojego zapachu wielu wojownikom, ostrzegajac, jak bardzo jestes niebezpieczny. Zrobila to na chwile przed tym, jak czerw zniszczyl Pieczec Nieutulonego Zalu, a niebo pojasnialo od blyskawic.

-No i?

-Nie rozumiesz, panie? Teraz mysla, ze czarnego glory'ego tez ty wezwales.

Wczesniej uciekli spod Carris nie dlatego, ze wpadli w przerazenie, ale zeby zawiadomic Mistrzynie!

Wszyscy, ktorzy tymczasem zgromadzili sie wokol nich, zamilkli zaintrygowani.

-A co sie stanie, kiedy ja zawiadomia? Averan ledwo mogla mowic z przejecia.

-Rzuci do walki wszystkie swe armie, aby cie zniszczyc!

34 SWIAT PODZIEMI

Na poczatku byl tylko jeden swiat i jedno slonce, a wszyscy zyli w prawosci pod wielkim Pradrzewem. - pierwsze zdanie Sagi o Stworzeniu Erin Connal nie potrafila przestac myslec o otwartej posrod ruin Twynhaven bramie do podziemnego swiata. Chociaz obrocila sie do nich plecami i odjechala, ciagle staly jej przed oczami, nie pozwalajac zajac sie innymi, pilniejszymi sprawami. Dwie godziny pozniej zatrzymala sie razem z Celinorem na samotnym wzgorzu, z ktorego roztaczal sie widok na odlegly o piec mil zamek Higham, ktory lezal juz w poludniowo-wschodnim Beldinooku.

-Istne gniazdo szerszeni - mruknał książe.

Wojowniczkę z Fleeds powiadały, że córka Lowickera chce rozejmu, ale widok w dole kojarzył się raczej z przygotowaniami do wojny. Ciesle i murarze naprawiali szczyby w fortyfikacjach. Na bloniach krzątało ze trzy tysiące ćwiczącej z kopiami jazdy.

Ze wschodu nadciągały wozy z zaopatrzeniem, a w dali nad drogami unosiła się brunatna kurzawa, jakby maszerowały tamtędy wielkie armie, których jednak nie dało się dostrzec.

Erin i Celinor skierowali się przez lasy na zachód. Woleli nie jechać drogami, okrzykli więc Beldinook i dalej ruszyli korytem wyschniętego strumienia.

Przez cały dzień byli spieci i mało rozmawiali. Książe denerwował się chyba bardziej niż dziewczyna.

Erin ciągle myślała o Twynhaven. Nawet gdy dotarli do malej, zielonej dolinki wyłoczonej przeswiecającymi przez liście słonecznymi poblaskami, ona wciąż miała przed oczami zielone płomienie jasniejące wśród poczerniałych ruin. I bramy pomiędzy światami.

Kto wie, jakie cuda mogą się kryć po drugiej stronie? Starczyłoby kilka kroków... Taka przygoda!

Ale czy na pewno by się jej udało? Czarnoksiężnicy potrafią przekraczać podobne progi, jednak zwykły człowiek chyba nie... Niemniej jej sztylet gdzieś zniknął.

Może został zniszczony, a może ciągle gdzieś leży w tamtym świecie.

Na pobliskim wzgórzu odezwał się spłoszony gawron. Co go zaniepokoiło?

To mógł być tylko dzik albo niedziedz, ale w tym stanie ducha oboje woleli sprawdzić. Wstrzymali wierzchowce w cieniu sosen i przez dłuższą chwilę nasłuchiwali. W końcu, gdy gawron nie zakrakał ponownie, Erin pogoniła rumaka.

Wjechali do wawozu utkanego wysokimi drzewami, które rosły tak gęsto, że nie trzeba się było obawiać napadów z boku. Nikt nie przedarłby się przez ten gąszcz.

Czując miły, cienisty chłód Erin przymknęła oczy. Niewiele drzemiała w ostatnich dniach i chciała choć trochę odpocząć na modłę Władców Runów, czyli nie kłaść się do snu, a jedynie odpływając w marzenia.

Wciąż jednak myślała o szarych popiołach Twynhaven i szczątkach mieszkańców wioski. I migoczącym oku zielonych płomieni. W wyobraźni stanęła na skraju kregu i skoczyła...

Wylądowała z impetem i przykucnęła w gestej niczym dywan trawie. Była noc, a na niebie jasniały gwiazdy. Ale nie mizerne dziesiątki tysięcy, które próbowała policzyć jako dziecko,

ale wiele setek tysięcy gwiazd tak jasnych, że razem dawały więcej światła niż księżyc w pełni.

Na szczycie niewysokiego wzgórza przed nią rosił gigantyczny dąb. Każdy jego konar był grubszy niż pnie znanych jej dębów, a na ich rozwidleniach można by domy budować.

Pradzewo! pomyślała. Wielki dąb, który według legend był schronieniem pierwszych ludzi... Jednak zaraz dostrzegła swoją pomyłkę. Po lewej rosły jeszcze bardziej majestatyczne drzewa. Każde było na swój sposób doskonałe, jakby kształtowała je myśl jakiejś wyższej, szlachetnej istoty.

Więc to nie Pradzewo. Zwykłe drzewo, chociaż dziwne...

Rozejrzała się uważnie. Okolica była jak wymarła. Brakło grania świerszczy, dopiero po chwili gdzieś bardzo daleko rozległo się gardłowe wołanie jakiegoś stworzenia, może ptaka.

Nie widząc żadnego szczególnego celu, ku któremu miałyby wędrować, Erin skierowała się w stronę najbliższego drzewa. Zatrzymała się jednak po paru krokach. Tam, gdzie przystanęła, zielona trawa sięgała jej prawie do kolan, ale wokół coś wygniotło w niej szeroki na sto jardów krag. Dopiero teraz poczuła też won spalenizny. Dolatywała z leżacej nieco dalej lisy, gdzie w blasku gwiazd lśniło coś jasnego, jakby lod.

Podeszła tam. Owo coś przypominało długiego na trzy stopy skorpiona. W każdym razie ogon wyglądał na skorpioni, podobnie jak szczytce, ale barwę miało srebrzystą. Jedno z odnóży było złamane, a czarna smuga na grzbiecie sugerowała, że stworzenie zostało porażone piorunem.

Ale czy to rzeczywiście było zwierze, czy może tylko rzeźba? A jeśli zwierze, to czy na pewno martwe? Ślad na trawie wskazywał, że ow niby-skorpion sam tutaj przypelził.

Erin wzięła do ręki młot i wciągnęła głęboko powietrze. Słodko pachniało trawami i lekko spalenizną. Tak, bez wątplenia piorun... Po chwili dostrzegła dalsze lisy, a w każdej widniał jakiś magiczny symbol.

Obeszła cały krag i odnalazła łącznie trzynastę run rozmieszczonych w równych odległościach. Każda była inna, a wszystkie całkiem jej nieznaną. Ślady kopyt mówiły, że nie tak dawno kreciło się po okolicy wielu jeźdźców. W powietrzu wisiała lekka won konskiego potu.

Próbowała się domyslić, co właściwie się tu działo. Może ktoś, kresląc runy, ściągnął sobie na kark jakiś patrol? Ale skąd ten martwy skorpion?

Powoli ruszyła pod górę, ku drzewu, pod którego galeziami schować mogłoby się cały normalny las. Każdy liść dorastał do rozmiarów napiersnika, a połowka skorupki żółedzi mogłaby posłużyć za hełm.

Nim doszła jednak w cien korony, poslyszala w dali cos jakby przeciagly grzmot i zdumiala sie. Powietrze nie bylo zbyt wilgotne, nie czula wiatru. A jednak nad horyzontem cos blyselo. Obrocila sie...

Niebo ciemnialo z tamtej strony na wiele mil szeroko. Gwiazdy przeslonilo zwalowisko chmur, z ktorego ku ziemi splywaly strugi ognia. Jednak to nie mogla byc zwykla burza, gdyz ponad czarnym walcem plonely zywo ogniste sylwetki przypominajace uskrzydlych ludzi.

Erin raz tylko widziala podobnego potwora, teraz nadlatywaly ku niej tysiace jego braci odleglych juz tylko o szesc mil.

Biegiem puscila sie ku debowi. Miala nadzieje, ze wielkie drzewo osloni ja tak, jak bujne krzewy scigana przez jastrzebia mysz.

Robilo sie coraz bardziej stromo i ciemno, bo rozlozyste konary zaslanialy swiatlo gwiazd, a od skraju cienia do pnia dzielilo ja cale pol mili.

Im blizej byla, tym silniejsza robila sie wokol won lisci. Erin uswiadomila sobie, ze dotad nie wiedziala naprawde, jak moze pachniec dab. Biegla po grubym kobiercu butwiejacych szczatkow roslinnych, az ogarnely ja chlod i ciemnosc ziemi, ktora od tysiecy lat nie zaznala zapewne slonecznego blasku. Tutaj, blisko pnia, nie roslo juz nic.

Nagle sie potknela. Pod jej stopa trzasnela jakas kosc. Obok dojrzala wbity w ziemie wielki miecz. I szczatki zbroi oraz kolejne kosci... w tym czaszke, ktora byla o wiele za szeroka na ludzka.

Kolejny piorun uderzyl gdzies blizej, o mile czy dwie od drzewa. Blyskawice raz za razem oswietlaly jej droge, az zaczela sie obawiac, czy nie zdradza jej obecności. Krzyki czarnych glorych urosly w chor nieludzkiego wycia.

W koncu dotarla do pnia. Byl szorstki i guzowaty, w przekroju musial miec z dziewiecdziesiat stop. Gdy znowu lysnelo, Erin mimowolnie krzyknela, gdyz ujrzala oblicze drzewa: oczy i szerokie usta.

Zatrzymala sie i poczekala, az kolejny blysk ponownie ukaze niezwykla twarz. I dopiero wtedy poznala, ze i oczy, i usta zostaly po prostu wyrzezbione na omszalej korze.

Twarz nalezala do kobiety i byla wrecz nieziemsko piekna. Wargi rozchylaly sie, jakby w krzyku, a za nimi czerniala pustka.

Schronienie! Erin wbiegla w szerokie na dwadziescia stop usta, potknela sie i potoczyla po stromiznie. W koncu zatrzymala sie z grzechotem na stosie kosci.

W powietrzu unosil sie pizmowy zapach sugerujacy, ze osobliwa dziuple moze

zamieszkiwać jakiś zwierzę, jednak panowała w niej absolutna ciemność. Tylko w chwilach, gdy z coraz bardziej burzliwych niebios spływała błyskawica, dawało się cokolwiek dojrzec.

Erin wspięła się z powrotem ku otworowi i przykucnęła tuż obok. Nie dalej niż o pół mili biegł przez równinę jelen. Szedł wielkimi susami, ale zdawał się płynąć powoli, jak we śnie.

Czarni glory wyli i rycieli, aż krew mroziła w żyłach. Przypominało to zawroźnienie wilków połączone z jękiem sztormowego wiatru.

Piorun uderzył przed jeleniem, który skoczył w prawo, kierując się ku drzewu, ale kolejna błyskawica sprawiła, że znowu skręcił.

Nagle z chmury wychynęły skrzydlate postacie. Zaklebiły się niczym stado nietoperzy i jelen zniknął.

Nad Erin zamajaczył w pewnej chwili jakiś skrzydlaty kształt, dało się słyszeć cichy łopot czegoś wielkiego, co przemknęło tuż nad dziewczyną i wleciało do dziupli.

To czarna glory, pomyślała z bijącym sercem i rzuciła się na ziemię. Twarz wtuliła w prochno. Nie śmiała się poruszyć.

Jednak nie doczekała się dzikiego wrzasku potwora, nie poczuła wbijających się w jej ciało pazurów. Usłyszała za to, jak jakiś wielki ptak składa skrzydła i zaczyna czyścić póra.

Po chwili zahukał z cicha, podobnie jak czynią to sowy.

Był jednak znacznie większy niż zwykła sowa. Jego skrzydła musiały mieć ze dwadzieścia stop rozpiętości.

W równinie bil teraz piorun za piorunem i całe drzewo trzęsło się od huków i wrzasków czarnych. Wiatr wyl w konarach i unosił setki zerwanych liści.

Erin zacisnęła dłonie na rekojesci młota. Wpatrywała się w ciemność niepewna, czy jej nowy towarzysz nie stanowi zagrożenia.

W końcu przy kolejnym błysku ujrzała, że ptak usadowił się na wystającym korzeniu około pięćdziesięciu stop od niej. Sama dziupla zdawała się prowadzić daleko w głąb, ku czemuś na kształt jaskini.

Drapieżne ptaszysko było ciemnoszare, piers znaczyły mu białe plamy, a szyja okalał czarny kołnierz. Złociste ślepią, w których wyraźnie odbijały się błyskawice, miał wielkie jak spodki.

Patrzył na dziewczynę, bez mrugnięcia. Dziób miał dość potężny by jednym kłapnięciem odgryźć człowiekowi rękę... i trzymał w nim coś lśniącego.

Znow zrobiło się ciemno, ale powidok pozwolił Erin dojrzec liczne walające się pod jej nogami kości. Poczula też zapach ptaka i była już prawie pewna, że to właśnie jego mieszkanie.

Nagle blask zalał cały horyzont i tym razem Erin poznała, co sowa trzyma w dziobie - to był jej szept.

Stworzenie wypuściło bron, która spadła ostrzem w dół i wbiła się z trzaskiem w jedną z leżących tu czaszek.

A zaraz potem przemówiło szeptem, który zaswidrował Erin w głowie: "Wojowniku z Krainy Cienia, wzywam cie!" Nie odebrała tego uszami, ale jakby całym ciałem, aż kości ją zabolaly.

To tylko sen, powiedziała sobie nagle. Obudź się.

Ocknęła się z powrotem w lesie pod czystym, błękitnym niebem. Celinor jechał obok niej, a konie same pilnowały drogi. Po konarze pobliskiego drzewa przebiegła szczebiocząca wiewiórka.

Serce Erin ciągle wybijało pospieszny rytm, nadal zdawało się jej, że czuje pismo w jamy pod wielkim debem, słyszy nieustanny huk burzy. Z jakiegoś powodu była dziwnie pewna, że tam, w świecie podziemi, jej szept został już znaleziony. Znaleziony przez kogoś albo przez coś...

35 MYSLEĆ JAK WROG

Jakże niewiele dzieli strażnika od więźnia! Oto, co grozi, gdy próbuje się myśleć jak wrog. - aforyzm z Mystarrii - Nigdy bym nie przypuszczał, że jedna mała dziewczynka może być zwiastunem tylu złych wieści - mruknął Gabor, uśmiechnął się do Averan i pogładził ją po policzku. Był wyraźnie zaniepokojony tym, co właśnie usłyszał. Wyruszył do Carris w nadziei uratowania mieszkańców miasta i udało mu się to, na dodatek odniósł wspaniałe zwycięstwo. Jednak sciągnął tym samym na siebie uwagę wroga, który znalazł już teraz jego imię i zamierzał go zniszczyć. Binnesman ostrzegał, że im więcej ludzi będzie starał się ocalić, tym więcej przybędzie mu wrogów. Możliwe, że właśnie bitwa o Carris uwolniła lawinę, która niebawem zniszczy cały świat...

O tym wcześniej nie pomyślał.

Obecnie zamierzał unicestwić Jedyną Prawdziwą Mistrzynię, ale jeśli nawet tego dokona, czy nie przyspieszy w ten sposób katastrofy? Nie, to chyba niemożliwe.

Ziemia podszeptowała mu przecież, że to właściwa decyzja.

Niemniej wciąż miał wątpliwości. Stracił sporo ze swych mocy, więc i możliwość popełnienia

bledu musiala wzrosnac...

Spojrzał na Skale Mangana. Raubenowie oczyszcili już prawie jej korone z drzew.

Wszystko, co wyrwali, zrzucali natychmiast z urwiska, na którym wystawili już posterunki.

Straznicy czuwali z orem w łapach i nieustannie poruszali wyrostkami. Pozycja była na oko niezdojta.

-Powiedzialas, ze zdazali do podziemi - spytał Averan. - Skoro tak, to dlaczego sie zatrzymali?

-Moze dlatego, ze zabiles, panie, ich maginie.

-I to moglo zmienic ich plany?

-Tak! Musza wybrac dowodzaca, a potem ulozyc nowy plan.

-Jaki nowy plan?

-Zabiles maginie - sapnela Averan. - A to znaczy, ze dotychczasowy plan nie byl dosc dobry. Musza obmyslic nowy, ktory lepiej zadziala, i wylonic nowych dowodcow. Smierc magini zawsze wszystko dla nich zmienia.

Gaborn zastanowil sie. Tak, to mialo sens.

-Nigdy sie nie domyslimy, co moga knuc - powiedzial Skalbairn.

Gaborn wiedzial, ze nie powinien w calosci polegac na informacjach Averan, ktora wprawdzie lepiej rozumiala raubenow niz jakikolwiek inny czlowiek w dziejach, ale jej wiadomosci pochodzily w najlepszym razie sprzed paru godzin. Nie potrafilo powiedziec co robi wrog w tej chwili.

-Jesli nawet cierpia pragnienie, bol i rozterki, to wcale tego nich nie widac - orzekl Jerimas.
- Niemniej mozna przypuszczac, ze z kazda chwila bedzie im gorzej.

-No to na co liczyc moze ich nowa magini? - spytala Ioma.

-Moze na to, ze slonce ich w koncu ogrzeje - podsunal Binnesman. - Jaszczury tez wygrzewaja sie przed polowaniem.

-Albo chca zyskac czas do namyslu - dodala Ioma.

-Chyba nie, pani - mruknal Skalbairn. - Ta skala jest jak forteca. Raczej maja nadzieja sklonic nas do bitwy na ich warunkach.

To ostatnie wydawało się całkiem prawdopodobne. Gaborn spojrzął na Jerimasa, który zmrużył w zamysleniu oczy. Dla niego był to tylko teoretyczny problem do rozwiązania.

Skalbairn przyglądał się, Skale Mangana, szukając sposobu na wywabienie wroga z fortecy.

loma wyglądała na wystraszona.

-A może to dywersja - odezwał się w końcu marszałek. - Przeszli do obrony, żebyściągnąć tu nasze załogi z pobliskich zamków, a sami czekają na posiłki.

-Może. Musimy to sprawdzić - powiedział Gaborn, rozumiejąc, jakie to byłoby groźne. Skinał na czekającego w pobliżu kapitana i rozkazał, by czym prędzej rozesłał zwiadowców po dalszej okolicy.

-Albo też chcą osiągnąć w ten sposób więcej niż jeden cel - zaryzykował Jerimas.

Gaborn coraz bardziej się upewniał, że za dziwnym manewrem wroga kryje się jakiś podstęp. Czuł, że Carris wciąż jest zagrożone... Siegnął zmysłami ku wybranym i nagle odkrył coś dziwnego. W Carris nie było już prawie nikogo!

Większość mieszkańców uciekła na południowy wschód i ci byli obecnie czterdzieści mil na wschód i kilka na północ od Krola Ziemi. Pozostali wybrani uchodzili na zachód albo na północ i nic im nie zagrażało, to Gaborn wyczuł wyraźnie. Bezpieczna była też garstka, która mimo wszystko została w mieście. Zły los zastawiał pasci tylko na uchodzących na południowy wschód - a i to nie na wszystkich. Żadna z dróg wiodących w tym kierunku nie była całkiem bezpieczna. Również rzeka Donnestgree, która wiele łodzi zmierzało ku innym dużym miastom leżącym w dole nurtu.

Gaborn przypomniał sobie ewakuowaną wodą rzeszę rannych. Było ich tylu, że Binnesman nie mógłby pomóc wszystkim. Łodzie rozproszyły się obecnie na długim odcinku rzeki. Czyżby zmierzały w zasadzkę? Niebezpieczeństwo narastało. Jutro o tej porze miało się już ujawnić. To mogło być cokolwiek - raubenowie, fala powodziowa albo atak oddziałów Lowickera.

-Poza zwykłym zwiadem wyślij jeszcze tuzin ludzi w dół Donnestgree - polecił Skalbairnowi.

-Tak, panie - odparł marszałek i przekazał rozkaz podwładnemu. - A wracając do raubenów, jeśli chcą ostrzec swoją Mistrzynię przed tobą, trzeba ich będzie jakos powstrzymać.

-Najlepiej byłoby ją dopaść, zanim jej przekaza najnowsze wieści - odparł Gaborn.

Nie wiedział jednak ciągle, jak znaleźć te bestie w podziemnym świecie. A Averan nie mogła mu nijak pomóc, jeśli nie znajda przewodnika. Nie chciała wcześniej posłużyć za

przewodniczke, a on nie smial prosic o tak wielkie poswiecenie.

Spojrzal po zebranych wokol rycerzach.

-Panowie, przepraszam na chwile - powiedzial, ujal Averan pod ramie i odszedl z nia kilka krokow na bok. Za nimi podazyli tylko Ioma i Dziennik.

-Averan - zaczel ze scisnietym gardlem - mam do ciebie wielka prosbe.

-Jaka? - spytala cicho dziewczynka. Bardzo sie bala, ale probowala wygladac na dzielna.

-Wyruszam do podziemnego swiata, aby odszukac Koscielisko i Mistrzynie. Czy zaprowadzisz mnie do niej?

Nie bylo mu latwo, ale musial zadac to pytanie. Averan przelknela ciezko sline i dreszcz ja przeszedl.

-Nie mozesz oczekiwac az tyle od dziecka - zaprotestowala Ioma.

-Musze - odparl Gaborn. - Mamy coraz mniej czasu.

-A moze dzika moglaby w tym pomoc? - zasugerowala Ioma.

-Myslalem o tym, ale ona ciagle ledwo mowi. I watpie, by zrozumiala, czego od niej chcemy.

-Alez Averan to tylko mala dziewczynka. Nawet jesli sie zgodzi, nigdy nie pojmie, jakie to dla niej zagrozenie!

-Rozumiem - odezwala sie stanowczo Averan i pokazala palcem na Gaborna. - Rozumiem lepiej niz ty, panie. Nie wiesz, o co prosisz. To dluga i niebezpieczna droga.

Raubenom jej przejście zajmuje cale dni.

-Ile? - spytal Gaborn. Averan pokrecila glowa.

-Nie wiem. Oni nie licza czasu tak samo jak my.

-Averan, to bardzo wazne - powiedzial Gaborn. - Czuje, ze nadciaga niebezpieczenstwo. Dla wszystkich. Musimy niebawem wyruszyć. Nie mamy czasu krazyc calymi dniami w poszukiwaniu wlasciwej drogi. Czy naprawde nie mozesz podsunac zadnych wskazowek?

Dziewczynka znowu pokrecila ze smutkiem glowa. Gaborn jakos nie mogl do konca jej uwierzyc.

-A jesli pojdziemy po sladach raubenow? Ta sama droga, ktora przysli?

-To może się udać. Ale i tak musimy zejść głęboko, do jaskin legowych, gdzie maginie składają jaja. Tamte tunele zostały wygładzone, żeby łatwiej było nimi maszerować, ale są dobrze strzeżone.

Gaborn westchnął i potarł skronie. Napięcie zaczęło go męczyć.

-Jeśli chcesz, panie, żebym cię poprowadziła, musisz najpierwściągnąć mi z tej góry przewodnika! - rzuciła Averan i pokazała reka na Skale Mangana.

-Zrobię tak. Ale zanim wyruszymy, będziesz musiała przyjąć dary. Nie możemy pozwolić, abyś opóźniła marsz. Dostaniesz krzepę, zwinność, siły życiowe i metabolizm. A przede wszystkim powonienie, żebyś mogła rozpoznawać zapachy raubenów.

-Averan... - zaczęła loma, ale dziewczynka jej przerwała:

-Dobrze. Każdy musi kiedyś umrzeć. Wszyscy moi przyjaciele zgineli. Król chce wiedzieć, czy będę gotowa z nim tam zginąć.

-To prawda - przyznał Gaborn. - Jest i taka możliwość, loma przygryzła wargę i ze smutkiem spojrzała na dziewczynkę. Wiedziała jednak, że dla Gaborna ta rozmowa też nie jest łatwa.

Averan ujęła dłoń królowej.

-Wiem, co robię, pani. Jeden człowiek to niewiele w porównaniu z całym światem...
prawda?

Gaborna nie zdumiała lzy, które pojawiły się w oczach żony. Zawsze z sercem podchodziła do ludzi. Jednak nie oczekiwał, że przytuli Averan z całych sił.

-Jakos kiepsko mi idą podobne rachunki - powiedziała. Przykleknął i objął je obie.

-Lomo, chciałbym, żebyś odjechała w jakieś bezpieczne miejsce - szepnął żonie do ucha. - Nie wyobrażam sobie lepszego niż Tide. Przy okazji zawieziesz list do pewnego mojego starego przyjaciela. Będzie wiedział, skąd wziąć tak potrzebne nam dary wechu.

-Ale minie wiele dni, zanim psy się do niej przywiąza- zauważyła loma.

-Poprosimy hodowców, żeby przyjeśli dary. Wtedy starczy parę godzin. Potem posłużą jako pośrednicy dla Averan.

loma pokiwała głową na zgodę. Gaborn zaś, nie marnując czasu, przygotował pismo i natychmiast zajął się kolejnymi sprawami.

Wiedział, ile można zyskać, zmieniając punkt widzenia. Już w wieku Averan nauczył się myśleć jak przeciwnik.

Gdy miał dziewięć lat, wybrał się z ojcem i jego swiata na polowanie w pobliżu źródeł rzeki Dweedum. Na miejscu okazało się, że chociaż do właściwej pory zostało jeszcze kilka tygodni, w nurcie pojawiły się już lososie. Gdy rozbili oboz, ojciec Gaborna powiedział, że chętnie zjadłby rybę na obiad. Nikt z orszaku oczywiście nie puścił tego życzenia mimo uszu i złapanie lososia stało się dla każdego zadaniem największej wagi.

To był jeden z tych chłodnych wiosennych poranków, kiedy słońce ledwie zagląda w doliny i zalegające w nich poranne mgły dopiero koło południa nagrzewają się dość, by ulecieć ku niebu. Skowronki i zieby skakały po galeziach sosen, a paprocie dojrzały już na tyle, że ich żelazisty zapach dominował nad woniami żywicy i mchów.

Woda w rzeczce opadła i odsłoniła zalegające dno koryta wielkie, szarawe glazy.

Najpierw szlachetnie urodzeni panowie narobili konno wiele halasu, żeby zagonić lososie w górę nurtu ku Wodospadowi Szalenca. Woda spadała tam srebrzystymi nitkami ze stu siedemdziesięciu stop, a wszędzie wokół unosiła się chłodna, osiadająca na skorze i ubraniach mgiełka. Żadna ryba nie miała szansy pokonać tej przeszkody, zatem nieduży, ale głęboki basen pod wodospadem był świetnym miejscem do polowania. Starczyło przetoczyć kilka glazów i odciąć lososiom drogę w dół rzeczki. Zostawiono tylko wąski, łatwy do upilnowania odpływ. Lososi jednak nie było wiele. Gaborn widział ze cztery umykające w górę nurtu, ale był pewien, że na głębokiej wodzie kreci się tylko jeden. Tym był cenniejszy...

Dorośli dali Gabornowi wólczyce i ustawili na posterunku przy odpływie. Miał ułowić ryby, gdyby próbowały uciec. Sami zaś wjechali konno do basenu, aż woda sięgnęła bruchów wierzchowców, i zaczęli z ciężkimi wólczykami uganiać się za tym jednym, jedynym lososiem, jakby co najmniej o odynca chodziło.

To było czyste szalenstwo. Konie szybko zmaciły wodę, tak że nic nie było w niej widac. Gdy tylko ktoremus mignęła w toni płetwa, zaraz wrzeszczał jak opętany, a inni gnali w jego stronę. Na dodatek założyli się jeszcze o to, który złapie największy okaz.

Spędzili masę czasu, miotając się za sztuką nie dłuższą niż meskie przedramię, aż po godzinie ktoś ja nadział na grot wólczyki i wtedy okazało się, że to całkiem niedorosły osobnik, który chyba przez pomyłkę wybrał się na tarło już teraz, a nie dopiero za rok czy dwa.

Gaborn nie uległ obłędowi. Nauki udzielane przez ojca nie poszły na marne.

Szybko doszedł do wniosku, że jeśli naprawdę chce złowić rybę, musi zacząć myśleć jak ryba.

Rycerze wciąż halasowali niemilosiernie w głębszej wodzie, w której unosiło się już tyle mulu, że ryba miałaby tam poważne kłopoty z oddychaniem.

Widząc to, chłopiec skierował się ku płytkom tuż przy brzegu, gdzie woda była dość czysta, a trawy i wodorosty dawały nieco osłony. Starczyła chwila, żeby wypatrzeć wystający z zieleni rybi ogon. Szybki ruch wolta... i zamówiona przez ojca ryba była na brzegu.

Długo jeszcze potem opowiadano, jak to młody chłopak osmieszył cały oddział najprzedniejszych rycerzy, łapiąc jedynego w całym jeziorze godnego uwagi lososia.

A gdybym był raubenem, co bym teraz zrobił? zastanowił się Gaborn. Napastnicy uciekali dokładnie tą samą drogą, którą dwa dni temu przyszli. W każdym razie wszystko na to wskazywało.

Przebiegły rauben wybrałby inną drogę.

-Sir Langleyu, marszałku! - zawołał, wzywając obu do siebie. - Zastanawia mnie, czy główne siły raubenów nie weszły na te skały tylko dla odwrócenia naszej uwagi? Może jakiś mniejszy oddział odłączył wcześniej od formacji?

-Moi ludzie pilnie ich obserwowali - powiedział Skalbairn. - Ale w nocy mogli czegoś nie zauważyć.

-Wyslijcie stu ludzi, żeby poszukali w okolicy innych jeszcze śladów raubenów - rozkazał władca. - Szczególnie w tej okolicy, gdzie raubenowie zakopali się na noc. Może się mylic, ale bardzo możliwe, że część z nich nie wyszła od razu o poranku. Niech patrol zabije wszystkie napotkane potwory. To bardzo ważne.

-Tak, panie - odparł marszałek.

-Gdy już się z tym uporacie, wezwijcie dowódców na naradę. Musimy się zastanowić, jak sciągnąć raubenów ze Skály Mangana. - Obrócił się do Averan. - Jak sądzisz, czy oni mają szansę wykopać tam studnię?

-Na Skale Mangana? - zdumiała się Ioma.

Gabornowi też wydawało się to mało prawdopodobne. Jak się przekuć przez setki stop litej skały? Raubenowie byli jednak silni i liczni, a ich pozycja praktycznie nie zagrożona.

Niemniej coś nadal się nie zgadzało. Zaczynał wyczuwać, że wokół niektórych jego ludzi narasta zagrożenie.

Unosił głowę. Raubenowie usypali na szczycie skały niewielki kopiec, a na nim... lepniaki wysnuwały już powoli nici układane w dziwnie znajomy wzór. Wokół całości tancyły niebieskawe ogniki, a gdzieś z dołu saczyły się brunatne opary. Na samej górze siedziała monstrualna raubenia tkaczka płomieni i unosiła kryształową laskę ku niebu.

Gabornowi serce w piersi zamarło.

-Przygotowują następną Pieczęć Nieutulonego Zalu! - zakrzyknął Binnesman.

36 MAYGASSA

Maygassa to najstarsze miasto świata. Wzniesiono ją dwadzieścia tysięcy lat temu, a kto spróbowałby kopac w dowolnym jej miejscu, zawsze natrafi na szczątki starych domów i kości ich pradawnych mieszkańców. Znaczenie nazwy miasta zaginęło w pomroce dziejów, ale najstarsze księgi podają, że Maygassa to "pierwszy dom". - wyjątek z dzieła Miasta i wioski Indhopalu mistrza Arachpumanjalego z Komnaty Stop Maygassa, stolica Starego Indhopalu, rozłożyła się na zachodnich stokach Anja Breal w Dolinie Lotosu. Miasto było nadzwyczaj ludne, jednak niczego właściwie w nim nie wytwarzano. Wieki temu radzowie Indhopalu pobudowali w nim nadrzeczną warownię zwaną Pałacem Słoni. Budowla stała na wielkiej szarej skale wznoszącej się prawie na osiemset stop. Jej podstawę pokrywały inskrypcje z tekstami objawień legendarnego radzy Peshwavanju. Było to arcydzieło sztuki zdobniczej głośnie daleko poza granicami kraju i zwane zwykle kamienną koronką z Maygassy.

Wedle niektórych podań nie było to wcale dzieło rąk ludzkich, ale samej ziemi, która stworzyła je cudownie pewnej nocy dla tych, którzy za cel życia obrali sobie poszukiwanie prawdy.

Raj Ahten unosił głowę i przeczytał najwyższy wers: "Pokłon się przed Słoniowym Tronem, wyniosły wędrowcze na swym wielbłądzie. Wiedz, że niczym jesteś, tylko pyłem".

Słowa te miały dla Baja Ahtena szczególne znaczenie. Pamiętał ostrzeżenia Binnesmana i wiedział już, że nie były to czcze pogrozki: ziemia przestała go wspierać. Na dodatek nie udało mu się dopaść Wuqaza. I teraz ten wers...

To tylko zbieg okoliczności, pomyślał Wilk. Dawni rzeźbiarze i wiedzieli świetnie, że niemal każdy wędrowiec czy kupiec podążający Starym Szlakiem Przyprawnym przyjedzie właśnie na wielbłądzie. I że odruchowo uniesie głowę, aby zacząć od najwyższej inskrypcji.

Niemniej coś nadal niepokoiło Baja Ahtena. Zatrzymał się, żeby dać odpocząć wierzchowcowi, i spojrzął z góry na Maygasse.

Miasto było zaiste piękne. Jego zdobycie było dlań kiedyś ważnym etapem podbojów.

Pamiętał, jak po raz pierwszy zasiadł na Słoniowym Tronie w pałacu na skale.

Ojciec Wilka,

Arunhah, powiedział mu kiedyś, że ich rodowe nazwisko Ahten znaczy "słońce".

Jako chłopiec otrzymał bardzo pospolite imię Avil, którego nie lubił, zatem gdy posiadał Słoniowy Tron, zmienił je zgodnie z praktyką królów Indhopalu na Raj, "władca". I odtąd znany był w świecie jako Władca Słonce.

Warowne miasto leżało nad brzegami rzeki Djuriparari. Wszystkie mury i ściany budynków zostały wzniesione z szarobiałego kamienia, który chwilami wydawał się lawendowy. Z oddali miasto jawiło się jako jasna plama u miedzianej wstęgi rzeki.

Na leniwych wodach zeglowała cała armada małych, jedno masztowych łodek z drewna tekowego. Przewoziły przyprawy, ryż, trzciny cukrowe, jedwab, złoto, melony i rozmaite owoce z dżungli. Miejskie zapachy docierały aż tutaj. Czuli nos Baja Ahtena bez trudu łowił wszystkie wonie towarzyszące zawsze życiu tak wielkiej liczby ludzi stłoczonych na małym terenie. Zapach bogactwa mieszał się z odorem biedy.

Patrząc na rzekę, poznał, że czekają go tu dziś kłopoty. Wszystkie łodzie płynęły w dół nurtu, wszystkie z rozwiniętymi w pełni prostokątnymi żaglami, jakby komus zależało na pośpiechu. Ludzie uciekali z miasta.

Na drodze do Majpuhru dojrzał całą rzekę wozów, koni i ludzi. Z dala cała ta rzesza uchodźców przypominała sunacego z wolną przez trawy pytona.

Nikt nie kierował się na północny wschód, szlakiem przez pustynie. O tej porze roku panowała tam zbyt wielka susza, która potrafiła znieść jedynie specjalnie przygotowane wielbłądy. Lepiej już było uciekać przez dżungle na północ, do Deyazzu.

-Co się dzieje? - spytał Bhopanastrat. - Raubenowie nadchodzą?

-Tak - mruknął Raj Ahten i ciągle odretwiała lewa dłoń zebrawszy wodze, tracił wielbłąda oscieniem trzymanym w prawej. Zjechali w dolinę.

Wilk wjechał do miasta od północy, przez Bramę Slepów. Maygassa wrzała od niepokoju. Wszędzie słychać było szmer wystraszonych głosów z rzadka przerywanych krzykiem albo płaczem. Ludzie pakowali swój dobytek i porzucali domy. Wilk widział, jak kobiety rzucają z okien zawiniatki z ubraniami i żywnością, a w dole dzieci przenoszą je na strzeżone przez uzbrojonych mężczyzn wozy.

Wielu napotykanym na szerokiej alei nie zwracało uwagi na przybyszów. Jeden tylko zmierzł dziwnym spojrzeniem wielbłąda Baja Ahtena, jakby się zastanawiał nad kradzieżą wierzchowca. Gdy w końcu zerknął również na jeźdźcę, zaraz uciekł bez słowa.

Raj Ahten pomyślał, że zapewne panika zaczęła już zbierać krwawe żniwo.

Ogarniał go coraz większy niepokój. Przecież Maygassa leżała aż dwadzieścia szesćdziesiąt mil od Kartishu!

Nie śmiał jednak niczego po sobie pokazać. Z dumnie uniesioną głową skierował wielbłąda na rynek. Po drodze minal Fontanny Raju, których specjalnie ukształtowane srebrne dysze wyrzucały wodę tak zmyslnie, że nad pełnymi krokodyli basenami zakwitła cała laka jasnych kwiatów.

Rynek też był pełen uchodźców, który umykali z południa wraz z rodzinami, płaczacymi dziećmi i inwentarzem. Wyglądali na przerażonych i niemal wszyscy chcieli kupić jakiś środek transportu albo żywność.

-Kto ma konie?! Wielbłądy?! Place złotem za dwa wielbłądy! U kogo jest jeszcze jedzenie?! Dobrze zapłać!

Bazar zawsze był pełen życia, ale normalnie słychać było na nim przede wszystkim zachwalających towar i targujących się kupców. Maygassa była największym na świecie ośrodkiem handlu. U północnych bram rozkładali się od wieków medycy i zielarze sprzedający lecznicze gogu i zen-szen, odmładzające eliksiry z jadu białej kobry czy jaszczurcze specyfiki na potencję. Blżej przystani handlowali rybacy i rolnicy.

Tam też można było kupić konopie, drewno, miedź i żelazo. W centrum bazaru wznosiły się stragany z jedwabiem, płótnem, złotogłównem, muslinem, bawełną i wełną w najrozmaitszych kolorach i pod każdy gust.

Zwykle panował tu taki tłok, że nikt nie zdołałby wjechać w tłum na wielbłądzie.

Teraz jednak stoiska z północnej strony stały puste.

Większość kupców uciekła już z Maygassy, a ci, którzy pozostali, zaliczali się do najposledniejszego, chciwego gatunku. Pewnie sprzedawali teraz wiesniakom byle mularza za dwudziestokrotną cenę konia, jak handlarzka, która dostrzegł w pobliżu Ahten, kupczak szafrowym ryżem. Kazała sobie płacić aż czterdzieści razy więcej niż zwykle, a mimo to ludzie tłoczyli się wokół niej i kupowali bez szemrania.

-Raj Ahten! - krzyknęła jakaś kobieta. - Nasz zbawca! Oczy wszystkich na bazarze spoczęły na nim. Od wielu lat Wilk ostrzegał swój lud, żeby szykował się na atak raubenów. Obiecywał ludziom, że zdoła ich przed nimi ocalić. Zapamiętali to i teraz ożyła w nich nadzieja.

On jednak nie zważał na wznoszone tu i tam okrzyki i jechał dalej. Zgiełk cichł z wolna.

W końcu Ahten unosił rękę.

-Co tu się dzieje?! - zawołał. - Co to za rozgardiasz?! Spojrzał przy tym na mężczyznę, który chciał dać garść rubinów za wielbłąda tak starego, że nawet sierść na nozdrzach mu posiwiła.

-O wielki - wykrztusił tenże. - Raubenowie... wyszli w Kartishu! Sama władczyni podziemi ich prowadzi...

Raj Ahten pokiwał głową.

-Wiem. I maszerują na miasto?

-Nie, wielki, gorzej... Zaraza spadła na kraj... Morowe powietrze, które zabija wszystkie rośliny... Przesuwa się z wolna w tę stronę w tempie piechura. A jak wiatr powieje, to szybciej. Ostatniej nocy mocno dmuchało.

Raj Ahten szybko policzył w myślach. Jeśli raubenowie zaatakowali wczoraj i tak samo jak w Carris wzniesli od razu Pieczęć Nieutulonego Zalu... to obecnie obszar zarazy mógł mieć średnicę ponad dwustu mil.

-Mor ogarnął cały Kartish? - spytał, próbując wyobrazić sobie konsekwencje takiego biegu zdarzeń. Najbardziej martwił go brak prowiantu dla wojska, bo to przekreślało szanse na udane obleżenie raubenów. Musiał uderzyć szybko i całym siłami. Jeśli potwory przechwyca kopalnie krwawego metalu, to koniec...

Co gorsza, większość darczynców Wilka była przetrzymywana w Palacu Kanarków, całkiem niedaleko kopalni. To podwajało ryzyko.

Ja sam jestem już martwy, pomyślał. Jeśli jeszcze moi darczyncy zginą...

-Tak, wielki - odparł mężczyzna. - Zaraza ogarnęła Kartish i Muyyatin. A ostatniej nocy wiatr zapędził ją też do Dharmadu i Avenu. Niebawem polknie Klejnot Korony.

Do zmierzchu wszystkie rośliny tam zwiedną.

Ahten nie potrafił sobie wyobrazić usychających i czerniejących drzew pieprzowych Avenu. Ani ogrodów Dharmadu odartych z zieleni. Ale wieści te oznaczały, że nigdy nie ujrzy już ani pasiek Osmolu, ani winnic, dzungli i pól ryżowych Biny.

Pola i sady południowego Indhopalu, który zwano Perłą Korony, należały do najwspanialszych na świecie. Nigdzie indziej nie uzyskiwano takich plonów. Jeśli przepadną, zima do Indhopalu zawita głód.

-Wszystko przepadło, wszystko zniszczone - ciągnął mężczyzna. - Ludzie uciekają ile sił w nogach, ale mor rozprzestrzenia się nawet w nocy. Czasem szybciej niż jeździec! Ale nie ma co czekać, bo jak ogarnie człowieka, to pewna śmierć!

-A co z moimi wojownikami?

-Armie zbierają się pod kopalniami w Kartishu! - krzyknął ktoś z tłumu.

Wilk spojrzal w jego strone. Byl to zolnierz w szafranowej kamizeli z wizerunkiem tryglowego wilka. Okryl ja jednak czarna peleryna, totez wczesniej Ahten nie poznal kto to.

-Dowodzi nimi Aysalla Pusnabish. Ma trzy miliony pieszych i osiemdziesiat tysiecy jazdy.

Wszyscy wyposazeni jak nalezy w Klejnocie Korony.

Pusnabish byl najbardziej zaufanym z dowodcow Baja Ahtena, od lat strzegl jego darczyncow. Owszem, zebral niemal wszystkich, ktorzy mogli znalezc, ale z tych trzech milionow wiekszosc stanowili pewnie zwykli chlopi, ktorzy nie potrafili jeszcze walczyć.

Jesli dowodzaca raubenami magini przyjela taka sama taktyke jak jej odpowiedniczka pod Carris, to piechota nie miala zadnych szans.

-Zatem wczoraj raubenowie weszli do Kartishu?

-Tak, o wielki.

-A Pusnabish ich zaatakowal?

-Jako rzekles, panie - odparl zolnierz.

-I zaraza ciagle sie rozprzestrzenia?

-Z kazda chwila jest coraz blizej. Switem gnalem tu z polnocnych granic i sam widzialem, jak ogarnia nowe tereny.

To moglo znaczc tylko jedno: Pusnabish nie zdolal pokonac raubenow i nie udalo mu sie zniszczyc Pieczeci Nieutulonego Zalu. Mozliwe, ze nawet sie nie przebil przez linie wroga. Albo nie wiedzial, jak go ugryzc. Ewentualnie ciagle zbieral oddzialy.

Raj Ahten jednak obawial sie najgorszego: ze jego wodz i miliony zolnierzy juz nie zyja.

Nie zdazy dotrzec do Kartishu przez zmrokiem, w kazdym razie nie na wielbladzie, ktory nie mialby co jesc na spustoszonych terenach. Na dodatek kazda godzina rozchodzenia sie zarazy zmniejszala szanse, ze w ogole uda sie tam dojechac. O ataku na raubenow nie wspominajac.

Tak, niemniej ciagle bylo mozliwe, ze Pusnabish jeszcze zyje i ze jest jeszcze jakas armia, ktora bedzie mozna poprowadzic do ataku.

Ahten pogonil wielblada i jadac ulicami Maygassy, zaczal rozwazac swoje szanse.

W

tym tempie zaraza dotrze do Klejnotu Korony juz jutro. To bedzie oznaczalo wyrok na

Indhopal. Dzień później ogarnie Maygasse i zacznie trawic rozległe dzungle na północy. Pieć dni później, po przebyciu pustyni, dokona dzieła zniszczenia. Z całego państwa tylko Deyazz pozostanie jeszcze poza jej zasięgiem. Ale tylko na krótko. Tydzień - i będzie po wszystkim.

A potem przyjdzie pora na resztę świata...

37 WIELE POZEGNAN

Prawdziwych przyjaciół należy cenić wyżej niż wszelkie skarby świata, gdyż więcej waga w naszej pamięci niż złoto i trwalsze są ich dary niż diament. - Jorlis, mistrz z Komnaty Serca W miarę jak zbliżał się czas rozstania z Gabornem, Myrrimie robiło się coraz smutniej. Ładowano ciała poległych na wóz. Atak przebiegł tak szybko, iż ze Myrrima dopiero teraz poczuła napięcie. Na dodatek siedzący na Skale Mangana raubenowie zapowiadali nowe kłopoty, a Gaborn; wciąż wspominał o planowanej wyprawie do podziemnego świata.

Langley wyruszył zebrać wyższych dowódców na naradę, Gaborn zaś przekazał Borensonowi i Myrrimie list do króla Zandarosa.

- Musi go otrzymać do rąk własnych - przypomniał. - Algier i col Zandaros może być potężnym sojusznikiem. Tak czy owak, nie możemy dopuścić, aby został naszym wrogiem.

- Zadbamy o to - obiecała Myrrima. - A jak długo nasze drogi się nie rozdziela, zaopiekuję się także łomą.

- Nie wątpię - powiedział Gaborn. - Niech ziemia was chroni - dodał i objął serdecznie Myrrimę na pożegnanie, co zdumiało dziewczynę. Wprawdzie łomę miała za przyjaciółkę, ale Gaborn był przecież królem, kims niedosiężnym wyżej stojącym niż ona. Nikt nie oczekiwał po nim aż takich manifestacji uczuć.

Potem podeszła do Averan. Dziewczynka ciągle patrzyła niezbyt przytomnie.

Myrrima ujęła jej dłoń.

- Muszę jechać do Inkarry, siostrzyczko. Chce się pożegnać.

- Och... to znaczy, że już cię więcej nie zobaczę...

- Zobaczysz. Wroce. Averan jednak pokręciła głową.

- Nikt nie wraca z Inkarry - oznajmiła rzeczowo. - A ja wybieram się do podziemnego świata.

- Miej wiarę w siebie i króla - powiedziała Myrrima, aby choć trochę pocieszyć dziewczynkę. - I nie trac wiary we mnie. Teraz jestem twoją starszą siostrą.

- Nie naprawdę - mruknęła Averan, kręcąc głową.

Miała rację. Roland nie złożył u diuka prośby o adopcję. Nie zdążył wypełnić przyrzeczenia. Dziewczynka była sierota.

Myrrima straciła ojca, gdy była bardzo młoda, ale miała matkę i siostry i wiedziała, jakie to było dla niej ważne. Pomyślała, że przecież problem Averan można łatwo rozwiązać...

Obrocila sie do Gaborna.

-Wasza wysokość, Roland Borenson zamierzał prosić diuka Paldane'a o zgodę na adopcję Averan. Zginął jednak, zanim zdążył przedstawić mu tę sprawę. Czy mogłbyś teraz i tutaj ją rozpatrzyć?

Gaborn spojrzał na Averan.

-Chcesz tego? Chcesz mieć Myrrime za siostrę?

Averan, nie okazując radości, głęboko się zamysliła. W końcu pokiwała głową.

-Jeśli się zgodzi, zostaniesz jej bratem i opiekunem - powiedział Gaborn do Borensona.

-Ona jest Straznikiem Ziemi - wtracił nagle Binnesman. - Ziemia ją ubierze i wyżywi.

A ja wykształcę.

Myrrima zaniemowila na chwile, slyszac te slowa.

-Jestem pewna, że masz szlachetne intencje - odezwała się do czarnoksiężnika. - I na pewno nauczysz Averan magii. Ale co wiesz o wychowywaniu dzieci? Dasz jej miłość, której tak potrzebuje? A gdy będzie głodna, czy przygotujesz jej obiad, czy tylko posłesz do lasu, żeby sobie zbierała korzonki i orzechy?

-Nie wątpię, że i twoje zamiary są godne pochwały - odparł Binnesman. - Ale nie zapominaj, że wybierasz się do Inkarry. Jak teraz zdołasz o nią zadbać?

-Nasz dwór w majątku Drewverry jest dość duży, żeby i ona mogła tam zamieszkać.

Podczas przerw w nauce będzie mogła przebywać tam z moją matką i siostrami.

-Nie należy zamykać dzikich ptaków w klatce - ostrzegł uzdrowiciel.

Gaborn spojrzał uważnie na oboje.

-Od tego, że będzie mieszkać w domu i jadać przy stole, nie przestanie przecież być Straznikiem Ziemi. Nie widzę żadnego powodu, żebym miał odmówić prośbie Rolanda.

Nie slyszalem jeszcze tylko, co myśli o tym sir Borenson.

-Moj ojciec już zdecydował - stwierdził rycerz.

-Niech więc tak się stanie. Averan, od dziś należysz do rodziny Borensonów.

Masz prawo przedstawiać się jako córka Rolanda.

Myrrima skinęła głową i spojrzała poważnie na dziewczynkę.

-Teraz jesteśmy siostrami.

Słowa te nie były niezbędne, ale w oczach Averan pojawiły się łzy. Myrrima przytuliła ją mocno.

-Moja matka i siostry pojedą niebawem do Drewverry - powiedziała, zdjęła swój srebrny wisiołek w kształcie ryby i założyła go dziewczynce. - Jestem pewna, że gdy to zobaczą, przyjmą cię serdecznie. To był prezent od mojego ojca. Kiedy tylko zechcesz, Drewverry będzie ci domem. Do widzenia - dodała zdławionym głosem.

Potem uściśliła jeszcze dłonie Binnesmana i jego dziękująco i zaraz zaczęły się ostatnie przygotowania do rychłego wyjazdu. Eskorta łomy procz królowej miała także strzec zabieranych do Tide drenów.

Gaborn sam wyznaczył dowódcę, smagłego żołnierza z jedną tylko, czarną brwią.

Grimeson, bo tak się nazywał, na oko wyglądał całkiem niepozornie i nie był nawet oficerem, co miało zmylić szpiegów. Niemniej gdy zaczęto na nowo okrywać wóz brezentem, Grimeson natychmiast zauważył, że coś jest nie tak.

-Zostaliśmy obrabowani! - krzyknął, zepchnął pustą skrzynię na ziemię i wziął się do otwierania następnej. Zaraz wokół zrobił się tumult.

-Ale cały czas mieliśmy wóz na oku! - zaprotestowali strażnicy.

-Podczas ataku czarnego też? - spytał Grimeson. Gwardziści spuścili nosy na kwintę i zaraz zaczęli nawoływać do przeszukania obozu, jednak sprawa wyglądała na beznadziejną. Obozowisko było olbrzymie. Gdzie szukać najpierw? I u kogo? Gaborn przymknął oczy i wsłuchał się w siebie.

-Dajcie spokój. Złodziej już uciekł. To Feykaald. Jedźcie do Indhopalu.

-Ma niecałą godzinę przewagi - zauważył Borenson. - Złapiemy go!

-Panie, musimy odzyskać te dreny - odezwał się Jerimas. - Zostawienie sprawy swojemu losowi byłoby błędem. Jeśli Raj Ahten dowie się, ile ich jeszcze zostało, ruszy za nami w pościg, żeby je przejąć.

Jednak ku zdumieniu Myrrimy Gaborn pokrecil glowa.

-Nie. Nie cierpie Baja Ahtena, ale w Kartishu jest coraz gorzej. Dzieci Indhopalu beda potrzebowały tych drenow nie mniej niz my.

Myrrima oczekiwala, ze ktos sie sprzeciwi, ale caly tłum dowodcow i rycerstwa stal w milczeniu. Od wielu dni slyszeli, ze Gaborn jest krolem wszystkich ludzi na swiecie, i chyba zaczynali w to wierzyc...

Oddzial zebrał sie do wyjazdu. Czekali juz tylko na lome, która odeszła z mezem pod wielki dąb rosnący nad strumieniem. Długo tam rozmawiali. Myrrima widziała łzy spływające po twarzy królowej, ale stała za daleko, by cokolwiek slyszec.

Zreszta potrafiła sobie wyobrazic, co mowia.

Gaborn wybieral sie do podziemnego swiata, by odszukac Mistrzynie. loma musiala sie o niego bac. Z trudem puscila w koncu jego dlon i bez slowa dosiadla wierzchowca.

Konie pociagowe tez byly wyposazone w dary, zatem radzily sobie z wozem bez trudu i oddzial mogl poruszac sie bardzo szybko. Najpierw droga wiodla ich na poludniowy wschod, przez laki nad rzeka Donnestgree, która wpadala do oceanu w poblizu Tide.

Nie natkneli sie na wiele wiosek, pol uprawnych, a nawet lasow, az zaciekawiona Myrrima spytala Borensona o przyczyny tak skromnego wykorzystania tej krainy.

Uslyszala, ze problemem sa tu wiatry, które nie pozwalaja zalesic tych ziem, a na dodatek gleba jest nieurodzajna. Malo kto decydowal sie tu osiasc, gdyz braklo drewna na opal i terenow pod uprawy. Tylko dzikie zwierzeta mialy sie dobrze w tych warunkach.

Niemniej troche ludzkich siedzib zauwazyli. Widywali nawet ruiny zamkow wienczace co poniektore wzgorza. Borenson pokazal Myrrimie pole, na którym stoczono Bitwe Pieciu Czarnoksieznikow, i zarzadzil postoj przy skale, w której ciagle tkwil szkielet olbrzyma. Myrrima ujrzala tez wieze, z której Leandra zepchnela swoja matke na wieśc o smierci Andreasa.

W poblizu starego oltarza w Rimmondy sploszyli stadko mlodych graakow obdzierajacych z miesa scierwo jakiegos wolu, który spadl z urwiska. Zapewne same wczesniej zagnaly go w przepasc.

Poznym popoludniem dotarli do skrzyzowania dwiescie mil na poludniowy wschod od Carris. Srebrne brzozy pochylaly sie tu na spokojnym nurtem rzeki, zielen ich lisci odbijala sie w idealnie gladkiej wodzie.

Myrrima i Borenson mieli tutaj skrecic na poludnie, loma zas na polnocny wschod.

Puscili na chwile konie, by ugasily pragnienie i poskubaly trawy.

-Nie mamy wiele czasu na popas - ostrzegł Borenson. - Slonce niebawem zajdzie, a lepiej bedzie opuscic Pustkowia jeszcze za dnia.

-Pustkowia? - spytala Myrrima, bez powodzenia probujac ukryc lek, W dzieciinstwie slyszala wiele opowiesci o upiorach nawiedzajacych te tereny. - Sa az tak blisko?

-Sama zobaczysz. - Borenson usmiechnal sie. - To kilka mil ta droga. - Wskazal na poludnie.

-Myslalam... ze sa bardziej na zachod...

-Na zachod od Starej Ferecii, to owszem.

-Ale podobno tam sa bagna i trzesawiska.

-Zaczynaja sie zaraz za tym wzniesieniem. - Borenson pokazal jej wzgorze z ruina zamku. Jedna ze scian ciagle sterczala ku niebu niczym psi zab. - To Wieza Woglena.

Myrrima zadrzala. Znalala te historie. Cala kraina przed nia nalezala kiedys do tothow, ktorzy krew pewnego razu wypelnila przeplywajaca obok rzeke. Armie Falliona przez trzy miesiace zmagaly sie z przeciwnikiem, zeby przerwac oblezenie zamku, ale gdy w koncu sie to udalo, w wiezy znaleziono jedynie zwloki narzeczonej Falliona.

Myrrima oczekiwala z jakiegos powodu, ze wieza bedzie ciagle cala. W dawnych opowiesciach przedstawiano ja jako niewzruszona. Sadtala tez, ze cala okolica powinna byc uszlana koscmi.

Nie byla przygotowana na nowiny, jakie wlasnie uslyszala. Myslala dotad wytlacznie o Inkarrze, a nie o niebezpieczenstwach, ktore moga czyhac po drodze. Niemniej czekaly ich przeciez i nawiedzane przez upiory bagniska, i niebezpieczne same z siebie gory.

-Nie mozemy jakos objechac Pustkowi? - spytala.

-Ale tak bedzie znacznie szybciej - odparl Borenson, ktory wydawal sie dosc rozbawiony jej obawami.

Zastanowili sie, co jeszcze powinni zabrac ze soba na Poludnie. Borenson wyjawil, ze znalazl przy cieple ojca sakiewke pelna zlota, i zapewnil Myrrime, iz w Batenne u stop gor Alcair bez trudu nabeda wszystko, co konieczne. Ioma tymczasem spacerowala nad strumieniem.

Zblizal sie czas odjazdu i Myrrima poszla jej w koncu poszukac. Podazajac wijaca sie nad woda sciezka, wyploszyla z wysokiej trawy stadko dzikich kaczek.

Sposrod drzew doszedl ja zapach jablek i po chwili znalazla lome w zdiczalym sadzie. Stala oparta o pien jabloni, patrzyła na polnocny zachod i jadła zolte jablko. Obok lezala w trawie glowa kamiennego krola, wszedzie zas zalegaly opadłe owoce, w znacznej czesci ponadgryzane przez dzika zwierzynie. Slonce malowalo zlotem okoliczne laki.

-Niepokoisz sie o Gaborna? - spytala Myrrima.

-Nie. Chwilowo jestem na to zbyt samolubna.

-Naprawde? To dobrze.

-Dobrze? - spytala loma i obrocila sie, zeby spojrzec Myrrimie w oczy. Przez ostatnie trzy godziny byla tak zajeta wlasnymi myslami, ze z nikim slowa nie zamienila.

-Dzieki temu nie bedziesz sie zadreczac - wyjasnila Myrrima.

-Z tym juz skonczylam na dzisiaj. Zastanawiam sie tylko, czy Gaborn choc raz o mnie dzisiaj pomysli.

-Na pewno.

-I to caly problem. Ilekroc o mnie pomysli, zaraz bedzie wiedzial, czy jestem bezpieczna, czy nie.

-Najpewniej tak - przytaknela Myrrima.

-Chetnie pojechalabym z wami. Jerimas mowil, ze najlepiej, aby pismo doreczyl jakis bliski krewny.

-Tvoj maz, nie zaakceptowalby az tak wielkiego ryzyka.

-Wiem. Teraz, gdy mu powiedzialam, ze nosze jego syna, odsyla mnie w bezpieczne miejsce. Najchetniej polozylby mnie w lozku i kazal czekac, az rozloze nogi i wydam dziecko na swiat.

-Wasza wysokosc! - zakrzyknela Myrrima, chociaz po prawdzie nie byla wcale taka zdumiona.

loma usmiechnela sie krzywo, w jej czarnych oczach blysnely niepokojujace iskielki.

-Pojechalabym z wami, gdybym tylko mogla. Ale Gaborn zaraz by sie dowiedzial.

Moglby nawet uzyc swych mocy, aby mnie zawrocic, a marnujac jego cenny czas, narazilabym pewnie innych na niebezpieczenstwo. Nie moge tak ryzykowac. Zatem pozostaje mi posluchac meza.

-Bedziesz bezpieczna.

-Nie ma na tym swiecie bezpieczniejszego miejsca niz u boku Krola Ziemi. I tam chcialabym byc - odparla Ioma, rzucila ogryzek na trawe i ujela dlonie Myrrimy.

-Bedzie mi ciebie brakowac. Chociaz juz dwa razy uratowalas mi zycie, jakos nie potrafie myslec o tobie jako o moim obroncy. Jestes moja przyjaciolka. Codziennie bede blagac ziemia, aby cie chronila, i czekac twojego szybkiego powrotu.

-Tez bede o tobie myslec - powiedziala Myrrima i nie zdolala dodac nic wiecej.

Slowa tu zawodzily. - Zycze ci, abys bez problemow powila syna.

Ioma usmiechnela sie i polozyla dlon na brzuchu Myrrimy.

-Obys i ty pewnego dnia urodzila dziecko - powiedziala melodyjnie, jakby intonowala piesn.

To byla stara, ale zywa wciaz w Heredonie tradycja, ze ciezarna kobieta blogoslawi w ten sposob swoje przyjaciolki. Mimo ze wszyscy uwazali to tylko za zyczliwy gest, Myrrima poczula, jak jej miesnie napinaja sie pod reka krolowej, i szybko sie odsunela.

Przez chwile wydawalo sie jej, ze dlon Iomy moze naprawde napelnic jej puste lono.

Ioma zasmiala sie.

-Teraz, gdy odzyskalas meza, to juz niedlugo... Chociaz przepraszam - dodala szybko.

-Wiem, ze nie jest wam latwo. Ale... naprawde dobrze wam zycze.

-Wszystko w porzadku - odparla Myrrima. - Dziekuje.

Nie potrafila jednak ukryc zmieszania. Nie wyjawila dotad krolowej, ze ani razu nie spala jeszcze z Borensonem, a wiesci o cudownym uzdrowieniu nie sa do konca prawdziwe.

-Pozwol, ze dam ci cos jeszcze - powiedziala Ioma, jakby chciala zatrzec niemile wrazenie. - Przyda ci sie cos na miejsce tego wisiorka, który dalas Aweran. - Siegnela pod tunike. - Nosilam go na szczescie, a ty bedziesz potrzebowala teraz szczescia bardziej niz ja.

Podala Myrrimie naszyjnik z opalami, ten sam, który przydal sie Binnesmanowi w walce z czarnym glorym.

-Wasza wysokosc... Ja nie moge... nie mam nic rownie wspanialego, aby sie odwdzieczyc.

-Ocalilas zycie nam obojgu.

Zalozyla Myrrimie naszyjnik, usciskala ja i poszly razem w gore strumienia, gdzie Borenson

szczotkował wierzchowce.

Rycerz pożegnał się zaraz uprzejmie z królową i jak prawdziwy Władca Runów jednym skokiem znalazł się w siodle. Myrrima nie była gorsza, też poruszała się obecnie szybko i sprawnie.

Zastanowiła się, dlaczego mąż nie poprosił o zwrot swojego dawnego rumaka, który miał o wiele więcej darów niż jego obecny srokacz. Może go nie chciał, bo nie był już gwardzista, a srokaty bardziej pasował do pomniejszego, wolnego rycerza. Ruszyli oboje wzdłuż brzegu i zatrzymali się jeszcze na zakrecie drogi, żeby pomachać łomie.

Królowa stała pomiędzy srebrzystymi brzoźami na skraju lasu. Pomachała im w odpowiedzi.

Myrrimie wydało się wtedy, że jej przyjaciółka znalazła się właśnie w najwłaściwszym dla niej otoczeniu. Pasowała do lasu tak samo jak drzewa, grzyby czy jagody. Z jasnymi galeziami nad głową, cała w zieleniach podróżnych szat, z koniami za plecami i dzieckiem w łonie pasowała jak nigdy do wizerunku małżonki Króla Ziemi.

Jeszcze raz pomachała na pożegnanie Myrrimie i Borensonowi, ale nadal nie była w najlepszym nastroju. Owszem, Gaborn chciał dla niej jak najlepiej, a przede wszystkim, aby była bezpieczna. Ale teraz czuła się przede wszystkim bardzo samotna.

Jej przyjaciele odjeżdżali do Inkarry, Gaborn zamierzał zapuścić się w czeluści obcego całkiem świata... A ona? Zdązała, gdzie kazano, i miała wrażenie, że wszystko sypie się w gruzy. Chciałaby zrobić cokolwiek, byle tylko nie czekać biernie na rozwój wypadków.

Kazała sierżantowi Grimesonowi zwołać gwardzistów i cały oddział skierował się na wschód.

Złociste równiny ustąpiły niebawem miejsca polom, tak żyznym, że zieleni kipiała tu nawet w tej późniejszej porze roku. Miedze porastały rozłożyste drzewy, przy drogach wznosiły się kamienne murki, coraz więcej też pojawiało się gospodarstw i ludzi, chociaż łoma z gwardzistami jechali tak szybko, że mało kto miał szansę ją rozpoznać, o zdjęciu kapelusza czy padaniu na kolana nie wspominając. Tak zatem dopiero za ich plecami rozlegały się zwykle krzyki: "Czy to była królowa?!" albo "Patrzcie, królowa przejechała!" Późnym popołudniem byli już bardzo daleko od Carris. Wron zgnilizny ustąpiła przed zapachem pol i sadow, w których polatywały całe stada ptactwa, a zamiast smutnego placu dzieci słyszeli co najwyżej porykiwanie pasącego się bydła. Łomie zaczęła wracać ochota do życia.

Grimeson wymieniał nazwy mijanych wiosek i miast, a czasem wskazywał jeszcze miejsce jakiejś dawnej bitwy albo inny, historycznie ważny zakątek. Niebawem łoma zorientowała się, że ten niepozorny żołnierz ma głowę nie od parady i dobre maniery. Nadal jednak nie pojmowała za bardzo, dlaczego Gaborn wybrał na dowódcę eskorty właśnie jego.

Poznym wieczorem lornie zamarzył się postój w którejś z gó spod na szlaku i prawdziwy, porządny obiad. Zgłodniała, wspominała co rusz a to won duszony z porami szynki, a to pieczonego kurczaka albo świeżego chleba.

Jednak miała misję do wypełnienia, zatem przez całą noc oddział mknął dalej niczym burza. Lornie zwyczajem Władców Runów przysnęła wreszcie w siodle i nie przeszkadzał jej nawet omiatający twarz i szarpiący włosami zimny wiatr.

Jechali tak w blasku gwiazd, aż ktoś się w końcu odezwał:

-Pani?

Lornie zamrugła oczami i całkiem się przebudziła. Stali na szczycie wzniesienia, a w dole rozposcierał się ocean. Królowa nigdy jeszcze nie widziała tak wielkiej wody, nie знаła słonawego zapachu fal wymieszanego z wonią życia i wiecznego rozkładu. I nie wyobrażała sobie nawet wcześniej, jak może wyglądać daleki, morski horyzont.

Pośród toni widniało kilka niewielkich wysp połączonych zgrabnymi mostami z białego kamienia. W nocy ledwie dawało się je odróżnić od jasnych bryzgów fal.

A nad horyzontem rysowały się smukłe wieże pałacu w Tide. Wyglądały jak włocznie mierzące w srebrzysty sierp księżyca.

38 Z PERSPEKTYWY CZARNOKSIEZNIKA

Czarnoksieznicy nigdy nie wtracają się w sprawy zwykłych ludzi. Za to zwykli ludzie często mieszają się do spraw czarnoksiezników. -Strażnik Ziemi Binnesman Popołudnie przeszło z wolna w zmierzch, a narada ciągle trwała. Aweran zerknęła raz po raz na rycerzy, którzy siedzieli kregiem na brzegu strumienia. Jedni przynieśli sobie za siedziska kamienie, inni kłody drewna. Tymczasem raubenowie już od trzech godzin poczynali sobie na Skale Mangana równie energicznie jak wrony, które obsiadły drzewo.

Słońce kryło się z wolna za horyzontem, chłodny wiatr niosł od gór zapach sosnowych lasów.

Nowa Pieczęć Nieutulonego Zalu wciąż jeszcze nie była gotowa, co wynikało z braku siły roboczej. W poprzednich bitwach raubenowie stracili wiele szkarłatnych magin i spora część lepniaków. Niemniej widac już było wyraźnie, co budują, a smrodliwe dymy snuły się po okolicy.

Aweran zastanawiała się, czy coś w ogóle im z tego wyjdzie. Wiedziała, że poprzednia głównodowodząca została wybrana właśnie ze względu na swoją biegłość w operowaniu Pieczęcią Nieutulonego Zalu. Pozostali raubenowie mogli odtworzyć fragmenty jej wiedzy i umiejętności, ale żaden nie potrafiłby zastąpić jej w pełni.

Oczy zebranych Izawily od raubenich dymow, zatoki dokuczaly coraz bardziej.

Zrobilo sie tak zle, ze olbrzymowie przeniesli swoj oboz na nawietrzna strone skaly, niemniej wciaz nie bylo ani sladu zarazy, ktora tak spustoszyła okolice Carris.

Averan sklona byla uznac to za dowod, ze raubenom nie uda sie stworzyc drugiej, dokladnie takiej samej runy. Niemniej Gaborn i tak sie niepokoil. Wolalby zniszczyc paskudny znak, a ponadto bardzo potrzebował przewodnika.

Wkolo niego siedzieli Skalbairn, sir Langley, krolowa Herin, diuk Groverman, Jerimas i sporo innych dowodcow. Podniesionymi glosami podsuwali propozycje, jak uderzyc na Skale Mangana.

Averan siedziala cicho na skraju kregu. Wyczuwala narastajace napiecie, atmosfere oczekiwania na kolejna bitwe.

-A ja mowie, zeby uzyc machin miotajacych - powtarzal Skalbairn. - Jak podciagniemy balisty, to tak damy sie im we znaki, ze sie cofna. A wtedy podstawimy drabiny i na gore...

Gaborn spojrzal krytycznie na marszalka.

-Slyszales juz: zadnych machin miotajacych. To nic nie da.

-Alez da, wasza wysokosc!

-Krol ma racje - wtracil Jerimas. - Wystarczy, ze obrzuca nas kamieniami. Nie damy rady podejsc dostatecznie blisko.

-Musi byc jakis sposob - odezwała sie Herin. - A jesli zbudujemy wielkie wieze obleznicze? Moglibysmy podciagnac je szybko porzadnymi konmi, zaatakowac z zaskoczenia...

Gaborn ponuro pokrecil glowa.

-Ziemia ostrzega, zeby tego nie robic.

Tak samo kwitowal kazdy plan, ktory mu podsuwali. Ziemia zawsze byla przeciwko.

Gdyby tylko mogl wywolac trzesienie ziemi, pomyslala Averan. Tak jak w Carris.

Raubenowie by pospadali, a Skala Mangana pewnie i runela.

Jednak Gaborn nie mial juz tej mozliwosci, podobnie jak nie mogl wezwac czerwia.

W ogole nie wiedzial, co robic. Cokolwiek pomyslal, ziemia natychmiast odpowiadala: Nie.

Averan uniosla glowe. Krol wpatrywal sie w nia, jakby w nadziei, ze znowu uzyska od niej

pomoc. Dziewczynka przygarbiła się i objęła głowę dłońmi. Miała wrażenie, że jeszcze chwila, a czaszka jej pęknie. Gdzieś z głębi napływały ciągle nowe wspomnienia, chociaż jej się wydawało, że więcej ich już nie pomiesci. Zupełnie jakby objadła się do nieprzyzwoitości, nie dając żołądkowi szans na spokojne trawienie.

Kolejny obraz dotyczył jaskini legowej Klanu Miekkiego Kamienia, gdzie Pastuch przyszedł na świat. Leżała w pobliżu jezior pływnej magmy. Mały rauben wyciał sobie wyjście przez błony jaja, ale zaraz został zaatakowany przez rodzeństwo. Chociaż zaskoczony i wyczerpany po tym, jak wydostał się z jaja, podjął walkę ze swoją siostrą, a gdy rzuciła się do ucieczki, jednym klapnięciem oderwał jej tylną nogę. Niewiele zyskał, gdyż znacznie więcej sił dałoby mu zjedzenie korpusu siostry, poznał jednakże smak mięsa, a złamana kość posłużyła mu za bronę w następnych starciach z rodzeństwem. Wygrywał, a potem wydzieriał z ciała słodkie gruczoly i wyjadał mózgi, szybko więc rosnął i mądrzał.

Wspomnienia Pastucha były makabryczne, ale fascynujące. Aweran ujrzała z kolei, jak cała grupa raubenów buduje z wielkich głazów kanał mający doprowadzić magmę do podziemnego jeziora i ogrzać lodowatą wodę.

Dysputa stała się zupełnie jałowa. W tle słychać było uderzenia kijów i rzadkie jęki bólu. To kapitan gwardii szkolił dziką. Pokazywał jej, jak przeskoczyć z pomocą kija nad głowę przeciwnika i jak wywijać nim w powietrzu, aby odepść się od wielu wrogów. Zielona kobieta nadzwała za nim, chociaż nie miała żadnych darów.

W końcu Jerimas poszedł po rozum do głowy.

-Od paru godzin już tak gadamy, a co dochodzimy do jakiegoś planu, jego królewska moc mówi, że ziemia go nie akceptuje. Może zatem powinniśmy się zastanowić, czy w ogóle należy spędzać raubenów z tej skały?

-Co takiego?! - zahuczał basem Skalbairn. Siedział na kamieniu i ostrzył topór.

Spojrzał ostro na madrego, jakby pilnie oczekiwał odpowiedzi.

Jerimas pochylił się, aż jego długa, srebrna broda dotknęła prawie kolan.

-Przypominam, że według słów Aweran raubenowie cierpią pragnienie. Gdy zejda ze skały, najpewniej skierują się do najbliższego źródła ich wody pitnej, czyli pod Carris. Może właśnie dlatego ziemia ostrzega nas przed atakiem?

-Rozumiem - mruknęła Herin. - Niech tam siedzą, aż uschną na wior.

-Nie możemy czekać tak długo - stwierdził Gaborn. - Mamy na głowie większe troski niż Carris. Muszę mieć przewodnika.

-Jeśli o to chodzi, nie sadzę, żeby zawrócili do Carris - odezwiała się Aweran. - W nocy było

im bardzo zimno w gorach i chyba nie zaryzykują ponownej przeprawy przez przełęcz.

-Pogoda się zmienia - zauważył Skalbairn. - Ta noc nie będzie tak chłodna.

-Raubenowie tego nie wiedzą - odparła Averan. - Dla nich pogoda to nieprzenikniona tajemnica. Coś, czego nie można przewidzieć.

-Jeśli raubenowie wpadną w desperację, to mogą zejść, żeby zaatakować nas całą siłą.

Musimy zostawić im jakąś drogę ucieczki, która wyglądać będzie dość obiecująco.

-Zgoda. Otworzymy im szlak na południe... Na razie, oczywiście. - Stepy południowej Mystarrii były praktycznie niezamieszkałe. Największa w tej okolicy twierdza Haberd legła w gruzach. - Ale i tak chciałbym znaleźć na nich jakiś sposób.

Averan uniosła głowę. Wszyscy patrzyli na nią wyczekująco.

-Nie wiem - powiedziała. - Nie rozumiem, co tam robią. Tylko wielka magini wiedziała, jak zbudować Pieczęć Nieutulonego Zalu.

-Szybko się ucza- mruknął Gaborn. - Może ich nowa dowódca wierzy jednak w siebie.

-Powie ci, co może ich wywabić - odezwał się Skalbairn i wbił wzrok w Averan. - Strach. Muszą bardziej bać się zostać tam, niż stąd odejść. Na razie jest odwrotnie. Tylko dlaczego? Skąd biorą się ich obawy przed powrotem do podziemnego świata?

Averan wysiłiła pamięć. Takich rzeczy było całkiem wiele, na przykład dziwne, długie drapiezniki z cienkimi ogonami, które zagrzebywały się w kamieniach. Gdy rauben nastąpił na takiego, ostry ogon przebijał mu stopę i drapieznik wstrzykiwał w ranę jaja.

Coś takiego zdarzyło się właśnie w drodze na powierzchnię. Dowódca rzuciła zaklecie mające wypalić jaja, ale rana była bardzo głęboka i jaja przedostały się już do krwi raubena, niebawem zaś tysiące pasożytów zaczęło zjadać go żywcem. Trzeba było wrzucić chorego do przepaści.

Były jeszcze inne zagrożenia, mniej albo bardziej dokuczliwe, jednak Averan zrozumiała w końcu, co jest najgorsze.

-Dym.

-Jasne! - zakrzyknął Skalbairn. - Dym w zamkniętym korytarzu! Zabije raubena tak samo szybko jak człowieka.

Gaborn pokręcił głową.

-Podczas pożaru Carris raubenowie nie uciekali przed dymem. Bój się dymu, ale nie

wpadają w panikę, gdy go poczuja.

Averan ujrzała nagle Pastucha przewracającego jaja pajaków, aby się ich zawartość nie zastała, bo wtedy z wylęgu nic by nie wyszło. Gdy nie było w pobliżu innych raubenów, Pastuch szybko podebrał jedno i pozarił. Nie wiedziała, co powiedzieć, ale na szczęście w tej samej chwili otrzymała niespodziewane wsparcie.

-Panie, panowie, myślę, że starczy - powiedział czarnoksiężnik, wziął Averan za rękę i wyciągnął z kregu.

-O co chodzi, Binnesmanie? - zdumiał się Gaborn.

-Za wiele od niej oczekujesz. Nie jest wojownikiem, nie jest też naprawdę twoim doradcą, ale Straznikiem Ziemi. Pora na początek jej nauki.

-Nie możecie z tym chwilę poczekać? - spytał Skalbairn tonem wyraznej zaczepki.

-Obawiam się, że nie. Czeka nas ważna lekcja związana z posłuszeństwem i zrozumieniem, jakie miejsce każdy zajmuje na ziemi.

Gaborn wstał, jakby zamierzał się czynnie sprzeciwić, ale czarnoksiężnik wycelował w niego palec.

-Naprawdę chodzi o posłuszeństwo, panie. Nie jesteś ani trochę ważniejszą obroną ziemi niż to dziecko. Gdy przyjdzie czas uderzyć na raubenów, ziemia odezwie się, jak bywało w przeszłości. Może zresztą gna już ku nam wielka burza z piorunami, żeby spędzić raubenów ze skały. Musimy tylko być czujni, żeby nie zaspac. Na razie zatem najlepiej będzie odpocząć, zjeść coś, nakarmić konie, a może nawet rozegrać partyjkę szachów.

Gaborn skrzywił się z dziwnym błyskiem w oku, ale pokiwał głową.

-To najlepsza rada, jaką usłyszałem przez całe popołudnie. Averan ani myślała mu wierzyć. Wiedziała, jak bardzo królowi śpieszno do podziemnego świata. Czasu miał coraz mniej. Jednak zgodził się powstrzymać na razie od działania w nadziei, że ziemia o nim nie zapomni.

Posunięcie wydawało się dość ryzykowne.

Binnesman zaprowadził Averan do swojego wierzchowca i pomógł jej usadowić się w siodle.

-Dokąd jedziemy? - spytała dziewczynka.

-W góry. Tam zaczniemy twoją naukę.

-Czy Wiosna może jechać z nami?

Dzika skonczyła już z kijem i teraz poznawała wlocznie.

-Ma ważniejsze sprawy - stwierdził czarnoksiężnik, patrząc aprobująco na poczynania szkolącego zieloną kobietę gwardzisty.

Wskoczył na siodło za Averan i pogonił siwego ogiera przez step. Ziemia zdawała się umykać pod konskimi kopytami i obozowisko szybko zostało w tyle.

-Dlaczego mnie od nich zabierasz? - spytała Averan.

-Gaborn za bardzo się spieszy. Chciałby atakować, chociaż ziemia przestrzega go, żeby tego nie robił. Musi nauczyć się cierpliwości. A ty potrzebujesz odpoczynku.

To miało sens, ale dziewczynka i tak wciąż czuła się winna. Bardzo chciała pomóc Gabornowi.

Binnesman sięgnął do juków i podał Averan swoją starą debową laskę.

Gdy tylko jej dotknęła, poczuła... jak drewno ożywa pod jej palcami. Tak jakby wciąż było częścią żywego, nagrzanego słońcem drzewa. Obejrzała laskę uważnie. Miała z pięć stop długości i była wypolerowana od długiego używania. Z jednego końca została obwiązana kawałkiem skóry, przy którym rzemienie przytrzymywały jedyną ozdobę - cztery wielkie guzy: jeden srebrny, drugi z żelaza, pozostałe z kości raubena i obsydianu. Na zgrubieniu u samej góry wycięto delikatnie kilka runów. Brakło dziur po komikach czy czarnych smug przypalen w ognisku. W gruncie rzeczy laska nie wyglądała imponująco.

Jednak Averan czuła, jak pulsuje w niej wielka siła.

-Rozumiesz? - spytał Binnesman. - To moce ziemi.

-Tak.

-Musisz znaleźć sobie własną laskę. Z dowolnej galezi. Starczy, że poprosisz drzewo.

-Z dowolnej? - spytała dziewczynka, patrząc na rosnące nad strumieniem wierzby.

-No, niezupełnie. Z takiego drzewa, które będzie dla ciebie odpowiednie.

-To jedno bywa lepsze od drugiego? A wierzba?

-Wierzba jest dobra. Czarnoksiężnik, który ma wierzbową laskę, jest świetnym uzdrowicielem i cieszy się laskami wody. Czy wierzba cię przyciąga?

Averan przyjrzała się wierzbowym okrytym żółtozielonymi, jasniejącymi w słońcu liśćmi. Nie, nic jej do nich nie ciągnęło, przynajmniej nie tak, jak kiedyś do spania w ziemi.

-Nie. A ty masz laske z debu.

-Dab jest mocny i nie ulega latwo ogniowi.

Averan obejrzała się przez ramię, gdyż w tonie Binnesmana zabrzmiała jakaś dziwna nuta. Prawie jakby zachwalał dab.

-A inne drzewa? Jakie one są? Jakie mają moce?

-Nie powiedziałbym, żeby chodziło o moce. Różne drzewa mają różne właściwości. Wybor odzwierciedla zwykle siły czarnoksiężnika i rodzaj zdolności, jakie może rozwinąć.

-A są i takie, których byś nie chciał? Binnesman zmarszczył brwi.

-Niektóre są trochę słabe. Owszem, pare bym ominal... Ale nie powiem nic więcej na ten temat. Nie chce wypływać na twoją decyzję.

Averan zerknęła raz jeszcze na mijane wierzby. Były piękne, ale... nie, to nie o wierzbe chodzi, pomyślała, przygryzając wargę.

Nie ciągnęło jej też do debów, które niczym samotni strażnicy stały na równinie z powykręcanymi konarami i pniami obrosniętymi bluszczem. Ledwie zerknęła na zagajnik glogu za pobliską skalą.

-A czy muszę wybrać dzisiaj?

-Nie. - Binnesman zachichotał. - Chociaż laska to ważna sprawa, tutaj, u podnoża góry rośnie wiele gatunków drzew i jest z czego wybierać. Mówię o tym, abyś była przygotowana, gdyby któreś drzewo cie zawołało.

Zbliżyli się do kolejnego strumyka.

-Widzisz, żółta koniczyna - powiedział Binnesman i Averan pokiwała głową. - Mówią na nią słodka koniczyna. Jeśli rozetrzesz jej listki w palcach, można przykładać je potem na zylaki. Działają dosłownie w parę chwil. Sprawiają też ulgę przy opuchliznie i można dodawać je do kompresów z komosy, żeby powstrzymać krwawienie.

Kon przeskoczył przez strumień.

-A co do wierzby, to nawet jeśli nie poprosisz ich o laske, zapamiętaj, że napar z liści wierzby usmierza ból, nawet ból serca. Najlepiej zrywać je w połowie lata.

Niektóre stare zielarki zdzierają kore z pnia, ale drzewo od tego umiera.

Averan wiedziała oczywiście o leczniczych właściwościach wierzbowej kory.

Czarnoksieznik tymczasem zatrzymał konia i zsiadł, żeby zerwać kilka listków z kwiatu o purpurowych płatkach i żółtym środku kielicha.

-To serdecznik - powiedział. - Głupie dziewczyny, trochę tylko starsze od ciebie, robią z niego napój miłośny. Ja jednak uważam, że czyste włosy i miły uśmiech mogą działać znacznie więcej. Ale gdy przez kilka minut pozujesz świeże liście, humor zaraz ci się poprawi i troski jakby stracą na znaczeniu.

Averan wsunęła listki do ust. Miały ostry zapach, który jednak sprawiał, że zaraz lepiej się oddychało. Zaczęła żuć je w zamysleniu, Binnesman zaś z powrotem siadł za nią i pojechali dalej.

-Gdyby ktoś cie tropił, spleć mały wianek z dzwonek i rzuć go na drogę za sobą - powiedział. - Twoi wrogowie zablądza w zaroślach.

Długo rozprawiał o zaletach przytulii i maruny, zaznaczając, czym różnią się młode kwiaty od starych, aż podjeżdżając pod górę, dotarli w końcu do lasu i zatrzymali się w cieniu olch. Wyżej Averan widziała okrywające wzgórza czerwone korony klonów, złociste brzozy, zielenie i granaty soson oraz świerków. Potem spojrzała na laski na południu. Skala Mangana wznosiła się całe mile od nich.

-Stąd w ogóle nie widać raubenów! - krzyknęła.

-Tak łatwiej ci będzie zrozumieć, czym jest perspektywa. Z bliska to zębate potwory, ale z oddali... sama widzisz, jak maleją wobec ogromu ziemi.

Averan nie wiedziała, co powiedzieć. Zachodzące słońce rzucało coraz dłuższe cienie.

Wszystkie, normalnie niedostrzegalne nierówności terenu zaznaczały się jak na dłoni.

Zaczynało z wolna chłodzić.

-Gaborn chce, żebym wybrała się z nim do podziemnego świata. Zgodziłam się. Czy źle zrobiłam?

-A co ci serce podpowiada?

Averan spróbowała wsłuchać się w siebie i ze zdumieniem odkryła, że dzięki listkom serdecznika wszelkie troski i problemy gdzieś zniknęły i po raz pierwszy od dłuższego czasu może spokojnie zebrać myśli.

-Nie boję się. Przynajmniej teraz.

-I dobrze. Nie jesteś przecież zwykłym dzieckiem mającym zstąpić do jaskin, ale Straznikiem Ziemi. Ziemia cie ukryje, ochroni i uzdrowi. Uczyni swoją. Musisz zrozumieć, że

nie jesteś już tylko małą dziewczynką. Stajesz się potężną czarodziejką. Poza tym ja pójdę oczywiście z tobą. Tak samo jak Wiosna. - Świetnie - odparła z ulgą Averan.

-Ale musisz mi coś obiecać. Że będziesz pamiętać, kim jesteś.

-Czarodziejka?

-Strażnikiem Ziemi. Twoim zadaniem jest chronić wszelkie życie, jakie napotkasz.

-Tak? - spytała zaniepokojona dziewczynka. Miała wrażenie, że wcześniej robiła coś nie tak, jak powinna.

-Nie daj się zwieść Gabornowi. Nie wyruszamy tam, żeby walczyć z raubenami.

Tego jednego jestem pewien.

-Ale ja mam chronić ludzi.

-To naturalne, że przede wszystkim chcesz chronić swoich pobratymców - powiedział Binnesman. - Ale to nie twoje poletko. Nie po to żyjesz.

-A skąd wiesz?

-Bo ludzie to moja domena - stwierdził z naciskiem Binnesman. - Zawsze jest jeden Strażnik Ziemi na każdy gatunek. Ja czuwam nad losem i zdrowiem rodzaju ludzkiego. Ty... nie wiem jeszcze, jakie zadanie otrzymasz.

-Ale ty się starzejesz. Co będzie, gdy umrzesz? Nie będziesz potrzebował następcy? - Averan dziwnie polubiła już łaskę Binnesmana.

-Ziemia odprawi mnie, gdy nie będzie już potrzebowała mojej służby. Ani chwile wcześniej.

-To nie przejmę po tobie obowiązków?

-Nie. Odejdę dopiero wtedy, gdy rodzaj ludzki albo uda się ocalić, albo go już nie będzie. Ale tak czy tak, jakieś niebezpieczeństwa pozostaną.

Averan uniosła głowę i mimo działania liści serdecznika nagle zrobiło jej się smutno.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak musi czuć się ktoś niosący równie wielkie brzemię.

-I mówisz o tym równie spokojnie?

-Jeśli rod ludzki wygaśnie, to będę go oplakiwał - odparł Binnesman z powagą. - Ale z czasem jakiś nowy lud pojawi się na jego miejsce. Może całkiem odmienny od nas, jak my różnimy się od tothów. I życie potoczy się dalej.

Straznik Ziemi przez dluzsza chwile spogladal ku Skale Mangana i zgromadzonym tam armiom. Jego blekitne oczy wydawaly sie teraz nienaturalnie czyste, a wieczorny blask ukazywal wszystkie zmarszczki na starej twarzy.

-A teraz do pracy - rzucil. Wyjal z kieszeni siedem malych agatow i ulozyl je na ziemi. - Niestety, to wszystko, co mam. Takie male kamienie wiele nie dzialaja, ale czasem bywaja pomocne.

Nakreslil wokol agatow znaki runiczne, a potem zaczal wywolywac w kamykach obrazy. Najpierw byly to zwyklye widoki widzianych z dolu osniezonych gorskich grani i szczytow. Aweran obrocila glowe i ujrzala je nad soba, tyle ze przesloniete blekitnawa mgielka odleglosci.

Potem Binnesman zaczal przesuwac kamienie. Przy kazdym nowym ustawieniu widok sie zmienial. Dziewczynka ujrzala drogi, ktorymi podrozowali rano, tyle ze z pewnej wysokosci. Czula tez podmuchy wiatru i zapach sosen.

Kamienie pokazuja mi to, co same widza, pomyslala.

A potem pojawily sie jeszcze inne krajobrazy. Jeziora i gory, i niedzwiedz biegnacy po grani. Slyszała jego chrzakanie i sapanie. I jeszcze Carris, i wozy wyjezdzajace z miasta.

Skrzypialy osie, niespokojnie rzaly konie. Za nimi ciagnal dlugi pochod pieszych uchodzcow.

Binnesman wciaz manipulowal kamieniami, jakby szukal konkretnej kombinacji. W koncu pojawila sie w nich dolina, w ktorej cos sie poruszalo. Drobną korekta ustawienia spowodowala przyblizenie sceny. Aweran ujrzala rycerzy Skalbairna wyganiajacych szkarlatna maginie spomiedzy karlowatych sosen. Otaczalo ja juz trzydziestu ludzi i probowala zakopac sie w ziemi. U dolu stoku lezaly cielska osmiu zolnierzy raubenow.

-To wlasnie chcialem zobaczyc - szepnal Binnesman. - Gaborn wyslal oddzial na poszukiwanie raubenow, ktorzy mogli odlaczyc sie od armii. I chyba udalo sie cos znalezc.

-Trafili na druzyne - dodala dziewczynka, pamietajac, ze raubenowie skladali swoje formacje z trojek albo ich wielokrotnosci. Przy waznych misjach zawsze byla to co najmniej druzyna w sile dziewieciu raubenow.

Paru rycerzy wjechalo pomiedzy drzewa i od tylu uderzylo na maginie kopiami.

Znikneli z pola widzenia, przez chwile slychac bylo tylko ich krzyki, brzek zbroi, uderzenia konskich kopyt i syczenie potwora. Z pobliskich zarosli zerwala sie przerazona pardwa i bijac mocno skrzydlami, czym predzej odleciala.

W koncu Binnesman przesunal dlonmi ponad kamieniami i obraz zniknal.

-Zatem Gaborn miał racje - powiedział w zamysleniu. - Raubenowie na Skale Mangana chcieli przyciągnąć naszą uwagę, żeby umożliwić posłancom ucieczkę.

Averan wiedziała, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Może udało się wygrać jeszcze jedną bitwę, ale co zrobić z tą wielką armią, która wdrapała się na górę? Blisko sześćdziesiąt tysięcy raubenów... Nie można było oczekiwać, że nigdy stamtąd nie zjedzą.

Binnesman przesunął znowu trzy kamienie.

-A teraz spojrz w nie sama i spróbujścią obraz. Nie wyobrażaj sobie tego, co chcesz zobaczyć. Ja je poruszyłem, zatem nic z tego, co ci pokazałem, więcej się nie pojawi.

Po prostu otwórz się na to, co one gotowe są tobie przekazać. Gdy już uwolnisz ich moc, starczy mała zmiana ustawienia, żeby przybliżyć, oddalić czy przesunąć obraz.

Instruował ją przez długie minuty, ale chociaż bardzo się starała, niczego nie udało jej się zobaczyć. Pod jej dłońmi kamienie pozostawały martwe.

W końcu Binnesman zebrał je i schował do kieszeni.

-Nie przejmuj się - powiedział. - Może z czasem ci się uda.

-A jeśli nigdy się tego nie nauczę?

-Nie musisz umieć wszystkiego - pocieszył ją. - Już teraz masz dar, którego ja nie posiadam: możesz uczyć się od raubenów. Zdziwiająca zdolność. I chyba ważna - dodał z westchnieniem. - Już wiem. Zrobimy inaczej. Zamknij oczy i spróbuj wyobrazić sobie jelenia w lesie. Jakiegokolwiek jelenia.

Averan posłuchała. Najpierw pomyślała o nakrapianym jelonku leżącym wśród paproci. Jednak zaraz pojawiły się wspomnienia Pastucha i lekcji, które on odebrał. Ktoś uczył go, jak uprawiać wielkie, rogate zuki. Najpierw należałością pancerz z łby, potem wyciągnąć mózg...

Dziewczynka zamrugła powiekami, próbując uporządkować myśli, i znowu skupiła się na jeleniu. Wyobraziła sobie w końcu zwierzę z rogami tak wielkimi jak konary drzewa.

-Masz? - spytał Binnesman.

-Tak.

-Dobrze. Pilnuj tego obrazu i nie myśl o niczym innym. Spróbuj przyjrzeć się dokładnie stworzeniu, dopracuj szczegóły. Każdy jelen trochę się różni od pozostałych. Mogą być rudawe albo brunatne, stare i młode. I jak wygląda? Jakie odgłosy wydaje?

Jak pachnie?

Co różni go od innych jeleni, które żyją w lesie? Pamiętaj, myśl tylko o nim.

Pracowała nad obrazem jelenia przez dziesięć długich minut. Był stary, z siwymi włosami wplecionymi w sierść, prawe ucho naderwał kiedyś w walce. Z lewej strony poroże miało siedem rozwidleń, z prawej było ich osiem.

W końcu dostrzegła też poruszające się przy oddechu nozdrza, zobaczyła, jak pochyla łeb i macha ogonem. Musiał poczuć jakiś dziwny zapach... Jego własna, pismowa won była bardzo silna, jak zwykle w okresie godów.

Potem wyraźnie go usłyszała. Z początku nie wiedziała, czy wyobraza sobie tylko, jak jeleni parska, łapiąc jej won, czy naprawdę może dawać wyraz zaniepokojeniu. Potem zaszleściło, gdy przedzierał się przez zarośla, trzasnęła gałązka pod kopytem i jeleni się spłoszył.

Po chwili poczuła, że to już nie jej wyobraźnia. Ta gałązka trzasnęła dla niej dwa razy.

Najpierw wyraźnie, jakby słyszała to uszami zwierzęcia, a potem słabo, daleko na stoku. Tak samo było z prychaniem.

To było już dziwne... Aweran miała wrażenie, jakby jej myśl przybrała nagle cielesną postać. Z bijącym mocno sercem i mocno zacisniętymi powiekami czekała, co będzie dalej.

Odgłos kopyt wyraźnie się przybliżał...

-Wyciągnij rękę - polecił Binnesman.

Zrobiła jak kazał i po chwili poczuła na dłoni podmuch ciepłego powietrza i miękkie, wilgotne nozdrza.

-A teraz otwórz oczy.

Zrobiwszy to, na chwilę wstrzymała oddech. Oczekiwała, że zobaczy jakiegoś jelenia... a tymczasem stało przed nią to samo zwierzę, które sobie wyobraziła!

Widziała nawet stadko much krazących wokół ogona.

Pogłaskała pysk, a jeleni podstawił się, jakby był domowym pieszczochem.

-Czy ja go stworzyłam?

-A jak sądzisz?

-Nie, nie mogłam go stworzyć. Ale on wygląda...

-Pojawił się w twoich myślach, bo był blisko. Poszukałaś go umysłem, a on odpowiedział. To częsty talent Strazników Ziemi. U ciebie jest bardzo silnie rozwinięty, jak widzę. Skłonny

jestem przypuszczac, ze twoim zadaniem bedzie zatem opieka nad jakimis gatunkiem zwierzat.

-Nie nad skalami?

-To tez bardzo wazna sprawa - powiedzial powaznie Binnesman, dajac znac, ze lekcja sie jeszcze nie skonczyla. - Kazdy Straznik Ziemi ma swoje zadanie, a wszystkie sa rownie wazne. Kazde tez wymaga innych umiejetnosci. Ja nigdy nie potrafilem przyzywac zwierzat, moge tylko sluchac, co mowia. Tobie udalo sie przy pierwszej probie, i to z jeleniem.

-To tak trudno przywolac jelenia?

-Im madrzejsze zwierzec, tym jest trudniej. Gdyby z jeleniem sie nie udalo, sprobowalibysmy z mysza albo chrzaszczem.

-Zatem z jeleniem jest trudniej niz z mysza... a z czlowiekiem trudniej niz z jeleniem?

-Tylko najwieksi potrafia przyzywac ludzi.

-A mozna przywolac tez zmarlych? - spytala, myslac o Brandzie, Rolandzie i swojej matce.

-Owszem. Ale to calkiem co innego niz przyzywanie zywych.

O wiele latwiejsza sprawa. Nawet ja to potrafie.

-Naprawde?

-A jak myslisz, kto wezwal pod Longmot ducha Erdena Geborena? - spytal i wskazal na wlasna piers.

Averan zastanowila sie nad tym. Jej zdaniem to musial byc wspanialy talent.

-A czy jakies stworzenie moze odmowic przybycia?

-Owszem. Ten jelen mysli, ze przybyl tu z wlasnej woli. Bo i w zasadzie tak bylo. Ty go wezwalas, on zgodzil sie odpowiedziec. Ale mogl odmowic.

Averan znowu poglaskala nozdrza zwierzecia i usmiechnela sie. Binnesman podszedl blizej i tez przyjrzal sie uwaznie jeleniowi.

-A teraz spojrz mu w oczy - powiedzial cicho. - Spojrz mu w oczy i powiedz, co widzisz.

Averan nigdy nie myslala, ze znajdzie sie tak blisko dzikiego zwierzca. Pamietala jednak, jak Brand chwail ja, ze radzi sobie swietnie nawet z nie oswojonymi graakami.

Drapiac jelenia po podgardlu, Averan wbila spojrzenie w ciemne slepia. Po chwili poczula

zapach człowieka. Welniane płaszcze, konski pot, smar na zbrojach, kwasny odor ludzkiego ciała. Był tak silny, że aż się wzdrygnęła. Zwierz uciekał przed myśliwymi i ich ogarami...

Teraz też cofnął się nagle, jakby chciał umknąć.

-Strach... On boi się czegoś okropnego. W lesie jest dziś za wielu ludzi.

Władcy Runów ujeżdżają na koniach. To go niepokoi.

Binnesman przykucnął przy niej, gdy Averan uwolniła jelenia. Zwierze zrobiło sześć długich skoków i stanęło na skraju lasu. Leb trzymało wysoko, widac było jego dumny profil.

Potem spokojnie przesunęło się w cień i zaczęło coś pojadać.

-Bardzo dobrze - mruknął Binnesman. - Masz wielki talent. Ja nigdy tak nie umiałem.

W myśli ludzi też nie nauczyłem się wnikać. Zawsze musiałem z nimi po prostu rozmawiać.

-Ale pamiętam, jak na mnie spojrzales, gdy pierwszy raz się spotkalismy! Byłam wtedy pewna, że wiesz, co myślę.

-Eee... Jak ma się tyle lat co ja, nie trzeba szczególnych darów, żeby odgadnąć dzieciece myśli. - Binnesman uśmiechnął się. - Niemniej mój nauczyciel często tak robił.

Zglądał w umysły ptaków i królików, żeby sprawdzić, kto wcześniej jechał drogą albo kto może podać za nim...

Z wolna zapadła noc. Zapach nagranych traw z równiny mieszał się z wonią olch i gnijących liści. Gdzieś na wzgórzach gruchały gołębie.

Binnesman i Averan siedzieli na trawie. W dole zapalały się ogniki obozowych ognisk, a wokół Skály Mangana pulsowały niesamowite, błękitnawe płomienie.

KSIEGA 10

DZIEŃ TRZECI MIESIACA LISCI

DZIEŃ MAGÓW

39 ASGAROTH

Nasz świat jest tylko cieniem Prawdziwego Świata, a my sami cieniami jego mieszkańców.
- wyjątek z Sagi o Stworzeniu Dzień podróży minął Erin i Celinorowi bez szczególnych wydarzeń, chociaż objazd wokół Beldinooku nie był zbyt dogodny. Nawet ich wspaniałe rumaki nie mogły poruszać się szybko w terenie pociętym kamienistymi potokami ani na stromych podgórskich ścieżkach. Pod wieczór mineli wreszcie najbardziej wysunięty na

południe kraniec Beldinooku i wyjechali na równiny Fleeds. Po niebie ciągnęły zwarte chmury. Ciemność i bliska burza zniechęciły ich do nocnej wędrowki, zatrzymali się więc w przydrożnej gospodzie, gdzie zamówili pierwszy od rana posiłek - ryżowy chleb i duszone szpaki w gęstym sosie. Na przystawkę dostali szalotki i pasternak usmazono na masle i miodzie.

Po obiedzie poszli do łozka, gdzie długo leżeli przytuleni. Celinor objął ją ramionami, a Erin przebiegło przez głowę, czy w ogóle zasnie. Uwielbiała jego dotyk, ale nigdy jeszcze nie spała z mężczyzną. Ciekawe, ile trwa, nim się przywyknie i byle ruch nie budzi? zastanowiła się.

Celinor jednak też nie był chyba nazbyt pewny siebie.

-To już jutro - szepnął.

Wiedziała, o co chodzi. Następnego dnia, zapewne późnym popołudniem, mieli dotrzeć do Crowthenu Południowego. A tam spotkają jego ojca i spróbują ustalić, jakie to właściwie szalenstwo go opętało.

-Obiecuj mi, że nie zrobisz niczego pochopnie - poprosił Celinor. - Mój ojciec był zawsze porządnym człowiekiem, dobrze traktował mnie w dzieciństwie. Jeśli oszalał, będę chciał zająć się nim po swojemu.

Zrozumiała. Słyszała, że gdy dziadek księcia postradał zmysły, został zamknięty w lochach, gdzie w końcu zmarł ze starości. To mogło być rodzinne przekleństwo.

Celinor sam obiecał kiedyś ojcu, że w razie czego postąpi z nim podobnie. Erin nie zazdrościła mu tego obowiązku.

-Dobrze - zgodziła się. - Ale uważaj. U niektórych szalenstwo odbija się w oczach, inni potrafią je ukryć. Twój ojciec jest niebezpieczny.

Księżę pokiwał głową. Jego ojciec spiskował przeciwko Królowi Ziemi i osiągnął już nawet pewne sukcesy. Anders wprost zaczął twierdzić, że Gaborn zamordował ojca, aby przejąć tron.

-Dla nas akurat niebezpieczny nie będzie - szepnął Celinor. - Chociaż sam nie wiem do końca, co o tym myśleć... Najpierw spróbuj z nim porozmawiać.

-Bacz na to, co mówisz. On jest bystry i przebiegły. Księżę zastanowił się.

-Gdybym mu to powtórzył, uznałby twoje słowa za komplement. Dlaczego uważasz, że jest przebiegły?

-Trochę o tym myślałam. Twój ojciec powiedział ci, że jestem siostrą Gaborna...

-Ciekawie to wymyślił. Biorąc pod uwagę zwyczaj siostr z Fleeds, twoja matka rzeczywiście mogła wybrać kogoś aż tak wysoko urodzonego. Na dodatek wyglądasz na spokrewnioną z Gabornem, a urodziłaś się dziewięć miesięcy po tym, jak cały orszak królewski przejeżdżał przez Fleeds.

-Ja wiem, kto jest moim ojcem - powiedziała Erin, ciągle niepewna, czy wyjawiać prawdę, która w obecnej sytuacji była równie niewygodna jak wymysł Andersa. - Widziałam moje drzewo genealogiczne. Moja matka wybrała mężczyznę z rodu Ordenow, ale to nie był Mendellas. Kto inny podobał jej się bardziej. Paldane.

-Jasne... Nie jesteś zatem jego siostrą, ale kuzynką! Wychodzi prawie na to samo, tyle że tytułu...

Zaraz dostrzegł problem. Paldane był wujem Gaborna, a jako dziecko diuka, zgodnie z prawem Mystarii, Erin wciąż miała prawo do tronu. Nawet jako kuzynka, a nie siostra Gaborna.

Księżniczki. Erin wiedziała, o czym może myśleć. Według praw jej ludu zostali małżonkami. Celinor był następcą tronu Crowthenu Południowego i właśnie spowinowacili się z rodem Ordenow. Gdyby Gaborn zginął, to jemu przypadłaby korona Mystarii. Czy to mogło go kusić?

-Nie wyjawiaj tego nigdy i nikomu - szepnął w końcu. - Szczególnie mojemu ojcu.

Erin nie zamierzała tego robić, ale i tak zastanawiała ją, czy Anders nie zna przypadkiem prawdy. Albo przynajmniej się jej nie domyśla...

Spróbowała potem usnąć, ale kotłujące się myśli jakos nie chciały się uspokoić.

Szczególnie często powracało wspomnienie sowy, który odwiedził ją po południu. I ta olbrzymia sowa z podziemi, która wzywała ją w mroczne czeluście.

Erin wiedziała, że sny obrastają często wokół ułamków wspomnień. Ale czy tylko?

Ten ostatni wydawał się tak realistyczny, chociaż gdyby zrodził się ze wspomnień, to nie wszystko miało w nim sens. Sowa wspomniała o "wojowniku z Krainy Cienia".

Podziemny świat bywał czasem nazywany Jedynym Prawdziwym Światem, ale nie Kraina Cienia.

Na dodatek Erin nigdy nie była w podobnym miejscu.

Przez długi czas leżała, bojąc się zasnąć, ale w końcu zapadła w drzemkę...

Obudziła się w legowisku sowy. Był już dzień, ale poranny blask ledwie docierał do jamy

pod korzeniami ogromnego debu. Sowa siedziała tam gdzie wcześniej, a pod nią pietrzył się stos kości wiewierek, krolików i jelonków. Sztylet sterczał ciągle z czaszki jakiegoś stworzenia podobnego do zaby.

Ptaka miał zamknięte oczy i oddychał powoli. Czucie go było teraz o wiele silniej.

W

powietrzu unosił się też odor krwi i starych kości.

W głębi jama przechodziła w biegnący gdzieś dalej tunel. Ślady na ścianach sugerowały, że został on wykopany ludzkimi rękami, ale od dawna nikt go nie używał. Na tkance drzewa wryto jakieś misterne symbole. Wyglądały na magiczne, choć Erin nigdy jeszcze takich nie widziała.

-Wrocilas. Dziękuję za przybycie w godzinie potrzeby - szepnęła sowa i Erin uniosła głowę. Ptak nadal wyglądał, jakby spał, i nie poruszał dziobem, a jednak przemawiał. Jego słowa trafiały wprost do głowy Erin, i to razem z emocjami. Dawało się w nich wyczuć głęboką wdzięczność.

-Nie przybyłam z własnej woli... - wyjaśniła Erin. - Ty mnie wezwałeś. Nie zasłużyłam na wdzięczność.

-A nie pragnęłaś się tu znaleźć? Odpowiedziałas na wezwanie. Czy to nie twój sztylet?

Erin zamrugnęła i rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegos drogi ucieczki.

-Zastanawiałam się tylko, czy nie znalazłabym tu pomocy.

-A... macie jakieś problemy w waszym świecie? - zdumiała się sowa.

Erin zdało się, że ptak traktuje taki pomysł z lekkim rozbawieniem.

-Istotnie.

Ptaka poruszył się na występie i zerknął na dziewczynę.

-Bo widzisz... nasza nadzieja wiąże się z tym, co dzieje się tam, u ciebie.

-Nadzieja na ocalenie waszego świata?

-Zapewne obu światów. Asgaroth przeszedł do was.

Słyszac to, Erin zamarła, tym bardziej że wraz z ostatnim zdaniem sowy spłynęła na nią wiedza, kim jest ów Asgaroth... Chodziło o czarnego glory'ego, który zaatakował zamek Sylvarresta. Był istotą o wielkiej mocy. Jego imię budziło lęk zarówno w sercach

Najjasniejszych, jak i pozostałych glorych.

-Asgaroth nie żyje - odparła po chwili.

-Nie żyje? Jesteś najpewniej wielką wojowniczką, ale wiedz, że nawet Ostrze Burzy nie zdoła zabić locusata.

Erin obudziła się nagle i usiadła. Celinor poruszył się obok i spróbował ją objąć. Jej jednak serce biło jak szalone i wszelka myśl o spaniu odeszła bezpowrotnie. Była pewna, że gdyby znowu przymknęła oczy, zaraz wróciłaby do podziemi.

Na dodatek ciągle pamiętała dobrze słowa sowy. To nie mógł być tylko sen... Erin nie słyszała nigdy o locusacie. W rofehavanskim to słowo nic nie znaczyło.

Nagle zrozumiała. Locusat to była istota, która zamieszkiwała w umyśle człowieka albo zwierzęcia. Całkiem jak pasożyt, tylko szybko przejmowała pełnię władzy nad żywicielem.

Asgaroth był najpotężniejszym z takich stworzeń. Niesmiertelnym i żyjącym od zarania dziejów. Był czymś więcej niż tylko czarnym glorym. Był potężnym sługą mrocznej sprawy, który w minionych epokach przywiódł do zguby tysiące różnych Światów Cienia.

40 WICHURA

Istoty, które my zwiemy fretami, same inaczej się nazywają, a uczeni potrafią wymienić aż trzy ich podgatunki. Największe są frety lesne i one są też zapewne najdziksze. Żyją wśród wzgórz i lesnych ostępów Rofehavanu. Frety wodne mają ciemniejsze futro i wola wilgotne środowisko, potrafią też świetnie pływać. Frety pustynne mają krótką sierść o piaskowej barwie i wydają się świetnie dostosowane do surowego otoczenia, w którym żyją. Żadne z fret nie radzą sobie dobrze wśród śniegów. Rzadko można je przeto spotkać dalej niż pięćdziesiąt mil na północ od zamku Sylvarresta. Zachowały się zapiski dowodzące, że frety sprowadził z Morza Carolla Yakor Śmiały. Zamierzał z ich pomocą uwolnić swe królestwo od szczurów i przenoszonych przez nie chorób. W ciepłym klimacie udało się to w pełni, wszelako sukces okazał się połowiczny, gdyż wprawdzie frety żadnych chorób nie roznoszą, to jednak zjadają o wiele większą część plonów niż ich mniejsi przeciwnicy. - wyjątek z Bestiariusza Binnesmana, rozdział Ssaki świata Krzyki umierających doleciały do zamku akurat w porze obiadu, gdy król Anders siadał do stołu.

Wniknęły przez górną kondygnację najwyższej wieży i kreconymi schodami wionęły w dół, do wielkiej sali, a potem znowu poszukały drogi na zewnątrz kominem.

Dla niewprawnego ucha brzmiały jak zwykle zawodzenie wiatru, ale Anders wyczekiwał na nie przez całe popołudnie.

Ogień buchnął nagle żywo, a królowa krzyknęła ze strachu.

Anders miał nadzieję, że dosłyszysz w tym skromnym chorze również głos kobiety, ale wszystkie piec należało do mężczyzn.

Unosił głowę i ujął puchar wina, by wypić za zdrowie swoich gości: diuka Stote'a z Lonnocku i księcia Grunensena z Eyremothu.

-Nie cierpiej podróży morskich - mówił księżu, wysoki i mocno zbudowany młodzieniec o bujnych ciemnych włosach, nieco dziewczęcy w obejściu. - Ostatnim razem galera roila się od szczurów, a to przecież jedna zaraza. Dlatego teraz podróżuje lądem i nocuje w porządnych gospodach, gdzie frety nie pozwalają temu plugastwu nad miarę się rozmnożyć.

-Myślałem, że w Eyremoth jest za zimno zarówno na szczury, jak i na frety - zazartował diuk Stote.

-Panie - syknęła do meżowskiego ucha królowa, zniesmaczona tematem rozmowy.

Uśmiechnął się. Wiedział, że niebawem zajmie się o wiele poważniejszymi sprawami niż szczury.

-Wznoszę toast! - zawołał. - Za przyjaciół z dalekich krajów! Goście uśmiechnęli się zdawkowo i wypili. Obiad przebiegał praktycznie w milczeniu i tylko co pewien czas ktoś rzucił wymuszona uwagę, która przeradzała się w krótką wymianę zdań. W końcu Anders skorzystał z chwili przerwy pomiędzy daniami, przeprosił gości i wspiał się na wieże.

Na szczycie spojrzał na południe. Loma była za daleko. Niewiele mógł stąd zdziałać.

No i atak się nie powiodł... Sfuszerowana robota. Jego pan nie będzie zadowolony. Choć może...

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad szczurami. Tymi wielkimi, czarnymi jak węgiel, które ryją nory pod domami, tłustymi szczurami z portu i chudymi lesnymi stworzeniami zdolnymi wspinac się na drzewa. Każdy nosił w sobie jakąś zarazę.

Może to nawet miało sens... Niewielu ludzi gotowych było w pełni ulec jego czarom.

Na dodatek trzech już zginęło. Ale przecież nie zawsze trzeba walczyć zwykłym orzechem...

Gdyby tak nasłać szczury? Sprowadzić mor na cały kraj, na starych, niedoleźnych, kobiety i dzieci...

Jakas resztką dawnego Andersa próbowała zaprotestować, że to potworny pomysł, ale obecny król miał się za twardego wojownika.

Prawdziwego władcy. Pierwszy rozkaz stracenia pojmanego zbroja wydał, gdy miał dwanaście lat. Potem nieraz walczył w bitwach.

Nie namyslał się długo nad wysłaniem zbrojczy, aby usuneli łomę. Nigdy jednak nie zastanawiał się nad wygubieniem setek tysięcy niewinnych.

Zimny wiatr owionął mu włosy i szepnął do ucha, że tak, że to by go bardzo ucieszyło.

-Nie! - krzyknął Anders, krecąc energicznie głowę.

Od tyłu uderzył go zimny powiew. Andersowi na moment aż tchu zabrakło, w głowie mu się zakreciło i zadrżał, pojmując, jak wysoko jest nad dziedzińcem. Objął występ muru, ale i tak zdawało mu się, że byle tchnienie wiatru może go stracić z wieży.

-Spraw mi tę przyjemność - szepnęło mu coś do ucha.

Na chwilę rozpacz ogarnęła Andersa. Zgodził się służyć wiatrowi, mając nadzieję na wzajemność. Owszem, coś otrzymał, ale teraz dojrzał, że sprzymierzeniec może w każdej chwili obroczyć się przeciwko niemu. Cokolwiek pocnie, jego los zawsze już będzie zależał od łaski wiatru.

Chłód przenikał przez jego ubiór niczym sztylet. Zdawał się mierzyć prosto w serce.

Nagle ogarnął całe ciało... Anders stanął prosto.

-Chodźcie, malenkie - szepnął. - Przybywaj, ogoniasta armio. Przez cały dzień wiatr wiał z południa, ale teraz kurek na najwyższej wieży obroczył się nagle i wskazał na zachód.

Wichura uderzyła z nową siłą i wkrótce Andersa dobiegły z dołu piski i ledwie słyszalny tupot. Na brukowanych uliczkach pokazały się pierwsze, drobne cienie.

Jakis terier wyskoczył z bramy i złapał pierwszego z brzegu szczura. Stworzenie zaskrzeczało i padło z przegryzionym karkiem, ale jego krewniacy wylaniali się ciągle z rur odpływowych i scieków, spod drzew, gnijących podłóg i ze stodoł. Inne biegły po dachach albo umykały z zamkowych lochów. Ciemna fala ogarniała uliczki, zostawiając za sobą tylko ledwo widoczne z góry drobiny odchodów. Tu i owdzie słychać było krzyki przerażonych kobiet.

Anders wiedział, że ludzie długo jeszcze będą rozprawiać o tej niepojętej ucieczce szczurów z miasta, ale on naprawdę potrzebował ich gdzie indziej. Potrzebował ich do wzniesienia zarazy.

Pod osłoną ciemności i wiatru odeszły wszystkie na południe.

-Wracaj do domu, łomę - szepnął w tym kierunku Anders. - Twoja kraina cię potrzebuje.

Ledwie skończył, w drzwiach prowadzących na wieżę pojawiła się jego żona.

-Cała noc zamierzasz tu stać? Zapomniałeś, że mamy gości? Król Anders tylko się

usmiechnal.

41 OJCIEC FARAON

Farion, Krolowa Snow, nagradza dobre dzieci, zabiec je w nocy do ciekawych, odleglych krain, a zlym wymierza kary, kierujac na mroczne sciezki pelne zmor i strachow. Aby wkrasc sie w jej laski, zle dzieci moga ulozyc przy poslaniu kawalek owocu albo cukierek. - bajka z Ashovenu Slonce zaszlo juz godzinie temu i gwiazdy migotaly nad Skala Mangana. Raubenowie nie ruszali sie stamtad i wciaz pracowali nad swoimi zakleciami.

Po zmroku zjawily sie wreszcie wyslane z zamku Fells wozy z zaopatrzeniem i Gaborn nakazal rozdac prowiant wojsku. Wielu rycerzy po raz pierwszy od wielu dni moglo zlapac troche snu.

Wszedzie zapadla cisza, ale Gaborn nadal siedzial przy ognisku. Wyczuwal narastajace zagrozenie dla najdalszych posterunkow.

-Panie, Skalbairn mowi, ze ma tu cos, co winienes zobaczyc! - zawolal nagle baron Waggit, ktory pelnil sluzbe lacznikowa przy strazy.

Gaborn zerwal sie, gdyz jego odczucia zdawaly sie potwierdzac. Cos sie szykowalo.

Razem ze swoim Dziennikiem ruszyl za Waggitem, ktorego jasne wlosy lsnily w blasku gwiazd niczym jedwab, a szerokie plecy kojarzily sie z grzbietem silnego wierzchowca.

Wkolo Skaly Mangana widac bylo plonace co dwiescie jardow ognie wart.

Chlodne nocne powietrze dobrze nioslo dzwieki. Gaborn slyszal sykliwe oddechy raubenow; zdawac by sie moglo, ze potwory podpelzaja coraz blizej. Z gory ciagle saczyl sie dym, a budowana ciagle rune spowijaly blekitnawe plomyki.

Na rowninie polyskiwaly tu i owdzie pancerze i helmy innych jeszcze wartownikow.

Marszalek Skalbairn czuwal nieco dalej - niezmiennie w siodle, z kopia w jednej rece i wodzami w drugiej. Omiatal okolice spojrzeniem. Towarzyszyl mu marszalek Chondler. Od Skaly Mangana dzielila ich jakas mila.

-Jestes albo najdzielniejszym z ludzi, albo największym glupcem w dziejach - szeptal Chondler.

-Marszalek Skalbairn nie jest glupcem - odezwal sie Waggit. - Uwierz, panie, slowu znawcy tematu.

Skalbairn przyjacielsko klepnal barona po plecach.

-Co sie dzieje? - spytal Gaborn.

-Pojawil sie samotny rauben, wasza wysokosc. Ogromna samica. Kryje sie za tamtymi skalami. Zamierzam ja zabic.

Gaborn spojrzal ku wskazanemu skupisku trzech skal. W dolince dojrzal wielka szkarlatna maginie, ktorej cale cialo pokrywaly jasne runy. Krazyla dziwnie i zdawala sie wlec za soba tylne lapy, jakby byla ranna. Znajdowala sie niemal w polowie odleglosci pomiedzy rycerzami a forteca.

-Skad ona sie tu wziala? - zastanowil sie Krol Ziemi.

-Widzielismy, jak schodzila po scianie - wyjasnil Chondler. - Byla juz tylko sto stop od gruntu, gdy posliznela sie i spadla. Od tamtej pory krazy jak bledna.

Gaborn zastanowil sie nad atakiem, wsluchal sie w siebie. Odpowiedz byla bardzo gwaltowna, graniczyla z panika.

-Zostawcie ja - powiedzial. - Ona nie jest wcale taka bezradna, jak sie wydaje.

-Gdybym tylko mial tu baliste - mruknal Chondler. - Wpakowalbym jej pocisk w bebechy.

-Mamy balisty - odparl Gaborn. - Godzine temu przyjechaly na wozach.

Chondler i Waggit spojrzeli na siebie radosnie. Gaborn znow zasiegnal rady wewnetrznego glosu... tak, to bedzie bezpieczne wyjście.

-Poslijcie zaraz po nie - rozkazal.

Obaj rycerze znikneli w ciemnosci, zostawiajac krola tylko ze Skalbairnem.

-Zdaje sie, ze zaczynasz lubic Waggita - zauwazyl Gaborn.

-To chyba dobry czlowiek. Nadalby sie dla mojej Farion. Od dawna uwazam, ze potrzebowalaby kogos milego, kto nie pogardzalby nia za jej slabosc umyslu. Bo ona nie jest nazbyt madra...

Gaborn nie odpowiedzial.

-A Chondler, panie, przydalby ci sie na sluzbie - dodal marszalek.

-Chcesz powiedziec, ze teraz mi nie sluzysz? Skalbairn pokrecil glowa.

-Zwiazal sie przysiega z Wilczym Bractwem. Zupelnie nie ufa twoim osadom, wasza wysokosc. Ma cie za zbyt... uladzonego.

Gaborn zachichotal.

-Naprawdę, panie - potwierdził marszałek i streszczył opowieść Chondlera o przesadzającej z dobroczynnością matce i jej chciwym synu. - On uważa, że istnieje tylko jedna cnota: umiarkowanie. I nawet ona szkodzi, gdy z nią przesadzić.

-Wedle jego rozumowania, mogłbym się zaliczać do szlachetnych tak długo, jak długo rozdawałbym tyle samo, ile bym kradł. Albo równie często klamał, jak mówił prawdę.

-On by powiedział, wasza wysokość, że dobry to ten, co rozdaje więcej, niż kradnie, i częściej ratuje, niż zabija.

-To bardzo wygodne rozumowanie - zauważył Gaborn.

-Owszem. Oszczędza całej masy rozterek, że o poczuciu winy nie wspomnę.

Gaborna dość to zirytowało. Dostrzegł zakłamanie Chondlera. W ten sposób każdy mógł przekonać sam siebie, że jego wady są w gruncie rzeczy zaletami, a szczególnych zalet winien unikac, gdyż stają się wadami.

Król Ziemi nie traktował tak lekko dobra i zła. To drugie było dla niego jak skały sterczące z wody u wejścia do zatoki. Przepłynac pomiędzy nimi mógł jedynie ten, kto miał za pilota sumienie. Bez niego kończyło się na dnie.

-A co ty o tym sądzisz? - spytał marszałek.

-Nie uważam twojej, panie, łaskawości za wadę. Koniec końców sam na niej skorzystałem.

-Ale pomyliłem się, wybiec Baja Ahtena - mruknął Gaborn. - Teraz to widzę. A jak z tobą? To nie był błąd?

-Nie wiem. Chociaż przypuszczałbym raczej, że nie. Tak czy tak, wczoraj, podczas bitwy, sześć razy uratowałem mi życie. Jestem twoim dłużnikiem. I zamierzam spłacić ten dług.

Gaborn przyjrzał się marszałkowi wolnych rycerzy. Z kopia w dłoni wciąż obserwował szkarłatną maginę. Nad Skalą Mangana przecięła niebo jasna krecha spadającej gwiazdy.

Podczas bitwy Gaborn ostrzegał wielu ludzi. Tysiące razy powtarzał te same słowa i nie potrafił już orzec, ilu właściwie ocalił.

Na równinie za Skalbairnem rozległ się nagle dziwny, przytłumiony loskot. Gaborn obrócił głowę i ujrzał, jak niecałe sto jardów przed ogniami strazy, od zachodniej strony, utworzyła się szeroka na jakieś trzydzieści stop rozpadlina.

-Co to jest?! - krzyknął marszałek.

Gaborn momentalnie pojął, co widzi i dlaczego od dłuższego czasu czuł wokół narastające zagrożenie. Raubenowie szykowali podkop, żeby zająć ludzi od tyłu.

Tyle ze tunel im sie zawalil!

Przejrzal juz ich plan: Averan miala racje, uprzedzajac, ze raubenowie nie zdolaja zbudowac nowej runy, a wspieli sie na skale, bo byli spragnieni i przerazeni.

Rozpacz ich osaczyła. I co teraz zrobic...? "Uderz", podpowiedziala ziemia. "Natychmiast!" - Grajcie na odwrot! - krzyknal Gaborn. - Wycofac straze spod skaly! Zbiorka oddzialow przy strumieniu!

-Co?! - krzyknal Skalbairn, zanim krol zdazyl sie odwrocic i ruszyc w ciemnosc. - Uciekamy?!

-Nie! Bedziemy atakowac! Juz wiem jak. Powinienem wczesniej na to wpsc.

Widzielismy juz dzisiaj kilka cudow. Poczekaj chwile, a ujrzysz kolejny.

42 WRONIA ZATOKA

Krol Fallion zaladowal armie na dziewiec okretow, Co je kazal zbudowac, by wyruszyć z Tide, I dluga droge odbyl wsrod morskich odmetow, Totkow odszukal, wygubil i zakonczyl rajd. - ballada o Fallionie loma probowala sobie niekiedy wyobrazic Tide, ale zadna fantazja nie mogla oddac tego, co wlasnie bylo jej dane zobaczyc. Wiedziala, ze miasto jest posadowione na skupisku wysp, slyszala tez o slynnych mostach przerzuconych nad ciesninami. Zostaly wzniesione z blokow krysztalow gorskich przywiezionych wielkimi barkami az z gor Alcair.

Same przesla przypominaly nawet to, co wyobraznia jej wczesniej podsuwala, byly jasne i skrzyly sie jak lod, ale filary przeszly oczekiwania. Zostaly wyrzezbione na podobienstwo postaci z legend, postaci ucielesniajacych te cnoty, ktore uwazano za najwazniejsze cechy Wladcow Runow. Troske przedstawiala kobieta z mala corka na rekach, Odwage powazny wojownik z falistym mieczem w dloni, ktory walczył z oplatajacy m kobieta wezem. Dobroczynnosc symbolizowal wladca z koszem owocow i zboz, ktore niosl, aby rozdac je ubogim.

Wszystko imponowalo ogromem. Mosty byly tak wysokie, ze miescily sie pod nimi pelnomorskie statki z postawionymi masztami.

Nawet w Mysterrii slyszano o Wielkiej Wiezy, najwyzszej budowli calego Rofehavanu, ale loma nie potrafila sobie wyobrazic dzieła ludzkich rak, ktore wyrastaloby az na trzysta stop. Mimo to dostrzegla sylwetki dalekowidzacych, ktorzy krazili po tarasie najwyzszej kondygnacji.

Wjezdajac do miasta, zauwazyla wszakze, czym zaplacili tideanczyacy za te wspanialosci. Wysoka cena ziemi sprawiala, ze ulice, jakkolwiek czyste i zadbane, byly bardzo waskie. Jechalo sie nimi niby dnem glebokich wawozow. W wielu miejscach gora przebiegaly

miedzy domami mostki i zabudowane przejścia, tak że chwilami w ogóle nie było widać nieba i całe światło pochodziło tam z kryształowych latarni zawieszonych na kątach żelaznych uchwytach. Wszędzie docierały poddmuchy zimnego i słonego, morskiego wiatru.

Loma patrzyła na miasto w niemym podziwieniu i co chwila musiała się pilnować, żeby nie wzdychać po dzieciecemu zachwytu. Sierżant Grimeson i rycerze z jej eskorty udawali, że nie dostrzegają spontanicznych reakcji swojej królowej, ale niewatpliwie ich one bawiły, szczególnie że Loma mimo usilnych staran zapominała chwilami o zamknięciu ust.

Nie chciała wyglądać jak pastereczka, która nigdy nie widziała nic poza swoją wioską, ale tak właśnie się czuła.

-Najlepiej oglądać miasto o pierwszym brzasku - powiedział Grimeson. - Gdy słońce wschodzi i złoci wieże. - Jechali teraz z konieczności bardzo wolno, a sierżant mówił także niespiesznie, jakby z namysłem. - Światło wypełnia ulice, w cieniach zaczynają śpiewać kolibry i szmaragdowo-szkarłatne cukrzyki, a potem leca do wiszących ogrodów szukać nektaru. To naprawdę piękne!

Kolibry były dumą Mysterii. Nie widziano ich tu nigdy przed najazdem tothów, ale gdy Fallion ich pokonał, wysłał flotę za Morze Carolla, żeby dobić wroga. W zamorskich krainach jego wojacy znaleźli wiele cudów, król zaś zdecydował, że przywiezie kolibry w darze dla swego ludu. Pierwsze gniazda założyły właśnie tutaj, w Tide.

A teraz ja jestem królową tego kraju, przypominała sobie Loma. Najpiękniejszego i najbogatszego w całym Rofehavanie. Mimo to czuje się ciągle jak barbarzynca przybyły z mroźnej polnocy.

Loma błyskawicznie zakochała się w Tide. I równie szybko pojęła, że nigdy nie poczuje się tu jak u siebie.

Do palacu wjechała o polnocy. Sierżant rozkazał służbie "na jednej nodze szykować ucztę", a sam dopilnował złożenia drewna w skarbcu.

Loma sięgnęła po instrukcje Gaborna. Miała nakazać Grimesonowi, aby skontaktował się z jakimś Ablem Scarbym w sprawie psów. Mieszkał on w pobliżu portu, jednak w nieco tajemniczym dopisku u dołu strony Gaborn zakazywał ujawniania położenia jego domu komukolwiek postronnemu.

-Kto to właściwie jest? - spytała Loma sierżanta. - Dlaczego Gaborn tak strzeże jego adresu?

-Bo to najlepszy treser psów do walk w całym królestwie, wasza wysokość. Zwykle unika kontaktów ze stróżami prawa. Ale wiem, jak z nim rozmawiać.

Cos takiego... pomyślała Loma. Czyli to właściwie kryminalista...

-I moj maz dobrze go zna?

-Czy dobrze, pani? Sa starymi przyjaciolmi!

Ioma nie kryla zaskoczenia. Gaborn jednak bardzo potrzebował tych psow.

Wprawdzie byla pewna, ze Grimeson poradzi sobie z treserem, ale cos przyszlo jej do glowy.

-Skoro to przyjaciel Gaborna, chce go poznac. Ida z toba.

-Alez wasza wysokosc, niebawem podadza do stolu!

-Poczekaja, az wrocimy. To o wiele wazniejsze. Grimeson pokiwal tylko niechetnie glową, bo i co mogl powiedziec?

Chwile pozniej podprowadzono im swieze konie i ruszyli klusem przez miasto.

Ulice byly puste o tej porze, czasem tylko przemknel gdzies wedrujacy w swoich sprawach kot, gdzies mignela skradajaca sie freta.

W kilka minut dotarli do dzielnicy portowej zwanej Wronia Zatoka, gdzie przy nabrzezach wyrosly cale szeregi magazynow, domow i tawern, a w powietrzu unosil sie odor gnijacych ryb, wielorybiego tluszczu i gotowanych krabow. Ciemny nalot szpecil niemal wszystkie sciany i mury.

Mimo poznej pory slychac tu bylo muzyke i smiech bywalcow licznych tawern.

Mezcyzni o palakowatych nogach siedzieli na beczulkach piwa, a dziwki portowe ogłaszaly wszem i wobec ceny swoich uslug. Stare kobiety czyscily i cerowaly sieci przy blasku latarn, a mewy krazyly wokolo w poszukiwaniu kaskow. Dzieci biegaly pod nogami niczym wyrosle szczury.

Ta czesc miasta nigdy nie kladla sie spac. Pierwsze lodzie wyplywaly w morze na dlugo przed switaniem, a wracaly dopiero po zmroku.

Ioma widziala spoza domow, szop i skladow cale tysiace lodzi rybackich, zwykle korakli i trimaranow, zakotwiczonych w zatoce o ksztalcie podkowy. Mniejsze z nich kolysaly sie niczym korki na brudej powierzchni wody. Niektore mialy na dziobach rzezbione glowy weza ze slepiami, w ktorych wymalowano na bialo runy dzielnosci morskiej i nawigacyjne.

Sierzant zwolnil przed wjazdem w ciemna uliczke, przy ktorej staly chylace sie ku sobie domy. Ioma nigdy nie zajrzalaby tu sama, w kazdym razie gdyby byla zwykla kobieta, a nie Wladca Runow. Ale obecność eskorty i tak dodawala jej odwagi.

Podkowy zadzwonily na kamieniu. Bruk pokrywal nalot soli. Na waskich podestach tu i

owdziej widac bylo kulacych sie sniadych mezczyzn, a jedyne swiatlo dolatywalo z otwartych nieco dalej drzwi jakiegos domu. Po chwili wypadly stamtad dwa mastiffy w kolczastych obrozach. Na widok koni zaniosly sie szczekaniem i warczeniem.

Rumak sierzanta stanal prawie deba, a wierzchowiec lomy zatanczyl i sprobował sie cofnac. Zajeta nim krolowa nie zauwazyła nawet, jak z mroku wyskoczylo co najmniej szesciu mezczyzn. Jeden zaczął wymyslac psom, uzywając slow, jakich loma nigdy jeszcze nie slyszala. Co rusz je przy tym kopal. Inny chwycil brudnymi lapami wodze jej wierzchowca i wgapil sie w nia z otwarta geba. Widac bylo, ze ma powazne braki w uzebieniu.

Inni zblizyli sie od tylu, a z cienia wylonil sie jakis mezczyzna z czesciowo posiwiala broda. W dloni trzymal nabijana kolcami palke. Spojrzal na sierzanta.

-Prosze, prosze, kogo tu mamy... Jedno dziewczę i dwa swietne konie! A pewnie jeszcze zloto w sakiewkach. Mozecie podac mi chociaz jeden powód, dla ktorego nie powinienem go was pozbawic?

Mastiffy ciagle szczekaly i rzucaly sie wkolo, a szczerbaty mlodziak nie chcial puscic cugli, chociaz loma podsunela mu pod nos sztylet wyjety z buta. Z tyloma darami moglaby go wypatroszyc jak sledzia, ale na razie wolala unikac przemocy.

-Ani kobieta, ani konie nie sa dla was - odparl Grimeson. - Ale zloto sie znajdzie. Jak to mowia, zbyt wielkie bogactwo zawsze staje sie przeklenstwem.

Wyjal sakiewke i rzucil ja rozmowcy. loma omal glosno nie zaprotestowala.

Siwobrody dzielil jednego psa palka, az zwierzak uciekl ze skowytem, i rozesmial sie glosno.

-Grimeson... - powiedzial. - Co cie przynioslo miedzy szczury? Brak ci lepszego towarzystwa? Czy moze Gaborn kazal mnie w koncu przymknac?

-Nie dzisiaj - rzucil sierzant. - A gdybym dobrego towarzystwa szukal, to na pewno nie u ciebie.

Kiedy to mowil, w uchylonych drzwiach pobliskiego domu pojawila sie zaciekawiona trojka obdartych dzieci.

Siwobrody zwazyl sakiewke Grimesona w dloni i odrzucil ja wlascicielowi. I zdziwil sie niepomiernie, bo po chwili pieniadze do niego wrocily.

-Krol potrzebuje psow. Powiedzial, ze Abel Scarby wie najlepiej, gdzie je znalezc.

Treser usmiechnal sie szeroko.

-Do walk? Mastiffy? Buldogi?

-Nie, całkiem inne - odezwala sie loma. - Takie jasno przypalane i niewielkie, ktore szybko przywiazuja sie do czlowieka i maja jeszcze wiele innych zalet. Niektorzy Wladcy Runow korzystaja ich uslug. Zapewne wiesz, o czym mowie?

Abel Scarby zerknal na kobiete, ktora wprawdzie skrywala twarz pod obszernym kapturem, ale wyrozniarla sie postawa i bogatym strojem. Treser jednak musial przywyknac do robienia interesow ze szlachetnie urodzonymi, bo nawet nie spytal o jej imie.

-No, do walki uzywa sie ich rzadko, ale i tak sa dobre - odpowiedzial i splunal na bruk. - Pamietam taka jedna suke...

-Mozesz je miec? - spytala loma. - Jeszcze dzis w nocy? Jak najszybciej? Nie maja byc dla mnie, ale dla krola. Potrzebujemy ich ze trzydziesti, a jesli to mozliwe, nawet wiecej.

-Beda przed wschodem slonca.

-I jeszcze jedno - dodala po wahaniu loma. - Ci, ktorzy hoduja te psy, beda musieli przyjac od nich dary wechu i przekazac je potem krolewskim darczyncom. Dobrze im zaplacimy za te przysluge.

Abel Scarby przelknal ciezko sline. W koncu pojal, z kim rozmawia, opadl na kolano i warknal na mlodzika, ktory trzymal wodze konia lomy.

-Kador, lapy precz od wlasnosci krolowej!

Kador cofnal sie i uniosl rece, jakby chcial sie zaslonic przed ciosem.

-Wybacz, wasza wysokosc - powiedzial Abel. - Zycie nauczylo nas walczyć o swoje i zawsze pilnujemy plecow. W tej uliczce to my stanowimy prawo. Nie chcielismy nikogo urazic.

-I nie uraziliscie. Przyjaciele Gaborna sa moimi przyjaciolmi. Abel spojrzal na nia jakby z zaklopotaniem.

-Czy to prawda, wasza wysokosc? Czy Gaborn naprawde zostal Krolem Ziemi?

-Tak.

-I naprawde... nadchodzi trudne czasy? loma pokiwala glowa.

Abel podal jej sakiewke.

-Wasza wysokosc, nie chce ani sztuki zlota - powiedzial glosno i zlozyl swoja palke na ziemi tak samo, jak oddajacy hold wladcy rycerze zwykli ukladac miecze. W jego oczach blysnela

nadzieja i lek, że być może nie spotka się ze zrozumieniem. - Pani, jestem zwykłym prostakiem, nawet w święta nie noszę jedwabów, a gdybyś zajrzała do mojego domu, zobaczyłabyś zwykłą łóżeczkę i nie znalazłabyś krzesła dość czystego, żeby na nim usiąść. Ale serce mam proste i dumne jak każdy rycerz, który zgię przed tobą kolano. Nie jestem rycerzem, lecz tak samo cenię życie. I mam na utrzymaniu siedemnaścioro synów i córek.

Blagam zatem, pani, byś przekazała królowi, który nazwał mnie swym przyjacielem, aby wybrał i mnie, i moje dzieciaki.

Wszyscy spojrzeli wyczekująco na Iomę, całkiem jak psy oczekujące na resztki z pańskiego stołu. Brudne jak nieszczęście dzieci wyszły z domu i po cichu zgromadziły się wokół ojca. Objął kilkoro z nich.

Ioma zawahała się. Gaborn nie mógł już obecnie wybierać, ale tego powiedzieć teraz i tutaj nie śmiała. Ci ludzie rozpaczliwie wyglądali jakiegokolwiek nadziei. I jeszcze siedemnaścioro dzieci... Pomyślała o tym, które nosiła w łonie. Czy zniosłaby jego utratę?

-Gaborn jest daleko - odpowiedziała w końcu. - Walczy z raubieniami. Jestem pewna, że wybrałby cie, gdyby mógł.

-Zatem musimy poczekać, aż wróci? - spytał Abel. - Ale wstawisz się, pani, za nami?

Może się przecież zdarzyć, że dobre moce wróca do Gaborna, pomyślała Ioma. Ale obawiała się, że to nigdy nie nastąpi.

-Poprosza go - obiecała.

Ablowi broda zadrżała, a w oczach pojawiły się łzy. Dzieci przez chwilę patrzyły na nią w wielkim zdumieniu, aż w końcu jedna dziewczynka pobiegła do domu, wołając matkę.

-Dziękuję, wasza wysokość - powiedział treser przez zacisnięte gardło. - Zrobią, co w mojej mocy, aby zasłużyć na twoją łaskawość.

Ioma rzuciła mu coś ruszając tego dnia sakiewkę.

-Proszę, zatrzymaj te pieniądze. Jeśli nie dla siebie, to dla twojej żony i dzieci.

Abel sklonił się nisko.

-Przykro mi z powodu twego ojca, pani. Zawsze słyszałem, że był wielkim królem.

-Dziękuję - odparła Ioma.

-Słyszeliście, chłopaki?! Z życiem! - krzyknął tymczasem Abel na swoich pomagierów.

Ioma zawróciła wierzchołkiem i wyjechała z uliczki. Grimeson nie od razu zdołał ją dogonić.

Dopiero pol mili dalej skrecila ku nabrzezu i tam sie zatrzymala. Zaraz tez zeskokczyła z siodla i przez chwile stala, patrzac w woda.

Rece jej sie trzesly.

-Dobrze sie czujesz, pani? - spytal sierzant.

-Na Moce, nigdy nie czulam sie podlej - rzucila loma. - Nie moglam mu odmowic.

Nie moglam mu powiedziec, ze byc moze jego dzieci zgina... Nie przy nich. Co mialam zrobic? Nigdy nie sadzilam, ze przyjdzie mi....

Nagle zrozumiala, jak musi czuc sie Gaborn. Tylko ze dla niego to wszystko bylo tysiac razy gorsze.

Oparla sie o mur i zwymiotowala. Grimeson nie odezwal sie ani slowem. Nie umialby jej pocieszyc.

43 POGROM RAUBENOW

Mlot rycerski to ulubiona bron jazdy Mystarrii. Jego rekojesc mierzy zwykle cztery, a nierzadko nawet szesc stop dlugosci i wykonuje sie ja z najprzedniejszej stali. Zelezce jest waskie, dlugie i z obu stron konczy sie, zeby przebic sie przez czaszka raubena albo rycerska zbroje. - z Przewodnika po bronni mistrza Bandera Averan i Binnesman siedzieli pod gwiazdami na stoku wzgorza. Slonce zaszlo juz kilka godzin temu i zza horyzontu wylal sie wlasnie sierp ksiezycy. W dali widac bylo migotliwe punkciki ognisk plonacych wokol Skaly Mangana. Spomiedzy wzgorz wylonilo sie stadko saren. Nie zwracajac uwagi na dziewczynke i czarnoksieznika, zaczely skubac trawe.

Binnesman wetknal laske w murawe i wyjasnil, ze to zwykla praktyka Straznikow Ziemi, gdyz tak wbita laska wyciaga energie z ziemi.

Potem umilkł. Nie narzekal na to, jak niewiele czasu im zostalo. Nie probowal tez pokazywac dziewczynce nowych roslin. Siedzial tylko i patrzyl na okolice, jakby chcial z niej wyczytac oznaki bliskiego konca swiata. Od wielu godzin nie myslal chyba o niczym innym.

A moze obawial sie po prostu, ze rozmowa sploszy sarny.

-Rzucasz zaklecia? - wyszeptala w koncu Averan. Pasaca sie blisko lania zastrzygla uchem, ale nie odeszla nawet o krok.

Binnesman obrocil glowe i spojrzal na dziewczynke katem oka.

-Tak, poniekad - odparl po chwili. - Ale potrzebuje czasu, by odzyskac sily.

Dotyk trawy, zapach sosen i wiatru, smak ziemi bardzo mi w tym pomagaja. To dopiero jest

magia, prawda?

-Chyba tak - przyznała Averan i znow zamilkla.

-Binnesmanie - szepnela po dluzszej chwili, zebrawszy sie na odwage. - A co dzieje sie z ludzmi po smierci?

-Ich ciala wracaja do ziemi, a duchy... robia wszystko, na co duchy maja ochote.

-Widziales Erdena Geborena. Czy jest szczesliwy?

-Tak... jak na zjawe to calkiem szczesliwy - mruknal czarnoksieznik.

Averan wyczula, ze jej mistrz unika odpowiedzi wprost, ale wiedziala juz, ze dorosli nie lubia trudnych pytan. I ze z latami przestaja sie czemukolwiek dziwic.

-Ale... nie wszyscy zostaja wsrod nas jako zjawy, prawda? Co dzieje sie z reszta?

-Nikt naprawde tego nie wie. Podobno niektorzy odradzaja sie w podziemnym swiecie albo swiatach, ktore sa cieniami naszego. Tak jak nasz jest cieniem prawdziwego. Ale nie wszystkie duchy odchodza. Niektore zostaja wlasnie jako zjawy.

-Chyba tak wlasnie bym wolala. Podoba mi sie tu.

-Dlaczego? Marzy ci sie, aby oszukac smierc?

-Oczywiscie. Binnesman usmiechnal sie.

-Tego nie zdołasz zrobic. Ale mozna sie nauczyc, jak spokojnie stawic jej czolo.

Wtedy przychodzi do nas jak przyjaciel.

-Mowisz tylko o opanowaniu strachu - zaprotestowala Averan. - A ja chce oszukac sama smierc.

-Coz... Chcesz wiec wiedziec, jak zostac pozniej zjawą. Nie wiem, czy moze ci cos doradzic. Przypuszczam, ze zmarli znaja nasze mysli. Ile razy o kims takim pomyslimy albo zatesknimy za nim, zjawia sie gdzies blisko. A moze nasze mysli tylko pomagaja im przybrac wyrazniejsza postac. Nie wiem...

Zamilkl na dluzsza chwile.

-Zauwazylem jednak, ze zjawy to niemal zawsze duchy ludzi o wielkiej sile woli.

Większość bardzo usilnie dazyla do dobra. Woleli tworzyc niz niszczyć.

-Większość? Więc nie wszyscy?

-No... niektórzy mimo silnej woli zaprzękali się ciemności.

-A co jeszcze sprawia, że ktoś zostaje zjawą?

-Kto wie? Zresztą popatrz na gwiazdy. Są ich miliony, a wokół nich znajdziesz sporo innych światów. Takich jak nasz albo tylko trochę podobnych.

-Słyszałam o tym. Mistrz Brand śpiewał mi Sage o Stworzeniu.

-Naprawdę? - zdumiał się Binnesman. - Mało kto dziś jeszcze ją pamięta.

-On też znalazł tylko część.

-No to powiem ci, co sam wiem na ten temat. Bo widzisz, kiedyś była tylko jedna gwiazda i jeden świat. I na nim rosło Prawdziwe Drzewo. Wiazała je Jedyna Runa.

Jednak wrog wykorzystał sposobność, żeby się wtracić. Zniszczył runę, a jej kawałki rozleciały się na wszystkie strony. I dlatego właśnie teraz mamy miliardy światów. Każdy pod własnym słońcem. I każdy ma w sobie coś z tego pierwszego, jedyne. I jest tym samym w jakiś sposób prawdziwy.

-Więc na tych innych światach również żyją ludzie?

-Tak, ale chyba nie tacy sami jak my. Chociaż wszyscy jesteśmy odbiciami jednego wzorca, możemy różnić się wyglądem. Być może oni w ogóle nie nazwaliby nas ludźmi. Ale w głębi serc jesteśmy na pewno podobni. I wszyscy tęsknimy za prawdziwym światem.

Niektórzy powiadają, że duchy czy zjawy to najszczerza część nas samych, która szuka drogi powrotnej do dawnej ojczyzny.

Averan wiedziała, że czarnoksiężnicy mogą schodzić do podziemnego świata. Tkacze płomieni Wilka wezwali stamtąd czarnego glory'ego. Nie oni pierwsi zresztą.

Podobno w tamtych tajemnych krainach żyły jeszcze inne stwory.

Binnesman nastroszył brwi.

-Averan... - powiedział nagle dziwnie zduszonym głosem. - Ziemia... chce, abysmy teraz byli silni. Godzina próby zbliża się wielkimi krokami. Czuje już nadciągająca burza. Na ten właśnie moment stworzyłem dzika, ale nie miałem kiedy jej wyszkolić. I wiem już, że nie zdąże tego zrobić. Nie mogę jej jeszcze uwolnić, ale i tak ją wezmę. Pewien jestem, że nam się przyda.

-O czym mówisz? - spytała dziewczynka, zalekniona, że czarnoksiężnik zamierza wyruszyć

do podziemi już teraz, zaraz.

Nagle drzenie przebiegło przez okolice. Coś syknęło rozgłosnie i Averan pomyślała, że może to czerw wraca na powierzchnię. Ale nie, to było zwykłe trzesienie ziemi.

Spojrzała na Binnesmana, szukając wytłumaczenia i otuchy, ale czarnoksiężnik tylko wstał i spojrzał w niebo, na którym zajasniało jedna po drugiej osiem spadających gwiazd.

-Co jest? - spytała Averan. - Coś złego się dzieje? Strażnik Ziemi wskazał na Skale Mangana. Averan spojrzała i rozdziawiła usta.

Ognie wokół twierdzy rozpalily się nagle intensywniej, tworząc prawie że jednolite polkole.

-Chodź - powiedział Binnesman. - Starczy odpoczynku. Pora ruszać do bitwy.

Gdy rumak Binnesmana mknął w dół zbocza i dalej, przez trawiastą równinę, Averan patrzyła, jak płomienie wokół Skale Mangana strzelają coraz wyżej, a wysłani przez Gaborną jeźdźcy podsycają je po nawietrznej stronie góry.

Niebawem ryczący ogień buchnął wysoko w niebo, a chmury dymu rozjarzyły się rudawym poblaskiem. Widac było, jak raubenowie zaczynają coraz żywiej przebierać wyrostkami.

Co tu się dzieje? pomyślała dziewczynka. Ogień przecież nie mógł sięgnąć poziomu dawnej fortecy. Zbocza były za strome i prawie nagie, nieliczne pnacze nie były wystarczającym pokarmem dla płomieni.

Niemniej raubenowie ułatwili ludziom zadanie, spychając na równinę wyrwane uprzednio drzewa, które zajęły się teraz, dając kleby dymu.

Czyżby Gaborn chciał wydusić raubenów?

Pomysł ten wydał się dziewczynce przerażający, gdyż wiedziała, jak wygląda świat doznanych wechowych raubenów i знаła ich najgłębsze leki. Obawa przed dymem należała do najsilniejszych.

Co więcej, sam ogień też ją przerażał. Zawsze był wrogiem ziemi, przeciwnikiem jej mistrza.

-Czujesz?! - krzyknęła do Binnesmana.

-Co?

-Ogień wie, co się dzieje. Jest wściekły na Gaborną, że został wykorzystany przeciwko swoim sługom.

-Nie bój się. Ogień wszystko trawi. Jest zawsze głodny, a głodny nie myśli. Gdy tylko może, niszczy wszystko, co napotka na swojej drodze, czy to będzie człowiek, czy rauben.

Ale to samo jest też jego słabością. Pamiętaj, ogień nie pogardzi żadnym pokarmem.

Averan nigdy nie myślała o ogniu w ten sposób. Nigdy wcześniej nie czuła też jego żywiołowej mocy. Z drugiej strony odbierała coraz silniejsze ostrzeżenia ze strony ziemi.

-Co on robi?! - krzyknęła, gdy byli już tylko dwie mile od Skaly Mangana.

Teraz dostrzegła szeregi rycerzy stojących z kopiami tuż za linią płomieni, które odbijały się wyraźnie w ich zbrojach.

Nagle zza ściany ognia wypadła szkarłatna magini z łaską w łapie. Dym ogarnął ją na krótką chwilę i już chciała unieść łaskę, gdy jeden z rycerzy zaatakował ją z boku. Obrocila się gwałtownie w jego stronę. Nagle jej śladem nadeszła druga magini.

-Wychodzą spod ziemi! - krzyknął Binnesman.

Teraz dopiero dziewczynka dojrzała wszystko. Raubenowie zrobili podkop pod pozycje Gaborna w nadziei, że zajdą ludzi z zaskoczenia, od tyłu. Gaborn zrozumiał, co się dzieje, gdy zobaczył świeże zapadlisko, i dlatego kazał rozpalic ogień. Chciał wypełnić podkop dymem.

Raubenowie wypelzali teraz jeden za drugim z jamy i rzucali się na ludzi.

Binnesman mocno objął Averan i pogonił wierzchowca.

Po chwili dojrzel, że nie wszystkie oddziały biorą udział w walce. Kilkuset żołnierzy skupiło się przy mniejszych ogniskach rozpalonych nad strumieniem. Opiekali coś nadzianego na patyki.

Averan z przerażeniem pojęła, co oni robią. Przysmazali wycięte gruczoly raubenów i ciskali w kierunku wroga. Nawet z daleka wyczuwała ostrą, czosnkową won ostrzegającą: "Śmiertelne niebezpieczeństwo! Uwiedzajcie!" Obejrzała się na Skale Mangana. Ściana ognia przesuwala się na wschod i objela już podstawę urwiska. Płomienie buchaly na ponad trzysta stop w gore.

Dopiero po chwili dotarło do Averan, co chciał osiągnąć Gaborn. Na dodatek w pełni mu się to udało: raubenowie wpadli w panikę.

Rzucili się do ucieczki na południe, gdzie stok był nieco łagodniejszy i urwisko niższe. Ale ci z tyłu za bardzo napierali na schodzących i raubenowie zaczęli odpadac od ściany niczym monstrualne kraby.

Niektorzy spadali na pobratymców i stracali ich w przepasc. Skaly kruszyły się pod ich potężnymi pazurami. Te potwory, które nie zginely przy upadku, próbowały oddalic się kulawo, z polamanymi kończynami.

Ziemia znowu sie zatrzesla i Averan pomysla, ze moze Gaborn odzyskal swoje moce, ale okazalo sie, ze to fragment urwiska oderwal sie od skaly i runal lawina, ktora ze dwa tysiacie raubenow sklebila w jeden stos. Niedobitki zaczely umykac byle dalej. Caly wschodni stok Skaly Mangana stal juz w plomieniach.

Averan slyszala w myslach chor przedsmiernych jekow niezliczonych raubenow.

Won palonych gruczolow calkiem ja obezwladniala.

Binnesman podjechal do Gaborna, ktory z siodla obserwowal spokojnie pobjowisko.

Jego kon przebieral nerwowo nogami.

-Czyz to nie piekne zwyciestwo?! - zawolal krol na ich widok. - Raubenowie probowali nas jedynie nastraszyć. Nie potrafili stworzyc kolejnej pieczeci.

Chcieli tylko, zebysmy sie wykrwawili, probujac dopasc ich na gorze. Averan miala racje! Gdy to pojalem, kazalem rozpalic wielkie ognie i nie trzeba bylo nic wiecej! Zadnych wielkich strat. Wiedza! oto najpoteczniejszy orez!

Raubenowie nadal umykali w panice. Niektorzy od razu rzucali sie w przepasc i gineli na skalach sto jardow nizej. Ostatnie potwory wypelzaly juz z tunelu.

Averan podpowiedziala Gabornowi, jak zwyciezyc wroga, i teraz nie posiadala sie z przerazenia. Nie chciala doprowadzic az do takiej rzezi.

Cos dudnilo na poludniu. To ocaleli raubenowie uformowali kolumny i jak najszybciej zaczeli sie oddalac.

-Zobaczmy, czy uda nam sie znalezc przewodnika - powiedzial Gaborn, wskazujac na podstawie urwiska.

44 MODLITWY W CIEMNOSCI

Gdy szuka sie wsparcia nadprzyrodzonych mocy, znalezc je mozna w wielu miejscach. Czarnoksieznicy powietrza wchodza na szczyty wysokich gor, czarnoksieznicy wody nurkuja w stawach, ci zas, ktorzy sluzą ziemi, szukaja kontaktu z wilgotna gleba.

Moce czesto odpowiadaja na takie prosby.

Ludzie jednak rzadko slysza te odpowiedzi. - wyjatek z Czarow dla dzieci i mlodziezy mistrza Cola Raj Ahten i jego ludzie pomykali Starym Szlakiem Fortecznym na poludnie od Maygassy. Wilk mial nadzieje zdobyc gdzies swieze konie, na razie jednak musial jechac na tym samym, zdrozonym wielbladzie.

Strumyk uciekinierow wezbral tutaj w rzeke, ktora nie miescila sie na drodze, przez co setki

ludzi maszerowały również poboczami oraz lasem. Długie godziny oddział Baja Ahtena wolno przebijal się przez tłum.

Góra, po koronach drzew, uciekały z wrzaskiem małpy. Przerazone ciskały w ludzi kawałkami owoców i galeziami. Cała dżungla trzęsła się od ich jazgotu.

Godziny po północy Wilk dotarł do mostu na rzece Kelong, gdzie zdjelo go przerazenie. Koryto było w tej okolicy bardzo szerokie, po obu stronach rozciągały się wielkie pola ryżowe. Obecnie tłoczyły się na nich dziesiątki tysięcy ludzi.

Mężczyźni z kijami podróżnymi i tobołkami na plecach, spoceni i odziani jedynie w przepaski biodrowe, kobiety z koszami na głowach albo dziećmi w ramionach. Wszyscy parli uparcie przed siebie, w kierunku mostu... którego już nie było. Widac wcześniej chciano przeprowadzić po nim zbyt wiele słoni naraz... Teraz ciała zwierząt leżały w wodzie, wśród potrzaskanych belek...

Rzekę można było przebyć tylko w brodzie, ludzie zaczęli więc wchodzić do wody. Nad brzegiem zebrali się wszyscy - tak bogaci, jak i biedni. Dumny możnowładca w złotogłowie jechał na białym słoni pod jedwabnym baldachimem. Jego straż nosiła mundury z czerwonego, obszytego filtrem jedwabiu. Razem przedzierali się z wolna przez tłum kobiet w ufarbowanych domowym sumptem bawelnianych szatach. Bogaci kupcy podróżowali jak zwykle w rikszach ciągniętych przez biedaków o twarzach i manierach tak prymitywnych, że niewiele różnili się od zwierząt.

Wiejskie rodziny jechały na wozach drabiniastych zaprzeczonych w bawoły. Jakis człowiek ciągnął wózek, na którym bezwładnie, niczym wiezione na targ jarzyny, leżała jego żona. Stary filozof siedział w otoczeniu uczniów, dzwigających dziesiątki zwojów młodzieńców o niemal całkowicie, poza małymi warkoczykami, ogolonych głowach. Gdzie indziej nadzorca poganiał bambusowymi kijami nagich, skutych razem pomyłenców.

Blask pochodni odbijał się w leniwym nurcie Kelongu, niebieskawy dym snuł się daleko nad wodą. Ludzie brodzili w niej powoli, szukając oparcia dla stop. Raj Ahten dostrzegł w pewnej chwili dziewczynkę, która przypominała do złudzenia najstarszą córkę Saffiry. Siedziała wystraszona na ramionach matki, która pośliznęła się nagle i upadła z pluskiem. Gdy wynurzyła się i wstała, dziecka już nie było. Co bliżej idący podnieśli krzyk i zaczęli szukać małej pod powierzchnią wody. Paru nawet zanurkowało.

Nic nie wskorali. Ahten wiedział, że dziewczynka niebawem wypłynie. Nurt poniesie ją plecami do góry, a w końcu wyrzuci gdzieś na pływające wśród ciał setek innych, którym nie udało się ta przeprawa.

A ludzie ciągle nadchodzili... Szeregi wędrowców ciągnęły się aż po horyzont.

Wiesniak, który był już po drugiej stronie, dojrzał wielbłąda Baja Ahtena, wskazał go innym i podniósł wielki krzyk.

-O wielki, o najjasniejszy, obron nas! Panie Słońce, błagamy cie o pomoc!

Inni podjęli okrzyk i ruszyli ku niemu. Niebawem wokół Wilka zebrali się gęsty tłum z uniesionymi błagalnie, złączonymi dłońmi. ;

Ahtenowi zalecało od rzeki śmiercia, znajoma wonia zgnilizny. Czym prędzej nakazał swoim ludziom utorować drogę i zostawiwszy zawodzacy chor za sobą, przejechał na drugi brzeg.

Godziny później dotarł do wzgórz wyrastających ponad okrytą mgłami trawiastą równinę, fragmentami porośniętą przez dzunglę.

Tutaj też ludzki wąż ciągnął drogą, przyswiecając sobie latarniami. Cała rzeka drobnych światełek wśród białych ruin antycznego miasta... Ale maszerowali bardzo wolno, za wolno, aby przescignąć postępującą zarazę, która odległa była już tylko o niecałe pół mili.

U podnóża pagórka słychać było skwierczenie, takie, jakie towarzyszy wrzuceniu świeżego mięsa do ognia. Liście na drzewach zwijały się, marszczyły i odpadały od coraz bardziej nagich gałęzi. Pnącza i pomniejszych gałązek szybko dzieliły ich los. Całe drzewa pekały z trzaskiem, jak podczas pożaru.

Nad obszarem zniszczenia krzątały całe chmary papug, tkaczy i zieb. Brunatniejąca pustka ciągnęła się aż po horyzont. A do Kartishu zostało jeszcze sto osiemdziesiąt mil.

-Cokolwiek zrobimy, w tym roku zapanuje w kraju głód - mruknął Bhopanastrat.

Ogrom spustoszenia przeraził Baję Ahtena. Czym prędzej zmusił wielbłąda do przykleknienia i zsunął się z siodła.

-Niech się popasa- powiedział. - Być może przez wiele dni nie będą miały okazji znowu pojeść.

Cała drużyna wpatrywała się w niego w napięciu. Czuli ich spojrzenia na plecach i wiedział, że bardzo by chcieli wiedzieć, co ich pan postanowi. Ale nikt nie śmiał spytać.

Wilk czuł się dziwnie słaby po całym dniu jazdy. Lewa ręka wpadła w jakąś dziwną drzeczke. Mimo wielu darów coraz bardziej ulegał działaniu klatwy Binnesmana.

Jechał przez noc, mijając kolejne puste, przerażające w swej martwocie miasta.

Wiele stworzeń nadal żyło. Tarantule wyszły ze swoich kryjówek i ucztowały na ściernach myszy i ptaków. Ale brakło drzew. Brakło wypalonej do ostatniego źdźbła trawy.

Wszędzie unosił się smród zgnilizny.

Nie wszystkim ludziom udało się uciec. Przy drogach widać było wiele ciał tych, dla których całodzienny szybki marsz okazał się ponad siły, głównie starych i chorych. Inni zginęli z reki

rabusiow, ktorzy chcieli odebrac im kawalek chleba albo woly.

Mor sprawil, ze Wilk zapomnial nawet o grozbie buntu wzniecanego przez Faharaqina, zapomnial o wojnie z Gabornem. Zadne ludzkie sprawy nie mogly rownac sie z ta kleska.

Kilka godzin pozniej, tuz przed switem, natknal sie na jedna ze swoich armii.

Trzysta tysiecy zwyklych zolnierzy obozowalo dwanasie mil na polnoc od Palacu Kanarkow.

Zatrzymali sie na noc w opuszczonym miescie, by zjesc cos z zelaznych racji i troche odpoczac. Jadac ulicami, Wilk widzial rozpacz malujaca sie w ich oczach. Ci prosici ludzie w slomianych kapeluszach lub wytluszczonych turbanach wiedzieli, ze nawet jesli uda sie odeprzec raubenow, na setki mil dokola nie znajda niczego do jedzenia. Zdawali sobie sprawe, ze niemal wszyscy beda musieli umrzec. Tu i owdzie slychac bylo odmawiana szeptem modlitwe.

Gdy dojrzeli Baja Ahtena, niektorzy probowali witac go radosnie, wiekszosc jednak zachowala umiar. Patrzyli tylko w milczeniu na swego krola.

Posrodku obozowiska uwiazano jedwabny balon w ksztalcie graaka. Tuz pod nim siedzieli przy ognisku tkacze plomieni oraz Dziennik Wilka. Magowie juz z daleka dostrzegli Baja Ahtena.

-I jakie wiesci z frontu? - spytal wladca.

-Aysalla Pusnabish sprawdzal przez caly dzien obrona raubenow, najjasniejszy - odparl Rahjim. - Wielu naszych zginelo.

-Jak wielu?

-Na pewno wiekszosc jazdy, o wielki.

Raj Ahten zmell w ustach przeklenstwo. Kopalnie Kartishu lezaly w gorskim, kamienistym kotle, a taki niebezpieczny teren sprzyjal bardziej raubenom niz konnicy.

-Jak do tego doszlo? - spytal. Rahjim wzruszyl ramionami.

-Raubenowie wznieśli umocnienia, najjasniejszy. Prawdziwa fortece. Magini, ktora nimi dowodzi, jest potezniejsza od tej spod Carris. Ale nie wszystko jeszcze stracone.

Pusnabish dobrze sie przygotowal do jutrzejszej bitwy.

Raj Ahten milczal. Rozcieral lewa dlon, probujac przywrocic w niej krazenie.

-Gorzej sie czujesz, panie? - spytal Az, patrzac na jego poczynania.

-Nic mi nie jest.

-Moge cie uleczyć - nie ustępował mag, ale Ahten nie miał ochoty korzystać z jego pomocy. Zbyt wiele musiałby za nią zapłacić.

Spojrzał krytycznym okiem na swoją armię. Te tutaj oddziały rekrutowały się ze Starego Indhopalu. Owszem, prócz hełmów, napiersników i małych, noszonych na przedramieniu tarcz mieli broń stosowną do walki z raubenami, czyli długie piki, młoty i topory, jednak brakło im darów koniecznych, aby naprawdę sprawnie walczyć podobnym orężem. Kilka machnięciem ciężkim młotem musiałoby wyczerpać siły zwykłego śmiertelnika.

Nawet trzysta tysięcy takiego wojska nie miało szansy zdziałać wiele przeciwko raubenom, niemniej Ahtenowi przyszedł do głowy pewien pomysł... Widział, jak pod Carris potwory wyraźnie cofały się przed ludzką masą, nie umiejąc poznać, czy mają do czynienia z Władcą Runow, czy tylko pacholkiem. To właśnie należało wykorzystać.

-Szlachetni wojownicy Indhopalu! - krzyknął Wilk, przywołując cały swój urok i wszystkie dary głosu. - Pozdrawiam was! Wybiła godzina, której się obawialiśmy.

Ocalić nas mogą tylko silne ramiona i mężne serca. Poprowadzę was na wojnę, jakiej jeszcze nie było.

Za mną zatem, do walki za Indhopal!

Ahten sam zdumiał się mocą własnego głosu. Wyczerpani ludzie ożyli nagle, unieśli oręż nad głowy i zaczęli wiwatować jak na świątecznej paradzie.

Czym prędzej skoczył na siodło i ruszył takim pędem, że nawet wiatr nie miał szansy go dogonić.

Zima w górach Alcair zawsze było dużo śniegu, który topniał dopiero późną wiosną.

Wtedy też ożywały wypływające z tych gór rzeki i strumienie. W dolinie Om przy południowej granicy Kartishu spadały ku równinom aż dwunastoma wodospadami.

To właśnie był ulubiony zakątek Baja Ahtena. Nigdzie na świecie nie czuł się tak dobrze jak tutaj. Zaglądał do doliny co roku, zawsze w pierwszym dniu Miesiąca Maków.

Trafiał na kwitnącą już leszczyne, bujne i pachnące trawy, no i czerwien tysiący maków.

Mgielka z zasilonych przez wezbrane górskie strumienie wodospadów unosiła się miłym dla oka obłokiem nad Pałacem Kanarków.

Teren wokół pałacu był strefą zakazaną, do której wstępu nie miał żaden człowiek ani nawet żadne zwierzę. Sam pałac zaś był strzeżony niczym najcenniejszy klejnot. I poniekąd

był klejnotem...

Jego mury wzniesiono z bloków żółtego marmuru, a noca, gdy zapalano wewnątrz latarnie, zdawał się lśnić niczym patynowane złoto. W pogodne wieczory urządzano w nim koncerty, od których wziął nazwę. Nie pochodziła ona bowiem od pierzastych śpiewaków, jak by można sądzić, ani nawet od żółtego blasku murów, ale wiązała się właśnie z występami pieśniarzy, którzy dusze gotowi byli zaprzedać, aby tylko wystąpić w wielkiej sali o doskonalej, słynnej na świecie akustyce.

Raj Ahten spędził tu wiele miłych nocy. Czasem słuchał wtedy śpiewu najlepszych mistrzów, kiedy indziej wędrował po makowych polach, podziwiał wodospady i pałac w blasku księżycy albo uwodził piękne kobiety. Tutaj też spotykał Saffire.

Odpędził wspomnienia. Daremnie do nich wracać... Radość życia minęła bezpowrotnie.

Za sprawą kopalni krwawego metalu Kartish był zawsze najcenniejszym z klejnotów korony. Miejscowi kaifowie dorobili się z wiekami prawdziwych fortun, bo to oni kontrolowali wydobywanie i ustalali ceny na kruszec. Ponadto wiedzieli doskonale, ile który władca nabył przez lata drenów, i baczyli, żeby nie wyrosła gdzieś potęga mogąca zagrozić ich interesom.

W ten sposób wpływali na politykę wielu potężnych państw, czasem nawet bardzo odległych. Można powiedzieć, że przyłożyli możliwym tego świata noże do gardel i tak żyli, gratulując sobie z pokolenia na pokolenie sprytu i zapobiegliwości.

Oczywiście czasem popełniali błędy. Niekiedy towar dostawał się w niewłaściwe ręce i elita władzy Kartishu ginęła nagłą śmiercią. Ale świat nie zwracał na to większej uwagi, gdyż na miejsce starych despotów pojawiali się zaraz nowi.

Raj Ahten nie miał wielkich problemów z ich pokonaniem.

Gdy dotarł do pałacu, jego mury lśniły jak zwykle, a huk wodospadów nie zmienił się ani na jotę. Jednak wokół niego rozłożyła się obozem wielka armia. Dolina bezpowrotnie utraciła swój urok. Najpierw za sprawą zarazy, a potem zdeptania przez niezliczone żołnierskie stopy.

Wszędzie było widać małe światełka ognisk. Wokół pałacu zebrali się nie mniej niż dwa miliony ludzi. W powietrzu unosił się duszący smród ich potu oraz odchodów koni i słoni. Na dodatek zwierzęta były głodne i głośno dawały wyraz swojemu niezadowoleniu.

Ludzie zresztą też.

Wilk zjechał w żgiewliwą dolinę. Napotkana wcześniej armia wyciągała ze wszystkich sił nogi, aby go dogonić.

Jechal otoczony przez heroldów z pochodniami. Ludzie ujrzeli go i zaczęli milknąć porażeni pięknem wielkiego meza.

-Ludu Indhopalu! - krzyknął w końcu do zgromadzonej w dolinie rzeszy. - Jak możesz tkwić tu beczynnie, gdy raubenowie wypowiedzieli nam wojnę?! Pora sięgnąć po oręż! O świcie ruszamy do bitwy, a ja obiecuję wam, że zwyciężymy!

Aysalle Pusnabisha napotkał przy bramie palacu. Wielki wojownik zaraz padł na kolana i pochylił nisko głowę.

-O panie, dzięki, że przybyłeś!

-Moi darczyńcy są bezpieczni? - spytał Wilk.

-Zabralismy ich na pierwszą wieść o kłopotach. Teraz powinni zdążyć już morzem na północ, do palacu Ghusa w Deyazie.

-A moje dreny? - rzucił Wilk, który znowu poczuł się gorzej.

-Są w skarbcu, najjasniejszy.

Wiedział już wszystko, co naprawdę istotne. Oddziały zaczęły szykować się do walki.

Miał teraz dość wojska, żeby opanować raubenów sama masa ludzkiego przypływu.

W

kazdy raz na to właśnie liczył...

Minał Pusnabisha i skierował się palacowymi korytarzami do skarbcza.

-Potrzebuję darmistrzów - rzucił jeszcze. - I ludzi, którzy oddadzą mi siły życiowe.

Pusnabish strzelił palcami i jeden ze słuzących zaraz pobiegł po darmistrzów.

-Mam trochę dobrych wiadomości - powiedział, biegnąc za swoim panem. - Gornicy trafili na nową żyłę krwawego metalu. Jest bardzo obiecująca.

Raj Ahten uśmiechnął się krzywo.

45 NOCNI JEZDZCY

Na drogach życia czeka na ciebie wiele przygod. Starczy otworzyć drzwi i zrobić pierwszy krok... - napis na szyldzie gospody Pod Rogiem i Ogarem, pierwszego przystanku na szlaku Komnaty Stop Myrrimie wcale nie podobał się wybor drogi, na której mogli napotkać istoty nie z tego świata. Jechali w milczeniu. Borenson rozglądał się wciąż czujnie na boki, a

ile razy Myrrima chciała otworzyć usta, żeby coś powiedzieć, unosił reke, nakazując jej ciszę. Zatem się nie odzywała. Była teraz wilczyca z darami węchu od psów i wzroku od ludzi.

Widząc, że ma się na baczności, też wyteżala zmysły, aby nie dać się zaskoczyć nieznanemu.

Pola ustąpiły tymczasem miejsca lasom, ale gestym i ponurym. Pnie drzew były szare od porostów, które pokrywały też ciemne gałęzie i zwisały się płatami z konarów.

Wiele drzew nie miało liści, a w powietrzu unosiła się won grzybow i pleśni. W dorodnych paprociach czerwieniały muchomory.

Wcale nietrudno było wyobrazić sobie te okolice jako scenę walk toczonych wieki temu z tothami. Rozsiane po lesie oczka wodne nadal wydawały się pełne krwi.

Myrrima najchętniej przemknęłaby przez Pustkowiec galopem, aby jak najszybciej mieć je za sobą, ale błotnista droga nie pozwalała koniom biec zbyt żywym krokiem.

Okolica wyglądała na wymarłą, nie było nawet wiewiórek, ani jedna sarna nie pojawiła się na polanach. Mimo to dłoń sama zbliżała się co chwila do przywieszzonego obok juków stalowego luku.

Raz tylko mignął jakiś ciemnoskrzydły ptak umykający w cieniście gestwiny. Mimo długiego nastawiania ucha nie dosłyszeli ani stukania dziecięcia, ani krakania wrony. Ani nawet cykania pasikonika.

Niemniej coś tu żyło, i to coś wcale nie było przyjemne. Nad pokrytymi rzesą stawami unosiły się chmury gżow i komarów. Klebiło się ich tyle, że w parę chwil objadłyby do kości każde zwierzę, które pechowo by tutaj zbladziło.

No i jeszcze były upiory...

To dlatego Borenson nie pozwalał żonie się odzywać. Kryjące się w mroku upiory reagowały na ruch i dźwięk. Ich lodowaty dotyk mógł zabić.

Z czasem nad stawami zaczęła wzbierać mgła. Gestniała w miarę, jak gasło światło dnia, wypełniała lesne parowy i dolinki. Upiory mogły czuć się w niej jak u siebie. Na dodatek były to całkiem inne widma niż te zamieszkujące w Mrocznej Puszczy.

Tamte chroniły przyjaciół, te zaś pozostały głównie po tothach, których niezliczone rzesze zginęły na Pustkowiach ponad tysiąc szescset lat wcześniej. Ich duchy ciągle laknęły zemsty.

Podobno czasem widywano nawet, jak podejmowały na nowo walkę z duchami ludzi, jakby

wciaz malo im bylo tamtej bitwy.

Gdy Myrrima i Borenson mijali szczyt kolejnego wzgorza, gdzies z lewej rozlegl sie szum, jakby fale rozbijaly sie o odlegly brzeg. Myrrima pomyslala, ze to wiatr sie zrywa i niebawem caly las wypelni sie skrzypieniem targanych wichura drzew, ale szum ucichl szybko. A wlasciwie oddalil sie niczym niewidzialny jezdziec zmierzajacy gdzies na poludnie.

-Jak myslisz, co to bylo? - spytal po chwili Borenson, przerywajac dlugie, ponadgodzinne milczenie.

-Upiory?

-Upiory sa tutaj i juz nas zauwazyly. Ale to nie byl upior. Cos innego nas minelo.

Myrrima pomyslala o czarnym glorym i wznieconym przez niego huraganie.

Binnesman ostrzegal, ze bestia, chociaz bezcielesna, wciaz zdolna jest szkodzic.

-Jesli pojedziemy powoli, nie dotrzemy do Fenraven przed zachodem slonca. Ale jak sie pospieszymy, jeszcze to cos dogonimy.

-Jedzmy jak najszybciej - odpowiedziala bardzo juz przejeta Myrrima.

Nastepnego Myrrima wypatrzyła tuż przed zachodem slonca. Teraz nie ulegalo juz watpliwosci, ze sa sledzeni.

Po raz setny zjechali z kolejnego wzgorza na podmokle laki i zatrzymali sie na chwile, zeby wierzchowce troche sie popasly. Mile dalej trafili na rozlewisko tak wielkie, ze nawet droga ginela tu w wodzie.

Las skonczyl sie wreszcie. Tylko kilka rachitycznych drzew wystawalo z bagnistej toni, jednak poza nimi na przestrzeni cwierci mili nie roslo praktycznie nic.

Zima rozlewisko musiala pokrywac wielka tafla lodu.

Myrrima pozwolila koniowi isc wolno, zeby mogl spokojnie szukac oparcia dla kopyt.

Z kazdym krokiem bulgotliwa ton wydzielala smrod zgnilizny, a plusk gluszyl wszystkie inne dzwieki. W pewnej chwili musieli nawet wziac juki na ramiona, zeby rowian nie zamokl.

Wkolo caly czas brzezaly chmary komarow.

Posrodku mokradel Myrrima obejrzala sie przez ramie i dojrzala kogos, albo cos, na drodze za soba. Wydalo sie jej, ze prawie mile z tylu pojawil sie jezdziec - ciemna i zakapturzona postac majaczyla w mroku pod drzewami, tak ze nie dawalo sie nawet poznac masci wierzchowca. Myrrima nie byla zatem do konca przekonana, czy to naprawde jezdziec, czy

tylko gra cieni i jej wyobrazni.

Niemniej chwila pozniej dojrzala go wyrazniej i wiedziala juz, ze to nie zludzenie. To naprawde byla ludzka postac. Ktos kryl sie wsrod drzew obok drogi.

Myrrima przelknela z trudem sline i zaczela sie goraczkowo zastanawiac, kto to moze byc. Zabojca? A moze duch jakiegos dawnego lowcy wilkow?

To mogli byc kazdy... Moze i zwykly podroznik, ktory uslyszal innych wedrowcow i wolal zachowac ostroznosc.

Pomachala mu, ale on nie zareagowal na pozdrowienie. Trwal nieruchomy niczym wietrzacy jelen.

-Komu machasz? - syknal Borenson.

-Tam ktos jest wsrod drzew.

-Jestes pewna, ze to czlowiek?

Myrrima zrozumiala nagle, ze nie widziala wczesniej na drodze zadnych sladow, nie poczula zapachu obcego konia. To znaczylo, ze nie byl to ktos zmierzajacy w przeciwna strone, kto skryl sie przed nimi, gdy go mijali. Albo wiec jechal na przelaj przez te dzicz, na co powazyc mogl sie tylko ktos niespelna rozumu, albo ich sledzil... A utrzymac ich tempo mogl tylko jezdziec na rumaku z darami. Sciagnela wodze i odganiajac komary, wpatrzyla sie w tamtego. W koncu wyjechal na droge i skierowal sie na polnoc. Po chwili zniknal im z oczu.

Jego kon zdawal sie nie czynic najmniejszego halasu.

-Widzialem go - szepnal Borenson. - Ale nie potrafie orzec, czy to czlowiek, czy upior.

Pewnie jednak upior, pomyslala Myrrima. Lecz taki, ktorego w gruncie rzeczy wcale nie interesujemy. Chyba ze jest jeszcze za jasno... ze woli poczekać, az zrobi sie ciemno, i dopiero wtedy...

Serce bilo jej mocno. Nagle przypomniała sobie opowiesc o zabojcach z Muiyatinu, ktorzy owijali kopyta swych koni szmatami, zeby nie robic halasu na drodze.

-Woda i zimne zelazo czasem je odstrasza- szepnal Borenson. - Ale jesli to nie upior, starczy samo zelazo.

Myrrima siegnela do sakwy i wydobyla zelazny grot, ktory dostala kiedys od Hoswella. Pasowal do stalowego luku, osadzila go wiec na jednym z gryfow.

Wreszcie mokradla sie skonczyly i znow otoczyly ich lasy. Zdazyli przebyc jeszcze piec mil, gdy zaczal zapadac zmrok, a na dodatek popsula sie droga. Wypelzajace na szlak korzenie

czynily nocna jazde bardzo ryzykowana.

Gestniejaca mgla zakryla tez swiatlo gwiazd. Musieli sie zatrzymac i poczekac, az wzejdzie ksiezyc.

U stop wzgorza, gdzie korzenie tworzyly szczegolnie splatany gaszcz, zjechali z drogi pod czarne drzewa. Wierzchowiec Myrrimy opuscil leb i obwachal gnijace liscie, jakby szukal czegos do jedzenia, i parsknal niezadowolony.

-Cicho - szepnela Myrrima. Rumak mial dosc darow umyslu i byl wystarczajaco dobrze ulozony, aby zrozumiec polecenie. Nie dosc, ze zamilkl, to jeszcze zastygl niczym posag i przestal nawet zwracac uwage na dobierajace sie do jego zadu komary.

Czekali w milczeniu.

Dla Myrrimy dluga cisza okazala sie udreka. Zeby chociaz mogli rozmawiac... Aby robic cokolwiek, zaczeli wpatrywac sie w niebo, po ktorym niemal natychmiast przebiegly trzy spadajace gwiazdy, jedna tak wielka, ze mimo mgly widac bylo wyraznie ciagnacy sie za nia dlugi warkocz. Rzadkie widowisko. Wkolo nie graly zadne swierszcze, nie bylo slychac nawet rechotania zab.

Martwota wydawala sie wszechogarniajaca... az do chwili, gdy gdzies niedaleko rozlegl sie nieludzki krzyk. Myrrima zaraz poczula, jak okrywaja gesia skorka, dreszcz przebiegl jej po plecach. Jej kon zaczal nerwowo grzebac kopytem, a rumak Borensona az zatanczyl.

Na odleglym o mile stoku wzgorza pojawil sie szarawo jasnijacy upior. Byl niewiarygodnie chudy i wysoki i chociaz na pierwszy rzut oka przypominal czlowieka, to jednak nie mial z ludzmi nic wspolnego. Rece byly cienkie niczym galezie i konczyly sie przypominajacymi kosy pazurami, swiecily na dodatek niezdrowa biela rosnacych w cieniu grzybow. Podobnie pajecze byly cztery jego nogi, przy czym tylne mialy niezwycajnie uksztaltowany staw, jak u konika polnego. Na dodatek przednie od tylnych oddalone byly ledwie o jakies dwie stopy. Waska glowe wienczyly okragle nozdrza, na potylicy zas wily sie fosforyzujace wyrostki. Cala postac miala w sumie o wiele wiecej z raubena niz z czlowieka.

To byl toth...

Myrrimie serce podeszlo do gardla, a czolo okrylo sie potem. Nie smiala sie nawet poruszyc, zeby nie zwrocic uwagi widma.

Czarodzieje tothow, ktorzy przybyli z Morza Carolla, byli juz tylko legenda i nawet wiekszosc ich duchow gdzies przepadla z wiekami . Ten tutaj nie mogl byc niczym innym, jak tylko cieniem groznego przeciwnika, ale... zelazo i woda mogly nie wystarczyc.

Najbardziej przydalby sie jakis potezny czarnoksieznik.

Upior stanal na stoku i uniosl leb, jakby lapal wiatr. Wyrastki zadrgaly energicznie.

Potwor zakolysal sie na dlugich nogach i z nieklamany m wdziekiem ruszyl na polnocny zachod.

Cos musial wyczuc, pomyslala Myrrima. Moze i nas, bo przeciez przyjechalismy z polnocy... Juz miala skoczyc na siodlo, gdy Borenson ja powstrzymal.

Niemal w tej samej chwili uslyszala tetent konia. Gnal droga, ktora przyjechali.

Jezdziec smagal go wodzami.

Przerazony rumak przemknął z rzeniem obok ich kryjówki. Kopyta miał owinięte owczymi skorami, ale w tych okolicznościach nie dawało to wiele. Przez mgnienie widzieli twarz skulonego w siodle mężczyzny. Pochodził niewątpliwie z Muyyatinu...

Upior zszedł nie ich, ale zbrojce, i ruszył jego tropem. Tyle że teraz natknie się także na Borensona i Myrrima i będzie mu wszystko jedno, kogo zabije najpierw.

Co gorsze? pomyślała Myrrima. Zbrojca czy upior totha?

Borenson zdecydował za nią. Scisnął łapkami boki wierzchowca i srokacz ruszył galopem. Myrrima obroczyła w miejscu swego rumaka i uderzyła go pięciami, silniej nawet, niżby chciała.

Nie wiedząc, co jeszcze mogłaby zrobić, złapała za luk. Mimo wszystko miała nadzieję, że żelaznym grotem osadzonym na gryfie zdoła się odepść od upiora.

Wierzchowiec mknął pod drzewami, a jakieś pół mili za nią pohukiwał upior. Jego krzyk nie wyrażał zalu ani rozpacz, ale raczej groźbę. Przypominał odgłos, jaki wydaje orzeł, nim nagle spadnie z nieba na ofiarę.

Przerazony kon zdołał szybkość, a Myrrima przytuliła się do jego karku. Borenson gnał niedaleko przed nią, jego długi płaszcz łopotał na wietrze.

W miejscu, gdzie drzewa rosły rzadziej, Myrrima zdobyła się na odwagę i zerknęła za siebie. Prawie że zamarła, widząc upiora sadzającego ku niej na nieprawdopodobnie długich nogach. Był już tylko kilkaset jardów w tyle. Jasniał wewnętrznym blaskiem i był całkiem dobrze widoczny. Skóra biała niczym kosa słoniowa, wielkie, jasniejące szkarłatem oczy i błękitnawe runy na przedramionach. Runy chroniące przed śmiercią. Wyrostki kołysały mu się teraz pod zuchwą niczym broda, a w bezwargiej paszczy lśniły ostre niczym brzytwa zęby.

Prawa łapa wykonywał takie ruchy, jakby chciał coś złapać. Trojpalczaste dłonie miał niezmiernie długie i zakończone pazurami.

-Szybciej! - krzyknęła Myrrima do swojego wierzchowca, który znalazł jakos siły, by wydłużyć krok. Z czterema darami metabolizmu i dwoma krzepy potrafił cwałować szybko jak wiatr, chociaż nawet za dnia podobne wyczyny nie były bezpieczne.

Jednak teraz nie mieli wyboru. Myrrima pomyślała, że jeszcze nigdy nie jechała tak szybko, gdy ujrzała, jak kon Borensona nagle się potyka i wali łbem w ziemię...

Od razu wspomniała meza... że już po nim... ale Borenson, wyrzucony z siodła, wylądował miękko na trawie... Przetoczył się zgrabnie kilka razy i znieruchomiał...

Myrrima zaraz sięgnęła wodze i zeskoczyła z siodła, zanim jeszcze rumak się zatrzymał.

Chciała wyladowac na ugietych nogach, ale posliznela sie w blocie i upadla na prawe biodro, potem uderzyla w splatane korzenie i zatrzymala sie z twarza w jakiejs kaluzy.

Mimo ze biodro i reka bolaly dotkliwie, pozbierala sie czym predzej na nogi. Jej kon pobiegl dalej, jednak luk miala przy sobie. Choc przerazona, nie zgubila go przy upadku.

Splunela na zelazny grot. Woda i zimne zelazo... Moze to cos da, skoro wczesniej pomoglo uporac sie z czarnym glorym.

Uslyszala upiorny skrzek i uniosla glowe. Monstrum bylo prawie obok. Otwieralo paszcze, jakby chcialo ja polknac. Bylo juz za pozno i na panike, i na ucieczke.

Myrrima uniosla luk i dzgnela nim prosto w to miejsce na lbie upiora, ktore przypominalo zloty trojkat raubenow.

Toth wrzasnal i cos blysnelo oslepiajaco. W powietrzu zaswiszczaly odlamki lodu, a runiczne znaki na skorze potwora zajasnialy nagle blekitnym ogniem i Myrrimie zdalo sie, ze widzi w tym blasku sceny z dawnej przeszlosci - wojownikow sprzed wiekow, z okraglymi tarczami i w oblych helmach. Otaczali totha ze wszystkich stron i ciskali w niego wloczniami.

Slyszala nawet ich krzyk: Arten! Arten da gaspeilten!

Wizja rozplynela sie, a odrzucona podmuchem Myrrima poleciala do tyłu. Wkolo zrobilo sie niesamowicie zimno. Nigdy jeszcze nie czula rownie siarczystego mrozu.

Potoczyla sie kawalek obolala, jakby ktos mlotem uderzyl ja w piers. Kazdy miesien bolal z osobna, tak ze gdy probowala usiasc, w glowie sie jej zakrecilo i znowu upadla na plecy.

Po chwili obok pojawil sie Borenson. Ujal jej glowe. - Zyjesz? Slyszysz mnie?

-Co...? - wykrztusila Myrrima. Jej oddech parowal w mroznym powietrzu. Prawa dlon wydawala sie zupełnie pozbawiona czucia.

-Na Siedem Kamieni! - rzucil Borenson. - Nie do wiary... Ignorujac bol, usiadla i rozejrzala sie wkolo. W promieniu prawie piecdziesieciu jardow ziemia lsnila od szronu, ale upior zniknal. Prawa dlon piekla ja teraz jak poparzona. Myrrima uniosla ja do oczu i pojela, co sie stalo. Tak gleboko wbila bron w cielsko potwora, ze dotknela go gola reka. Teraz az po nadgarstek skora zrobila sie biala i na niej tez lsnily male krysztaliki lodu.

46 DZIENNIK

Od kiedy istnieja Wladcy Runow, zawsze towarzyszyli im historycy zwani Dziennikami. Nie wiadomo, ilu ich jest na calym swiecie, jednak wydaje sie, ze nie jest to stala liczba. Podobno krol Harrill Szalony mial ich az trzech, gdyz ciagle probowal unikac ich towarzystwa i upilnowanie go wymagalo zbiorowego wysilku az tylu Dziennikow. Jednak z

kronik Erendoru wiemy, że zaden z dwunastu krolow tego panstwa nie mial swego Dziennika. Stan taki trwal okolo czterystu lat i do dzis niewiele wiemy o tamtych czasach. Niektorzy mawiaja nawet, że byly to Mroczne Wieki Erendoru. - wyjatek z Kronik Deverde'a, mistrza z Komnaty Czasu Noc ciagle wisiala nad miastem, gdy loma wrocila do palacu, by poczekac tam, az Abel Scarby zgromadzi potrzebne Gabornowi psy.

Straz wezwala panne pokojowa, ktora miala szczery zamiar obudzic zaraz cala sluzbe, i zrobilaby to niezawodnie, gdyby jej loma nie powstrzymala.

Ogrom palacu wrecz ja oszalamial. Caly zamek Sylvarresta pomiescilby sie bez problemow w wielkiej sali, ktora ozdabialo i ogrzewalo az szesnascie poteznych kominkow.

Na scianach wisial szereg lamp odbijajacych blask w srebrnych zwierciadlach. Ich klosze byly z zabarwionego na rozowo krysztalu, a plonal w nich olej, ktory wypelnial wnetrze mila wonia gardenii. Wielkie, wychodzace na poludnie okna musialy pieknie rozjasniac sale za dnia.

Salie zdobily tez tapiserie przedstawiajace pradawnych krolow, ich milosci i bitwy, a kazda byla tak misterna i duza, że musiala powstawac przynajmniej przez rok.

Odrzwia wyrzezbiono w motywy zwierzecze i roslinne, jak zastygłe w biegu lisy albo kroliki i rosle debiny.

Na stole jasniala zlota, polerowana na gladko zastawa, lomie starczylo jedno spojrzenie, by znowu zaniemowic na chwile ze zdumienia. Nigdy wczesniej nie podejrzewala nawet, że Gaborn moze byc tak bogaty. Teraz pomyslala, że Heredon musial mu sie wydac nader ubogim krolestwem.

Na wytwornej kanapie stojacej przed wielkim kominkiem siedziala dziewczyna w prostej szacie uczonej. Miala dlugie, upiete z tylu kasztanowe wlosy. Slyszac kroki, odwrocila sie ku lomie i wstala.

-Och, jestes, pani! - zawolala jasnym, milym glosem.

loma spojrzala na piegowata twarz z piwnymi oczami i poczula sie, jakby znala te dziewczynke przez cale zycie. Nie liczyla chyba wiecej niz szesnascie wiosen, czyli byla tylko troche mlodsza od niej.

-Jestes moim nowym Dziennikiem? - spytala loma.

Dziewczyna pokiwala glowa. Miala mily dolek na brodzie.

-Slyszalam, że przybylas, pani. Dobra mialas podroz?

-Przeszla bez problemow - odparla krolowa, pewna, że dziewczyna pytala raczej o sprawy

wazne z historycznego punktu widzenia.

-Ale byla mila? - nie ustepowala dziewczyna, jakby miala nadzieje, ze cos jednak uslyszy.

loma az sie zdumiala. Nigdy jeszcze nie slyszala, aby Dziennik pytal kogos o podobne wrazenia.

-Bardzo mila. Musze przyznac, ze nie podejrzewalam nawet, jak piekna jest Mysterria. To bogata i zyzna kraina, a ten palac... oszalamiajacy.

-Urodzilam sie niedaleko stad - powiedziala Dziennik. - W wiosce Berrston. Znam dobrze Mysterria. Moga posluzyc waszej wysokosci za przewodniczke.

Tego loma takze nigdy jeszcze nie slyszala... Dziennik sluzaca pomoca...

Czlonkowie bractwa byli zwykle zimni i bardzo na dystans. Niemniej pomyslala, ze ta dziewczyna chyba tez czuje sie samotna i przytloczona nowymi obowiazkami... tak samo, jak jej krolowa.

-Chetnie - odparla i podala dlon swojej Dziennik.

Dziwnie sie poczula. Dotad zawsze zyła w otoczeniu przyjaciolatek. Dostojnych matron i mlodych towarzyszek. W Tide nie miala zadnej. Tutaj nie byla jednak u siebie.

Ciekawe, jak to by bylo zaprzyjaznic sie ze swoja Dziennik, pomyslala.

-Palac tez znasz? - spytala. - Mozesz mnie zaprowadzic na wieze?

-Oczywiscie, pani. Siedzialam tam cale popoludnie. Dziewczyna powiodla lome przez komnaty u podstawy wiezy, a potem po dlugich schodach do apartamentu ojca Gaborna.

Stojacy przed drzwiami gwardzista otworzyl je kluczem i loma zaraz poczula zapach krola Ordena - won jego potu i wlosow byla tak silna, ze az nie mogla uwierzyc, iz ojciec jej meza zginal prawie tydzien temu. Niemal bezwiednie rozejrzala sie, czy nie wyjdzie zaraz z jakiegos zakamarka... On albo jego duch, ktory przeciez mial prawo nadal tu przebywac.

Komnata byla przestronna i bogato umeblowana. Posrodku stalo loze z wielkim baldachimem i welnianymi zaslonami. loma podeszla do niego i przeciagnela dlonia po materacu. To tutaj mam sypiac, pomyslala. Tutaj, jesli Moce nas zachowaja, urodze syna. I tutaj tez poczniemy z Gabornem kolejne nasze dzieci. Dziennik podeszla do okna i otworzyla je szeroko.

-Slyszalam, ze stad jest piekny widok na miasto - powiedziala. - Chociaz lepiej bedzie widac z ganku.

loma wiedziala, ze na pewno juz nie zasnie, zreszta z tyloma darami praktycznie nie

potrzebowala snu. W razie zmeczenia starczalo jej to, co wszystkim Wladcom Runow, czyli kilka chwil pelnego wizji letargu. Sugestia Dziennik brzmiala zas tak kuszaco...

Wyszly na ganek okalajacy wieze trzy pietra ponizej pomostow, na ktorych czuwali dalekowidzacy. Bylo tu calkiem jasno, gdyz pod jedna z platform plonela wielka czerwona lampa.

-Chwile temu jeszcze sie nie palila - zauwazyla loma.

-Chwile temu, pani, nie bylo tu jeszcze krolowej - wyjasnila Dziennik. - To na twoja czesc.

W ojczyznie lomy nie bylo podobnego zwyczaju. Zamek Sylvarresta sluzyl zarazem za rezydencje wladcy i warownie i loma rzadko go opuszczala. Jednak Mysterria byla inna:

Gaborn mial z pol tuzina zamkow, w ktorych mozna sie bylo schronic w czasie wojny albo zazyc wypoczynku.

Ponizej przycupnely w ciemnosci budynki Tide. Dumne palace z wysokimi wiezycami i otoczone ogrodami dworki. Na zachodzie rozciagaly sie targowiska i magazyny kryte gladka dachowka, ktora odbijala teraz blask sierpa ksiezycy. Dalej zas ciemnialy smolowane dachy domow i tawern biednej dzielnicy portowej.

A za nimi ciagnela sie gladz oceanu. Slony powiew dobiegal stamtad az na ganek, ale nie byl to chlodny wiatr.

-Pieknie tu - westchnela Dziennik. - Tak, jak sobie wyobrazalam. Gdy bylam mala, matka opowiadala mi bajke o zamkach olbrzymow, ktore stoja na kazdej z krawedzi swiata.

Ci ze wschodu wojuja z tymi z zachodu. Codziennie laduja katapulte plonaca kula, aby zniszczyc pociskiem dach zachodniego zamku. A co noc ciskaja wen wielkim kamieniem. Ta kula to slonce, a kamien to ksiezyc. I gdy kiedykolwiek przyjdzie pora na dzien, a slonce nie wzejdzie, to bedzie znaczc, ze wojna sie skonczyla. Po tawernach mozna uslyszec czasem, ze podobno wieza naszego krola jest tak wysoka, ze z jej szczytu widac nawet tych olbrzymow ladujacych katapulte przed porankiem. To stad dalekowidzacy Falliona spostrzegli nadciagajaca szara flote.

loma usmiechnela sie. Kilka spadajacych gwiazd przebieglo po niebie jednoczesnie.

Jedna z nich byla szczegolnie wielka i zostawila dlugo gasnacy slad.

-Chyba olbrzymom skonczyly sie kamienie - zazartowala. - Rzucaja weglami.

Dziennik rozesmiala sie i spojrzala na krolowa lsniacymi oczami. Znalala relacje dotyczace swojej pani i kochala ja. Marzyla o tym, by znalezc sie u jej boku i zdawac sprawe z reszty zycia zony Gaborna. Ale teraz szykowal sie dluzszy pobyt lomy w wiezy.

Tygodnie bezczynności. O ile Gabornowi uda się oczywiście pokonać wroga...

Ciekawe, jak długo potrwa, nim te dziewczyny znudzi moje towarzystwo? pomyślała Ioma. Kiedy pozaluje wyboru?

Królowa przebiegła wzrokiem odległy horyzont. Nie dostrzegła żadnych masztów ani nawet śladu wielorybów.

-Olbrzymów nie widac - powiedziała głośno. - Statków też nie. Dziewczyna jakby się wzdrygnęła. Zasmiała się ponownie, ale tym razem trochę wymuszenie.

Okrety znowu nadciągają, pomyślała Ioma. I ona to wie. Nadpływa flota, która ma zaatakować Tide.

Ale czyja to flota?

Ioma zaczęła zastanawiać się nad tym gorączkowo. Inkarranie nigdy nie zapuszczali się na północ. Nigdy, aż do teraz... Niemniej oni zwykle nie walczyli na morzu.

Na pomocy było jednak aż kilka państw zdolnych wystawić liczącą się flotę: Lonnock, Toom, Eyremoth, Alick, Ashoven i Internook.

Czegoś się dowiedziałam, pomyślała Ioma ze zdumieniem. Ta Dziennik jest młoda, najmlodsza chyba ze wszystkich spotkanych przez królową historyków, i zapewne nie do końca zna swój fach... Czy dzięki takim właśnie Dziennikom, którym brakło opanowania i doświadczenia, rodziły się powtarzane często plotki o szpiegowskich praktykach bractwa?

Przecież czasem starczy drgnienie powieki czy odwrócenie spojrzenia podczas ważnej rozmowy, aby władca mógł się niejednego domyslic.

-Zatem wychowałaś się właśnie tutaj, w Berriston? - spytała Ioma.

-Tak, w pobliżu.

-Widac twoją wioskę z wieży?

Dziennik zaprowadziła ją na północną część ganku i pokazała miejsce na wybrzeżu oddalone o jakieś cztery mile.

-To tam, pani, gdzie pali się te kilka świateł.

-A, to całkiem blisko. Czyli codziennie widziałas wieże przed swoim domem?

-Ale nie zima, pani. Wtedy często jest mgła.

Ioma naprawdę nigdy nie spotkała jeszcze nigdy równie gadatliwej osoby w szatach

Dziennika.

-Twoja rodzina ciągle tam mieszka? Matka, ojciec, bracia, siostry?

-Matka zmarła już wiele lat temu. Ojciec mieszka w naszym domu razem z moimi starszymi braćmi bliźniakami. Ale macochy nigdy nie lubiłam.

-Odwiedzałaś ich ostatnimi czasy?

-Nie, wasza wysokość - odparła dziewczyna lekko zduszonym głosem. Biała się o rodzinę czy sama myślała, że może ich urządzić, napawała ją niechęć?

-A chciałabyś? Mogłabym cię tam zabrać.

-Nie, pani! Czas nigdy nie płynie wstecz. Nie ma co wracać do miejsc, których już nie ma. - Ostatnie zdanie dodała jakby nie do końca przekonana.

-Zapewne - przyznała Ioma. - Nigdy już nie ujrzę moich rodziców i nic mi ich nie przywróci. Jednak myślę, że to by nie było w porządku, gdybyś mieszkając tak blisko swoich, nie miała ich nigdy zobaczyć.

Dziennik kurczowo zacisnęła dłońmi na balustradzie i odwróciła głowę na północny zachód, jakby nie chciała podejmować tematu.

Ioma ruszyła gankiem, aż doszła do zachodniej strony. Po niebie znowu przebiegła gwiazda, a za nią następna.

-Mój mąż jest gdzieś tam - powiedziała. - Walczy z raubenami. Obawia się, że koniec może nadejść już za trzy, cztery dni. Ale ty to pewnie i tak wiesz.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wpatrywała się tylko pilnie w nieboskłon.

-Ma tylu wrogów... Nie tylko raubenów, ale jeszcze Inkarran. Oraz Baja Ahtena i szalonego króla Andersa. Boje się o Gaborną.

Dziennik nie objęła dłońmi barierki. Stała spokojnie. Ioma odczytywała jej zachowanie jako sygnał, że Gaborn jest bezpieczny. Nie bój się...

Iomie prawie że w głowie się zakreśliło. Była na tropie... Dziewczynie brakło wprawy i opanowania, poki więc nie domyśli się, że Ioma potrafi coś wyczytać z jej reakcji, będzie mimowolnie wyjawiać ważne informacje.

-Robi się późno - powiedziała królowa, gdy obeszły cały ganek. - Pewnie będziesz chciała się wyspać. Ładny pokój dostałaś?

-Wspaniały!

Dziewczynie ze wsi byle klitka w zamku musiała się wydawać piękna.

-Jadłabyś kolację?

-Tak, pani.

-I dobrze. Nigdy o tym wcześniej nie myślałam, ale przypuszczam, że Dziennikowi, który zaczyna służbę, nie jest łatwo. Sam, bez przyjaciół.

-Och, mam przyjaciół, pani.

Loma wiedziała, o czym mowa. Dziewczyna wymieniła się darem rozumu z przyjacielem bądź przyjaciółką, i teraz byli jednym umysłem. Gaborn wspominał kiedyś, że zazdrości Dziennikom tak bliskich związków.

Nagle wieża zakolysała się lekko pod stopami Lomy. Z początku myślała, że to tylko zawrót głowy, i wyciągnęła rękę, by się czegoś złapać, gdyby miał powrócić.

Ale po chwili wstrząs się powtórzył i tym razem był o wiele silniejszy. To nie był zawrót głowy, Lomie serce stanęło w piersi.

-Trzesienie ziemi! - zawołała Dziennik i zamarła z otwartymi ustami, gdy głuchy grzmot przetoczył się nad miastem.

Wieża unosiła się i opadała, w miarę jak ziemia falowała pod fundamentami.

Środek wszystkich miejsc na świecie to było najgorsze, by przeczekać trzesienie ziemi.

Na dole rozległ się brzek tłuczonego szkła. To szyby okien wielkiej sali pękły jedna po drugiej.

W całym Tide podniosła się wrzawa. Psy zaczęły szczekać, konie rżały, a ludzie wrzeszczeli. Wieża zamku na sąsiedniej wyspie przechyliła się i runęła do morza.

Dziennik znowu uchwyciła się kurczowo balustrady. Jednak tym razem ze strachu.

Biała się, że kolejny wstrząs zrzuci ją na dół.

-Wynosmy się stąd! - krzyknęła Loma, złapała dłoń dziewczyny i pociągnęła ją do drzwi. Na królewskich pokojach książki spadały z polek. Z brzekiem potoczył się po podłodze hełm stojący w kacie zbroi. Baldachim nad łóżkiem kołysał się niepokojąco.

Cos trzasnęło rozgłosnie. Zewnętrzny, kamienny parapet pękł i runął w przepaść.

Dziennik wrzasnęła i przyłgnęła do Lomy.

Wieża kolysała się ciągle, jakby w każdej chwili mogła runąć.

-Dalej! - rzuciła Ioma, kierując się ku schodom. W gorze słyszała tupot uciekających dalekowidzących.

Na schodach lampy przechylały się co rusz tak bardzo, że aż olej z nich wyciekał. Ze ścian odpadały całe płyty tynku i niebawem wszędzie unosił się biały pył.

Ioma pobiegła po stopniach. Jedną ręką osłaniała głowę przed spadającym gruzem.

Przy tyłu darach metabolizmu unikała go bez trudu. Wydawało jej się, że kawały tynku spadają bardzo, bardzo wolno. Dary krzepy pozwalały odrzucić je wszystkie daleko od siebie i dziewczyny.

W pewnej chwili musiały przeskoczyć przez ściany ognia. Później wielki kawał murarki spadł na schody i z trudem po nim przeszły. Im niżej były, tym silniejsze Ioma miała wrażenie, że im się uda.

Właściwie była tego pewna. Gaborn nie ostrzegał jej, że cokolwiek jej tu grozi, jak to uczynił w zamku Sylvarresta. Niemniej przerażenie nie słabło. Wieża kolysała się jak pijana...

Na dół schodów dotarli w chwili, gdy minęła pierwsza fala wstrząsów.

-Wreszcie - wysapała Dziennik. - Już po wszystkim. - Przystanęła, aby obetrzeć łzy, ale nie przestała płakać.

Ioma jednak przeżyła już niejedno trzęsienie ziemi w Heredonie i wiedziała, że to wcale nie koniec.

Złapała dziewczyna za rękę i pobiegła z nią do bramy pałacowej. Zdążyły w ostatniej chwili.

Ledwie znalazły się na zewnątrz, ziemia w Tide zatrzęsała się jeszcze potężniej niż przed chwilą.

47 POSZUKIWANIA PRZEWODNIKA

Zwykle najwyżej ceni się tych, którzy giną w bitwie. Jednak rzadko nagradza się godnie takich bohaterów, którzy godzą się na cierpienie wieczne, aby ich dobra sprawa mogła wygrać. -Mangan Ziemia wokół Skály Mangana wydawała się ciemniejsza nawet od nocnego nieba. Tu i owdzie dopalały się jeszcze kępy krzaków, ale nawet te ogniki nie potrafiły rozjaśnić czerni grubej warstwy popiołów.

Na wschodzie szalał podchodzący już pod wzgórze pożar, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miał jeszcze przez wiele dni trawić okoliczne lasy.

Każdy krok Averan wzbijał tumany pyłu, który drapał w gardło. Wraz z nią krzyli po

pobojowisku Binnesman, Gaborn i jego Dziennik. Przepatrywali stosy raubenich trupow zalegajacych niekiedy warstwami po trzy albo cztery. Poludniowe podnoze urwiska cale bylo nimi zaslane. Z bliska okazywalo sie na dodatek, ze nie wszyscy raubenowie, ktorzy spadli albo zeskoczyli ze Skaly Mangana, zgineli na miejscu.

Tysiace rannych umykaly wciaz przez rownine. Wiele potworow mialo polamane nogi albo pekniete pancerze. Te zostawaly z tylu i na nich wlasnie polowala teraz wiekszosc rycerzy Gaborna, on sam jednak ruszyl wraz z niosacymi pochodnie zwiadowcami na poszukiwanie przewodnika.

Averan nie chciala jesc mozgu kolejnego raubena, dosc sie wycierpiala ostatnio.

Wciaz jeszcze byla po tym obolala i oslabiona.

Niemniej przy tylu poleglych raubenach Gaborn uznal, ze nie moze zmarnowac okazji, i zarzadzil poszukiwania. Tak wiec Averan brnela teraz przez popioly. Na niebie nad nia zajasniala spadajaca gwiazda. Dziewczynka uniosla glowe i niemal natychmiast niebosklon przebiegla kolejna biala smuga. Averan dostrzegla przy tym, ze nad pobojowiskiem krazy niewiele grisow. Albo sploszyl je dym, albo odlecialy w slad za niedobitkami hordy.

Ziemia znowu sie lekko zatrzesla. Kilka kamieni oderwalo sie od Skaly Mangana i spadlo pomiedzy trupy.

-Ty, panie, wywolales wstrzasy? - spytala Gaborna.

-Nie. To nie moje dzieło.

Przed nimi zamajaczyl umierajacy lepniak. Lezal na grzbiecie i wciagal spazmatycznie powietrze, a gruczoly pyskowe ciagle jeszcze wydzielaly kleista substancje.

-Nie podchodz blisko - przestrzegl dziewczynke Gaborn.

-Nic mi sie nie stanie. Juz nie moze ruszac wyrostkami. - Przyjrzala sie lepniakowi. - Zwali go Wielkim Murarzem. To on zbudowal sale legowa Mistrzynie.

Zblizyla sie do lepniaka. Jak wielu innych, takze on zostal przyuczony do prac murarskich polegajacych na wzmacnianiu stropow jaskin i tuneli, ale doszedl w swej sztuce do prawdziwego mistrzostwa. Jego luki i przypory byly nie dosc, ze wytrzymale, to jeszcze piekne.

-Wspolczujesz temu potworowi? - spytal Gaborn.

Averan zacisnela powieki i siegnela do nabytych obszarow pamieci.

-To tez sa zywe istoty, panie - odparla. - Ten tutaj... byl artysta. Nigdy nie powinien

wychodzic z podziemi.

-Dobrze, dziecko. Uczysz sie - mruknal Binnesman. - Kazde zycie ma swa wartosc.

Kazde nalezy uszanowac.

Przez dluzszy czas wraz z wieloma zwiadowcami penetrowali stosy trupow. Po godzinie Gabornowi zameldowano, ze u podnoza skaly poległ co najmniej tysiac potworow, a ludzie Skalbairna zabili podczas poscigu jeszcze ze dwa tysiace. Pozostale sily raubenow umykaly na poludnie tym samym szlakiem, ktorym przybyly z podziemi.

Pod sama skala potrzaskane ciala tworzyly makabryczna platanine i zwiadowcy mieli trudne zadanie. Musieli wspinac sie na stosy trupow i wciskac pomiedzy cielska, zeby sprawdzic te lezace ponizej. Nie zawsze jednak bylo to mozliwe. Nawet konie z darami mialy problemy z odcignieciem splatanych zewlokow i Gaborn zaczal sie obawiac, ze nigdy nie uda im sie odszukac przewodnika.

-Panie! Chyba go mam! - krzyknal nagle jeden ze zwiadowcow, machajac pochodnia ze stosu trupow.

Averan podbiegla do niego.

-Tu lezy bestia zupelnie jak z opisu, wasza wysokosc - powiedzial zwiadowca. - Ma trzydziesti szesc wyrostkow i wielkie lapy. Trudno dojrzec cos wiecej, ale na prawym ramieniu dojrzałem rune. Reszta jest schowana...

Dziewczynka wspiala sie na skale obok, brudzac sobie dlonie o porosty. Z pomoca Gaborna wdrapala sie potem na pierwsze cielsko. Trupy lezaly tu na szesc wysoko i zeby sie dostac do wskazanego, musiala przejsc po paru innych.

Gdy postawila noge na pancerzu magini, trup drgnal lekko i Averan zamarla na chwile ze strachu, ze bestia moze byc jeszcze zywa.

Zwiadowca, oswietlajac droge pochodnia, poprowadzil ja dalej przez waska szczeline do czegos na ksztalt groty pomiedzy martwymi cielskami. Szlo im sie nielatwo.

Tutaj trzeba bylo przekroczyc lape, gdzie indziej ominac sterczacy lokiec, wspiac sie na leb... A wszystko ostroznie, zeby nie poparzyć sie pochodnia. I nie myslac o tym, ze cos sie moze obsunac i zmiadzyc czlowieka.

Gaborn i Binnesman przeciskali sie za nimi.

Zwiadowca dotarl prawie na sam spod stosu i wsunal sie w niewielka nisze. Zaraz zrobilo sie w niej goraco od pochodni, dym zaczal drapac w gardle. Averan spojrzala na leb wskazanego raubena i stlumila okrzyk.

To on! pomyslała zrazu. Większa część cielska kryła się pod trupami czterech innych raubenów, ale widac było jedna wielka łapa, sporo ze łba i fragment ramienia, które mogłyby należeć do przewodnika. Aweran zamknęła oczy, by przywołać właściwy obraz. Ale potwory widziały świat całkiem inaczej, skapany jakby w rozmaitych odcieniach błękitu, i trudno było jej coś orzec z całą pewnością.

-Tak - powiedziała drzacym głosem. - To może być on. Chociaż gdyby nie był tak zmasakrowany... wiedziałabym lepiej.

Po tylu wcześniejszych nieudanych podejściach nie potrafiła się wyzbyć sceptycyzmu.

Na dodatek jakiś spadający rauben rozbił i przesunął na bok część pancerza na łbie domniemanego przewodnika.

-A barwna runa? - spytał Gaborn.

-Nie wiem. Raubenowie nie widzą kolorów. Dla nich znaki runiczne to zapachy, zaklęcia zapisane woniami.

Wspomnienia Aweran nie mówiły nic o właściwym kształcie runy, nie potrafiła też orzec, czy jest ona we właściwym miejscu. Długo oglądała widoczne kawałki cielska. Wokół czuła tylko zapach dymu. Gdyby miała węch raubena i mogła się dostać do gruczołów okołoodbytowych, pewnie zaraz by się wszystkiego dowiedziała, ale tak...

-Naprawdę nie jestem pewna.

-Spróbujesz go?

Aweran ucisnęła dłoń, aż paznokcie wbili się jej w skórę. Z przerażeniem spojrzała na Gabornę.

-Nie jestem pewna, panie. To może nie być on.

-Ale najbardziej pasuje dotąd do opisu? Żoładek podszedł dziewczynce do gardła.

-To prawda. Ale nie mogę...

Gaborn ujął ją pod brode i spojrzał w oczy.

-Musisz być dzisiaj silna. Wszyscy bardzo ci potrzebujemy. Udalo nam się spędzić raubenów ze skały, ale już teraz czuje, że zagrożenie znówu narasta. Jutro mogą zginąć w bitwie setki, a może nawet tysiące ludzi. A dziesiątki tysięcy coraz bliżej są śmierci.

-Mylisz, panie, że w ten sposób mi to ułatwisz? Boję się. Ostatnim razem tak się pochorowałam...

-Chłopcy od wczesnych lat są uczeni, że gdy dorosną, może przyjdzie im oddać życie za innych - powiedział Gaborn. - Gina na wojnie w obronie swoich żon i dzieci...

-Kobiety też czasem Gina - wtraciła Averan, przypominając sobie matkę.

-Owszem. Nie proszę cię zatem o nic więcej, niż jest powinnością nas wszystkich, bo gdy dorosniesz, będzie to i twój obowiązek. Tyle że nie mogę czekać tak długo.

Muszę cię prosić, abys już teraz postąpiła jak dorosła.

Binnesman przytulił dziewczynkę, żeby choć trochę ująć jej przerażenia.

Wiedział, że Gaborn nie może ustąpić. On też tylko czynił swoją powinność.

-Moi ludzie dwie godziny przetrzasali pobojowisko. Nie znaleźli bardziej pasującego do opisu raubena.

Averan z trudem przełknęła ślinę. Gaborn chciał, by przeskoczyła ileś lat życia i stała się nagle dorosłą kobietą. Z drugiej strony to i tak miało kiedyś nastąpić.

-Dobrze, panie.

Gdy tylko wyraziła zgodę, poczuła przyływ ulgi. To już tylko ten jeden raz i nigdy więcej...

Gaborn westchnął ciężko, przykleknął obok i objął Averan.

-Dziękuję.

Gaborn czuł się wyczerpany, nie tylko fizycznie, ale i umysłowo. Nigdy jeszcze nie był tak przygnębiony.

-Dajcie jej wszystko, czego zażąda - polecił zwiadowcy. Poklepał Binnesmana po ramieniu.

-Zostan z nią - szepnął. - Pomóż jej, jak potrafisz. Ja muszę chwilę odpocząć.

Wypelzł spod stosu trupów, dosiadł konia i wraz z Dziennikiem pojechał wzdłuż urwiska mile na północ, aż do powalonego posagu Mangana, który rozpekł się przy upadku na tuzin kawałków. Gaborn zeskoczył z siodła, wspiał się po leżącej na boku kamiennej głowie i usiadł na niej ciężko.

Niewiele wiedział o Manganie. Pamiętał tylko kilka przypisywanych mu powiedzeń, no i słyszał o tym posagu. Ponad tysiąc lat temu onże wielki wojownik wznosił fortece na niedostępnej skale i powstrzymał armię Muttayi, która najeżdżała zachodnią Mysterrię. Stoczył ponad dziesięć wielkich bitew i zginął młodo w jakiejś błahej utarczce.

Piecdziesiąt lat później jego syn kazał wyrzeźbić postać ojca w skalach urwiska. Od tamtej

pory kamien zrobil sie juz porowaty i grubo pokryl sie porostami.

Przez niebo przemknela kolejna spadajaca gwiazda. W ciagu ostatnich trzech godzin Gaborn widzial ich chyba ponad sto.

Siedzial i rozmyslal. "Swiat sie naprawde odmienia", mruknal pod nosem. Wyczuwal coraz wieksze niebezpieczenstwo grozace rannym z Carris, ktorzy uchodzili rzeka Donnestgree. Niektorzy z jego rycerzy tez mieli niebawem znowu spojrzec w oczy smierci.

Coraz lepiej rozumial ostrzezenia przekazywane mu przez moce ziemi. Niekiedy wyczuwal zagrozenie z wielkim wyprzedzeniem. Innym razem uswiadamiat je sobie calkiem nagle. I wszystko to ciagle sie zmienialo, jak w kotle z wrzaca woda. Gaborn przypuszczal, ze ta niestalosc brala sie z olbrzymiej liczby decyzji podejmowanych nieustannie przez jego wrogow. I nie tylko - decyzji wszystkich zywych istot.

Calkiem nagle, jakby znikad, wyczul grozbe zawisla na Borensonem i Myrrima.

Chcial ich ostrzec, ale chociaz probowal ze wszystkich sil, nie potrafil. Jak dlugo to jeszcze potrwa? Czyzby ziemia na zawsze odebrala mu swoj dar? Czy to miala byc kara?

Chciala wygubic jego wybrancow? A moze jednak okaze sie, ze w godzinie największej potrzeby cenne dary powroca?

Nie potrafil pogodzic sie z mysla, ze mialby poswiecic tych, ktorych wczesniej wybral. To nie byli dla niego obcy ludzie. Ilekroć ktorys z nich ginal, Gaborn czul sie zubożony o jakas czastke siebie samego.

A przeciez tu nie chodzi tylko o mnie, pomyslal. Kazde z nich zostawia zone albo meza, dzieci albo rodzicow. Albo cala wioske. Przeciez taki ktos moze byc potrzebnym wszystkim piekarzem. Lub kims tak serdecznym, ze wszyscy wokol zaczynaja dzieki niemu widziec jutro w lepszych barwach. Gdy taka osoba odchodzi, zaloba jest powszechna.

Wszyscy jestesmy jednoscia, przyszlo mu do glowy. Rodzaj ludzki jest jak sploty tkaniny. Wyrwanie jednej nitki zawsze oslabia calosc... A ostatnio tych nitkow ubylo naprawde sporo.

Gaborn wciaz jeszcze nie oplakal ani swojego ojca, ani rodzicow lomy, ani setek tysiecy poległych. A teraz mogly zginac miliony.

Westchnal ciezko.

-Raj Ahten dojezdza do Kartishu - poinformowal swojego Dziennika. - Jest coraz slabszy, ale zabil dzisiaj dwunastu moich wybranych.

-Wiele uwagi poswiecasz zdrowiu swojego wroga - powiedzial Dziennik.

Gaborn obrocil glowe i spojrzal na chorobliwie chudego uczonego. Siedzial na skale z kolanami pod broda i kapturem naciagnety na glowe.

-Gdyby to tylko ode mnie zalezalo, zadnego czlowieka nie mialbym za wroga - odparl. - Wiesz, z jakim zagrozeniem Wilk spotka sie w Kartishu?

-Czas pokaze - mruknal enigmatycznie Dziennik.

-Wyczuwam, ze niebezpieczenstwo narasta. Przypuszczam tez, ze Kartish zostal juz calkiem spustoszony.

-Nie moge tego ani potwierdzic, ani temu zaprzeczyc - stwierdzil uczoney, czym nie zaskoczyl wcale Gaborna. Po wielu latach spedzonych w towarzystwie czlonkow Bractwa Dni nie oczekiwal niczego wiecej. Nigdy jeszcze nie udalo mu sie sklonic Dziennika do udzielenia jakiegokolwiek pomocy.

Przypomnial sobie rysunek sporzadzony przez emira Tuulistanu, ktory ujawnial niektore tajemne nauki wykladane czlonkom bractwa w Komnacie Snow.

Jasno powiadano tam, ze kazdy czlowiek jest panem samego siebie, a dobro i zlo wiaza sie scisle z tym, czy probuje zawladnac cudza przestrzenia osobista, czy tez ja bez przymusu powiekszyc.

Gaborn pomyslal nagle, ze skoro tak, to nikt nie moze zwac sie dobrym, jesli nie czyni dobra pomiedzy innymi. W tym celu nalezy nauczyc sie najpierw zyc miedzy ludzmi i zrozumiec, co wlasciwie nas z nimi laczy. Poczuc te wiesz.

Prawdziwie dobry czlowiek nigdy nie bedzie byl tylko dla siebie. Troche podobnie jak wyznawcy mistycznych religii Indhopalu, ktorzy odmawiaja noszenia odziezy albo jedzenia, gdy w poblizu jest ktos glodny, winien on zawsze pamietac o innych. O tym, ze jest czescia wspolnoty.

Gaborn czul, ze bardzo pragnie zostac kims takim. Chociaz urodzil sie na wladce, myslal przede wszystkim o ochronie swoich poddanych. Im zamierzal poswiecic zycie... ale wydawalo mu sie, ze wszystko, co dotad uczynil, to nie bylo dosc.

Ciagle tez mial wrazenie, ze w istocie dobra i zla musi byc jeszcze cos, czego dotad w pelni nie rozumial.

Zamrugal powiekami. Piekly, jakby wiatr sypnal mu piaskiem w oczy. Dziennik siedzial obok bez ruchu.

Dlaczego on tak sie zachowuje? Dlaczego jest bierny? Skoro kazdy Dziennik ogarnia w pelni, czym jest dobro, a czym zlo, dlaczego nie probuje dzialac?

A może oni nie są już ludźmi? Może stracili zdolność odczuwania?

Cos jeszcze przyszło mu do głowy. Kolejny raz zastanowił się nad rysunkiem...

Czyżby o to chodziło?

-Czas! - wyszeptał, czując, że wszystkie nici łączą się wreszcie w jeden watek.

Tam nie chodziło w ogóle o dobro czy zło, ale o czas...

Dziennikowie utrzymywali, że są sługami Władców Czasu. Ale czy ktokolwiek widział kiedyś takiego władcy? Żyli tylko w legendach jako jeszcze jedno uosobienie sił przyrody.

Niemniej Gaborn dojrzał sedno sprawy. Nauki Dzienników powiadały, że pragnąc zabrać komuś pieniądze, żonę albo miejsce w społeczności, czyni się zło. Jednak gdy kogoś wzbogacamy albo poświęcamy mu nasze wolne chwile, wówczas postępujemy dobrze.

Gaborna zaś zastanowiło jedno: czy jest coś takiego, czego czas prędzej czy później mi nie zabierze? Żona, ojciec, rodzina, bogactwo, w końcu życie... Wszystkiego mnie pozbawi. Zostanie tylko pustka!

Dziennikowie musieli to oczywiście dostrzegać. Tylko... czy należało wyciągnąć z tego wnioski, że czas to skrajne zło?

Nie należało oczekiwać, by Dziennik Gaborna pomógł w jakikolwiek sposób rozstrzygnąć ten problem. Reguła Bractwa Dni wymagała pełnej bezstronności i dystansu wobec tych, których życia byli świadkami. Nie mogli nijak wpływać na bieg wydarzeń. To było domena Władców Czasu.

Zatem tylko obserwowali. Ale po co? Co chcieli osiągnąć poprzez swoją służbę, skoro służyli złu?

Czegoś tu jeszcze chyba brakowało...

Owszem, czas pozbawia nas wszystkiego, myślał Gaborn, wszystkiego, co człowiek może posiadać... A może samo posiadanie wydawało się Dziennikom iluzją? Albo uważali pojęcia zła i dobra za bez znaczenia?

Albo... potrafili dojrzec, że czas nie tylko odbiera, ale też daje nam wszystko, co mamy. Dom, bogactwo i bliskich. Od niego otrzymujemy każdą, bezcenną chwilę radości.

Wiązał się więc z czasem trudny do pojęcia paradoks. Był on zarówno twórcą, jak i niszczycielem. Przynosił i szczęście, i smutek.

Może więc Bractwo Dni miało się za grupę wybranych, jedyne oświeconych, zdolnych zdystansować się wobec tego paradoksu. To by pasowało do ich doktryny

powstrzymywania się od działania.

Ale... co chcieli przez to zyskać?

Czas. Służyli Władcom Czasu. Czyżby liczyli, że w zamian za swoje usługi podarują im oni ileś dodatkowych lat? Binnesman miał ich już kilkaset, ziemia dbała o jego długowieczność. Podobnie było też z wodnymi czarnoksiężnikami.

Też chcieli wydłużyć sobie życie? Ciekawe...

Gaborn zastanowił się nagle nad tym, że we wszystkich żywotach władców nic nigdy nie wspominało o ich Dziennikach. Kronikarze nawet się nie przedstawiali, zawsze byli w pełni anonimowi. Od czasu do czasu zmieniano im przydziały. Dziennik Gaborna pojawił się, gdy chłopiec był jeszcze dzieckiem. Uczony wyglądał wtedy niemal tak samo jak teraz: chudy, po pięćdziesiątce. Włosów mu od tamtych dni nie ubyło, nie przybyło plam na skórze...

Niemniej gdyby byli długowieczni, ktoś by to chyba wcześniej zauważył. A może podobnie jak czarnoksiężnicy różniła się posiadana moc? Albo... to oni sami byli Władcami Czasu. Takimi, których widziało się codziennie, ale nie poznawało...

-Ile masz lat? - spytał nagle swojego Dziennika.

-A na ile wyglądam, panie?

-Na pięćdziesiąt. Mężczyzna pokiwał głową.

-Mniej więcej się zgadza, panie - odparł zbywająco.

-A czym Dziennikiem byłeś wcześniej?

-Piceby Zwanasha, księcia Inkarry.

Gaborn nigdy nie słyszał o tym człowieku. Ani nawet o kims, kto by miał podobne imię. Nie wiedział też, że jego Dziennik zna inkarranski.

-I on był pierwszym twoim podopiecznym?

-Tak - rzucił Dziennik od niechcienia. Znowu świadoma nieuprzejmość?

-Ile lat spodziewasz się przeżyć?

-Z tego, co mówisz, wasza wysokość, za tydzień wszystkich nas może już nie być.

Nie, z tych zagadkowych odpowiedzi nic nie wynikało. Gaborn pomyślał, że ten ślad prowadzi chyba jednak donikąd. Dziennik nie podpowie niczego godnego uwagi, a na dokładniejsze dochodzenie Gaborn nie miał po prostu czasu. Teraz musiał choć chwilę

odpocząć, gdyż niebawem i po temu nie będzie okazji.

Co parę minut na niebie pojawiała się kolejna spadająca gwiazda. Owszem, podobne zjawiska były codziennością około połowy zimy, zaraz po Świecie Weselnym, ale nie teraz.

-Gdy napiszesz księgę o moim życiu, czy wspomnisz, jak bardzo bolałem nad tym, że musiałem wykorzystywać przyjaciół? Czy dodasz, że nikomu, nawet moim wrogom, nie życzyłem nigdy zła?

-Podobno czyny mówią więcej o człowieku niż słowa - odparł Dziennik.

-Ale czasem czyny dają świadectwo tylko połowie prawdy. Wbrew sobie wykorzystuje to dziecko, Averan. Powinna wyrosnąć na piękną kobietę, mieć synów, córki i kochającego męża. A księga opowie tylko, jak źle ją potraktowałem. Ja zaś bardziej nad tym, że w ogóle musiałem zwrócić się do niej o pomoc.

-O twoich odczuciach, panie, wspomnę w przypisach.

-Dziękuję - odparł szczerze wdzięczny Gaborn.

W oddali podniósł się zgiełk. Ktoś wołał Gaborna. Władca spojrzał na południe.

Jakis rycerz jechał ku nim z płonącą pochodnią w dłoni. Gaborn rozpoznał w nim zwiadowcę, który doprowadził ich do znaleziska.

-Tak?! - zawołał.

-Panie! Szukałem cie, bo myślałem, że powinieneś wiedzieć. Dziewczynka, Averan, zjadła trochę mózgu raubena i zaraz bardzo źle się poczuła.

-I co z nią? - spytał Gaborn z przerażeniem.

-Krzyknęła kilka razy, oblala się potem i upadła na ziemię, a potem dostała konwulsji.

Przygryzła sobie nawet język i zaczęła dławić się krwią...

-Na Moce! - wykrzyknął Gaborn. Co ja uczyniłem? pomyślał.

-Wsunąłem jej noż między zęby, wasza wysokość, ale i tak musieliśmy położyć ją na brzuchu, żeby się nie krztusiła. Nie możemy podać jej nic do picia.

Gaborn zeskoczył z głowy posagu i pobiegł do swego wierzchowca.

-Binnesman i dzika próbują ją ocalić - dodał zwiadowca. Król skoczył na siodło i pogonił konia do galopu. Rychło dotarł do grupki stłoczonych w kregu ludzi.

Dwoch rycerzy przyciskalo Averan do ziemi, zeby nie zrobila sobie krzywdy. Oczy miala wywrocone, powieki drzaly jej spazmatycznie. Oddychala szybko, lapczywie.

Binnesman stal nad nia i powoli poruszal laska, jakby dopracowywal jakies bardziej zlozone zaklecie.

Smrod bijacy od chorej i resztki wilgotnej miazgi widoczne wokol swiadczyly wyraznie, co jadla.

Gaborn odwrocil sie od calej sceny. Po jakimis czasie Binnesman podszedl don i polozyl mu dlon na ramieniu.

-Rauben, ktorego sprobowala, juz wczesniej musial byc umierajacy. Bardzo cierpial.

Ledwie przelknela, zaraz zawolala: "Umieram!" Gaborn nie smial sie odezwac.

-Wikszosc zaraz zwrocila - dodal Binnesman. - Mam nadzieje, ze dzieki temu ocalila zycie.

Krol pokrecil glowa. Naprawde nie wiedzial, co czynic dalej.

-Byc moze stracilismy jedyna szanse.

48 SPRAWY SERCA

Nie wiem, czego nalezy bac sie bardziej -jadu zmii, dotknienia upiora czy gniewu zony. - jego krolewska mosc Da'verry Morgaine Borenson spojrzal w blasku gwiazd na dlon Myrrimy. Knykcie i srodkowe trzy palce byly rownie biale jak okrywajacy cala okolice szron.Dotkнал jej skory. Byla tak lodowata, ze prawie zdawala sie parzyc. Dziewczyna trzesla sie z zimna, zeby jej szczekaly.

Duch totha musial rzucic na nia jakis urok.

-Cholera! - zaklal Borenson. Byl pewien, ze jego zona stracila palce na dobre.

Palce albo i cala dlon.

Wciaz jeszcze nie zdoalal uspokoic mysli. W uszach brzmialo mu nadal posepne wycie upiora, a serce tluklo sie w piersi. Owszem, sam widzial, ze jego zona przegnala upiora, i wiedzial, ze takie rzeczy sie zdarzaja, ale... normalnie udawaly sie jedynie wielkim magom i Myrrima moze drogo zaplacic za swoj uczynek.

Zrobila to dla mnie... pomyslal nagle. Stanela nade mna i podjela walke tak samo jak z raubenami w poblizu Skaly Mangana.

Oszolomiony probowal robic cokolwiek, ale nie zdoalal jakos ogrzac jej dloni wlasnym oddechem.

-Zawiniemy ja mocno, zeby trzymala cieplo - powiedzial, zdejmujac plaszcz, i opatulil zmrozona dlon.

-W niej nie ma juz ani krzty ciepla - odparla Myrrima. - A chlod siega coraz dalej.

Mroz wkolo tez jakos nie odpuszczal. Oddech zamarzal Borensonowi na wasach i brodzie, zlodowacjala trawa chrzescila pod butami.

Moze by rozpalic ogien? Ale krzesiwo zostalo w jukach, a juki... Spojrzal na droge.

Oba konie uciekly. Byly tak przerazone, ze pewnie dopiero rano stana gdzies na popas.

-Mozesz chodzic? - spytal zone. - Fenraven nie moze byc daleko.

-Moge. Ale czy dotrzymasz mi kroku? - rzucila przez zacisniete zebry. Teraz ona byla Wladczynia Runow i mogla zniesc o wiele wiecej niz on.

-Nie. Ale w Fenraven zapewne jest uzdrawiacz. A co najmniej madra. Moze powinna ruszyc przodem.

Myrrima stanela na drzacych nogach. Mimo licznych darow nie przyszlo jej to latwo.

Musiala sie podeprzec lukiem i tak ruszyla droga. Borenson przypomniał sobie, jak niewiele godzin wczesniej sir Hoswell w podobny sposob schodzil z pola. Hoswell nie przezył...

Dziewczyna spojrzala na idacego obok meza.

-Musimy znalezc konie - powiedziala, ciagle szczekajac zebami. - W jukach mam jeszcze troche masci Binnesmana.

Z ulga opuscili scieta mrozem okolice. Ciepłe powietrze przynioslo spora ulge, napawalo nadzieja. Borenson dopiero teraz poczul, jak przygnebiajaco dzialal czar upiora.

Mial nadzieje, ze Myrrima tez zacznie z wolna odzyskiwac sily. Swiatlo gwiazd ledwie przenikalo przez cienka powloke chmur, ale cos jednak pozwalalo dojrzec. Gdy wspieli sie na kolejne wzniesienie, ujrzeli przed soba dlugi odcinek prostej drogi, nad ktora pochylaly sie czarne sylwetki bezlistnych drzew.

Niestety, nigdzie nie bylo widac koni ani zadnych swiatel, a wszechobecne bloto i snujace sie welony mgiel sugerowaly, ze gdzies tutaj moga sie czaić kolejne upiory.

Niemniej przed nimi powinien byc jeszcze jeden jezdziec. Zabojca z Muyyatinu.

Borenson nie byl jednak u szczytu sil, na dodatek mlot zostal przy siodle. Mial tylko jedna bron - dlugi sztylet w pochwie na udzie.

Myrrima spojrzala w dal i jeknela z rozpacza.

-Jak duze jest Fenraven? - spytala.

-Niewielkie - odparl Borenson, ktory wprowadzie nigdy tam nie byl, ale sporo slyszal o osadzie.

-No to moze dlatego nie widzimy jeszcze swiatel. Nie powinno przeciez byc daleko.

Borenson wiedzial, ze Fenraven lezy na malej wyspie zaraz za moczarami. Biezaca woda wokolo byla dla upiorow zapora nie do przebycia, niemniej we wszystkich domach wywieszano jeszcze dla pewnosci latarnie przed prog. Ich blask powinien byc juz dobrze widoczny.

-Mozesz miec racje - mruknal, czul jednak, ze cos jest nie tak. - W kazdej chwili mozemy je zobaczyc.

Myrrima pokiwala glowa i ruszyla dalej.

Towarzyszyl jej truchtem. Sciagnal nawet kolczuge, i razem z helmem cisnal ja na droge. Z niepokojem sluchal coraz ciezszeo oddechu zony, patrzyl, jak tuli do tulowia owinieta w plaszcz reke. Widac bylo, ze bardzo cierpi.

Bieгли przez spowity mgla las, a Borenson co rusz nasluchiwal, czy nie dobiegnie skads wycie upiorow albo rzenie koni. Z galezi drzew z gluchym odglosem skapywaly na droge krople wody, dal wiatr, szcieszliwie lekki, nie jak ta wichura, ktora wzbudzil niedawno czarny glory... Zaraz... Moze to jakas zemsta? Ostatecznie Myrrima dala sie mocno czarnemu we znaki. Potwor chetnie by ja zabil.

Dziewczyna w koncu zwolnila. Teraz bez trudu mogl za nia nadazyc, niemniej i on zaczel juz slabnac. Przypuszczal, ze musieli przebyc okolo trzech mil, a Myrrima wygladala, jakby lada chwila miala upasc.

Weszli na kolejne, troche wyzsze tym razem wzniesienie. Na polach ponizej mgla zalegala jeszcze grubsza powloka niz wczesniej. Po niebie przemykaly co jakis czas nowe spadajace gwiazdy, a zza horyzontu wysuwal sie z wolna sierp ksiezycy. W jego blasku dojrzeli bielejace daleko na poludniu szczyty gor Alcair. Ale nadal nie natkneli sie na zaden slad koni. Nic tez nie zwiastowalo bliskosci osady.

Spojrzal na Myrrime i zdretwial. Byla smiertelnie blada, oddychala plytko i nierowno.

Za kazdym razem przed jej twarza zawisal wyrazny oblok pary, a przeciez tutaj nie bylo az tak zimno...

Oby Najjasniejszy ja ocalil! pomyslal Borenson.

-Jak sie czujesz? - spytal. Pokrecila slabo glowa, ze nietego.

-Spojrzmy na twoja dlon.

Myrrima zaprotestowala slabo i cofnela sie, ale nie zrezygnowal. Zaraz tez odkryl, ze jej reka nie daje sie poruszyc, calkiem jakby zastygla w lokciu. Odwinal delikatnie materie, ktora przymarzla miejscami do skory.

Ujrzal, ze teraz szron pokrywa nie tylko fragment dloni, ale i cale przedramie oraz lokiec, i siega coraz wyzej. Widok byl przerazajacy Myrrima pokiwala glowa, jakby od dluzszej chwili czula, ze cos takiego wlasnie sie dzieje.

-To mnie zabije - powiedziala.

Borenson rozejrzal sie bezradnie. Nie potrafil walczyć z nadprzyrodzonymi mocami.

Nie byl czarownikiem, nie mial nawet najmarniejszego amuletu.

-Moze... gdyby ja odciac... - mruknal, ale sam zaraz sie przerazil. Nigdy nie przeprowadzal amputacji. Nie mial ani bandazy, ani niczego, czym moglby usmierzyc bol. A musialby ciac blisko stawu ramieniowego. I jak powstrzymalby krwawienie?

Myrrima pokrecila glowa.

-Obawiam sie, ze to by nic nie dalo...

-Oprzyj sie o mnie na chwile... - powiedzial i rozwiadal kaftan, pod ktorym byl kompletnie mokry. Wsunal reke Myrrimy miedzy material a wlasne cialo. Zapieкло, jakby lod przylozyl, i przez chwile zastanawial sie, czy i jego klatwa upiora w ten sposob nie obejmie.

Ale w sumie jakos nie byl sklonny sie tym martwic.

Wczesnym rankiem spytal Gaborna, co jeszcze ma oddac na jego sluzbie. Stracil juz meskosc i sily... a teraz mogl stracic znacznie wiecej. Stracic cos, czego wartosci nawet sie dotad nie domyslal...

Myrrima wsparla sie na nim ciezko. Oddychala z coraz wiekszym trudem.

To nie tak mialo wygladac, pomyslal. Gdy wyjezdzal cztery noce temu z zamku Sylvarresta, przypuszczal, ze juz wiecej nie ujrzy zony. Wybieral sie do Inkarry przeswiadczony, ze juz nie wroci, chociaz sam przed soba nie chcial sie do tego przyznac. I nie okazywal Myrrimie naleznego jej uczucia, zeby i ona nie miala sposobnosci sobie uswiadomic, jak beznadziejnie to wyglada... Teraz to zrozumial.

Wypieral sie milosci. A przeciez pokochal Myrrime, ledwie ja zobaczył.

Zaczynał nawet przypuszczać, co to może znaczyć, że kogoś się kocha. Gdy Gaborn pobierał nauki w Domu Zrozumienia, stał zawsze za jego plecami. Sam nigdy nie studiował, ale słuchał i patrzył pilnie, co się dzieje wokół.

Spróbował przypomnieć sobie jedną z lekcji w Komnacie Serca. Nie było to łatwe, może dlatego, że część jego wspomnień przepadła pod gruzami Blekitnej Wieży, a może i z tej przyczyny, że nie przywiązywał wówczas większej wagi do słów mistrza Jorlisa. Nie rozumiał, jak można traktować poważnie kogoś, kto całe życie spędził na rozważaniach o uczuciach.

Ale wtedy właśnie usłyszał, że człowiek ma jakby dwa umysły... Jeden "płytki", drugi "głęboki". Ten pierwszy miał być chłodny, logiczny i racjonalny. Niewiele wiedział o miłości. Skupiał uwagę na konkretnych, jak liczby czy cele do osiągnięcia.

Drugi był całkiem inny. To on odpowiadał za sny, on próbował ogarnąć świat. Był twórczy i doznawał nagłych oświeceń. On też poprzez strach, radość albo intuicyjne podpowiedzi informował o słuszności albo błędności powziętych świadomości wyborów.

Borenson zawsze traktował takie pomysły sceptycznie. Grubokoscisty, pulchny i rumiany Jorlis nie budził jego zaufania, utrzymywał jednak, że ten "głęboki" umysł nie porzuca nigdy żadnego problemu, choćbyśmy nawet już o tym czymś zapomnieli.

Gotów jest skrycie drążyć temat tygodniami czy miesiącami, aż w końcu znajdzie rozwiązanie, na które świadomość nigdy byśmy nie wpadli. Stąd uważał, że umysł głęboki jest znacznie inteligentniejszy od płytkiego.

Powiadał, że jeśli mężczyzna zakocha się w kobiecie od pierwszego wejrzenia, to jest to jakby sygnał od głębokiego umysłu, iż owa kobieta pasuje szczególnie do jego wyobrażenia o idealnej partnerce. To wyobrażenie też podobno powstawało w umyśle głębokim, który przez lata dodawał do wizerunku najlepsze cechy różnych osób. I tak idealna wybranka mogła mieć serce bliskiej ciotki, oczy matki, dzieci traktować jak pewną sąsiadka, a poczuciem humoru dorównywać ojcu. Wszystko to stapiało się w jedną niczym nitkę na tapiserii. "Gdy spotykając taką kobietę, macie wrażenie, jakbyście od dawna ją znali, to właśnie jest sygnał przekazany przez głęboki umysł, że oto spotkalicie kogoś z dawna poszukiwanego. Wprawdzie ten umysł czasem może się pomylić, ale zawsze warto wysłuchać jego podpowiedzi", nauczał mistrz Jorlis.

Borenson uważał to wówczas za czysty nonsens. Pomysł równie pomyłony jak sam nauczyciel.

Jednak od kiedy poznał Myrrime, wszystko zaczęło przebiegać właśnie w ten sposób.

Miała w sobie to wszystko, czego zawsze szukał w kobiecie. Ciepło, wrażliwość i oddanie.

Wcześniej zawsze miał wrażenie, że czegoś mu brak. Że czegoś brakuje w nim samym.

Teraz czuł się wreszcie w pełni człowiekiem. Dzięki niej.

Mroz ogarniał mu bok, ale nie potrafił orzec, czy ta próba ogrzania zmrożonej ręki żony cokolwiek daje. Próbował przez długie minuty, lecz Myrrima bladła coraz bardziej, a para wokół jej ust gestniała.

-Weź mnie za rękę - poprosiła słabo, szczerkając zębami. Ujął chora dłoń, ale potrząsnęła głową. - Nie tę. Tej w ogóle nie czuje.

Sięgnął zatem po prawą jej dłoń i stał dalej spokojnie, chociaż teraz mroźny ból w boku stał się prawie nie do zniesienia. Niech we mnie przejdzie, a ja zostawi, pomyślał błagalnie.

Myrrima oparła głowę na jego ramieniu.

-Kocham cię - szepnął jej do ucha. Pokiwała lekko głową.

-Wiem.

Gdzieś w dali samotny wilk zawył do wschodzącego księżyca. Na niebie rysowało się coraz więcej smug spadających gwiazd.

Pocałował Myrrimę w czoło i dziewczyna omdlała mu w ramionach. Przytrzymał ją.

Oddychała, ale trudno mu było ocenić, ile jeszcze wytrzyma.

Wiedział, że musi być już dobrze po północy. Był wyczerpany i prawie bez darów, które byłyby teraz bardzo pomocne. Nie miał też pojęcia, jak daleko jest Fenraven. Pewnie co najmniej kilka mil.

Zastanowił się, czyby nie zostawić tu Myrrimy i samemu pójść po pomoc. Była rosła kobieta i nie wiedział, czy zdola ją unieść. Ale skoro gdzieś tu kreciły się wilki...

Nie chciał też, aby umarła samotnie.

Wziął żonę na ręce.

49 SPADAJĄCE GWIAZDY

Każda katastrofa uczy nas pokory, odwagi, poświęcenia dla bliźnich i zapobiegliwości. Jednak poza powyższym nie widzę niczego dobrego, co by ze spotykających nas kłesk plynęło. - diuk Paldane Gdy ustąpiły wstrząsy wtórne, w Tide zaczęli zjawiać się posłancy z wiadomościami o zniszczeniach, jakie dotknęły okolice. W ciągu kilku godzin od pierwszego drgnienia ziemi zawaliły się wieże w szeregu zamków, runął też most spinający dwie największe wyspy stolicy. Najgorszy los spotkał w mieście dzielnicę ubogich. Ich domy rozpadały się jeden po drugim, a wiele stało w płomieniach i w Tide szalały teraz dziesiątki pożarów.

Co gorsza, na pomocne brzegi natarly jeszcze potezne fale, ktore zrownaly wiele budynkow z ziemia, a inne zmyly do morza.

Nad miastem unosily sie chmury dymu i nikt nie mial pojecia, ilu wlasciwie ludzi zginelo.

Sluzba i gwardzisci wylegli przed palac. Wszyscy wyniesli sobie koce i futra, ale nikt nie spal. Na dziedzincu plonely liczne latarnie, a kucharze oprozniali spizarnie, wynoszac chleb, wielkie szynki i polcie wolowiny. Zamkowi minstrele uznali, ze najlepiej moga pomoc w tej sytuacji swoja muzyka i zaczeli grac.

Nastal czas makabrycznego karnawalu, lomie zdawalo sie wrecz, ze chyba sama ziemia musiala ja przeklac, ale w miare naplywania kolejnych meldunkow pojela, ze nie ma nic wspolnego ze wstrzasami. Najwieksze zniszczenia odnotowano tuzin mil na pomoc, gdzie cale wioski zniknely z powierzchni ziemi.

Przez kilka godzin loma przyjmowala poslancow pod golym niebem i sluchala relacji o rozmaitych nieszczesciach. Z pomoca skrybow i doradcow robila, co mogla, aby ulzyc doli bezdomnych, nakarmic ich, dac jakis dach nad glowa. Od razu przydzielala stosowne fundusze na odbudowe.

W jedna noc wydalala wiecej pieniedzy, niz jej ojciec widywal przez caly rok. W koncu zaczela sie niepokoic, czy nie ogoloci do cna szkatuly Gaborna.

Nie miala zadnego doswiadczenia w zarzadzaniu sprawami tak wielkiego krolestwa i czula sie coraz bardziej przytloczona nowymi obowiazkami. Szambelan Westhaven co rusz musial spieszyc jej z pomoca. Szczesliwie byl naprawde kompetentny i znal sprawy stanu o wiele lepiej niz ona.

Dziennik tymczasem przysiadla obok na ziemi i bardzo sie starala nie zasnac.

Wiele razy dziekowala juz lomie za wyprowadzenie z wiezy. Dluugo nie mogla sie tez powstrzymac od placzu, a krolowa nie mogla jej pocieszyc.

Dziewczyna bez watpienia martwila sie losem rodziny mieszkajacej kilka mil na polnoc od miasta.

Zreszta loma sama byla niespokojna. Jeszcze w Heredonie odczula kilka slabych wstrzasow, potem bylo Carris, a teraz Tide. Czy te wydarzenia byly jakos ze soba powiazane?

Gaborn utrzymywal, ze ziemia daje znac w ten sposob o swoim bolu. Ale jesli pomniejsze wstrzasy swiadczyly o bolu, to co oznaczal ten wielki?

Intuicja podpowiadala jej, ze jakis zwiazek byc musi. Na razie probowala jednak nie zaprzatac tym sobie glowy.

Wciaz jeszcze czula pod stopami drobne vibracje, gdy przepchnal sie ku niej uczony w granatowej szacie zdobnej w srebrne gwiazdy. Mial dluga siwa brode i przenikliwe spojrzenie.

Szambelan pochyлил sie ku krolowej i szepnal:

-To mistrz Jennaise z Komnaty Gwiazd, nasz astronom. Przypuszczam, ze chce powiadomic o zawaleniu sie jego wiezy. Osmiele sie jednak przypomniec waszej wysokosci, ze remont budynkow Domu Zrozumienia finansowany jest zawsze przez patronow uczelni, a nie ze szkatuly krolewskiej.

I ona kiwnela glowa i astronom podszedl blizej.

-Wasza wysokosc, blagam o chwile posluchu - odezwal sie z silnym ferecjanskim akcentem. - Mamy wielki problem. Calkiem niespodziewany problem.

-Jak moze ci pomoc, mistrzu Jennaise?

-Nie wiem, wasza krolewska mosc, od czego zaczac - mruknal zmieszany.

Jasne, ze nie wiesz, pomyslala krolowa. Ferecjanie nigdy nie wiedza, od czego zaczac, na czym skonczyc ani jak przejsc do rzeczy.

-Wasza wieza ucierpiala?

-Obserwatorium, pani? Owszem... straszny tam teraz balagan. Zwoje pospadaly z polek, mielismy ogien, a moi asystenci omal nie zgineli, ratujac mapy. Cale tygodnie potrwa, nim dojdziemy ze wszystkim do ladu, i jestem pewien, ze woda, ktora gasilismy pozar, spowodowala co najmniej tyle samo zniszczen, ile plomienie. Ale to nie interesuje waszej wysokosci, prawda?

-Przyznaje - odrzekla szczerze Iona, ktora wciaz nie pojmowala, o co moze chodzic uczonemu.

On zas spojrzal na krecacy sie wokol tlum i znizyl glos do szeptu.

-Wasza wysokosc, czy moglibysmy porozmawiac na osobnosc? Iona skinela glowa i przeszli przez dziedziniec w cien wybudowanej leszczyny rosnacej pod murem zamku.

-Pani, co wiesz o gwiazdach? - spytal w koncu astronom. - Ze sa piekne - odparla zdawkowo Iona.

-Owszem. Ale wiesz moze rowniez, wasza wysokosc, ze ukklad konstelacji na niebie zmienia sie zaleznie od por roku. Zima Elwind pojawia sie nisko nad gorskimi szczytami na polnocy, ale latem wisi nam prawie nad glowami.

-Wiem.

-Wlasnie... Ja zas z wielka kontuzja musze doniesc, ze gwiazdy zmienily swe ruchy.

-Jak?

-Dzis w noc konstelacje wzeszly nie tam, gdzie powinny. Naprawde dziwne. Mamy trzeci dzien Miesiaca Lisci, jednak gwiazdy na niebie pokazaly sie tak, jakby byl dwudziesty dzien Miesiaca Zniw. Maja dwa tygodnie spoznienia...

-Jak to mozliwe? - spytala Ioma. - Moze mapy nieba sa niedokladne? Albo...

-Mapy sa w porzadku, wasza krolewska mosc. Od stu lat pilnuje, by wszystko sie na nich zgadzalo. Nasuwa mi sie tylko jedno wyjasnienie... ze swiat zmienil swoj odwieczny szlak wedrowki pomiedzy gwiazdami. Wstepne obliczenia wskazuja, ze nawet ksiezyc...

Zaskoczenie Iomy zmienilo sie w czyste przerazenie. Trwalo chwile, nim odzyskala glos.

-Co mozemy zrobic? - spytala oszolomiona. Jennaise pokrecil glowa.

-Nic zapewne... Ale twoj malzonek, pani, jest Krolem Ziemi. Ioma wspomniala nagle slowa Averan o mistrzyni raubenow, ktora starala sie powiazac w jedno Pieczec Nieutulonego Zalu oraz Runy Nieba i Piekla. Zamierzala doprowadzic do powstania nowego swiata, w którym ludzie by juz nie przetrwali. Czyzby to byl efekt jej usilowan?

-Rozumiem - powiedziala. - Zaraz posle list do jego krolewskiej mosci.

Chociaz... jak Gaborn moglby w tym przeszkodzic? Stracil przeciez wiekszosc swoich mocy.

Astronom odwrocil sie, zeby odejsc, a Ioma spojrzala z obawa na dziedziniec i wezwala pisarza, by mu podyktowac list do Gaborna.

Jednak gdy zaczela w myslach ukladac zdania, dotarlo do niej, ze nie ma mezowi nic naprawde nowego do przekazania. On i tak wiedzial, co sie dzieje. Sam przeciez ostrzegal, ze jesli nie uda mu sie pokonac Mistrzyni, to wszyscy ludzie zgina. Rownie dobrze jak ona zdawal sobie sprawe z niebezpieczenstwa.

A moze nie do konca? Bo przeciez nie potrafil orzec, z ktorej strony nastapi glowny atak, a prawie wszyscy jego wybrani byli wciaz w Mystarrii, w poblizu Carris.

Nie mogl wyczuc, co dzieje sie gdzie indziej. Ciekawe tez, co powie, dowiedziawszy sie, ze nad Carris zawislo niebezpieczenstwo najazdu. Poprosi ja, by stad wyjechala? A jak skomentowalby astronomiczne zmiany zauwazone przez Jennaise'a?

Zastanawiala sie nad tym wszystkim, az ujrzala, ze na dziedziniec wchodzi Grimeson w

towarzystwie darmistrza.

-Pani! - krzyknął sierzant z daleka. - Mamy te dary, których chciał król!

loma całkiem o tym zapomniała. Gaborn kazał przygotować posredników dla Averan.

Teraz należało posłać ich do Gaborna.

-Na kon i czym prędzej w drogę - poleciała. - Nie ma chwili do stracenia.

-Pani, ci posrednicy całą noc byli na nogach. Nie chciałbym, żeby mi który spadł z siodła. Jeśli pozwolisz, wasza wysokość, weźmiemy powozy królewskie, są prawie tak samo szybkie jak wierzchowce.

-Zaprzęgać zatem, byle szybko, bo zaraz jedziemy.

-Jedziemy?

loma czuła się, jakby nie tylko miasta i wioski, ale także cały porządek jej świata runął właśnie w gruzy. Gaborn wysłał ją do Tide, sądząc, że będzie tu bezpieczna. Ale po trzesieniu ziemi i wszystkich dziwnych zmianach żadne schronienie nie zapewniało już bezpieczeństwa, a miejsce królowej było przy królu, chociaż do podziemi zejść z nim nie mogła.

Tam byłaby dlań tylko ciężarem. Z drugiej strony, czekać w Tide nie wiadomo na co... To nie miało sensu.

Obejrzała się na szambelana Westhavena. Gdy rozmawiała z astronomem, załatwił cały szereg ważnych spraw. Świetnie wiedział, jak rozmawiać z przybywającymi wciąż pomniejszych władcami. Lepiej znał to królestwo niż ona.

-Zbieraj moją eskortę, Grimeson. Jęde z wami - powiedziała w końcu. - Muszę porozmawiać z mężem.

Szybko podyktowała pisarzowi list dla szambelana, aby ostrzec go przed nadciągającym atakiem z morza, i podała go paziowi. Chwile później już jej nie było.

50 WSPOMNIENIE LATA

Jeden czyn poswielliwy więcej znaczy niż tysiąc celnych ciosów mieczem.-Ivarian Borenson Borenson szedł chwiejnie drogą przez mokradła. Myrrima coraz bardziej ciążyła mu w ramionach i nawet dar krzepy nie pomagał wiele.

Co pewien czas spoglądał na jej prawą reke w nadziei, że może coś jednak cudem się odmieni. Albo szron przestanie narastać tak szybko... Chociaż po prawdzie niewiele by to chyba zmieniło.

Po godzinie był już pewien, że to nic nie da. Sam przemarzył do kosci, a mroz spoił jego rękę z dłonią żony. Ale nie żałował, że próbował ją ogrzać. Obawiał się tylko skutków odmrożenia, a przede wszystkim, że straci czucie i nigdy już nie będzie mógł jej normalnie dotknąć.

Niosł ją krok za krokiem, słuchał szczekania jej zębów, patrzył na dobywającą się z jej ust parę. Potłal się z niego strumieniami, nogi słabły coraz bardziej, ale nie śmiał przystanąć z obawy, że nie zdołałby już ruszyć dalej. I tak był to cud, że zaszedł tak daleko pod czarnymi galeziami drzew i przez okolice tak niegospinne, że tylko żaby i robactwo jakos sobie tu radziły. Gdzieś w dali były wilki, ale nie bał się ich. Podobnie nie lekał się już upiórów ani zabójców. Wiedział, że i jemu nie zostało wiele życia. Mroz z reki Myrrimy ściał już jego dłoń i zmierzał coraz wyżej w stronę lokcia. Jego modlitwy zostały poniekąd wysłuchane...

Myrrima umrze. Nie mógł tego zmienić. Szczęśliwie on nie będzie musiał blaknąć się sam wiele dłużej. Rychło podzieli jej los.

Bardzo się zatem zdumiał, gdy całkiem nagle poczuł, jak pomiędzy nogami coś mu przybyło. Jądra wysunęły się z wnętrza ciała i opadły do worka mosznowego.

Zapomniał już całkiem, że mali chłopcy nie rodzą się gotowymi mężczyznami. Ich jądra wykształcają się powyżej moszny i dopiero po jakimś czasie się do niej przedostają.

Balsam czarnoksieznika nie zawiodł. Na dodatek sprawił, że wszystko przebiegło całkiem naturalnie.

-Postawie mu za to co najmniej jedno piwo - zachichotał żalosnie Borenson. Los spletał mu zaiste okrutny żart.

I szedł dalej. Stopa za stopą, krok za krokiem. Nie miał już siły unieść głowy.

Nie potrafił nawet skupić na niczym spojrzenia. W pewnej chwili prawie że zasnął i zdało mu się wtedy, że duch Myrrimy idzie obok niego.

-I tak pojde z toba do Inkarry - powiedziała. - Zostaw moje ciało przy drodze, bo całkiem już przemarzło, a ja pojde z toba.

Ogarnął go niewysłowiony smutek. Otrzeźwiał trochę i spojrzał na żonę, aby sprawdzić, czy naprawdę... Nie dostrzegł ani śladu oddechu, a lodowaty przyływ siegał mu już prawie do barku.

Najchętniej położyłby się obok Myrrimy i poczekał na śmierć.

Pomyślał o wiadomości dla króla Zandarosa. Powatpiewał, czy zdoła ją przekazać.

Zawsze był wierny Gabornowi i bolał nad tym, że w końcu jednak go zawiedzie.

Niestety, nic nie mogli na to poradzić. Podobnie nie sprawdzili, jak to było z Daylanem Mlotem, legendarnym bohaterem, Suma Wszystkich Ludzi, który podobno nadal żył gdzieś w Inkarrze. O ile kiedykolwiek żył naprawdę...

W półprzymrogu zszedł z drogi i ocknął się dopiero w kamienistym korycie strumienia, gdy potknął się o jakiś głaz, pośliznął i usiadł w wodzie. Wokół unosiła się gęsta mgła. Po chwili wstał i wszedł głębiej w nurt. Musze być już blisko Fenraven, pomyślał.

Usłyszał rzenie konia i drgnął, nagle dobudzony. To był jego własny rumak, którego użył Myrrimie. Musiał dopiero co minąć go nieprzytomny. Zwierzę stało nad strumieniem. Wodze zaplatały się w galezie krzewu. Borenson podszedł do wierzchołka i nie wypuszczając Myrrimy, zaczął przetrzasnąć ją.

W końcu znalazł balsam czarnoksiężnika. Wyciągnął garnuszek i otworzył go jedną dłonią. Przez długi czas wpatrywał się w mrok w twarz żony. Ledwo coś widział przez pot zalewający mu oczy i nie potrafił orzec, czy dziewczyna jeszcze oddycha.

Potem spojrzał w niebo, po którym znowu przemknęły dwie smugi spadających gwiazd. Na wschodzie horyzont jakby pojaśniał. Niedługo miał wstąpić dzień.

Ciekawe, czy go jeszcze zobaczy.

Przysiadł z Myrrimie i zaczął jej wcierać balsam w przedramię, nadgarstek i wszystkie palce z osobna. Zużył prawie cały, dla siebie zostawił ledwie odrobinę.

Potem położył się obok niej nad strumieniem. Wsłuchał się w plusk wody na kamieniach. Mgła pachniała wilgotną ziemią. Jakis świerszcz zagrał swoją melodię w jezynach. Borenson ciągle miał nadzieję, że zdoła jeszcze ogrzać Myrrimie, chociaż sam nie czuł już w ogóle prawej ręki. Myśli płynęły mu leniwie. Był śmiertelnie zmęczony, ale nie mógł usnąć.

Z godziny tak leżał, aż gwiazdy zaczęły błędnąć. Dotknął podbródka Myrrimy. Był zimny jak głaz.

Naprawdę już nie żyje, pomyślał z wysiłkiem.

Balsam rozgrzał nieco jego dłoń, przywrócił w niej życie i czucie na tyle, że Borensonowi udało się ją uwolnić z lodowatego uścisku żony.

Nie ma co dłużej udawać, uznał w końcu. Nie ma się co liznąć. Na wyspie Thwynn, gdzie urodził się Borenson, zmarłych nie powierzano ziemi, ale morzu. Ucałował ją zatem na pożegnanie, poprosił ostatni raz o wybaczenie, że nie dość umiał ją kochać, wziął ją na ręce i wszedł po pas do strumienia. Woda wydała mu się cieplejsza niż nocne powietrze.

Ciągle jeszcze pamiętała lato.

Gdzies w dali zapial kogut, gdy Borenson oddal ostatecznie cialo zony strumieniowi i pozwolil, by odplynelo z nurtem. Wprawdzie nie do konca wierzył, ze to sie dzieje naprawde, ale powiedzial sobie, ze ze smiercia tak juz jest.

-Niech odnajdzie w tobie spokoj - szepnal strumieniowi. - Zanies ja do morza.

Czul sie jak zdrajca, ale w tym stanie nie potrafil zrozumiec dlaczego.

Chwiejnym krokiem wyszedl z wody i wrocil do wierzchowca. W Fenraven na pewno jest jakas gospoda, przebieglo mu przez glowe. Tylko czy znajdzie tam choc troche wytchnienia?

51 DROGA BEZ POWROTU

Zycie jest wedrowka po drodze, z ktorej nie da sie zawrocic.-Gaborn Val Orden Swit zastal Averan skulona na wozie, który z turkotem kol zdazal na poludnie.

Przygryziony jezyk przestal juz jej krwawic, ale cienkie ubranie miala cale mokre od potu.

Obok siedziala Wiosna, a nad dziewczynka, na plandece wozu, przysiadla wielka modliszka.

Trwala tam calkiem nieruchomo i zdazyla nawet zbrunatniec, zeby upodobnic swa barwe do koloru plotna.

Konwulsje, ktore pojawily sie po zjedzeniu paru kawalkow mozgu raubena, przeszly z godzinie temu, ale bol nie ustal. Tyle ze Averan wiedziala juz, ze od tego nie umrze.

Gorzej jednak, ze znow jej sie nie udalo. Sprobowala niewlasciwego raubena.

Przewodnik byl najpewniej gdzies z reszta hordy i polowanie nie zostalo jeszcze zakonczone.

Pokrecila glowa w rozpacz. Raubenowie cierpieli czasem o wiele dotkliwiej niz ludzie. Teraz juz wiedziala. Byli niezwykle zywtorni, ale przez to doznawali wiekszego bolu.

Averan obawiala sie ponownej proby. Moglaby juz jej nie przetrwac. Ale jesli znajda przewodnika, nie bedzie mogla przeciez odmowic.

Nie dowiedziala sie wiele o raubenie, który omal jej nie zabil. Nazywal sie Przebiegly Zarlok, a jego zolnierskie wspomnienia byly trudne do zniesienia.

Czesto podkopywal sie tunelami pod gniazda legowe innych klanow i obmyslal dla krolowej plany wojen plemiennych. Averan poznala tylko urywki scen, w ktorych rozdzielal wrogow i pozeral kawalki ich cial. Nikogo nie oszczedzal. On i jego oddzial zjadali nawet jaja obcych krolowych. Zaden ludzki wladca nie byl nigdy rownie zachlanny.

Przebiegły studiował też przebieg dawnych wojen z ludźmi i starał się wypracować nowe strategie walki na powierzchni.

Averan zamknęła oczy, żeby spróbować o tym nie myśleć.

Wóz gnał nieustannie szlakiem raubenów. Spoza cienkiej powłoki porannych chmur przebijał lekko rozany krąg słońca. Nocne mgły znikaly wolno znad pol.

Czarne formacje raubenów gnały w oddali przez równinę. Przypominały wielkie stado słoni, wokół ich pochodów unosiły się wielkie tumany kurzu i chmury spłoszonych ptaków.

Teraz jednak potwory umykały znacznie wolniej. Przez ostatnie pięć godzin uszły mniej niż czterdzieści mil. Były do cna wyczerpane. Averan wyczuła to wyraźnie w doznaniach Przebiegłego. To dlatego ciągle potłal się z niej strumieniami, a pragnienie dreczyło jak nigdy i nie dawało się ugasić zwykłą wodą. Podobnie jak rauben teskniła za metną siarczaną cieczą.

Raubenowie z hordy też zdradzali oznaki zmeczenia. Jeszcze przed świtem można było dostrzec, że pojedyncze potwory odpadają od pochodów. Nie zatrzymywały się, ale zaczynały krzącać w kółko, bo nogi po prawej jeszcze pracowały, ale z lewej odmawiały posłuszeństwa.

Nieco wcześniej Gaborn podjechał do wozu Averan, wskazał na krecących się niczym wielkie zuki raubenów i spytał, co to może znaczyć.

-Umie powoli z pragnienia - wyjaśniła dziewczynka.

-Miejmy zatem nadzieję na upalny dzień - mruknął król. - Może słońce przyspieszy koniec.

Averan też miała wrażenie, że jej lewa reka zaczyna ogarniać kurcze. Zabolalo tak bardzo, że aż krzyknęła. Wiosna przysunęła się do niej i pogładziła po głowie.

Dziewczynka przypomniala sobie nagle wczesne dzieciństwo. I ten dzień, gdy zrobiły sobie z matką piknik nad brzegiem Kellysbrook. Musiała być wtedy bardzo mała. Chyba tamtego dnia po raz pierwszy zobaczyła plynaca wode.

Strumień bulgotał na gładkich niczym porcelana kamieniach. Niosł z gor wode tak zimna, że chyba tylko cudem na brzegu nie tworzyła się warstwa lodu. Ale smakowała cudownie świeżo, a jej szum brzmiał niczym najpiękniejsza muzyka.

Miejscami nurt zwalniał, tworząc zakola i rozlewiska. W cieniach pomiędzy korzeniami drzew buszowały tam piskorze, a po powierzchni przemykały wodne pajaki.

Averan godzinami wpatrywała się w głąbinę, żeby dojrzec penetrującego dno niesmialego raka, po czym położyła się na słońcu pod wierzba, a matka opowiadała jej różne historie i

gladziła po włosach... Ale to było dawno i bardzo daleko... Na dodatek dotknięcie Wiosny, choć bardzo podobne i troskliwe, nie koilo tak samo jak matczyne.

W oczach Wiosny błysnęło coś tajemniczego, całkiem dzikiego i pierwotnego.

Zielona kobieta nie była jednak człowiekiem. Nie była też zwierzęciem.

-Czy możesz mi pomóc? - spytała nagle Averan. - Pomożesz mi odszukać przewodnika?

Zielona nie odpowiedziała. Nie rozumiała pytania.

Nagle ludzie w konwoju podnieśli radosną wrzawę.

Averan usiadła i rozejrzała się wkoło. Wojsko maszerowało spokojnie przez równinę, oddział olbrzymów podążał za nimi, a raubenowie uchodzili swoim szlakiem. Nie dostrzegła szczególnych powodów do radości.

-Co się dzieje? - spytała woznice.

-Minelismy połowę drogi. Od teraz raubenowie mają już bliżej do podziemi niż z powrotem do Carris - rzucił przez ramię.

Ludzie wciąż wiwatowali, jakby naprawdę było się z czego cieszyć.

-Będzie następna szarża, wasza wysokość?! - krzyknął ranny rycerz z innego wozu do jadącego w pobliżu Gaborna.

-Jeszcze nie! - odpowiedział król, przepatrując szeregi raubenów. Spojrzał na Averan, jakby szukał rady, ale o nic nie spytał. Wrog tymczasem wolno maszerował dalej w eskorcie podążającego z obu stron wojska.

Gdy słońce wylonilo się nad horyzontu, Gaborn nagle zadał w róg, wzywając oddziały do odwrotu.

-Zawracac! - krzyknął do wozniców. - Szybko!

-Co jest? O co chodzi? - spytał wozak Averan i spojrzał niepewnie na raubenów.

Ciągle tak samo szli na południe. Zwolnił, zawrócił wóz i strzelił z bata, żeby pogonić konie.

Niemniej nie były to szczególnie silne zwierzęta i nie należało oczekiwać, że znacznie przyspieszą. Na dodatek tabor musiał dostosować prędkość do najwolniejszego zaprzęgu.

-Zjeżdżajcie z drogi! - zawołał Gaborn. - Raubenowie będą zaraz atakować!

Averan usiadła na kocu i spojrzała na szeregi wroga, wypatrując oznak niebezpieczeństwa.

Niczego nie dojrzała.

Woznica skierował konie na pobocze i woz zakolysał się na korzeniach i kamieniach.

Inne zaprzęgi zrobiły tak samo. Na ziemi pojawiły się długie wczesnoporanne cienie.

Po chwili cała horda raubenów przystanęła nagle i podniosła nieziemski, zgiełkliwy syk. Tysiące potworów stały na tylnych łapach i zastygły w tej pozycji.

Machając dziko wyrostkami, zdawały się patrzeć prosto we wschodzące słońce.

Syk narastał. Raubenowie byli dziwnie pobudzeni... albo przerażeni.

Woznica skłamał od chabeta powolnie konie i raz jeszcze dał głośno wyraz swojemu zdumieniu cała sytuacja.

-Cos wyczuly - wyjasnila Averan.

Rzeczywiście, odległe o jakieś dwie mile szeregi raubenów łapały jakiś nieznany ludziom, a istotny dla potworów ulotny zapach.

Averan spojrzała na wschód, ale nie dostrzegła niczego na horyzoncie. Ot, równina, dęby, odległe wzgorza.

A może raubenowie wyczuli inną horde? Może liczyli na posiłki? Albo też dotarła do nich wieść o ludzkiej armii zdążającej na pomoc Gabornowi?

Raczej nie, pomyślała dziewczynka. Zerknęła na niebo - chmur burzowych także nie było nigdzie widac.

Raubenowie tymczasem skreśliли ku oddziałom Gaborna. Szybsza od potworów jazda nie miała problemu z wykonaniem uniku, ale olbrzymowie znaleźli się w sporej opresji.

Wymachując wielkimi ramionami, uchodzili w poplochu. Nawoływali przy tym coś do siebie we własnej mowie.

Wozacy coraz głośniejszym krzykiem na konie, które rwały przerażone, aż w końcu dwa wozy wpadły na siebie. Splatane uprzęzami zwierzęta zaczęły się potykać, jeden z wozów przewrócił się, rozsypując kopie. Dwaj taborycy grzmotnęli o ziemię. Jeden poderwał się zaraz i wskoczył na inny, przejeżdżający obok wozu, drugi się nie poruszył.

Raubenowie gnali tymczasem, jakby im nagle sił przybyło. Nigdy jeszcze nie widziano potworów biegnących tak szybko. Ich zębiska lśniły złowrogo w porannym słońcu.

Averan nie pojmowała, skąd ta nagła zmiana ich zachowania.

Jazda Gaborna skrecila na poludniowy wschod i nic jej nie grozilo, gorzej przedstawiala sie sprawa z taborem. Averan wylatywala wysoko w powietrze za kazdym razem, gdy kolo trafialo na kamien. Osie trzeszczaly niebezpiecznie.

Dziewczynka zlapala sie burty wozu i spojrzala na pole. Czolowka raubenow prawie ze odciela juz droge uciekajacym w kierunku drogi olbrzymom. Wiosna powstala i wbila spojrzenie w potwory, jakby czekala na stosowna chwile, aby skoczyc do ataku.

Jeden z blizszych podniosl z ziemi spory kamien i rzucil go przed siebie. Pocisk przelecial prawie dwiescie jardow i wyrznil z trzaskiem w sasiedni woz, ktory momentalnie sie rozpadl. Ani konie, ani woznica nie zdazyli nawet pisnac. Krwawe strzepki wylecialy w powietrze razem z chmara drzazg i kawalkow metalu. Inni raubenowie szybko wziali przyklad ze zmyslniejszego towarzysza i w pare chwil zniszczyli z tuzin wozow.

Woznica Averan strzelil z bata i przenikliwie krzyknal na konie. Zaraz jednak kola wpadly w bruzde, ktora ponownie nadwerezyla os.

Szczegolnie wielki rauben wysforowal sie przed horde i gnal prosto na umykajacy woz. W lapach dzierzyl olbrzymia pike z hakiem do sciagania rycerzy z koni.

Averan pamietala ze wspomnien Przebieglego, jak grozna moze byc taka bron.

-Pomocy! - krzyknela.

Nie musiala sie trudzic. Woznica robil, co mogl, zeby zejsc z linii ataku.

Ryzykujac calosc osi i konskich nog, usuwal sie coraz bardziej na bok.

Mniej szczescia mial woz jadacy za nimi. Jego woznica, starszy, posiwialy mezczyzna w znoszonej skorzanej kamizelce nalozonej na brunatna tunike, krzyknal przerazony i tez sprobował skrecic na wschod. Za pozno. Averan przez mgnienie widziala jego twarz i juz ze strachem pomyslala, ze zaraz ujrzy smierc tego czlowieka, ale rauben zaatakowal najpierw konie. Wbil hak w pierwszego i sprobował wydrzec go z zaprzegu, ale uprzaz nie puscila od razu.

Woz zadrzal i sasiedni kon potknal sie. Trzasnal dyszel i przednie kola najechaly na zwierzce. Woz wylecial wysoko w powietrze, spadl z hukiem i przekoziolkowal.

Averan zacisnela powieki. Nie chciala widziec, co spotkalo woznice.

Zaraz jednak otworzyla oczy i stwierdzila, ze ich zaprzegowi udalo sie ujsc przed raubenami, ktore wprawdzie bez trudu moglyby teraz zniszczyc kilkadziesiat wozow, ale z jakiegos powodu ruszily dalej na wschod, i to w nowej calkiem formacji.

Wielcy zolnierze maszerowali na skraju mierzacego prawie mile pieciokata, mniejsi zas

wewnątrz, uformowani na kształt gwiazdy. W każdym z jej ramion znalazło się kilka szkarłatnych magin idących w szyku przypominającym klin. Największa w hordzie magini i jej eskorta szli w samym środku. Averan poznała ten szyk. Przebiegły pamiętał coś podobnego i wiedział, że to szyk bojowy. Raubenowie przerwali ucieczkę.

Zamierzali atakować...

Averan starała się opanować przerażenie i zastanowić nad sytuacją. Wóz już zwalniał, Raubenowie oddalali się przez równinę, którą dziewczynka dobrze знаła. Wiele razy nad nią leciała. Step kończył się pasmem niskich wzgórz, a dalej leżała dolina rzeki Donnestgree.

Nad jej brzegiem przycupnęło wiele wiosek i osad, ale jedynym ważnym miastem było Feldonshire, leżące czterdzieści pięć mil na wschód. Ulokowane wśród pokrytych lasami wzgórz wyglądało jak skupisko zrósniętych w jeden organizm wiosek. Jednak nie było tam żadnej fortecy ani zamku, tylko magazyny, browary, gospody, młyny...

Raubenowie nie mieli w zasadzie powodu ich atakować. Gaborn także już pojął, co się dzieje.

-Ruszają na Feldonshire! - zawołał z siodła, przejeżdżając obok taboru.

Król Ziemi patrzył z niepokojem na przemarsz Raubenów. Wyczuwał narastające zagrożenie dla mieszkańców Feldonshire. W nocy schroniło się tam wielu rannych z Carris.

Teraz powinni znowu jak najszybciej uciekać...

Chmura kurzu Wzbitego przez nową formację potworów wzniosła się już na setki stóp. W porannym słońcu wydawała się intensywnie żółta.

Ale dlaczego Feldonshire?

-Woda! - zawołała Averan. - Idź do wody!

-W Feldonshire? - spytał Gaborn.

-Nie, idź chyba do Cuchnacej Wody, trzy mile za miastem. Widziałam ją z powietrza.

Takie małe, zielone oczka. Całkiem zasiarczone!

Gaborn przypomniał sobie te stawy. Wypływająca z podziemnego źródła woda była przekleństwem okolicy. Nikt nie chciał się tam osiedlać. Zima cuchnące opary dolatywały czasem nawet do Feldonshire.

-Ale to całe czterdzieści pięć mil stąd! - zawołał z niedowierzaniem.

Averan pokiwała energicznie głową.

-My to wiemy, ale raubenowie niekoniecznie. Oni tylko zweszyl siarkowa wode.

Czyzby potrafili wyczuc won dobiegajaca z tak daleka? Niewykluczone... Wilki moga zwietrzyc krew z czterech mil, a ta siarka wonieje o wiele mocniej, pomyslal Gaborn.

A skoro wyniuchali cos tak necacego, to ruszyli ku wzgorzom.

Niebawem przedra sie przez dabrowy, zostawiajac za soba szeroki na mile pas zniszczenia.

Nie wszyscy jednak dawali rade. Kilkanascie potworow nie wytrzymalo juz tempa i zostalo z tylu. Jazda niezwlocznie sie nimi zajela.

Ile z nich jeszcze padnie, nim pokonaja cale czterdziesti piec mil? I czy bedzie wsrod nich przewodnik? On byl najwazniejszy...

-Skalbairn! - zawolal Gaborn. - Wysluj tuzin najszybszych jezdcow do Feldonshire.

Jesli to na wodzie tak im zalezy, musimy dopilnowac, zeby jej nie dostali.

-Ale jak, panie?

-Zatnij te stawy.

-Zatruc wode? - zdumial sie Binnesman.

Gaborn zmarszczyl czolo. Byl Krolem Ziemi, a ziemia byla sprzymierzencem wody.

-Dla mnie to tez niełatwa decyzja - odparl.

-Czym mamy ja zatruc, wasza wysokosc? - spytal Skalbairn.

-Tym, co bedzie pod reka. Zwroccie sie do cechu snycerzy. Poproście mistrza Wallachsa o pomoc.

-Tak jest - rzucil marszalek, zwolal kilku ludzi i wyslal ich do miasta. W wybranej grupie byl rowniez Waggit.

Jednak Gaborn wiedzial, ze zatrucie wody nie wystarczy. Trzeba jeszcze ocalic pelne uchodzcow Feldonshire i wszystkie obozowiska nad brzegiem rzeki.

Gdyby udalo sie jakos zablokowac pochod hordy albo przynajmniej opoznic go na tyle, zeby zdazyc z ewakuacja...

W tym tempie raubenowie dotra do Feldonshire w dwie godziny, a poslaniec, nawet na najszybszym koniu, potrzebowalby na dojazd do miasta prawie godzinę. Drogi, niestety, nie biegly tu prosto, najpierw musialby ruszyc na Ballyton, dopiero potem na poludniowy

wschod. Łacznie z szescdziesiat mil. Mieszkancy mieliby wiec tylko godzinę na ucieczkę.

-Panowie! - zawołał Gaborn do towarzyszących mu rycerzy. - Wytnijcie gruczolę z paru trupów! Rzucicie je później w ogień! Może znowu uda nam się wystraszyć te potwory.

Czy ktoś zna Feldonshire?

-Moja rodzina jest stamtąd, wasza wysokość - odezwał się jakiś młodzieniec. - Wychowałem się w Darkwaldzie.

Darkwald była to puszcza obfitująca w orzechy, z których miejscowi stolarze wytwarzali stoły, szafy, skrzynie i wszelkie inne, piękne meble znane w całej Mystarii.

-Wiesz zatem, gdzie rozpałcić ogień?

-W Shrewsvale, panie - odparł rycerz, spojrzawszy w ślad za raubenami.

-Chcesz spalić wioskę? - spytał Gaborn.

-Nie... moja siostra w niej mieszka. Ale chyba tam się właśnie kierują...

-On ma rację - wtracił ktoś inny. - Shrewsvale leży dokładnie pomiędzy dwoma pasmami wzgórz, w dolinie, która prowadzi ku rzece. To najlepsze miejsce, by zatrzymać raubenów.

Gaborn przypomniał sobie jeszcze, że podobno jest tam również dobra gospoda, ale co... Spojrzał na Langleya.

-Wezmiesz tysiąc jazdy na wolniejszych koniach oraz olbrzymów i ruszycie za raubenami. Słabych, co zostaną za hordą, dobijając, głównych sił nie ruszać.

Gdybyście trafili na podobnego do przewodnika, oznaczyć ciało. Ja w tysiąc najszybszych koni ruszam do Shrewsvale.

52 FORTECA

Jeśli pisane nam zginąć, odejdzmy chociaż godnie. - indhopalska modlitwa Nad Kartishem z wolną wstawał świt, malując szarawą, spustoszoną okolicę na różowo. Nie śpiewał żaden ptak, nie było bydła na pastwiskach. Nawet wiatr jakby ustał. Tylko cienie czaiły się jeszcze po wykrotach.

Raj Ahten był już praktycznie gotów do ataku na raubenów. Nad jego wojskami wisiał w powietrzu balon z jednym tkaczem płomieni i dwoma żołnierzami w koszu, sam Wilk zaś stał na grani i patrzył na umocnienia wroga. Były zaiste niesamowite. Otaczała je brunatna chmura oparów, która zdawała się wirować w nienaturalnie powolnym tempie. Przez nią chwilami można było dojrzec setki tysięcy leżących na poboju ludzkich ciał.

Pusnabish poprowadził swe oddziały na zwykłą wojnę, ale klątwa magini pokonywała nawet tych, którzy mieli po trzy dary sił życiowych. Po przebyciu parunastu jardów padali martwi.

Co gorsza, magowie Wilka ostrzegali, że mgła została czarami przypisana do miejsca.

Ani wiatr, ani słońce nie mogłyby jej rozproszyć.

Nie było zatem sensu sięgać w tej wojnie po zwykłych żołnierzy. Przydałoby się tylko wówczas, gdyby raubenowie rzucili się do ucieczki.

Pamiętał widziana w Carris dziwaczna czarna wieża wzniesiona przez lepniaki.

Tutaj pojawiło się takich wież aż dziewięć. Wszystkie były przechyłone tak albo siak i stały w kregu. Wyglądały jak osobliwa powyginana korona, pośrodku której wznosiło się gniazdo, a raczej forteca utkana z posplatanych lepniaczych nici. Tu i owdzie sterczały z niej pomniejsze wieże i iglice, a wszędzie można było dostrzec otwory przypominające zamkowe szczeliny strzelnicze.

Nie było natomiast zewnętrznych posterunków, ale dzięki swoim darom Wilk zauważył rojące się za owymi otworami całe hordy raubenów.

Dookoła fortecy wrog wykopał głębokie na co najmniej dwadzieścia stop rowy uniemożliwiające atak jazdy. Nawet potężni Władcy Runów mieliby wielkie kłopoty z pokonaniem ich zboczy.

Dalej zaś, wśród kopalnianych hałd, raubenowie założyli całe podziemne miasto.

Wejścia do ich głębokich jam szły już w tysiące.

To czyste szalenstwo, pomyślał Ahten. W Carris jego rycerze walczyli o utrzymanie potężnego, warownego miasta z jedną tylko prowadzącą don droga. Tutaj mieli atakować wroga w jego własnej fortecy, której od wewnątrz nie znalazł nikt z nich.

Na szczycie każdej z wież tkwił uczepiony rauben, jakiego jeszcze Wilk nie widział.

Dawne bestiariusze nie wspominały o podobnych stworzeniach. Kosciane płyty czaszki tych bestii były cofnięte pod szczególnym kątem, przez co miały one znacznie wydłużone łby, wokół których wilo się po trzydziestu sześć wyrostków. Ich przednie kończyny były dziwnie wyrosnięte, a grzbiety raczej szarawe. Wszystkie potwory nieustannie kolysały łbami.

Chociaż Raj Ahten stał prawie dwie mile od nich, owi dziwni raubenowie zwrócili łby w jego kierunku. Zwykły rauben nigdy nie zauważyłby go z tej odległości.

Coż, oni też mają swoich dalekowidzących, pomyślał. Jednak bez wątplenia są bardzo nieliczni.

Uznał to za dowód, że faktycznie stanęła tu do walki sama legendarna władczyni podziemi. To z nią właśnie miał się zmierzyć.

Przyjrzał się raz jeszcze fortyfikacjom. Jak dotąd żaden zamek nie oparł się jego atakowi. Każda twierdza to pułapka na obrońców, przypomniał sobie i zmrużył oczy, żeby odszukać słabsze miejsca w konstrukcji. Nie dostrzegł żadnych, ale to nie znaczyło jeszcze, że ich nie ma. Wprawdzie pod Carris nie udało mu się zniszczyć raubenich budowli glosem, którym kruszył wcześniej wszystkie przez ludzi wzniesione mury, jednak tutaj może mu się powieść...

Pusnabish dobrze sobie poradził z przygotowaniem do bitwy. Przez ostatnie dwa dni nikt z jego ludzi nie proznował, a najsilniejsze zaprzęgi ciągnęły już balisty i katapulty ze wszystkich fortec i zamków w promieniu dwustu mil. Wysłał też do Avenu po prochy, z którymi eksperymentowali od pewnego czasu tkacze płomieni.

Zgromadził dziesięć tysięcy słoni, w tym czternaście potężnych zwierząt z darami krzepy, siły życiowych i metabolizmu. Co więcej, przyszło mu do głowy, że największe usługi w pokonaniu raubenów oddać może ogień.

W Kartishu nigdy nie było wiele lasów. Tylko nad brzegami rzeczek i strumieni rosły większe gaje figowców i cytrusów. Jednak zaraza spustoszyła wszystkie sady i uprawy, Pusnabish rozesłał więc ludzi na piętnaście mil wokół, by ściągali martwe pnie w jedno miejsce na północ od fortecy raubenów. Przez ostatnie dwa dni podeszły ładnie w pełnym słońcu.

I tak, gdy Raj Ahten przybył do Palacu Kanarków, wszystko było już gotowe do bitwy. Zostało mu tylko zadać w róg do ataku.

Mile za nim dwieście tysięcy żołnierzy podciągało już dwadzieścia pięć tysięcy machin miotających wszelkiej maszy. Strzegł ich cały milion dobrze uzbrojonej piechoty.

Dwa miliony z pomocą słoni znosiły drewno w pobliże fortecy.

Na rozkazy Wilka czekały też cztery tysiące Niezwycięzonych, a wśród nich wszyscy możniejsi panowie Indhopalu. Był to wspaniały oddział, sam kwiat królestwa.

Zrezygnowali tego dnia z ciężkich kolczug i karacen, które zwykle nosili do boju na Polnocy, i włożyli to samo, w czym walczyli ich przodkowie: kubraki z dwunastu przeszywanych warstw ciasno tkanego jedwabiu. Były one lżejsze i choć nie tak wytrzymałe, lepiej chroniły przed bronią obuchową.

Najlepsi wojownicy Indhopalu wyruszyli zatem na wojnę w barwnych, karmazynowych i złotych szatach. Na ich turbanach lśniły rubiny, szmaragdy i diamenty wielkie jak kurze jaja. Wierzchowce i słonie były równie pysznie wystrojone.

Kopie rycerstwa miały z jasnego drewna, bogato rzeźbione i złocone. Pochwy szabel i

mieczu Isnily od klejnotow i srebra.

Nigdy jeszcze Indhopal nie widzial rownie wspanialej armii. Raj Ahten dumny jechal na jej czele. Sam wdzial na te okazje kaftan i plaszcz ze snieznobialego jedwabiu.

Ziemia drzala w takt przemarszu Indhopalczykow i biały kurz spowil szybko rownine.

Raubenowie jednak nie zareagowali.

Juz od godziny piechota ukladala wielki stos drewna u granicy brunatnej mgly.

Raj Ahten widzial, jak raubenowie tlocza sie obok otworow strzelniczych, ale nie atakowali.

Spodziewal sie jakiegos przeciwdzialania, a tu nie doczekal sie nawet jednego kamienia cisnietego w jego ludzi.

W koncu zrozumial, dlaczego tak sie dzieje. Wirujacy z wolna opar scielil sie gesta powloka tuz przy ziemi i siegal prawie na cwierc mili od obwalowan. Raubenowie po prostu nie widzieli jego armii. A skoro nie widzieli, czekali po prostu na bezposredni atak.

Stos drewna rosl coraz wyzszy. Tkacze plomieni nadzorowali pracujacych. Niebawem ukazal sie tez drugi stos, na zachod od fortecy.

Raj Ahten oczekiwal, ze magowie nakaza ulozyc paliwo w zwyklye sterty, oni jednak stworzyli z niego wielkie na cwierc mili runy. Wschodnia okazala sie runa ognia, a zachodnia runa nocy.

Dziesiatki tysiecy ludzi nie zakonczyly jeszcze pracy, gdy tkacze plomieni uniesli rece do nieba. W pare chwil nad cala okolica zapadla noc, a zaraz potem ogniste kule rozpalily suche drewno.

Ci, ktorzy nie zdazyli uciec, wrzasneli przeraźliwie. Wiekszosc od razu zmienila sie w zywe pochodnie.

Raj Ahten przyjal to ze spokojem. Nie lubil zabijac wlasnych ludzi, ale Rahjim zapewnil go, ze to niezbedna ofiara. "Zginie tylko kilka tysiecy i chyba lepiej, ze tyle, a nie wszyscy".

Odor palonego ciala i wlosow dotarl az do Wilka. Rahjim i Az weszli w runy, miedzy plomienie.

Wilk rzadko siegal po pomoc wyzszych mocy, ale tym razem desperacja przewazyla.

Mimo przyjetych w nocy darow sil zyciowych lewa reka dretwiala mu coraz bardziej.

Odziani tylko w ogniste jezyki magowie zaczeli swoj taniec, az trudno bylo odroznic ich od zywiolu. Nawet pol mili dalej dawalo sie wyczuc buchajace od stosow cieplo. Plonace klody

protestowały trzaskiem, niebo zasnuwał dym.

Jeden z raubenow obserwatorów na wieżach spadł nagle, a pozostali zaczęli schodzić na ziemię. Było im za gorąco.

Pusnabish osłonił twarz dłonią.

-O wielki, za duży ten ogień. Nawet najsilniejsi wojownicy nie zdołają wejść do fortecy.

-Ale może za to raubenowie uczynią nam tę uprzejmość i upieka się w tym piecu własnego pomysłu - odezwał się ktoś z boku.

Raj Ahten też czuł gorąco, lecz się go nie obawiał. Wręcz przeciwnie. Nawet lewa ręka jakby odrobinkę ogrzała się teraz i ożyła. Puls wyraźnie mu przyspieszył.

Aż kilka razy obiecywał Wilkowi, że właśnie ogień uleczyć może tę jego przypadłość. Tyle że nikt, kto wejdzie w szalejące płomienie, nie pozostanie człowiekiem...

-Pośrodku fortecy raubenowie wyryli na ziemi wielki znak runiczny. Ten, kto pierwszy naruszy go młotem, dostanie całą skrzynię rubinów! - zawołał do rycerstwa i ponownie zadał w róg.

Wojsko odpowiedziało zawołaniem bojowym.

Krzacy nad fortecą podniebni jeźdźcy zaczęli zrzucić prochy. Rozsnuły się w gorącym powietrzu barwna mgiełka. Nie wszystkim udało się wykonać zadanie. Jeden spadł razony udarem ciepłym, innemu graak zaczął po prostu się palić. Szczęśliwie uratował go Chespot, wciągając spora część gorąca w siebie.

Chwilę później błysnęło potężnie od zachodu. Prochy zetknęły się z ogniem. Nad całą fortecą zapłonęła wielka kula ognia, a huk, który z tego wynikł, słychać było na wiele mil wokół. Ziemia zatrzęsała się, a trzy czarne wieże runęły w gruzy. Tego było już za dużo raubenom. Kurhany na południe od umocnień zaroily się od wypelzających spod ziemi potworów.

Tymczasem w samej warowni syknęło coś rozgłosnie i z wszystkich otworów strzelniczych buchnęło cuchnacym oparem, który szybko stłumił co bliższe płomienie.

Magini raubenów znalazła jednak jakiś sposób na ogień.

-Do ataku! - krzyknął Raj Ahten całą mocą swojego głosu.

Z katapult i balist w kierunku nadciągającej od kurhanów hordy poleciała salwa kamieni i ciężkich beltów. Piechota rozdzieliła się na dwie grupy i pognęła śmiało na spotkanie wroga.

Raj Ahten nie zwracał więcej uwagi na walkę na równinie. Siegnął po młot i pogonił rumaka

w kierunku fortecy. Reszta jazdy ruszyła równocześnie z nim.

Poczuł przyływ uniesienia, jakiego jeszcze nie znał. Potężne, płonące piekielnym ogniem stosy były dlań teraz prawie jak żywa, chociaż bezcielesna istota.

Wyczuwał jej milczącą obecność. Krążyła nad polem bitwy i czekała na sposobność do uczt. I na pewno zdawała sobie sprawę z obecności Wilka.

Wstrzymał oddech, gnając przez brunatne opary, ale i tak skóra zapiekła go od samego kontaktu z zatrutym powietrzem.

Zeskoczył z siodła przed suchą fosą i czym prędzej wspiał się na obwałowanie. Na chwilę znów zrobiło się ciemno. Tkaczy płomieni ściągali blask słońca, by formować z niego ogniste kule, które mieli ciskać w otwory strzelnicze fortecy.

W dali buchnęły pod niebo wrzaski i syki -jego ludzie starli się na otwartym polu z hordą raubarów.

Pojasniano z wolna i niemal natychmiast Az rzucił pierwszy ognisty pocisk.

Kilku wojowników wbiegło już do bramy fortecy. W środku było całkiem ciemno, nie mogli więc zauważyć czekających na raubarów. Pierwszy zginął nadziany na wielką pikę, drugiego monstrualny miecz przeciął od krocza po głowę i cisnął jego szczątki na powalę.

Spadł krwawym deszczem. Trzeci zdążył odskoczyć, unikając zarówno ciosu od czoła, jak i pocisku ciśniętego ze szczeliny strzelniczej w górę.

Obronne wejście bramne przechodziło w równie ciemny tunel, krety i wiodący gdzieś w górę. Raj Ahten wyczuł, że na jego końcu czai się jakaś szczególnie wielka, magiczna groźba. Nie tracąc czasu na ostrzeżenie ludzi, ruszył przodem.

Odskoczył jednak zaraz, gdy z jednego z otworów buchnęło zielonoszarym oparą.

Zdążył. Dwudziestu ludzi, którzy mieli mniej szczęścia, padło martwych na ziemię. Zanim magini zdążyła rzucić następny czar, Wilk przemknął obok otworu i pobiegł tunelem.

Pomyślał, że być może jest jedynym człowiekiem na świecie zdolnym zdobyć tę fortecę. Miał dość darów wzroku, aby widzieć w tym mroku raubarów. Błyskawiczny metabolizm pozwalał mu przemykać między ich szarawymi postaciami szybciej niż wiatr.

W mgnieniu oka dopadł magini. Z rozpedu wskoczył do jej otwartej paszczy, wbił bron w miękkie podniebienie i wyskoczył w fontannie ciemnej krwi na zewnątrz.

Dopiero teraz bestia pojęła, że ktoś ją zaatakował, ale było już za późno. Wilk przemknął pod jej ślaniającym się korpusem i pobiegł ku widocznej niedaleko kolejnej magini.

Opanował go dziwny spokój. Czuł, że zabijanie raubenów jest czymś absolutnie słusznym i najwłaściwszym pod słońcem.

Forteca zatrzęsła się od następnej kuli ognia, blask buchnął z otworów strzelniczych.

53 GŁOWA CZARNEJ KROLOWEJ

Uderzaj tak, aby zabić. Nazbyt słaby cios może tylko rozwścieczyć twojego wroga. - z nauk Milczących - Słuchajcie, słuchajcie mnie, ludzie! - zawołał rankiem na ulicy jakiś mężczyzna. Emir Owatt obudził się w Wieży Darczynców w swoim pałacu w Bel Nai, nadmorskiej stolicy Tuulistanu, małego kraju graniczącego z Kuhranem.

Emir był ślepy. Oddał swe oczy Rajowi Ahtenowi. Ponieważ lud go uwielbiał, Wilk uczynił władce Tuulistanu swoim pośrednikiem i skazał go na wegetację wśród innych darczynców.

Nie poruszył się, nie spróbował wyjść na balkon, żeby lepiej słyszeć. Ten, kto krzyczał, miał wiele darów głosu i jego słowa docierały do najdalszych zakamarków zakurzonych ulic i wybijały się ponad miejski zgiełk: prychnięcie wielbłądów, pianie kogutów i pierwsze poranne nawoływania na bazarze.

-Wysłuchajcie Wuqaza Faharaquina, wodza Ah'kellah, który wzywa do atwaby przeciwko odrazajacemu mordercy, co to zwie siebie Władca Słońcem, Rajem Ahtenem!

Minęło dopiero sześć lat od chwili, gdy emir został pojmany w Pałacu Placzącej Winorosli w Ma'al. Niezwycięzeni otoczyli całe miasto i emir miał nadzieję, że oddając się w ręce wroga, uratuje poddanych od rzezi.

Wstał w końcu z łoża i podszedł ostrożnie do małego, otwartego okna. Oboma dłońmi złapał się framugi. Chłodny wiatr z nad oceanu smagnął go w twarz.

Chwile później do jego komnaty wbiegł dziewięcioletni Messan.

-Ojcie! Ojcie! Słyszysz?!

-Tak, całkiem dobrze słyszę. Chodź, bądź moimi oczami. Powiedz mi, co widzisz.

Chłopiec złapał się łokcia rodzica i stanął na palcach.

Emir aż tutaj czuł miejskie wonie: kurzu, dymu, wielbłądziego nawozu i konopi, z których splatano na bazarach liny i kosze. Słyszał tupot stop i nawoływania straży przy bramie.

-Pod warownią zbiera się wielki tłum - szepnął chłopiec. - Pośrodku stoi trzech jeźdźców. To Niezwycięzeni.

Z dziedzinca dobiegło szczekanie kolczug i chrząst ciężkich butów na zwirze.

-A co robi straż?

-Kilku biegnie do bramy, inni zajmują posterunki na wieżach. Paru sięgnęło po luki i chyba zamierzają ich użyć.

-Nasi nie strzela - orzekł emir z pewnością w głosie. - Szanujcie Faharaqina. Nie lekceważajcie jego słów.

-Słuchajcie mnie! - krzyknął Wuqaz. - W Rofehavanie objawił się Król Ziemi, Gaborn Val Orden! Poślubił niedawno Iome Vanisalaame Sylvarreste i stał się tym samym kuzynem naszego króla! Ostrzegaj, że znaleźliśmy się w wielkim niebezpieczeństwie i błagał Baja Ahtena, by zapomniał o bratobójczych wasniach do czasu, aż pokonamy wspólnego wroga! Jednak Raj Ahten ściągnął hanbę na nas wszystkich! Walcząc z pobratymcami, stał się sojusznikiem raubenów!

Na placu rozległy się krzyki przerażenia i niedowierzania.

-Kłamca! - zawołało parę osób.

-Wuqaz unosi właśnie do góry czyjaś głowę, żeby pokazać ją ludziom - powiedział chłopiec i zamilkł, gdy wódz Ah'kellah zaczął opisywać upadek Carris.

Opowiedział o bitwie z oblegającymi je raubenami i jak jego ludzie walczyli z wrogiem za wspólną sprawę, podczas gdy Raj Ahten chciał uciec z miasta łódź, zostawiając kobiety, dzieci i własne oddziały na pastwę potworów. A kiedy Król Ziemi zszedł ze wzgórz i wybrał jego armię i wszystkich Niezwycięzonych, Wilk próbował powstrzymać ich przed udzieleniem pomocy.

Chciał, żeby Król Ziemi zginął samotnie.

-Nawet gdy jego ukochana żona Saffira zjawiała się na polu walki, żeby go błagać o poniesienie bratobójczych wasni, on nie posłuchał. Miała dary urody i głosu od tysięcy kobiet i nikt nie mógłby się jej oprzeć. A jednak Raj Ahten nie posłuchał.

Pozwolił, aby raubenowie zabili jego własną żonę, a Król Ziemi musiał stawić czoło tym potworom jedynie z garstką własnego wojska.

Emirowi tchu zabrakło i opadł na kolana. Musiał oprzeć się o ścianę. Messan złapał go za ramię.

Stary władca od dawna obawiał się, że do tego dojdzie. Od tamtej fatalnej nocy w Ma'al, kiedy zdecydował, że nie wyda poddanych na zagładę, rzucając swoją małą armię na zastępy Baja Ahtena, zastanawiał się, jak mimo wszystko zgładzić Wilka. I obmyślił plan.

Kazał wziąć ze skarbca wszystkie drewny i przekuć je na drewny głosu i urody. Dla swojej

wrażliwej corki, Saffiry.

Raj Ahten znany był z zachłanności i można było przypuszczać, że nie oprze się urodzie dziewczynki. "Blagaj go, aby nas nie zabijał" - przykazał Saffirze ojciec. - "Niech oszczędzi nas ze względu na ciebie. Niech uczyni z nas swoich darczyńców".

Po kapitulacji Wilk zezadał od emira daru głosu, był bowiem przekonany, iż on właśnie zapewnił władcy Tuulistanu uwielbienie poddanych. Bo jakże inaczej prosty człowiek może kochać swego króla, jeśli nie oszustwem do tego zmuszony?

Jednak oględziny blizn po drenach wykazały, że emir nie przyjął ani jednego daru głosu. Zaofiarował więc swoje oczy. "Weź mi wzrok, bo nie chcę patrzeć na cierpienie mego ludu" - powiedział.

Niewiele jednak tym darem ulżył swemu losowi. Az nażyty często słyszał z wieży pełne bólu okrzyki i płacze.

Od tamtej chwili oczekiwał wieści, kiedy Saffira zginie z ręki Wilka.

Starczyłoby, żeby ją uderzył. Ahten jednak przywiązał się do niej na tyle, na ile w ogóle był to tego zdolny.

Zaczął o nią dbać, spełniać jej życzenia, plodził z nią dzieci i obsypywał podarkami. W praktyce została jego żona.

W końcu jednak ją zamordował... Zamordował piękną, drobną Saffire.

-Kłamca! Wezwowy język! - zawołała na rynku jakaś stara kobieta.

Emira zawsze zdumiewało, że prości ludzie bronią Baja Ahtena. Owszem, mówienie o nim źle było zakazane prawem i choćby całe miesiące ucha nastawiać, nie dałoby się usłyszeć nawet niechętного mu szeptu, ale niewidomy władca sądził, że w duchu wszyscy nienawidzą Wilka tak samo jak on.

Nie mam oczu, lecz i tak dostrzegam zło, myślał wówczas.

-Nie kłamie! - zawołał Wuqaz. - Słuchajcie wszyscy! Oto jest głowa Niezwycięzonego imieniem Pashtuk, który zginął, aby nie dopuścić do śmierci Króla Ziemi!

Ogłaszam atwabe i wzywam wszystkich ludzi dobrej woli, by stracili Baja Ahtena z tronu!

Jeden tylko może być prawdziwy król, Król Ziemi!

Serce zabiło żywo emirowi w piersi. Wiedział, że Wuqaz mówi przede wszystkim do niego. Owszem, zebrał cały tłum na bazarze, ale nie bez powodu wybrał właśnie to miejsce, w pobliżu wieży. Wiedział, że chociaż emirowi mogło kiedyś zabraknąć odwagi, to jednak się

nie poddał.

Tymczasem na sąsiedniej wieży zagrały cieciewy i w kierunku tłumu poleciało kilka strzał. Ludzie rzucili się do ucieczki.

Emir domyślił się, że łucznicy mierzyli do Ah'kellah, ale trafiali w zwykłych ludzi.

Sadząc po odgłosach, na dole musiała wybuchnąć panika, a może nawet walka pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami Baja Ahtena.

-Ojciec! - zawołał chłopiec. - Jeden z ludzi Wuqaza dostał w oko i spadł z konia!

Wuqaz i pozostali próbują się wydostać z bazaru!

Teraz wyraźnie było już słychać krzyki bólu, rżenie koni i głuche uderzenia kopyt o ludzkie ciała. W końcu oddział wodza Ah'kellah wjechał w jedną z uliczek i uciekł.

-Wuqaz odjechał! - powiedział chłopiec. Niemniej zgiełk nie ucichł.

-Kto wygrywa? - spytał emir.

-Strażnicy w barwach Ahtena.

Do emira dotarła w końcu przykra prawda. Dotąd uważał, że ci ludzie na zewnątrz to wciąż jego poddani. Jednak kapitulując przed Wilkiem, porzucił ich. Pozwolił, by człowiek bez sumienia zaczął traktować ich gorzej niż bydło. Nie ocalił ani siebie, ani córki, ani tym bardziej swych byłych poddanych. Nadeszła pora, by spróbować jednak coś dla nich zrobić.

Podszedł do skrzyni i wyciągnął mieszek monet, w którym znajdował się ponadto olbrzymi rubin.

-Słuchaj - powiedział do syna. - Wyjdiesz teraz tylną bramą z palacu, i to szybko, póki strażnicy zajęci są walką. Gdyby jednak ktoś próbował cię zatrzymać, powiesz, że dziś jest mój purifam i idziesz kupić mi figi na śniadanie. - Wreczęł chłopcu monety.

-Gdy znajdziesz się już na ulicy, pobiegнешь do domu mojej siostry. Pamiętaj, gdzie to jest?

-Na wzgórzu?

-Tak. Poprosz ją, żeby cię ukryła. Rozumiesz? Nie wolno ci tu wracać. Zresztą niebawem mnie tu już nie będzie.

-Dlaczego? A gdzie jedziesz?

-Na wojnę.

Ponizej, w Warowni Darczyncow, Raj Ahten trzymał swoich najcenniejszych posredników. Powietrze w Bel Nai slynelo z leczniczych wlasciwosci, dzieki czemu Saffirze udalo sie przekonac Wilka, zeby umiescil tu ludzi przekazujacych mu sily zyciowe.

Emir dobrze przygotowal sie na ten dzien. Wiedzial, ze nie zdola nigdy zaatakowac Baja Ahtena otwarcie, ale wiedzial, jak skrycie zadac mu niepowetowane straty.

Gdyby nie dzieci, zaatakowalby juz rok wczesniej. Kiedys liczył na to, ze Saffira zdola zawrocic Wilka ze zlej drogi, potem nie chcial sciagnac zguby na glowe Messana.

-Co chcesz zrobic? - spytal chlopiec. - Zostana z toba. Emir nie smial wyjawic synowi swoich zamiarow. Podszedl do szachownicy, na ktorej z nim grywal i uczyl przy tym, ze czasem, by wygrac, trzeba poniesc pewne ofiary. Mial nadzieje, ze chlopiec w koncu to zrozumie. Ukrecil glowe czarnej krolowej. W wydrzonej figurce kryla sie skrytobojcza igla i zbiorniczek trucizny.

Byl pewien, ze straznicy zabija go, gdy tylko odkryja, na co sie porwal. Mial tylko nadzieje ocalic syna.

-Biegnij zwawo - szepnal chlopcu. - Ale glowe trzymaj wysoko i nie daj poznac po sobie, ze sie spieszysz.

54 MALE OFIARY

Codziennie czynimy rozne male ofiary konieczne dla przetrwania naszego swiata. W pewien sposob kazdy z nas jest darczynca. - krol Mendellas Val Orden Oddzialy Gaborna gnaly na polnoc, by odciac droge raubenom, Langley zas poprowadzil swoich i olbrzymow w slad za horda, zeby dobijac maruderow. Binnesman podjechal do wozu Averan, posadzil ja na wlasne siodlo i pokazal na stojaca opodal klacz, do niedawna wlasnosc poleglego w ostatnim starciu rycerza, ktorego cialo lezalo nieopodal.

-Pojechalabys sama, bez pomocy? - spytal dziewczynke.

-To latwiejsze niz jazda na graaku - zapewnila go Averan. - Jakby sie mialo spadac, to przynajmniej ziemia jest blisko, a nie cala mile w dole.

-Bez watpienia - zgodzil sie Binnesman.

Ruszyli ku wierzchowcowi. Wiosna pojechala ku nim na swoim siwym ogierze.

Binnesman zeskoczyl, a Averan zlapala luzne wodze. Starala sie nie patrzec na martwego rycerza, podczas gdy czarnoksiężnik odcinal rzemienie mocujace ciezkie ladry.

Jednak musiala w pewnej chwili rzucic okiem w dol. Chocby po to, aby sie upewnic, ze szlachcic nie zyje.

Na pewno nigdy już nie miał ruszyć do boju. Spadł z konia tak pechowo, że skrecił kark. Muchy już się do niego dobrały.

Chwile potem cenna konńska zbroja spadła na ziemię i rumak gotów był do szybkiej jazdy. Tymczasem i wojsko, i tabory były już daleko. Averan pomyślała, że czeka ich podróż w tumanach kurzu. Binnesman jednak skrecił na wschód, w ślad za oddziałami Langleya.

-Co robisz? - spytała Averan.

-Ostrzeżemy mieszkańców Feldonshire.

-Nie pojedziemy drogą?

-Lasami będziemy szybciej.

Averan niezbyt mogła w to uwierzyć. Wielki ogier czarnoksiężnika aż się prosił o galop po równinie, ale nie przez zalesione wzgórza. Jej wierzchowiec, smuklejszy i zwrotniejszy, lepiej się nadawał do jazdy w takim terenie, ale i tak czekało go trudne zadanie.

Wiedziała jednak, że Straznicy Ziemi potrafią jak nikt inny wynajdywać dogodne drogi.

-No dobrze, ale czy Gaborn nie będzie miał nic przeciwko temu? Oczekuje, że będę u jego boku, gotowa służyć radą - spytała, chociaż wolałaby nie kosztować więcej raubenów.

Nawet przewodnika.

-Hm... - Binnesman się zamyslił. - Nigdy nie widziałem tych stawów. Jak duże one są?

-Niezbyt wielkie. Latem się kurczą, wiosną przybywa w nich wody z roztopów.

-Mam pewien pomysł. Może udałoby nam się je oczyścić. Usunąć z nich siarke, zamiast do końca zatruwać. Ale musimy się pośpieszyć. Ten rodzaj magii wymaga czasu.

-Naprawdę myślisz, że może się udać? Nie jesteś wodnym magiem.

-A jednak zamierzam spróbować - odparł czarnoksiężnik i westchnął.

Ruszyli zatem galopem i szybko przescignęli oddział Langleya. Czarnoksiężnik skierował wierzchowce na stromy stok i zatrzymał się na chwilę, żeby poczekać na dziewczynkę i Wiosnę. Przed nimi ciągnęła się puszcza z bardzo nielicznymi ścieżkami dzikiej zwierzyny. Widac było, że całkiem niedawno dziki ryły w okolicy w poszukiwaniu zoledzi.

Niedaleko na południe od tego miejsca raubenowie też dotarli do granicy lasu.

Słychać było trzask powalanych drzew. W zarosłach przemknął jelen z rozłożystymi rogami.

Na widok czarnoksiężnika odskoczył gwałtownie.

Niemal równocześnie rozległ się chrzest, jakby jakaś wielka bestia przedzierała się gaszczem, i Averan ujrzała ze zdumieniem, że drzewa i krzewy rozstępują się przed nimi. Las otwierał im drogę!

-Tam! - krzyknęła.

-Zaiste - mruknął Binnesman.

Pogonił konia nową ścieżką i pognął jak wiatr. Za nim ruszyła Wiosna. Averan nie spieszyła się, wołała jechać na koncu, żeby się nie natknąć niespodzianie na nisko zwieszające się galezie. Jednak już po pierwszej mili polapała się, że na tej drodze, gładkiej i czystej jak najlepszy gościniec, żadne galezie na nią nie czyhają. Niemniej gdy spojrzała za siebie, nie dostrzegła żadnego szlaku. Las zwierał szeregi zaraz po ich przejeździe.

Wiele już widziała, bo i wielka maginie raubenów w walce, i Wiosnę zabijającą potwory gołymi pięściami, ale zaczynała z wolna przypuszczać, że Binnesman jest w gruncie rzeczy potężniejszy zarówno od dzikiej, jak i dowolnej magini raubenów.

Konie galopowały wytrwale, aż dotarli do głównej drogi. Chwile potem byli już w Shrewsvale. Na długo przed ludźmi Gaborna.

Białe domy kryte strzechą stały rozrzucone wśród zielonych łąk na pomocnym stoku doliny. Kamienne murki od tysiąca lat odgradzały te same pola i pastwiska. Złcił się żagony słoneczników. Południowa strona doliny biegła droga do miasta, a przy zakrecie usadowiła się wielka, kryta dachówką gospoda. Na przeciwnym skraju szlaku przycupnęły magazyny o kamiennych ścianach.

Binnesman podjechał do pierwszego z gospodarstw. Rudawe kurczaki pierzchnęły z drogi na ich widok.

-Uciekajcie! - krzyknął co sił w płucach. - Raubenowie nadchodzą! Zona pasterza wybiegła z domu i wytarła ręce w fartuch. Miała siwiejące włosy, szerokie usta i nie wyglądała na szczególnie rozgarniętą.

-Co? O co te wrzaski? Właśnie piekę chleb, a tutaj... - sapnęła z irytacją, myśląc najpewniej, że jakimś szalencowi zebrali się na żarty.

-Przepraszam, że zakłacam spokój, szanowna pani - powiedział Binnesman tonem uprzejmym, ale podszytym szyderstwem. - Raubenowie jednak naprawdę nadchodzą, a król Orden zamierza stawic im czoło pod waszą wioską. Najlepiej będzie ostrzec czym prędzej sąsiadów i uciekać.

Averan spojrzała na kobietę z współczuciem. Widziała, jak raubenowie niszczyli warownie

Haberd i Carris. Teraz mieli zrownac z ziemia te wioske, przycupnieta w tej dolince od wielu pokolen.

Starsza kobieta wytarla w koncu rece i spojrzala z ukosa na Binnesmana.

-Nie dam sie nabrac na takie gadanie - rzucila z irytacja i dopiero wtedy chyba zauwazyla dzika. Sadzac po jej minie, nie widziala nigdy zielonej kobiety.

Czarnoksieznika, ktory ostrzegalby przed smiertelnym niebezpieczenstwem, chyba tez nie.

-Uciekajcie. Nie ma na co czekac - powtorzyl Binnesman i ruszyl brukowana droga do samej wioski.

Wies byla ladna i zadbana. Styl, w ktorym wzniesiono domy, jednoznacznie wskazywal na bliskosc Feldonshire. Odrzwia i ozdoby ganku gospody wyrzezbiono z porzadnego debu. Lewy slupek mial ksztalt minstrela z lutnia pod pacha, a prawy - Wladcy Runow przemawiajacego przyjaznie do spiewaka. Rzezby byly tak udane, ze wydawalo sie, iz obie te postaci wlasnie wychodza z gospody. Nad ich glowami snycerz ukazal stol nakryty do uczty. Na talerzach rozpoznać bylo mozna winne grona, jablka, chleb i krolika.

Szydł też był okazaly i bardzo rzucal sie w oczy. Glosil, iz jest to zajazd Pod Bochnem i Piwem.

Krzyki Binnesmana szybko zwrocily uwage wszystkich sklepikarzy oraz wojta, ktory okazal sie tez wlascicielem gospody. Po chwili rozzwonił sie na alarm wioskowy dzwon.

Averan prawie sie nie odzywala, kiwala tylko ciagle glowa, potwierdzajac slowa Binnesmana. W pewnej chwili dojrzala w coraz wiekszym tlumie ciemnowlosa dziewczynke, ktora w jednej rece trzymala upleciona z trzciny lalke, a w drugiej dlon mlodszeo brata. Nie mogla miec wiecej niz siedem lat. Averan pomyslala ze smutkiem, ze w ciagu najblizszej godziny przyjdzie tej malej ujrzec okropnosc, ktorych nawet starcy w tej wiosce najpewniej nigdy nie widzieli.

Niebawem wyjechali z Shrewsvale i pognali droga, mijajac kolejne wsie i przysiolki.

Binnesman przystawal w kazdej osadzie i powtarzal swoja opowiesc i zaraz zaczynalo sie bicie w dzwony, przez co w kolejnych miejscowosciach ludzie byli juz uprzedzeni i czekali na wiesci.

Byli dopiero w polowie drogi do miasta, gdy wyprzedzil ich poslaniec Gaborna. Z tego tez powodu wjechali do Feldonshire przy wtorce dzwonow. Ludzie biegali po ulicach, a konie rzaly i prychaly, wyczuwajac przerazenie swoich wlascicieli. Widac tez bylo slupy dymu bijace z za wzgorz jakies osiem mil na zachod.

Averan pomyslala, ze to Gaborn kazal juz zapewne podpalic lasy w poblizu Shrewsvale.

Mieszkańcy Feldonshire uciekali jak kto stał, zwartym strumieniem kierując się przez most na Donnestgree na północ, poza miasto.

Biedniejsi dzwigali spakowane w pośpiechu wezłki, zamożniejsi jechali na wozach wyladowanych głównie rodziną, bogaci kupcy zaś zmykali w karetach, a ich woznice co rusz pokrzykiwali na konie i strzelali z bata nad głową każdego, kto im stał na drodze.

Wszyscy byli jednak zwykłymi ludźmi bez darów i nie uchodzili zbyt szybko, ponadto wielu marudziło z wyruszeniem w drogę, żeby spakować choć część majątku i jakiś prowiant.

Ci, którzy pracowali z dala od domów, biegli najpierw po rodzinę. Obladowani nie mogli szybko uciekać, na dodatek zaś most zaczął się już zapychać.

Co gorsza, nad brzegami rzeki obozowały tysiące uchodźców z Carris. Namioty tworzyły drugie, niemal równie rozległe miasto, w wielu leżeli ciężko ranni. W wiszących nad ogniem kociolkach gotowano nie jedzenie, ale materiał na opatrunki, który suszono potem na okolicznych krzakach.

Averan nigdy nie widziała podobnego lazaretu. Ranni w większości wyglądali strasznie i na pewno nie mieli szans na ucieczkę o własnych siłach, a łodzie, które ich przywiozły, wróciły na północ po kolejnych uchodźców.

Ewakuacja tych ludzi musiałaby potrwać kilka dni.

Większość z nich wiedziała już, co się szykuje, i nie kryła przerażenia. Wielu wołało o pomoc i miłosierdzie. Niektórzy próbowali dokustykac jakos do mostu i blokowali drogę sprawniejszym. Gdyby mogli wesprzeć się na kulach albo łaskach, byłoby im łatwiej, ale wszystkie nadające się do tego kije w okolicy zostały już dawno wykorzystane.

Przy samym moście stało dwóch strażników miejskich w jaskrawoczerwonych mundurach i prosiło przechodzących, żeby pomogli rannym.

-Weźcie kogo pod ramię i pomóżcie mu przejść! Jest dość czasu na ucieczkę!

Ale wszyscy wiedzieli, że czasu jest bardzo mało. Za mało.

Na drodze wzdłuż rzeki zgromadzono już wozy dla najczęściej rannych, ale uzdrawiacze i tak ładowali na nie tylko dzieci i kobiety. Mężczyźni zostawiali na pewną śmierć. Niektórzy porzuceni niczego już nie próbowali, tylko kulili się i czekali na koniec.

Averan wspomniała słowa Gaborna z ostatniej nocy. Staral się jej wytłumaczyć, że to człowiek jest - tak lub inaczej - odpowiedzialny za większość niepotrzebnych śmierci. Wtedy nie chciała mu uwierzyć, ale teraz sama zobaczyła dowody.

Binnesman ruszył w kierunku siedziby cechu snycerzy, Averan zaś patrzyła ze współczuciem

na uciekających i zastanawiała się nad sobą. Nie jestem już taka jak oni, pomyślała. Mam silnego i szybkiego konia, który może mnie stąd unieść.

Kiedys, jeszcze w Haberd, Brand otworzył przypadkiem drzwi do schowka na tyłach gniazda graaków. Ujrzała wtedy rozpierzchające się w panice, oslepione nagłym blaskiem dnia myszy. Mieszkały ich tam co najmniej trzy pokolenia: dostrzegła mysia matkę z pieciorgiem młodych i szescioro ledwie co przyszłych na świat mysz. Ani Averan, ani Brand nie zamierzali ich krzywdzić, spojrzeli zatem tylko na bezładną bieżącą gryzoni i zaraz zamknęli te drzwi.

Teraz dziewczynka czuła się podobnie jak wtedy. Też patrzyła z góry na rozgardiasz, który jej zasadniczo nie dotyczył. Dzika jednak była pobudzona. Strzelała oczami na boki i wzdrygała się na każdy hałas. Całkiem jak lis, który uwieczony w klatce pierwszy raz w życiu ujrzał miasto.

Binnesman musiał jednak porozmawiać z paroma osobami.

-Popilnuj koni, a ja poszukam mistrza Wallachsa. Wallachs był nie tylko starszym cechu, ale również burmistrzem i chociaż nie miał żadnych darów poza swoimi, ludzie szanowali go niczym wielkiego Władcy Runow.

Straznik Ziemi wziął nieco spłoszona dzika ze sobą, Averan zaś została sama, by popilnować koni.

Dom cechu snycerzy gorował nad centralną częścią Feldonshire. Masywny budynek był zarazem reklamą wszystkich okolicznych mistrzów. Miał aż piec kondygnacji, a jego mury wzniesiono z różnokolorowych, spojonych zaprawą kamieni. Belki sporządzono z pni czarnego orzecha, a wszystkie starannie obrobiono i ozdobiono scenami lesnymi z Darkwaldu: widac było na nich i dziki, i jelenie, i dzikie gęsi lecące majestatycznie nad Donnestgree.

Z taką samą pieczołowitością wykonano wszystkie drzwi, framugi i okiennice.

Wszędzie też powtarzały się te same, puszczańskie motywy. Wiewiorki zdawały się gonić po wspornikach, pardwy wyglądały zza rzezbionych skal jak żywe. Blisko dachu umieszczono podobizny sławnych mistrzów przy pracy, z dłutami, pobijakami i pilami w dłoniach.

Cech musiał dbać bez ustanku o konserwację budynku, gdyż wszystkie widoczne na zewnątrz drewniane elementy lśniły jak nowe. Wyraznie zostały pociągnięte bejca nie dawniej jak tydzień temu. Ale to nic dziwnego, szła przecież zima...

Od frontu obsadzono siedzibę cechu orzechami, od wschodu ciągnęła się aż do rzeki wypielegnowana łąka. Liście drzew zmieniły już barwę na brunatną.

Wielka szkoda, że tak piękny gmach legnie w gruzach, pomyślała Averan i ucieszyła się, że zdążyła go zobaczyć.

Wciąż jeszcze podziwiała misterne ozdoby, gdy nagle ktoś złapał ją od tyłu w tali.

-Ejże, mała, pozwól, że pomogę ci zsiąść - usłyszała jakiś męski głos.

Obejrzała się.

Za nią stał jakiś obszarpaniec ze skrzywioną gębą pełną popsutych zębów i naciągniętym na głowę kapturem.

-Co? - spytała odruchowo, ale obcy tak szybko zszedł z siodła, że nie zdążyła nijak zareagować i już stała na ziemi, a tamten trzymał wodze w dłoniach.

-Nie przeszkadzaj. To nie twoje konie. Są warte wiele pieniędzy. Co ty sobie wyobrazasz, że się przy nich szwendasz?

Averan, która pomyślała w pierwszej chwili, że może ten dziwny mężczyzna zna właściciela białej klaczy i jest nieco racji w jego słowach, chciała podjąć z nim rozmowę, gdy obszarpaniec ją uderzył, aż jej w oczach pociemniało i upadła. Zabolalo mocno i nagle poczuła, jakby mroz ogarnął okolice.

Leżała na bruku, a ludzie krzyczeli: "Złodziej! Ukradł jej konie!" Uniosła głowę, żeby zobaczyć, dokąd mężczyzna ucieka, ale tłum zasłaniał jej widok.

-Wstan, biedactwo - powiedziała jakaś babina, pochylając się nad dziewczynką.

Averan poczuła won gotowanych jarzyn bijącą od welnianego szala kobiety.

Szczeka ją bolała, ale chyba nic nie było złamane. Zrobiło jej się jednak mdło, jakby miała zaraz wymiotować. Dotknęła tyłu głowy, którym uderzyła o kamienie, i skrzywiła się, widząc na palcach krew.

Chwile temu czuła się taka ważna i pewna siebie. Teraz nie różniła się niczym od ludzi z tłumu.

Ogarnęła ją wściekłość na złodzieja. Była też zła na siebie, że tak łatwo dała się podejść.

Niemalże bezwiednie spróbowała czarów.

Wyobraziła sobie wielkiego ogiera Binnesmana i skupiła na nim całą uwagę.

Ujrzała, jak zwierzę biegnie drogą ciągnięte przez tego lotra za uzde.

Rumak był przerażony. Wyczuwał dobrze strach ludzi wokół, słyszał odległy łomot czyniony

przez horde raubenow. Bardzo chcial uciekac, najlepiej az na otwarte stepy Indhopalu.

Marzyla mu sie slodka trawa i nocne galopady po polach, dlugie biegi z rozwiana grzywa i ogonem. Pamietal klacze ze swojego stada i smak wody z gorskich strumieni.

Wszystko to bylo wspaniale, ale tez calkowicie obce Averan, ktora szybko poczula, ze nie potrafi znalezc zadnej nici porozumienia ze wspanialym zwierzeciem.

Gdy tylko sprobowala sie do niego odezwac, obraz zaraz zniknal. Ogier Binnesmana nie chcial odpowiedziec na jej wezwanie. Wolal uciekac z miasta.

Averan zastanowila sie nad czym innym... Moze by sie tak skupic na zlodzieju?

Przypomniala sobie jego twarz, zepsute zeby i brodawke pod lewym okiem.

Pogonial szalenczo konie i co rusz ogladal sie, czy nikt go nie sciga. Chichotal przy tym obrzydliwie, przekonany, ze chyba mu sie udalo.

Sprobowala wnuknac w jego mysli. Zaczela oddychac tym samym rytmem co on, az poczula... najpierw, ze jego pecherz jest pelen. Nerwy spowodowaly, ze coraz bardziej potrzebowal chwili postoju.

Siegnela glebiej i uslyszala jego mysli: Swietne konie. Sprzedam je w Gendry, ale tym razem nie zatrzymam sie na kufelek piwa!

Dziewczynce mignely obrazy nagich, kobiecych cial. Umysl mezczyzny byl wrecz odrazajacy. Kazda chwila kontaktu z nim napawala ja obrzydzeniem.

Wracaj! rozkazala mu w myslach. Ta dziewczynka moze przez ciebie zginac!

Zlodziej wstrzymal na chwile oddech.

Skad mi sie to wzelo? zdumial sie i powtorzyl na glos:

-Ta dziewczynka moze przez ciebie zginac.

A potem zachichotal, jakby bardzo go to bawilo, i pogonil biala klacz.

Averan wycofala sie z jego umyslu i nogi prawie sie pod nia ugiely. Proba czarowania bardzo ja wyczerpala. Czula grube krople potu splywajace po czole. Latwiej byloby dogadac sie z robakami niz z tym lotrem, pomyslala. Poza tym robaki nie bywaja az tak zepsute. Coz, Binnesman ostrzegal ja, ze bardziej zlozone umysly trudniej poddaja sie wplywom.

Moze jednak powinnam uprzec sie przy wezwaniu konia, pomyslala z zalem.

Weszła do budynku cechu. Binnesman schodził własnie po szerokich schodach.

Ciągle jeszcze rozmawiał z mistrzem Wallachsem, postawnym mężczyzną noszącym drewniany lancuch, znak jego urzędu. Wiosna szła obok nich. - Świetnie cie rozumiem, ale moi ludzkie wyjechali już przed kwadransem.

Pierwszy wóz z trucizną jest zapewne nad wodą.

-A co posłałeś?

-Nic takiego. Mydło i pokost. Myślałem też o piwie, bo niektóre browary robią tu takie siki, że tylko truc nimi, ale... Zaden nie zauważył Averan.

-Binnesman! - krzyknęła, opiecz się o najbliższą ścianę. - Okradli nas! Jakiś człowiek ukradł konie!

-Co? - spytał Wallachs. - Jaki człowiek?

-Obcy - odparła dziewczynka, nie wiedząc zrazu, jak opisać złodzieja. - Jego oddech cuchnął... ryżowym chlebem i rybą.

-Gdzie on jest? - dopytywał się mistrz.

-Uciekł!

Wallachs westchnął głęboko.

-Coż, przykro mi. Możecie pojechać dalej na moim wozie. W Feldonshire mieszkają w zasadzie dobrzy ludzie, ale...

Binnesman spojrzał na dziewczynkę.

-Próbowałaś je wezwąć?

-Tak... i złodzieja też. Nie udało się.

Averan oderwała się od ściany, przeszła parę kroków i padła przygnębiona na jedno ze stojących w holu krzesel.

55 OGIEN NA WZGORZACH

Dawne zapiski powiadają, że ludzie Falliona weszli do podziemnego świata w poszukiwaniu tothów. Dopiero bardzo, bardzo głęboko, wiele mil pod lasami i łąkami, zaczęli trafić na pierwsze ślady raubenów. Jednak większość z nich zginęła nie w walce z tymi bestiami czy tothami, ale przez "gorac wielki, który zmysły odbierał". - mistrz Valen z Komnaty Zwierząt Ponad wzgórzami wokół Shrewsvale przetaczał się nie milknący grom, który zwiastował, że

horda dotarła już prawie do dolinki. Wrony, łopocząc skrzydłami, zrywały się z koron drzew i krzątały w narastającej kurzawie wśród coraz liczniejszych grzyw. Wielkie, pozłoczone jesienią deby chwiały się, skrzypiały i padały. Raubenowie szli przez las w szyku, jakiego człowiek jeszcze nie oglądał. Gaborn przystanął na szczycie wzgórza i przyjrzał się potworom, które sunęły naprzód z nowymi całkiem silami. Wiele razy zastanawiał się nad posłaniem ludzi, by zasadzili się gdzieś na raubenów, ale ziemia odradzała. Nie było sensu. Nawet łucznicy mieliby wielkie kłopoty.

Czując bliskość zasiarczonej wody, horda prawie że oszalała. Co więcej, przeciwnik się uczył i jak zapewniała Averan, znał imię Gaborna i bardzo się go lekał.

Pobił ich dość łatwo pod Carris, gdy burza spowodowała panikę w szeregach raubenów. Ale potem stracił wiele ze swojej mocy i teraz nie śmiał atakować.

Może wyczuwali jego słabość...

Najbardziej jednak niepokojąca była ich zdolność szybkiego wypracowywania nowych taktyk obronnych. Co będzie, jeśli przekaza swoją wiedzę pozostałym raubenom?

Z każdą chwilą Gaborn był coraz bardziej przekonany, że nie uda mu się ani zatrzymać, ani odrzucić hordy. Nie wiedział też jeszcze, czy wyznaczeni ludzie dotarli do stawów i czy zdąży je zatruć. Było się czego obawiać.

Na dodatek wcześniej, podczas przemarszu, nigdzie nie udało się Gabornowi odszukać Binnesmana, chociaż powinien trzymać się czoła kolumny.

Do Shrewsvale dotarł na pół godziny przed raubenami i od razu napotkał barona Waggita ciągnącego za sznur wioskowego dzwonu.

-Widziałeś Binnesmana? - spytał.

-Pojechał ostrzec ludzi w Feldonshire, wasza wysokość. Gaborn odetchnął z ulgą.

Rolnicy i kupcy zaprzęgli już konie do wozów i ładowali na nie, co kto mógł - poduszki i pierzyny, żywność, koce, świniaki i owce. Jakaś kobieta stała przed gospodą i uderzając łyżką w patelnię, wołała syna. Ktoś inny, miał uciekać, otworzył drzwi do okrytej ziemi piwnicy i wprowadził do niej żonę i osmioro dzieci, a potem zaniósł tam jeszcze owieczkę i koguta.

-Idź i wyprowadź tamtych! - krzyknął Gaborn do Waggita. Ogarniała go coraz czarniejsza rozpacz. Nie był zwykłym władcą, ale Królem Ziemi, a tymczasem poddani nie zawsze gotowi byli słuchać jego poleceń.

Ogarnął okolice spojrzeniem, zastanawiając się, jak uszykować ludzi do walki. W Shrewsvale nie było nigdy murów obronnych, a niskie kamienne ogrodzenia oddzielające

pastwiska od lasu nie znaczyły dla raubenów więcej niż linia wyrysowana na piasku. Zjechał na dół, gdzie stał stary, zaplesniały stóg. Kilka chwil pracy z krzesiwem starczyło, żeby słoma zajęła się ogniem.

Jednak wiatr nie pomagał. Chociaż na równinie wiał mocno z zachodu, w dolince powietrze prawie że stało. Nie było szans, by ogień się szybko rozprzestrzenił.

Ledwie stóg zapłonął, nadjechały główne siły, ledwie ponad tysiąc kopijników.

Ustawili się za kamiennymi murkami, jakby rzeczywiście mieli szansę powstrzymać dzięki nim raubenów.

-Panie, przeciwnik jest sześć mil stąd - zameldował Skalbairn. - Biegnie coraz szybciej. Bestie zwietrzyły wodę. Niecałe pół godziny temu otrzymałem wiadomość, że Langley radzi sobie całkiem dobrze. Wielu raubenów odpadło z pochodu.

Gaborn pokiwał głową i spojrzał na wzgorza.

-Gdzie ci ludzie z wyciętymi gruczołami?

-Powinni być już dawno, wasza wysokość - odparł skonsternowany marszałek.

Gaborn nie mógł już dłużej czekać.

-Podpalić drzewa - rozkazał.

Pięćdziesięciu rycerzy rzuciło się spełnić jego polecenie. Zatkneli na kopie wiechcie słomy, wsuneli je na chwilę w płomień i pogalopowali w kierunku lasu.

Opadłe jesienne liście zdążyły wyschnąć przez ostatnich kilka dni, ale pożar nie rozgorzał zgodnie z życzeniem Gaborna. Więcej było z tego siwego dymu niż prawdziwego ognia. A huk nadciągającej hordy był coraz głośniejszy.

Ze wzgorza zjechał baron Waggit. Gaborn spojrzał na niego z niepokojem. Czuł, że życie młodzieńca jest w niebezpieczeństwie. Może nie przetrze tej bitwy.

-Zamierzasz więc walczyć? - spytał.

-Jeśli zdołam, wasza wysokość. Postaram się. Chociaż... niezbyt wiem, co mam robić.

-Zajales się już dzwonem we wsi i wielu w ten sposób ocaliles. Nie musisz stawać w szeregu. A na pewno nie dzisiaj.

-Ale... ja chciałbym.

-Lepiej nie dziś. Niemniej dopilnuje, abys jak najwcześniej zaczął naukę sztuk walki.

-Dziękuję, panie - odparł cicho Waggit.

-A teraz trzymaj się blisko mnie. Młodzieniec pokiwał głową.

Skalbairn zauważył całą scenę i podjechał bliżej.

-Dobrze! Dobrze! - krzyknął, a potem spojrzał na swoich wolnych rycerzy. - Mówiłem już, że zamierza się ożenić z moją córką?! - zawołał do nich.

Waggit pokręcił głową na ten żart.

-O niczym podobnym nie wspominałem.

Jednak rycerze zaśmiali się, jakby świecie wierzyli, że chce pojąć za żonę Skalbairnownę.

Gaborn wyczuwał narastające niebezpieczeństwo. Kilka mil na zachód, pod Feldonshire, ciągle tkwilo wielu rannych uchodźców. Próbowal ostrzec ich w myśli, by uciekali, ale nawet jeśli któryś coś usłyszał, to nie posłuchał.

Tysiąc rycerzy tymczasem uformowało szyk bojowy.

-Panowie, postaramy się zatrzymać ich tutaj, jak długo się da! - zawołał do nich Gaborn. - Musimy ich przekonać, że chcemy walczyć, bo wtedy może się cofnąć!

Jednak bądźcie gotowi wycofać się na mój znak!

Ziemia drżała coraz mocniej, na niebie krążyła gestniejąca chmara gisów. Drzewa padały już ledwie o dwie mile.

Na stokach doliny rozgorzały pożar obejmował następne drzewa. Nawet z dala dawało się wyczuć jego gorąco. Jednak nie była to zwarta linia ognia.

Powinnismy zjawić się tu godzinę wcześniej z beczkami oleju i smoly, pomyślał Gaborn. Przez chwilę niemal żałował, że nie ma na swe usługi paru tkaczy płomieni.

Jazda przegrodziła dolinę z północy na południe i raubenowie byli prawie tuż, gdy z lasu doleciał grany na rogu sygnał, że jakiś oddział został odcięty za liniami wroga. Łatwo było się domyślić, co się stało. To ludzie z wyciętymi gruczołami dali się zaskoczyć między drzewami. Nie sadzili, że raubenowie będą maszerować aż tak szybko.

Gaborn powachał swe dłonie. Zalaływały nieco czosnkiem, czyli tym właśnie zapachem, który według słów Averan miał odstraszać raubenów. Pozostawało mieć nadzieję, że na szatach i pancerzach odciętych rycerzy zostało dość tej woni, by choć trochę odebrać bestiom pewność siebie.

-Czekaj na sygnał! - krzyknął do jazdy, która trwała w wyczekiwaniu z pięćdziesiąt stop od

kamiennego murku. W razie sygnału do ataku nie byłby on żadną przeszkodą dla silnych i skocznych rumaków.

Niektorzy zbrojni opuszczali już kopie, inni nakładali strzały na cieciwy.

Wiatr ożywił się nagle, podsycając nadzieję Gaborna. W wielu miejscach ściółka zajęła się żywym płomieniem. Jednak wiatr ucichł równie szybko, jak się pojawił.

Widac już było sylwetki przedzierających się przez las raubenów. Wyczuli kłopoty i zwarli szeregi w ciasną, szeroką na pół mili formację.

Atak na coś takiego byłby czystym samobójstwem, tym bardziej że potwory z tyłu uzbroiły się najpewniej w wielkie kamienie, a maginie szykowały zaklęcia.

Raubenowie zwolnili kroku. Widac było, jak radzą sobie z drzewami - po prostu opuszczali łby i uderzali nimi w pnie jak taranem. Zostało im jeszcze ćwierć mili. Gaborn starał się wyglądać jak na dowódcę przystało, chociaż ziemia coraz głośniejszymi podpowiadaniem mu, aby uciekał. Czuł też, że wszyscy pozostający pod jego rozkazami znajdują się w coraz większym niebezpieczeństwie.

-Jeszcze nie - szepnął do ziemi. W Feldonszire wciąż było wielu bezbronnych, inni zaś próbowali uciec przez most. Każda chwila opóźnienia pochodu raubenów oznaczała ocalenie kilku z nich.

Raubenowie dotarli już do płonących fragmentów lasu, ale nie zwolnili, tylko zaczęli zagarniać łopatowatymi łbami ziemię, żeby zdusić ogień. Obalali też na bok podpalone drzewa i sykami przekazywali ostrzeżenia dalej maszerującym.

-Wycofajcie się! - krzyknął w końcu Gaborn.

Raubenowie zaczęli miotać kamieniami, nierzadko równie ciężkimi jak dorosły człowiek.

Kilka z nich trafiło w szereg rycerzy. "W bok!" polecił Gabornowi ziemia i król skierował wierzchowca w lewo. Zaraz potem wielki głaz strząsnął fragment murku, przy którym stał uprzednio. Wielu innym się to nie udało. Gaborn czuł, że co najmniej sześciu rycerzy rozstało się już z życiem.

Obejrzał się przez ramię. Baron Waggit trzymał się za niego i zdolał się dzięki temu uratować. Bładość oblicza młodzieńca wskazywała, że pojął, jak blisko przeszła obok niego śmierć.

Kamienie padały coraz gęściej, więc rycerze zawrócili w końcu konie i umknęli raubenom.

56 PANI CIEMNOCI, WŁADCA SŁONCE

Wielu ludziom marzy się spełnianie dobrych uczynków, ale niewielu potrafi tego dokonać. Nie

możemy zatem powiedzieć, że szlachetność jest wyłącznie stanem umysłu, gdyż krzywdzilibyśmy tych, którzy dowiedli swej wartości jedynie uczynkami.

-Arunhaha Ahten, ojciec Raja Ahtena W fortecy raubenów panowała ciemność maconą jedynie błyskami rzucanych przez tkaczy płomieni ognistych kul. Cała budowla drżała od ich wybuchów. Jednak do samego serca warowni nie docierał najmniejszy nawet promyk z zewnątrz. Słychać było jedynie zgiełk toczącej się na równinie walki.

Raj Ahten gnał tunelem, a za nim syczał się gęsto raubeni trup. Wilk mimo wszystkich swoich darów wzroku mało co widział. Ciemność rozjaśniały jedynie jarzące się runiczne tatuaże na skórze potworów, które same światła w ogóle nie potrzebowały. Zapewne to, że ich runy świeciły, było tylko przypadkiem, z którego monstra nawet nie zdawały sobie sprawy.

Niemniej kolejne pomieszczenie twierdzy było pełne ognistego blasku. Wilk wbiegł na jakąś galerię i spojrzał na leżącą dwadzieścia pięć stop niżej ziemię.

Przed nim rozposcierała się pulsująca Pieczęć Nieutulonego Zalu. Była olbrzymią, o średnicy prawie dwustu jardów. Obok niej czuwał tuzin szkarłatnych magin, a pośrodku, niczym pajak w centrum sieci, czatowała wielka magini. Istotnie była wielka - większa niż ta pod Carris.

Raj Ahten nie zwlekał ani chwili. Nie chciał dać przeciwnikowi czasu na reakcję.

Na dodatek lewa ręka znowu zaczęła mu dretwieć i nie wiedział, jak długo jeszcze zdoła wstrzymać oddech. Wolalby nie wciągać w płuca trujących oparów.

Zeskoczył wprost na głowę najbliższej magini. Lewa noga trzasnęła mu od impetu tuż pod kolanem.

Mimo bólu uderzył młotem w złoty trójkąt bestii. Jednak magini była tak wielka, że bron nie sięgnęła żywotnych tkanek. Czym prędzej odwrócił więc młot i zatopił w ranie rekojesc.

Monstrum jedynie potrzęsło łbem i zrzuciło Wilka. Mimo wszystkich darów noga Baja Ahtena nie zdążyła się wygoić, nim spadł na ziemię, i potłukł się bolesnie.

Tuż obok pulsowała Pieczęć - tak jasna, jakby wykonano ją z płynnego szkła.

Wydawała się jednak przy tym twarda niczym skała. Wydzielina lepniaków pozastygła na jej powierzchni w dziwne wzory, a po krawędziach tancyły błędne błękitnawe ogniki.

Wszędzie było pełno trującego dymu.

Potężny był to znak, ale potraktowany przez Baja Ahtena młotem poddał się. Przy wtórze oslepiającego błysku spory kawałek poleciał na bok.

Wielka magini tymczasem obrocila sie w strone napastnika. Z jej ciala zerwala sie cala chmara grisow, a jej laska lysnela oslepiajaca zolcia.

Wilk odskoczyl na bok i blyskawica trafila nie w niego, ale w Pieczec, ktora po prostu pekla. Przy okazji dostalo sie rowniez jednej ze szkarlatnych magin. Prawa strona jej ciala nagle jakby zniknela, niby wypalona kwasem, i bestia przewrocila sie na bok.

Raj Ahten nie czekal na kolejny atak, tylko popedzil zakosami przez Pieczec ku największej i najwazniejszej magini w sali, ktora blyskawicznie wyczula, ze stala sie obiektem ataku, i uniosla sie na zadnich lapach.

Byla o szesc stop wyzsza niz ta, ktora dowodzila atakiem na Carris. Zadna legenda nie wspominala o podobnie wielkim potworze i Wilk pomyslal, ze to chyba naprawde musi byc sama wladczyni podziemnego swiata.

Nie byl w stanie doskoczyc dosc wysoko, zeby wbic jej mlot w glowe, a ze zapobiegliwie zamknela paszcze, takze podniebienie okazalo sie niedostepne.

Najlatwiej byloby mu dosiegnac klatki piersiowej, ale do tego potrzebowalby kopii. Mial zas tylko mlot na szesciostopowej rekojesci. Rozpedziwszy sie, wyskoczyl wiec wysoko w gore i cisnal mordercze narzedzie jak mogl najsilniej, az poczul, ze reka wychodzi mu ze stawu.

Mlot zaglebil sie w ciele bestii, ktora jeszcze bardziej sie wyprostowala, Ahten zas wyladowal na ziemi i czym predzej umknal poza zasieg jej pazurow.

Magini upuscila laske i niezdarnie zaczela wyciagac sobie orez z piersi. W koncu go wyrwala i odrzucila daleko, az uderzyl o sklepienie i spadl tuzin jardow dalej.

Magini siegnela znowu po laske, a Raj Ahten skoczyl, aby odzyskac mlot.

Wiedzial juz, ze nie udalo mu sie zranic potwora dosc gleboko, bo w przeciwnym razie powinien praktycznie natychmiast pasc.

Pozostale maginie zblizaly sie juz, zeby wziac udzial w walce, największa zas opuscila leb i rozdziawila paszcze, jakby chciala polknac przeciwnika.

Wilk tylko na to czekal. Czym predzej zlupal mlot i skoczyl prosto do wielkiej paszczy, stanal na szorstkim niczym zwirowa droga jezyku i wzial zamach. Szczeki zwarly sie wokolo niego i bestia przechylila leb do tylu, by przelknac zdobycz, ale Wilk w tej samej chwili ugodzil ja orezem w podniebienie. Krew pociekla kaskada, a magini zachwiala sie.

Ahten uderzyl ja raz jeszcze, tym razem w gardziel, zeby zaczela sie dlawic.

Zaraz go wyplula. Akurat na czas, by mogl ujrzec, jak ponad dziesieciu rycerzy w jedwabiach wpada do wielkiej sali, a prowadzacy ich Bhopanastrat wola, zeby zabili

wszystkie maginie.

Starzec wspiał się jakos na krawedz wykopu i spojrzal na odlegla o trzysta jardow plonaca rune.

Znowu ogarnely go mdlosci i serce sprobowało wyskoczyc z piersi. Kolejny darczynca opuscil ten swiat.

Zabojca wdarł się do Bel Nai, pomyslał Wilk. Nie zdolam odebrać nagrody. Nie uslysze pieszni, na ktore zasluzyłem.

Przerzucil cialo przez krawedz i zaczął pelznac ku runie i ognistemu magowi.

-Az! - krzyknal ostatkiem sil. Jego glos zadudnil nad polem bitwy. Z trudem zdolal jeszcze blagalnie uniesc reke.

Tkacz plomieni spojrzal na niego i dostrzegł, co sie dzieje. Czym predzej cisnal szykowana kule ognia w swego pana.

Poleciala z rykiem, zaslaniajac Ahtenowi caly swiat.

W jednej chwili biale jedwabie jego stroju obrocily sie w popiol. Ogień objal go tysiacem macek. Skora na twarzy okryla sie pecherzami, uszy i powieki zniknely, jakby nigdy ich nie bylo. Wszystkie typowo ludzkie, niepotrzebne juz resztki jego jestestwa padaly pastwa ognia.

Oslepiajacy blask wdarł się tez do jego umyslu. W jednej chwili Raj Ahten pojal, ze przez cale zycie zdazal wlasnie ku temu jedynemu przeznaczeniu. Zawsze sobie wyobrazal, ze walczył za ludzkosc, ze dla niej chcial stac się Suma Wszystkich Ludzi, ale sie mylil.

Podobnie jak ci, ktorzy oskarzali go o samolubne i chciwe zapedy.

Caly czas szukal sposobow, aby zwiazac się z ogniem. Przeciez juz jako mlodzieniec nazwal się Wladca Sloncem.

A teraz wreszcie potezny zywiol objal nad nim wladze i oczyscil go plomienista kapiela. To, co niepotrzebne i nieczyste, stopilo się i wyparowalo, a to, co zostalo, nie bylo wlasciwie cialem, tylko powloka najczystszej blasku.

Raj Ahten nie nalezal juz do rodzaju ludzkiego. Zjednoczył się z moca, ktorej tak wiernie sluzyl, i teraz wszyscy pomniejsi tkacze plomieni na calym swiecie mieli sklaniac przed nim glowy i zwracac się do niego nowym, tajemnym imieniem.

Plonacy, nagi i calkiem juz odrodzony stanal w chmurze dymu na rowne nogi.

Plomienie obwiescily sykiem, ze od teraz nazywac się bedzie Scathain.

Wielbie pokój. Pragnalbym, aby wszystkie wsie i miasta mojego królestwa mogły nieustannie się nim cieszyć.-Erden Geboren Mistrz Wallachs zaprowadził Averan, Binnesmana i dzika na brukowany tylny dziedziniec domu cechowego, zamknięty z jednej strony przez warsztaty. Miejscowi mistrzowie projektowali tam kolejne dzieła, a młodzi czeladnicy przycinali kłocę, z których owe dzieła miały potem powstać. Averan, nieco zdziwiona, dostrzegła także dwa kowadła, na których robiono rozliczne narzędzia dla snycerzy.

W warsztacie wykonczeniowym, gdzie kładzono na drewno farby albo politure, czterech krzepkich mężczyzn ładowało na wóz ostatnie beczki z substancjami do zatrucia stawów. W powietrzu unosił się dokuczliwy odor zepsutego oleju lnianego, denaturatu i trującego szelaku. Na wozie leżały też worki z solą i jakimis kolorowymi proszkami, których Averan nie rozpoznawała. Wszystkie jednak ingrediencje służyły wyraźnie na co dzień do wykarczania prac i konserwacji drewna.

-Inne wozy już pojechały? - upewnił się mistrz.

-Ano - mruknął jeden z mężczyzn i wytarł przedramieniem spoconą twarz.

-Reszta już zostawcie - polecił Wallachs. - Idźcie się zająć rodzinami.

Robotnicy zeskoczyli z wozu, a Binnesman i gospodarz siedli na kozle. Averan i dzika wskoczyły na platformę.

Gdy tylko wyjechali, dziewczynka usłyszała odległy huk przypominający nieustanny ryk oceanu. Raubenowie byli coraz bliżej. Próbowala oszacować na słuch jak daleko. W ostatnich dniach miała kilka okazji, żeby się tego nauczyć.

-Ze trzy mile - mruknęła. - Będą tu za pięć minut.

-Tak szybko? - zdumiał się Wallachs.

-Albo nawet wcześniej - dodała dziewczynka.

Mistrz spojrział na Binnesmana, jakby szukał potwierdzenia. Czarnoksiężnik unosił brew.

-Chyba rzeczywiście - powiedział. - Gnąją na całego.

Wallachs strzelił z bata i konie pognały drogą pod górę.

Jedziemy za wolno. O wiele za wolno, pomyślała Averan.

Jednak wóz był zaprzeczony w zwykłe pociągowe konie, które choć silne, nie były zdolne do szybkiego biegu i mimo świetnej, wyrobionej ciężkiej pracy kondycji nawet z pustym wozem

nie potrafiłyby przescignac raubena.

Mistrz poganiał je jednak jak potrafił i krzyczał na wszystkich, żeby zeszli im z drogi, zapowiadając gromko każdemu opornemu, że za pięć minut będzie miał raubenów na karku.

Dopiero teraz Averan dostrzegła, jak wielka tragedia szykuje się w mieście.

Jechali na południe drogą, przy której stały całe rzędy robotniczych domów, i wszędzie napotykali ludzi, którzy dopiero pakowali dobytek. Jakas kobieta próbowała nawet szybko zerwać wszystkie owoce z jabłoni, inna zbierała w poplochu suszące się pranie, podczas gdy dzieci czepiały się jej fartucha.

Co rusz jakiś pies obszczekiwał toczący się drogą wóz.

Droga wspięła się na mały wzgórek i przez chwilę Averan widziała rozposcierające się w dole Feldonshire. Połnocno-zachodnia część Darkwaldu ciągnęła się brunatna plama wzdłuż srebrzystej nitki rzeki, na południu widac było ponad tuzin rozrzuconych pomiędzy wzgórzami osad. Wszystkie drogi na wschód od miasta zatłoczone były uciekinierami, liczne łodzie umykały też w dół rzeki.

Niecałe trzy mile dalej unosiła się spomiędzy wzgórz wielka kurzawa. Gromowy huk poprzedzający raubenów przybierał na sile. Towarzyszył mu nieustanny chor ludzkich krzyków i zawodzeń.

-Oni wszyscy zgina- szepnęła bezradnie Averan. Myślała, że udało im się zrobić z Binnesmanem coś dobrego, że jednak pomogli tym ludziom. Ale nie zrobili dość.

-Nie wszyscy zgina- mruknął Binnesman. - Paru uratowaliśmy. Może nawet wielu.

Jednak gdy wjechali na kolejne wzniesienie, ujrzeli, jak przednie szeregi raubenów wydostają się na otwartą przestrzeń. Potwory biegły wprost na uchodźców. Ludzie próbowali uchodzić im z drogi, ale pieszo nie mieli na to żadnych szans.

Oddziały Gaborna kierowały się długą kolumną na południe. Na razie nie mogły pomóc cywilom.

Binnesman pociągnął Averan za ramię, by nie widziała śmierci bezbronnych.

-Nie patrz. Nic nie poradzisz. Szkoda twoich oczu.

Ależ nie, pomyślała Averan. Od tego narosnie we mnie złość, a złość da mi siłę.

Gaborn przystanął na nagim wzgórzu nad Feldonshire i poszukał spojrzeniem miejsca, w którym można by zorganizować jakąś obronę. Wokół miał setki ochotników na koniach, głównie młodych ludzi uzbrojonych w luki i piki. Wszyscy palili się do walki w nadziei, że

dzięki mestwu zasłużyła na wybranie przez Króla Ziemi.

Jednak chociaż armia rosła mu w siłę, nie mógł wiele pomóc mieszkańcom Feldonshire.

Ostatnią naturalną przeszkodą przed miastem był niewielki wąwóz, którym płynął strumień. Nad jego skrajem rolnicy wzniesli kamienne murki mające uchronić owce przed osunięciem się ze stromego zbocza. Około stu miejscowych z lukami zajęło już stanowisko po wschodniej stronie. Czekali na wroga.

Samo miasto wciąż było pełne ludzi. Niektórzy już wprawdzie uciekli, ale nadal wiele rodzin ładowało dobytek na wozy.

-Panie? - odezwał się nagle Skalbairn.

-Zostan tu - ostrzegł go Gabor. - Nic więcej nie zdołamy zrobić. - Nie chciał kusić losu. Wiedział, że nie zdoła zatrzymać hordy.

Skalbairn przekazał swoim, żeby nie próbowali zjeżdżać w dół do miasta. Nie kryli niezadowolenia.

Obok niego ciężko oddychał baron Waggit. Widac było, że też zmagają się ze sobą i najchętniej ruszyłby tam, między skazanymi na zagładę mieszczan i chłopów.

Raubenowie byli już tylko mile od miasta. Maszerowali w szyku bojowym. Nie było siły zdolnej ich zatrzymać.

Potem wypadki potoczyły się już szybko, chociaż widząc każdą z tych chwil ciągnęła się wręcz niemilosierdzie.

Gdy tylko czoło szyku zbliżyło się do wąwozu, setka łuczników wystrzeliła jednocześnie, jednak niewielu miało broń dość potężną, by zaszkodzić raubenowi.

Jeszcze mniej umiało się naprawdę posługiwać luką, jednak czterem udało się trafić z dobrym skutkiem.

Zaraz jednak wojownicy raubenów obrzucili ich kamieniami i skoczyli przez wąwóz.

Maginie uniosły łaski. Łucznicy pognali ku swoim wierzchołkom, ale tylko kilku udało się uciec cało.

Zaraz potem horda wdarła się na przedmieścia Feldonshire i ruszyła przed siebie, rozdeptując sady, burząc stojące od stuleci domy, pustosząc pastwiska i tratując zwierzęta.

Ludzie próbowali uciekać jak kto mógł. Ich krzyki przebijaly się nawet przed tupot raubenów. Kto uciekał w bok, miał szansę uciec żywy, pozostali nie mieli na co liczyć.

Raubenowie z przednich szeregów pozerali złapane w biegu owce i ludzi, a gdy przepelnione żołądki protestowały, zwracali zdobycz i zaczęli ucztę od początku.

Gaborn patrzył na to jak odretwiwały. Na zachodzie ujrzał rycerzy Langleya. Bez wytchnienia wycinali w pień maruderów. Kopie już dawno skruszyli, walczyli więc tylko ciężkimi młotami.

Jednak na wschodzie ciągle ciemno było od uciekinierów, pieszych i na wozach.

Droga przez miasto okazała się wąskim gardłem, które w końcu się zatkało.

Przynajmniej dziesięć tysięcy ludzi znalazło się w pułapce.

Z sąsiedniej doliny wylonil się samotny wolny rycerz. Gdy był już blisko, unosił zasłone helmu. Ukazała się twarz marszałka Chondlera.

-Dobre wieści, panie. Raubenowie słabną jeden po drugim. Na wzgórzach położyliśmy ich trupem kilka tysięcy. - Zdumiony brakiem radosnego powitania obrócił się ku miastu i uśmiech spłazł mu z oblicza. - Panie? Co mamy robić? - spytał.

Gaborn nie odpowiedział od razu. W ciągu kilku ostatnich godzin rozważył chyba wszystkie możliwości. Myślał o ostrzale z machin miotających, o szarzy z kopiami albo jakiejś stałej linii obrony, ale wszystko na nic. Czuł, że musiałby przegrać.

Zostało więc tylko jedno...

-Robcie to, co dotąd - szepnął ze złością. - Zabijajcie każdego, który zostanie za hordą.

Ciągle nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Był Królem Ziemi, ciągle słyszał jej głos i miał pewność, że w największej potrzebie ziemia odpowie na wezwanie, ale nijak nie mógł zapobiec tej rzezi, która trwała tam w dole. Najbardziej współczuł chorym i rannym, którzy pozostali nad rzeką. Oni nie mogli nawet próbować ucieczki i ich los był przesadzony.

Raubenowie zwolnili nieco wśród zabudowań. Niektórzy przystawali, aby wyszukać ukrywających się ludzi. Gaborn sięgnął ku poboju myślał. Wielu ludzi zdążyło uciec za rzekę, inni uciekli na wzgórze i ci powinni być bezpieczni. Raubenowie kierowali się prosto przez środek miasta.

Niemniej po chwili pojawiło się nowe zagrożenie, obejmujące także tych, którzy znaleźli się poza miastem, a to mogło znaczyć tylko jedno - że gdy raubenowie dotrą do stawów i zaspokoja pragnienie, zawroca i zaczną polować na ludzi po całej okolicy.

Chociaż to nie było tylko to... coś jeszcze się zmieniło... i to nie tylko tutaj... Gdzieś daleko doszło do czegoś mogącego zawazyć na losach świata. Niebezpieczeństwo spotęgowało się przez to dziesięciokrotnie.

W koncu do Gaborna dotarło, co się stało: Raj Ahten zginął. Wszystko sugerowało, że został zabity przez raubenów w Kartishu. Ta jedna śmierć mogła przesadzić o wszystkim...

Gaborn przeraził się nie na żarty.

Chondler tymczasem patrzył coraz niespokojniej na atak raubenów.

-Panie, ślubowałem Wilczemu Bractwu i nie będę stał bezczynnie, podczas gdy ludzie giną - powiedział w koncu.

Gaborn pokręcił ze smutkiem głową. Nie wiedział, jak sprawić, żeby tamten zrozumiał...

-Widzisz, w jakim szyku idą? - spytał jednak. - Gdy ich zaatakujesz, przedni szereg cofnie się trochę, a ci z boku poczekają chwile i odetną ci drogę. Znajdziesz się w pułapce i zginiesz!

-Wszyscy kiedyś zginieją - odparł Chondler. - Ślubowałem bronić ludzkiego życia.

Czy on naprawdę nie potrafił dostrzec, że Gaborn stara się pomniejszyć nieuniknione straty?

-Marszałku Chondler, żeby cię...! - krzyknął Król Ziemi. - Myślisz, że nie wiem, co robię?! Gdy ruszysz teraz, nic nie wskorasz ani nie uratujesz Feldonshire! - Ślubowałem... - chciał powtórzyć rycerz, ale nie zdążył, bo Gaborn dobył nagle miecza. - ...chronić ludzkość i ziemię! - dokończył głośno za marszałka. Skupieni wokół członkowie Bractwa podjęli okrzyk.

Chondler spojrzał na króla zdumiony. Czyżby i władca zamierzał przyłączyć się do ich stowarzyszenia? Wyrzekal się królestwa?

Gaborn wiedział, że zbil marszałka z pantalyku, chociaż w gruncie rzeczy dopełniał jedynie własnego przyrzeczenia. Obejrzał się na swoje wojsko.

-Dobrze zatem, panowie, chcecie walczyć?! - zawołał. - Zapewniam was, że bitwa dopiero się zaczęła!

58 TRZY ŚMIERCI

Najbardziej tajemniczymi potworami są wśród raubenów te wielkie maginie, które dowodzą ruszająca do boju horda. Mistrz Magnus utrzymywał, że to całkiem inny gatunek, inni jednak mają je za szczególnie wyrosnięte zwykłe maginie.

Przypuszczenie, że raubenia horda ma naczelnego wodza, wydaje się całkiem naturalne. Ja jednak skłonny jestem w to powatpiewać, mimo relacji świadków.

Gdyż czym właściwie ich zdaniem wielka magini różni się od zwykłej?

Jesli zas wziac pod uwage, ze ostatni z owych opisow pochodzi sprzed 1400 lat, to nie dam glowy, czy w ogole jest prawdziwy.

Podejrzewam, ze raubenowie nie tworza zadnej zorganizowanej zbiorowosci i nie znaja nad soba wodzow. - mistrz Valen z Komnaty Zwierzat Woz wszedl w zakret zbyt szybko i omal nie zsunal sie z drogi, ale opuscili w koncu Feldonshire, a za nastepnym wzgorzem oczom Averan ukazaly sie dwa dosc ponure budynki.

Przed jednym z nich rozpiete na stelazach suszyly sie skory, ktore swiadczyly jednoznacznie, ze musi tu byc garbarnia.

Wallachs zwolnil i gwizdnal na paru ludzi, ktorzy pracowicie ladowali beczki na woz.

-Raubenowie zaraz tu beda! Uciekajcie!

Mezczyzni porzucili robote, a mistrz pogonil zdyszane konie. Przyjrzel sie mijanemu budynkowi, wokol ktorego roztaczala sie silna won gotowanego lugu.

Dalej nie bylo juz drogi, tylko sciezka. Wokol cuchnacych stawow nikt nie mieszkal, nie stala tu nawet najluchsza szopa. Na wschod od miasta mieszkivali czasem tylko ci, ktorzy sami smierdzeli na tyle silnie, ze nigdzie indziej ich nie chciano. Bylo tu calkiem inaczej niz po zachodniej stronie. Tam ziemia byla zyzna, wszedzie napotykal sie sady, ogrody, winnice i uprawne pola, tutaj zas wszystko wygladalo jak obumarle.

Wzgorza sie skonczyly, ustepujac miejsca rowninie porosnietej rachityczna trawa i karlowatymi, powykrecanymi dziwacznie drzewami. Wiosna deszcze powodowaly, ze woda ze stawow rozlewala sie po okolicy, latem zas wysychala, zostawiajac po sobie zoltawy osad.

W powietrzu unosila sie coraz silniejsza won zgnilych jaj.

Stawy byly juz blisko. Nad ich zielonkawa tonia unosila sie lekka mgielka, przy brzegu stal z tuzin wozow, z ktorych kilkudziesieciu ludzi wyladowywalo beczki.

-I jak idzie?! - krzyknal Wallachs, gdy podjechali do nich.

-Wlalismy juz dosc lugu, zeby ciało z kosci obralo - odpowiedzial jeden z robotnikow. - I cala terpentyne. Nie podchodzilbym tu teraz z otwartym ogniem.

Averan zerknela na Binnesmana, ktory wyraznie byl zaskoczony rozmiarami stawow.

Sama tez musiala przyznac, ze z dolu wygladaja na wieksze niz z gory. Kazdy liczył po kilka akrow. Teraz wszystkie mienily sie od wylanych don trucizn.

Ziemia drzala coraz wyrazniej. Raubenowie byli blisko.

-Na Moce - szepnal Straznik Ziemi. - Nielatwo mi potem bedzie uzdrowic te wode.

Wallachs chrzaknal z zadowoleniem, jakby czegos takiego wlasnie oczekiwal.

-Macie tylko chwile! - krzykнал do swoich ludzi. - Potwory nadchodza!

Potem strzelil z bata i ruszyl dalej. - Sciezka zaraz skreca na wschod - wyjasnil. - Jeszcze mila i bedziemy w lesie.

Nie musial mowic, ze jesli raubenowie za nimi pogonia, to i las nie bedzie wystarczajacym schronieniem.

-Mila powinna wystarczyc - stwierdzil Binnesman. - Zatrzymajmy sie na tamtym wzniesieniu i zobaczmy, co sie stanie.

Averan az zeby dzwonily od wstrzasow wozu na nierownosciach. Od strony Feldonshire rosła coraz wieksza chmura kurzu, slychac tez bylo slabe krzyki.

Dziewczyńce zoladek podszedl do gardla.

Konie, wyczerpane dlugim biegiem, wyraznie zwalnialy, ale w koncu dotarli na pagorek z kilkoma poczernialymi drzewami. Stad widac bylo dobrze zarowno wzniesienia wokol Feldonshire, jak i same stawy. Prezentowaly sie teraz calkiem inaczej niz wczesniej.

Miast trzech zielonkawych klejnotow w bialej oprawie widac bylo trzy bulgoczace kociolki, w ktorych plywaly rozlewajace wciaz swoja zawartosc beczki.

Wozy wlasnie odjezdzaly, gdy Averan ujrzala z biciem serca, ze od strony miasta ukazuja sie pierwsi raubenowie. Z hukiem runeli w kierunku stawow, ku ktorym biegli od tylu godzin.

Zaraz tez ich bojowy szyk poszedl w rozsypke. Najsilniejsi przepchneli sie z otwartymi paszczami do przodu, byle blizej wody. Jednak w odleglosci pol mili wyczuli, ze cos jest nie tak. Wielu stanelo na tylnych lapach, poruszajac spazmatycznie wyrostkami. Inni tylko zwolnili.

Wszelako pare tysiecy potworow, ktore byly zbyt spragnione, aby zwracac uwage na cokolwiek, przypadlo do stawow. Poczely zanurzac w nich lby i unosic je potem wysoko, gdyz tak wlasnie, po ptasiemu, zwykli pic raubenowie. Brzegi praktycznie zniknely pod szarawa masa ich grzbietow. Obraz byl przerazajacy.

Nagle z tylu, za horda, pojawili sie rycerze. Teraz, gdy szyk obronny wroga sie rozsypal, mieli ulatwione zadanie. Na dodatek, czujac kres nadziei, wiele potworow popadlo w apatie. Jezdzczy nie czekali, az przeciwnik sie ocknie. Pomykajac pomiedzy masywnymi cielskami niby srebrzyste rybki w basenie, powalili w krotkich potyczkach paruset wrogow i skrecili ku malemu wzgorzu pol mili na poludnie od stawow, gdzie na nowo zwarli szeregi.

Blyskaly groty kopii. Ze wszystkich stron ciagneli ku nim miejscowi, by wspomoc kolejny atak.

Ci raubenowie, ktorzy mimo wszystko opili sie zatrutej wody, zaczynali juz umierac w konwulsjach. Jesli ktorys wypil mniej, dostawal tylko torsji, ale i tak byl potem zbyt slaby, zeby sie ruszyc.

Niemniej wiekszosc hordy po prostu cofnela sie od fatalnych stawow i krecila sie teraz w kolko na wpol przytomna z odwodnienia. Wyrostki potworow zwieszaly sie bezsilnie, a oddechy brzmialy szczegolnie ciezko.

Z poludnia ruszyla choragiew jazdy prowadzona przez Gaborna z taka szybkościa, jakby Krol Ziemi wiatr chcial przegonic. Tuz za nim trzymali sie Skalbairn i Waggit.

Okrazyl horde i zblizyli sie do wzgorza, na ktorym stal woz mistrza Wallachsa.

Gaborn dojrzał Averan, sciagnal wodze i zeskoczył z siodla.

-Co sie dzieje? - spytał z ponura mina.

-Bieg do wody ich wyczerpal - odparł Binnesman. - Przypuszczam, wasza wysokość, że horda zmalala juz o polowe.

-Nie całkiem - stwierdzil Gaborn. - Na moje oko wciaz jest ich ze czterdziestci tysiecy.

-Ale umie- wtracila sie Averan. - Nie dojdą do warowni Haberd.

-Mam nadzieje... Chyba nam sie udalo. Chyba wygralismy! - zawolal Wallachs.

Averan przyjrzała sie Gabornowi i pomyslała, że gdy wszyscy raubenowie juz padna, przyjdzie pora poszukac przewodnika, a wtedy ona bedzie musiala zjesc troche jego mozgu i odtworzyc droge do podziemnego swiata.

-Jeszcze nie wygralismy - mruknal Krol Ziemi. - Moze i umie, ale nie zgina bez walki.

Jakby na potwierdzenie jego slow w srodku hordy dal sie slyszec przenikliwy syk.

Jakas magini stanela na tylnych lapach i sadzac po rozsiewanych przez nia smrodliwych woniach, musiala chyba cos "mowic". Runy na jej ciele rozgorzaly jasnym blaskiem, podobnie jak i laska w jej lapie.

Nazywala sie Trzy Smierci. Averan "pamietala" ja jako mloda, grozna i najbardziej przebiegla maginie w hordzie. Tylko jej wzglednie maly wzrost powodowal, że nie objela jeszcze przewodnictwa. Po chwili uniosly sie trzy inne potwory i zaczely jej odsykiwac.

-A coz to takiego? - spytał Gaborn.

-Kłoca się, wasza wysokość - wyjaśniła Averan. - To częste wśród wysoko postawionych raubenów.

-A która tu dowodzi horda?

Averan aż się zdumiała, że król nie widzi czegoś tak oczywistego.

-Ta magini z najwyższym zadem. Widzisz, panie, jak inne pilnują, żeby trzymać swoje nizej? Zabilaby ich, gdyby było inaczej.

Gaborn wpatrzył się w hordę z takim skupieniem, że dziewczynka prawie poczuła się winna, iż wcześniej mu tego nie powiedziała. Oparł się na młocie tak samo jak Binnesman na lasce i wyraźnie się nad czymś zamyslił.

Gdybym miała zmysły raubena, wiedziałabym, o czym rozmawiają, przemknęło Averan przez głowę. Obecnie domyślała się tylko tyle, że cała ta kłotnia może potrwać z godzinę albo i więcej.

Dziewczynka przymknęła oczy. Słońce było dla niej tego dnia o wiele za jasne i gorące.

Na dole Trzy Śmierci dalej o czymś przekonywała, a gdy jej rywalka uniosła nieco wyżej zad, magini skoczyła i wbiła swoją laskę w jej złoty trojkąt. Huknęło glucho i leb pokonanej rozpadł się na kawałki.

Trzy Śmierci dopięła swego. Szybko zajęła się strzepami mózgu przeciwniczki, podczas gdy inni wydzielali jej gruczoły.

Reszta cofnęła się i podzieliła na dziewięć grup. Każda przyjęła szyk bojowy ze szkarłatną maginią pośrodku. Chwile potem ruszyły na wschód. Po drodze zwiększały odstęp między sobą. Dziwny manewr jak na raubenów, którzy normalnie żyli w tunelach i przywykli chodzić jeden za drugim. W ten sposób też łatwiej było im przekazywać rozkazy.

Rozproszenie sił oznaczało działanie wbrew instyktom. Co więcej, horda wędrowała teraz z wiatrem i nie miała szans na wywachanie przeciwnika, gdyby podszedł od czoła.

-Co oni zamysłają? - zastanawiał się głośno Gaborn. - Chociaż chyba rozumiem...

Averan zadrzała. Dla niej wszystko było oczywiste. Dziewięć takich grup mogło stworzyć front szeroki prawie na osiem mil. Oddziały Gaborna na przeciwległych wzgórzach rozumiały już, co im grozi, i zaczęły odwrot.

-Dobrze się domyślasz, panie - powiedziała. - Wiedza, że przyjdzie im zginąć.

Ale w Feldonshire j?st jeszcze wielu ludzi i zamierzają ich zabić. A potem...

-Beda zabijając, poki im sił starczy - stwierdził Gaborn. - Wyczuwam niebezpieczeństwo

grozace wszystkim w calej okolicy. Nastepnie skieruja sie w dol rzeki, by zniszczyc kolejne miasta, az dotra do Tide. Jak ich mozemy powstrzymac?

Averan, patrzac na oddalajacych sie na wschod raubenow, goraczkowo poszukiwala jakiegos rozwiazania. Dotad, ilekroc zabijali dowodzaca, nowa magini zmieniala taktyka.

Nawet teraz braklo jednomyslności co do pomyslu Trzech Smierci. To ona zaprowadzila ich do wody, ktora okazala sie zatruta. Raubenowie byli bliscy buntu.

-Trzeba usunac Trzy Smierci...

-Jasne! - krzyknal Gaborn. - Ale stracilem ja z oczu. Gdzie jest?

-W srodkowej grupie.

Gaborn zamyslil sie. Averan wiedziala, ze Krol Ziemi probuje oszacowac straty, jakie przyniesie atak.

59 BRACTWO

Wiem juz, ze moje krolestwo nie zna granic. I ze mymi poddanymi sa wszyscy ludzie na ziemi. Wszyscy sa mymi rodakami i tym samym winien im jestem uwage.

I jeszcze - ze po smierci obcego czlowieka zal moj jest tak samo gorzki, jakbym jedyne dziecko stracil.

-Erden Geboren Skalbairn obserwowal Gaborna z pelnym zrozumieniem. Wiedzial, ze krol robi, co moze, aby obmyslic najlepszy sposob pokonania maszerujacych z powrotem ku Feldonshire raubenow.

Nie bylo czasu na zadne zlozone plany. Glowne sily jazdy tkwily na zachodzie i zeby do nich dojechac, Gaborn musialby sie niemal otrzec o raubenow. A zanim by tam dotarl, raubenowie zdazyliby dojsc do miasta.

-Panowie - powiedzial w koncu stanowczo -jest pewien sposob. Ale to bedzie nas sporo kosztowac. - Spojrzal na skromny oddzial, ktory mial u boku. - Moim zadaniem jest zejsc do podziemnego swiata, zatem nie poprowadze tego ataku. A kazdy, kto wezmie w nim udzial, ryzykuje zgube. Godzicie sie na to?

Mowil calkiem powaznie. Skalbairn nigdy jeszcze nie widzial takiego wyrazu w niczyich oczach. Bylo to cierpienie, zal i troska polaczone z bezwzgledna determinacja.

Marszalka przebiegl lodowaty dreszcz. W dzieciinstwie marzyl, aby zostac wojownikiem, i nie raz wyobrazil sobie wowczas, ze przyjdzie mu spotkac Krola Ziemi i walczyc u jego boku. Nigdy jednak nie snil o niczym podobnym. Oto Krol Ziemi prosil go o ofiare zycia.

Wszyscy na chwile zamilkli. Skalbairn wiedzial, ze pojada, ale nikt nie chcial odzywac sie pierwszy.

-A czy w przyszłym świecie będzie mi dane ruszyć wraz z tobą, panie, na łowy? - spytał w końcu.

-Tak. Każdy, kto teraz jest ze mną, będzie ze mną i wtedy -odparł Gaborn, chociaż nie mógł mieć pewności. Nie wszyscy powracali do Mrocznej Puszczy jako widma.

Marszałek splunął na ziemię.

-No to załatwione.

Reszta oddziału poparła go okrzykiem. Niektórzy uderzyli młotami o tarcze, paru zamachało kopiami.

Jedynie baron Waggit siedział cicho na swym rumaku i wyraźnie nad czymś myślał.

Ta akurat umiejętność była dla niego ciągle czymś nowym.

Gaborn unosił dłoń, prosząc wszystkich o ciszę.

-Zadziałamy podstępem - powiedział i narysował na ziemi szesciokat. - Podzielicie się na trzy oddziały. Piecdziesięciu ludzi zaatakuje z lewego skrzydła, piecdziesięciu z prawego. Gdy tylko raubenowie zgromadzą na flankach więcej sił, aby ich odeprzec, mała grupa uderzy od czoła. W pełnym pedzie powinni przedrzeć się do samego środka i zabić maginie.

-Panie, czy mogę zadać jej cios? - spytał Skalbairn. Król Ziemi pokiwał głową, ale pokiwał w milczeniu głową. Marszałek był pewien, że tym razem zginie.

-Pojadę z nim - dodał Chondler. - Podobnie jak wielu innych z Wilczego Bractwa.

Natychmiast jeszcze trzeci rycerz, lord Kellish, zgłosił chęć, by do nich dołączyć.

Gaborn zgodził się i na to, ale zaraz dodał, że tylu starczy. Potem spojrzał na cały oddział.

-Dziękuję wam. Oczekuję, że każdy z was będzie teraz walczył jak rauben - powiedział i sygnal po róg. - Lewe skrzydło uderzy na dwa krótkie dźwięki.

Prawe poczeka na jeden długi. Skalbairn, odprowadze was część drogi.

Wszyscy zsiadli pośpiesznie z koni i sprawdzili popregi oraz podkowy. Niestety, nie wszyscy mieli kopie, chociaż bardzo by się teraz przydały.

Skalbairn dociągnął popreg i zamyslił się głęboko. Od lat miał swoje życie za jedną wielką pomyłkę. Od lat też był przekonany, że tylko śmierć może przynieść mu jakąś ulgę. W

koncu spojrzal na Waggita, ktory siedzial zamyslony w siodle. Byl rosly i na swój sposob przystojny, mial jasne wlosy, ktore ceniono w Internooku. Nie ruszal do walki, co i dobrze.

Nie znal sie przeciez nijak na wojaczce. Moze w ogole nie zostanie rycerzem, pomyslal Skalbairn, tylko wroci na role albo do kopalni. Przy odrobinie szczescia dozyje poznego wieku. Niczego wiecej nie nalezalo od niego oczekiwac. Co za ponury zart, pomyslal marszalek. Jeszcze dzien wczesniej wszyscy uwazali tego chlopaka za skonzonego glupca, a teraz okazal sie rozumniejszy niz caly oddzial do kupy wziety.

-Waggit! - zawolal Skalbairn, siegajac po sakiewke. Mlodzieniec obrocil ku niemu pobladla twarz. - Mam tu troche zlota. Bylbym wdzieczny, gdybys zawiozl je mojej corce, Farion. Przy okazji sprawdzilbys, czy dobrze o nia dbaja.

Waggit zastanowil sie nad tym.

Marszalek byl pewien, ze gdy mlodzieniec zobaczy dziewczynę, bedzie umial sie na niej poznac. Nikt inny na calym swiecie nie moglby zrozumiec tak dobrze jak on, czym jest ociezaly umysl i ile moze sie pod nim kryc szlachetnosci. A taka wlasnie byla corka marszalka. Nie miala szansy zostac czyjokolwiek zona, bo niewiele w sumie potrafila poza rozpaleniem ognia czy oskubaniem kurczaka. Ale potrzebowala kogos troskliwego, kto by ja pokochal. Musialby to byc ktos cierplivy i zaradny, a do tego jeszcze wyrozumialy.

Skalbairn modlil sie do Mocy, aby wlasnie Waggit okazal sie kims takim.

-Przekaze jej to - odparl po chwili mlodzieniec.

-Niech Najjasniejszy cie chroni - szepnal dziwnie lagodnie Skalbairn, wskoczyl na siodlo i zaraz pognal na czele oddzialu w dol, ku dolinie. Nie bylo czasu na dluzsze pozegnania.

Gaborn i pozostali dolaczyli do niego w pare chwil. Po cichu, bez fanfar, stu paru konnych ruszylo na ponad trzy tysiace raubenow.

Pola, po ktorych biegly potwory, byly puste, braklo na nich nie tylko drzew, ale nawet trawy i kamieni. Idealny teren pod szarze jazdy.

Langley skrecil ze swoimi ludzmi w lewo, lord Gulliford w prawo.

-Pamietajcie, musicie sie przebic! - krzyknal Gaborn do pozostalej z nim trojki rycerzy i zadal w rog. Najpierw dwa razy krotko, potem raz dlugo. Wstrzymal konia i to samo polecil zrobic swoim towarzyszom.

Oddzial Gulliforda uderzyl na raubenow od tylu i juz w pierwszym ataku powalil kilkadziesiat potworow, po czym zatoczyl polkole jak na paradzie i zaatakowal ponownie, tym razem od lewej. Przeciwnik obrocil sie, aby stawic im czolo, maginie zas uniosly czym predzej laski i zaczely wypuszczac kleby zielonego dymu. Braklo jednak potworom w poblizu kamieni do

rzucania, toteż straty oddziału były niewielkie, ledwo kilku ludzi.

Niemal w tej samej chwili Langley zaatakował prawa flankę raubenów. Tak jak przewidział Gaborn, pośrodku zrobiło się zaraz pusto. Potwory przesunęły się na lewo i prawo.

-Powodzenia! - krzyknął Król Ziemi do Skalbairna, Chondlera i Kellisha.

-Do spotkania w cienistej dolinie! - zawołał marszałek i wypuścił konia. Jego czarny ogier miał trzy dary metabolizmu i należał do najszybszych na świecie, w godzinę potrafił pokonać prawie sto mil. Jednak było to również niebezpieczne. Zderzenie z raubenem albo upadek z siodła musiały przy tej prędkości być fatalne w skutkach.

Skalbairn opuścił kopie i obejrzał się. Chondler jechał sto jardów za nim.

Jeszcze dalej galopował Kellish.

-Szybciej! - krzyknął.

Wielu raubenów przed nim nie miało w ogóle oreza w łapach. Wycelował w lukę pomiędzy dwoma takimi właśnie i udało mu się przejechać bez problemu. Wprawdzie potwory wyczuli go z odległości dwustu jardów, ale przy tej szybkości i bez broni nie zdążyły nawet zareagować. Podniosły jednak ostrzegawczy syk.

Magini po prawej miała lepszy refleks. Rzuciła zaklecie, ale kłęb dymu przeleciał za zadem rumaka marszałka i poraził tylko jednego z raubenów.

Nie zwalniając ani trochę, Skalbairn zbliżył się do drugiego szeregu potworów.

Te były mniejsze i w ogóle nie nosiły broni. Jeden był na dodatek wyraźnie osłabły.

Nie odwrócił się nawet w kierunku przeciwnika. Otepiał, ze zwieszonymi mackami szedł dalej.

Marszałek skreślił w jego stronę.

Za plecami usłyszał trzask pekającej kopii, czyjs okrzyk bojowy i bolesne rzenie konia.

Baron Waggit jechał obok Gaborna i tak jak on śledził przebieg szarży. W ostatnich dniach widział śmierć setek ludzi, ale nie zubożał od tego. Żałował gorzko Skalbairna.

Marszałek wolnych rycerzy, wielki i szanowany wojownik Rofehavanu, okazał się dla kims niezwykle ważnym. Wziął go pod swoje skrzydła, nauczył trochę walki, a nawet jakimś cudem zapragnął wyswatać młodzieńca ze swoją córką.

Waggit nigdy nie spotkał nikogo, kto traktowałby go równie serdecznie. Jak dotąd żadna kobieta nie chciała go uczynić swoim kochankiem, żaden mężczyzna nie dojrzał w nim brata.

Nowa pamięć była dobra, ale miała też wady... Niemniej zdarzyło się coś niezwykłego. Waggit poznał wreszcie, jak to jest być dla kogoś ważnym i bliskim.

Przez cały dzień dreczyło go, że nie potrafi sobie przypomnieć własnego, prawdziwego imienia. Czasem czuł, że jest blisko, ale umykało. Nie chciał jednak iść dalej przez życie jako Waggit, co w okolicach Carris znaczyło tyle co cudak. Był pewien, że przezwisko nadano mu dla kpiny.

Jednak prawdziwe imię nie chciało wypłynąć na powierzchnię wspomnień, na dodatek niektóre z nich okazywały się bolesne. Przypominał sobie łanie, które dostał od ojca, gdy dołożył zbyt wiele drewna do paleniska i o mało nie puscil z dymem domu. Ujrzał siebie, jak siedzi samotnie na drzewie i patrzy na przelatujący obok jasnego księżyca klucz gęsi. Stojące na dole dzieci tylko się z niego śmiały. Obrazu matki nie potrafił przywołać wcale.

To, co widział obecnie, było jeszcze mroczniejsze. Burzone Feldonshire, ludzie ginący nad brzegiem Donnestgree. Ciągłe słyszał ich krzyki i obawiał się, że nigdy nie umilkną już w jego uszach.

Blogosławiony dar umysłu był zarazem przekleństwem.

-Skalbairn zginie, wasza wysokość? - spytał Gaborna.

-Obawiam się, że tak.

Dosć tych śmierci, pomyślał Waggit.

-Czy ja też dzisiaj zginę?

-Nie.

-To dobrze - powiedział baron i pogonił konia ku raubenom.

Skalbairn obejrzał się. Chondler próbował przemknąć obok raubena uzbrojonego w długi hak, ale potwór nie stracił orientacji i rozpruł brzuch wierzchowca. Rumak i jeździec runeli na ziemię.

Jadący dalej Kellish zwolnił i skrecił tak pechowo, że dostał się w chmurę żółtego dymu wysłana mu na spotkanie przez maginie. Dał się słyszeć tylko krótki krzyk rycerza i było po wszystkim.

Skalbairn pojął, że teraz wszystko zależy tylko od niego. Przemknął przez drugi szereg i zbliżył się do eskorty wielkiej magini. Ci raubenowie zwarli szeregi, a paru ruszyło mu na spotkanie.

Jednak dowodzaca była znacznie większa niż jej podwładni i dobrze było ją widzieć zza ich

grzbietow. Szczegolnie wyraznie zaznaczal sie jej uniesiony nieco zad.

Gdzies od miasta zagraly rogi i nagle zza okalajacych Feldonshire wzgorz wylonilo sie dwa tysiace wolnych rycerzy. Nie byli daleko, ledwie pol mili. Musieli uslyszec sygnal Gaborna i uznali, ze to tez dla nich wezwanie.

Przed marszalkiem pojawil sie rauben z wielkim hakiem. Skalbairn szybko ocenil, ze nie zdola go wyminac. A byl juz tak blisko magini... Chociaz nadal za daleko, zeby ja trafic w zloty trojkat.

Nie namyslal sie dlugo.

-Farion! - krzyknal i cisnal ciezka kopia niczym oszczepem. Przeleciala dwadziescia stop ponad glowami eskorty i zatoczywszy wdzieczny luk, wbila sie w grzbiet magini.

Skalbairn nie widzial jednak, jak trafila. Gdy probowal zawrocic oszalalego ze strachu konia, szmaragdowa laska uderzyla w napiersnik zwierzecia i plomien, ktory z niej buchnal, rozerwal najpierw nieszczesne zwierze, a zaraz potem i marszalka.

Waggit mknal przez pole bitwy. Potwory zanosily sie sykiem, zdumione widac atakiem dwoch tysiecy konnych. Maginie rzucaly coraz to nowe smrodlive dymy, ktore przyprawily o zgube wiele dziesiatkow rycerzy z pierwszych szeregow.

Nagle cala armia potworow jakby sie zawahala.

Baron ruszyl pomiedzy wrogow bez broni, totez jedyna jego nadzieja byly uniki.

Jednak raubenowie jakby nie zwracali na niego wiekszej uwagi. Moze uwazali, ze rycerz bez kopii nie stanowi dla nich wiekszego zagrozenia?

Gaborn zadal znowu w rog, wzywajac do odwrotu.

Waggit chwile wczesniej stracil Skalbairna z oczu, nagle jednak ujrzal, jak wielka magini staje na tylnych lapach i probuje wyciagnac z cielska kopie, ktora przebila ja na wylot.

Cios byl smiertelny. W normalnych okolicznosciach zostalaby jej wprawdzie jeszcze z godzina zycia, ale tutaj, miedzy pobratymcami, nie miala szans nawet na dluzsza chwile spokojnego konania.

Kilka mlodszych magin szybko zrozumialo sytuacje i rzucilo sie na ranna, zeby rozerwac ja na sztuki. Zaraz potem zebrala sie wokol nich gromada zwyklych zolnierzy.

-Skalbairn! - krzyknal Waggit. Nikt mu nie odpowiedzial.

Jednak chwile pozniej baron dostrzegl rozrzucone po polu i zdeptane przez raubenow szczatki marszalka. Nie bylo juz komu pomagac.

Zawrocil konia, przemknal przez gromade mniejszych raubenow, ktorzy rozpierschli sie, jakby sam czarny glory sie miedzy nimi pokazal, i byl juz poza horda.

Przejechal jeszcze ze sto jardow w kierunku stawow i skrecil w strone Gaborna. Przed nim galopowali wycofujacy sie ludzie Langleya.

Uniosl glowe i ujrzal przesuwanacy sie z wolna nad ozloconymi sloncem wzgorzami klucz dzikich gesi.

Z glebin pamieci naplynela zimowa scena, gdy taki sam klucz przeciagał nad ojcową stodoła, a matka mowila, ze jest zimno i zeby wlozyl plaszcz, skoro wychodzi...

I nagle juz wiedzial. Uslyszal, jak matka zwracala sie do niego tym prawdziwym imieniem.

60 PRZEWODNIK

Kazda droga moze zawiesc cie na setki bezdrozy, wiec ta najlatwiejsza czesto nie jest wcale najlepsza. - z szyldu gospody Pod Przepiorka i Pawiem, przystanku na drodze nauk w Komnacie Stop Z doliny unosil sie kurz bitewny. Averan ledwie widziala przez te zasłone, jak wlasciwie przebiegl atak na raubenow. Wiedziala tylko, ze przeprowadzono go z czterech stron i ze Skalbairn zginal, zabijajac Trzy Smierci. W koncu, gdy rycerze zaczeli zjezdzac z pola, bylo ich znacznie mniej niz na poczatku. Dziewczynka pomyslala, ze winna ich oplakac, ale ani jedna lza nie poplynela z jej oczu. Zbyt wielu przyjaciol ostatnio utracila.

Raubenowie syczeli wciaz na potege i niebawem zaczeli laczac wszystkie dziewiec szesciobokow w jedna formacje. Gdy tylko sie z tym uporali, pod nowym dowodztwem ruszyli na zachod. Nie probowali scigac wycofujacej sie jazdy, zmierzali znowu tam, skad przyszli, chociaz niewielu mialo dotrzec do celu.

Oddzialy Gaborna wjechaly na wzgorza na poludnie od Feldonshire i wiwatujac, patrzyly na uchodzace potwory. Radosne krzyki dobiegaly tez z drugiej strony rzeki.

-To wielkie zwyciestwo - szepnal stojacy za plecami Averan Dziennik, ktory od dluzszej chwili wpatrywal sie w pobjowisko.

Gaborn jednak nie swietowal. Siedzial tylko zmeczony w siodle, zwiesiwszy glowe.

-Ostrzegalem go - mruknal polglosem Binnesman. - Nawet Erden Geboren nie dal rady. Zmarl przeciez nie od ran, ale ze zgryzoty. Gaborna czeka to samo.

-I nie mozemy mu pomoc? - spytala Averan.

Wiedziala jednak, ze pomoc moglaby Krolowi Ziemi tylko w jeden sposob. Caly dzien czekal na okazje, aby odszukac przewodnika, a potem...

-Sluchaj - powiedzial nagle Binnesman i spojrzal na polnoc, potem na poludnie.

Zielona kobieta tez nastawila ucha, jakby na rozkaz.

-Czego mam sluchac? - zdziwila sie Aweran. Wkolo nie dzialo sie juz nic niezwyklego.

-Tej ciszy... Na mile wkolo zrobilo sie cicho.

Dziewczynka nie wiedziala, o co wlasciwie chodzi czarnoksiężnikowi, gdyz ludzie wciaz wiwatowali, raubenowie syczeli, a ziemia trzesla sie od ich krokow. - Zaden ptak nie spiewa ani zaden swierszcz - szepnal Binnesman. - Bydlo nie ryczy...

Tylko ludzie i raubenowie halasuja... i nic wiecej, na cale mile wkolo. Co ziemia mowi w ten sposob?

Aweran nie znala odpowiedzi, chociaz... wydawalo jej sie, ze to znak wielkiego bolu.

Ziemia chyba cierpiala. Widac ona tez byla zmeczona. I pragnela, by ta wojna wreszcie sie skonczyla.

Kilku rycerzy Gaborna, unioslzy wypolerowane tarcze, zaczelo odbijac nimi promienie sloneczne w rozne strony swiata. Przekazywali nowine o zwyciestwie.

Aweran uniosla dlon do oczu, bo niewiele w tym blasku widziala, a dojrzala cos ciekawego. Jakies sto jardow dalej na stoku roslo czarne drzewo. Bylo niewiele wyzsze niz dorosly mezczyzna i powykrecane, jakby w ogole nie bylo drzewem. Mialo moze z tuzin galezi, nie wiecej. Wygladalo doprawdy zalosnie.

Jednak Aweran wyczuwala w nim zycie. Zdolalo przetrwac w poblizu stawow, ktore zabijaly niemal kazda inna roslina. Bylo wytrwale, totez godne szacunku.

Nie myslac wiele o tym, co robi, zeskoczyla z wozu i podeszla do drzewa.

Z daleka wygladalo, jakby nigdy nie znalo lisci, z bliska jednak mozna bylo poznac, ze mialo je latem. Szerokie i brazowe lezaly na ziemi. Kora byla lsniaca i ciemna prawie jak wegiel. Tu i owdzie czepialo sie galezi jeszcze kilka torebek nasiennych.

Aweran nigdy nie widziala takiego drzewa i nie znala jego nazwy, ale jakimis dziwnym sposobem ja oczarowalo. Dotknela go na probe, objela jedna galaz i pociagnela.

Galaz odeszla od pnia tak latwo, jakby drzewo juz dawno obumarlo i w kazdej chwili mialo sie rozsypac w proch. Ale przeciez bylo zywe. Dziewczynka pojela, ze dobrowolnie oddalo jej kawalek siebie.

I oto miala swoja laske. Potezna i niebezpieczna. Wlasna laske... Dlonie drzaly jej z przejecia.

-Hmmm... - odezwał się nagle Binnesman, który chwilę wcześniej stanął za jej plecami. - Czarny szczerzeniec... Dziwny wybór.

-A jakie są jego cechy? Co ten wybór o mnie mówi?

-Nie wiem - odparł czarnoksiężnik jakimś dziwnym tonem i uważnie spojrzał na dziewczynkę spod krzaczastych brwi. - Nikt go jeszcze dotąd nie wybrał. Nie słyszałem nawet o Strazniku Ziemi, który nosiłby laske z trującego drzewa.

-Trującego?

-A tak, każda część szczerzenia jest śmiertelnie trująca. Korzenie, kora, liście, owoce, nasiona... A czarny jest najbardziej trujący ze wszystkich. W Lysle, gdzie rośnie najczęściej, miejscowi nazywają go jadowitym drzewem.

-Jadowite drzewo - powtórzyła Averan. Było w tej nazwie coś złowieszczonego, ale dziwnie pasowało do miejsca usłanego trupami otrutych raubenów.

Averan spojrzała Straznikowi Ziemi w oczy. Nigdy nie była dobra w czytaniu z wyrazu twarzy i rzadko kiedy poznawała, kiedy ktoś kłamie. Jednak miała wrażenie, że Binnesman nie mówi jej teraz całej prawdy. Patrzył na nią jakos tak z ukosa, podejrzliwie.

Albo coś o niej wiedział, albo domyślał się, co kryło się za jej wyborem, ale nie chciał tego wyjawic.

Gaborn zjawiał się nagle obok nich jeszcze bardziej przybity niż wcześniej.

-Krolowa Herin Ruda zginęła chwilę temu w ataku! - zawołał do swojego Dziennika i pokręcił ze smutkiem głową. Potem spojrzał na Averan. - Widziałem nad stawami raubena z trzydziestoma szescioma wyrostkami i wielkimi przednimi łapami. Spojrzysz na niego?

Averan przelknęła z trudem. Wiedziała, że nie odważy się skosztować mózgu raubena, który zginął w mekach po wypiciu trucizny.

Uniosła laske, jakby chciała się nią osłonić, chociaż nie była wiosna, nie potrafiła walczyć na kije. Jednak po chwili pojęła, że naprawdę trzymała ją tak, w obu rękach, poziomo, jakby chciała odparować cios na głowę. I tak samo, jak uczynił to Binnesman, gdy błogosławił Carris. Nie miała pojęcia, dlaczego właściwie tak, ale coś jej podpowiadało, że to właściwy sposób.

W tej samej chwili przed jej oczami pojawił się obraz przewodnika, raubena z trzydziestoma szescioma wyrostkami i potężnymi łapami. Wciąż był z hordą i biegł ile sił w kierunku wejścia do podziemnego świata. Był ranny w bok, chyba od ciosu kopiącego.

Wyrostki zwieszały się martwo ze zmęczenia. Wokół niego maszerowali inni, równie

wyczerpani, i co rusz trafiał na pozostawione ciche świadectwa bólu i rozpacz. Cały chor niesłyszalnych dla ludzi głosów.

-On żyje! - powiedziała Gabornowi. - Przewodnik ciągle żyje. Gaborn spojrzał na nią z otwartymi ustami.

Obejrzała się na dzika. Bardzo chciała coś sprawdzić...

-Wiosno, pomóż mi! - zawołała. Zielona kobieta podeszła bliżej. - Złap moją łaskę.

Pomóż mi go wezwac.

Wiosna stanęła za dziewczynką, tak że ta mogła się o nią oprzeć, a potem złapała za koniec łaski.

Averan przymknęła powieki i tak długo przywoływała obraz Raubena, aż zaczęła oddychać jednym rytmem ze stworzeniem. Było słabe, wewnętrzności paliły ją z pragnienia.

Mięśnie przednich łap dretwiały. Każdy ruch powodował ból stawów. Rauben wiedział, że powoli umiera.

Brakło mu sił, żeby dłużej wytrzymać tempo marszu całej hordy, ale biegł pewien, że któryś z następnych skoków będzie ostatnim.

Dziewczynka wyczuła jego rozległy intelekt. Nijak nie mogła się z nim równać i nic by tu nie wskórała, gdyby nie łaska i pomoc dzikiej.

W końcu sięgnęła zimnymi, cienistymi palcami do głowy Raubena i powiedziała mu: "Chodź do mnie".

Pod drugiej stronie doliny samotny Rauben zatrzymał się nagle i został w tyle za hordą.

Chwile później zawrócił zmęczonym krokiem w kierunku Averan.

Dolina była już pusta, wszystkie oddziały stały na wzgórzach i nikt nie odłączył od nich, by zabić potwora.

Rauben rzeczywiście nadchodził! Averan nie posiadała się z radości. Teraz, gdy najważniejsze już się udało, podziękowała dzikiej i sama poprowadziła przewodnika.

-Widzisz, panie? - spytała, spoglądając na Gaborna. - Oto przewodnik. Sam do nas idzie. Zabierz mnie bliżej niego.

Król posadził ją przed sobą w siodle. Razem pojechali na spotkanie Raubena.

Dziewczynka cały czas trzymała łaskę wysoko nad głową. Minęły oddziały Gaborna,

siarczane stawy i całe stosy martwych raubenów, aż wyjechali poza pobożowisko.

Averan pot wystąpił na czoło. Panowanie nad raubenem nie było łatwym zadaniem.

Przewodnik zrobił jeszcze kilka kroków i przystanął. Dziewczynka wyczuła, że jest dezorientowany. Odpowiedział posłusznie na wezwanie, ale przeraził się ludzkiego czarnoksiężnika i coraz bardziej się buntował. Nie wiedziała, czy zdoła go długo utrzymać na miejscu.

Zerknęła do jego umysłu.

-Pokaż mi drogę - poprosiła. - Dla dobra twego i mego ludu pokaż drogę w głąb.

Jego myśli otworzyły się przed nią łagodnie niczym płatki kwiatu.

Przewodnik był potężnym raubenem o wielkiej umysłowości i przepastnej pamięci.

Nie tylko własnej, ale i całych pokoleń przewodników, którzy żyli przed nim.

Zjadł mózgi wielu z nich. I teraz przekazał Averan co sam wiedział.

Obraz był w pierwszej chwili bardzo rozmyty, ale raubenowie zapachy pamiętali o wiele lepiej niż wszystko inne, zatem mapa podziemi zaczęła formować się w umyśle Averan jako mapa zapachów.

Po chwili wiedziała już, co znaczą rozmaite ślady na ścianach jaskin. Zapachowe napisy instruowały, jak otwierać tajemne przejścia, znajdować ukryte tunele czy omijać niebezpieczne stworzenia.

Przewodnik przewedrował kawał podziemnego świata, zeglował nawet w kamiennej łodzi po Morzu Idymeanskim. Chodził tam, gdzie inni raubenowie bali się zapuścić, widział miejsca cudowne i miejsca straszne, znalazł rozmieszczenie ruin pradawnych miast śniadych i wielu innych, historycznych zakątków.

Averan zeskoczyła z siodła i stanęła przed potężnym raubenem.

Wielka bestia przyklekła ze zmęczenia. Ledwie poruszała wyrostkami. Averan zagłębiła się w jej myśli.

Każda chwila przynosiła nowe odkrycia. Rauben przybył na powierzchnię, by sporządzić mapy tego świata. Oczekiwał wielkiej przygody, wspaniałej i fascynującej wędrowki, ale teraz wiedział już, że znalazł tylko śmierć.

61 MROczne SCIEZKI

Często przychodzi nam wstępować na mroczne ścieżki, chociaż nie wiemy, czy po drugiej

stronie czeka na nas jakies swiatlo.-Jas Laren Sylvarresta Borenson dobrnal do Fenraven niecala godzinie po tym, jak powierzył Myrrime strumieniowi. Był nieludzko zmęczony i mało co widział. Przez dluzsza chwile tylko stal i patrzyl na rozrzucone na nieduzym wzgorzu zabudowania wioski, rozjasnione porannym sloncem strzechy i snujace sie dookola mgly. Cala osada zdawala sie wznosic niczym wyspa nad morzem bagiennych oparow. Brama w czestokole byla uchylona, a obok staly zelazne kosze z plonacymi drwami. Srebrne zwierciadla kierowaly blask ognia na droge.

Zmagajac sie z bolem miesni, Borenson dotarl w koncu do malej gospody z jedna tylko izba goscinna, w ktorej zbierali sie wlasnie ze snu dwaj podrozni z Poludnia.

Gospodyni szykowala sniadanie, pachnialo buleczkami, grzybami i orzechami.

Borenson przysiadl ciezko na stolku. Owszem, mial ciagle zadanie do wykonania, ale najpierw musial sie zdrzemnac. I choc na chwile przestac myslec o Myrrimie.

-Nie bylo nikogo procz tych dwoch podroznych? - spytal, czekajac na sniadanie. - Nikt nie zjawil sie w nocy?

-W nocy? - spytala gospodyni.

-Mysle o samotnym jezdzcze na koniu z kopytami owinietymi owcza skora.

-Nie! - odparla kobieta, jakby sam opis ja przerazil. - Tak to jezdzca chyba tylko rozbojnicy albo i gorzej! Bo slyszalam, ze w okolicy pojawili sie zabojcy.

Wczoraj rano znalezi nawet ciało. Braithen Towner, nieszczesny, lezal dziewiec mil stad...

Borenson zastanowil sie. Zabojcy ciagle krazyl na szlakach. Tutejsze oddzialy Baja Ahtena zapewne nie slyszaly nawet o upadku Carris, zatem to mogl byc czysty przypadek, ale czy na pewno? Ciagle cos mu podszeptywalo, ze to jego szukano.

Przetarl piekace oczy i zabral sie do sniadania. Potem, gdy pozostali goscie juz pojechali, oznajmil, ze musi sie przespac i zaraz potem wyjedzie. Spytal tez o mozliwosc zakupu prowiantu, ktory by starczyl do Inkarry. Byl obecnie ze sto mil od gor i nie mial napotkac wielu osad po drodze.

Poszedl do izby sypialnej, ktora okazala sie calkiem wygodna i czysta, a materace byly wypchane swieza sloma. Coraka gospodyni wymienila nawet koce, nie musial sie wiec martwic o pchly czy wszy.

Sprawdzil jeszcze, jak radzi sobie z koniem chlopak w stajni, i uspokoiony poszedl spac. Po raz pierwszy od wielu dni mial szanse na prawdziwy odpoczynek, a bez daru sil zyciowych bardzo go potrzebowal.

Jednak polozywszy sie, zaczal rozmyslac o czekajacej go podrozy i o tym, ze bedzie musial jakos wyrownac swoj bilans darow. Przede wszystkim jednak powrocil smutek po stracie Myrrimy.

Bolal nie nad soba, a nawet nie nad nia, ale nad tym, ze z jej odejsciem swiat zrobil sie ubozszy o tyle piekna i szlachetnosci. W koncu zamknal oczy, zeby tak nie piekly, i w jakiejs chwili usnal.

Obudzil sie wiele godzin pozniej, poczuwszy, ze ktos siada na jego sienniku.

Znowu byla noc. Nie zdziwil sie z poczatku, gdyz w zajazdach zwykle dokwaterowywano w razie koniecznosci nowych gosci do tych, ktorzy przyjechali wczesniej. Tyle ze to byla kobieta, jak wyczul po zapachu wlosow i obejmujacym go, gladkim ramieniu.

Dobudzil sie w pare chwil i usiadl.

Obok niego lezala Myrrima.

-Co...?! - wykrztusil przez scisniete gardlo. Dziewczyna oparla sie na lokciu i spojrzala na Borensa. Przez okno wpadal blask gwiazd i ksiezycy w pierwszej kwadrze.

-Obudziles sie w koncu? - spytala.

-Ale jak...

-Powierzyles mnie wodzie. Bylam slaba i bliska smierci, a ty oddales mnie strumieniowi.

-Przepraszam... - wyjakał przerażony Borens. Naprawdę myślał, że Myrrima już umarła. Teraz jednak wyglądała normalnie i całkiem zdrowo. Nawet ubranie miała suche.

-Dobrze zrobiles. Wiesz, odkrylam cos. Avera nie jest jedyna potencjalna uczennica czarnoksieznika w naszym towarzystwie.

Borens wciaz niewiele rozumial, ale to jedno do niego dotarlo. Powinienem domyslic sie wczesniej, pomyslal. Chooby po tym, jak uwaznie umiala go sluchac, jak jej obecosc lagodzila bol, jak bardzo pomogla mu po tragedii w Warowni Darczyncow.

Teraz jednak i tak tysiace pytan cisnely mu sie na usta.

-Jak...?

-Woda mnie uniosla. Snilam o chmurach ciezkich od deszczu i otoczonych mgielka wodospadach, o strumieniach szemrzacych wsrod kamieni. Zawsze kochalam wode, a teraz ujrzalam wodnych czarnoksieznikow zyjacych w glebinach oceanow i wszystkie cuda, ktore tam mozna napotkac. Woda uzdrowila mnie i ponioslaby mnie do morza, daleko poza Tide, gdybym chciala. Ale zrozumialam, ze ciebie kocham bardziej niz wode. Wrocilam, aby

pozostac twoja zona.

Borenson tylko patrzył na nią zaskoczony. Pojmował, że nie zginęła, poznawał, że nie z duchem ma do czynienia, chociaż niewiele brakowało. Jednak na pewno była, bo zachowała swoje dary. Przyszło mu do głowy, że pomysł z pochowaniem w wodzie musiał mu się nasunąć właśnie dlatego, że tak mógł uratować Myrrime. Ale więcej już pojąć nie potrafił.

Wpatrywał się w twarz żony, jakby ciągle oczekiwał, że ujrzy coś nowego, świadczącego mimo wszystko o jej śmierci. Uparcie nie chciała opuścić go myśl, że w jakiś sposób ją jednak zdradził.

Jednak co najważniejsze, rozumiał, jak bardzo go kochała. Nie chodziło tylko o podróż do Inkarry. Właśnie porzuciła dla niego możliwość służenia wodzie, dołączenia do grona wodnych czarnoksiężników. Niewielu ludzi spotykało podobne wyróżnienie.

Pochyliła się i ucałowała męża. Borenson poczuł, że jego ciało odpowiada.

Binnesman naprawdę go uleczył.

Byli sami w pokoju. Wreszcie nadeszła dla nich pora na miłość.

-Chyba winien mi jestem coś więcej niż piwo - mruknął Borenson i objął żonę.

Z wolna zmierzchało, gdy Erin i Celinor opuścili Fleeds i wjechali do południowego Heredonu, kierując się ku granicom Crowthenu Południowego. Im bliżej byli połnocy, tym przez bardziej suchą krainę zdawali i więcej widzieli wokół kolorów jesieni.

Erin nie odważyła się zasnąć w nocy. Przez cały dzień zastanawiała się nad tym, co ujrzała i usłyszała we śnie. Asgaroth pragnący zniszczyć jej świat... Nie odważyła się wspomnieć o tym Celinorowi, aby sobie nie pomyślał, że jest niespełna rozumu...

Jednak słowa wypowiedziane przez sowę utkwiły jej w pamięci. Zapewne to właśnie ta dziwna sowa wezwala ją, a może nawet związała po części z podziemnym światem i zamierzała przekazać jeszcze coś więcej.

Wspomniała już, że do świata ludzi prócz czarnego glory'ego przedostała się jeszcze inna, bezcielesna istota. Erin bardzo chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej, ale nie śmiała na razie powracać pod upiorne drzewo.

Na granicy napotkali oddział strażników - kilkuset rycerzy i pomniejszych panów obozujących w barwnych namiotach przy drodze. Wśród powszechnych w gorzystej okolicy paproci stało kilkadziesiąt wozów i koni kupców, którzy zostali zatrzymani przez blokadę.

Gdy podjechali, ktoś rozpoznał w końcu Celinora.

-Książe, proszę, wstaw się za mną u swego ojca! - zawołał jeden z oczekujących.

-Od lat z nim handluje, ucztowaliśmy przy tym samym stole, a teraz nie chce mnie wpuszczać! To czyste szalenstwo!

Celinor podjechał do posterunku na drodze, ale pikinierzy zastąpili mu drogę.

Dowodzil nimi mlody kapitan o ciemnych włosach, niemal rownie wysoki jak książe.

Oczy Isniły mu dziwnie, jak u fanatyka.

-Proszę o wybaczenie, wasza wysokość, ale mam rozkazy, aby nikogo nie przepuszczać - powiedział.

-Osłeples, Gantrell? - spytał Celinor. - A może aż tak bardzo się zmieniłem?

-Nastaly niebezpieczne czasy - odparł enigmatycznie kapitan. - Moje rozkazy są jednoznaczne. Nie przepuszczać nikogo w żadnym kierunku.

-Nawet następcy tronu?

Gantrell spojrział z ukosa na Celinora, ale nic nie powiedział. Erin mogła sobie wyobrazić, w jakiej rozterce znalazł się obecnie kapitan. Jeśli wpuszcza księcia, okaże brak posłuszeństwa wobec króla. Jeśli go nie wpuszcza, zaprzepaszcza szansę na jakąkolwiek dalszą karierę w armii. Król Anders miał już swoje lata i podupadał na zdrowiu.

-Pozwól mi przejść waszej wysokości, ale dalsza podróż odbył się, pani, w towarzystwie eskorty.

-Mogę na to przystać.

-Ale ta kobieta nie wjedzie - dodał kapitan, spoglądając na Erin, odzianą w zwykły strój siostrzycy z Fleeds: wełnianą tunikę i skórzany pancerz.

-Ta kobieta to moja żona. Pewnego dnia zostanie twoją królową.

Gantrell aż się zgarbił, jakby przerażony gafą, która mogła go kosztować znacznie więcej niż karierę.

-Zatem witaj w Crowthenie Południowym, pani!

Uklonił się dwornie i chwile potem oboje przekroczyli granicę. Dodano im liczną straż - tuzin rycerzy jechał przed nimi, tuzin za nimi, a kolejne dwa tuziny po bokach. Gantrell towarzyszył Celinorowi i Erin. Ciągłe zerkanie na nią z ukosa.

-Czy jestem aresztowana? - spytała w końcu Connal.

-Oczywiście, że nie, pani - odparł Gantrell, ale chyba sam nie był tego tak bardzo pewien.

Pot lał się z Averan strumieniami, gdy utrzymując przewodnika w swojej mocy, chłonęła ile się dało z jego wiedzy. Musiała, gdyż w przeciwnym razie dla zrozumienia tego, co już zobaczyła, konieczne byłoby ponowne podjadanie mózgow parę raubenów.

Starła się więc sporządzić kompletną mapę podziemnego świata. Zapomniała o wszystkim wokół, przestała nawet zauważać upływ czasu.

Gdy w końcu zerwała kontakt, upadła bez sił na ziemię.

Po chwili uniosła głowę. Nad doliną zapadła już noc, powietrze się ochłodziło.

Przeszukiwanie pamięci przewodnika zabrało jej wiele godzin.

Rauben leżał przed nią całkiem odwodniony i ledwie żywy. Oddychał ciężko, nie poruszał w ogóle wyrostkami. Było widać, że nie dożyje rana.

Gaborn, który towarzyszył Averan przez cały czas, podniósł ją i wziął na ręce.

-Chodźmy stąd lepiej - powiedział. - On ciągle może być niebezpieczny.

Nie zje mnie, chciała powiedzieć Averan, ale po prawdzie nie była tego całkiem pewna. Poza tym zbyt jej w ustach zaschło, żeby się odzywać.

Gaborn zaniósł ją do stojącego ponad dziesięć jardów dalej wozu z sennym, przecierającym oczy woznicą. Konie w zaprzęgu były nie mniej senne.

-Co się stało? Gdzie są wszyscy? - wychrypiała Averan. Do tego wszystkiego zaczęło się jej jeszcze krecić w głowie.

-Stalas przed raubenem cały dzień. Wojsko ruszyło za hordą na południe, ale Binnesman i jego dzika zostali.

-To dobrze - szepnęła dziewczynka. Obecność Straznika Ziemi zawsze ją uspokajała.

Przez niebo przemknęła ognista kula. Zostawiła za sobą świetlisty i dymny zarazem ślad. Niemal natychmiast pojawiła się kolejna i jeszcze jedna. Gwiazdy spadały ze wszystkich stron nieboskłonu. W kilka uderzeń serca można było ujrzyć ich całe mrowie.

-Co to jest? - spytała Averan, gdy Gaborn sadzał ją na wozie. Sam zajął miejsce obok niej. Woznicą machnął batem i pojazd potoczył się po równinie.

-Jedyna Mistrzyni połączyła wszystkie wielkie runy - odparł Gaborn. - Musimy złamać moc jej czarów.

-To znaczy, że już jej się udało?

-A tak. I jeszcze coś. Przypuszczam, że raubenowie pokonali Baja Ahtena w Kartishu. Niebezpieczeństwo rośnie zatem z godziny na godzinę. Znasz już drogę do Koscieliska?

-Tak - stwierdziła z przekonaniem Averan.

-Możesz mi powiedzieć, jak tam dojść?

-Nie, panie. Może gdybyśmy mieli miesiąc na wyjaśnienia, to tak, ale nie teraz.

-Poprowadzisz mnie zatem? Ioma przywiozła wieczorem darczynce i pośredników. Ja wzięłem już od nich dary wechu. Wyczuwam znaki zostawione przez raubenów na ziemi. Ale ich nie rozumiem.

Averan zadrzała. Znała podziemny świat ze wspomnień raubenów. Oglądała go oczami przewodnika. Wiedziała, że podróż będzie długa i niebezpieczna i napotkają w niej straszniejsze jeszcze potwory niż raubenowie.

Gwiazdy przebiegały wciąż przez firmament. Co się stanie, gdy wszystkie spadną? Zastanowiła się półprzyciemnie. Nic nie rozświetli wtedy nocnych ciemności?

Znow przeszedł ją dreszcz. Nie tego oczekiwała od życia.

-Weź mnie, panie, do tych pośredników - powiedziała. - Poprowadź mnie na dół.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-01-17

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/